

DUBOIS BRENDAN

DZIEŃ ODRODZENIA

PRZEKŁAD

WOJCIECH SZYPUŁA

Historia odnotuje fakt, że szczyt tych gorzkich zmagani nastąpił pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych. Stwierdzam zatem jako prezydent Stanów Zjednoczonych, że jestem zdecydowany zapewnić naszemu państwu przetrwanie i zwycięstwo bez względu na koszty i niebezpieczeństwa.

prezydent John F. Kennedy

20 kwietnia 1961

Ja pragnę pokoju; jeśli wy chcecie wojny - to wasza sprawa..

premier Nikita Chruszczow

4 czerwca 1961

Użyjemy broni atomowej w każdej sytuacji, w której uznamy, iż jest to niezbędne dla ochrony żywotnych interesów naszego państwa..

sekretarz obrony Robert S. McNamara

25 września 1961

Prolog

Cieszył się, że ma miejsce przy oknie, bo chciał rzucić okiem na miasto. Kiedy samolot linii BOAC przechylił się na skrzydło, podchodząc do lądowania w Bostonie, i śmignął nisko nad wieżowcami, poczuł dreszcz emocji.

Dziesięć lat, pomyślał.

Minęła cała dekada, odkąd ostatni raz postawił stopę na amerykańskiej ziemi. Gdyby nie przypadkowa wizyta w amerykańskiej bazie lotniczej wtedy, w październiku, byłby został w tym kraju. Na zawsze. Usmażony żywcem. A wypalone atomy jego ciała połączyłyby się na wieki z ruinami ambasady w Waszyngtonie i resztkami dziesiątek jej pracowników. Wzdrygnął się i przeniósł wzrok na stare ceglane budynki i wąskie ulice Bostonu. To tutaj przed niemal dwustu laty zaczęła się rewolucja, w której jego przodkowie z pewnością mieli swój chlubny udział. Cóż za ironia losu.

Samolot wylądował gładko, prawie bez wstrząsów. Wyjął ze schowka nad głową małą torbę podróżną i aż mu się wstyd zrobiło, gdy poczuł, jak szybko bije mu serce. Przecież wiedział, że wszystko będzie w porządku; ci, którzy go tu przysłali, należeli do najlepszych specjalistów na świecie, a poza tym miał przecież uczeniwy wystawiony paszport. Według niego nazywał się John Sheffield, co było prawdą. Nie napisano tam, że jest brytyjskim generałem w stanie spoczynku, ale kogo to, do ciężkiej cholery, miałyby obchodzić?

Stanął w kolejce do odprawy celnej. W sali odpraw panował ścisk; wyłożona ceramicznymi płytkami podłoga była porysowana i brudna. Tylko garstka ludzi zebrała się przy bramce dla obywateli amerykańskich wracających do domu z zagranicy - mało kto mógł sobie pozwolić na podróż przez ocean, a i gościnnych krajów raczej brakowało. Kolejka zaczęła posuwać się naprzód.

Podał paszport brzuchatemu facetowi ubranemu w mundur służb celnych - czarne spodnie, białą koszulę, krawat i czapkę z daszkiem. Kiedy celnik oglądał dokument, jemu znów serce mocniej zabiło. Wszystko będzie w porządku, uspokajał się. W najlepszym porządku.

Żałował tylko, że nie potrafi zapomnieć ostatniej rozmowy z tym niepokojącym facetem z brytyjskiego Foreign Office. A z początku wyglądał tak niewinnie, kiedy spokojnie zaciągał się dunhillem.

- Zdaje pan sobie sprawę, generale, że jeśli coś się pokiełbasi, nie będziemy mogli panu pomóc? - mówił. - Naprawdę przykro mi to mówić, ale jest pan zdany tylko na siebie. Rzecz jasna, jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni za pomoc, ale nikt nie może nas skojarzyć z pańską misją ani oficjalnie, ani nieoficjalnie.

To był wstrząs, bez dwóch zdań; generał generałem, ale nawet on nie mógł liczyć na wsparcie. Urzędnik Foreign Office uśmiechnął się - lekko, nieco pobłaźliwie; krzaczaste brwi i obwisłe policzki upodabniały go do starego, smętnego psa.

- To uczciwy układ - odparł pospiesznie, bojąc się, że jeśli będzie zwlekał, zmieni zdanie i nie wróci do tego okropnego miejsca.

Teraz celnik przyglądał mu się badawczo. Miał jednodniowy zarost, poplamione atramentem palce i chyba o numer za dużą czapkę.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Podróżuję w interesach - odparł bez zająknięcia. Ćwiczył te słowa przed lustrem.

- Co to za interesy?

- Przemysł tekstylny. - Kłamstwo przyszło mu z łatwością. - Przyjechałem zobaczyć wasze zakłady włókiennicze na pomocy, w Lowell i Lawrence. Jestem przedstawicielem koncernu zainteresowanego zakupem kilku fabryk tekstylnych. Chcielibyśmy je na nowo uruchomić.

Celnik spojrzał na niego spode łba, stemplując mu paszport. Sheffield znał to spojrzenie - pełne niezdecydowania i wątpliwości. Jankesi żywili wobec swoich kuzynów zza oceanu dwojakie uczucia: wdzięczność za pomoc, jaką od dziesięciu lat otrzymywali - żywność, lekarstwa, nasiona i sadzonki - oraz nienawiść za wszystko, co się z tą pomocą wiązało - za stypendia, które pozwalały wyłapywać najlepszych studentów i wysyłać ich prosto do Wielkiej Brytanii; za programy medyczne, dzięki którym co roku wybrańcy mogli liczyć na nowoczesne kuracje popromienne i onkologiczne; za biznesmenów takich jak ten, za którego się podawał - którzy rok po roku przybywali zza oceanu i wykupywali zrujnowane fabryki i leżącą odłogiem ziemię. Niegdyś ogromny i dumny, a dziś ciężko okaleczony naród przyglądał się, jak zarabiają na jego własności niezłe pieniądze, a przy okazji na nowo przykuwają swą dawną kolonię do macierzy.

Paszport wrócił do niego pchnięty po śliskim, metalowym blacie.

- Witamy w Stanach Zjednoczonych - rzekł celnik grobowym głosem. Biorąc

paszport do ręki, Sheffield zauważył, że koszula celnika jest w trzech miejscach połatana.

- Ogromne dzięki.

Po wielu godzinach spędzonych w niewygodnym fotelu w samolocie krótka przechadzka przez zatłoczony terminal sprawiła mu ogromną przyjemność. Powietrze na dworze było przesiąknięte dymem i spalinami samochodów i autobusów. Miał szczęście, bo nie musiał długo czekać na taksówkę. Kiedy biało-pomarańczowy samochód zajechał na postój, John usadowił się na tylnej kanapie, wciągnął za sobą bagaż i rzucił:

- Do Sheratona.

Kierowca - Murzyn, mniej więcej w wieku Sheffielda - chrząknął tylko potakująco i ruszyli spod terminalu. Nie odezwał się ani słowem, gdy włączyli się w strumień wozów opuszczających lotnisko i wjechali w tunel prowadzący do Bostonu. Generał nie miał nic przeciwko temu, żeby jechać w milczeniu. Kiedy wynurzyli się spod ziemi i zaczęli przemykać wąskimi, krętymi uliczkami miasta, wyrztał przez zabrudzone okno. Spodziewał się, że ujrzy miasto zmęczone i stare, takie jak Manchester, ale zaskoczyła go przygnębiająca atmosfera tego miejsca - tak jakby ludziom przestało zależeć na tym, jak żyją. Samochody były stare i pordzewiałe, autobusy na ropę prychały kłębamii czarnego dymu, a budynki wyglądały tak, jakby od lat nikt ich nie odnawiał.

Piętnaście minut od przybycia do hotelu znalazł się w swoim pokoju. Nie zdejmując ubrania ani butów, znużony podróżą rzucił się na łóżko. Dopiero po jakimś czasie z wysiłkiem wstał, poszedł do łazienki i zrobił sobie zimny okład na kark. Zerknąwszy w lustro, ujrzał zmęczone niebieskie oczy okolone setkami zmarszczek, których dorobił się, służąc długie lata w wojsku, i opaloną, pokrytą piegami łysinę na czubku głowy, otoczoną marnym wianuszkiem krótkich siwych włosów. Wiedział, że wygląda na swój wiek, ale był przy tym dumny, że waży raptem trzy kilogramy więcej, niż gdy wstępował na służbę króla. Miał wtedy siedemnaście lat.

A spędził w niej niemało czasu; walczył na błotnistych polach Francji, potem stacjonował w Niemczech, a cały czas piął się po szczeblach kariery, coraz mocniej angażując się w dyplomatyczne aspekty wojskowości. Teraz służył królowej i miał spotkać się z Amerykaninem, którego od dziesięciu lat nie widział na oczy - człowiekiem, który twierdził, że posiada informacje o kapitalnym znaczeniu dla

przyszłości obu krajów.

Wrzucił kompres do muszli i spuścił wodę, po czym wrócił do pokoju i stanął obok łóżka. Stary drań musiał być kompletnym świrem. Sheffield usiadł na chwilę na wyblakłym prześcieradle, patrząc na stojący przy łóżku telefon.

Wendy. Mógł podnieść słuchawkę, zamówić połączenie międzykontynentalne i za kilka chwil rozmawiałby już z Wendy. Dzielilo ich sześć godzin różnicy; śpi pewnie - z telefonem na poduszce obok - ale dobrze ją znał: ucieszy się, mogąc z nim porozmawiać, chociaż była wściekła, że wyjechał.

Już miał zdjąć słuchawkę z widełek, ale zawahał się. Nie, to nie najlepszy pomysł; nie wiadomo, kto mógłby podsłuchać rozmowę w hotelowej centrali. Wstał i założył płaszcz. Doszedł do wniosku, że zje szybką kolację i dopiero wtedy się położy. Poza tym powinien skoncentrować się na czekającym go zadaniu. Mimo że marzył o tym, by usłyszeć jej głos, nie mógł sobie pozwolić na to, żeby myśl o Wendy go rozpraszała.

Ostatnim razem... Siedzieli w rozświetlonym salonie ich uroczego domku w Harpenden, gdy powiedział jej, że wyjeżdża do Ameryki. Musiała odstawić filiżankę na spodeczek, tak jej się ręce trzęsły. Przeszyła go spojrzeniem, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Proszę cię, John, powiedz, że tylko żartujesz.

- Obawiam się, że to niemożliwe, skarbie. - Usiadł na miękko wyściełanym fotelu z wikliny. - To podobno bardzo ważna sprawa i tylko ja jeden mogę się nią zająć.

- Od trzech lat jesteś na emeryturze! Na pewno mogliby posłać tam kogoś innego.

- Nie mogą - odparł zdecydowanie. Odkąd przeszedł w stan spoczynku, nie używał tego nie znoszącego sprzeciwu tonu. - Chodzi o... pewnego Amerykanina. Znałem go, kiedy stacjonowałem w Waszyngtonie. Z nikim innym nie będzie chciał rozmawiać. Właśnie dlatego muszę lecieć.

Łzy płynęły jej wolno po policzkach.

- Przeżyłam z tobą tyle lat, Johnie Sheffield - rzekła błagalnym głosem. - Nigdy się nie skarżyłam. Byłeś na Malajach, na Cyprze, w Adenie; poleciałam z tobą do Niemiec, Belgii, Waszyngtonu i Melbourne. Złego słowa ci nie powiedziałam.

- Wiem, Wendy. To było dla mnie bardzo ważne. Ale nie mógł ustąpić.

- Jesteś starym głupcem, który jeszcze raz chce ruszyć do szturmów za królowę

i ojczyznę! - Wendy podniosła głos. - Swoje już odpracowałeś! Nie znam nikogo, kto by się tak zasłużył jak ty! A teraz chcą cię gdzieś wysłać, ciebie, faceta na emeryturze, który trzy razy gania w nocy do łazienki! Wysyłają cię z jakąś bzdurną misją w stylu Jamesa Bonda do kraju, gdzie wojsko strzela do studentów, a ludzie na wsi głodują. Nie zgadzam się!

- Wendy, ja już im powiedziałem, że polecę.

Założyła ramiona na piersi i wyjrzała przez okno na ogród, swoje ukochane miejsce na ziemi.

- Nie zgadzam się - powtórzyła szeptem.

Rankiem bez słowa spakowała mu bagaż. Samochód, który po niego przysłali, spóźnił się; wyszedł do ogrodu i odszukał Wendy, która zgarbiona nad łopatą, okopywała jakieś roślinki. Tyle chciał jej powiedzieć, ale nie miał pojęcia, od czego zacząć. Wyjechał więc bez słowa.

Ostatni raz popatrzył na telefon i wyszedł z pokoju.

Godzinę później wiedział już, że popełnił straszliwy błąd. Zjadł samotną - i raczej paskudną - kolację: pieczonego dorsza, który był suchy i pozbawiony smaku, popił amerykańskim piwem, starym i nijakim. Przypomniał mu się dowcip, który usłyszał kiedyś od podwładnego:

- Czym się różni amerykańskie piwo od kajakarstwa? Niczym: oba mają dużo wspólnego z wodą.

Kawał niezły, ale John nie był w nastroju do żartów. Po kolacji wyszedł na spacer, żeby się przewietrzyć i odświeżyć myśli. Na Boylston Street wmieszał się w nocny tłum. Na każdym rogu stał policjant albo żandarm, a Sheffield ze wszystkich sił starał się nie wyróżniać spośród otaczających go ludzi, choć wiedział, że w takim stroju nie ma szans. Ludzie nosili w większości rzeczy sprzed dziesięciu lat - sprane, cerowane i łatanne.

Na rogu Exeter i Newbury skręcił w lewo i stanął jak wryty. Przed sklepem, na którego wystawie widniała tablica DO WYNAJĘCIA, kłębiła się gromada policjantów i funkcjonariuszy żandarmerii. Niektórzy nieśli notesy, inni zapory do blokowania drogi. Nie bardzo wiedział, co się dzieje, ale uznał, że i tak dość się napatrzył i pora wracać do hotelu. Odwróciwszy się, natknął się na człowieka o zmęczonej twarzy, w całkiem przyzwoitym garniturze. Mężczyzna wyciągnął przed siebie rękę i mignął mu odznaką policyjną. Sheffield rozejrzał się szybko i ujrzał innych podobnie ubranych

dżentelmenów, zatrzymujących kilku gapiów, którzy próbowali niepostrzeżenie oddalić się od barierk.

- Nie tak szybko, kolego - rzekł policjant. - Spieszysz się gdzieś?

- Tak - odparł Sheffield. - Do hotelu. Policjant przekrzywił z zaciekawieniem głowę.

- Jesteś Angolem?

- Zgadza się - przytaknął Sheffield, sięgając do kieszeni płaszcza. - Oto mój paszport.

Policjant przerzucił szybko strony dokumentu i oddał go Sheffieldowi. -Faktycznie. Lepiej wracaj do hotelu. Sheffield schował paszport.

- Co tu się takiego dzieje? - zapytał. Zmęczony mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zwyczajnie, sprawdzamy mieszkańców. Nie wiadomo, czy ci obywatele mają pozwolenie, żeby tu mieszkać. U nas w każdym mieście trzeba mieć meldunek i pozwolenie na pracę. W Bostonie też. Bez tego wracasz na wieś albo na przedmieścia.

- Ale przecież oni próbują tylko zwyczajnie żyć...

- Pewnie, ale jakby tak wszyscy przenieśli się do miast, to kto by hodował bydło, siał pszenicę i... Hej! Hej, ty tam! Stój! Zatrzymaj się!

Policjant rzucił się w pogoń za przerażonym młodym człowiekiem, który popędził przed siebie zaułkiem. Sheffield czym prędzej wrócił do Sheratona. Powinienem być zostać w domu, pomyślał. To jakieś okropne miejsce, a praca jest tylko dla młodych i odważnych. Tacy jak ja nie mają tu czego szukać.

W windzie oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Jeszcze tylko 12 godzin i będzie po wszystkim, przypomniał sobie. 12 godzin. Teraz się wyśpi, a rano weźmie prysznic i poczuje się jak nowo narodzony. Potem krótkie spotkanko w jakimś pubie z tym cholernym Jankesem, szybka wizyta w konsulacie i po południu wróci do domu. A jeśli jeszcze kiedyś jakieś ścierwo z Foreign Office zastuka do jego drzwi, wyrzuci gościa na zbity pysk.

Otworzył drzwi kluczem. Zaraz: czy to jego pokój? Nie posiadał się ze zdumienia. Co jest, do diabła? W łóżku leżała młoda niebrzydka kobieta po szyję przykryta prześcieradłem.

- Johnny... - powiedziała. - Nareszcie jesteś.

Podszedł do niej. Zaraz wszystko się wyjaśni i będzie mógł się przespać. Z

bliska zorientował się, że ma przed sobą nie kobietę, tylko młodą dziewczynę; pewnie dopiero co skończyła osiemnaście lat. Blond włosy miała szesane do tyłu i ściągnięte gumką.

- Przykro mi, proszę pani, ale pomyliła pani pokoje.

- Nie. - Dziewczyna pokręciła głową. - Nazywasz się Johnny Sheffield i kupiłeś mnie sobie na tę noc.

Odwrócił się, słysząc jakiś hałas za plecami. Z łazienki wynurzyło się trzech mężczyzn w ciemnych garniturach, białych koszulach i czarnych krawatach. Ich twarze były absolutnie pozbawione wyrazu. Zadrżał i wziął głęboki wdech. Rozluźnił się. A więc to tak - oto jak skończy. Zerknął przez ramię na dziewczynę i zobaczył, że jej zaciśnięte na prześcieradle dłonie drżą. Usiadł ostrożnie obok niej na łóżku, złapał jej ręce w swoje i zapytał:

- Przyłączysz się do mnie w modlitwie, skarbie? Pokiwała z zapalem głową.

Kiedy spojrział na trójkę zbliżających się do łóżka mężczyzn, jego wzrok padł na stojący obok telefon.

Cholerny świat! Jakże teraz żałował, że przed wyjściem nie zadzwonił do Wendy.

Martwy mężczyzna leżał w łóżku na brzuchu. Tył jego głowy był jedną krwawą miazgą. Miał na sobie workowate białe szorty; pościel leżała skopana i zwinięta przy jego nogach, chudych i mocno owłosionych. W pokoju pachniało starymi ubraniami, kurzem i czymś jeszcze - Carl Landry rozpoznał tę woń: odór brutalnie pogwałconego, pozbawionego życia ciała. Kiedyś ten zapach go zaintrygował, zaraz potem zasmucił; teraz nie był już niczym nadzwyczajnym - ot, jeszcze jeden element zawodu.

Carl, reporter „Boston Globe”, stał w drzwiach sypialni martwego mężczyzny z notesem w ręku, notując starannie wszystko, co widzi - drobnym, starannym charakterem pisma, który wyrobił sobie w szkole średniej, a później ćwiczył w wojsku i przez cztery lata w redakcji.

Detektyw Paul Malone wylał go z tłumu rozgadanych gliniarzy. Przyjaźnili się - przynajmniej w pewnym sensie, na tyle, na ile policjant i dziennikarz mogą być przyjaciółmi. Malone dobiegał pięćdziesiątki, miał nadwagę i nosił brązowy płaszcz, którego poły ocierały mu się o łydki. W jednym miejscu na podbródku - tam, gdzie Malone nie dogolił się rankiem - widniała szara plamka kielkującego zarostu. Kruczoczarne, lecz siwiejące już włosy miał zaczesane na bok i przylizane jak od brylantyny.

- Dalej, Carl, zmywaj się stąd - powiedział, próbując wypędzić Landry'ego z pokoju. - Pozwoliłem ci to obejrzeć i wystarczy. Jeśli dalej będę taki łaskawy, goście z „Heralda” zażyczą sobie identycznego traktowania, a na to nie mogę sobie pozwolić. Wy, dziennikarze, zrobilibyście z tego mieszkania istny cyrk.

- Chodź na chwilę ze mną, Paul. - Carl posłał mu swój najlepszy kumplowski uśmiech. - Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa, dobrze? Terminy mnie gonią zaraz muszę dzwonić do redakcji, żeby zdążyli wsadzić to do porannego wydania.

- I żeby „Herald” dostał w tyłek, co?

- Właśnie.

Przeszli do kuchni, gdzie jeden z młodszych funkcjonariuszy obsypywał blat proszkiem do wykrywania odcisków palców. W sypialni błysnął flesz policyjnego fotografa.

Mieszkanie było małe, zagracone i - jak wprawnym okiem ocenił Carl

-gruntownie przeszukane: pootwierane szuflady, uchylone drzwiczki szafy, ubrania i naczynia rozrzucone po pokoju i porozkładane na meblach. W kącie kuchni, na wyłożonej linoleum podłodze, leżała pusta metalowa miska. W zlewie walały się niepozmywane naczynia ze śniadania: miska po płatkach i filiżanka po kawie.

W saloniku stał maleńki przedwojenny telewizor, a obok leżała sterta gazet i periodyków. Jasnobrązowy dywan był wydeptany i powycierany na brzegach; blady, kwiatowy wzór prawie doszczętnie zniknął. Gdzieś na zewnątrz z rykiem przeleciał odrzutowiec, kierując się na lotnisko Logan Airport.

Drzwi wejściowe zaopatrzono w trzy zamki - rozsądne zabezpieczenie, zwłaszcza zimą, gdy przed dziesiątą rano pustoszały półki supermarketów, a prostytutki ze Strefy Wojennej świadczyły swoje usługi w zamian za puszki konserwowego gulaszu. Sęk w tym, że zamki wyglądały na nienaruszone.

W ciągu ostatnich kilku lat pracy w „Globie” Carl dość regularnie natykał się na Paula Malone'a. Pracował w redakcji lokalnej, a ponieważ szefostwo uznało, że kariera wojskowa musiała oswoić go z widokiem ludzkich zwłok, najczęściej robił właśnie materiały do kroniki kryminalnej. Z Malone'em łączył go układ pełen ostrożności, ale i wzajemnego szacunku - detektyw uczciwie udzielał informacji, a reporter zachowywał należyłą delikatność, gdy przychodziło do zadawania pytań.

- Mamy tu niejakiego Merla Sawsona, lat sześćdziesiąt - rzekł Malone z czysto bostońskim akcentem. - Postrzał w tył głowy.

Carl notował pospiesznie.

- Sprawa chyba oczywista, prawda?

- Jasne, chłopcze, ale nie cytuj mnie, dopóki gość nie trafi do kostnicy. Śmiesznie by było, gdybyśmy obrócili go na plecy i znaleźli nóż wbity w bebechy, nie?

- Cholernie śmiesznie. Masz jakieś podejrzenia, kto strzelał? Malone chrząknął, dając w ten sposób wyraz swojemu rozbawieniu.

- Oj, tego nas chyba w szkole policyjnej nie uczyli. Zapomnieli powiedzieć, że powinniśmy kombinować i podejrzewać.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Ktoś zastrzelił tego biedaka. A kto dziś ma broń i amunicję? Wojsko i mafia, w każdym razie nie cywile. Co ty na to?

- Chyba właśnie przekraczasz granicę między reporterem a upierdliwym palantem. Bardzo cienką granicę.

- Dzięki za lekcję geografii. Skąd dostaliście wezwanie?

- Facet miał kumpla piętro niżej. W nocy gość słyszał jakieś krzyki, chociaż mówi, że to może tylko telewizja. Ale kiedy Merl nie przyszedł na lunch, który jadali razem, a potem nie odpowiadał na pukanie, facet zadzwonił do nas.

- Jacyś podejrzani?

Detektyw spojrział na Carla z niesmakiem.

- Człowieku, dajże spokój, przyjechaliśmy dopiero pół godziny temu.

- Ale wygląda to na włamanie, prawda?

- Posłuchaj no, Carl: wynoś się stąd, dobrze? Mam robotę.

- Minutkę... - Carl rozejrzał się po pokoju: żadnych zdjęć. Ciekawe; wydawałoby się, że człowiek w wieku Sawsona powinien mieć kolekcję fotografii rodziny i przyjaciół, ale nie. Ani śladu. Przeniósł wzrok na leżące na ziemi gazety: „Time” ze zdjęciem Nelsona Rockefellera na okładce; „American Legion” ze zdjęciem Nelsona Rockefellera na okładce; „Sports Illustrated” - ze zdjęciem Joego Namatha i Nelsona Rockefellera. Kombatant i kibic sportowy.

- Carl...

- Już mnie nie ma.

Dopiero przy drzwiach zdał sobie sprawę, co go tak zaintrygowało. Stare robocze buty posklejane szarą taśmą izolacyjną. Stały na gazecie przy wejściu, jakby... Zerknął przez uchylone drzwi do sypialni i ujrzał bosa stopy zamordowanego. Jezu Chryste! Ten sam rozmiar. A tamten facet mówił, że jest weteranem. Carl wszystko sobie przypomniał.

Zdarzyło się to miesiąc wcześniej, w pierwszy naprawdę zimny - i naprawdę paskudny - wrześniowy dzień. Sześć godzin spędził na nabrzeżu w porcie, czekając, aż policyjny dźwig wyłowi z wody skradziony samochód; poprzedniej nocy jakieś dzieciaki z Roxbury wjechały prosto do wody, uciekając przed policją. Oszołomieni rodzice stłoczyli się na krawędzi nabrzeża, chcąc jak najprędzej odebrać zwłoki topielców. Prawie się ucieszył, kiedy redakcyjny kolega zluźował go, zanim samochód podniesiono z dna. Dziękował Bogu, że nie musi rozmawiać z rodzinami i wypytywać: „Jak się państwo czują?”, byle tylko sklecić artykuł na następny dzień. Mógł wrócić do domu, wypić piwo albo dwa i zapomnieć ściągnięte twarze ludzi czekających na swoje nieżyjące dzieci.

Nagle poczuł, że ktoś łapie go za ramię.

- Przepraszam, jest pan dziennikarzem? - dobiegł go starczy męski głos.

Odwrócił się. Mężczyzna stał na popękany chodniku. Niesione wiatrem znad morza suche liście i stare gazety tańczyły mu wokół stóp. Przechodzący obok nieliczni ludzie rzucali Carlowi współczujące spojrzenia w stylu: „Przykro mi, że cię złapał, koleś, ale cieszę się, że to nie na mnie padło”. Facet był wysoki, ubrany w wojskowy płaszcz bez insygniów - nawet bez guzików. Skóra ciężkich, roboczych buciorów była pościerana i spękana; podeszwy trzymały się tylko dzięki zwojom szarej taśmy klejącej. Ręce mu się trzęsły, ale gdy tylko zauważył, że Carl zwrócił na to uwagę, wcisnął je w kieszenie płaszcza. Twarz miał zaczerwienioną i dziobatą, z nosa mu kapowało, a pod oczami rysowały się wielkie ciemne sińce, jakby od dawna sypiał tylko raz w tygodniu. Przerzedzone siwe włosy były brudne i skołtunione.

- Owszem, jestem dziennikarzem. Niestety, mam spotkanie i...

- I jest pan kombatantem, prawda? Widzę, że nosi pan kurtkę od munduru polowego.

- Zgadza się, służyłem w wojsku. - Carl ze znużeniem skinął głową. - Tak jak i pan, prawda? - Mówiąc to, sięgnął do kieszeni po ćwierćdolarówkę. Staruszek potrząsnął zdecydowanie głową.

- Nie, nie, proszę schować pieniądze. Nie o to mi chodzi. Jestem weteranem, to prawda, ale nie żebrakiem. Nigdy nie musiałem żebrać.

- Ach... No dobrze, co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna rozejrzał się szybko na boki i przysunął bliżej. W jego oddechu dało się wyczuć woń piwa.

- Mam coś dla pana, naprawdę kapitalną historię. Nie wiem tylko, czy ma pan dość odwagi, żeby ją opublikować.

- O tym zadecyduje mój wydawca. O co chodzi?

- To straszna historia - mężczyzna zniżył głos. - Ale na pewno pana zainteresuje. Afera, o jakiej nie pisały żadne gazety. Bo widzi pan, minęło dziesięć lat, a niektórzy tak zasmakowali w zabijaniu, że wciąż to robią. Trzeba ich powstrzymać.

Carl z poważną miną pokiwał głową. Słowo „żadne” zabrzmiało tak, jakby wypowiedział je podekscytowany dziewięciolatek, ale w oczach starego było coś autentycznego, kiedy głos zadrżał mu dramatycznie. Cholera, przecież ten facet był kombatantem, tak jak on sam. Zaslugiwał na coś lepszego. Kurczę, wszyscy zasługiwali.

- Coś panu powiem, panie...

- Nie, na razie bez nazwisk. - Nieznajomy ponownie pokręcił głową. - Niech

mi pan tylko powie: napisze pan ten artykuł?

- Nic nie obiecuję, ale zobaczę, co pan ma do zaoferowania - odparł Carl z powagą. Staruszek zasłużył sobie na odrobinę szacunku.

Uśmiechnął się z ulgą, odsłaniając brunatne, zdeformowane pieńki zębów.

- To świetnie, naprawdę świetnie. Mam pewne bardzo ważne dokumenty, które chciałbym panu pokazać. Oto próbka. - Staruszek podał Carlowi wielokrotnie złożoną kartkę liniowanego papieru z notatnika. - Tak powinien się zaczynać artykuł, od tego kawałka papieru. Przyjdę tu jutro po południu, w to samo miejsce, i razem obejrzymy resztę dokumentów. W porządku? Uprzedzam tylko, że nie przyjdę, jeśli dojdą do wniosku, że nie można panu ufać. Pójdę gdzie indziej. Wie pan, czasy są ciężkie.

Carl doskonale wiedział, co się święci; nieraz był już świadkiem takich „okazji”; znał dziennikarzy i ich „informatatorów”, którzy uparcie się ich czepiali. Mimo to jednak zamierzał następnego dnia zabrać dziadka na dobrą kolację - jakiej pewnie od lat nie jadł - i wysłuchać jego opowieści o spisku, w który bez wątpienia zamieszani byli Rockefellerowie, przybysze z kosmosu, Romanowowie i Bóg jeden wie kto jeszcze. W odpowiednich momentach będzie uprzejmie potakiwał, a na koniec wciśnie staremu w garść piątała i pójdzie do domu się upić, żeby uśpić obudzone przez niego wspomnienia. Niech i tak będzie.

- Doskonale - powiedział. - Jutro w tym samym miejscu.

- Świetnie.

Staruszek wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale obrócił się na pięcie i odszedł szybkim, pewniejszym niż przedtem krokiem.

Wtedy Carl widział go po raz ostami - stary weteran nie stawiał się na spotkanie ani następnego dnia, ani jeszcze dzień później. Po tygodniu Carl dał sobie z nim spokój.

Na kartce, którą od niego dostał, znajdowało się pięć nazwisk. Poświęcił kilka minut, żeby sprawdzić je w książce telefonicznej, ale kiedy żadnego nie znalazł, schował kartkę i wkrótce o niej zapomniał.

Teraz zaś stał pod drzwiami mieszkania Merla Sawsona i oddychał głęboko, zadowolony, że wydostał się z dusznych pokojów. Skup się, powiedział sobie w duchu. Skoncentruj się na artykule. Zerknął na zegarek: godzina do terminu. Porzucił myśl o dotrzymaniu danej Malone'owi obietnicy, wszedł po skrzypiących schodach

piętro wyżej i zastukał do drzwi. Nikt mu nie otworzył, więc postanowił spróbować szczęścia z mieszkającym na dole znajomym Sawsona. Zszedł dwa piętra i zapukał do drzwi mieszkania. Otworzył mu chudy, starszy człowiek o zaczerwienionej twarzy, otulony kraciatym szlafrokiem. Spojrzenie miał pełne troski, pytające.

- Słucham pana?
- Carl Landry z „Boston Globe”. Pan jest...
- Andrew Townes.
- Wynajmuje pan tu mieszkanie?
- Jestem właścicielem domu - odparł Townes, jedną dłonią przytrzymując rozchylający się szlafrok. - Odziedziczyłem go po rodzicach.
- A zatem znał pan pana Sawsona? Townes kiwnął głową.
- Mieszkał tu prawie cztery lata.
- Z czego się utrzymywał?
- Chyba z emerytury.
- Był weteranem wojskowym, prawda? Widziałem, że kupował „American Legion”.

Townes zawahał się z odpowiedzią - o sekundę za długo.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Niewieleśmy o tym rozmawiali. Wie pan, on...
- Landry! - dobiegł z góry głos detektywa. Przechylony przez poręcz Malone przyglądał się Carlowi z wściekłym wyrazem twarzy. - Stary, do ciężkiej cholery, kiedy mówiłem „Wynoś się”, miałem na myśli „Wynoś się z tego domu”! Przestań się tu plątać i nam przeszkadzać, dobrze?

Carl pomachał mu, powstrzymując się od wykonania obraźliwego gestu z wyprostowanym palcem, i wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki - tej samej, która przed miesiącem zwróciła uwagę starego w porcie. Rany boskie, pomyślał, to na pewno był on. Na pewno. Wyjął pogiętą, trochę wytłuszczoną wizytówkę i podał ją Townesowi.

- Bardzo proszę, niech pan do mnie zadzwoni, dobrze? Piszę artykuł o panu Sawsonie i przydałby mi się wiarygodny opis jego codziennego życia. Nie chciałbym zbyć sprawy krótką notką, bo jestem pewien, że zasługiwał na coś więcej.

Townes wziął od niego wizytówkę i wycofał się w głąb mieszkania.

- Jakie to straszne - mruknął pod nosem, zamykając drzwi.

Carl wyszedł na zadaszony ganek. Przyjemnie było odetchnąć ostrym

październikowym powietrzem po zaduchu, jaki panował w środku.

Biedny Merl Sawson... Pewnie jeszcze jeden stary zwariowany żołnierz. Zwykły zbieg okoliczności, ot co. Ale... Nie zaszkodziłoby jeszcze raz zerknąć na te nazwiska, które mu wtedy podał. Stary, malowany na biało drewniany dom miał dwa piętra. Na każdym znajdowało się jedno mieszkanie z balkonem wychodzącym na ulicę. W przenikniętym irlandzkim duchem mieście domy takie nazywano pieszczotliwie „irlandzkimi pancernikami”. Carl spojrzął na trzy skrzynki pocztowe: Townes, Sawson, Clemmons. Spisał nazwiska, zszedł ze stopni i wyminął dwóch mundurowych policjantów.

- Mają już kogoś? - zapytał starszy z nich.

- Nic o tym nie wiem.

- Drań uciekł już pewnie ze stanu - zauważył młodszy i dodał, siląc się na dowcip: - Do rana niedaleko; jeśli go nie złapią, zanim się rozwidni, będzie go równie trudno znaleźć jak Kennedy'ego.

Młody zaśmiał się z własnego żartu, ale starszy tylko zmarszczył brwi, wepchnął ręce w kieszenie płaszcza i odwrócił się plecami do partnera. Na identyfikatorze miał wypisane „Mooney” - może był jednym z tych prawdziwych Irlandczyków, z krwi i kości, którzy wciąż marzyli, że ich wielki sen się ziści. Niewykluczone, pomyślał Carl. Przecież to Boston. Nawet on sam odczuwał czasem tę niejasną tęsknotę, że spełni się obietnica, o której zwykle starał się zapomnieć.

Na chodniku stał mężczyzna w tweedowej marynarce i dżinsach, z torbą fotograficzną na ramieniu i lustrzanką w garści - Mark Beasley, fotograf „Globe”, którego z racji sięgającej mu pasa gęstej brody przezywano Zwierzakiem.

- Co masz, Carl?

- Ja niewiele, ale w mieszkaniu na piętrze gliniarze znaleźli trupa.

- Chcesz, żebym się tu trochę pokręcił?

Większość dziennikarzy ledwo tolerowała Zwierzaka, Carl jednak zwyczajnie go polubił. Facet miał wprawdzie tyle uroku i subtelności co byk węszący przy gablocie z chińską porcelaną, ale znał się na robocie i nie udawał, że traktuję ją jako wstęp do „poważnej” kariery artystycznej.

Carl spojrzął na zegarek.

- Jeśli możesz... Jak będą mieli dziurę w wiadomościach lokalnych, mogą się ucieszyć ze zdjęcia gliniarzy ściągających truposza po schodach.

Nad ich głowami przeleciał kolejny samolot. Beasley zadarł głowę.

- Rany, ale sobie znaleźli miejsce do mieszkania. Można zwariować od tego hałasu.

- Jakiego hałasu? - zdziwił się Carl.

- Proszę, typowy reporter. - Zwierzak wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie zauważyłby stojącej przed nim nagiej kobiety, gdyby nie miała nic wspólnego z materiałem, nad którym pracuje.

- Typowy fotograf. - Carl też się uśmiechnął. - Nie zauważyłby stojącej przed nim nagiej kobiety, gdyby nie miał filmu w aparacie.

Odszedł szybkim krokiem spod domu Sawsona, mijając wyblakły plakat wyborczy McGoverna, częściowo odklejony od słupa telefonicznego i powiewający teraz na wietrze. Żaden ciekawski sąsiad nie kręcił się w pobliżu, a on nie miał czasu chodzić po domach i szukać lokalnego kolorytu. Jeśli będzie miał fart, zdąży do „Globe” w piętnaście minut - chyba że po drodze ustawiono punkty kontrolne - i zostanie mu pół godziny na sklecenie tekstu. Już teraz, otwierając drzwi wozu i sadowiąc się za kierownicą, układał sobie artykuł w głowie. Bułka z masłem.

W środku coroneta rocznik sześćdziesiąty dziewiąty poniewierały się stare „Globe’y”, notesy i mapy. Od zewnątrz jaśnoniebieską karoserię pokrywały cętki rdzy. Auto prezentowało sienie najlepiej, ale było wygodne i zazwyczaj niezawodne: dziś silnik zaskoczył za trzecim razem. Przy pierwszym znaku stopu Carlowi wpadło w oko wyblakłe graffiti na ścianie sklepu monopolowego.

ON ŻYJE.

Chryste Panie, pomyślał. Wszędzie się roi od prawdziwych wiernych.

Pierwsze chwile pobytu w redakcji „Globe” zawsze - nawet po czterech latach - stanowiły lekki wstrząs. Ciągły gwar rozmów, dzwonki telefonów, terkot dalekopisów i stukot maszyn do pisania tworzyły nieopisany harmider. Im bardziej zbliżał się termin złożenia gazety, tym głośniejszy stawał się hałas; w tej chwili brzmiał niemal ogłuszająco. Ale nawet kiedy numer został ukończony, w redakcji nie robiło się cicho: zanim „Globe” wyszedł spod prasy i trafił na ulice, trzeba było brać się do następnych wydań. Jak to powiedział kiedyś naczelny: wiadomości nie znają słowa „przerwa”, więc i te cholerne gazety znać go nie mogą.

Stało tu kilkadziesiąt biurek rozrzuconych w nieco przypadkowy sposób na terakotowej podłodze. Podpierające sufit kolumny dzieliły przestrzeń na mniejsze sektory, służąc zarazem za wygodne wieszaki wszelkiego rodzaju kalendarzom,

tablicom z ogłoszeniami i oprawionym w ramki starym okładkom „Globe”. Na drugim końcu sali znajdowała się ogromna podkowa z biurka, które zajmowali redaktorzy działów: zagranicznego, krajowego, miejskiego i sportowego oraz specje od publicystyki i felietonów. Carl skierował się w stronę przysadzistego mężczyzny siedzącego za jednym z biurka działu miejskiego - był nim jego szef George Dooley.

Jeszcze dalej, pod samą ścianą, umieszczono przeszklone biura naczelnego i sekretarzy redakcji. Całkiem z boku, jak gdyby nie przynależąc do ogólnego rozgardiaszu, znajdował się pokój redaktora nadzorczego. Zasłony w jego oknach były zaciągnięte. Jak zawsze. Podobnie jak większość zwykłych dziennikarzy Carl nigdy nie był w tym pokoju - i wcale się tym nie martwił.

Wyminął pierwszą kolumnę. Jedna oprawiona okładka pochodziła z 14 sierpnia 1945 roku: ŻÓŁTKIKAPITULUJĄ, druga z 28 czerwca 1958 roku: AMERYKAŃSKIE SAMOLOTY BOMBARDUJĄ CZERWONYCH WY-COFUJĄCYCH SIĘ Z KOREI. Uskoczył z drogi gońcowi, który z plikiem papierów pomknął do korekty, i przeszedł obok następnego filaru - 21 stycznia 1961 rok: KENNEDY WIDZI NOWĄ SZANSE NA ŚWIATOWY POKÓJ. Ta okładka wisiała krzywo, a rozbite szkło skleiono niechlujnie przezroczystym przyklepcem.

George ze słuchawką przy uchu podniósł wzrok, gdy Carl przed nim stanął. Posłał mu sceptyczne spojrzenie, do którego przez cztery lata Carl zdążył się już przyzwyczaić. Po biurku przewalały się papierzyska, ołówki, na wpół opróżnione styropianowe kubeczki z kawą i jeszcze wilgotne - prosto z ciemni - zdjęcia. Rzadkie brunatne włosy kleiły się Dooleyowi do piegowatej łysiny. Okulary w czarnych oprawkach jak zwykle zsunęły mu się na czubek ogromnego nosa. Miał na sobie wymiętoszoną białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, czarny poluzowany krawat i czarne spodnie. Strój ten nazywał swoim „mundurem” i twierdził, że dzięki niemu oszczędza masę czasu - nie musi specjalnie dobierać ciuchów, kiedy jeszcze męczy go codzienny poranny kac.

- Tak, tak... - burknął do telefonu. - Zaczekaj chwilę, dobrze? - Zwrócił się do Carla: - Co tara masz?

Landry otworzył notes.

- Morderstwo we wschodniej dzielnicy.

- Coś słyszałem... Mężczyzna czy kobieta?

- Mężczyzna, starszy. Chyba były żołnierz. Zginął od strzału w tył głowy.

Przez chwilę Carl zastanawiał się, czy wspomnieć George'owi o swoim

wcześniejszym spotkaniu z Sawsonem, ale uznał, że lepiej będzie tego nie robić. W redakcji obowiązywała ustalona hierarchia, zależna od liczby wydrukowanych artykułów, i nie chciał, żeby przez jakieś głupie przypadkowe spotkanie sprzed miesiąca George opóźnił publikację jego materiału. Dooley wziął do ręki ołówek, coś zanotował.

- Szkoda, że nie jakaś dzierlatka z college'u; byłoby czym ożywić pierwszą stronę. Niech będzie: skleć coś w dziesięć minut. Potrzebuję półtorej strony tekstu.

- Daj spokój, George, obaj wiemy, że mam jeszcze trochę czasu. A poza tym to były żołnierze; może warto poświęcić mu więcej miejsca.

- Bez urazy, Carl, ale lepsza martwa uczennica niż martwy weteran. Dziesięć minut. Naczelnny zrobił sobie dłuższy lunch i jesteśmy spóźnieni.

Carl zdawał sobie sprawę, że lepiej będzie nie wszczynać kłótni.

- Dobra, dziesięć. Zwierzak nie dzwonił? Miał pstryknąć, jak go wynoszą.

- Dzwonił, ale nic z tego. Wynieśli trupa tylnym wyjściem, żeby uniknąć zbiegowiska.

Carla przebiegł lekki dreszcz; włoski zjeżyły mu się na wierzchu dłoni.

- To dziwne, George.

- Dziwne? Cały ten świat jest dziwny. Dziewięć minut, Landry.

- Lecę.

I Carl jak zwykle przeniósł wzrok na ostatnią z oprawionych stron „Globe”, tym razem z 31 października 1962 roku: CZERWONI BOMBARDUJĄ NOWY JORK I WASZYNGTON. LICZBA OFIAR PRAWDOPODOBNIEM IDZIE W MILIONY. Niżej mniejszą czcionką dopisano: „Rodzina Kennedych nie żyje”. Artykuł zaczynał się następująco:

Inwazja na Kubę, przeprowadzona w miniony weekend w celu zniszczenia radzieckich wyrzutni rakietowych, doprowadziła do apokaliptycznej zemsty komunistów. Bomby atomowe spadły na Waszyngton i przedmieścia Nowego Jorku, zabijając miliony Amerykanów, w tym większość przedstawicieli wysokich szczebli administracji rządowej. Źródła wojskowe potwierdzają, że prezydent John F Kennedy i wiceprezydent Lyndon Johnson ponieśli śmierć podczas tego ataku. Los przewodniczącego Izby Reprezentantów Johna McCormacka - następnego w kolejce do fotela prezydenckiego - pozostaje nieznany.

Po sześciu miesiącach pracy w redakcji, kiedy to za każdym razem wzdrygał się na widok oprawionej w ramy okładki, Carl zapytał wreszcie George'a, czemu akurat ta strona tytułowa została tak wyeksponowana.

- A czemu by nie, do diabła? - spytał swoim chrapliwym głosem Dooley. - To przecież też informacja, nie?

Carl odwrócił się i poszedł do swojego biurka.

Carl powiesił kurtkę na oparciu krzesła i trochę uprzątnął zavalone papierami biurko. Gdzieś w tym bałaganie znajdowała się kartka z nazwiskami, którą dał mu Merl, stary kombatant. Niedługo jej poszuka, ale na razie miał pilną robotę. Oparł notes na telefonie i wkręcił w maszynę do pisania marki Olympia trzy arkusze papieru A4 przedzielone kalką. Zerknął do notesu i zaczął pisać:

LANDRY ZABÓJSTWO WE WSCHODNIM BOSTONIE Bostońska policja prowadzi dochodzenie w sprawie domniemanego morderstwa Merla Sawsona, lat sześćdziesiąt, zamieszkałego przy Winthrop Street we wschodniej dzielnicy miasta. Sawsona, emerytowanego żołnierza, znaleziono w łóżku z raną postrzałową głowy. Kula trafiła go w tył czaszki.

Wczesnym rankiem w środę sąsiedzi słyszeli jakiś hałas dobiegający z mieszkania Sawsona. Jeden z nich zadzwonił na policję, gdy Sawson nie zjawił się na umówionym lunchu.

Przerwał. Notka prezentowała się dość mizernie, ale tak to zwykle wygląda, kiedy pisze się ją na kolanie, w kilka minut. Znów uderzył w lepiące się od brudu klawisze:

Na razie nie udało się wskazać podejrzanych. Policja przypuszcza, że Sawson został zabity podczas włamania do swojego domu. W mieszkaniu panuje bałagan i detektywi sprawdzają, co mogło zginąć.

Kilka razy przełożył papiery na biurku i dodał:

Zabójstwo Sawsona jest siedemdziesiątym trzecim mordem, jakiego byliśmy świadkami w tym roku w Bostonie - jest to wynik o cztery morderstwa wyższy niż w rekordowym roku 71.

Wyciągnął papier z maszyny i wrócił do biurka redakcji lokalnej,

- Proszę bardzo, George - rzekł. - Dziewięćdziesiąt sekund przed czasem.

- Proszę, proszę... Chcesz czekoladkę czy coś w tym rodzaju?
- Może podwyżkę?
- A może dałbyś mi święty spokój?

Poświęciwszy trochę czasu na przeszukanie leżącej na blacie makulatury, znalazł wreszcie wyrwaną z notesu kartkę z wypisanymi przez Merla nazwiskami i schował ją do górnej szuflady biurka. Był zmęczony, zrobiło się późno i widział, że w tej chwili nic w tej sprawie nie działo. Ale jutro z samego rana się nią zajmie. Skoro Merl Sawson podał te nazwiska jemu, dziennikarzowi, musiały coś dla niego znaczyć. Chociaż z drugiej strony mogły to być przypadkowe osoby, spisane z gazet bez powodu. W tym mieście - i w całym kraju - bardzo dużo różnych rzeczy działo się bez wyraźnego powodu.

Po południu George nie naskoczył na niego z pytaniami i pretensjami o Sawsona, więc wyglądało na to, że z notką wszystko jest w najlepszym porządku. Niedługo po tym, jak oddał ją do druku, drzwi biura redaktora nadzorczego otworzyły się i wyszedł z nich szczupły mężczyzna w szarych spodniach i odpowiednio dobranej kamizelce - Cullen Devane, aktualny redaktor nadzorczy, major Korpusu Łączności Armii Stanów Zjednoczonych. Przeszedł się po sali, przystając przy biurkach kierowników działów, zebrał po jednym egzemplarzu materiałów do gazety na następny dzień i z lodowatym uśmiechem wrócił do siebie.

Carl rozejrzał się po redakcji. Wszyscy z wystudiowaną obojętnością zignorowali pojawienie się Devane'a, ale nie było chyba człowieka, który nie odetchnąłby z ulgą, gdy major zniknął za drzwiami gabinetu. Zwykle przychodził pogadać o nowych materiałach z szefami działów, bardzo rzadko zaś zaczepiał podlegających im reporterów. Absolutnie wyjątkowo zdarzało się, żeby wezwał któregoś z nich do gabinetu i zamknął drzwi. W redakcji wydarzenie to ochrzczono kryptonimem „KK”, czyli „koniec kariery” - zwykle rozmowa z Devane'em w cztery oczy kończyła się zesłaniem w okolice, gdzie prawdopodobieństwo śmierci na raka było znacznie wyższe niż w Bostonie. Major Devane mógł bowiem zarówno zahamować czyjś awans, jak i ponownie wcielić kogoś do służby.

Dwa miesiące wcześniej pewna redaktor - Laura Dobson, jeśli pamięć Carla nie zawodziła - wyszła z biura majora Devane'a zapłakana i roztrzęsiona.

Jeszcze tego samego dnia odeszła, ale mimo ostrzeżeń wciąż przysyłała do redakcji artykuły dokumentujące poczynania ruchów antywojskowych. Miesiąc

później do redakcji przyszła kartka wysłana przez nią z obozu dekontaminacyjnego pod Miami. I tyle.

Drzwi pokoju Devane'a zamknęły się, gwar w redakcji wzniósł się do normalnego poziomu i ludzie zaczęli zerkać ukradkiem w stronę Carla. Mimo że cztery lata temu zakończył służbę, wielu dziennikarzy podejrzewało, iż współpracuje z Devane'em. Bez znaczenia był fakt, że odkąd przyszedł do „Globe”, zamienił z majorem dosłownie kilka słów. Zdawał sobie sprawę, że ich lęki są irracjonalne, ale wiedział też, że to dlatego najczęściej jada lunch w samotności, koledzy witają go burkliwie, a w świetlicy rozmowy zamierają, gdy tylko wpadnie na filiżankę kawy.

Spojrzał na ścienny zegar - minęła piąta. Zaburzało mu w brzuchu i właśnie zastanawiał się, gdzie się wybrać na kolację, gdy do jego biurka podszedł Jack Burns, zarzuciwszy skórzany płaszcz na chude ramiona. Miał kilka lat mniej od Carla, nosił krzykliwe koszule i dzwonowate spodnie i był w „Globe” krytykiem muzycznym. Pofalowane kasztanowe włosy opadały mu miękko na kołnierz, a obfite baki były w obowiązującym wciąż stylu Elvisa Presleya, który właśnie na jesieni ruszył w trasę koncertową, zbierając pieniądze na rzecz uchodźców. Carl uważał, że to niesłychanie zabawne, iż ktoś pisze do „Globe” o muzyce i dostaje za to pieniądze, ale nie zdradzał się z tą myślą. Jack był równym facetem i jednym z nielicznych członków redakcji, którzy traktowali go jak człowieka.

- Idziemy do Starego Drania na kolegium redakcyjne - rzekł, zapinając płaszcz. - Nie wybrałbyś się z nami?

- Kolegium redakcyjne? Czy to kolejny pretekst, żeby przepłukać gardło? Jack odpowiedział uśmiechem.

- A po co komu pretekst? Będziesz miał okazję popatrzeć, jak twoi koledzy gadają od rzeczy i obrabiają sobie nawzajem tyłki. Wystarczy za cały tydzień ostrego plotkowania. No, na takie właśnie spotkanko się wybieramy. Idziesz?

Gdyby poszedł do domu - to znaczy do swojego mieszkania - zjadłby odgrzewany obiad z puszki albo starą rację polową z epoki, kiedy służył w wojsku. A tak mógł napić się zbyt drogiego piwa, zjeść cheeseburgera i pogadać z ludźmi w zadymionym Starym Draniu.

- Idę - odparł. - Z przyjemnością.

- Pewnie, że z przyjemnością. - Jack ponownie się uśmiechnął. - Ja nikomu nie powiem.

Po cheeseburgerze i frytkach Carl rozpracowywał właśnie drugie piwo i czuł

się znakomicie. Siedział na stolku w samym rogu baru, tak że miał na oku praktycznie cały lokal, co dawało mu przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Uznał, że to chyba pozostałość ze służby w wojsku - pełny ogląd terytorium i otwarty wybór możliwości działania. Frytki mu smakowały, cheeseburger zaś najlepiej świadczył o tym, że kraj podnosi się z kryzysu. Jeszcze kilka lat wcześniej kanapki napychano sztucznym zapelniaczem - rozsądny konsument nie zadawał zbyt wielu pytań - ale tego wieczora mięso smakowało jak stuprocentowa wołowina. Jakiś miłośnik starej muzyki irlandzkiej bezustannie ładował ćwierćdolarówki w otwór szafy grającej. Carl jedząc rozmawiał z Jackiem. Burns opowiadał o szykowanym ponoć amerykańskim touree Led Zeppelin, Landry - o popełnionym tego dnia morderstwie. Wreszcie Jack przerwał mu, kręcąc głową.

- Posłuchaj, Carl, chciałbym porozmawiać o tym cudownym zjawisku, jakim jest rock and roli, a ty nie możesz się oderwać od jakiegoś dziadka, którego ktoś załatwił w łóżku.

- Przecież to ważna wiadomość.

- Taa... - Jack uniósł szklankę. - Moje artykuły to jest to, co ludzi naprawdę interesuje. Chcą wiedzieć, czy w najbliższych miesiącach szarej egzystencji czeka ich jakaś rozrywka; marzą o tym, żeby oderwać myśli od tych okropnych wyborów. Kto by chciał czytać o jakimś następnym trupie w Bostonie? Kurczę, przecież nawet ten Angol generał Sheffield, którego kilka tygodni temu znaleźli martwego w łóżku - i to z dziwką - doczekał się raptem para linijek w dziale miejskim. Kogo obchodzi następny nieżywy koleś?

- Mnie. - Carl pamiętał błysk zapалу na pomarszczonej nerwowej twarzy i stare buty starannie oklejone plastrem. - Ciebie też powinien.

Jack się roześmiał.

- Powinieneś przelewać nadmiar idealizmu do butelek i sprzedawać go na ulicy. To ponoć rzadki towar w dzisiejszych czasach.

Carl kopnął go, na co Jack ponownie parsknął śmiechem i oddalił się w głąb sali.

Stary Drań znajdował się blisko siedziby „Globe”, tak że wśród klienteli dominowali pracownicy redakcji. Jack rozmawiał już z kumplami z działu kulturalnego. Nawet w takim miejscu, w knajpie, ludzie z gazety dzielili się na grupy: w kącie zebrali się goście z działu ogłoszeń, przesadnie elegancy i hałaśliwi, dalej przy barze stało kilku chłopców z drukarni w niebieskich kombinezonach roboczych.

Palce mieli umazane farbą drukarską. Dziennikarze sportowi dyskutowali właśnie o przebiegu finałowej rozgrywki w baseballu między Cincinnati Reds i Detroit Tigers; Carl z łatwością wyłączył ich z kręgu swoich zainteresowań. Dopóki nie grali Red Soksi, baseball go nie interesował, a Soksi ostatni raz grali w finale w 1948 roku - wieki temu.

Przy drugim końcu baru zebrała się roześmiana grupka, debatująca o przekrętach i kantach w stołecznych władzach. Rozpoznał Kathy Prouk, dziennikarkę akredytowaną przy ratuszu, Jeremiaha Kinga, który na wylot znał radę miejską, i Bobby'ego Munsona, bez przydziału - podobnie jak Carl - który specjalizował się w doniesieniach sądowych. Mniej więcej co dziesięć minut Jeremiah zarządzał donośnym głosem „Konkurs przy piwie!” i zakładał się, że ze swoją wiedzą jest w stanie zagiąć każdego klienta baru. Zwykle mu się udawało, a Kathy i Bobby z jękami zachwyty zbierali pieniądze.

Przez chwilę Carl obserwował ich w milczeniu, czekając, aż piwo zmyje smak frytek i mięsa. Poza Jackiem nie było właściwie w redakcji osoby, z którą by się jakoś dogadywał - i dobrze wiedział, dlaczego tak jest. Dostał tę robotę jako zasłużony weteran; już pierwszego dnia ktoś podrzucił mu na biurko maskotkę - małego żołnierzyka z ręcznie wypisaną tabliczką „Morderca studentów”. Bez słowa wyrzucił maskotkę; wiedział, że niektórzy ludzie czekali na jego wybuch, co tylko potwierdziłoby opowieści o zwariowanych wojakach z lat sześćdziesiątych, i nie chciał dać im tej satysfakcji. Robił, co do niego należało, i nie zabierał głosu. Tak jak dziś.

Polityka biurowa - kto jest w grze, kto wypada, kto komu wbija nóż w plecy - nudziła go śmiertelnie. Lubił rozmawiać na tematy, które miały jakieś znaczenie. Na przykład prawo o zamieszkaniu w miastach i kwestia jego dalszego utrzymania w mocy. Albo te historie o mieścinach na zachodzie Massachusetts: czy naprawdę nie tak daleko stąd były odosobnione ośrodki, w których ludzie wciąż głodowali? Dziesięć lat po wojnie?! No i plotki o Brytyjczykach... Tak, to byłby materiał. Tydzień temu podsłuchał rozmowę dwóch dziennikarzy w stołówkowej kolejce. Obaj służyli w rezerwie sił powietrznych i właśnie wrócili z patrolu na Północy, nieopodal Minnesoty. Tamtejsze radary wyłapywały ponoć nasilony ruch lotniczy skierowany do baz w Kanadzie.

- Mówię ci, stary, jak pociągi: według rozkładu, jeden za drugim - mówił pierwszy z dziennikarzy. - Wszystko angielskie samoloty. Aż się człowiek zaczyna

zastanawiać, co kombinują.

- Może to nowe zapasy z pomocy humanitarnej - podsunął drugi. - Wiesz, wędzone ryby i fasola w puszkach.

Pierwszy tylko prychnął pogardliwie.

- Gdzie tam! W transportowcach było pełno brytyjskich żołnierzy, kapujesz? Rozmawiałem z kilkoma oficerami; nie wydaje im się, żeby Angole przylecieli tylko na ćwiczenia.

Ale nikt nigdzie słowa o tym nie napisał.

Carlowi został ostami łyk piwa, gdy Jeremiaś zawołał:

- Konkurs przy piwie!

Kathy z udawanym przerażeniem zasłoniła rękoma twarz.

- Wystarczy już! - mruknęła.

- Myślałem, że masz już dość - dodał Bobby.

Jeremiaś machnął tylko ręką. Brązowe włosy nosił gładko zaczesane w tył i nawet kiedy się uśmiechał, jego twarz sprawiała nieprzyjemne wrażenie - tak jakby lubił prace, reportera, bo pozwalała mu wtykać nos w nie swoje sprawy i jeszcze dostawać za to pieniądze.

- Dajcie spokój, to już ostatnie! - powiedział. - Mam tu coś specjalnego. Temu, kto odpowie, co wieczór funduję, drinka. Przez cały tydzień! Dobrze? Wszyscy gotowi?

Ktoś jęknął, ktoś zakaszłał, a Jeremiaś niewzruszony parł naprzód:

- No to słuchajcie. Ostatnie pytanie przy piwie dzisiejszego wieczora: Kto był ostatnim Amerykaninem w kosmosie? Łatwe, nie?

Bobby pokręcił tylko głową i otworzył portfel, jakby już szukał drobnych na kolejne piwo; Kathy wzniosła oczy ku niebu. Jeremiaś śmiał się na całe gardło. Był taki zadziorny i pewny siebie, że Carl nie mógł tego dłużej znieść.

- Schirra - powiedział.

Bobby i Kathy spojrzeli na niego. Jeremiaś zapytał:

- Co powiedziałaś?

- Schirra - powtórzył Carl, uśmiechając się triumfalnie. - Wally Schirra został wystrzelony w kosmos w kapsule „Mercury”, którą sam ochrzcił „Sigma 7”. To było w październiku 1962 roku, tuż przed wojną.

Kilku widzów powitało jego odpowiedź okrzykami i śmiechem; Kathy obserwowała go uważnie, spojrzenie Bobby'ego było zaś pełne aprobaty. Ale Jeremiaś

zaraz zgasił radosny nastrój.

- Zapomnij, Landry - powiedział. - To nasza prywatna zabawa. Twoja odpowiedź się nie liczy.

W tej części baru, gdzie się znajdowali, zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Carl doszedł do wniosku, że lepiej byłby zrobił, nie biorąc sobie drugiego piwa. Pochylił się w stronę Jeremiaha.

- Liczy się, liczy. Mam rację, a ty nie lubisz przegrywać. Prawda? Kathy i Bobby spuścili wzrok i zapatrzyli się w głąb szklanek. Jeremiah

poczerwieniał, wziął do ręki piwo i odwrócił się do Bobby'ego, mruczając pod nosem, tak że tylko nieliczni - w tym Carl - mogli go usłyszeć:

- Cholerny przydziałowiec.

Carl chciał właśnie wstać i porozmawiać z nim w cztery oczy, gdy do lokalu wpadł chłopak z naręczem wydrukowanych na następny dzień „Globe'ów”.

- Jeszcze ciepłe! Świeżo spod prasy! - pokrzykiwał.

Carl wziął gazetę i uznał, że czas iść do domu. Czemu by nie? Rzucił jednodolarowy banknot na bar i zaczął się przepychać przez tłum dziennikarzy. Nikt go nie zatrzymywał, nikt nie pytał, co u niego słychać. Wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się, czekając, aż rześkie nocne powietrze odświeży mu umysł. Wiedział, że szybko wytrzeźwieje, ale gorzki posmak w ustach będzie się jeszcze długo utrzymywał.

Po czterech latach wciąż był obcy.

Zajmował mieszkanie na piętrze czynszówki przy Commonwealth Avenue, przez bostończyków nazywanej Comm Ave. Z biegiem lat ceny domów w okolicy poszły w górę, a na pobliskiej Newbury Street pootwierano drogie firmowe sklepy. Mnóstwo ludzi - w większości bankierów i pośredników zatrudnionych w rozwijającym się szybko porcie - błyskawicznie zbijało fortunę; dzięki przywilejom kombatanta Carl miał gwarancję obniżonego czynszu i dobrze mu się tu mieszkało. Obszedł dom od tyłu, rozglądając się za Dwutonowcem, miejscowym bezdomnym, który czasem wieczorami pilnował samochodów. Nie było go w zasięgu wzroku. Carl zdziwił się, bo Dwutonowiec funkcjonował jak zegarek i zawsze o tej porze był na posterunku.

Na podłodze mieszkania czekała na niego poczta - rachunek telefoniczny z New England Bell i koperta z adresem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Była cienka, więc nie mogła zawierać dobrych wiadomości. Otworzył ją i szybko przebiegł

wzrokiem wypisany na maszynie list. Wykropkowane pola wypełniono odręcznym pismem:

Sz.P. Carl Landry Szanowny Panie!

Z przykrością informujemy, że nie ma żadnych nowych wiadomości na temat miejsca pobytu pańskiej siostry Sarah Landry z Newbury w stanie Massachusetts.

Ostatni znany adres w 1962 roku:

Uniwersytet stanowy w Omaha w stanie Nebraska.

Skontaktuj emy się z Panem ponownie za sześć miesięcy.

Proszę na odwrocie niniejszego formularza przesłać nam ewentualne dodatkowe informacje, które mogłyby okazać się pomocne w poszukiwaniach ww. osoby. Dla Pańskiej wygody załączamy kopertę zwrotną.

Z poważaniem

J.J. McCain

Biuro Osób Zaginionych

Amerykańskiego Czerwonego Krzyża

Przykro mi, siostrzyczko, pomyślał Carl, odkładając list na stół. Przeszło mu przez myśl, że mógłby od razu go wyrzucić, ale tego nie zrobił. Rano włoży go do grubej teczki, w której zbiera podobne listy i kartki od Czerwonego Krzyża, Armii Zbawienia i katolickich organizacji dobroczynnych. Zdawał sobie sprawę, że Sarah prawdopodobnie nie żyje, że mogła zginąć na dziesięć różnych sposobów w chaotycznym okresie, jaki zapanował po wojnie, ale... Zawsze była jakaś szansa. W „Heraldzie” dopiero co wydrukowali przecież budującą opowieść o tym, jak to jakiś młody człowiek połączył się z rodziną po trwającej dziesięć lat pieszej wędrówce z obozu Korpusu Pokoju w Boliwii. Przymknął na chwilę oczy, przywołując pod powiekami obraz jej zadartego nosa, jasnobłękitnych oczu i ciemnych, kasztanowych włosów, długich i rozpuszczonych; nigdy nie zrobiła sobie trwałej - ku przerażeniu matki. Słuchała dziwnych płyt - jakiejś „muzyki folkowej”, jak mówiła - i miała

jeszcze dziwniejsze poglądy. Kiedy oznajmił, że wstępuje do wojska, nie chciała mu uwierzyć.

- Czemu nie zaczekasz na mobilizację, braciszku? Po co zgłaszasz się na ochotnika?

Odparł, że to jego obywatelski obowiązek, że chce służyć pod rozkazami takiego prezydenta jak J.F.K. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- To obowiązek wobec kompleksu militarno-przemysłowego, nic więcej - stwierdziła.

Później, kiedy stacjonował za granicą, dostała stypendium na uniwersytecie stanowym w Omaha, skąd wysłała mu kilka listów. Ostatni przyszedł latem 1962 roku, po tym, jak wróciła z jakiejś konferencji studenckiej w Michigan. Związek, który ją organizował, nazywał się Studenci dla Demokratycznego Społeczeństwa i zamierzał zmienić świat. Sarah dołączyła do listu manifest programowy grupy, który Carl przeczytał i wyrzucił; z marzycielskiego bełkotu jedno zdanie utkwilo mu jednak w pamięci: „Władzę opartą na posiadaniu, przywilejach i okolicznościach zastąpimy władzą opartą na miłości, refleksji, rozumie i twórczym stosunku do życia”.

Cóż... Kilka miesięcy później cały świat przekonał się, że prawdziwą władzę dają rozszczepiające się atomy, a Carl nigdy więcej nie słyszał o Sarah. Spędził wiele bezsennych nocy, gapiąc się w sufit i rozmyślając, jak to się stało, że on - wojskowy w czynnej służbie - przeżył wojnę, a jego rodzice i siostra studentka - nie.

Zaparzył sobie kawę rozpuszczalną i popijając ją, starał się zapomnieć o liście, o siostrze, o całym tym cholernym dniu. Lewa noga bolała go jak diabli - jak zwykle po długim dniu. Dawno minęła pomoc, tak że nie miał czego szukać w telewizji. Usiadł na jednej z dwóch sof i oparł nogi na zastawionym naczyniami stoliku do kawy. Z miejsca, w którym siedział, widział otwarte drzwi gabinetu, który pod względem ilości papierów nie odbiegał specjalnie od kąta, jaki zajmował w redakcji. To właśnie w tym pokoju po trochu pracował nad książką - jak wszyscy dziennikarze. Za drugimi otwartymi drzwiami znajdowała się sypialnia, a jeszcze dalej łazienka. Ogromne okna salonu wychodziły na chodnik, ulicę i wąski pas zieleni wzdłuż Comm Ave.

Ściany w mieszkaniu Carla były puste, jeśli nie liczyć oprawionego zdjęcia narciarzy na stoku jakiejś góry we Francji, pozostawionego przez poprzedniego lokatora. W pudle w głębi szafy znajdowała się nieduża kolekcja fotografii w ramkach, przedstawiających Carla i jego rodzinę, jeszcze z czasów, gdy mieszkali w

Newburyport. Spakował je razem ze sprzętem wojskowym. Niebawem rozwiesi jena ścianach. Ale jeszcze nie dzisiaj. I nie jutro.

Wrócił myślami do swojego żołnierskiego ekwipunku, do munduru galowego i polowego, do idealizmu, który go dawniej przepelniał - kiedy prezydent ogłosił wezwanie, Carl odpowiedział na nie z entuzjazmem. Ale dziś te rzeczy również spoczywały w kartonach, wraz ze wspomnieniami nieżyjących rodziców.

Włączył stojące pod ręką radio odbierające na falach krótkich. Miał nadzieję, że złapie serwis informacyjny BBC, ale z głośnika dobiegły tylko trzaski. Znów zakłócali; mimo że Brytyjczycy często skarżyli się Filadelfii na te praktyki, wciąż brakowało dowodów na to, że zakłócanie odbywa się w majestacie prawa. Może to Sekcja Z - obwiniano ich o mnóstwo spraw. Carl poruszał jeszcze trochę pokrętłem strojenia, złapał jakąś audycję i rozparł się wygodnie na sofie. Kawa przyjemnie grzała mu ręce i starał się zapomnieć, co się zdarzyło w Starym Draniu. Słuchając złotoustego spikera, który mówił właśnie o kryzysie w Ugandzie, skąd obłąkany Idi Amin wypędzał wszystkich Azjatów, zaczął zasypiać. Wiedział, że jeśli zaraz nie zwlecze się z sofy, spędzi na niej resztę nocy.

Usiadł prosto, zgasił radio, dopił kawę i przeniósł wzrok na drukowany na następnym dniu - a właściwie już aktualny - numer „Globe”. Zaczął przerzucać strony i ziewając, przeglądał nagłówki. Przemówienie McGoverna. Przemówienie Rockefellera. Sondáže zapowiadają porażkę Republikanów. Włamanie w Dorchester. Przemówienie sekretarza ds. odbudowy i pomocy humanitarnej. Francusko-niemiecka siatka szpiegowska w Seattle rozbita. Osiągnięto postęp w rokowaniach na temat uwolnienia internowanych w Mongolii załóg B-52.

Po chwili ożywił się i przestał ziewać.

Jego notki o morderstwie Sawsona nie było w gazecie.

Następnego ranka Carl wytrzymał przy biurku z dziesięć minut, zanim poszedł pogadać z George 'em Dooleyem. Była dziesiąta rano i łeb mu pękał od zbyt późno wypitej kawy i nadmiaru myślenia. George przeglądał właśnie poranne wydanie „Heralda” - głównej konkurencji „Globe” - i mamrotał coś pod nosem. Na autostradzie pod miastem wydarzył się paskudny wypadek: zdjęcie na pierwszej stronie przedstawiało zakrwawioną kobietę zakleszczoną za kierownicą samochodu. Bostońscy strażacy rozcinali nożycami karoserię. George podniósł wzrok znad gazety.

- No i proszę, chłopcze - powiedział. - Jak ktoś krwawi, czytelnicy są ciekawi.

Carl przysunął sobie wolne krzesło do biurka i usiadł. - A jak się coś napisze, to potem to drukują?

- Słucham? - Dooley odłożył „Heralda”.

- Moja notka o morderstwie we wschodnim Bostonie. Sawson, weteran.

Czemu wypadła?

- Z braku miejsca, Carl. Po prostu z braku miejsca.

- Kiedy przyszedłem, powiedziałaś, że w dziale miejskim jest jeszcze trochę luzu. Chcesz powiedzieć, że ktoś zapełnił tę dziurę w dziesięć minut?

- Właśnie to ci chcę powiedzieć - odparł twardo George.

- Co znalazło się na miejscu mojego materiału?

- Nie pamiętam.

- Co?! Nie pamiętasz?

- No dobrze, nie chce mi się pamiętać. Posłuchaj no, mam robotę. Trzeba robić gazetę na jutro. Nie mam czasu zastanawiać się nad numerem, który już wydaliśmy.

Carl przypomniał sobie poprzedni wieczór w barze. Przydziałowiec.

- Ale notka była w porządku?

George wziął do ręki ołówek i zaczął coś notować.

- Pewnie. Była świetna. Masz, pójdziesz teraz do Parker House. O pierwszej burmistrz wyda oświadczenie na temat nowej polityki postępowania z gangami sierocymi. Wysłuchaj go, napisz coś i wróć przed trzecią.

Carl zerknął na podsuniętą mu kartkę.

- Chciałem drugi dzień popracować nad tym zabójstwem, skoro dziś się nie

zmieściło.

- Daj sobie spokój. - George nie podnosił wzroku znad kartki. - Jeśli wystarczy czasu, upchnę je gdzieś jutro. Na razie chcę mieć ten materiał o gangach. Jasne?

Carl wstał z krzesła.

- Jasne.

Wróciwszy do swojego biurka, spojrział przez salę na George'a. Jako szef był w porządku, chociaż bywał nieprzyjemny i opryskliwy, jak chyba wszyscy redaktorzy w gazetach. Od pierwszego dnia traktował Carla jak zwykłego dziennikarza - za co Carl był mu wdzięczny. Mówił tylko o gazecie i o swojej siostrzenicy Trący mieszkającej na Rhode Island. Przed kilkoma laty zachorowała na dziecięcą odmianę raka, ale dopisało jej szczęście i została poddana leczeniu za granicą. Wszystko poszło dobrze. Carl jeden jedyny raz widział George'a płaczącego: gdy dostał z Londynu list od Trący. Napisała, że ma się lepiej. Stąd też Carl wiedział, że w żyłach Dooleya płynie coś więcej niż farba drukarska. A teraz coś mu nie grało w jego zachowaniu.

Nie chciał jednak na razie prowokować George'a; czekały go inne zadania. Z górnej szuflady biurka wyjął złożoną kartkę papieru. Rozprostował ją i odczytał pięć nazwisk:

Q. Dooley

T. Isaacson

C. Porter

N. DiNitale

F.X. Tilley

Pismo było niepewne, jakby piszącemu drżała ręka. Pierwsze z nazwisk - Q. Dooley - wyblakło i było słabiej widoczne od ostatniego. Tego dnia, gdy dostał listę od Merla, nic nie znalazł. Podniósł kartkę i obejrzał ją pod światło: obok nazwisk widniały słabe wgniecenia w papierze. Położył listę na biurku i przejechał po niej delikatnie ołówkiem. Obok nazwisk pojawiły się cyfry:

Q. Dooley 65

T. Isaacson 65

C. Porter 68

N. DiNitale 71

EX. Tilley 72

Więc to tak... Widocznie Merl odwrócił stronę notesu, a potem przepisał na nią nazwiska, ale napisane na poprzedniej kartce liczby odcisnęły się głębiej. Liczby... Wiek? Może tak, ale dlaczego w takiej kolejności? Rok. Z pewnością. Coś się przydarzyło Q. Dooleyowi w 1965 roku, a F.X. Tilleyowi w 1962 roku,

- Świetnie, Sherlocku - pogratulował sobie szeptem Carl. - Co dalej?

W gardle poczuł nieprzyjemne zimne dławienie. Wiedział, co należy zrobić, co nakazuje zdrowy rozsądek w czasach, gdy stopa bezrobocia jest tajemnicą wojskową, a on ma zawód, o jakim inni mogą tylko pomarzyć. Powinien wyrzucić listę Sawsona i pójść na pierwszą do Parker House - jak przykazał mu redaktor - zrobić materiał na następny dzień, potem na następny i tak dalej. Nie wychylać się. Nie myśleć samodzielnie. Robić, co każą. Od czterech lat tak się zachowywał - odkąd został zwolniony ze służby. Z trudem przypominał sobie czasy, kiedy było inaczej.

Znów spojrzał na zapisaną chwiejnym pismem kartkę. Co dalej? Wykorozkazy jak grzeczny chłopiec czy zrobić coś dla starego biedaka, klejonych plastrem butach, który kiedyś nosił amerykański mundur? Dochodziła jedenasta. Jeremiahs King, samozwańczy bóg zagadek przy piwie, uwodził słuchaczy po drugiej stronie sali redakcyjnej. Spojrzał na Carla, uśmiechnął się złośliwie i szyderczo zsalutował. To przeważało szalę. Carl P Opisał nazwiska i daty na maszynie i wyszedł z redakcji. Czas działać.

W mrocznej, zakurzonej części redakcyjnego budynku znalazł Grace.

Za podłużną ladą, w klaustrofobicznym zagraconym pokoju bez końca ciągnęły się regały i szafki pełne akt. Po lewej stronie stało biurko zawałone książkami telefonicznymi, almanachami, kalendarzami i teczkami. Wstała zza niego wysoka, postawna kobieta i z ołówkiem w ręku podeszła do lady.

Była ubrana w czarne spodnie i czerwony pulower; stalowoszare włosy miała ułożone w loki, a na szyi na cienkim łańcuszku zwisały jej okulary. Na

blacie znajdowała się tabliczka GRACE HANRATTY, BIBLIOTEKARKA.

- Czego ci potrzeba? - spytała kobieta, przekrzywiwszy głowę.

- Chciałbym, żebyś coś sprawdziła. - Carl podał jej listę Sawsona. - To są nazwiska i daty. Muszę się dowiedzieć, co się działo z tymi ludźmi w tych latach.

Wzięła kartkę do ręki i zmarszczyła brwi, jakby oglądała świadectwo szkolne syna pełne dwój i jedynek.

- Jak to? Nie znasz ich imion? - Nie.
- Bez adresów? Bez miejsc pracy?
- Grace, wiem, że to okropnie dużo roboty. . .
- Rany. . . - Grace Hanratty wróciła do biurka. - Wiesz co? Chyba powinni mi wypłacać część waszych pensji, tak wam życie ułatwiam. - Usiadła na krześle i pogoniła Carla machnięciem ręki. - Jak coś znajdę, za kilka dni dam ci znać. Ale nie oczekuj rewelacji.

Detektywa Paula Malone'a złapał na parkingu przed posterunkiem przy Laane Street. Malone nie wyglądał na zadowolonego, ale Carl nie zwracał na i uwagi, gdy razem szli na tyły komisariatu, do samochodu. Było zimno; lodowaty wiatr niósł zeschnięte liście, usypując je wokół zużytych opon policyjnych wozów. Parking był ogrodzony, a okna posterunku zasłonięte gęstą siatką, która chroniła je przed kamieniami i butelkami z benzyną.

- Sawson? - powtórzył detektyw. - Ten stary żołnierz? Nie mam nic nowego.
 - Udało wam się zdjąć jakieś odciski?
- Malone uśmiechnął się szeroko.
- Bez komentarza.
 - No dobrze. A co z motywem: napad rabunkowy, tak?
 - Ty to powiedziałeś.
 - Daj spokój, Paul, sam widziałeś, jak wyglądało mieszkanie. Ktoś je wyrzucił do góry nogami.

Zatrzymali się przy poobijanym granatowym chryslerze. Jeden błotnik przerdzewiał prawie na wylot. Malone odstawił kartonowy kubek z kawą na dach auta i wygrzebał kluczyki z kieszeni płaszcza.

- To też ty powiedziałeś - odparł. - Może staruszek był już po prostu otępiały. Zdarza się.
- Czy to było włamanie?
- Bez komentarza.

Malone z westchnieniem otworzył drzwiczki wozu i usadowił się za kierownicą.

- Cholera jasna! - mruknął. - Carl, podałybyś mi kawę? Carl zdjął kubek z

dachu i rzekł, trzymając go przy piersi:

- No, stary, odpowiesz mi na jedno pytanie i dostaniesz kawę. Czy to było włamanie?

- Rany, ależ ty jesteś dziś namolny!

- Taka praca.

- Dobra: nie ma śladów włamania. Wystarczy ci? Dawaj kawę. Carl podał mu kubek; nie czuł jakiejś szczególnej satysfakcji.

- A co ty o tym myślisz? Masz jakąś teorię?

Malone kilka razy przekręcił kluczyk w stacyjce, ale silnik zarzęził tylko bezradnie.

- Co za cholerny złom! Teorię, co? Powiem ci, jaką mam teorię. Stary facet, mieszka sam, bez żony, bez dziewczyny... W każdym razie nic o nich nie wiemy. Co ci to mówi?

- Że był starym facetem, mieszkał sam, nie miał żony ani dziewczyny. Detektyw znów poruszył kluczykiem, ale na próżno.

- Matko Boska, nie mogę się przecież spóźnić do sądu... Wiesz co, Carl? Nigdy nie będziesz gliną. Twój umysł nie jest dostatecznie wypaczony. Ja widzę tu to samo co zwykle: stary facet mieszka sam i lubi młodych chłopców. Czasem trzeba im zapłacić, czasem chłopcy dopominają się o więcej. Staruszek się wścieka, jego chłoptaś też, pif-paf! i po wszystkim. Może ktoś z college'u po drugiej stronie rzeki zwęszył łatwą sałatę; a może miał małe sam na sam z Merlem Sawsonem, tylko się poprzytkali. Sam zobaczysz: za kilka dni przekonamy się, że jest w to zamieszany któryś bobas z Harvardu. Rany boskie, nareszcie! - Silnik zaskoczył z rykiem, zakrzuszył się i prychnął, gdy z rury wydechowej buchnęła chmura dymu. - No... -mruknął Malone. - A teraz bardzo cię przepraszam, ale...

- Jeszcze jedno - przerwał mu Carl, opierając się o drzwiczki wozu. - Ile uwagi mu poświęcacie?

Silnik zgasł. Wściekły Malone grzmotnął pięścią w kierownicę.

- Wiesz, jak jest. W naszym pięknym mieście zapowiada się kolejny rekordowy rok, jeśli chodzi o liczbę zabójstw, a ja muszę jeździć takim gównem. Pracujemy tylko nad tymi sprawami, które dotyczą ludzi z koneksjami, albo nad takimi, gdzie ktoś podnosi krzyk. Staruszek nie ma koneksji, nikt nie hałasuje, sprawa jasna. Chodzi o pieniądze, Carl. O kasę. Jesteśmy zależni od kasy.

Z drugiej strony parkingu dobiegł donośny łoskot i przez bramę wjechały trzy

dwuipółtonowe, oliwkowozielone wojskowe ciężarówki. Wyglądały na świeżo wymalowane i umyte. Kiedy się zatrzymały, kierowcy podwinęli płócienne klapy z tyłu i ze skrzyń zaczęli zeskakiwać rozgadani i uśmiechnięci żołnierze. Ustawili się w szeregu i skierowali ku wejściu do piwnic posterunku policji. Na plecach nieśli małe plecaki, a na przerzuconych przez ramię paskach - karabiny M-14. Pogodny, wesoły sierżant pilnował porządku.

Detektyw jeszcze raz uruchomił silnik.

- Teraz widzisz, na co idą pieniądze, Carl. Na pewno nie na komisariat. Pogadaj o tym z generałem Curtisem, jak tylko będziesz się z nim widział.

- Czy na dziś wieczór planują obławę?

- Nawet gdybym wiedział, co jest grane, nic bym ci nie powiedział. Daj mi już spokój, dobrze?

Malone trzasnął drzwiami i tyłem wyjechał z parkingu. Carl schował zaciśnięte pięści do kieszeni i zagapił się na puste ciężarówki; zastanawiał się, ilu dezertersów i dzieciaków uchylających się od służby odwiozą dziś do aresztu. Nie jego problem, nie jego materiał, ale nie mógł nic poradzić na to, że widok ciężarówek przyprawiał go o mdłości.

Andrew Townes albo wyszedł z domu, albo zwyczajnie nie otwierał drzwi, na drzwiach Merla Sawsona widniała pieczęć bostońskiej policji, pozostało więc tylko mieszkanie na drugim piętrze. Po kilku stuknięciach drzwi uchylły się odrobinę. Carl dostrzegł w szparze nierówno ogoloną twarz, piwne oczy, łańcuch na drzwiach. I wyczuł niechęć gospodarza.

- Tak?

- Pan Clemmons? - A kto pyta?

Carl wcisnął wizytówkę przez uchylone drzwi.

- Carl Landry, „Boston Globe”. Przygotowuję materiał o morderstwie pańskiego sąsiada z dołu Merla Sawsona.

- Też mi sąsiad. - Mężczyzna zwrócił mu wizytówkę i otworzył drzwi szerzej. Miał dwadzieścia kilka lat, nosił połataną dzinsy i ręcznie farbowaną koszulkę z krótkim rękawem. - Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę jesteś pan z „Globe”? A może przysłała pana policja? Albo wojsko? Kurczę, masz pan nawet wojskową kurtkę!

- Może pan zadzwonić do redakcji, gdzie potwierdzą moją tożsamość - odrzekł Carl, modląc się, by Clemmons nie poszedł za jego radą. - A noszę wojskową

kurtkę, bo jest ciepła. To wszystko.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, coś zagrzechotało, otworzyły się ponownie i młody człowiek dał Carlowi znak, żeby wszedł do środka.

- Nazywam się Troy Clemmons i poświęcę panu kilka minut - powiedział. - To wszystko.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Robię to głównie z ciekawości, nigdy jeszcze nie rozmawiałem z dziennikarzem.

W mieszkaniu było ciepło. Miało identyczny rozkład jak lokal piętro niżej - kuchenka, mały salon z balkonem od strony Winthrop Street, z boku sypialnia - ale o ile mieszkanie Sawsona było zagracone, o tyle w tym... Cóż, panował niemiłosierny bałagan. Na blacie kuchennym i w zlewie piętrzyły się sterty niepozmywanych naczyń; poduszki i koce walały się po podłodze saloniku pospołu z książkami i starymi gazetami. Ściany upstrzono wzorzystymi tapetami i mnóstwem plakatów. Jeden z nich reklamował koncert Grateful Dead, który odbył się latem w Boston Garden: przedstawiał członków zespołu ucharakteryzowanych na szkielety. Obok wisiał popularny w ubiegłym roku plakat przeciwników poboru do wojska - przedstawiał bombowce B-52 nad Rosją. Pod kadłubami samolotów rozciągał się spustoszony krajobraz w czerni i czerwieni: płonące miasta, płaczące dzieci, przerażeni dorośli, zasłaniający głowy rękami. W jednej z maszyn siedział pilot - karykatura generała Ramseya Curtisa z cygarem w ustach. „Przepraszamy!”, oznajmiał z uśmiechem.

U dołu plakatu drobnym drukiem napisano BOSTOŃSKA KOALICJA ANTYPOBOROWA 1971.

Jeszcze inny plakat był mały, czarno-biały i przedstawiał dwóch żołnierzy w skafandrach dekontaminacyjnych, którzy właśnie mieli chwilę przerwy w obowiązkach. Otaczał ich kurz i piach - żadnej trawy, drzew, w ogóle żadnych roślin w zasięgu wzroku. Hełmy i kaptury ochronne mieli odrzucone na plecy, pili coś z manierek i śmiali się, jakby któryś z nich właśnie opowiedział dowcip. Przed nimi leżały stopione resztki dziecięcego rowerka na trzech kółkach. Podpis był treściwy: „Wstąp do wojska, zobaczysz cały świat... A przynajmniej to, co z niego zostało”.

Carl zdjął z kanapy kilka książek i usiadł. Clemmons siadł przed nim na podłodze, wsparty na poduszce opartej o stolik do kawy. Był boso. Zapalił papierosa. Na stoliku płonęło wonne kadzidełko i Carl był przekonany, że woń jego dymu ma

zamaskować jakiś inny zapach. Zerknął w stronę sypialni, gdzie w pozwijanej pościeli poruszała się niemrawo para zgrabnych nóg.

- A więc służyłeś pan w armii, tak?

- Tak - przytaknął Carl. - Wracając do pańskiego sąsiada...

- Zaraz. - Clemmons uśmiechnął się, ale wcale nie wyglądał przez to bardziej przyjaźnie. - Proponuję układ. Ja odpowiem na pańskie pytania, ale najpierw pan odpowiesz na moje. Widzisz pan, rzadko mam okazję pogadać z byłym mordercą.

- To dziwne. - Carl posłał mu ostre spojrzenie. - Taki pan miły i czarujący...

- Ha, ha, ha, bardzo śmieszne - prychnął Clemmons. - Racja, nie jestem miły ani czarujący. Nie bez powodu. Chodzę do szkoły przy MIT, żeby tatko miał spokojną głowę, a ja żebym się nie martwił poborem, ale prawdę mówiąc, bardziej obchodzi mnie własny tyłek niż zdrowie staruszka. Coś jest nie w porządku, jeśli człowiek nie może spokojnie się uczyć i rozwijać, bo cały czas się martwi, że go zgarną i wyślą do Waszyngtonu, San Diego albo Omaha, gdzie dwa miesiące później zaczną rzygać i gubić kłaki.

- Podobno wojsko stosuje wszelkie stosowne zabezpieczenia - wtrącił ostrożnie Carl.

- Nie wątpię. No ale do rzeczy: kiedy dostałeś pan powołanie?

- Posłuchaj, Troy, bardzo to wszystko ciekawe i... Clemmons przerwał mu, podnosząc rękę z papierosem.

- No dalej, dziennikarzu, umiesz pyskować, ale nie lubisz, kiedy ktoś ci wali prawdę w oczy? Jeszcze jedno czy dwa pytania z mojej strony i powiem ci wszystko, co będziesz chciał.

Do diabła z nim, pomyślał Carl, idę stąd i oleję palanta. Ale wtedy przypomniał sobie innego palanta, który poprzedniego wieczora nazwał go „cholernym przydziałowcem”.

- Nie dostałem powołania - odparł. - Poszedłem na ochotnika. W 1960 roku. Clemmons się wyprostował.

- Na ochotnika? Poważnie? Po jaką cholere pan to zrobiłeś?

- Bo mój tatko nie mógł mnie wysłać do MIT ani nigdzie indziej. Po prostu. Clemmons zaciągnął się papierosem.

- Aha. A gdzieś pan był, kiedy Kennedy z chłopakami upiekli pół świata?

- Za granicą.

- Widziałeś pan coś? - Nie.

- A kiedy nasz dobry generał ściągnął wszystkich do domu, gdzieś pan trafił?
- Do Kalifornii, do pomocy humanitarnej. Odsłużyłem swoje, zostałem zwolniony, a ponieważ umiem pisać na maszynie, zaczepiłem się w „Globe”.

- Masz pan fart. - Clemmons się uśmiechnął. - Fajnie by było, gdyby wuj Sam wszystkim mógł znaleźć robotę. - Umilkł na chwilę, po czym stwierdził: - Słowo się rzekło: pytaj pan.

- Chodzi mi o twojego sąsiada Merla Sawsona. Co o nim wiesz? Clemmons wzruszył ramionami.

- Niewiele. Stary smutas, odludek. Mieszkam tu od dwóch lat, a widziałem go raptem kilka razy. Czasem bywał uprzejmy - przyniósł listy, jak padało, i wcisnął mi je pod drzwi albo odgarnął śnieg sprzed domu. Kiedyś się skarżył, że za głośno słucham muzyki, ale nie miałem do niego pretensji. Źle sypiał.

- Skąd o tym wiesz?

- Facet, ten gość miał koszmary... Raz na kilka tygodni zdarzał mu się taki sen, że darł się na całe gardło. Czasem jeszcze jego pies skowyczał razem z nim. Jezus, Maria, ale makabra; człowiek zrywał się w środku nocy, siadał spocony na łóżku i słuchał, jak serce mu wali. Któregoś razu późno wróciłem z balangi - tak wył, że myślałem, że go ktoś dusi. Nie zamknął drzwi na klucz, a ja byłem tak napruty, że poszedłem sprawdzić co z nim. Pies kulił się w kącie, a stary rzucał się po łóżku. Kiedy włączyłem światło, obudził się. Wstyd mu było, że przyszedłem i go widziałem w takim stanie; od razu trochę przetrzeźwiałem i zmyłem się do siebie.

Carl zanotował coś na kartce.

- Co krzyczał?

Clemmons z namysłem potarł brodę.

- Cały czas to samo, w kółko, o jakimś gościu... Caz miał na imię. Wydzierał się na niego, że czas uciekać... No, coś w tym guście: „Caz, psia mać, spadamy! Nie ma czasu! Caz!”. I tak bez przerwy, na całe gardło.

- I nie udało ci się dowiedzieć, kim jest Caz? Ani dlaczego Merl tak krzyczał?

- Nie. Szczerze mówiąc, to było niedawno, kilka tygodni temu. No a teraz go zabili.

- Słyszałeś coś szczególnego w ten dzień, kiedy zginął? Kłótnię na dole? Krzyki? Strzały?

- Nie. Przez kilka dni nie było mnie w domu.

- A dokąd wyjechałeś?

Clemmons uśmiechnął się. Carl stwierdził, że przydałoby mu się solidne mycie zębów.

- Nie pański interes.
- Rozmawiałeś z policją, kiedy znaleźli ciało?
- Dobre pytanie... Raczej oni gadali, a ja słuchałem, chociaż nie byli zbyt rozmowni.
- Nie zadawali pytań?
- Zadawali, ale niedużo. Czy to pan to zrobił? A czy wie pan, kto mógł to zrobić? Czy handluje pan narkotykami? Takie tam bzdety... Miałem wrażenie...

Sam nie wiem. Miałem wrażenie, że muszą odfajkować zaliczoną robotę, tak na odwal się.

Odfajkować robotę. Pewnie. Skoro nie zginął nikt ważny, wystarczy odfajkować. Carl zanotował coś jeszcze.

- Czy przyjmował u siebie gości?

Clemmons ostami raz zaciągnął się papierosem, zgasił go w popielniczce i odparł, nie patrząc na Carla:

- Wiesz pan co? Nagadałem się już trochę, cholera, a bardzo tego nie lubię. Nie znam pana, nie wiem, skąd pan jesteś, i nie mam pojęcia, czy mogę panu zaufać.

- O co ci chodzi? - Kątem oka Carl dostrzegł jakiś ruch: smukłe nogi skopały z łóżka resztę pościeli. Kobieta, do której należały, była całkiem naga.

- O to, że powiedziałem już wszystko, co chciałem. - Tym razem Clemmons przyglądał mu się uważnie. - Jasne?

Carl zamyślił się nad losem młodego Clemmonsa i całego jego pokolenia. Mieli tak niewiele do powiedzenia: pobór do armii, służba pomocnicza albo pomoc humanitarna. W dodatku zżerała ich świadomość, że dziesięć lat wcześniej był większy wybór, więcej muzyki, jedzenia i wolności.

- Coś ci powiem - rzekł. - Mam informację, która może cię zainteresować. Przekażę ci ją, a ty sam zdecydujesz, czy można mi zaufać. Wiesz, gdzie jest szósty komisariat? Dzisiaj zajechały tam trzy ciężarówki wojska. Chyba szykuje się oblawa.

Clemmons spiął się cały.

- Dlaczego mi pan to mówisz?
- Myślałem, że cię to zainteresuje. Ciebie albo twoich kumpli.
- Myliłeś się pan. - Clemmons wstał. - Ale i tak wielkie dzięki. Słuchaj pan, wiem, że to głupio brzmi, ale słyszałem, jak rozmawiał z kimś u siebie, z tydzień

temu. Mówili bardzo cicho, ale zszedłem akurat na dół, żeby oddać mu gazetę, którą przez pomyłkę listonosz przyniósł do mnie. Niewiele zrozumiałem, ale słyszałem, jak jego gość powtórzył coś bardzo wyraźnie, dwa razy.

- Co to było?

Clemmons rozejrzał się po mieszkaniu, jakby w obawie, że usłyszy go śpiącą w sąsiednim pokoju kobieta.

- Powiedział: „On żyje”. Dwa razy, jakby chciał to podkreślić. Dziwne, co? Carl zamknął już notes, ale wiedział, że zapisze to sobie, gdy tylko wyjdzie od Clemmonsa.

- Czy tym gościem był Townes, właściciel domu?

- Nie. Townes zamiatał w tym czasie chodnik, więc to musiał być ktoś inny. A możesz mi pan wierzyć, że Merl rzadko miewał gości. Może ten Caz ma z tym coś wspólnego, bo Merl chyba wymienił wtedy to imię. - Clemmons przeszedł przez pokój. - Nie wystarczy już tego gadania? Mam coś do zrobienia.

Carl ruszył do wyjścia, wymijając sterty ubrań i gazet.

- Jasne. Co, uczysz się do egzaminu?

- Gdzie tam! - Clemmons znów podrapał się po brodzie, tym razem szeroko uśmiechnięty. - Muszę zadzwonić w kilka miejsc i zobaczyć się z paroma ludźmi. W sprawie tej obławy.

Carl wszedł do samochodu i uzupełniał notatki. Poprzedniego dnia Merl Sawson był tylko zimną bryłą mięsa w łóżku; przywodził mu na myśl przelotne spotkanie, drżącą rękę z listą nazwisk, bełkot o spisku... Teraz stał się kimś więcej - starym żołnierzem, który żył, mówił, oddychał, miewał koszmary senne i znał człowieka imieniem Caz. I przed śmiercią przyjął u siebie tajemniczego gościa. Wszystko pięknie. Dopóki ktoś nie władował mu kilku kul w tył głowy.

Carl nie przejął się słowami Malone'a. Wiedział, jak wygląda bałagan - u Clemmonsa był on całkiem naturalny, u Merla nie: ktoś wybebeszył mieszkanie, bo czegoś szukał. Napad rabunkowy? To czemu złodziej nie wziął przedwojennego telewizora? Dopiero rok czy dwa lata temu wznowiono produkcję odbiorników telewizyjnych i stary zenith na pewno był coś wart. A więc raczej nie rabunek. Ktoś czegoś szukał... Czy miało to coś wspólnego z listą nazwisk Sawsona?

Carl zapisał w notesie jeszcze kilka uwag. Nie przywiązywał dużej wagi do konspiracyjnego „On żyje!”. Clemmons lubił chyba szprycować się chemią, więc

diabli wiedzą, jaki był nawalony, kiedy podsłuchiwał pod drzwiami mieszkania Merla. Poza tym nie wiadomo, z kim Merl rozmawiał. On żyje. Wątpił, żeby Sawson należał do wyznawców kultu J.F.K. - był przecież żołnierzem, do licha. Ale z kimś przecież rozmawiał. Został jeszcze Townes, właściciel kamienicy. Jadał czasem lunch z Merlem, zadzwonił na policję. .. Znał go pewnie całkiem nieźle. Będzie wiedział, czy w Bostonie i okolicy nie miał krewnych ani znajomych.

Całe to morderstwo cuchnęło paskudnie: ciało wyniesiono tylnymi drzwiami, żeby nie dać szansy fotoreporterom; ktoś kazał wycofać z druku notkę o śmierci Merla; Clemmons twierdził, że policja nie wysilała się zbytnio, przepytując potencjalnych świadków; nawet detektyw Malone powiedział, że nie zamierza dążyć tej sprawy. A Merl, który prosił go o pomoc, który przyszedł do niego z tą listą nazwisk, nie żył.

Odrobinę realizmu, upomniał się Carl. Jakkolwiek by patrzeć, liczba zabójstw w Bostonie przekraczała rekordowy stan z roku poprzedniego, a w sytuacji, gdy śmiertelność, przyrost naturalny i wyniki ostatniego spisu powszechnego zostały objęte tajemnicą państwową, życie nie było może tanie, ale z pewnością nie należało cenić go zbyt wysoko.

Może to i całe wyjaśnienie tajemnicy. Może powinien o wszystkim zapomnieć.

Spojrzał na zegarek: było pół do drugiej. Zostało mu półtorej godziny na wysmażenie relacji z konferencji prasowej, którą właśnie przegapił.

Ku zdumieniu Carla godzinę po jego powrocie do redakcji George skinął na niego ręką, wstał i rzekł:

- Pozwól na chwilę, Carl, do mojego biura. Jeśli możesz na chwilę oderwać się od rozlicznych zajęć.

Do biura. Zajmowane stanowisko i znaczne doświadczenie uprawniały Dooleya do posiadania własnego biura, w którym jednak rzadko spędzał czas. Zawsze twierdził, że prawdziwa praca to ta, którą wykonuje się w redakcji, a nie w gabinecie. Ostami raz Carl został wezwany na dywanik ładnych kilka miesięcy wcześniej, kiedy to pomylił nazwisko miejskiego rajcy, a korekta nie wychwyciła błędu. Zanosilo się na to, że tym razem rozmowa będzie równie zabawna. Odetchnął głęboko i schował ręce do kieszeni spodni.

Gabinecik George'a był malutki i zakurzony; biurko stało dokładnie na-przeciwko tego, które zajmował w dziale miejskim. Było puste, jeśli nie liczyć fotografii w ramach przedstawiającej dziewczynkę z warkoczykami - siostrzenicę George'a Trący. Ścian nie zdobiły tym razem ukryte za szkłem strony tytułowe „Globe”. Carl przysunął sobie krzesło, patrząc, jak George sadowi się po drugiej stronie biurka.

Dooley rozłożył zwinięte kartki papieru.

- Mam tu twoje sprawozdanie z konferencji prasowej burmistrza na temat nowych działań przeciw gangom sierocym. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pisałeś je po komunikacie prasowym i kilku telefonach do ratusza. Chyba nie byłeś na konferencji. Mam rację?

Carl wiedział, czego brakuje w jego materiale.

- Całkowitą, George. Nie byłem na niej.
- Czy od momentu, kiedy ci o niej rano powiedziałem, do chwili, gdy wyszedłeś z biura, zdążyłeś o niej zapomnieć?

- Nie.

- No to co robiłeś w tym czasie?

- Pracowałem nad starym materiałem, nad tym zabójstwem emerytowanego żołnierza we wschodnim Bostonie.

George podrapał się po obrośniętym sztywnymi włoskami uchu.

- Przyznają, że cię nie rozumiem, Carl. Kazałem ci zapomnieć o sprawie morderstwa i iść na konferencję burmistrza. A ty co? Zajmujesz się morderstwem, a konferencję olewasz. Coś pokręciłem?

- Za tym zabójstwem kryje się coś więcej, George. Dlatego się nim zająłem. Ale straciłem poczucie czasu i spóźniłem się na konferencję. Nie zrobiłem tego złośliwie, tylko dlatego, że pracowałem nad innym materiałem.

- Mimo że kazałem ci dać sobie z nim spokój?

- Przecież to też wiadomość.

Carl zdawał sobie sprawę, że kopie sobie grób, ale mało go to w tej chwili obchodziło. Śmierć Merla naprawdę była tego warta, do cholery! George zabębnił palcami w blat biurka.

- Świetnie się dotąd spisywałeś w dziale miejskim, Carl. Mam nadzieję, że nadal tak będzie. Ale tym razem naprawdę dałeś dupy. Wyrażam się jasno? - Gestem wskazał stojącą obok szafkę. - Widzisz tę górną szufladę? Leży w niej pełno listów i podań o pracę od młodych reporterów i absolwentów dziennikarstwa z całego kraju; wszyscy chcieliby trafić do „Globe”. Prawdę mówiąc, moglibyśmy co miesiąc zwalniać całą obsadę redakcji, a i tak wystarczyłoby nam wykwalifikowanych zastępców. Więc lepiej nie spieprz już nic więcej.

- Nie spieprzę.

- Świetnie. - Z szuflady biurka George wyjął kawałek papieru. - Mam nadzieję, że nie masz na jutrzejszy wieczór jakichś szczególnych planów. Będzie wprawdzie sobota, ale znalazłem ci zajęcie. Widzisz? Zapisałem ci to na kartce, żebyś nie zapomniał. - Położył świstek na biurku i podsunął go Carlowi, który wziął go do ręki. - Widzisz, chciałbym mieć taką wewnętrzną pewność, że mogę ci coś zlecić, a ty to zrobisz. Słuchaj: jutro o szóstej wieczorem w konsulacie brytyjskim odbędzie się mały bankiet. Konsul wręczy burmistrzowi czek, rozpoczynając tym samym zimową kampanię „Paczki dla Bostonu”.

- Mógłby się tym chyba zająć któryś z felietonistów.

- Faktycznie, mógłby. - George uśmiechnął się szeroko, paskudnie, jak tylko przełożony dziennikarza potrafi. - Podejrzewam, że nawet któryś z korektorów by sobie z tym poradził. Z zamkniętymi oczami. Aleja chcę, żebyś to był ty, Carl. Wykaż się. Bądź na miejscu przed czasem, zrób dobre notatki, dowiedz się, co w tym roku będzie w paczkach, sprawdź, czy zamierzają znów podesłać nam tę paskudną angielską kiełbasę. Ludzi to zainteresuje. Jak myślisz, dasz sobie radę?

Carl złożył kartkę na czworo. Zdziwił się, że nawet nie jest zbyt wściekły na Dooleya.

- Zajmę się tym - odparł, przenosząc wzrok na zdjęcie Trący.
- To świetnie. A teraz wracaj do siebie. Trafisz? Carl wstał.
- Bez problemu.

George uśmiechnął się ponownie, odchylił na oparcie fotela i rozłożył szeroko ramiona.

- Proszę bardzo: już zaczynam na nowo ci ufać, Carl.

Zazwyczaj rejdach w redakcji nie przeszkadzał Carlowi; potrafił odciąć się od hałasu i skupić na tym, co miał na biurku czy w maszynie. Zazwyczaj, ale nie tym razem. Dobiegające zewsząd dźwięki dudniły mu w głowie, wibrowały nachalnie, aż go zęby bolały. Chciał wyjść, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić: wszyscy widzieli, jak wchodził do biura George'a; widzieli też, że został zrugany. Nie chciał dać im satysfakcji i pokazać, że jest miękki. Szlag by ich wszystkich trafił!

Rozłożył podaną mu przez George'a kartkę. Zapowiadała się szybka robótka, z którą poradziłby sobie nawet w pierwszym miesiącu pracy. Pierwszy miesiąc. Przyszedł do redakcji prosto z wojska, w pierwszych cywilnych ciuchach, jakie miał na sobie, odkąd w 1960 roku wstąpił do armii. Miał osiemnaście lat, kiedy opuścił Newburyport, rybacką miejscinę na północnych krańcach Massachusetts. Ojciec nadzorował przebieg organizowanych przez miasto robót publicznych, matka była sekretarką w szkole, a jego młodsza siostra Sarah zaczytywała się dziwnymi wierszami i próbowała brzdąkać na gitarze. Carl uczył się średnio, toteż wzorem rozlicznych kuzynów i wujów postanowił wstąpić do wojska na ochotnika, zanim armia zapomni się o niego przy poborze. Miał nadzieję zobaczyć kawałek świata, może przy okazji poduczyć się jakiegoś fachu. Wydawało mu się też, że kiedy J.F.K. zasiądzie w Białym Domu - a nie miał wątpliwości, że w jesiennych wyborach w cuglach wygra z Nixonem - on, Carl, stanie się częścią czegoś nowego i niezwykle ekscytującego.

Żywił również na wpół skryzalizowane marzenia o pisarstwie, ale oboje rodzice zgodnie go wyśmiali. Najpierw poznaj trochę życie, mówili, a potem zobaczymy. Na wieść o tym, że wstąpił do wojska, Sarah pokręciła niechętnie głową.

- Jesteś zbyt prostoduszny, Carl - powiedziała. - To twoja główna wada. Wszystko jest dla ciebie czarno-białe. Nie dostrzegasz szarości; nie widzisz

prawdziwej rzeczywistości.

Pakował się właśnie przed wyjazdem do Bostonu, skąd pociągiem dotarłby do obozu dla rekrutów.

- A jaka jest twoja wada, siostrzyczko? Uśmiechnęła się blado w odpowiedzi.
- Chcę zmienić świat. I to zaraz.

Ktoś chrząknął donośnie. Carl podniósł wzrok i ujrzał Jacka Bumsa ubranego w pomarańczową koszulę i niebieskie dżinsy.

- Wyglądasz, jakbyś wybierał się na jeden z tych swoich hipisowskich koncertów - stwierdził Carl. - Albo do burdelu.

- Właśnie się wybieram - przyznał Jack. - Na koncert, znaczy się. Mógłbym tu na chwilę klapnąć?

- Pewnie.

Jack przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok Carla.

- Przykro mi trochę, że George cię objechał, ale to nie jego wina. Dupek z niego, ale jak na redaktora jest całkiem przyzwoity.

- Zaraz, zaraz: nie rozumiem. Jak to: nie jego wina? Jack rozejrzał się bacznie i zniżył głos:

- Chodzi o to zamieszanie z twoim artykułem, tym, który nie poszedł w dzisiejszym wydaniu.

Carl miał wrażenie, że w całej redakcji zapadła cisza, a pokój skurczył się do rozmiarów dwumetrowej bańki okalającej jego biurko.

- Mów dalej.

- Ten twój materiał o zabójstwie... Nadzór go nie puścił. Carl wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- George mi powiedział, że nie było miejsca.

- Rany boskie, czyś ty naprawdę wypadł z ciężarówki z kartoflami? - Jack przewrócił oczami, niedwuznacznie wskazując biuro Cullena Devane'a. - Zawsze tak mówią. To nasz niezastąpiony cenzor przeczytał notkę i wykasował ją bez litości.

- Skąd wiesz?

- Powiedzmy, że pewni ludzie sami coś winni. - Jack mrugnął porozumiewawczo. - Często dostaję bilety na koncerty. Nie na wszystkie mogę iść, a wtedy chętnie dzielę się z innymi. Jest taki chłopak ze składu... No, w każdym razie wczoraj napiłem się z nim, jak już wyszedłeś z Drania, i to on mi powiedział, że mieli właśnie składać twój tekst, kiedy sam major osobiście kazał im go zdjąć.

- Nie wiesz dlaczego? - Carl zdał sobie nagle sprawę, że również mówi prawie szeptem.

- A czy sądzisz, że ktoś, kto za bardzo interesuje się poczynaniami redaktora nadzorczego, długo by zagrzezał miejsce w redakcji? Idź do czytelnicy, pogadaj z Grace, przejrzyj Dekret o stanie wojennym z 1962 roku i Deklarację o zagrożeniu narodowym z 1963 roku.

- Czytałem je, Jack. Znasz kogoś, kto nie czytał?

- To zrób to jeszcze raz, przyjacielu. Zwróć uwagę na podpunkt o kontroli prasy. Nasz major trzyma „Globe'owi” nóż na gardle, a jego kumple robią to samo z innymi gazetami, magazynami, radiem i telewizją w naszym mlekiem i miodem płynącym kraiku.

Carl zerknął ukradkiem w stronę biura Devane'a. Drzwi były zamknięte.

- Śmieszne; pierwszy raz mi się zdarza, żeby nadzór zdjął mi artykuł.

- No to gratuluję utraty dziewictwa. - Jack poklepał go po ramieniu. - Ja już nie liczę, ile razy zdejmowali moje materiały; zwykle czepiają się w recenzji tekstów piosenek. Piszą je jacyś półanalfabeci, a nadzór uznaje je za sprośne albo antypaństwowe.

Carl znów przeniósł wzrok na zamknięte drzwi.

- Może powinienem pogadać z Devane'em? Dowiedzieć się, co jest grane?

- Sam wiesz, że to kiepski pomysł, Carl. - Jack pokręcił głową. - Daj sobie spokój.

- A masz jakieś podejrzenia, dlaczego mnie ścięli? Jack wzruszył ramionami.

- Może być milion powodów. Może stary był bliskim przyjacielem jakiejś szycy w Północno-Wschodnim Okręgu Wojskowym i ktoś dał cynk, że należałoby oszczędzić przykrości rodzinie i znajomym. Albo - to już prędzej - ktoś z naszej policji poprosił Devane'a o drobną przysługę; w tym rok jest tyle morderstw, że gliny chcą pewnie trochę wyciszyć sprawę. Jest jeszcze inne wyjaśnienie. Najmniej prawdopodobne.

- To znaczy?

Jack z uśmiechem nachylił się ku Carlowi.

- Może zdjęli tekst z tej samej przyczyny co zawsze: sprawa bezpieczeństwa narodowego.

Po szybkim lunchu w stołówce Carl wrócił do biurka, rozmyślając o usuniętym

artykule. Kogo obchodził jakiś emerytowany wojak zastrzelony we wschodnim Bostonie? To jakiś nonsens.

Z pewnością obchodził kogoś blisko związanego z nadzorem. Carl wziął do ręki aktualny numer „Globe” i przejrzał go w poszukiwaniu „ramki cenzorskiej”. W pierwszych latach po wojnie we wszystkich gazetach i periodykach drukowano ramkę z tekstem wyjaśniającym, że są publikowane w porozumieniu z urzędem cenzury. Doczekała się miana „ramki cenzorskiej”, a z czasem z większości gazet zwyczajnie zniknęła. Cenzura - a właściwie „nadzór”, jak ją uprzejmiej nazywano - stała się równie nieodłącznym elementem dziennikarstwa jak papier i farba drukarska; nikomu nie chciało się o tym codziennie przypominać.

Nikomu prócz garstki gazet uchodzących za liberalne - należały do nich „Boston Globe”, „Los Angeles Times” i odrodzony „New York Times”, od ośmiu lat wychodzący w Albany. Jest, na szóstej stronie:

Uwaga czytelnicy: Wszelkie materiały ukazujące się w dzisiejszym wydaniu „Globe” zostały zatwierdzone do druku przez wojsko amerykańskie w zgodzie z dekretem o stanie wojennym z 1962 roku i deklaracją o zagrożeniu narodowym z 1963 roku.

W kategorii protestów znaczyło to może niewiele, ale zawsze coś.

Podniósł wzrok. Drzwi do biura majora były otwarte, a sam Devane szedł właśnie przez salę do biurka kierowników działów. Wszyscy nagle skupili się całkowicie na swoich telefonach i maszynach do pisania, tylko Carl nie mógł oderwać wzroku od redaktora nadzorczego. Major nosił się pewnie i dumnie, swobodnie rozmawiał z redaktorami i samodzielnie wybierał teksty, które łaskawie ocali, oraz artykuły, które skaże na śmierć. Carl miał ochotę podejść do niego, złapać go pod ramię i zażądać wyjaśnień.

Zamiast tego zgarnął z biurka notes, zdjął płaszcz z krzesła i wyszedł.

Też niewiele jak na formę protestu, ale zobaczymy, co da się zrobić.

Właściciel kamienicy wynajmujący lokum Merlowi Sawsonowi nie bardzo miał ochotę na rozmowę, ale Carl wkręcił się do jego mieszkania, używając starej sztuczki.

- Czy mógłbym tylko skorzystać z łazienki? - poprosił.

Stał teraz w wyszorowanej kuchni i nie wyjmując notesu z kieszeni, starał się zapamiętać każde słowo rozmówcy. Andrew Townes był ubrany w szare spodnie i

stary czarny sweter ze skórzanymi łatami na łokciach. Na oko sądząc, miał z dziesięć kilogramów niedowagi. Cały czas wodził niespokojnie oczyma od Carla do drzwi i z powrotem, jakby spodziewał się, że lada chwila oddział policji wpadnie mu do mieszkania, żeby aresztować go za zdradę stanu - czyli rozmowę z dziennikarzem. Mówiąc, co chwila poprawiał siwiejące włosy, jakby bał się, że źle się prezentuje.

- Powtarzam: nie powinienem z panem rozmawiać - powiedział.

- Dlaczego? - zdziwił się Carl. - Potrzebuję tylko kilku informacji o pańskim sąsiedzie do artykułu. Co w tym złego?

- Wczoraj to samo mi pan powiedział. - Townes był rozdrażniony. - A dziś co? Otwieram gazetę i ani słowa o Sawsonie.

- Nie zmieścił się - wyjaśnił Carl. - Cały czas mamy z tym problemy. Dla Merla Sawsona zabrakło miejsca. - Właściwie nie kłamał; przytaczał przecież wyjaśnienia George'a, szefa działu, a nie Jacka, jakiegoś krytyka muzycznego.

- No tak... - Townes się zawahał. - Ale różne rzeczy się słyszy. Proszę posłuchać: czy zamierza się pan na mnie powoływać?

- W żadnym wypadku.

- I jeśli z panem porozmawiam, da mi pan święty spokój?

- Nie zobaczy mnie pan z całą pewnością, przynajmniej do czasu, aż przyjdzie pora odnowić prenumeratę „Globe”.

- Co to ma znaczyć? - zaniepokoił się Townes.

- Żartowałem tylko. Panie Townes, co pan wie o Merlu? Od kiedy tu mieszkał?

- Wprowadził się do mnie jakieś cztery lata temu. Ja tu mieszkam od 1964 roku i od dawna nosiłem się z zamiarem wynajęcia pierwszego piętra. Poprzedni lokatorzy wyprowadzili się do stanu Waszyngton, więc jak się zjawił Merl, zaraz go przyjąłem. Mogłem wprawdzie wynająć jakimś studentom, ale... Oni są męczący. - Townes podniósł wzrok ku sufitowi. - Powiem panu, że jak pan Clemmons się wyniesie, nieprędko znowu wpuszczę tu studentów.

- Opiekuje się pan jego psem?

- Merla? Nie, zdechł przed kilkoma tygodniami. Pewnie ze starości. Merl się załamał, biedaczysko. Zawsze potem płakał, jak o nim mówił.

- Ach tak... Czy miał jakichś przyjaciół? Krewnych? Gości? Townes zamyślił się i zatarł ręce.

- Kiedyś mówił coś, że ma siostrę w Detroit, nic więcej. Wiem, że był

wdowcem. Pewnie od czasu wojny.

- I weteranem wojennym, prawda? Czy wie pan, gdzie służył?

- W wojsku, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. - Townes oparł się o zlew. - Najzabawniejsze jest to, że dopiero po kilku latach dowiedziałem się, że jest emerytowanym żołnierzem.

- To znaczy, że starając się o mieszkanie, nie korzystał z przywilejów kombatanckich?

- Nie. Nawet go później o to pytałem, ale powiedział, że lepiej się czuje, jak o wszystko sam musi zadbać.

- I nie opowiadał specjalnie o służbie?

- Czasem wieczorami grywaliśmy w karty, to go podpytywałem, ale chyba wszystko, co powiedział, to że pilnował jakichś ważnych dokumentów. Kancelaryjna robota. Szybko zmieniał temat. Tylko raz, po kilku piwach, powiedział, że walczył z za biurka i poza jednym fatalnym błędem spisał się doskonale. Później mówił, że nawet tym nie powinien się być chwalić, i zabronił mi o tym mówić. Chociaż teraz to chyba bez znaczenia.

Carl coraz bardziej żałował, że nie może skorzystać z notesu, ale nie chciał spłoszyć Townesa. Kiedy informator zaczynał mówić, należało doić go do samego końca i nie popuszczać.

- Czy wspominał coś o przyjacielu imieniem Caz?

- Nie, nigdy. Wie pan, myśmy w ogóle rzadko o czymś rozmawiali, chyba tylko o pogodzie, cenach żywności i grze Red Soksów. Był ich wielbiciele. Obaj mieliśmy swoje lata i mnóstwo wolnego czasu, to wszystko. Właściwie tylko raz zeszło nam się na tematy polityczne.

- Przy jakiej okazji?

Townes zamrugnął niepewnie i przygładził włosy.

- Obiecał pan, że mnie pan nie zacytuje, prawda? Boże, powinienem trzymać gębę na kłódkę.

- Panie Townes, to ostatnie pytanie i już sobie pójdę. Dobrze? Townes odsunął się od zlewu.

- W zeszłym roku, kiedy skończyło się racjonowanie mięsa, kupiłem ładny kawałek boczku i zaprosiłem Merla do siebie na kolację. Oglądaliśmy wiadomości. Pokazali akurat generała Curtisa, jak odbiera nagrodę jakiegoś stowarzyszenia kombatanatów. Powiedziałem coś o tym, że dobrze się prezentuje jak na swój wiek, na

co Merl odparł, że nie ma się co dziwić; facet nie ma serca ani duszy, powiedział, więc czemu nie miałby dobrze wyglądać. I tyle.

- Nic więcej?

- Nic więcej - przytaknął zdecydowanie Townes. - Na pana już czas. Carl czuł, że nic już nie wskóra, ruszył więc do wyjścia. Właściciel domu

szedł tuż za nim. Dopiero na końcu korytarza, przy drzwiach, Townes zagadnął go niepewnie:

- Mogę o coś zapytać?

- Oczywiście. O co chodzi?

- O jego rzeczy. - Townes wzrokiem wskazał na sufit. - Myśli pan, że policja przyjdzie je zabrać?

Carlowi nagle zrobiło się go żal.

- Chyba nie, panie Townes. Chyba musi pan... Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wybrał pan, co panu potrzebne, a resztę spakował do pudeł. Może zgłosi się po nie siostra Merla albo jakiś dalszy krewny.

- Rozumiem. - Townes spochmurniał. - To chyba najlepsze wyjście. Wie pan co... Dawno temu ten dom należał do moich rodziców. Kiedy się wyprowadziłem, obiecałem sobie, że nie wrócę już do Bostonu. Do wojny pracowałem w Nowym Jorku jako audytor w Trans America Bank. Tak jak wszyscy straciłem pracę i wróciłem tutaj. Czekałem, czekałem i czekałem. Moi rodzice pojechali wtedy, w październiku, na wakacje na Florydę. Nie wrócili, więc po roku spakowałem ich rzeczy do kartonów i zniosłem do piwnicy. - Zaśmiał się niewesoło, chrapliwie. - Całe szczęście, że jest tam dość miejsca na następne pudła. Myślał pan kiedyś o tym, panie Landry? Dziesiątki milionów kartonowych pudeł, a w nich rzeczy należące do ludzi, którzy przestali istnieć. Gdyby tak urządzić wyprzedaż tego całego towaru, ależ byłaby impreza! Niech pan sobie wyobrazi te wszystkie zakurzone kartony, otwierane teraz, po dziesięciu latach!

O ile wcześniej Carl za wszelką cenę chciał dostać się do mieszkania Townesa, o tyle teraz marzył tylko o tym, żeby jak najszybciej się z niego wynieść.

Zostawił samochód w uliczce na tyłach swojego domu. Był zmęczony, głodny i rozdrażniony mało owocną wizytą u Townesa - dzięki niej zyskał tylko niewyjaśnione nieprzyjemne uczucie, jakby jakiś ciężar zagnieździł mu się w piersi.

Merl nie mówił o służbie w wojsku - nic nadzwyczajnego. On sam też do tego nie wracał, w każdym razie nie z własnej woli. Poza tym większość ludzi nie

przepadała za generałem Ramseyem Taranem Curtisem. Jeśli chodzi o Carla... Jego opinia o generale zależała od nastroju: raz widział go takiego, jakim był naprawdę - szarą eminencję pociągającą za sznurki, kierującą prezydentem i Kongresem; innym znów razem przypominał sobie Curtisa z początków wojny i jego wysiłki, które doprowadziły do jej zakończenia, zanim żniwo śmierci stało się zbyt wielkie. To, co myślał, i tak nie miało żadnego znaczenia.

Z cienia kontenera na śmieci dobiegło go jakieś skrzypienie. Odwróciwszy się, ujrzał mężczyznę w bluzie od dresu, starej kurtce od polowego munduru, poprutyh spodniach i sięgających kolan kaloszach, który ostrożnie prowadził wypchany po brzegi wózek sklepowy. Był to miejscowy bezdomny, zwany powszechnie Dwutonowcem, chociaż Carl nie umiałby się tak do niego zwrócić - nie do weterana wojennego. Odkąd dowiedział się, że Dwutonowiec ma na imię William, zawsze tak do niego mówił.

- Dobry wieczór, Williamie - rzekł, gdy mężczyzna podszedł bliżej. - Jak tam, spokój w okolicy?

- Raczej tak, ale nigdy nic nie wiadomo. - Dwutonowiec podtoczył wózek jeszcze bliżej. Uśmiechnął się do Carla, wodząc dookoła oczami, jakby nie mógł na niczym zatrzymać wzroku dłużej niż na kilka sekund. Prawą część twarzy porastała mu czarna przetykana siwizną broda, lewą zaś pokrywały pozostałe po oparzeniach blizny. Na głowie miał czarną wełnianą furazerkę, ale latem, kiedy jej nie nosił, widać było, że całą lewą połowę czaszki ma poparzoną i bezwłosą. Lewą rękę miał bezwładną i pobliźnioną. Był jednym z nielicznych żołnierzy ocalałych z inwazji na Kubę w 1962 roku, jakich Carl spotkał w swoim życiu.

Dał mu dwie ćwierćdolarówki.

- Cieszę się, że masz na wszystko oko. Dwutonowiec skinął głową i schował monety do kieszeni.

- Nawyk z wojska, Carl. Zawsze trzeba uważać, co słychać w terenie.

- A co dziś słychać?

- Na mój gust szykują się kłopoty - szepnął głośno bezdomny.

- Jakie kłopoty?

- Oficjalne. Byli tu dziś jacyś ludzie, kręcili się po okolicy, rozglądali się.

- Pewnie ktoś z magistratu, jakaś policja podatkowa, inspekcja budowlana, coś w tym rodzaju.

- Nie, nie, za dobrze byli ubrani. - William pokręcił głową. - I za dokładni;

całkiem inaczej niż ci na miejskim wikcie. Myślałem najpierw, że to mnie szukają, więc się schowałem.

- Dlaczego mieliby cię szukać, Williamie? Wózek podtoczył się jeszcze bliżej.

- Bo chcą wiedzieć, gdzie mam kryjówkę.

- Tak myślisz?

- Na pewno. - Dwutonowiec posłał Carlowi konspiracyjne spojrzenie. - Niedaleko stąd, będzie z dziesięć minut. Jak wybuchnie następna wojna, będziemy mieli najwyżej dziesięć minut, żeby się schować. Zanim nadlecą rakiety, będę bezpiecznie ukryty pod ziemią. Nie dam się drugi raz zaskoczyć na powierzchni.

- Ale chyba nie myślisz, że dojdzie do nowej wojny? - Carl starał się zachowywać uprzejmie. - Kuba była dziesięć lat temu. Dużo się od tego czasu zmieniło.

- Matuszka Rosja jest ogromna, Carl. Mają tam schrony z bronią, z wojskiem... Niedługo będą się chcieli zemścić. Sam się przekonasz. Wierzysz mi, Carl, prawda?

Carl pomyślał o matuszce Rosji - zniszczonym, zdruzgotanym kraju, w którym po dziś dzień panowało szaleństwo i rządził głód. Tylko ci szczęśliwcy, którzy dotarli do obozów dla uchodźców zorganizowanych przez ONZ przy dawnej granicy Związku Radzieckiego, mieli jakieś szansę przetrwać. Przemysł przestał istnieć, duże miasta zostały unicestwione, rząd zniknął. Zostały tylko nieliczne grupki ludzi walczących o przeżycie w wioskach jakby żywcem wyjętych ze średniowiecza... A wszystko to dziesięć lat po tym, jak SAC - Dowództwo Strategiczne Wojsk Lotniczych - zmiotło z powierzchni ziemi cały ogromny kraj.

- Jasna sprawa, Williamie. Wierzę ci. Rosja jest ogromna. Dwutonowiec z zadowoleniem pokiwał głową i rozejrzał się na boki. - Właśnie. Ty też się przygotuj. - Nachylił się i szepnął Carlowi do ucha: - Zabrałbym cię do swojej kryjówki, ale boję się, że będzie nam za ciasno. Masz jakieś żarcie w puszkach?

- Pewnie - odparł Carl z uśmiechem. - I butelkowaną wodę.

- W takim razie załatwione. Jak tylko zawyją syreny, zbierz rzeczy i wyjdź z domu, a ja cię stąd zabiorę. Umowa stoi?

- Stoi. - Carl odwrócił się, chcąc odejść, gdy nagle coś przyszło mu do głowy. Właściwie bez powodu, z czystej ciekawości. - Dwuto... Eee, Williamie?

- Słucham?

- Chciałbym cię o coś zapytać, jeśli można.
- Śmiało, słucham. - Bezdomny oparł się wygodnie o wózek.
- Chodzi mi o generała Curtisa. Co o nim myślisz?

- Hmm... - Dwutonowiec poprawił jeden z przewracających się w wózku worków na śmieci. - Taran. Niczego sobie gość, chociaż z lotnictwa. Nie mam mu tego za złe. Wiem, że ludzie nie lubią go za to, co zrobił od czasu Kuby, ale coś ci powiem, Carl.

- No, słucham?

Dwutonowiec wyprostował się i wbił w Carla świdrujące spojrzenie. Carl odniósł wrażenie, jakby znów stanął przed nim dawny oficer komandosów.

- Uratował mnie i moich kumpli. Jak inwazję diabli wzięli i Ruscy odpalili swoje rakiety taktyczne, jakieś buce z dowództwa w Waszyngtonie chciały spisać nas na straty. Byliśmy napromieniowani, większość ciężko ranna... Bez operacji ratunkowej, szybkiej dekontaminacji i leczenia pomarlibyśmy jak muchy. Ale on był wtedy szefem połączonych sztabów i kazał marynarce ściągnąć nas z plaży. Zebrali nas wszystkich, kilkuset chłopca. To był potworny, ale wspaniały dzień Carl; leżeliśmy tam ranni, prawie umierający, ale trzymaliśmy żelazną dyscyplinę, wiesz... Nie chcieliśmy wyjść przed marynarką na mięczaków. Rozstawiliśmy się, puściliśmy najciężej rannych przodem i osłanialiśmy ich cały czas, żeby resztki Kubańców i Ruskich nie mogły nas dorwać. Curtis nas stamtąd zabrał, wszystkich, którzy przeżyli. Ja o nim złego słowa nie powiem. To człowiek honoru, Carl, jeden z ostatnich, jakich mamy.

Carl, zszokowany nagłą zmianą w postawie i zachowaniu Dwutonowca, zdołał wykrztusić tylko:

- Rozumiem, Williamie.

- To dobrze. - Nagle jakby coś się w nim zapadło i obok Carla znów stał stary, zmęczony, bezdomny człowiek. Ruszył przed siebie, popychając skrzypiący wózek. - Życzę dobrej nocy.

- Dzięki.

- Jeszcze jedno, Carl! - zawołał Dwutonowiec, gdy Carl zdążył już przejść kilka kroków.

- Co takiego?

- Chodzi o te puszki... Nie przynoś fasoli. Jeśli przyjdzie nam siedzieć w schronie przez miesiąc, nie chcę, żebyśmy cały czas na siebie pierdzieli. To byłoby

straszne.

Carl pomachał mu na pożegnanie.

- Jasna sprawa. Nie wezmę fasoli.
- To dobrze.

Kiedy Carl obszedł dom od frontu, zbliżając się do drzwi wejściowych, miał wrażenie, że skrzypienie kółek nasila się z każdą chwilą.

Konsulat brytyjski znajdował się przy State Street, i po zaparkowaniu auta Carl musiał przejść kilka przecznic, żeby dotrzeć na miejsce. Nadgarstki swędziały go jak diabli, nieprzyzwyczajone do tweedowej marynarki; w jej wewnętrznej kieszeni spoczywał reporterski notes. Półbuty były sztywne i niewygodne. Z eleganckich ubrań miał jeszcze do dyspozycji smętny, dwuczęściowy, czarny garnitur kupiony zaraz po wyjściu z wojska, w 1968 roku, ale ten nadawał się tylko na stypy i pogrzeby.

Ta część Bostonu rozwijała się znakomicie - jak na panujące warunki, rzecz jasna: w odnowionych budynkach z cegły mnożyły się firmowe sklepy, restauracje i biura. Na skrzyżowaniu samochody zatrzymały się na światłach; po pasach przechodziła nieliczna grupa japońskich turystów szukających zapewne Szlaku Wolności. W sobotni wieczór Boston - piękne miasto ze wspaniałymi perspektywami, największy port na pomocnym wschodzie Stanów - prezentował się znakomicie, ale wprawne oko reportera i żołnierski zmysł obserwacji podpowiadały Carlowi, że pozory mylą. Stare pordzewiałe samochody wypluwały tumany gryzącego dymu. Klientelę sklepów i lokali stanowili głównie urzędnicy państwowi, marynarze i turyści; dla przeciętnego bostończyka ceny były astronomiczne. W dodatku większość sklepów musiała zatrudniać własnych ochroniarzy w obawie przed gangami sierocymi, których rozzuchwaleni członkowie tylko szukali okazji do rozboju. Ludzie mijający go po drodze wyglądali na zmęczonych; mężczyźni ubierali się szaro i niechlujnie - łaty na łokciach wróciły do łask - a kobiety nosiły stroje jakby żywcem wzięte z Nowego Jorku lat pięćdziesiątych. W większości nie stać ich było na pończochy, ale chcąc sprawiać wrażenie, jakby miały je na sobie, kreśliły sobie tuszem wąskie, czarne kreski z tyłu nóg.

Konsulat mieścił się w nowo wybudowanym trzypiętrowym gmachu z ceglana fasadą i eleganckim wejściem. Malowany na czarno płot z kutego żelaza okalał podwórko, a na sterczącym spod okna maszcie powiewała brytyjska flaga. Dwóch policjantów dla zabicia czasu gawędziło z oficerem w cywilu, prawdopodobnie przydzielonym do ochrony placówki. Po drugiej stronie ulicy, za policyjną barykadą, stało dwoje ludzi. Oboje mieli już swoje lata i trzymali tablice z hasłami, kobieta - ANGOLE PRECZ Z IRLANDII PÓLNOCNEJ!, mężczyzna - DOŚĆ KOLONIALIZMU! ANGOLE PRECZ Z USA! Mijający ich ludzie ignorowali ich

całkowicie. W tradycyjnie irlandzkim Bostonie pamięć wzajemnej wrogości, krwawych powstań i żelaznych rządów Wielkiej Brytanii była wciąż żywa; Carl wiedział jednak - z archiwalnych numerów „Globe” - że dręczą ich i inne wspomnienia, takie jak z mroźnych i głodnych zim w latach 1962-63, kiedy to dzień w dzień Logan Airport przyjmowało samoloty RAF i BOAC wiozące żywność, lekarzy i pielęgniarki dla bostońskich szpitali. Z Connecticut i Nowego Jorku napływała nieprzerwana fala uchodźców.

To były mroczne lata, wciąż świeże w pamięci większości ludzi, znacznie bardziej wyraziste niż zamazane wspomnienia powstania wielkanocnego w 1960 czy zajęcia przez Wielką Brytanię sześciu hrabstw Irlandii Północnej. Nie chodziło nawet o to, że Irlandczycy z Bostonu zapominali o ojczyźnie; po prostu mieli większe zmartwienia tu, na miejscu - musieli wyżywić dzieci, a mężów i żony leczyć z raka.

Znalazłszy się przy bramie, Carl mignął strażnikom przepustką prasową i prawem jazdy, po czym krótką, wykładaną kamieniami ścieżką trafił do obramowanego białymi kolumnami wejścia. Zdawał sobie sprawę, że w Filadelfii i Kongresie nie brakuje osób niechętnych brytyjskiej obecności w Stanach, ale było wciąż wiele środowisk, w których Anglicy cieszyli się sporą popularnością. Po wojnie ich obecność dla wielu ludzi stała się symbolem szansy przeżycia. W 1963 i 1964 roku w Kalifornii poznał kilku brytyjskich oficerów osobiście; mimo że doceniał ich zaangażowanie i dobre rady, irytowało go ich poczucie wyższości, nienaganny ubiór, nawet to, że zawsze zabierali obiad do swoich kwater. Jakby nie do końca potrafili ukryć radość z tego, że Jankesi znów ich potrzebują, że przestali być ubogimi krewnymi z drugiego brzegu Atlantyku.

Ale gwoli sprawiedliwości, przyznał w duchu, trzeba wspomnieć o tym oficerze spadochroniarzy, który w Kalifornii spędził kilka dni w jego oddziale i na pożegnanie zostawił Carlowi butelkę brandy. Nazywał się Kenneth jakiś tam i był całkiem inny od reszty Angoli - jakby naprawdę zależało mu na powodzeniu ich operacji. Podpowiadał, co należałoby usprawnić w działaniu górskich patroli. Kiedy się żegnali, Carl podał mu rękę, dziękując za wszystko.

- Nie ma o czym mówić, chłopie - odparł tamten. - Potraktuj to jako spłatę długu. W 1944 roku pomogliście nam ze Szwabami.

Carl wszedł do konsulatu i przystanął na wypolerowanej do połysku marmurowej posadzce. W korytarzu panował już lekki ścisk; nad głowami tłumu Carl dostrzegł schody prowadzące w lewo na górę. Z przodu znajdował się podłużny stół, a

za nim otwarte dwuskrzydłowe drzwi do sali balowej. Miał wrażenie, że w tych dwóch pomieszczeniach zebrało się pół Bostonu. Ze zdumieniem rozpoznał wśród gości ubranego w galowy mundur majora Devane'a z „Globe”, który rozmawiał właśnie z jakimiś urzędnikami konsularnymi. Carl przepchnął się do recepcji, gdzie spocony mężczyzna w czerwono lamowanym brytyjskim mundurze rozdawał gościom identyfikatory. Za jego plecami na ścianie wisiało pięć fotografii. Środkowa - i największa - przedstawiała, rzecz jasna, królową. Obok znajdował się portret premiera Edwarda Heatha i Kima Redgrave'a, angielskiego konsula w Bostonie. Pozostałe dwa zdjęcia były czarno-białe, mniejsze i okolone czarną wstęgą. Przedstawiały brytyjskich ambasadorów - w Stanach Zjednoczonych i przy ONZ - którzy w tamtym pamiętnym październiku pełnili swoje obowiązki w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

- Słucham pana? - spytał żołnierz, śmiesznie przeciągając głoski.

- Carl Landry, „Boston Globe”.

Żołnierz odszukał go na liście i wręczył mu identyfikator - plastikową plakietkę, którą Carl wpiął w klapę marynarki. Przepchnął się przez tłum do sali balowej. Wysoki sufit był tu rzeźbiony i zdobiony złoceniami, na ścianie naprzeciw drzwi powiewały flagi amerykańska i brytyjska, a obok nich wisiał jeszcze większy od poprzedniego portret królowej. W rogu przygrywał kwartet smyczkowy, wtórując ściszym rozmowom i śmiechom gości. Musiało się tu zebrać co najmniej z dwadzieścia osób, ocenił Carl, przedzierając się dalej. Nagle dostrzegł długi rząd stołów przykrytych białymi obrusami. Zaburczało mu w brzuchu na widok wyłożonego na pięknej porcelanie poczęstunku: plasterki pieczeni wołowej, różne gatunki serów, rolady, ogromne krewetki, winogrona, jabłka, gruszki. Dawno już nie oglądał takiej fety.

Zjadł trzy krewetki, a potem wrócił jeszcze raz do stołu i przyrządził sobie kanapkę z pieczenia, sporym kawałkiem rolady i kilkoma plasterkami sera - była miękka, delikatna i przepyszna. Na co dzień jadał konserwy i mrożonki; przeciętny bostończyk mógł sobie pozwolić na świeżą żywność raz, góra dwa razy w tygodniu - a w Bostonie i tak jadało się lepiej niż gdzie indziej.

Teraz dopiero zwrócił uwagę, jak wielu gości zajętych jest jedzeniem - i wcale im się nie dziwił. Rozumiał też, dlaczego bankiet zgromadził tak liczną publiczność - konsulat i wyśmienite jedzenie przyciągnęły resztki bostońskiej śmietanki towarzyskiej. Zastanawiał się właśnie, czy nie zrobić sobie jeszcze jednej kanapki, gdy z tłumu wynurzył się Mark Beasley obwieszony aparatami jak nieporządnie

przybrana choinka. W obu rękach trzymał po kanapce.

- Jezu Chryste, Carl, czy widzisz to samo co ja? Jak George mnie tu wysłał w sobotni wieczór, myślałem, że to za karę. Facet, jakbym wiedział, że tu będzie taka wyżerka, zgłosiłbym się na ochotnika!

- Byłeś tylko odłożył kanapki, jak przyjdzie czas na zdjęcia, Zwierzaku.

- Nic się nie martw, zdążę; poza tym nie zamierzam ich nigdzie odkładać, tylko schowam je do kieszeni. - Beasley mrugną) porozumiewawczo. - Zanim stąd wyjdę, upchnę po kieszeniach żarcia na dwa dni. Tobie radzę to samo.

Carl się roześmiał.

- Właściwie czemu nie?

Zwierzak przesunął się dalej, na skraj stołu, Carl zaś ujrzał, jak jeden z odzianych na biało kelnerów szepcze coś do ucha drugiemu. Obaj się uśmiechnęli, a kiedy Carl podszedł bliżej, wyższy z kelnerów posłał mu jeszcze bardziej promienny uśmiech.

- W czym mogę pomóc? - zapytał z ledwie słyszalną pobłażliwą nutą w głosie.

Carl zatrzymał się i popatrzył po zatłoczonej sali; znów ogarniała go ta sama irytacja co w wojsku na widok Anglików: ci tutaj też byli lepiej ubrani, układni, uprzejmi - i prawie nie jedli. Amerykanie również przywdziali na tę okazję najlepsze stroje, ale było w nich coś niechlujnego, jakby ich garnitury i suknie od wielu lat cierpliwie znosiły pranie i cerowanie. Nakładali sobie pełne talerze i śmiali się zbyt głośno, jakby starali się jak najlepiej odwdzińczyć gospodarzom. Dziesięć lat, pomyślał. Dziesięć lat temu było dokładnie odwrotnie: Amerykanie byli głośni, bogaci i dobrze odżywieni, a ich angielscy kuzyni odgrywali rolę ubogich krewnych. Rozumiał przepelniające ich uczucie triumfu i chociaż nie mógł ich za to winić, złościł się.

- Proszę pana? - odezwał się ponownie kelner.

Carl spojrział na niego, wziął do ręki jabłko i podrzucił je do góry. Chwycił je i zwinnym gestem schował do kieszeni.

- Będzie na później, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. - Ależ naturalnie, proszę pana.

- To świetnie - rzekł Carl i odszedł, nie chcąc oglądać odprowadzających go kpiących uśmiezków.

Z boku sali znajdowała się scena z zaimprovizowaną mównicą i mikrofonem. Szarą taśmą klejącą wydzielono sektor dla prasy, tuż obok rozstawili się operatorzy kamer ze sprzętem - było ich trzech, po jednym z każdej bostońskiej telewizji. Fotografowie - włącznie ze Zwierzakiem, który wciąż żując, zdejmował właśnie aparaty z szyi - przepchnęli się na sam przód sektora, Carl zaś z innymi dziennikarzami stanęli z tyłu. Rozpoznał ekipę „Boston Herald” i „Christian Science Monitor”, jak również paru reporterów radiowych; oprócz nich w konsulacie było kilku ludzi z gazet, których nie znał - między innymi kobieta w czarnej sukience nad kolana i prostym naszyjniku z pereł. Miała pończochy, na które zwykła Amerykanka musiałaby wydać tygodniowe zarobki, i buty na wysokim obcasie wypolerowane na wysoki połysk. Kasztanowe włosy upięła w skomplikowany kok tuż nad karkiem. Miała smukłe dłonie, a w nich notes i wieczne pióro. Kiedy odwróciła się do niego i uśmiechnęła, Carlowi zaparło dech w piersi - dawno już nie widział tak pięknej kobiety.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć uśmiechem, zwróciła się już z powrotem ku podium, na które wchodzili właśnie jacyś ludzie. Carl sięgnął po notatnik. Przedstawienie miało się zacząć lada chwila.

Młody człowiek w jasnoszarym trzyczęściowym garniturze oznajmił kulturalnym głosem z angielskim akcentem, że jest attache prasowym brytyjskiego konsulatu w Bostonie i ma przyjemność przedstawić Kima Redgrave'a, konsula. Kiedy wygłosił swoją kwestię, odpowiedziały mu oklaski i konsul wszedł na podwyższenie. Pozdrowił zebranych skinieniem dłoni. Kilka kroków za nim stał inny młody mężczyzna; w rękach trzymał ogromną tekturową planszę, którą mocno przyciskał do piersi. Sam konsul miał niewiele ponad czterdzieści lat, szeroki, promienny uśmiech, zaczerwienioną twarz i zaczątek pokaźnego brzuszka, na którym opinała mu się kamizelka.

- Chciałbym podziękować wszystkim państwu za przybycie tutaj i uczestnictwo w tym wspaniałym wydarzeniu - powiedział. Nie czytał z kartki. - Dzisiejszy wieczór ma szczególne znaczenie dla obywateli brytyjskich, zarówno tych mieszkających w Stanach Zjednoczonych, jak i tych, którzy pozostali w kraju. Od dziesięciu lat dokładamy wszelkich starań, by ulżyć w cierpieniach mieszkańcom tego wyniszczonego kraju; dziesięć lat po tej potwornej wojnie Amerykanie wciąż są obecni w naszych myślach i modlitwach. Mieszkańcy Bostonu zawsze zajmowali w ich sercach miejsce szczególne.. . - Konsul przerwał na chwilę i uniósł brwi. -

Pomijając oczywiście ten drobny incydent z herbatą, do którego doszło przed kilkuset laty.

Grzeczny śmiech publiki nie przebrzmiał jeszcze, gdy tuż przy uchu Carla rozległ się damski głos, z takim samym akcentem jak akcent Redgrave'a:

- Najmocniej przepraszam... Czy mogłabym panu zająć chwilkę? Odwrócił się i uśmiechnął, widząc, że zaczepiła go nieznajoma w czarnej sukience.

- Słucham?

- ...tak jak wy pomogliście nam w akcji „Paczki dla Wielkiej Brytanii” w latach czterdziestych, tak my teraz wam pomagamy, organizując „Paczki dla Ameryki” oraz, na naszym podwórku - „Paczki dla Bostonu”...

Kobieta przysunęła się bliżej i Carl uchwycił woń perfum - ulotną i cudowną, którą chciał zapamiętać jak najdłużej.

- Ten rudy za burmistrzem Tolandem... Kto to jest?

- Ty Keenan, jeden z rajców, przewodniczący rady miejskiej Bostonu.

- Co on tu robi?

- Poza tym, że wkurza burmistrza?

Zaśmiała się, a Carl uznał, że chętnie jeszcze raz by usłyszał, jak to robi.

- ...w okresie trzech wojen światowych wykształciła się nierozzerwalna więź, która w nadchodzących latach będzie się jeszcze zacieśniać...

- Niech pan mówi dalej - poprosiła.

- Ty zamierza w przyszłości zostać burmistrzem i chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

- ...dlatego dzisiaj w imieniu narodu brytyjskiego mam przyjemność ogłosić rozpoczęcie zimowej akcji humanitarnej „Paczki dla Bostonu”. Mam szczerą nadzieję, iż jest to ostatni rok, w którym mieszkańcy Bostonu, synowie tej wspaniałej ziemi, są uzależnieni od naszej pomocy, mimo iż udzielamy jej chętnie i bezinteresownie. Wiele dokonaliście na przestrzeni tych dziesięciu lat; niecierpliwie wyczekujemy chwili, gdy staniecie się dla nas równorzędnym partnerem na arenie światowej.

Redgrave zszedł z podium i odebrał od asystenta kartonową planszę. Odwrócił ją tak, by wszyscy zobaczyli, co przedstawia: była to kopia czeku wystawionego przez londyński Barclays Bank dla „Mieszkańców Bostonu” na sumę dziesięciu tysięcy funtów.

Zapisując tę wartość w notesie, Carl znów poczuł ukłucie złości. Mogli chociaż przeliczyć to na dolary, pomyślał. Konsul złożył czek na ręce burmistrza

Franklina Tolanda, który z uśmiechem podał mu rękę. Jak na dany znak kamery zrobiły zbliżenie i zaczęły błyskać flesze. Carl świetnie się bawił, obserwując Ty Keenana, który za wszelką cenę chciał się znaleźć na pamiątkowym zdjęciu; burmistrz zaś, używając kartonowego czeku w charakterze tarana, łagodnie spychał konsula na bok podwyższenia, by Keenan nie zmieścił się przypadkiem w kadrze któregoś z fotografów.

Przez tłum przebiegła fala oklasków i kobieta znów szepnęła mu do ucha:

- Co pan myśli o tym „ostatnim roku”? Czy on naprawdę w to wierzy?
- Może... Ale są i tacy, którzy twierdzą, że nie doczekamy takiej chwili.
- Jak to?

- Mówi się, że Redgrave'owi podoba się posada konsula w Bostonie; że inni konsulowie i ambasador lubią wtykać nos w nasze sprawy, kontrolować rozwój swojej byłej kolonii. Kierowanie znaczną częścią naszej pomocy humanitarnej oznacza władzę i wpływy, a ludzie, którzy je zdobędą, nie lubią się z nimi rozstawać. Tak słyszałem.

Jowialna twarz burmistrza pokraśniała z zadowolenia, kiedy przemawiał; w przeciwieństwie do konsula miał gotową mowę na kartce. Jego podniszczone buty ginęły niemal całkowicie pod zbyt długimi spodniami, których nogawki szurały za nim po podłodze.

- Zapewne dwieście lat temu nikt w tym mieście i w tym kraju nie darzył waszych praojców sympatią - zaczął Toland. - Prawdą jest, że wy, ich dziedzice, wygraliście najważniejszą bitwę o Boston, bitwę o serca jego mieszkańców.

- Cyniczne to - stwierdziła kobieta. Carl klął w duchu, wciąż nie mogąc odczytać jej nazwiska z identyfikatora. - Nie sądzi pan?

Na całe szczęście burmistrz wrócił do tematu spotkania:

- Wielki to dla mnie zaszczyt, że mogę odebrać tak wspaniały dar od naszych kuzynów zza Atlantyku. Proszę was o przekazanie najszczerzych wyrazów wdzięczności królowej, całemu parlamentowi i premierowi Heathowi.

Kolejne oklaski.

- Powiem pani, co sądzę, ale pod warunkiem że zdradzi mi pani, jak się nazywa - odparł Carl.

- Och, przepraszani. - Kobieta odwróciła się tak, żeby mógł odczytać nazwisko z identyfikatora: Sandra Price, „The Times”. - Ale tylko mama i jej ciotka mówią do mnie Sandro. Wszyscy pozostali nazywają mnie Sandy.

- Carl Landry, „Boston Globe” - przedstawił się i podał jej rękę. - Nie wiedziałem, że „Times” ma biuro w Bostonie.

- Bo nie ma. - Sandra podniosła głos, gdyż tłum znów zaczął klaskać i wiwatować. - Jestem tu na specjalne zlecenie.

- Jakie? Śledzi pani burmistrza Bostonu?

- Skądże znowu. - Uśmiechnęła się. - Pracuję nad materiałem o dziesiątej rocznicy,

- Ach... - Nie musiał pytać, o jaką rocznicę chodzi. - Cóż, życzę powodzenia.

- Dziękuję. Ale obiecał mi pan powiedzieć, co pan sądzi. Wie pan już, jak się nazywani, więc...

Przyjrzał się jej uważnie, nie wiedząc czemu przypominając sobie stertę przedwojennych żurnali mody, które znalazł w szafie zaraz po przeprowadzce. Cały wieczór przerzucał zawilgłe, pachnące pleśnią kartki, oglądając zdjęcia modelek. Amerykańskie kobiety przed wojną były uśmiechnięte, dobrze odżywione, miały idealną cerę; otaczała je aura energii i entuzjazmu, jakby miały świadomość, że mogą zrobić wszystko, czego tylko zapragną. Nie musiały się martwić, że zabraknie jedzenia, że dzieci zaczną im chorować z powodu niedożywienia albo napromieniowania, że nagle okaże się, iż ich mężowie są bezpłodni. Nieliczne obecnie publikowane magazyny kobiece zajmowały się raczej tym, jak wykorzystać barwniki spożywcze do makijażu i jak sprawdzić przeszłość „idealnego partnera”, żeby mieć pewność, czy nie zapuszczał się do stref skażonych.

Sandy wyglądała tak, jakby zeszła z kart przedwojennych pism; Carl zarazem zazdrościł jej i czuł się urażony. Nie pamiętał już, kiedy oglądał tak zdrową, atrakcyjną kobietę.

- Co ja sądzę... - zaczął z namysłem. - Niewiele to warte, ale wydaje mi się, że związek, w którym jedna strona tylko daje, a druga tylko bierze, nie jest zdrowym zjawiskiem. Po obu stronach narastają pretensje, a to może prowadzić do konfliktu.

- Do konfliktu?

Carl przypomniał sobie podsłuchaną w stołówce rozmowę dwóch dziennikarzy - tę o żołnierzach w Kanadzie.

- Właśnie. Może już czas, żeby ofiarodawcy przestali dawać i pozwolili obdarowywanym żyć na własny rachunek.

- Ale my tylko chcemy pomóc wam odbudować kraj, żebyście mogli być dla nas równorzędnym partnerem.

- Równorzędnym? - Uśmiechnął się. - Czy może nie całkiem? Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Tego i tak teraz nie rozstrzygniemy, prawda? - Musnęła jego łokieć. - Zwykle nie jestem taka bezpośrednia, ale czy nie miałby pan ochoty wpaść na małe prywatne przyjęcie? Kiedy ci wszyscy ludzie sobie stąd pójda, na górze szykuje się mała nieformalna imprezka. Powiedzmy, że zapraszam w podzięce za pańską pomoc i opinię.

- Muszę wrócić do redakcji i splotzić sprawozdanie do jutrzejszego wydania. Znów ten zabójczy uśmiech.

- Nie skończymy tak szybko. Zapowiem odźwiernemu, że pan przyjdzie. Urnowa stoi, panie Landry?

- W porządku.

Zerknął do notesu - niewiele w nim zapisał; podczas wszystkich tych przemówień tylko raz do niego zajrzał. Patrzył, jak szczupła, elegancka Sandy Price usiłuje przebić się przez otaczający konsula tłum; uśmiechnął się, widząc, jak umiejętnymi kuksańcami rozpycha ludzi, żeby znaleźć się w pierwszym szeregu.

W redakcji było prawie pusto. Zanim zabrał się do pracy, sprawdził, czy nie ma dla niego poczty. Nic. Grace uprzedzała, że znalezienie czegoś o ludziach z listy zajmie jej kilka dni, ale lepiej będzie regularnie sprawdzać. Może jutro... A może nigdy. Stukał szybko, mocno w klawisze maszyny, przywołując z głowy cytaty i szczegóły bankietu; przede wszystkim starał się wymazać z pamięci obraz, zapach i głos Sandy Price. Kiedy zgarnął stos kartek, szykując się do przeniesienia ich na biurko szefa działu, zjawił się obok niego goniec.

- Zanieść je, Carl?

- Dzięki, Sam. - Wyprostował zrolowane kartki i podał je Samowi. Sam Burnett był minimalnie starszy od niego, miał na sobie džinsy i grubą bawełnianą koszulkę. Dzień w dzień nosił też czapkę Red Soksów. Był jednym z najbystrzejszych i najsympatyczniejszych gości, a przy tym najstarszym - choć tylko według daty urodzenia. Jego psychika odpowiadała mniej więcej psychice piętnastolatka.

- Jak leci? - Carl wstał od biurka i zdjął marynarkę z oparcia krzesła.

- Całkiem nieźle. Słuchałem u mamy w radiu transmisji z finału baseballu i wciąż nie mogę uwierzyć, że Soksi przegrali z Tigersami.

- Komu kibicujesz? Cincinnati?
- Nie, Detroit. - Sam zmarszczył brwi. - Nie znoszę tych z National League.
- Może za rok im się uda, nie?
- Pewnie, Carl. - Sam z zapalem pokiwał głową, - Za rok się uda. Na razie.
- Na razie.

Sam przemknął wśród stanowisk reporterów, kierując się w stronę biurka działu miejskiego, a potem biegiem wypadł z redakcji. Obserwując go, Carl snuł ponure wizje: co by było, gdyby zabrał go ze sobą na przyjęcie do konsulatu i kazał Sandy przeprowadzić z nim wywiad do tekstu o dziesiątej rocznicy? Ciekaw był, czy zdołałaby zachować zimną krew, tę angielską grzeczność i szczerłość, gdyby stanęła oko w oko z tym kombatantem i poznała jego historię. Dziesięć lat temu Sam był nawigatorem na pokładzie B-52 i kierował maszyną nad cel. Carl nie znał szczegółów, ale mógł się domyślać, co się stało i dlaczego Sam skończył w redakcji jako goniec – na posadzie zarezerwowanej dla weteranów wojennych - podawał kawę i kanapki reporterom i redaktorom. I nie chciał dorosnąć.

Kto mógłby go winić za to, że chce mieć znowu piętnaście lat? Po tym, jak pomógł kolegom z załogi unicestwić ponad milion ludzkich istnień?

Kiedy Carl wrócił do konsulatu, skierowano go do zatłoczonego pokoiku na piętrze, z cztery razy mniejszego od sali balowej na parterze. Wśród gości dominowali Brytyjczycy; z zadowoleniem odnotował brak majora Devane'a. Ciągła obecność redaktora nadzorczego popsułaby mu wieczór, choć i tak czuł się trochę nie na miejscu - wszyscy ci eleganccy mężczyźni i kobiety posyłali mu badawcze spojrzenia, gdy powoli brnął przez tłum w kierunku Sandy. Nigdy przedtem nie znalazł się w towarzystwie tylu Anglików naraz i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wygląda wśród nich niczym egzotyczny zwierz na wybiegu. Próbował odgadnąć ich myśli i wcale nie było mu z tym dobrze: oto idzie Amerykanin, tak jak wszyscy Amerykanie odpowiedzialny za śmierć i zniszczenia w Związku Radzieckim, na Kubie i kilku innych krajach, które zawiniły tylko tym, że znalazły się na drodze chmur opadu radioaktywnego z amerykańskiej broni nuklearnej.

Ze sprzętu grającego ustawionego na barze dobiegała muzyka, w rytm której w kącie tańczyło grono młodszych pracowników konsulatu - mężczyźni w szerokich krawatach i modnych garniturach z ogromnymi klapami, kobiety w krótkich sukienkach, z wysoko upiętymi włosami. Wszyscy uśmiechali się szeroko i mieli gładką cerę. Carl zaczął się zastanawiać, czy któreś z nich wie, jak to jest żyć dzień w dzień na skąpych racjach żywnościowych i bez stałego dopływu prądu.

- Tak się cieszę, że wpadłeś - powiedziała Sandy. - Zdążyłeś z tekstem?
- Miałem dziesięć minut zapasu.
- To świetnie.
- Co to za muzyka? - spytał Carl. - Pierwszy raz słyszę coś takiego.
- Francuska, nazywa się disco. Nie wyszedłbyś się przewietrzyć? Strasznie tu nadymione.
- Prowadź. W końcu jesteś tu u siebie w domu. Uśmiechnęła się.
- Może nie w domu, ale to jednak kawałek Anglii.

Sandy poprowadziła Carla pod przeciwległą ścianę, gdzie wysokie przeszkłone drzwi wychodziły na taras. Przymknęła je, tłumiąc dźwięk muzyki i szmer rozmów. W oddali Carl dostrzegł nieliczne nocne światła Bostonu; w dole rozciągał się mały ogrodzony park.

- Już mi lepiej - stwierdziła Sandy, rozcierając nagie ramiona. - Dym i ta

nieustanna gadanina z czasem zaczynają człowiekowi działać na nerwy, nawet jeśli jako reporter powinien słuchać, co się mówi.

- Nie zimno ci?

- Nie, na razie jest w sam raz. Rozgrzałam się trochę. Powiedz mi, Carlu Landry, jak długo pracujesz dla waszego wspaniałego „Globe”?

- Cztery lata.

- A co robiłeś przedtem?

- Byłem na służbie u wuja Sama.

- U wuja... Ach tak, rozumiem. Jakiej służbie?

- W wojsku. Potem dopisało mi szczęście i zahaczyłem się w „Globe”. A ty, Sandy? Od kiedy w Krzykaczu?

Mimo półmroku dostrzegł, że Sandy się uśmiecha.

- Ładnie... Nie wiedziałam, że ksywka „Timesa” dotarła aż za Atlantyck.

- Z Europy trafiają do nas nie tylko koce i wołowina w puszkach.

- To fakt. No dobrze, oto skrócona biografia Sandry Pittwood Price. Jedynaczka, dzieciństwo spędziła w Londynie, gdzie uczęszczała do makabrycznej szkoły publicznej - wy tutaj nazwalibyście ją prywatną. Potem dostała się na Oxford, gdzie spędziła niewiarygodnie dużo czasu, studiując przewspaniałą historię literatury brytyjskiej, od Shakespeare'a do Milтона. Chociaż szczerze mówiąc, większą frajdę sprawiali mi pisarze amerykańscy: Twain, London, Kerouac.

- Brzmi nieźle.

- Dobrze wspominam studia, ale nie mogłam się doczekać, kiedy je skończę. Oxford to bardzo przyjemne miejsce, ale okropnie przy tym starożytne i przykurzone; czasami miałam dość tej zamkniętej atmosfery. Chciałam pisać o prawdziwym świecie. Tato pracuje w Whitehallu, więc pociągnął za sznurki raz czy dwa i dostałam pracę w „Timesie”. I oto trafiłam do waszego uroczego zakątka. Słuchaj no, czy ty zawsze opracowujesz materiał z takich imprez jak ten nasz bankiet?

- Nie - odparł Carl, opierając się plecami o żelazną balustradę. - Jestem zwykłym reporterem z działu miejskiego; robię to, co mi szef każe: piszę o wypadkach samochodowych, pożarach, zabójstwach.

- Dlaczego dziś cię tu przysłał?

Carl się uśmiechnął. Bawiła go wymiana informacji z tą piękną młodą kobietą.

- Żeby mnie ukarać.

- Co takiego? Ukarać cię? A za co?

- Bo jestem uparty i czasem nie robię tego, co mi każe.

Sandy roześmiała się głośno.

- Wszyscy redaktorzy są tacy sami, po obu stronach Atlantyku. Mojemu szefowi wydaje się, że może mnie wysłać na tydzień do Stanów, a ja od razu wykroję z tego pięcioodcinkowy reportaż. Głupek. Nie ma pojęcia, jak tu jest.

Te słowa pobudziły ciekawość Carla.

- No właśnie, powiedz mi, jak tu jest?

- Nie rozumiem...

- Jakie odnosisz wrażenie? Nie chciałem być niegrzeczny; po prostu jestem ciekaw, co myślisz.

Sandy również wydawała się zaciekawiona, choć chyba z innego powodu.

- Mówisz poważnie?

- Całkowicie. Nigdy nie rozmawiałem z zagranicznym dziennikarzem. Chciałbym się dowiedzieć, jakie wrażenie na was robimy.

Sandy znowu potarła odsłonięte ramiona.

- Wiesz, ja też pierwszy raz udzielam wywiadu... Pierwsze wrażenie... Zawsze chciałam pojechać do Ameryki, nawet po wojnie; fascynuje mnie wasza historia, kowboje, rock and roli. Trzeba jednak przyznać, że nasze gazety starają się, żeby obrzydzić Brytyjczykom takie pomysły. Po trosze spodziewałam się chyba, że zobaczę wypalone zgliszczka i głodujących ludzi na ulicach. Cieszę się, że jest inaczej, przynajmniej w Bostonie. Miasto wydaje się małe, pewnie przez te kręte uliczki, ale tętni życiem, jakby wszyscy uparcie parli naprzód, jakby gdzieś się spieszyli. Nie obraż się, ale najbardziej zdziwiły mnie brudne ulice i chodniki.

- Nie obrażę się. - Carl miał ochotę pomóc jej rozcierać zmarznięte ręce. - Kiedy codziennie toczy się walkę o wyżywienie mieszkańców, czystość ulic schodzi na dalszy plan. Co jeszcze?

- Ludzie, z którymi rozmawiałam, byli uprzejmi, chociaż chłodni w obejściu; nie udało mi się przeprowadzić żadnego poważnego wywiadu, odkryć ich głębszych myśli. Najczęściej po prostu wypytują o mnie - co jem, jak działa nasza opieka zdrowotna, takie tam... Czy w porównaniu z Bostonem na ulicach jest bezpiecznie. Mało kto mi wierzy, kiedy mówię, że u nas policja nie nosi broni.

Carl złapał się na tym, że nie może oderwać od niej oczu. Starał się nie gapić zbyt natrętnie, ale nie umiał się powstrzymać - była taka urocza.

- Jeszcze coś ciekawego zauważyłaś?

- Chyba nie, bo i od niedawna tu jestem. Najciekawsza była jak dotąd wycieczka do Filadelfii. Mój szef chciał, żebym podesłała mu coś o nowej stolicy, i udało mi się wydusić piętnastominutowy wywiad z prezydentem Romneyem.

Carl nie krył swojego podziwu; stary George lokalnej prasie nie udzielał wywiadów w cztery oczy.

- Niezły wyczyn. Jak było?

- Nic nadzwyczajnego, wiesz? Siedzieliśmy w biurze, jakich pełno w centrum miasta, z tą różnicą, że wszędzie kręcili się ochroniarze z armii i z Secret Service. Romney to właściwie miły facet, ale gadał jak najęty o budowie nowego Białego Domu, a kiedy zadawałam konkretne pytania, odpowiadał ogólnikami. Chociaż bardzo grzecznie. Co sądzi na temat przymierza francusko-niemieckiego? Sprawy Europy należy zostawić Europejczykom, odpowiada z tym swoim uśmiechem dobrego dziadunia. A co z rosnącymi wpływami Japonii na Pacyfiku? Tak jak Europa Azja również powinna sama zająć się swoimi sprawami. Mamy dość własnych, niecierpiących zwłoki problemów. Jak pan skomentuje twierdzenia, że generał Ramsey Curtis wciąż odgrywa kluczową rolę w rządzeniu krajem?

Carl zacisnął z całej siły ręce na poręczy.

- Dziwię się, że po tym pytaniu nie wyrzucili cię z gabinetu. Sandy wzruszyła ramionami.

- Wiem, że uznali mnie za arogancką babę, ale prezydent tylko się roześmiał i wyjaśnił, że generał Curtis jest emerytowanym, godnym zaufania doradcą - jednym z wielu doradców - i że kraj ma u niego ogromny dług wdzięczności za to, jak się spisał w wojnie kubańskiej. Czułam się tak, jakby chciał po ojcowsku poklepać mnie po główce. Na tym się skończyło. Jego asystent wyciągnął mnie z biura, żeby prezydent mógł sobie zrobić zdjęcie z Miss Kalifornii czy kimś tam. Pół godziny później siedziałam w samolocie do Bostonu.

- Niezła wycieczka.

- Na pewno tobie też nieraz się takie trafiają. Carl poczuł nagle, nieprzyjemne ukłucie wstydu.

- Nie, szczerze mówiąc, nigdy mi się nie trafiła taka wycieczka. Odkąd pracuję dla „Globe”, nie wyjechałem poza Nową Anglię. Benzyna jest na kartki, tak że samochód odpada, a inne środki transportu są za drogie. Nie zajmuję się polityką ani pomocą humanitarną, więc nie mam po co jeździć do Filadelfii. Kurczę, jak się zastanowić, to chyba nie rozmawiałem w tej robocie z nikim spoza Nowej Anglii!

Międzymiastowe zamawia się u nas z co najmniej tygodniowym wyprzedzeniem.

- W takim razie przepraszam. Ale powiem ci coś w zaufaniu, Carl: niewiele tracisz. Filadelfia to po prostu jeszcze jedno rozgorączkowane miasto, które cierpi na nadmiar ludzi i biurowców. Nie licząc tego niby wywiadu, najciekawszy w całej wyprawie był lot powrotny. Widziałam jeden z kraterów w Nowym Jorku. Niesamowite wrażenie.

Carl odruchowo rozejrzał się dookoła, czy nikt ich nie słyszy.

- Pilot chyba zboczył z kursu, skoro podlecieliście tak blisko. Sandy, w przeciągu tych kilku dni zrobiłaś i widziałaś więcej niż najlepsi dziennikarze w „Globe”.

- Serio? - Sandy przysunęła się bliżej. - Szkoda tylko, że mój redaktor mi nie uwierzy, nawet jakbym się na ciebie powołała.

- A ten krater... - Carl napawał się jej bliskością. Ciekawe, zastanawiał się, czy zmarła, czy po prostu chciała się przysunąć? - Jak wygląda?

- Niewiele widziałam. Wysłałam właśnie z toalety, kiedy ludzie siedzący po prawej stronie zaczęli szeptać i coś sobie pokazywać za oknem. Wyrzałam, z trudem rozpoznałam wieżowce na Manhattanie, a dalej na wschód rozciągał się wielki szary placek, ciemnoszary, tak jakby ktoś zrzucił na Ziemię krater z Księżyca. Kiedy go minęliśmy, zauważyłam takiego eleganckiego faceta; siedział przy oknie, przez które patrzyłam. Zacisnął pięści, przycisnął je do twarzy i płakał, szlochał, zupełnie po cichu. Wtedy włączył się pilot, powiedział coś o planowanym czasie przylotu, o pogodzie w Bostonie i przypomniał, że któraś tam ustawa zabrania robienia zdjęć z powietrza. Podziękował za wspólny lot pan amem. Dziwne to było, naprawdę dziwne.

- Ciekawe doświadczenie.

- Naprawdę tak sądzisz? Marzy mi się, żeby tu zrobić i zobaczyć wszystko, co tylko się da. Poza szarymi ludźmi z ulicy chciałabym się spotkać z generałem Curtisem, porozmawiać z kimś, kto przeżył inwazję na Kubę, pojechać na Manhattan.

- To może przy okazji polecisz na Księżyc?

- Jeśli tylko Niemcy mi pozwolą, to z przyjemnością. - Sandy przysunęła się jeszcze bliżej; drżała na całym ciele. - Nie lekceważ mnie, Carlu Landry z „Boston Globe”. Wielu ludzi mnie zlekceważyło, a dzień później mogli o tym przeczytać w mojej gazecie. Zobaczysz: nie ruszę się stąd, póki nie dostanę tego, co chcę.

Ochłodziło się. Wrócili do sali i Sandy zaproponowała, że postawi mu drinka. Przyjął zaproszenie, ale przeprosił ją na chwilę i zniknął w bocznym korytarzu, gdzie

mieściła się maleńka męska toaleta: jedna kabina i dwa pisuary. Z pisuarów korzystali właśnie dwaj urzędnicy konsulatu, chwiejąc się lekko na nogach i chichocząc nie wiadomo z czego. Carl wszedł do kabiny, zamknął drzwi i usiadł. Mężczyźni splukali pisuary, potem usłyszał, jak drzwi łazienki otwierają się i zamykają - w toalecie zjawilo się dwóch nowych klientów. Najpierw słyszał tylko ciche pomrukiwania, ale potem zaczęły go dolatywać strzępy rozmowy. Jeden z głosów był bardzo wysoki, niemal damski. Carl podniósł nogi i przytknął ucho do drzwi kabiny, żeby lepiej słyszeć.

- ...z Ottawy.
- Jak poszło?
- ...ci cholerni Kanadole boją się zemsty. Odmieniło im się. Nawet z pomocą naszej obrony przeciwlotniczej uważają...
- ...trudno ich za to winić, co...? Jak się ma takich gangsterów za sąsiadów...
- ...ale przecież mają swoje obowiązki, należą do Commonwealthu...
- ...jak już załatwi się sprawę Jankesów, zajmiemy się naszymi kuzynami z Kanady...

Któryś z mężczyzn roześmiał się, rozległ się szum płynącej wody i Carl został w łazience sam. Kiedy opuścił nogi na podłogę., ze zdumieniem stwierdził, że drżą.

Kiedy wrócił na przyjęcie, Sandy rozmawiała właśnie z dwoma eleganckimi mężczyznami. Ujrawszy go, rzuciła coś krótko - nie słyszał słów - i obaj jej towarzysze wtopili się w tłum. Przez chwilę zastanawiał się jeszcze, czy byli to ci sami ludzie, których słyszał w łazience. Sandy zamówiła piwo, kiedy z okrzykiem: „Sandy, kotku, tu jesteś!” przyłączył się do nich młody attache prasowy konsulatu Douglas Harris i we troje stanęli przy barze. Muzyka umilkła, tak że nie musieli już podnosić głosu. Sandy dokonała prezentacji.

- Jak ci się podobała nasza mała bibka? - zagadnął Carla Harris.
- Niczego sobie. - Carl pociągnął łyk ciemnego, ciepłego piwa. Było słabe i rozwodnione jak wszystkie amerykańskie piwa. Nic dziwnego, skoro większość zboża przeznaczano na chleb. Zdawał sobie sprawę, że gdyby wypił jeszcze jedno oryginalne angielskie, zasnąłby pod stołem. Powiódł wzrokiem po ludziach, rozmyślając, których to dwóch dżentelmenów z taką swobodą rozmawiało o „załatwieniu sprawy Jankesów”. Coś było na rzeczy, szykowało się coś naprawdę paskudnego; instynkt reportera i żołnierza kazał mu czym prędzej uciekać z przyjęcia.

Uciekać - i co dalej? Zadzwoń do generała Curtisa i ostrzec go, że Angole nadchodzą? Czy Sandy rozmawiała właśnie z tymi dwoma facetami, czy może z jakimiś przypadkowymi urzędnikami z konsulatu? Uspokój się, nakazał sobie w duchu. Smakuj piwo, ciesz się obecnością tej kobiety i nie psuj sobie wieczora.

- Czwarty raz uczestniczyłem w tej ceremonii - ciągnął Harris. - Cztery lata siedzę już w Stanach, w Bostonie. To piękne miasto.

- Douglas czuje się tu już jak tubylec - wtrąciła Sandy.

- Niezupełnie. - Attache uniósł szklanke z piwem. - Ale podoba mi się ten kraj, a w każdym razie ta jego część, którą widziałem. Góry w New Hampshire są cudowne, a homary z Maine znacznie większe od naszych. Fantastyczne. - Poklepał się po brzuchu. - Szkoda, że nie wysyłacie ich za granicę.

- Przepisy eksportowe - wyjaśnił Carl. - Powinieneś się cieszyć, że nie wysłali cię do Paryża; jadalbyś żabie udka.

Wszyscy troje się roześmiali.

- Pisujesz w ogóle o polityce, Carl? - zainteresował się Harris.

- Nie, tylko o sprawach lokalnych. Dziś wieczorem jestem tu... - Carl spojrzął na Sandy, która przyglądała mu się z zainteresowaniem. Podobało mu się to. - Na specjalne zlecenie. Zastępuję kogoś.

- Ach, rozumiem. - Znów zabrzmiała muzyka, tym razem cicho, łagodniej: Penny Lane Beatlesów nie przeszkadzało w rozmowie. - Zawsze bardzo interesowała mnie wasza scena polityczna. Tydzień temu gubernator McGovern zorganizował wiec. Byłeś na nim?

- Nie interesuję się polityką.

- Czemu? - zaciekała się Sandy. Carl wzruszył ramionami.

- Bo i po co? Za tydzień Rockefeller skroi McGovernowi tyłek, a Demokraci przegrają w Kongresie. Za cztery lata inny demokratyczny kandydat dostanie po nosie i tak dalej, i tak dalej, aż do końca stulecia. Dlatego większość ludzi nie chodzi do urn. Po co?

- Ponura przepowiednia, nie ma co - zauważył Harris.

Carl mówił dalej, mimo że nie miał ochoty wdawać się w dyskusję. Może sprawił to nadmiar piwa, może duszna atmosfera, a może fakt, że Sandy śledziła każdy jego ruch. Chciał jej pokazać, że jest kimś więcej niż zwykłym psem gończym z gazety, że zasługuje na coś więcej niż podpis pod tekstem. Nie wiedział czemu, ale zależało mu na tym, żeby dobrze o nim myślała.

- Wiecie, co to jest „zakrwawiona koszula”? - zapytał. Ich puste spojrzenia wyrażające kompletny brak zrozumienia sprawiły mu przyjemność. - Chodzi o sprawę z czasów, kiedy zakończyła się wojna secesyjna, druga w kolejności najkrwawszych wojen na ziemi. Zaczęła się od zamachu na naszego ukochanego prezydenta. Większość demokratów pochodziła z Południa i kiedy zbliżały się wybory, republikański kandydat pokazywał na wiecach zakrwawioną koszulę. „Oto dziura po kuli, którą wystrzelił demokratyczny zdrajca”, mówił. Ludzie długo pamiętali wojnę i długo głosowali wspomnieniami. Dopiero dwadzieścia lat później demokrata zasiadł w Białym Domu. Grover Cleveland został prezydentem w 1885 roku.

- I myślisz, że to dalej działa - podsunęła Sandy, bawiąc się leżącą na barze serwetką.

- Oczywiście, chociaż koszula nie jest zakrwawiona, tylko zwęglona i radioaktywna. Większość ludzi uważa, że to demokratyczny prezydent i zdominowany przez Demokratów Kongres wpakował nas w wojnę kubańską. Dobrze to zapamiętali i jeszcze długo będą pamiętać. Oczywiście Republikanie nie są aż tak nieokrzesani, żeby wprost o tym mówić; wolą używać pewnych kluczowych słów i zwrotów. Mówią, że Demokraci to internacjoniści, którzy dążą do powrotu do ONZ i podpisania układów rozbrojeniowych, którzy chcą zrezygnować z suwerenności kraju i tak dalej. A ludzie mają świat w dupie i wolą głosować na Republikanów, którzy obiecują odbudowę kraju, więcej jedzenia i hojną pomoc naszych brytyjskich przyjaciół.

- Dlaczego Stany nie chcą podpisać traktatu o rozbrojeniu? - spytała Sandy, spuszcżając wzrok. - Jesteście jedynym krajem na świecie, który ma broń atomową: zostało wam trochę z wojny kubańskiej. Świat się was boi, Carl. Podpisanie takiego układu mogłoby bardzo poprawić stosunki z innymi państwami.

Carl pociągnął solidny łyk piwa. Cieszył się jego dymnym aromatem, cieszył się też, że jest w centrum uwagi i ludzie zadają mu istotne pytania; mógł rozmawiać o sprawach, których zwykle nie poruszało się w redakcji.

- Bo mimo kartek na benzynę i niedostatków żywności to właśnie dzięki broni nuklearnej wciąż jesteśmy krajem, z którym trzeba się liczyć. A gdybyśmy pozbyli się rakiet i bomb i wpuścili obserwatorów ONZ do naszych baz... Koniec z nami. Będziemy drugą Albanią, tylko z lepszą siecią dróg.

Harris właśnie miał coś powiedzieć, gdy przerwał mu nagły triumfalny okrzyk:

- A, mam was! - Starszy, pomarszczony mężczyzna o zaczerwienionej twarzy

przyłączył się do nich przy barze. Kiedy mówił, lekko przeciągał słowa. - Farley James, do usług. Z londyńskiego „Suną”, prawdziwej gazety, a nie takiej lizusowskiej szmaty, dla jakiej pracuje Sandy.

Sandy przedstawiła mu Carla i odparła:

- Ja przynajmniej za to, co robię, dostaję godziwe pieniądze i nie muszę przetykać artykułów reklamami kremów do pielęgnacji piersi i rekwizytów seksualnych.

- Tak jest! - Harris szturchnął Jamesa w ramię. - Ale ci przywaliła, Farley! Nie zaczynaj z większą gazetą, bo przegrasz.

James uśmiechnął się pogodnie, łyknął piwa i zwrócił się do Carla:

- Landry, tak? Pismak z „Globe”?

- Tak mam w kontrakcie.

- „Globe”... W porównaniu z innymi całkiem niezły, ale wszystkie te wasze gazety to jeden śmieć. Zresztą sam wiesz, jak jest...

- Daj spokój, Farley - wtrąciła Sandy. Douglas zamarł z przyklejonym do twarzy uśmiechem; chyba z przyjemnością cofnąłby się w czasie, żeby znaleźć się znowu na podium i martwić się tylko tym, jak przedstawiać gościom nowego konsula.

- Nie - odrzekł Carl, spokojnie sącząc piwo. Przyszło mu do głowy, że chętnie wyróżniłby temu zadowolonemu z siebie dupkowi prosto w nos. - Nie wiem.

James oparł się o bar, kołysząc się na nogach, jakby stał na rozchybotanym pokładzie statku i bał się, że straci równowagę.

- Sam się zastanów, staruszkule - powiedział. - Kiedyś wasze gazety coś znaczyły, nie tylko tu, w kraju, ale i za granicą. Ale teraz, kiedy cenzura zagląda wam przez ramię, produkujecie głównie bełkot. - Beknął cicho i mówił dalej: - Cała ta Ameryka to jeden wielki śmietnik. Nie mogę się już doczekać, żeby wrócić do domu. Tu się wszystko wali, aż przykro patrzeć. Jak możecie odzyskać dawną chwałę, jeśli pod butem trzyma was domorosły Napoleon? W stanie spoczynku, rzecz jasna. Jak wy chcecie równać się z innymi? Jezu

Chryste, przecież kiedyś Stany naprawdę coś znaczyły: ludzie patrzyli na was z podziwem, zachwycali się, waszym systemem władzy, Deklaracją praw... Kurczą, nawet tą waszą coca-colą! Musicie odzyskać prestiż!

- Niektórzy mówią, że najlepszym dowodem ich wielkości jest to, jak się pozbierali, Farley - wtrącił pojednawczo Harris. - Po tym, jakie straty ponieśli...

- E tam... - James machnął lekceważąco ręką. - Popatrzcie lepiej na żółtków i

Szwabów. Pamiętacie, jak ich ostatnio załatwiliśmy? Przejechaliśmy się po nich tam i z powrotem, jakby ich walec rozprasował. I kto nam teraz najbardziej podskakuje, co? Chociaż minęło dopiero dwadzieścia kilka lat. Atu wszystko się sypie, i nie chodzi mi tylko o domy czy ulice. Nie, mam na myśli rząd, politykę. Nie możecie sobie pozwolić na to, żeby chować głowę w piasek, Carl. Wy, Jankesi, musicie wyjrzeć ze skorupy i znów przejąć rolę lidera na świecie. Musicie być silni, a nie słabi, tak że się wszyscy nad wami litują.

Carl dopił piwo i drżącą ręką ostrożnie odstawił szklankę na kontuar. Bał się, że ją rozbije.

- Kiedy ostatnio byliśmy silni, zginęło dziesięć milionów naszych obywateli - powiedział, patrząc Jamesowi w oczy. - Więc darujcie nam, jeśli tym razem nie chcemy przewodzić światu. Miło było cię poznać, Douglas. Dzięki za piwo, Sandy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, słysząc, jak James gorączkuje się, gdy młodszy koleś po fachu zaczęli się z nim sprzeczać.

Chłodne powietrze trochę go uspokoiło, ale idąc do samochodu, wciąż odczuwał złość i rozdrażnienie. Ulice świeciły pustkami, jeśli nie liczyć kilku rozklekotanych taksówek; większość świateł na skrzyżowaniach nie działała. Cienie były czarne i głębokie. Carl wiedział, że nie powinien przejmować się słowami starego dziennikarza, ale nic nie mógł poradzić na to, że go zabolą. No dobrze, zabolą - i co z tego? Kto ci dał prawo, Carlu Landry, reporterze „Globe” i były sierżancie, występować w obronie wiary i ziemi?

Kopnął leżącą na chodniku zmiętą gazetę. Najbardziej drażniła go ich zarozumiałość i arogancja widoczna w całym zachowaniu i w każdym słowie. I ta uczta - tyle jedzenia wystarczyłoby dla kilku rodzin na miesiąc. I czek - wystawiony w funtach szterlingach - podarowany nie posiadającym się z wdzięczności potomkom dzielnych ludzi, którzy dwieście lat temu wyrzucili Brytyjczyków z Ameryki. I ta rozmowa w łazience. Coś się szykowało, ktoś zamierzał „załatwić sprawę Jankesów”.

Minął leżącą pod ławką, owiniętą w koce sylwetkę. Spod koców dobiegł go jęk - ten człowiek chyba nie miał nóg. Carl, nie zwalniając kroku, przeszedł przez ulicę. Widział już swój samochód zaparkowany przy krawężniku obok zdemolowanego wraku innego wozu. Włożył rękę do kieszeni i namacał kluczyki, wciąż rozmyślając o tym, co powinien był powiedzieć Jamesowi.

Mniej więcej piętnaście metrów od coroneta doszedł do wniosku, że niewiele

miał do powiedzenia. Prawda była najlepszą obroną.

A mniej więcej pięć metrów od coroneta rzucili się na niego.

Wysypali się z bocznej uliczki, spomiędzy przepelnionych kontenerów i pojemników na śmieci, niczym nietoperze z jaskini. Mieli po kilkanaście, najwyżej dwadzieścia kilka lat. Każde niosło w ręce cegłę albo kij, które na wypadek nagłego pojawienia się policji mogli porzucić wśród śmieci i nikt nie uznałby ich za śmiertelnie niebezpieczną broń. Dowodził nimi wysoki chłopak o wychudłej twarzy.

- To on! - zawołał. - Brać go!

Śmiejąc się, podeszli bliżej, a Carl odruchowo odnotowywał szczegóły: obcisłe dżinsy, ciężkie buty, krótkie skórzane kurtki, łańcuchy, podrabiane sowieckie epolety, włosy na zapalną - bez różnicy, chłopcy i dziewczyny. Gang sierocy w akcji. Jak w każdą sobotnią noc szukali pewnie zwierzyzny, a on akurat im się napatoczył. Znał statystyki; pamiętał, że gangi nie lubią zostawiać świadków; zdawał sobie sprawę, jak ma skończyć, i wiedział, że powinien się bać.

Ale zamiast się przestraszyć, przypomniał sobie słowa sierżanta, który z górami dziesięć lat temu prowadził szkolenie na piaszczystym poligonie w Fort

- Pamiętaj, Landry, jeśli okrążający cię ludzie nie są przeszkoleni i dobrze uzbrojeni, stanowią tylko tłum. I to wystraszony tłum.

Przywódcę odwrócił się do swoich.

- Chodźcie, dzieciaki - rzucił zachęcająco. - Czas go...

Carl skoczył na niego, trzymając w zaciśniętej w pięść dłoni kluczyki samochodowe i klucze od domu - jeden z nich wystawał mu spomiędzy palców, gdy z całej siły uderzył przywódcę w policzek. Chłopak zawył z bólu i padł na kolana, Carl zaś zrobił obrót na osłabionej nodze i zdrową wymierzył innemu bandycie kopniaka w krocze. Rozległ się kolejny skowyt. Piwo całkowicie wyparowało Carlowi z głowy; przejął inicjatywę, teraz to on był myśliwym. Zakręcił młynka porwanym z pojemnika drągiem i wytrącił dziewczynie cegłę z ręki; zaraz potem grzmotnął któregoś z chłopaków w plecy. W kilka sekund napastnicy rozproszyli się i wycofali w uliczkę, rzucając tylko cegłami i butelkami w jego stronę. Nie czekał: podbiegł do coroneta, wskoczył do środka i przekręcił kluczyk w stacyjce. Tym razem - dzięki niech będą Bogu, który zsyła wszelkie dary! - silnik zaskoczył od razu i Carl na Pełnym gazie odjechał, klnąc na całe gardło. Czuł się całkiem dobrze. Rzucił ty noc głośne „Dzięki!” adresowane do sierżanta, który uczył go samoobrony.

Ale i tak dopiero trzy przecznice dalej odważył się włączyć światła, a do domu wracał dwa razy dłużej niż zwykle, okrężną drogą.

Leżał roztrzęsiony na sofie, dysząc ciężko. Prawą rękę miał obłożoną lodem i owiniętą ścierką do naczyń i oglądał właśnie w telewizji końcówkę Godziny różności Ronalda Reagana, starając się zapomnieć o pulsującej boleśnie dłoni. Wróciwszy do domu, pozamykał starannie drzwi i wyjął z szuflady wysłużonego kołta kaliber czterdzieści pięć, jedną z nielicznych pamiątek, jakie sobie zatrzymał, gdy odchodził ze służby. Tylko przez chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać glin. Gang przeniósł się już pewnie na drugą stronę miasta, a zresztą nawet gdyby ich dorwali, to co? Pewnie młodociani bandyci oskarżyliby go o pobicie: nie napadli na niego, nie grozili mu... Na dobrą sprawę to jego, Carla, powinno się aresztować. Ot, następny kombatant, który nie wytrzymał napięcia. Odbiło mu i już. Codziennie się takich spotyka.

Zaczęły się wiadomości: najpierw krótki materiał z uroczystości wręczenia nagrody jakiemuś pułkownikowi lotnictwa - gratulacje złożył mu generał Ramsey Curtis. Dalej fragment przemówienia gubernatora Rockefellera w izbie handlowej w Filadelfii. Gubernator prezentował się znakomicie, był wesoły, dobrze odżywiony; przemawiał do licznie zgromadzonych białych mężczyzn w garniturach, którzy klaskali i pokrzykiwali z entuzjazmem. Rockefeller z uśmiechem zaatakował przeciwnika:

- Jego wybór na prezydenta oznaczałby przyswojenie sobie internacjonalistycznej polityki zagranicznej. Jego wybór byłby jak policzek dla jedyne go kraju, który od czasu wojny udzielił nam nieocenionej pomocy. Jego wybór równałby się jednostronnemu rozbrojeniu. Tymczasem nauczyliśmy się, w smutnym dla nas wszystkich roku 1962, że w sprawach bezpieczeństwa narodowego nie możemy polegać na papierowych traktatach. Czasy się zmieniły, świat uległ przeobrażeniom; nadszedł czas, byśmy skoncentrowali się na własnych sprawach i problemach. Z pomocą naszych brytyjskich przyjaciół poradzimy sobie z nimi tak, jak radziliśmy sobie dotąd.

- Znalazł się wesoły wojak - mruknął pod nosem Carl i wyszedł do kuchni po nowy zapas kostek lodu. Wróciwszy przed telewizor, ujrzał na ekranie McGoverna na wiecu w Albany. Trzeba mu było przyznać, że nie boi się wyjść ze swoim posłaniem do obozu przeciwnika. W Albany padało i gubernator stał na mównicy w mokrym

płaszczu przeciwdeszczowym. Kilku młodych asystentów osłaniało go parasolami, kiedy przemawiał tym swoim nosowym, przenikliwym głosem z akcentem ze środkowego zachodu, który niósł się daleko mimo okropnej ulewy. Carl słuchał go jednym uchem, poprawiając okład na obolałej dłoni, gdy nagle znieruchomiał. Coś w słowach McGoverna zwróciło jego uwagę, jakby gubernator mówił bezpośrednio do niego, Carla Landry'ego, i wszystkich tych, którzy kiedyś nosili mundury. Rozsiadł się wygodniej na sofie i słuchał dalej.

- Podczas ostatniej bolesnej dekady wiele razy zadawałem sobie pytanie, które znamy z Biblii - mówił McGovern. - Kto z nas, gdyby syn poprosił go o chleb, rzuciłby mu kamień? Nasi synowie proszą o pracę, a my wysyłamy ich do zatrutych krain i chorujących miast; nasi synowie proszą o naukę, a my uczymy ich, jak aresztować i zabijać; nasi synowie proszą o czas, który im się należy - tymczasem tysiące z nich przedwcześnie umierają. Oto mamy szansę zdjąć z barków naszych synów i nas samych okrutny ciężar ich rządów, przywództwa i tak zwanej odbudowy i cieszyć się darem pokoju. Podziękujmy naszym brytyjskim przyjaciółom i odeślijmy ich za ocean. Podziękujmy naszym braciom, synom i ojcom, którzy służą w armii; zakończmy pobór i sprowadźmy ich do domu. Wtedy - i tylko wtedy - zdołamy odzyskać poczucie sensu istnienia i narodowy charakter i będziemy mogli przyłączyć się do wielkiej rodziny narodów świata.

Wiadomości przerwała reklama alka-seltzera, Carl ujrzał zaś, że woda z okładu kapie mu prosto na gazety. Przesunął ścierkę i zamyślił się nad przemoczonym do suchej nitki McGovernem, który przemawia w ojczystym stanie rywala ze świadomością, że sondaże przesądziły już o wyniku nie tylko najbliższych wyborów, ale także tych za cztery lata, za osiem, dwanaście

I tak dalej, aż po następne stulecie. A jednak obstawał przy swoim, mówił, co myśli, nie poddawał się. Kamienie. Niezły chwyt. Znał wielu ludzi, którzy dostali tylko kamienie: Dwutonowiec, mieszkający w tunelach wśród bostońskich śmietnisk; Sam Burnett z redakcji „Globe”, wieczny piętnastolatek; Merl Sawson, zabity strzałem w tył głowy. Synowie Ameryki, którzy szukali chleba, szukali spełnienia.

No i Carl Landry. Za granicą nie było nawet tak źle, ale potem przyszła służba w Kalifornii... Nie wszystko, co działo się tam po wojnie, było powszechnie wiadome; niektóre rzeczy zostaną pewnie na zawsze przemilczane. Kiedy w kilka lat później trafił do „Globe”, ktoś zapytał go nieśmiało, jak było na Zachodzie?

- Był taki czas, że psy zjadały ciała zmarłych - odparł wtedy. - Był i taki, że

ci, którzy przeżyli, zjadali psy.

Wrócił pamięcią do tych chwil, poczuł dawny ból w nodze... W telewizorze pojawił się obraz kontrolny. Tak często przypominał sobie czasy przed wojną... Ile to już razy obiecywał sobie nie wracać do tych wspomnień. Po co się torturować? Po co wspominać pełne półki w sklepach, czyste ubrania, prąd w każdym domu i rząd, który nie ścigał tych, którzy uchylają się przed poborem, nie cenzurował wiadomości i nie budował obozów pracy dla dysydentów, kontestatorów i innych nieprzystosowanych...? Te czasy minęły bezpowrotnie.

Dumał tak jeszcze przez chwilę, gdy wtem całkiem inna myśl przyszła mu do głowy. Przywódca gangu... Kiedy wyszedł z zaułka, nie powiedział po prostu „Brać go!”.

Nie. Carl dobrze pamiętał jego słowa:

- To on! Brać go!

Ktoś go wystawił. Nie wiedział kto ani dlaczego, ale nie miał wątpliwości, że tak właśnie było. Ktoś chciał, żeby przydarzyła mu się krzywda.

Tej nocy źle spał. Schował rewolwer pod poduszkę i śnił o Kalifornii. Ludzie o ściągniętych twarzach prosili go o chleb, a on miał dla nich tylko worek kamieni.

Sprawa Imperium: I

Był niedzielny poranek, chłodny i orzeźwiający. Pięćset pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Bostonu major Kenneth Hunt z szesnastej brygady brytyjskiego regimentu spadochronowego stał na pasie startowym bazy kanadyjskich sił powietrznych RCAF w Trenton i patrzył, jak mały luksusowy odrzutowiec z oznaczeniami RAF na kadłubie kołuje po lądowaniu. Hunt nie zdążył jeszcze zjeść śniadania w prowizorycznej mesie urządzonej dla jego ludzi w Trenton. W brzuchu mu burczało od zbyt długiego oczekiwania.

Dowodzący regimentem pułkownik ostatnie trzy dni spędził w Bostonie i zażyczył sobie, żeby Hunt - dowódca kompanii A - przywitał go po powrocie. Hunt nie bardzo wiedział, co się święci, ale był pewien, że nic dobrego. Przed kilkoma tygodniami jego jednostkę w największej tajemnicy przerzucono do Kanady, gdzie natychmiast rozpoczęła szkolenie na pustkowiach otaczających bazę RCAF w Ontario. Ćwiczenia pod ostrzałem dotyczyły dwóch sytuacji: ataku na silnie bronione magazyny wroga oraz przejęcia kontroli na miastem rządzonym przez cywilną administrację. Nikt nie zająknął się ani słowem na temat celu ćwiczeń, a spadochroniarze, jak na zawodowców przystało, nie zadawali zbędnych pytań, tylko robili, co do nich należało.

Hunt złożył ręce za plecami. Drzwi w kadłubie odrzutowca otworzyły się i personel naziemny bazy przysunął do nich składane schodki. Hunt miał trzydzieści dziewięć lat; odkąd skończył siedemnaście, służył w wojsku. Po czterech latach wstąpił do regimentu spadochronowego i tak już zostało. W mieszczącej się w Aldershot kwaterze głównej czuł się jak w domu. Przez jakiś czas był żonaty i myślał o założeniu rodziny, ale dziesięć lat temu wydarzenia, na które nie miał wpływu, pokrzyżowały mu plany. Został kawalerem i nie zamierzał już zmieniać tego stanu. Służył ojczyźnie w Korei, w Suezie, na pomocnym Borneo i Cyprze, ale teraz... Psiakrew, nie wiedział, co właściwie robi w Kanadzie, ale i on sam, i jego oficerowie dość szybko zaczęli się domyślać, że ich szkolenie ma związek z okaleczonym, ale wciąż niebezpiecznym olbrzymem na Południu. I wcale im się to nie podobało.

Pułkownik wynurzył się z samolotu ubrany w nie pasujący do okoliczności szary garnitur. W prawej ręce trzymał małą skórzaną teczkę; kulał lekko, idąc przez plac. Był dziesięć lat starszy od Hunta, miał krótkie szpakowate włosy, twarz, która

sprawiała wrażenie nadmiernie opalanej, i spłaszczony nos, złamany dawno temu w jakiejś awanturze w Indonezji. Utykał z powodu odłamka niemieckiego szrapnela - został ranny w 1944 roku podczas kompletnie nieudanej operacji „Market Garden” w Arnhem, która miała zakończyć wojnę w Europie.

Proszę bardzo, pomyślał ponuro Hunt, wychodząc naprzeciw przełożonemu, oto najlepszy przykład, jak perfekcyjne planowanie bierze w łeb, kiedy trzeba je przełożyć na praktykę.

Hałas silników odrzutowca z wolna cichł. Podeszedłszy do pułkownika, Hunt poczuł nagły niepokój. Coś się stało, coś złego przydarzyło się pułkownikowi. Miał popielatą twarz i zgarbione ramiona, jakby przez trzy dni w Bostonie ani na chwilę nie zmrużył oka. Skinął Huntowi głową.

- Dzięki, że przyszedłeś, Kenneth.

- Nie ma za co, pułkowniku. Jak udał się wyjazd? Pułkownik ze znużeniem pokiwał głową.

- Odprowadź mnie do mojej kwatery, dobrze? Mógłbym chyba zasnąć i przez tydzień nie wstawać z łóżka.

Hunt trzymał się krok za pułkownikiem, kiedy razem ruszyli w stronę baraków, hangarów i zabudowań administracji bazy. Miał ochotę zasypać przełożonego pytaniami, ale dawno już nauczył się trzymać język za zębami. Pułkownik sam udzielał informacji - wtedy, gdy był do tego gotów. Hunt zmusił się do milczenia i zachowania cierpliwości.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zrzucę te cholerne łachy - mruknął pułkownik. Hunt ledwie go słyszał, bo w pobliżu kołowały na start transportowce i bombowce RAF. - Nigdy nie czułem się dobrze w cywilnych ciuchach. Nigdy. Jakoś mi nie leżą.

- Rozumiem, panie pułkowniku.

- Ale nie miałem wyjścia. Musiałem się tak ubrać do konsulatu. Nie mogli znieść myśli o tym, że ktoś przejrzy na wylot ich gierki tylko dlatego, że rzuci mu się w oczy jakiś pułkownik. Trzeba było wtopić się w tłum. W dodatku wieczorem musiałem iść na jakiś okropny bankiet, z masą grubych urzędników konsularnych i wygłodniałych Amerykanów. Sami cywile.

- Jak poszła odprawa, panie pułkowniku?

- Cywile... - powtórzył pułkownik, nie podnosząc głosu. Wydawało się, że nie słyszał pytania Hunta. - Uważają nas za bezwzględnych, zimnokrwistych drani,

żądnych krwi wojowników gotowych w każdej chwili umierać za królową i ojczyznę, Wiesz, o czym przekonałem się w Bostonie, Kenneth?

- Nie, panie pułkowniku.

Pułkownik przystanął i zapatrzył się w dal, na pas startowy i ciągnące się za nim pola. Zmrużył oczy i się wzdrygnął. Hunt doszedł do wniosku, że odkąd wstąpił do spadochroniarzy, nigdy jeszcze tak się nie bał.

- Przekonałem się, że to cywile są naprawdę bezwzględni. Że to oni przede wszystkim łakną krwi.

Wystraszony Hunt odprowadził go wzrokiem. Na spotkaniu sztabu zorganizowanym tuż przed odlotem do Bostonu pułkownik zachowywał się zwyczajnie: spokojny, wesoły, pełen wiary w umiejętności swoje i swoich żołnierzy. Człowiek, który dziś zszedł z pokładu samolotu, był zupełnie inny.

Boston. Co się tam wydarzyło, do diabła?

Major Hunt zawrócił i skierował się do mesy. Dopiero w połowie drogi uświadomił sobie, że wcale nie jest już głodny.

W niedzielę rano Carl kręcił się leniwie po kuchni. Ręka go bolała, a w głowie mu się kręciło - źle spał i dręczyły go koszmary. Napad gangu sierociego nie był przypadkowy. Z pewnością nie. Kto ich wobec tego wynajął? Ktoś z konsulatu? Komuś przeszkadzało, że Carl podsłuchał rozmowę o Kanadzie? Czy raczej że spotkał się z Merlem Sawsonem, zanim ktoś wpakował mu kilka kul w tył głowy?

W lodówce zostało mu jedno jajko i zamrożony kawałek kiełbasy; na dobrą sprawę gdyby przyszybczyć trochę pleśń na ostatnich trzech kromkach chleba, mógłby sobie zrobić grzanki. Grzebał właśnie w szufladzie w poszukiwaniu noża, gdy zadzwonił telefon.

- Carl? - spytał głos w słuchawce. - Mówi Sandy Price z „Timesa”. Chciałam cię przeprosić za zachowanie Farleya. Nie miał prawa tak do ciebie mówić.

Carl przeszedł do salonu, ciągnąc za sobą przewód telefonu.

- Ależ miał. Mógł powiedzieć, co mu się żywnie podobało. I tak właśnie zrobił.

- Farley jest stary, zmęczony i tęskni do domu. W dodatku wczoraj się ubzdryngolił. Byłeś moim gościem i wstyd mi za niego.

Carl uśmiechnął się i wyciągnąwszy nogi, oparł je na stoliku. Miło mu się zrobiło, gdy usłyszał troskę w jej głosie.

- No dobrze: przyjmuję przeprosiny.

- Nie tak szybko.

- Słucham?

- Słuchaj dalej. Moje przeprosiny nie byłyby kompletne, gdybym nie zaprosiła cię na śniadanie.

- Dokąd?

- Do mojego hotelu Park Plaża. Chyba że masz lepszy pomysł.

Carl powiódł wzrokiem po stole, gdzie z wolna powstawał zarys jego śniadania.

- Oboje mamy szczęście, że nie dostałem dziś ciekawszej propozycji.

Kiedy naczynia po śniadaniu dawno zniknęły ze stołu i oboje siedzieli już nad trzecią filiżanką kawy, Carl spokojnie rozejrzał się po stonowanej, eleganckiej jadalni:

czyste dywany, obrusy tak białe, że aż kłuły w oczy, szybka, dyskretna obsługa obojga płci w strojach, które nie wyglądały ani staro, ani nędznie. Z trudem przychodziło mu uwierzyć, że wciąż znajduje się w Stanach. Jedzenie - francuskie grzanki, kiełbaski, owsianka, tosty - było gorące, świeże i, co najważniejsze, jak zauważyła z uśmiechem Sandy, opłacane z hojnego funduszu reprezentacyjnego „Timesa”. Złożyła zamaszty podpis na rachunku i usiadła wygodnie na obijanym skórą krześle z wysokim oparciem. Kasztanowe włosy opadały jej na ramiona i kołnierz białego golfu, który włożyła do czarnych, luźnych spodni. Wyglądała... kurczę, po prostu świetnie, uznał Carl. Bez zbędnych ozdóbek: świetnie. Znowu przyszedł mu do głowy przedwojenne fotosy modelek. Sandy miała w sobie coś z kobiety silnej, pewnej siebie i przekonanej o słuszności tego, co robi. Przypomniawszy sobie, jak wyglądała w czarnej sukience, i doszedł do wniosku, że chętnie zobaczyłby ją i w innych kreacjach.

- Kiedy mama i tato dowiedzieli się, że jadę na miesiąc do Stanów, dostali szału - mówiła właśnie. - Wiedzieli o Ameryce tylko tyle, ile wyczytali w gazetach: żywność na kartki, zmutowane dzieci, zbrojne gangi, że o na wpół dyktatorskiej władzy nie wspomnę. Woleliby, żebym nie wytykała nosa poza Europę, pisała o ONZ, Francuzach, takich tam bzdetach. Ale przypomniałam im wtedy, że babcia - matka mamy - została u boku męża podczas oblężenia Mafekhigh w wojnie burskiej. Dodałam, że pewnie mam jej geny, bo zamierzam jechać za ocean.

- Matki i ojcowie już tacy są - odrzekł Carl, sącząc kawę najwolniej, jak potrafił. Nie chciał, żeby ten poranek się skończył.

- A twoi rodzice?

- Słucham?

- Twoi rodzice. Nic o nich nie mówisz. Mieszkają gdzieś tutaj? Odetchnął głęboko, starając się zachować spokój.

- Nie - odparł. - Oboje nie żyją.

- Och, przykro mi... Zginęli w czasie wojny? Kawa już mu nie smakowała.

- Tak... - przytaknął z wahaniem, - Można tak powiedzieć.

- Przepraszam, że poruszyłam ten temat, Carl.

- Nie przepraszaj. Rozejrzyj się, Sandy. Prawie każdy w tej sali stracił kogoś na wojnie: dziecko, brata, siostrę, matkę, ojca, przyjaciół... Wielu przyjaciół. Tak to u nas wygląda. Jedni zginęli pod bombami, inni zmarli na grypę i inne choroby po wojnie, dla jeszcze innych po prostu nie wystarczyło leków. Niektórzy zamarзли, kiedy zabrakło prądu. W tym pokoju... siedzi wśród nas dużo duchów.

- Czy... Czy w czasie wojny straciłeś jeszcze kogoś? Carl zacisnął mocniej dłoń na filiżance z kawą.

- Młodszą siostrę Sarah. Studiowała na uniwersytecie stanowym w Nebrasce. W Omaha.

- W Omaha... Tam się mieścił sztab lotniczy, prawda?

- Dowództwo Strategiczne Wojsk Lotniczych. Kiedy dowiedziałem się, że zbombardowali Omaha... Cóż, doszedłem do wniosku, że na pewno zginęła. Ale potem, w 1964 roku, Czerwony Krzyż dał mi znać, że jakaś jej koleżanka przypomniała sobie, że mojej siostry nie było tego dnia w mieście. Od tamtej pory cały czas jej szukam w rejestrach zaginionych Czerwonego Krzyża, Armii Zbawienia i kilku innych organizacji humanitarnych.

- Naprawdę myślisz, że wciąż żyje? - Sandy zniżyła głos. Skąd mam, do cholery, wiedzieć, pomyślał.

- Była moją młodszą siostrą - odparł. - Czuję się za nią odpowiedzialny. Może jest ranna, może potrzebuje pomocy... Kto wie? Nie poddaję się.

- A ja wtykam nos w nie swoje sprawy. - Sandy spuściła wzrok. - Bardzo cię przepraszam.

- Nic nie szkodzi.

- Właśnie że szkodzi. - Pokręciła głową. - Bo widzisz... Odkąd tu przyjechałam, cały czas mam z tym problemy. Zadaję niewłaściwe pytania, poruszam się po omacku, obrażam ludzi, nawet o tym nie wiedząc... I nie rozumiem, czemu tak dziwnie na mnie patrzą.

- Chyba musisz się przystosować, a to chwilę potrwa.

- Pewnie że tak, ale sęk w tym, że nikt nie chce ze mną rozmawiać. Strasznie się męczę z tym reportażem, chociaż możesz mi wierzyć, że niełatwo się poddaję. Dopiero co w piątek byłam w szpitalu miejskim, chciałam porozmawiać z lekarzami i pielęgniarkami, którzy w 1962 i 1963 roku wchodzili w skład konwojów ratunkowych w Connecticut, ale nikt się do mnie nie odezwał. Nikt. Mówili, że są zabiegani, że naprawdę niewiele wtedy zrobili, że nic ciekawego się nie wydarzyło. Czemu wszyscy są tacy skryci?

- To chyba coś innego.

- Tak uważasz? Co? Przekopałam się przez stosy gazet i periodyków i w żadnym nie znalazłam nawet najmniejszej wzmianki o dziesiątej rocznicy. Nie! Wszyscy piszą o duperelach: prawdopodobnie w przyszłym roku zwiększone zostaną

przydziały benzyny; import zboża z Kanady spadnie; pięć kalifornijskich miasteczek w okolicy San Diego zostało oczyszczonych i jest gotowych do ponownego zasiedlenia. Nikt słowem nie piśnie o tym pieprzonym dziesięcioleciu, a ty twierdzisz, że nie jesteście skryci?!

- Nie jesteśmy.

- To o co tu chodzi?

- O wstyd.

- Słucham? - Sandy nie posiadała się ze zdumienia.

- O wstyd - powtórzył Carl. - Wstydzimy się tego, co się stało. Sandy powoli, spokojnie złożyła dłonie.

- Mów dalej, proszę - powiedziała. - Chciałabym cię dobrze zrozumieć.

W pierwszej chwili nie umiał wykrztusić słowa, jakby jakiś obcy człowiek namawiał go do zdradzenia mrocznego sekretu rodzinnego, ale w końcu się przemógł.

- Wstyd - powtórzył. - Po prostu. Wstydzimy się tego, co zrobiliśmy Rosjanom i sobie samym. Tak się ich baliśmy, tak bardzo staraliśmy się im dorównać, że nie zdawaliśmy sobie sprawy, iż biedne dupki mają kłopoty z wyżywieniem własnych ludzi. Nasze bomby, rakiety i okręty podwodne były o niebo lepsze od ich sprzętu, a my nie chcieliśmy w to uwierzyć. Łatwo można teraz zrozumieć, dlaczego Chruszczow zainstalował rakiety na Kubie. Postaw się w jego sytuacji: dwadzieścia lat wcześniej Niemcy napadli na Rosję; zginęły miliony ludzi. A teraz co? Niemcy znów rosną w siłę, a w dodatku wchodzi w skład sojuszu zwanego NATO; dysponują setkami czołgów i tysiącami żołnierzy. Tureckie i włoskie rakiety są wycelowane w Związek Radziecki, nasze bombowce myszkują dzień w dzień u jego granic, a U-2 robią zdjęcia z powietrza i wybierają cele dla bomb. - Carl spojrzął na Sandy, która w milczeniu skinęła głową. - Więc Nikita wysyła rakiety na Kubę, żebyśmy sami poczuli, jak to jest. Ale od tej chwili sprawy zaczynają żyć własnym życiem: groźba ataku, groźba odwetu, blokada, alarm dla naszych wojsk, zestrzelenie U-2 nad Kubą, my się mścimy, oni się mszczą, rusza inwazja i co się okazuje? Że Ruscy mają na Kubie kilka taktycznych ładunków jądrowych - jakbyśmy o tym nie wiedzieli - które rzucają na nasze siły inwazyjne. W dodatku Kuba odpala parę rakiet i tracimy kilka baz na naszym terytorium... A potem rozpętało się piekło.

- A wstyd?

Carl popatrzył po siedzących dookoła ludziach, z uśmiechem kontemplujących uroczy niedzielny poranek. Przeszło mu przez myśl, że ciekawe byłoby dowiedzieć

się, jakie duchy nawiedzają ich po nocach i gdzie byli dziesięć lat temu. I czy dziękują Bogu, że przeżyli? Czy raczej Go za to przeklinają?

- Kiedy wojna się skończyła, oszacowaliśmy ogrom zniszczeń i cierpienia: straciliśmy Waszyngton, Nowy Jork, San Diego, Miami i sporo baz wojskowych, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co zrobiliśmy Sowiecom. W Rosji bomby spadły na wszystkie duże miasta, lotniska, dworce kolejowe... Każdy obiekt, który mógł mieć znaczenie militarne, został zmieciony z powierzchni ziemi. Zrównaliśmy ich kraj z ziemią i dopiero kiedy było po wszystkim, zdaliśmy sobie sprawę, że to nie była żadna wymiana ciosów, tylko zwykła masakra. Masakra, która nie powinna była mieć miejsca. To trochę tak, jakby za płotem mieszkał gbur i cham, który wyrzuca ci śmieci na podwórko, a ty z zemsty zabijasz go z całą rodziną i palisz mu dom. Mniej więcej tak właśnie wyglądała ta wojna i to dlatego nie bardzo chcemy o niej rozmawiać. Jest nam wstyd.

Dopiero po dłuższej chwili Sandy przerwała panującą ciszę:

- Przez te trzy minuty dowiedziałam się od ciebie więcej niż od wszystkich ludzi, jakich spotkałam od chwili przyjazdu. „Timesowi” na pewno opłaciło się sponsorować to śniadanie.

- Gratuluję „Timesowi”.

- Mam dla ciebie propozycję, Carl. - Sandy nachyliła się ku niemu z tym swoim olśniewającym, niewinnym uśmiechem. - Służbową. Nie chciałbyś dziś mi towarzyszyć w podróży? Jest w tym stanie kilka miejsc, w które chciałabym pojechać w związku z artykułem; byłabym ci dozgonnie wdzięczna, gdybyś zgodził się ze mną pojechać. Na pewno rozwiejesz część moich wątpliwości i dopilnujesz, żebym nie weszła komuś na odcisk. Ja ci w zamian zapłacę uczciwą stawkę, jak regularnemu współpracownikowi. Mam na to odpowiednie fundusze. Co ty na to?

- Mam jedno pytanie. - Tak?

Przełknął ostatni łyżeczek kawy i w myślach odsunął wszystkie sprawy - także sprawę Merla - na bok.

- Kiedy zaczynamy?

Uparła się, żeby pojechać wynajętym przez nią samochodem - lincolnem, który jeszcze pachniał nowością. Wyjechali na drogę numer dwa i skierowali się na zachód. Jezdnia wkrótce zwężyła się do dwóch pasów - po jednym w każdą stronę - i zaczęły się dziury i wyboje. Wśród pojazdów dominowały ciężarówki i autobusy.

Liście rosnących przy drodze drzew prezentowały się przepięknie w jesiennych czerwieniach, żółciach i pomarańczach, gwałtownym pomieszaniu barw i kształtów.

- Jak tu pięknie... - stwierdziła Sandy. - Czy reszta stanu wygląda podobnie?

- W większości tak - przyznał Carl, napawając się mocą silnika i pewnym prowadzeniem lincolna, jakże odmiennym od jego coroneta. - Jeśli posiedzisz tu jeszcze kilka miesięcy, zobaczysz zasy do pasa. Do śniegu też mamy szczęście.

Roześmiała się, ale spoważniała, gdy coś zwróciło jej uwagę.

- Twoja ręka... Co się stało?

Carl zerknął na swoją posiniaczoną, opuchniętą dłoń zaciśniętą na kierownicy. Przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć, aż uznał, że najlepiej będzie nie kłamać.

- Wczoraj, po wyjściu z imprezy, stoczyłem małą bójkę - odparł niedbałym tonem.

- Och... Mam nadzieję, że nie napadł cię nikt z konsulatu.

- Daj spokój. - Carl zwolnił, ustawiając się za ostatnią ciężarówką wojskowego konwoju. - Banda dzieciaków. Pewnie jakiś gang sierocy szukający mocnych wrażeń.

- No proszę, oto kolejny zwrot, którego nie rozumiem.

Carl obserwował siedzących na tyle ciężarówki młodych żołnierzy: jeden powiedział coś drugiemu na ucho i obaj się roześmiali. Przez chwilę nie spuszczał ich z oka.

- Gang sierocy, czyli banda sierot.

- Jak to: sierot? Nie nabijasz się ze mnie?

Zerknął przelotnie na Sandy i zaraz wrócił spojrzeniem do drogi.

- Nie twierdzę, że wszyscy są sierotami, ale można chyba założyć, że większość z nich tak. Posłuchaj: dziesięć lat temu dzieci siedziały w szkole, prawda? Mamy były w domu albo w pracy, ojcowie też w pracy. Nagle znad bieguna nadlatują ruskie bombowce i rakiety balistyczne. Zaczynają wyc syreny, zamiast normalnych programów w radiu i telewizji pojawiają się wiadomości. Co dalej się dzieje?

- Wszyscy szukają schronienia?

- Tak właśnie sugerowali w ulotkach spece od obrony cywilnej, ale nie mieli racji. Wyobraź sobie, że twoje dzieciaki są w szkole, a mąż w robocie. Słuchasz radia. Nagle program zanika i słyszysz komunikat: proszę udać się do schronów. Co robisz? To samo co miliony Amerykanów: łapiasz za telefon. System telefoniczny pada, bo kable się przepalają. Co dalej? Biegiem do piwnicy?

- Nie - odparła cicho Sandy. - Do szkoły, po dzieci.

- Właśnie. Maluchy siedzą bezpiecznie w szkolnym schronie, tymczasem ich rodzice wskakują do samochodów i pędzą im na pomoc. Wtedy spadają bomby. Nikomu nie udaje się dotrzeć na miejsce. Kilka tygodni później, kiedy dzieciaki wychodzą spod ziemi, są sierotami. Takich dzieci są dziesiątki, może nawet setki tysięcy.

- Szkoły się nimi nie zajęły?

- Próbowaly, ale panował taki chaos, Sandy, że teraz trudno sobie to wręcz wyobrazić. Kennedy przepadł, Johnson zginął, większość Kongresu poszła precz. Rząd przetrwał w szczątkowej formie. Telefony, telewizja i większość stacji radiowych zamilkły. Zabrakło benzyny i ropy, nie ma prądu, szwankuje transport żywności. Powiedzmy, że jesteś nauczycielką. Jak długo wytrwałabyś na posterunku, zanim doszłabyś do wniosku, że twoja rodzina jest ważniejsza? Nie wszędzie tak było, ale pół roku po wojnie na ulicach miast pojawiły się tysiące dzieci, które musiały same o siebie zadbać. Minęło dziesięć lat, a ich sytuacja niewiele się zmieniła. To znaczy, większość jakoś się przystosowała i nieźle sobie radzi, ale nie brak i takich, które czują się zagubione. Wiedzą tylko, że kiedy były młodsze, miały cudowne dzieciństwo: jedzenia pod dostatkiem, śmieszne filmy w telewizji, kapitalne zabawki i kochających rodziców. Potem któregoś dnia, płacząc ze strachu, zeszyły do szkolnej piwnicy, a kiedy wróciły na powierzchnię, ich złote lata bezpowrotnie minęły. Wiedzą, co to głód, samotność i śmierć; znajdują oparcie w gangach, bo nic innego im nie zostało.

- I wczoraj w nocy jeden z takich gangów cię dopadł.

- Można to tak określić.

- Jak ci się udało uciec?

Carl gestem wskazał jadące przodem ciężarówkę.

- Przypomniałem sobie szkolenie w wojsku. To w człowieku zostaje.

- Rozumiem. Gangi sieroce... jakie to okropne.

Chłopcy w mundurach śmiali się w głos i machali rękoma. Sandy zakłopotana odmachwała im, prowokując jeszcze głośniejsze wybuchy śmiechu, ale mimo dzielącej ich odległości Carl widział znużenie w oczach żołnierzy. Przypomniał sobie przemówienie McGoverna. Ciekawe, jakie kamienie wiozą, pomyślał.

- Tak, okropne - przyznał.

Otoczone wianuszkami dróg Lexington zachowało się całkiem nieźle. Kilka starych domów wciąż stało w pobliżu miejsca, gdzie przed blisko dwustu laty wybuchły walki między Brytyjczykami i miejską milicją - pierwsze potyczki wojny wyzwoleniczej.

Carl i Sandy wysiedli z samochodu, wzięli ulotki z centrum informacji turystycznej i ruszyli piechotą przez krótko przycięty trawnik. Suche liście szeleściły im pod stopami. W środku miasteczka stał wysoki maszt z furkoczącą na wietrze amerykańską flagą. Carl pamiętał, że w wojsku widok flagi zawsze napawał go dumą, wiedział, że wypełnia swój obowiązek wobec młodego prezydenta, który zrobi wszystko dla ocalenia kraju. Teraz zaś na widok flagi ogarnęło go... Co takiego? Poczucie straty? Wstyd? Nie był pewien, chociaż z pewnością nie czuł dumy. Kraj, któremu pod tym sztandarem przysięgał wierność, przestał istnieć.

- Jaka to maleńka miejscina - rzekła Sandy, rozglądając się dookoła. - Aż trudno uwierzyć, że to tu zaczęła się wojna i że wasze oddziały stawiały opór mimo przewagi liczebnej Brytyjczyków. Na pewno jacyś moi przodkowie też tu byli i walczyli z twoimi przodkami.

- Raczej nie. Moi przodkowie w tym czasie uprzykrzali życie innym twoim przodkom w Irlandii. Dopiero na początku dziewiętnastego wieku ktoś z nas przyплыł do Stanów.

Sandy szturchnęła go po przyjacielsku trzymaną w rękę broszurą.

- Nie żywisz chyba urazy, co?

- Pewnie że nie.

- No to jedziemy do Concord.

Kiedy wracali do zaparkowanego samochodu, Sandy wzięła Carla pod ramię. Jej dotyk był oszałamiający.

W Concord zatrzymali się przed słynnym pomnikiem dłuta Daniela Chestera Frencha, przedstawiającym amerykańskiego milicjanta z czasów rewolucji, który z muszkietem w dłoni odchodził od porzuconego na polu pługa. Z tyłu, za pomnikiem, ciągnęła się żwirowa ścieżka wiodąca do drewnianego mostu, przerzuconego nad leniwie płynącą rzeką, która wzięła nazwę od miasteczka. Drzewa porastały oba jej brzegi. Za mostem, w zagajniku na wzgórzu znajdował się duży drewniany dom. Minąwszy pomnik, weszli na mostek z nieheblowanych desek i belek.

- Czy to jest ten słynny most Północny? - zapytała Sandy. - Ten, o którym

pisał Emerson?

- „Przerzucony nad spienioną wodą”? - upewnił się Carl. - Nie. Wtedy stał tu inny most, ale pewnie woda znosiła go, a mieszkańcy odbudowywali z dziesięć razy. Teraz możemy się tylko domyślać, jak wyglądał oryginał z 1775 roku.

- Jak tu spokojnie... Tak samo było w Lexington.

Carl skinieniem głowy wskazał przeciwny brzeg rzeki.

- Tym razem to twoich rodaków było mniej - powiedział. - Buntownicy zebrali się na tym brzegu, gdy dostrzegli buchające z zarośli kłęby dymu. Uznali, że to Anglicy palą Concord, a wiedzieli już, co się stało w Lexington. Postanowili więc bronić miasta i tak oto stanęli twarzą w twarz z Brytyjczykami. Każda ze stron oddała salwę, później zaś Anglicy uciekli, a Amerykanie ruszyli za nimi w pościg. W Lexington była masakra; tutaj stoczono prawdziwą bitwę.

Sandy oparła się o szorstką drewnianą barierkę. W jednej ręce trzymała broszurę, w drugiej notes i pióro.

- Znasz historię swojego kraju - stwierdziła.

- Chyba głównie militarną. Zawsze mnie interesowała, zwłaszcza w dzieciństwie. Pewnie między innymi dlatego wstąpiłem do wojska; żeby zobaczyć, czy mogę uczestniczyć w historii, zamiast tylko o niej czytać. A później, gdyby wszystko dobrze się ułożyło, mógłbym nawet coś o niej napisać i, przy odrobinie szczęścia i talentu, zostać drugim Ernestem Hemingwayem.

- Napisałeś coś?

- Właściwie nie. Kilka miesięcy spędziłem jako doradca wojskowy w małym azjatyckim kraiku, o którym nikt nie pamiętał, dopóki nie zostaliśmy wezwani z powrotem do domu.

- W Laosie?

- Blisko. - Carl pokiwał z uznaniem głową. - Ale nie całkiem: w Wietnamie Południowym. Stacjonowało nas tam kilka tysięcy; wszyscy wyjechali przed końcem 1962 roku, a rok później był już tylko jeden Wietnam.

Sandy skończyła pisać, zamknęła notatnik i zapytała:

- Czy to nie zdumiewające, jak losy wojen i imperiów zmieniają się wskutek drobnych wydarzeń zachodzących jednego dnia? Popatrz, co stało się po Lexington i Concord - a wszystko zaczęło się od tamtego parku i tego mostu.

- Wszystkie wojny są takie. Wystarczył jeden kubański dyktator, jeden ambitny amerykański prezydent i jeden wystraszony radziecki premier i patrz, jak to

się skończyło.

Sandy przekrzywiła głowę.

- Zostało nam jeszcze jedno miejsce do odwiedzenia.

- To daleko stąd - zauważył Carl. - Będziemy musieli zatrzymać się po drodze i coś zjeść.

- Ale obiecałeś.

- To fakt - przyznał Carl, idąc do wozu. - Obiecałem.

Sandy uparła się, żeby zatrzymali się w Howard Johnson's na szybki lunch.

- No, Carl, nie odmawiaj mi - powiedziała, kiedy z daleka zobaczyli charakterystyczny pomarańczowy dach. - Tyle się naczytałam o waszej kulturze fast foodów, że chyba czas spróbować na własnej skórze.

Uległ więc jej namowom i puścił ją przodem, żeby zajęła miejsce, kiedy on będzie parkował samochód. Na parkingu zaczepił go starszy człowiek w połatanych dżinsach i trzech czy czterech koszulach założonych jedna na drugą. Brodę miał stalowosiwą, a oczy wiecznie rozszerzone, jakby ze zdumienia, że jest w Massachusetts.

- Dałby pan ćwiartkę? - zapytał. - Ćwiartkę dla uchodźcy?

Carl wcisnął mu monetę.

- Skąd pan jest?

- Z południa Florydy. Carl gwizdnął z podziwu.

- Kawał drogi stąd. Dlaczego pan wyjechał? Tam przynajmniej jest ciepło.

- Bo coś niecoś słyszałem. - Mężczyzna nachylił się ku niemu konfidencjonalnie. - Za kilka tygodni wszystkich nas załatwią. Wszystkich, co do jednego. Taki jest tajny plan, ale ja przejrzałem ich sekrety.

Zaśmiał się gardłowo i odszedł w stronę wjeżdżającej właśnie na parking ciężarówki z naczełą. Carl pokręcił głową i wszedł do „Howard Johnson's”. Przyszła mu na myśl książka, którą czytał w szkole średniej: Grona gniewu Steinbecka. Mieszkańcy Oklahomy emigrujący na zachód i Steinbeck, który opowiadał ich dzieje. Teraz uchodźcy wciąż napływali z pustkowi w pobliżu zbombardowanych miast, uciekając przed demonami, które zagnieździły się w ich umysłach.

Zjadł zimnego hamburgera, patrząc, jak Sandy dzielnie walczy z jakąś smaženiną podawaną jako ryba z frytkami.

- Dobrze, przynaję: dostałam nauczke - powiedziała, gdy wrócili do auta i

wyjechali na autostradę. - Jest to niejadliwe, a ja powinnam słuchać miejscowego przewodnika.

- Ciesz się, że nie żądam dodatkowego wynagrodzenia.
- Tylko byś spróbował.

Wysiedli w Hyannis Port i szli przez zapuszczone pole, które niegdyś było najświetniejszym trawnikiem Ameryki, świadkiem licznych przyjęć, eleganckich meczów futbolowych i wielkiej polityki. Zawieszona między dwoma kolumnami brama została kompletnie zdewastowana, a tabliczka z napisem WSTĘP WZBRONIONY była odrapana i pomazana. Krzaki i chwasty rosły tu gęsto i Carl zastanawiał się, jak też miejsce to wyglądało w dawnych czasach. Natura zwyciężyła. Cały kraj się odbudowywał, ale Carl wątpił, żeby komuś chciało się zadbać o ten skrawek ziemi - ziemi nawiedzonej, a więc zakazanej.

- No to jesteście. - Sandy zatrzymała się bez tchu.

Stali przed ogromną stertą gruzu i potrzaskanych belek, z których gdzieś wyjrzały się połamane ramy okien, futryny drzwi i resztki osmalonych ścian. Zniszczony dom obwiedzione ogrodzeniem z drutu kolczastego, w wielu jednak miejscach przerdziały i popękany. Stąd blisko już było do oceanu. Niebo się zachmurzyło i powiał silniejszy wiatr, przenikając Carla do szpiku kości. Spojrzał na Sandy, ale nie wyglądała na zmarzniętą. Wiatr wiał od strony Atlantyku - od strony Wielkiej Brytanii, więc może dlatego jej nie przeszkadzał.

Zaczęła coś notować.

- Trudno uwierzyć, że naprawdę tu jestem, w sławnym majątku Kennedych. Zawsze wydawał mi się takim romantycznym miejscem. Zaglądali tu politycy, gwiazdy filmowe... Pływali, grali w futbol, żeglowali. Takie specjalne, elitarne miejsce.

Carl powiódł dookoła melancholijnym spojrzeniem. Niech to szlag! Tak nie powinno być. Bohaterska walka o zbudowanie kraju, dwieście lat pracy - i po co to wszystko? Żeby para pismaków - w tym jedna dobrze odżywiona i ubrana korespondentka z zagranicy - mogła grzebać w kościach amerykańskiej rodziny królewskiej?

- Teraz nie jest tu zbyt romantycznie - zauważył.
- Ależ jest; ja to czuję. Spędziłam kiedyś wakacje w Rzymie i tam, wśród ruin, czułam się tak samo jak teraz. Takie miejsca nasuwają wesołe i smutne

skojarzenia z tym, co się wydarzyło i co mogło się wydarzyć.

- Jako obywatel tego zrujnowanego kraju chyba nie doceniam twojej obserwacji.

Sandy odgarnęła pasemko włosów z twarzy.

- Jesteś na mnie zły? Nie chciałam cię urazić, Carl. Naprawdę. Spokojnie, pomyślał.

- Mam wątpliwości, czy jesteś dziennikarką, czy romantyczką.

- Przecież już ci mówiłam: zostałam dziennikarką, żeby być lepszą pisarką. Chcę pisać wspaniałe powieści, eseje i dzieła historyczne. A na razie, jako reporter, robię wszystko, co trzeba, żeby zdobyć materiał. I nie obchodzi mnie, kto próbuje stanąć mi na drodze.

Carl zerknął z podziwem na jej śliczną twarz i smukłą sylwetkę ukrytą pod połami płaszcza. W jej oczach dostrzegł zimny błysk stali.

- A dziś już ktoś ci stanął na drodze? Roześmiała się i spojrzała na niego łagodniej.

- Nie, oczywiście, że nie. Zdradzę ci teraz pewną tajemnicę, tylko obiecaj, że nie będziesz się śmiał. W domu prawie nikt o tym nie wie.

- Śmiało, mów.

- Zawsze marzyłam o tym, że któregoś dnia porzucę „Timesa”, zacznę pisać na własny rachunek i stanę się takim George'em Orwellem dla mojego pokolenia. Czytałeś Orwella?

Rety, dlaczego ta kobieta tak go irytowała? Czy naprawdę wydawało jej się, że w 1962 roku spłonęły wszystkie książki w Ameryce?

- Owszem, znam niektóre dzieła pana Blaira.

- Czyje... Ależ tak, naturalnie: George Orwell to jego pseudonim. Właśnie tak chciałabym pisać: o systemie klasowym, o rządach, o tym, co robimy dla naszych ludzi, o pragnieniach odnowy imperium. Chcę napisać książkę, która miałaby na mnie taki wpływ jak jedna z jego powieści.

- 1984? Planujesz ciąg dalszy? Następne dziesięciolecie?

- Nie tę miałam na myśli, chociaż bardzo mi się podobała. Chodziło mi o W hołdzie Katalonii.

- O wojnie domowej w Hiszpanii. Niech zgadnę: to będzie W hołdzie Ameryce?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Miałeś się nie śmiać.

- Nie śmiałem się. Tylko się uśmiechnąłem.

- No dobrze. W każdym razie to właśnie chcę robić, chociaż wiem, że te kilka tygodni w Stanach mi nie wystarczy. Zamierzam tu jeszcze wrócić i spędzić znacznie więcej czasu, przejechać od wybrzeża do wybrzeża. Chcę opowiedzieć o tym, co się tu stało, i opisać, co się będzie działo w przyszłości. Orwell na niecałych dwustu pięćdziesięciu stronach zmieścił najlepszą powieść o hiszpańskiej wojnie domowej, a ja chcę zrobić to samo ze Stanami Zjednoczonymi. Nie planuję do końca życia gryzmolenia w notatnikach; ty pewnie też nie.

Carl schował ręce do kieszeni; wiatr się wzmagał.

- Nie założyłbym się.

- Każdy dziennikarz nosi w sercu książkę, a ty mi chcesz powiedzieć, że jesteś inny?

- Nic ci nie chcę powiedzieć i już! - odparł, starając się nadać swojej odpowiedzi niedbały ton. - Przypominam pani, panno Price, że współpracuję z panią jako dziennikarz, a nie udzielam wywiadu.

Sandy pokręciła głową i coś sobie zanotowała.

- Przejrzałam trochę starych gazet. Wygląda na to, że ten dom spalił się zaraz po wojnie.

Carl wbił wzrok w gruzy.

- Zgadza się: dosłownie kilka dni po zawieszeniu broni. Strażacy się nie spieszyli, tak że kiedy dojechali na miejsce, było już po wszystkim. Nikt nie wiedział, kto podłożył ogień, a potem ludzie mieli inne zmartwienia na głowie - opad radioaktywny, brak pożywienia - i tyle. Co roku zaczyna się dyskusja, co zrobić z tym kawałkiem ziemi, i co roku nie ma komu podjąć decyzji.

- A czy brat Kennedy'ego nie jest nadal właścicielem terenu? Edward, ten, który chciał być senatorem?

- Teddy? Po wojnie Teddy'emu udało się wrócić do Irlandii i siedzi tam do dziś z ostatnimi doradcami i własną rodziną. Kupił nawet jakieś stare zamczysko. Poza tym nic o nim nie słyszeliśmy; sama pewnie więcej wiesz ode mnie. Tutaj Teddy jest nikim.

- W zeszłym roku, jesienią, BBC puściło program na jego temat: ostami żyjący członek amerykańskiej rodziny królewskiej. Same ploteczki, pomówienia, jakieś niewyraźne zdjęcie, jak żegluje po Morzu Irlandzkim. A propos książek:

podobno pisze coś o swoich braciach, żeby oczyścić ich z zarzutu rozpętania wojny. Od dziesięciu lat; jak jest naprawdę, nikt nie wie. Carl kopnął popękany kawał broku.

- Jedno jest pewne: Teddy Kennedy nie wraca do Stanów.
- Hmm... To dobrze? Co w ogóle sądzisz o Kennedych?

Carl otworzył usta, ale zaraz je zamknął i obejrzał się czujnie przez ramię.

- Dziękuję za kolejne przypomnienie, że nie jesteś stąd. U nas się o tym nie mówi otwarcie. Mamy nawet takie powiedzenie, że coś jest równie trudno znaleźć jak Kennedy'ego. Wielu Kennedych zmieniło po wojnie nazwisko; wciąż wielu jest takich, którzy uważają J.F.K. za ludobójcę, na równi ze Stalinem i Hitlerem.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

Spojrzał na ruiny domu. Dziesięć lat wcześniej nie mógłby się zbliżyć na sto metrów do tego miejsca, nawet gdyby był wielbicielem Kennedy'ego.

- Powiedziałem ci już, iż są wśród nas ludzie, którzy cieszą się, że J.F.K. smaży się w piekle z Hitlerem i Stalinem. Są i tacy - choć jest ich niewiele - którzy wiedzą, że Hitler i Stalin to dyktatorzy, a J.F.K. rządził z wyboru obywateli. Ci sami obywatele wybrali Kongres, który zatwierdził budżet wojska, i stworzyli system, który doprowadził do wybuchu wojny na małej karaibskiej wysepce. Ta sama mniejszość uważa, że nie można czynić kozła ofiarnego z jednego człowieka i potępiać jego rodziny, skoro wszyscy Amerykanie swoimi głosami podjęli takie decyzje.

- Rozumiem, że i ty należysz do tej mniejszości? Carl kopnął leżący kamień.
- Główną zaletą mniejszości jest to, że nigdy nie ma w niej tłoku. Ja to lubię.

Sandy pokiwała głową, a Carl z satysfakcją zauważył, że wreszcie wzdrygnęła się z zimna.

- Co powiesz na szybki spacer dookoła ruin? Potem rozgrzejemy się jakąś herbatą.

- Herbatą? Co to takiego?

Skrzywiła się i razem poszli przez sięgającą kolan trawę. Zatrzymali się dopiero przy ogrodzeniu. Wiatr zawodził w rumowisku, fale uderzały rytmicznie o gnijące drewniane ściany szop. Carl również pamiętał to miejsce, chociaż raczej w postaci czarno-białych zdjęć dokumentalnych. Rezydencja Kennedych. Przystojni mężczyźni i piękne kobiety bawią się na rozległych trawnikach; nowo wybrany prezydent wypływa żaglówką na Atlantyk; piękna Jackie z dziećmi - Caroline i Johnem juniorem. Wszyscy szczęśliwi, bezpieczni - amerykańska namiastka rodziny królewskiej. A dziś wszyscy martwi, spaleni żywcem.

Zbliżali się do rogu budynku, gdy Sandy dostrzegła napis na murze.

- Widzę ten napis już trzeci albo czwarty raz, Carl. Co to znaczy?

Na białym arkuszu pomarszczonej tektury ktoś czarną kredką napisał ON ŻYJE. Carl przez chwilę nic nie odpowiedział, po czym rzekł:

- Powiem ci, Sandy, ale nie cytuj mnie w artykule; napisz, że słyszałaś to od taksówkarza czy coś w tym guście.

Sandy posłała mu zatroskane spojrzenie.

- Chyba da się zrobić. Ale powiedz mi, dlaczego tak ci na tym zależy? Ścisnął w palcach płótno podszewki wyściełające kieszenie.

- Bo to drażliwy temat i już. Tak, jakbym w piwnicy swojego domu trzymał ciotkę wariatkę albo miał ojca w więzieniu. Wszyscy wiedzą, co jest grane, ale nikt o tym nie pisze i nie mówi.

- O czym?

- O tym. - Carl wyciągniętą ręką wskazał tabliczkę. - W tym kraju jego kult kwitnie. Nikt nie wie, ilu liczy członków ani co planują; wiadomo tylko, że doprowadzają do szału policję, resztki FBI i wojsko. Widzi się te napisy prawie wszędzie, czasem trafiają się też ulotki, czasem przemalowane tablice ogłoszeniowe na ulicach - nagle, z dnia na dzień. Słyszysz się też o czarnych transmisjach radiowych. I zawsze to samo: on żyje.

- On? To znaczy kto?

Znów instynkt kazał mu się nerwowo rozejrzeć.

- Kennedy. Dokładniej rzecz biorąc: prezydent John F. Kennedy.

Na twarzy Sandy pojawiły się białe plamy - po części z zimna, po części zapewne z szoku.

- Prezydent Kennedy? Żyje? Ale on przecież zginął pod bombami, prawda?

- Naturalnie - odrzekł Carl i sam się zdziwił, jak ostrym tonem to powiedział.

- Naturalnie. Ostami oficjalny komunikat wydany po tym, jak inwazja się posypała i Kuba wystrzeliła rakiety, mówił, że prezydent z rodziną jest ewakuowany z Waszyngtonu. Nie zdążył. Podobno Kennedy spanikował i za nic nie chciał opuścić Gabinetu Ovalnego. Rakiety spadły na Waszyngton, zanim helikopter zdążył się poderwać z trawnika przed Białym Domem; śmigłowiec, którym leciał Johnson, rozbił się i spłonął po drodze do bezpiecznej kryjówki w Wirginii. Johnson był na pokładzie; znaleziono ciało i zidentyfikowano go po dokumentacji dentystycznej. Nikt zatem nie twierdzi, że Johnson żyje. Są natomiast ludzie, którzy wierzą, że J.F.K. zdołał uciec i

ciężko ranny gdzieś się zaszył.

- I co robił przez te dziesięć lat?

- Nie spieszy się, zbiera siły, żeby ujawnić się jako prawdziwy zbawca kraju.

Przegna na cztery wiatry generała Curtisa, zniesie stan wojenny i wprowadzi nas z powrotem do światowej rodziny narodów. I tak dalej.

- Dziwne - przyznała Sandy. - U nas też niektórzy wierzą, że król Artur nie zginął, lecz czeka gdzieś w ukryciu, żeby w odpowiednim momencie przyjść Anglii z pomocą i ją ocalić. - Roześmiała się. - Mój ojciec zawsze powtarzał, że to bzdura, bo gdyby Artur naprawdę żył, to przyszedłby nas ratować w 1945 roku.

- Żeby wygrać wojnę? Przecież już się kończyła.

- Żeby nie dopuścić do elekcji laburzystów. - Sandy jeszcze raz prychnęła śmiechem, ale zaraz zapytała: - Mówiłeś coś o czarnym radiu... O co chodzi?

- Czarne radio - powtórzył Carl. - Piraci radiowi, nielegalne nadajniki, nieoficjalne stacje, które od czasu do czasu pojawiają się tu i ówdzie. Jest taka jedna, która odzywa się regularnie co kilka miesięcy. Przez kilka minut przemawia w niej facet, który twierdzi, że jest Kennedym.

- Żartujesz!

- Wcale nie. Kilka lat temu kumpel z „Globe” podał mi częstotliwości, na jakich facet nadaje. Od czasu do czasu udaje mi się go złapać.

- Przypomina z głosu J.F.K.?

- Pewnie że tak, ale to nic nie znaczy. W tym stanie pewnie z połowa mężczyzn umie nieźle naśladować Kennedy'ego, a nie mówię tu o prawdziwych wyznawcach kultu. Bo widzisz, oni nie tylko wierzą, że J.F.K. żyje; są przekonani, że wojna nie wybuchła z jego winy; uważają, że doszło do niej przypadkiem albo że nuklearna wymiana ciosów z Rosją i tak była nieunikniona, a prezydent robił, co mógł, żeby do niej nie dopuścić. Wierzą, że żyje, i łatwo się nie poddadzą.

Sandy zachwiała się na nogach, gdy wyjątkowo silny podmuch wiatru wzburzył wody oceanu.

- Ty też w to wierzysz, Carl, prawda? W to, że nie był odpowiedzialny za wojnę?

Carl starał się wciągnąć głowę w ramiona, osłonić ją kołnierzem kurtki. Żeby szlag trafił tę babę! Że też musiała wyciągać na wierzch wszystkie te rzeczy, o których starał się zapomnieć; pomysły, które nie powinny ujrzeć światła dziennego.

- Wierzę w to, że zgłodniałem - oznajmił. - A poza tym pewnie zaraz

zamarzną.

- Och, moje ty biedactwo - rozczuliła się Sandy. - Zawieź mnie do hotelu, to postawię ci kolację.

- Ty czy „Times”?

- Jeszcze nie wiem. - Poklepała go po policzku.

Odwrócił się i podążył za nią, trzymając ją pod ramię, gdy kolejny podmuch przygniótł trawy do ziemi i rzucił na ziemię obłuzowaną belkę wśród gruzów. Carl odwrócił się i ze zdumieniem spostrzegł miotaną wiatrem tekturową tablicę.

On żyje.

Szli właśnie w stronę wejścia do hotelu, gdy nie wiadomo skąd u boku Sandy pojawił się mężczyzna w workowatych spodniach, butach owiniętych w gazety i wojskowym płaszczu do kolan. Wystawił przed siebie pokryte bąblami powykręcane ręce.

- Dolar dla weterana, dobra pani - wyszeptał. - Dolar dla weterana, który zaznał atomowego pocałunku.

Sandy sięgnęła do kieszeni, ale Carl rozdzielił ich i rzekł ostro:

- Daj jej spokój, przyjacielu. Idź naciągać innych ludzi.

I pchnął Sandy w obrotowe drzwi wejściowe. Nie odezwała się ani słowem, kiedy szli przez hol. Dopiero w windzie wcisnęła odpowiedni guzik i odwróciła się do Carla, posyłając mu wściekłe spojrzenie.

- Więc to prawda - stwierdziła.

- Co jest prawdą?

- Że przywykliście do bólu i cierpienia, że stały się dla was nieodłącznym elementem krajobrazu, do którego można się przyzwyczać.

- Skoro tak mówisz... - Carl patrzył na przesuwaną się za drzwiami windy światła.

- Czemu tak ostro zareagowałeś, do diabła?! Nie chodziło o twoje pieniądze! Winda stanęła, drzwi się otworzyły.

- Czy mogę coś powiedzieć na swoją obronę, czy już powinienem wracać na dół, do holu?

- No słucham, proszę bardzo. - Sandy skrzyżowała ręce na piersi.

- Możesz rozdawać pieniądze, komu chcesz, ale wydawało mi się, że nie chciałybyś oddawać ich naciągaczowi.

- Naciągaczowi? Ten chodzący wrak miałby być naciągaczem? Drzwi windy zaczęły się zamykać, więc Carl wcisnął blokujący je przycisk.

- Oczywiście. Wystarczy trochę kleju, mąki i barwników spożywczych i już masz piękne blizny po oparzeniach radiacyjnych; możesz śmiało kręcić się przy dobrych hotelach i straszyć przyjezdnych. Jeśli cię to bawi, możesz nawet mieć z tego niezły kawałek grosza.

- Dlaczego uważasz, że to nie były prawdziwe blizny?

- Bo wiem, jak prawdziwe blizny wyglądają - odparł Carl.
- Przepraszam. Nie chciałam tak się zachować. Po prostu...
- Wiem - przerwał jej i znów przycisnął guzik blokujący drzwi. - Tu wszystko wygląda inaczej, ty nie jesteś stąd i nikt ci nie chce nic powiedzieć.

- Na miłość boską, przestańmy się kłócić w windzie! - Sandy złapała go za łokieć. - Chodź, napijemy się przed kolacją.

Poszli razem korytarzem i Sandy otworzyła drzwi swojego pokoju. Carl bardzo starał się nie rozdziawiać z podziwu ust: zajmowała dwupokojowy apartament z wygodną kanapą, wydzieloną kuchenką, łazienką, miejscem do pracy i łóżkiem wielkim jak szalupa ratunkowa.

- Masz ochotę na piwo? - zapytała, stając przy małym barku. - Budweisera?

- Zimne?

Rzuciła mu butelkę.

- Tak, chociaż nie rozumiem, czemu wy, Jankesi, tak mroziecie piwo. Przecież wtedy nawet smaku nie można dobrze poczuć.

- Słuchaj no, czy Anglicy przypadkiem nie dlatego podbili świat, że cały czas szukali jakiejś dobrej knajpy?

Sandy uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Ha, ha, ha; bardzo zabawne. Masz. - Rzuciła Carlowi grubą księgę w skórzanej oprawie. - Menu serwowane przez służbę hotelową. Ja idę do łazienki, a ty przez ten czas coś sobie wybierz.

- Ty płacisz czy „Times”?

- A będziemy rozmawiać przy kolacji o bieżących problemach kraju?

- Pewnie.

- W takim razie Krzykacz stawia.

- Niech żyje wolna prasa.

- Właśnie, niech żyje.

Przejrzawszy menu, Carl doszedł do wniosku, że od dawna nie jadł pieczonego homara z nadzieniem.

Niech żyje fundusz reprezentacyjny, pomyślał i otworzył budweisera.

Sandy zamówiła żeberka jagnięce, Carl homara, a na deser obsługa hotelowa podała lody i kawę. Przenieśli się już na kanapę, skąd Sandy uprzątnęła stertę gazet,

magazynów i przywiezionych z Anglii książek w miękkich okładkach: Wyzwania nowego imperium, Jak uniknąć amerykańskich błędów, Amerykański charakter: jak zawiodły Stany Zjednoczone.

Carlowi wypłynął na twarz gniewny rumieniec.

- Co to ma znaczyć? Lekka lektura o barbarzyńcach, których musiałś odwiedzić?

Sandy wyjęła mu książki z rak i odłożyła je na podłogę.

- Nikt mnie nie zmuszał, żebym tu przyjechała - zachnęła się. - Zgłosiłam się na ochotnika, bo wiedziałam, że to będzie coś ważnego, że mam szansę na życiowy materiał. A ty wiesz równie dobrze jak ja, że uczciwy dziennikarz korzysta z wszelkich dostępnych źródeł informacji, nawet jeśli mu się nie podobają.

- Te akurat są cokolwiek stronnicze, nie uważasz?

- To prawda. Niestety... W Wielkiej Brytanii jest całkiem sporo ludzi, i to wpływowych, którzy poniekąd cieszą się z waszych kłopotów. Postrzegają Stany jako parweniusza, kraj kowbojów i rozbójników, który z powodu przerostu ego prezydenta omal nie unicestwił całej ludzkiej cywilizacji. Uważają, że zasłużyliście na taką karę. Zapewniam cię, Carl, że ja jestem inna.

- Gdybym był nieuprzejmy, mógłbym wskazać pewne niedoskonałości także w waszym charakterze - zauważył Carl, przypominając sobie sytuację sprzed kilku tygodni. - Mieliśmy tu niedawno taki mały skandalik: jeden z waszych emerytowanych generałów został znaleziony martwy w łóżku z dziwką, która przedawkowała narkotyki.

- Nikt nie twierdzi, że jesteśmy doskonali, Carl. - Sandy spuściła na moment wzrok. - I czasem ktoś nam o tym przypomina, czy to jakiś generał, czy poseł, który uwielbia młodych chłopców.

Carl podniósł z podłogi jedną z książek, Wyzwania nowego imperium.

- Powiesz mi, o czym to jest?

Sandy przeciągnęła się na kanapce, odsłaniając przy tym wąski paseczek nagiego brzucha. Carl starał się nie gapić na nią zbyt natrętnie.

- Dobrze... Dzieje Wielkiej Brytanii widziane z perspektywy pewnej kobiety. Przed wojną kubańską byliśmy nikim; liczyły się tylko Stany i Związek Radziecki. Potem wojna się skończyła i NATO przestało istnieć. Niektórzy z nas poczuli się wyzwoleni spod dominacji młodszego, bogatszego krewniaka. Przyszła pora, żeby ponownie zająć główne miejsce na scenie.

- Kłopot w tym, że będąc numerem jeden, stajesz się automatycznie łakomym kąskiem dla numerów dwa i trzy.

- To fakt, ale w 1962 roku nasz premier i parlament inaczej to widzieli. Odrodzone i zjednoczone Niemcy sprzymierzyły się z Francją, starając się zaprowadzić porządek na wschodzie Europy, my zaś wróciliśmy na nasze stare tereny łowieckie, do Indii i obu Pakistanów, żeby pomóc im rozwiązać kwestię uchodźców i opadu radioaktywnego. Australia i Nowa Zelandia ucieszyły się na wieść o bliskim sąsiedztwie okrętów marynarki królewskiej, które mogły zatrzymać tłumy azjatyckich uciekinierów w szalupach i pontonach. Wzmocniliśmy garnizony w Hongkongu i na Cejlonie; Kanada powitała nas z otwartymi ramionami; uruchomiliśmy program pomocy humanitarnej dla Stanów.

- Co za hojność: dać światu na nowo imperium brytyjskie - zauważył z przekąsem Carl.

- Nie zrozum mnie źle; moi rodacy wcale nie są jednomyślni w tej kwestii. Jedni popierają rząd, inni zaś uważają, że to nieuczciwe wykorzystywać nieszczęście innych do wypromowania własnego kraju. A wracając do tego, o czym mówiłeś wtedy w konsulacie: wiem, że to szokujące, ale po części miałeś rację. Nasza pomoc nie jest tak do końca bezinteresowna i szczerą; niektóre kręgi w Anglii chcą odzyskać wpływy za oceanem, nie licząc się z kosztami.

- A te koszty to ocalenie milionów od śmierci głodowej, tak? - Carl zdał sobie sprawę, że zbyt się zapala, i chciał przeprosić za swoje zachowanie, gdy Sandy znów spuściła oczy, mówiąc:

- Może i mamy serca z kamienia, Carl, ale tylko tacy ludzie mogą tworzyć imperia.

- A ty, Sandy? Czy ty też masz serce z kamienia?

- Mój redaktor powiedziałby pewnie, że jeszcze nie.

Carl wziął do ręki leżącą na nocnym stoliku książkę w twardej oprawie i obejrzał ją obu stron. Z przodu okładki wymalowano stylizowany Biały Dom. Na trawniku stał okuty w zbroję rycerz na białym koniu; kopię trzymał opuszczoną, jakby nie miał siły dalej walczyć. Książka nosiła tytuł Amerykański Camelot, z tyłu zaś znajdowało się zdjęcie autora Jacka Hagopiana, Amerykanina mieszkającego w Londynie, byłego funkcjonariusza administracji Kennedy'ego. Ubrany w dzinsową kurtkę stał przed ambasadą amerykańską na Grosvenor Square; miał elegancko przystrzyżoną brodę i poważny wyraz twarzy.

Carl zważył książkę w ręce.

- Celnicy nie robili ci problemów? - zapytał.

- Nie, ale też nie ja ją tu przywiozłam. - Sandy naląła kawy sobie i Carlowi. -
Dougie Harris, nasz attache prasowy, dał mi ją, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy.
Naprawdę jest u was zakazana?

Carl przesunął ręką po lakierowanej okładce.

- Powiedzmy, że księgarnie, w których jest sprzedawana, często mają powybijane okna. Przeczytałaś ją?

- Prawie całą. Nie mogę się doczekać, jak się kończy. - Sandy mieszała właśnie swoją kawę z cukrem i śmietanką. - Fascynująca książka, taka historia alternatywna. Opowiada o tym, co by było, gdyby J.F.K. i Chruszczow się dogadali. Nie doszłoby do wojny.

- No i co się działo dalej? Udało się uniknąć kryzysu, tak?

- Właśnie to jest najciekawsze. - Przytrzymując filiżankę, Sandy oparła ją na kolanach. - J.F.K. i Nikita byli tak przerażeni, że rozpoczęli potajemne negocjacje, żeby zażegnać niebezpieczeństwo. J.F.K. został wybrany na drugą kadencję, ale zamiast walczyć z komunizmem, zaangażował się przede wszystkim w rokowania rozbrojeniowe. Nikita popuszcza trochę swoim ludziom i wprowadza ograniczone swobody obywatelskie i reformy ekonomiczne. W końcu wojskowi w obu krajach orientują się, co jest grane, i zaczynają się problemy, bo oczywiście jedna armia ani trochę nie ufa drugiej. Szpiegują się nawzajem... Trzyma w napięciu, nie powiem, ale jest w tym i poważniejsza nuta.

- To znaczy?

- Zaczyna się prawdziwie komercyjny kawałek. Bobby Kennedy zazdrosny o brata - nic niezwykłego, prawda? - planuje własną karierę polityczną. Też chce być prezydentem, ale na początek ma romans z Jackie Kennedy. Dalej nie doczytałam.

Carl jeszcze raz obejrzał książkę i odłożył ją na miejsce.

- W 1961 roku byłem na uroczystości jego zaprzysiężenia - powiedział.

- Naprawdę? Jako gość?

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się smutno na to wspomnienie. - Szedłem w defiladzie, w jednym z oddziałów. Było tak potwornie zimno... Jezus, Maria, nie wiedziałem, że w Waszyngtonie może być taki mróz i tyle śniegu. Przecież to miasto południowe, między Marylandem i Wirginią. Wszyscyśmy się trzęśli z zimna. Ale wszystko odbyło się zgodnie z planem i Kennedy wszedł na podium, wygłosił

przemówienie, a my przemaszerowaliśmy przed nim, odmrażając sobie uszy.

- Byłeś świadkiem historycznych wydarzeń.

- Ano byłem, byłem... Świetnie przemawiał, coś o płonącej pochodni, którą należy przekazywać nowym pokoleniom. Stary Eisenhower wyglądał jak własny dziadek, a Kennedy był młody i tryskał energią i pomysłami. Obiecywał wspaniałą przyszłość, mówił o tym, że zapłacimy każdą cenę i zniesiemy każde brzemię, żeby bronić wolności i walczyć z komunizmem; było też o tym, co możemy zrobić dla kraju.

- Mobilizujące, co?

O tak, pomyślał Carl. Bardzo mobilizujące i bardzo stosowne przed tamtym październikiem.

- Wtedy też tak to odbierałem, chociaż starsi głosowali na Nixona i śmiali się z Kennedy'ego. Któryś z chłopaków rzucił nawet: „Hej, Jack, pokaż no więcej ikry, a mniej się popisuj”. Żołnierze są z natury konserwatywni. Ale czułem wtedy... Och, Sandy, nas, młodszych, przepełniało niezwykle uczucie, jakaś magia chwili; czuliśmy, że naprawdę ruszamy na jakąś nową krucjatę. To bardzo przyjemne uczucie. Nie było dla nas rzeczy niemożliwych. Później zdawało się nam nawet, że możemy polecieć na Księżyc. - Jeszcze raz pogładził grzbiet książki, bajki, której urokowi po dziś dzień ludzie dawali się uwieść. - Oczywiście niecałe dwa lata później było po wszystkim. Większość VIP-ów, sędziów, senatorów i kongresmanów zginęła, a cała okolica, przez którą maszerowaliśmy, jak okiem sięgnąć zmieniła się w skorupę czarnego szkła. Zabawne. .. Gdyby dziś zrzucono mnie na spadochronie w to samo miejsce, w którym w 1961 roku odbywała się defilada, nie przeżyłbym nawet jednego dnia.

Sandy z filizanką w dłoniach patrzyła w ścianę.

- Wiem, że to, co powiem, zabrzmie dziwnie, ale nie przerywaj mi.

- Spróbuję.

- Zawsze zazdrościłam Amerykanom. Nawet... mimo wojny. Macie w sobie coś takiego... Zawsze wierzyacie, że możecie wszystko zrobić, wszystko naprawić, wszędzie dotrzeć. Jesteście tacy niespokojni, pełni... Rany, nie wiem, pełni energii. Nie optymizmu, to nie to; raczej pędu, który każe wam działać. Teraz też.

- Za dużo się naczytałaś romantycznych artykułów o potędze amerykańskiego ducha - rzekł Carl, czując taki sam przypływ melancholii jak w Hyannis Port. - A zostało nam go akurat tyle, żeby się wyżywić, jakoś tam odziać i nie pakować w kłopoty. Taki jest ten kraj dziś i pewnie przez ładnych kilka lat niewiele się zmieni.

- A ty? Co zamierzasz zrobić w tej sprawie? Carl z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Ja? Samotny dziennikarz? Jeden człowiek?

- George Orwell też był tylko jeden, a sam popatrz, jaki miał wpływ na innych.

- Oczywiście, ale nasz znakomity pan Blair nie musiał żyć w stanie wojennym, z cenzurą na karku. Ja po prostu staram się przeżyć, pisać artykuły, które cenzura puści i...

Chciał dodać: „I dowiedzieć się czegoś o Merlu Sawsonie”, ale ugryzł się w język. Dowiedzieć się wszystkiego o starym człowieku w posklejanych plastrem butach, który zginął gwałtowną śmiercią, a przedtem prosił mnie o pomoc.

Sandy znów przeciągnęła się jak kotka.

- Widzisz, jednak coś nas łączy - powiedziała. - Oboje piszemy o naszych czasach.

- Słucham? Chyba się zgubiłem.

- Och, mówiłam, że chcę zostać wielką pisarką, ale tak samo jak ty nie cierpię tajemnic. Nie zamierzam pisać o tym, co premier dziś powiedział albo o czym gadał wczoraj burmistrz. Mam ambicję odkrywać, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, jakie plany snują dowódcy w bazach wojskowych, o czym mówi siew Genewie. Jeżeli ujawnimy dość tajemnic, może uda nam się uniknąć przyszłych wojen.

Sandy uśmiechnęła się tak szczerze i niespodziewanie, że Carl musiał odpowiedzieć jej tym samym. Znów uświadomił sobie, że od dziesięciu lat nie widział takiej kobiety.

- Mój Boże, zaczynam mówić jak zaprzysięgła socjalistka, nie? Tato dostałby zawału. A ty, Carl? Jesteś tylko reporterem czy odkrywcą prawdziwych tajemnic?

Przypomniał sobie starego żołnierza zabitego we własnym mieszkaniu strzałem w tył głowy.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Sandy ziewnęła raz, potem drugi; Carl na chwilę wyszedł do łazienki. Umył starannie ręce, rozkoszując się ciepłą wodą i świeżym mydłem; u niego w domu z wodą bywało różnie. Wytarł ręce w puchaty biały ręcznik i wrócił do salonu. Sandy leżała na kanapie z zamkniętymi oczami. Oddychała wolno i regularnie.

Spokojnie popatrzył dookoła: pokój z widokiem, resztki posiłku, którego koszt przewyższał pewnie jego miesięczne wydatki najedzenie, a na kanapie najpiękniejsza kobieta, jaką widział od czasów wojny. Większość męczącego dnia upłynęła mu na podróży po całym stanie, ale teraz Carl czuł, że nie zrezygnowałby z ani jednej jego sekundy. Zwłaszcza że dzień dobiegał końca. Inny mężczyzna na jego miejscu obudziłby pewnie Sandy, żeby przekonać się, co przyniesie tak dobrze zapowiadający się wieczór, ale on nie mógł się do tego zmusić. Za kilka tygodni Sandy wyjedzie do domu, a on wolał oszczędzić sobie rozmyślań w rodzaju „co by było gdyby”.

Tymczasem na myśl o tym, co wniosła w jego życie w ostatnich kilku dniach, czuł zarówno złość, jak i głęboką wdzięczność. Złość wynikała z faktu, że kolejny raz ktoś mu przypomniał, iż wystarczy wsiąść w samolot, by za kilka godzin znaleźć się w kraju szczęśliwych ludzi, gdzie jedzenia i prądu jest zawsze pod dostatkiem. A wdzięczność należała się Sandy za to, że nim potrząsnęła, że zmusiła go do myślenia. Spojrzał na nią jeszcze raz, wyobrażając sobie, jak miękką musi mieć skórę.

Na wyrwanej z notesu kartce napisał pożegnalny liścik i wyszedł z pokoju. Po cichu zamknął drzwi, żeby jej nie zbudzić. Nie wiedział tylko, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Dochodziła jedenasta w nocy. Jadąc przez dzielnice Bostonu, wiedział, że nie powinien robić tego, co sobie postanowił, ale Sandy go sprowokowała. Zadała to pytanie: czy jest bezmyślnym pismakiem, czy raczej kimś, kto draży temat i szuka odpowiedzi? Po drodze do domu uznał, że czas się o tym przekonać.

Podchodzący do lądowania samolot z rykiem silników przemknął mu nad głową, gdy wysiadł z coroneta i przeszedł przez ulicę. Miał szczęście: drzwi na ganku otworzyły się, ledwie je pchnął. Zapukał do mieszkania Andrew Townesa na parterze, ale nie doczekał się odpowiedzi. Gdzieś na zewnątrz trzasnęły drzwi, jakiś pijacki głos zaklął szpetnie.

- Co z papierosami, ty draniu?! - rozległ się kobiecy krzyk.

Carl wszedł na piętro i stanął przed drzwiami mieszkania Merla Sawsona. Drzwi były zamknięte na klucz i oklejone policyjnymi nalepkami. Ruszył więc jeszcze wyżej, na drugie piętro, gdzie mieszkał Troy Clemmons, ale nie doszedłszy do podestu, przystanął z ręką na poręczy. Drzwi były otwarte, a futryna potraskana i wyłamana.

- Troy? - zawołał cicho i pchnął drzwi stopą.

Kiedy ostatnio odwiedził Clemmonsa, w mieszkaniu panował bałagan; teraz wnętrze wyglądało tak, jakby przeszedł tu tajfun. Jedyne oświetlenie pokoju stanowiła latarnia po drugiej stronie ulicy. Wszedł i zamknął za sobą drzwi, po czym włączył lampkę na stole. Mieszkanie zostało przewrócone do góry nogami i przeszukane chyba jeszcze gruntowniej niż lokal Merla. Ubrania, meble, naczynia i książki leżały zrzucone na bezładną stertę na środku salonu. Carl przeszedł ostrożnie przez kuchnię, salon i zajrzał do sypialni. W mieszkaniu nie było żywej duszy.

Wrócił do salonu. Plakaty antypoborowe zostały zerwane ze ścian i podarte na strzępy. Wyglądało na to, że oblawa wojskowa dosięgła Troja, który - jeśli dopisało mu szczęście - zdążył uciec.

Carl popatrzył po oknach, które, podobnie jak piętro niżej, wychodziły na mały zadaszony balkonik. Zastanawiał się przez chwilę, wsłuchany w grzmot silników następnych dwóch samolotów lądujących w Logan Airport. Kiedy usłyszał ten dźwięk po raz trzeci, wyszedł przez okno i stanął przy balustradzie. Zamknął okno, uważając, żeby go nie zatrzasnąć, i wyjrzał przez barierkę. Nie było to takie niewykonalne... Kurczę, w wojsku nawet by się długo nie namyślał. Na szkoleniu dwa razy skakał ze spadochronem.

- Ale teraz jesteś ciut straszy, co? - szepnął, przechodząc nad barierką. Ostrożnie opuścił się na balkon piętro niżej.

I wtedy pośliznął się i zawisł na samych rękach.

- Cholera! - wyrwało mu się. Nie widział za dobrze dolnego balkonu i machał rozpaczliwie nogami, szukając oparcia. Przemknęła mu przez głowę paskudna myśl, że zaraz spadnie i złamie sobie nogę albo nawet swój dumny kark. Co wtedy powie Dooleyowi w „Głobie”? Nagle trafił piszczelą w coś twardego i zrozumiał, że wisi znacznie niżej, niż mu się zdawało. Podciągnął nogi i oparł je na balustradzie balkonu Sawsona, a po kilku dalszych niepewnych sekundach sturlał się na podłogę. Leżał chwilę bez tchu, z obolałymi zębami. Niektórych nabytych w wojsku umiejętności dawno nie wykorzystywał - i teraz to wychodziło.

Najlepiej zrobiłby, wdrapując się z powrotem na górę, wracając do domu i śpiąc smacznie do rana, ale nie mógł zapomnieć tego kpiarskiego półuśmieszku Sandy, który tak go poruszył. Kim jesteś, zapytała. I to przerażenie w oczach Merla, kiedy się spotkali. Mam coś ciekawego do powiedzenia, stwierdził. Coś ważnego, co odmieni przyszłość tego kraju. Historyczny materiał. A kilka tygodni później już nie żył.

Carl wstał i udało mu się podnieść do połowy jedno okno; dalej nie chciało się ruszyć, zgiął się więc w pół i wcisnął do wnętrza. I oto spocony, zmarznięty i zdyszany stał już w mieszkaniu zmarłego. Wciąż pachniało starociami i przemocą. Na palcach przeszedł przez pokój do kuchni, wspominając, jaką radę dał właścicielowi domu. Nie ulegało wątpliwości, że Townes go nie posłuchał, bo w mieszkaniu nic się nie zmieniło. Ubrania i naczynia były porzucane bezładnie we wszystkich pomieszczeniach. Carl zapalił lampkę nad kuchenką i osłonił żarówkę ścierką, żeby z zewnątrz nie było widać, że ktoś buszuje po mieszkaniu.

Oddech powoli mu się wyrównał. No, bystrzaku, jesteś na miejscu. Co dalej? - spytał sam siebie. Wrócił do salonu i usiadł na podłodze, żeby przejrzeć należące do Merla gazety i książki w poszukiwaniu osobistych listów czy notatek. Poczta, którą Sawson odebrał, z pewnością trafiła do policyjnego sejfu razem z resztą materiału dowodowego, ale funkcjonariusze mogli przecież coś przegapić. Starał się nie zastanawiać nad tym, czego właściwie szuka; nie miało to większego sensu - wszystko, co ciekawe, zgarnęły gliny. W takim razie po co tu myszkował?

- Właśnie po to - mruknął pod nosem. Wstał i skrzywił się, gdy kolana strzeliły mu boleśnie. Właśnie dlatego, że coś się działo i starszek przyszedł do niego i mu zaufał; dał mu listę nazwisk. Carl miał wobec niego dług.

Przeszedł do sypialni i marszcząc brwi, obejrzał resztki nędznego dobytku Sawsona. Na łóżku leżał goły materac z ogromną rdzawą plamą na wysokości głowy. W szufladach komody znalazł skarpetki, bieliznę i podkoszulki, a w pachnącej pleśnią garderobie trzewiki, półbuty i tenisówki bez sznurówek. Przeglądając od niechcenia ubrania, natknął się na znoszoną czapkę baseballową New York Yankees. Wziął ją do ręki: dziwna zabawka jak na wielbiciela Red Soksów. Miał już zamknąć garderobę, gdy końcami palców musnął coś skórzanego. Wepchnął rękę głębiej i namacał jakąś torbę na ubrania. Sięgnął po nią, zdjął ją z wieszaka, wyciągnął i rzucił na materac, starając się nie dotknąć krwawej plamy.

Słabe światło sączące się z kuchni w zupełności wystarczyło do zapoznania się z zawartością torby. Carl rozsunął suwak i odruchowo gwizdnął ze zdumienia: na wierzchu leżał amerykański mundur pułkownika z naszywką piechoty i chyba kilkudziesięcioma baretkami. Carl rozpiął zamek do końca i ujrzał opaskę na rękawie munduru. Merl Sawson był jednak kimś więcej niż zwykłym kombatantem dożywającym swoich dni na chudej emeryturce. Wcześniej obracał się w wielkim świecie. Tylko gdzie?

W jednej z kieszeni munduru Carl znalazł niedużą kopertę. Wyjął ją i podniósł do światła - była zrobiona z grubego białego papieru, a na wierzchu ktoś odręcznie wykaligrafował „Pułkownik Merl Sawson”. W środku znajdował się sztywny kawałek pergaminu opatrzony odbitą czarnym tuszem pieczęcią prezydenta Stanów Zjednoczonych - zaproszenie:

*Prezydent wraz z panią Kennedy
ma zaszczyt zaprosić
pana pułkownika Merla Sawsona
na uroczystą kolację
w piątek, 19 września 1962
o godzinie 20.00*

Oprócz zaproszenia w kopercie znajdowała się jeszcze druga, mniejsza karteczka:

*Z okazji wizyty
Jego Ekscelencji
Premiera Kanady*

Dopiero teraz Carl rozpoznał opaskę na rękawie munduru; niewielu żołnierzy mogło się czymś takim pochwalić. Pułkownik Merl Sawson był jednym z osobistych asystentów prezydenta w Białym Domu.

- Jasny gwint - wyszeptał Carl.

Nie spodziewał się, że znajdzie coś jeszcze. Stare zaproszenie sprzed dziesięciu lat schował do kieszeni i wrócił do kuchni - teraz już zgrzany, zmęczony i spragniony. Nie wiedział jeszcze, komu ani po co je pokaże, ale musiał je mieć, musiał mieć jedyny dowód na to, że Merl nie był zapomnianym, przypadkowym weteranem wojennym. Potarł palcami kopertę, nie wyjmując jej z kieszeni. Biały Dom. Miejsce to przestało istnieć, zostało dawno temu zmiecione z powierzchni ziemi, ale jego nazwa wciąż miała jakieś poważne, tajemnicze znaczenie.

Pić. Tak mu się chciało pić. Niewiele myśląc, otworzył lodówkę i aż mu się niedobrze zrobiło od buchającego z niej smrodu gnijącej żywności, skwaśniałego

mleka i diabli wiedzą czego jeszcze. Przyjrzawszy się uważniej lodówce, zauważył, że ktoś - prawdopodobnie jeden z policjantów - przesunął ją i wyciągnął wtyczkę z kontaktu. No to pięknie.

Sam nie bardzo wiedząc po co, otworzył zamrażalnik. Pośród ociekających wodą resztek gotowych obiadów i kilku niemożliwych do rozpoznania grud owiniętych folią aluminiową znajdował się cienki pakunek zawinięty w plastikową torebkę i wepchnięty na sam tył pojemnika. Sądząc po ilości spływającej z lodówki wody, ten fragment zamrażalnika musiał być skuty kilkucentymetrową warstwą lodu, a i w tym lodzie było coś, co Merl... co pułkownik Sawson chciał schować. Carl włożył rękę do wody i wyciągnął paczuszkę owiniętą, jak się okazało, w kilka worków foliowych i zlepioną szczelnie plastrem. W środku znajdowała się listowa koperta z szarego papieru.

Otworzył ją w kuchni, stojąc nad kuchenką. Z wnętrza wysypały się cztery przedmioty - pierwszą z nich był standardowy identyfikator sił zbrojnych opatrzony zdjęciem pułkownika Sawsona. Nic nadzwyczajnego; Carl też miał taką plaketkę zagrzebaną gdzieś w portfelu. Spojrzał na ostre rysy i zdecydowane oczy Merla. Przebiegł go dreszcz; to tego człowieka widział przed miesiącem w porcie... Wyglądał wtedy jak cudem ocalały jeniec wojenny, a nie jak pewny siebie pułkownik.

Następna była poskładana kartka papieru z napisem "Biały Dom, Waszyngton" przy górnej krawędzi. Po rozłożeniu jej Carl odczytał ręcznie pisany list:

10/27

Merl,

Jesteś chyba na posiedzeniu ExCommu, więc dla przypomnienia kreślę te kilka słów. Gdyby doszło do tego, że - Boże uchowaj - sytuacja wymknie się nam wszystkim spod kontroli, pamiętaj, że w domu mojego brata w Maine zawsze znajdzie się miejsce dla ciebie i Carli. Podaję ci adres: Sea Breeze Way 14, York, i mam nadzieję, że się tam NIE spotkamy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Nie będzie mnie teraz na Kapitolu, jadę zrobić jakimś palantom odprawę. Obaj mamy szczęście, co?

Casimir

Carl ostrożnie złożył kartkę i niczym najcenniejszą relikwię schował ją do

koperty. List napisano dzień przed wybuchem wojny. A Casimir to zapewne „Caz”, o którym według Troya Merla często śnił. Gdzie teraz się podziewał? Czy mógł być tym tajemniczym gościem w domu Merla, który odwiedził go tuż przed śmiercią? Clemmons o nim wspominał. W kopercie znajdowały się jeszcze dwie kartki - zwykła biała wizytówka z wypisanym czarnymi literami nazwiskiem „Stewart Thompson” i bostońskim numerem telefonu oraz coś w rodzaju przepustki, większej od wojskowego identyfikatora. Carl wziął ją do ręki i podsunął pod lampę.

Zdjęcie przedstawiało Sawsona w mundurze i było przecięte w pół złotą nitką. Z prawej strony wpisano nazwisko i stopień Merla, a także jego wzrost, wagę, kolor włosów, oczu i numer identyfikacyjny. U dołu, obok odciska palca Sawsona, widniał podpis sekretarza obrony Roberta S. McNamary - jeszcze jednego ducha z przeszłości. A środek plakietki zajmowały wypisane pogrubionym drukiem słowa:

IDENTYFIKATOR OFICJALNY.
WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU WŁAŚCICIELA.
DO OKAZANIA WE WSZYSTKICH SPRAWACH URZĘDOWYCH.
UPRAWNIA DO UŻYCIA
AWARYJNYCH ŚRODKÓW TRANSPORTU.
UPRAWNIA DO SWOBODNEGO PRZECHODZENIA
PRZEZ CYWILNE I WOJSKOWE PUNKTY KONTROLNE.
UPRAWNIA DO WEJŚCIA NA TEREN
WSZYSTKICH BAZ WOJSKOWYCH.
UPRAWNIA DO WEJŚCIA NA TEREN
AWARYJNEJ SIEDZIBY WŁADZ PAŃSTWOWYCH.

Kiedy Carl chował identyfikator do koperty, ręce mu się trzęsły.

W poniedziałek rano Carl pojechał na północ, do Yorku w stanie Maine - położonego nad brzegiem oceanu miasteczka odległego o dwie godziny jazdy od Bostonu. Pierwszy raz od bardzo dawna - od otwarcia Fenway Park, ściślej rzecz biorąc - zadzwonił do pracy i zwolnił się, nie będąc naprawdę chorym. Wykręcił też numer Stewarta Thompsona, którego wizytówkę znalazł w zamrażalniku u Merla Sawsona. Nikt nie podniósł słuchawki.

Do Maine jechał drogą międzystanową numer dziewięćdziesiąt pięć. Im dalej na północ się zapuszczał, tym mniej mijał samochodów i tym więcej pojawiało się konnych wozów na gumowych kołach. Za każdym razem, gdy dojeżdżał do wiaduktu autostrady, wychylał się do przodu i przez przednią szybę spoglądał do góry, jak najwyżej sięgnął wzrokiem; jedną z ulubionych rozrywek gangów sierocych było zrzucanie kamieni na przejeżdżające dołem pojazdy.

Tuż przed granicą New Hampshire Carl wybrał zjazd prowadzący do Newburyport, jego rodzinnego miasta. Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy i starał się skoncentrować na drodze. Od dziesięciu lat tędy nie jeździł; starał się nie myśleć o domu, w którym się wychował, o matce i ojcu, którzy przeżyli wojnę, a wtedy przyszła ta straszna zima, bez prądu, całymi miesiącami bez prądu, a śniegu przybywało i przybywało...

Dopiero kiedy wjechał do New Hampshire, rozluźnił uchwyt i zaczął śmielej rozglądać się na boki. Usiadł wygodniej i poczuł, jak coś w wewnętrznej kieszeni kurtki gniecie go w żebra - identyfikator Merla Sawsona i dziesięcioletnie zaproszenie wystosowane przez Pierwszą Rodzinę. Przyszedł mu na myśl dawny sąsiad Slatterly, mieszkający piętro niżej. Przyjaźnili się przez pierwszy rok pobytu Carla w Bostonie. Slatterly miał ogoloną na łyso głowę i mówił z chrapliwym nowojorskim akcentem. Nie opowiadał za wiele o tym, czym zajmował się przed wojną w Nowym Jorku, teraz natomiast specjalizował się w handlu pamiątkami przedwojennymi.

Któregoś wieczora z dumą zaprezentował Carlowi przedmioty, które zbiera i sprzedaje: stare muszle z Key West, pocztówki z San Diego, miniaturowe kopie Statuy Wolności oraz swoją dumę i ozdobę kolekcji: okrągły kawałek marmuru wielkości dziecięcej piąstki.

- Wiesz, co to jest? - zapytał go Slatterly. - Nie? Przyjacielu, to jedyna w

swoim rodzaju pamiątka: głowica oryginalnego młotka, który przed wojną w Senacie służył do uciszania publiki. A wiesz, ile za niego dałem? Całą skrzynkę puszkowanego żarcia! A taki na przykład oryginał Deklaracji niepodległości.. . Słyszałeś, że zdążyli go ponoć wywieźć z Waszyngtonu przed bombardowaniem; byłby wart pewnie tyle co cały magazyn pełen jedzenia.

Bez wątpienia zaproszenie państwa Kennedych miałoby całkiem przyzwoitą cenę, ale Carl nie mógł już o to zapytać Slatterly'ego. Pewnego wieczora przed dwoma laty Carl wrócił z redakcji i zastał jego mieszkanie wymiecione do czysta. Nikt nie wiedział, co się stało z handlarzem staroci.

Szybko przemknął przez New Hampshire i wjechał do Maine. Nadbrzezną drogą - jedynką - dotarł do Yorku, a tam w sklepie zapytał kulejącego właściciela o dojazd na Sea Breeze Way.

Uliczka ta, wąska i pokryta spękanym, powybrzuszonym asfaltem, biegła wzdłuż głównej plaży miejskiej. Dzień był pochmurny, toteż plaża świeciła pustkami - tylko gdzieś na samym jej końcu dwoje ludzi spacerowało z psem. Carl zaparkował samochód blisko piaszczystych wydm i ruszył przed siebie. Dom, którego szukał, miał piętro, pusty podjazd z lewej strony i na wpół zawałoną przybudówkę - zapewne garaż - na tyłach. Ze ścian łuszczyła się jasnozielona farba. Większość domków przy Sea Breeze Way była parterowa; w ich brudnych oknach wystawiono tabliczki NA SPRZEDAŻ albo DO WYNAJĘCIA. Na skrzynce pocztowej przed numerem czternaścym widniało nazwisko: CYNEWSKI.

Carl zgarbił się i ruszył po wysypanej tłuczniem ścieżce. Stanąwszy na ganku przed drzwiami z siatki, odetchnął głęboko i zastukał. Rzykował, że niczego się nie dowie i na próżno straci dzień wolny, ale musiał podjąć takie ryzyko. Odczekał chwilę, zapukał ponownie i właśnie zamierzał ponowić próbę, gdy za siatką pojawił się starszy mężczyzna. Kiedy otworzył drzwi, Carlowi zrobiło się wstyd, że uznał go za takiego staruszka - był po prostu okropnie chudy, miał rzadkie siwe włosy i worki pod oczami. Ręce mu się trzęsły. Był ubrany w niebieskie, za luźne dzinsy i gruby zielony sweter.

- Słucham? - spytał obojętnie, jakby właśnie się obudził. - Mam nadzieję, że nie chce mi pan nic sprzedać, bo byłaby to strata czasu i dla mnie, i dla pana.

- Panie Cynewski, nazywam się Carl Landry i jestem z redakcji „Boston Globe”. - Carl podał mu wizytówkę. - Pracuję nad reportażem o Bostonie i... Właściwie to szukam informacji o człowieku imieniem Casimir. Czy to może pański

brat?

Mężczyzna zamknął oczy i cofnął się o krok, jakby otrzymał potężny cios w pierś.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że mój brat żyje? - spytał szeptem. Wspaniale, pomyślał Carl.

- Niestety nie, proszę pana. Bardzo mi przykro, jeśli tak właśnie pan myślał. Piszę o człowieku, który go znał jeszcze przed wojną, i miałem nadzieję. .. Przyznaję, że nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale po prostu szukam informacji. To wszystko.

Gospodarz otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć.

- Informacji? Dawno już nikt o nic mnie nie pytał; tylko ci cholerni turyści, którzy albo szukają drogi, albo chcą skorzystać z łaźienki. Nazywam się Marcus Cynewski, ale niech mi pan mówi Mark.

- Dziękuję, Mark - rzekł Carl. Mark otworzył drzwi szerzej.

- Daleko od domu, panie „Boston Globe” - powiedział. - Proszę wejść, zrobię herbaty.

Powiał mocniejszy wiatr od oceanu.

- Z przyjemnością się napiję.

Weszli do salonu - ciemnego, zakurzonego, pełnego książek w skórzanych oprawach i rozłożonych wszędzie gazet. Carl usiadł na sofie, Mark zajął zaś ogromny wyściełany fotel i przykrył nogi kraciatym pledem. Aż za łatwo przyszło Carlowi wyobrazić sobie gospodarza, jak siedzi po nocach w pustym domu, drżącymi rękoma przerzuca strony książek i czasopism i wspomina lepsze czasy. Wiedział, że jest niewdzięczny, ale nie mógł się już doczekać chwili, gdy opuści ponure domostwo.

Spuścił wzrok na sofę i ujrzał kilka egzemplarzy pisemek z powielacza z ręcznie rysowanymi okładkami: „The Nation”, „The Progressive” i „Ramparts”.

- Widzę, że już pan odkrył mroczny sekret - rzekł z uśmiechem Mark, trzymając oburącz filiżankę z herbatą. - Oto świadectwo moich ekscentrycznych poglądów politycznych odkryte przed całym światem. Naprawdę dobrze mi się je czyta, a wie pan dlaczego? Nie tyle z powodu polityki, ile raczej ze względu na sam styl pisania. To pisemka podziemne, niecenzurowane; mają w sobie jakąś taką świeżość ducha, której brakuje dzisiejszym gazetom - proszę się nie obrażać, ale także „Globe'owi”. Mają nawet swoją nazwę, z rosyjskiego: „samizdat”, czyli „wydane

własnym sumptem”. Zabawne, co? Oddajemy naszym byłym wrogom cześć, nazywając ich słowem wolne gazety.

- Jak często się ukazują? - spytał Carl, biorąc do ręki egzemplarz „The Nation”. Zwrócił uwagę na tani papier i mażącą się farbę.

- Nieregularnie, rzecz jasna. Wszystko zależy od tego, czy policja nie zwinęła redaktorów albo czy nie skończył im się papier. - Mark wyjrzał przez okno na dwór. - Ale dość gadania o polityce; kiedyś myślałem, że lata sześćdziesiąte będą epoką wyzwolenia, a nie obozów pracy i racjonowania żywności. - Upił łyk herbaty. - To moja ulubiona pora roku. Światło się zmienia, ocean wygląda bardziej naturalnie bez tego lazurowego nieba i złotego słońca; mogę wyjść na plażę i nikogo nie spotkam, co bardzo mi odpowiada. Turyści wyjechali, nawet ci cholerni bogaci Kanadyjczycy, którym się wydaje, że mogą sobie kupić cały York. - Zaśmiał się niewesoło. - Kto by pomyślał, że będziemy się skarżyć na bogatych Kanadyjczyków? Albo Meksykanów, jeśli już o tym mowa? Że jedni i drudzy będą wzmacniać obsadę granic, żeby powstrzymać napływ uchodźców ze Stanów? Kto by pomyślał?

- Chyba nikt - przyznał Carl. Zaczynał rozumieć, że gospodarz jest po części nieobecny duchem. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że wychlapywał herbatę na spodeczek, a uśmiech coraz bardziej wyglądał na wymuszony.

- Więc tak, pisze pan artykuł.

- Właśnie. O człowieku, którego pański brat Casimir znał, kiedy pracował w Białym Domu. O niejakim Merlu Sawsonie, asystencie do spraw wojskowych. Czy coś panu mówi to nazwisko?

Mark zadumał się i potarł z namysłem podbródek.

- Coś mi się... Tak, tak, pamiętam, że Caz wspominał coś o swoim przyjacielu Merlu, którego poznał, pracując dla J.F.K. Ale... to chyba wszystko. Przykro mi.

- Czy mówił panu, czym Merl się zajmuje?

- Nawet jeśli tak, to chyba zapomniałem.

- No dobrze. A czym zajmował się pański brat?

Na ustach Marka błąkał się wciąż ten sam roztargniony uśmiech.

- Poza tym, że był zbrodniarzem wojennym? Carl nagle poczuł, że filiżanka parzy go w palce.

- Staął przed sądem czy to pana prywatna opinia?

- Moja opinia, ale całkiem wiarygodna, zapewniam. Niech mi pan powie, panie „Globe”, ilu ludzi z administracji Kennedy'ego siedzi wciąż w więzieniu?

- Nie wiem.

- To właściwa odpowiedź: nikt tego nie wie, prawda? Procesy Trybunału do spraw Zbrodni Wojennych w 1963 były niejawne; publiczność i media nie miały na nie wstępu. Ogłoszono tylko nazwiska i wyroki. Czy nie znalazł się na tej liście, ale dla mnie i tak pozostanie zbrodniarzem... Chociaż pewnie zginął w bombardowaniu. Pracował dla tego niedorzecznego Kennedy'ego, w tej jego bandyckiej agencji. Tacy jak on sprowadzili na nas katastrofę.

- Wie pan, co tam robił? Niedbałe machnięcie ręką.

- Oczywiście że nie. Wszystko było ściśle tajne; wie pan, jak to jest: brednie. Wiem, że w CIA był ważną szychą, a wszystko dzięki Yale. Widzi pan, on poszedł do Yale i dał się zwerbować szpiegom, a ja poszedłem na Harvard i zrobiłem coś wprost przeciwnego.

- To znaczy?

- Zacząłem pisać doktorat z historii. Fascynowała mnie pierwsza wojna światowa i to, jak do niej doszło. Bo żaden z książąt, królów, premierów ani prezydentów jej nie chciał, a ona i tak wybuchła, rozdarła serce Europy i obaliła kilka imperiów. Nie brzmi to znajomo? I przygnębiająco? A do jakiej szkoły pan chodził, panie „Globe”?

- Do takiej ze śmiesznymi zielonymi mundurkami.

- Aaa, kombatant. - Mark poprawił się na fotelu. - Służył pan w czasie wojny?

- Tak, za granicą.

- A gdzie pana wysłali po powrocie?

- Na południe Kalifornii. Brałem udział w misji humanitarnej.

Mark przyglądał się Markowi na kolanach, chociaż wcale mu się nie pofałdował.

- Na południe Kalifornii... Wie pan, co ludzie mówią: pewnie mógłby pan coś dodać od siebie na ten temat. Słyszałem, że zaraz w pierwszym roku żołnierze aresztowali i zastrzelili gubernatora Browna.

Carl przeniósł wzrok na ścianę, o kilka centymetrów ponad ramieniem Marka.

- Nie mogę o tym mówić.

- A jaką misję wykonywał pan w Złotym Stanie?

Carl ani drgnął; ciekawy wywiad robił się z tej rozmowy.

- Humanitarną, nic więcej nie mogę dodać. Niech pan posłucha, Mark...

- Wiem, wiem, to pan powinien zadawać pytania. Przepraszam. Wy, wojskowi, byliście i jesteście w większości przyzwoici; wykonujecie rozkazy i spełnacie

swój obowiązek. No, poza tymi przeklętymi bandziorami z Sekcji Z. Ja z kolei jestem już stary, gadatliwy i zły, mimo że minęło już tyle lat. Z przyjaciółmi bardzo się udzielaliśmy w kampaniach antynuklearnych, pisaliśmy listy, organizowaliśmy wiece, marsze protestacyjne... Domagaliśmy się wprowadzenia zakazu produkcji i bomby. Nic więcej. Wystarczyło pozbyć się bomby i świat byłby idealny. - Tym słowom towarzyszyło machnięcie ręki, chyba wyrażające niesmak. - Byliśmy jak niewinne dzieci, naiwnie wierzyliśmy, że udaje nam się coś osiągnąć. A naprawdę zachowywaliśmy się jak król Kanut, który stanął na brzegu i nakazał falom się cofnąć. - Mark ostrożnie pogładził się po policzku, jakby bał się, że mocniejszym dotykiem zrobi sobie krzywdę. - Widuję jeszcze czasem moich starych kumpli; wie pan, co sądzą o tym wszystkim? Że mieliśmy szczęście. Dobrze, że wojna zaczęła się wtedy i nie rozgorzała na wielką skalę; dobrze, że nie czekaliśmy dziesięć lat, kiedy to znacznie silniejszy Związek Radziecki zniszczyłby nas, tak jak my go zniszczyliśmy; dobrze, że nie doszło do niej jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat później, kiedy bombę miałyby dziesiątki krajów - Indie, Izrael, Argentyna, diabli wiedzą kto jeszcze - i radośnie cofnęlibyśmy ludzkość do epoki kamienia łupanego. Mam takiego znajomego fizyka - wariata, nawiasem mówiąc - który twierdzi, że w niedalekiej przyszłości mogłoby dojść do sytuacji, w której nie tylko państwa, ale nawet silniejsze gangi i inne organizacje przestępcze dorobiłyby się własnych bomb atomowych. Albo ładunki zostałyby zminiaturyzowane na tyle, żeby jakiś szalony terrorysta albo fanatyk religijny mógł je ukraść. Wyobraża pan sobie życie w takim obłąkanym świecie?

- Raczej nie bardzo.

- Mój brat Caz był inny. - Mark uśmiechnął się słabo. - Czułby się dobrze w każdych okolicznościach, byle pozwolono mu walczyć z bezbożnymi komunistami. Wie pan co? Myślę, że jego duch śmieje się teraz. Poza może Włochami nie ma chyba na kuli ziemskiej ani jednej partii komunistycznej.

Carl napił się zimnej już herbaty. Jeszcze raz podjął próbę zwrócenia rozmowy na pożądane dla siebie tory.

- Wracając do Merla Sawsona... Spotkał go pan kiedyś osobiście? Słyszał pan coś na jego temat?

- Jak już mówiłem wcześniej - niewiele, tylko wzmiankę o tym, że przyjaźnił się z Casimirem. Nic więcej nie wiem. A właśnie, pan o nim pisze; co

I to będzie za artykuł?

- Niedawno Merl został zamordowany. Zbieram materiały na temat j ego życia

- kim był, jak żył...

Mark otulił się ciasniej pledem.

- Zamordowany... - szepnął. - W jaki sposób? Ktoś w barze pchnął go nożem? Zastrzelił go zazdrosny mąż?

- Nie. Ktoś strzelił mu w tył głowy, prawdopodobnie podczas napadu rabunkowego. Tylko że...

- Tylko że co?

Carl uznał, że lepiej nie wspominać o liście nazwisk i słowach Merla. Mark był chyba wystarczająco przerażony; na twarz wystąpiły mu czerwone plamy. - Tylko że na pierwszy rzut oka nic z mieszkania nie zginęło.

Mark milczał, Carl zaś wiedział, nad czym się zastanawia. Co innego głosić wzniosłe ideały w polityce, krytykować rząd i kolekcjonować na wpół legalną prasę, a co innego rozmawiać o zmarłych i zabitych. Cisza się przedłużała; słychać było tykanie kuchennego zegara, czasem szmer silnika przejeżdżającego samochodu, szum oceanu omywającego plażę. Mark pokręcił głową i spuścił wzrok na swoje ręce: znów zaczęły mu drżeć.

- Gdzieś w głębi serca trochę żałuję, że mnie pan odwiedził, panie „Boston Globe”.

- Dlaczego?

- Dwa razy ludzie z Sekcji Z zabierali mnie z domu - mówił Mark, nie podnosząc oczu. - Za działalność antypaństwową dwa razy trafiłem do obozu dekontaminacyjnego: raz pod Waszyngtonem i raz w pobliżu Omaha. Wycięli mi dwa nowotwory; mam pół żołądka i jedną nerkę. Niewiele już życia mi zostało, a tę resztę chciałbym spokojnie spędzić w Yorku. Nie chcę wracać do obozu. Chcę tu zostać. Lepiej będzie, jak już sobie pójdiesz.

Carl odniósł wrażenie, jakby powietrze w salonie nagle rozrzedziło się i zrobiło gorące. Pochylił się w przód i rzekł:

- Proszę zrozumieć, to bardzo ważne. To, co przydarzyło się Merlowi...

- Oczywiście, że to ważne, głupcze. Asystent wojskowy Kennedy'ego zamordowany we własnym domu. Nic to panu nie mówi? Nie słyszał pan, że to zwycięzcy tworzą historię? Tyle że tym razem historię tworzyli ci, którzy przeżyli; ci, którym udało się przetrwać - a wśród nich wszechwładny generał rządzący niepodzielnie w naszym smutnym kraju. I Sekcja Z, żołnierze, którzy lubią wcielać w życie postanowienia dekretu o stanie wojennym. Może jednak inni, którzy ocalili z

wojny, również mają do opowiedzenia swoje historie. I może te ich opowieści niezupełnie pasują do wersji oficjalnej. Jest pan dziennikarzem. Czy ktoś napisał w tym kraju choćby jedną poważną książkę o wojnie? Rzetelne studium historyczne kryzysu, blokady i inwazji?

- Nie.

- A dlaczego?

Ze wstydu, pomyślał Carl; taka książka nie powstała, bo wciąż jest nam wstyd. Przypomniał sobie, jak mówił o tym Sandy, ale na widok twarzy Marka powiedział zupełnie coś innego:

- Przez cenzurę. Ze względu na zagrożenie bezpieczeństwa narodowego.

- Właśnie. - Szybkie skinienie głową. - Wczoraj, dziś, jutro... Cały czas to samo. Czujemy bezpieczeństwo narodowe jak bożka na ołtarzu; strzegą go akolici w mundurach Sekcji Z, wspomagani i zachęceni przez naszych niezastąpionych przyjaciół z Wielkiej Brytanii. Dam panu dobrą radę, panie „Boston Globe”: niech pan wraca do domu i zostawi tę sprawę w spokoju.

Mark z wysiłkiem wstał z fotela. Carl odstawił pustą filiżankę na stolik i ruszył za gospodarzem do wyjścia. Na dworze pociemniało - znad oceanu nadciągały burzowe chmury. Mark zatrzymał się przy drzwiach.

- W 1962 roku Caz zadzwonił do mnie i kazał mi tu przyjechać. To stary letniskowy dom naszej rodziny. Mieszkałem wtedy w Cambridge, ale Caz kazał mi się trzymać z dala od dużych miast. Powiedział też, żebym przygotował zapasy żywności, i zapowiedział, że jeśli sprawy potoczą się złym torem, przyjedzie tu z przyjacielem, może z dwoma. Przykro mi to mówić, ale wtedy rozmawialiśmy ostatni raz, a ja dość ostro się z nim obszedłem. Winiłem go za to, że jest częścią systemu, który lada chwila straci nas w mroki średniowiecza.

Stojąc na progu, Mark dodał jeszcze:

- Wie pan co, tak sobie myślę, że gdyby nie bomba, moglibyśmy się nawet zaprzyjaźnić. Gdyby nie ta przeklęta bomba.

Pół godziny przed Bostonem na drodze numer dziewięćdziesiąt pięć, daleko przed sobą dostrzegł światła stopu jadącego przodem auta. Nadciągał zmierzch i Carl robił się głodny - filiżanka herbaty w Yorku i nieświeży pączek kupiony później na stacji benzynowej musiały wystarczyć mu za cały lunch. Dolał paliwa do baku, zużywając przy tym do końca kartki przeznaczone na ten tydzień. Od długiej jazdy

samochodem rwała go lewa noga. Cały czas odtwarzał w myślach rozmowę z Markiem Cynewskim. Jedno zdanie szczególnie mocno utkwilo mu w pamieci:

Historię tworzą ci, którzy przeżyli.

Merl Sawson przeżył, ale jak wyglądała jego historia? Skończył w tanim bostońskim mieszkaniu, kula z pistoletu oderwała mu pół czaszki, nikt z sąsiadów za nim nie tęsknił... Na dobrą sprawę ignorowali go zupełnie, jeśli nie liczyć rzadkich wspólnych kolacji czy podsłuchanych skowytów, kiedy miał koszmary. Co to oznaczało? I co z tym cholernym spisem nazwisk?

Włączało się coraz więcej czerwonych świateł, a potem z półmroku wynurzyły się zapalone na środku jezdni race sygnalizacyjne. Samochody zjeżdżały na pobocze. Skręciwszy w lewo, ujrzał żołnierzy z opaskami żandarmerii, którzy kierowali ruchem. Na dzielącym jezdnie pasie trawy stały zaparkowane wojskowe ciężarówki, dwa albo trzy transportery opancerzone i kilka dżipów - niektóre z nich miały z tyłu zamontowany karabin maszynowy kaliber trzydzieści. Jeszcze dalej stało kilka wozów policyjnych; ich migające koguty zalewały scenerię sinym światłem. Otaczały ogrodzony drutem kolczastym kwadrat o boku około piętnastu metrów. W środku siedziała garstka ludzi z rękami za głową.

Kiedy dwóch żołnierzy - sierżant i kapral - podeszło do jego wozu, opuścił szybę w oknie. Mieli hełmy i czyste mundury polowe. Naszywki wskazywały, że są z 45. dywizji, z „Jankesów”. Sierżant miał pistolet przy boku i notatnik w ręce, kapral zaś M-14 z podłączoną u dołu lufy latarką. Stał z tyłu i nieco w bok od sierżanta, zapewniając mu osłonę.

- Dobry wieczór - rzekł sierżant, nachylając się do okienka. - Mogę obejrzeć pańskie dokumenty?

Carl znał procedurę i wiedział, jak się do niej zastosować. Z tylnej kieszeni spodni wyjął portfel, a z niego prawo jazdy wydane przez stan Massachusetts, bostońską kartę rezydenta i identyfikator wojskowy. Sierżant natychmiast zaczął inaczej go traktować, gdy ujrzał białą-zieloną plaketkę.

- Przepraszam za kłopot, sierżancie Landry. Przeczესujemy hrabstwo w poszukiwaniu tych, którzy ukrywają się przed poborem. Mogę się dowiedzieć, skąd pan jedzie?

- Z Yorku w stanie Maine.

- Czy po drodze zabierał pan autostopowiczów? - Nie.

- A czy widział pan jakichś przy drodze? - Nie.

- Dokąd teraz pan jedzie, sierżancie Landry?
- Do Bostonu, ale proszę nie nazywać mnie sierżantem. Zostałem odesłany do rezerwy.

- Tak jest. - Sierżant się uśmiechnął, zaznaczył coś w notesie i oddał Carlowi dokumenty. - Może pan jechać.

I wraz z kapralem skierował się w stronę stojącej z tyłu ciężarówki z naczepą. W lusterku wstecznym Carl ujrzał dwóch innych żołnierzy; stali przy szoferce ciężarówki i rozmawiali z jakimś porucznikiem, ale sami nie mieli standardowych mundurów piechoty. Dopiero gdy przesunęli się tak, że padło na nich światło reflektorów, zorientował się, co zwróciło jego uwagę: jeden z nich miał mundur brytyjski, drugi zaś - bardzo podobny, ale z biało-czerwoną naszywką na rękawie. Z klonowym liściem. Kanadyjczyk.

Sam się zdziwił, kiedy przebiegły go ciarki. Chciał wystawić głowę przez okno i krzyknąć na całe gardło: „Wracajcie do domu! Wracajcie do siebie!”. A przy tym czuł się winny, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Czyżby przez to, że nie był dziś w redakcji? Czy może raczej dlatego, że umierającemu samotnie mężczyźnie z Maine dał chwilową fałszywą nadzieję, że jego brat żyje? A może chodziło o to, że czuł się coś winien Merlowi, a tego dnia tak niewiele wskórał?

Samochody przed nim ruszyły i w żółwym tempie zaczął posuwać się naprzód. Na trawie, za drutami, w blasku reflektorów dżipów i aut policyjnych siedziało czterech mężczyzn i kobieta. Mieli na sobie dżinsy, koszulki z krótkimi rękawami i kurtki. Kobieta oparła się o pierś brodatego mężczyzny siedzącego obok niej i płakała.

Poczucie winy. Przypomniawszy sobie Kalifornię i starał się skoncentrować na prowadzeniu samochodu.

Wróciwszy do Bostonu, kupił u Dilligana na rogu porcję gulaszu wołowego na wynos i z nowym „Globe'em” i „Heraldem” pod pachą poszedł do siebie. Włączył telewizor i stanął przy kuchennym blacie; jednym uchem słuchał Gunsmoke'a, ale głównie skupił się na pospiesznym jedzeniu. Przerzucał przy tym kartki gazet, czytając nagłówki: Rockefeller i McGovern wystąpili na kolejnych wiecach; z Gujany Francuskiej wystartowała rakietka Fer de Lance z dwoma Francuzami na pokładzie; zamieszki na granicy dwóch chińskich stanów. Jedna notka na dłużej przyciągnęła jego uwagę:

BUNDY NIE ZOSTANIE ZWOLNIONY WARUNKOWO

LEAVENWORTH, Kansas (AP). Wczoraj odbyto się tajne przesłuchanie, po którym sąd podjął decyzję o odmowie warunkowego zwolnienia McGeorge'a Bundy'ego z aresztu. Bundy był bliskim doradcą prezydenta Johna F Kennedy'ego. Obecnie, skazany na dożywocie, odsiadyuje wyrok w więzieniu federalnym w Leavenworth.

Rzecznik Federalnej Rady Kuratorów odmówił podania szczegółów przesłuchania. Następny raz o zwolnienie warunkowe Bundy może ubiegać się w 1973 roku.

Jest jednym z najwyższych rangą urzędników administracji Kennedy'ego, którzy przeżyli wojnę kubańską. Podczas ataku na Waszyngton przebywał z wizytą służbową w Nowym Jorku.

W 1963 roku wraz z innymi ocalałymi urzędnikami Kennedy'ego został osądzony przez specjalnie do tego powołany Trybunał do spraw Zbrodni Wojennych.

Oto człowiek, który przeżył. Jaką historię by opowiedział, gdyby pozwolono mu mówić? Odwrócił ostatnią stronę „Heralda” i znalazł małą notatkę o kimś, komu nie udało się przeżyć:

MIESZKANIEC WSCHODNIEGO BOSTONU ZGINĄŁ POD KOLAMI SAMOCHODU

Jak podają źródła policyjne, mieszkaniec wschodniej dzielnicy Bostonu Andrew Townes (lat pięćdziesiąt dziewięć), zamieszkały przy Monroe Street, ubiegłej nocy zginął potrącony przez samochód. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Według świadków Townes przechodził przez ulicę nieopodal własnego domu, gdy potrąciła go ciemna furgonetka, która nie zatrzymując się, odjechała w nieznanym kierunku. Policja nie udziela na razie szczegółowych informacji o wypadku, ale śledztwo jest w toku.

Carl wyrzucił kartonowy pojemnik po gulaszu, pogasił wszystkie światła i spróbował przespać się na fotelu w salonie. Drzemiąc, nie wypuszczał z rąk wojskowej czterdziestki.

Bez względu na to, co się stanie, zamierzał być tym, który przeżyje.

Sprawa Imperium: 2

Zrobiło się już ciemno, kiedy major Kenneth Hunt z szesnastej brygady brytyjskiego regimentu spadochronowego otworzył z rozmachem drzwi biura i usiadł za maleńki biurkiem. Nogi mu się trzęsły. Wrócił właśnie z odprawy regimentu, na której wraz z innymi oficerami dowiedział się wreszcie, na czym polega ich zadanie w Kanadzie i dlaczego muszą je wykonać. Nogi ugięły się pod nim i zrobiło mu się niedobrze. Niewiele brakowało, a od razu wybiegłby z odprawy i schował się w swoim pokoju. Nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać z innymi oficerami. Najmniejszej.

Jedynе światło pochodziło ze słabej lampki zawieszanej pod sufitem i rzucającej bladą poświatę na samo biurko; reszta pomieszczenia tonęła w mroku. Leżący na blacie ołówek zadrżał, gdy pokoiק zawibrował od ryku startującego odrzutowca. Hunt oparł głowę na rękach. Niech ich diabli, pomyślał. Niech ich wszystkich diabli wezmą za to, że zaplanowali taki koszmar, a potem kazali jego spadochroniarzom go zrealizować.

„Karuzela”, psiakrew. Operacja „Karuzela” - jakże prosta nazwa dla tak makabrycznej akcji. Sięgnął ręką w dół i otworzył szufladę biurka. W środku znajdował się stos kartonowych teczek, małe zdjęcie w ramkach i butelka jednosłodowej whisky. Ostrożnie wyjął czarno-białą fotografię. Przedstawiała uśmiechniętą kobietę w białym swetrze, stojącą obok krzewu róży w ogrodzie. Rachel, jego żona. Zdjęcie pochodziło sprzed jedenastu lat, sprzed transferu do Niemiec i AOR - Brytyjskiej Armii Nadreńskiej. Kiedy wybuchła wojna, jego oddział został postawiony w stan najwyższej gotowości; czekali, aż radzieckie dywizje pancerne ruszą na zachód. Ale poza falą uchodźców nikt nie przekroczył granicy z Niemcami Wschodnimi. Kiedy amerykańskie rakiety spadły na Związek Radziecki, NATO i Układ Warszawski jednocześnie legły w gruzach. Sowieckie wojsko poszło w rozsypkę, a niewiele później rozpadła się też armia NRD.

Pamiętał, jak odetchnął z ulgą, gdy skończył się tamten okropny październik i listopad; dotarło do niego, że jednak będzie żył - dożyje emerytury, nacieszy się Rachel i założy rodzinę.

Ale Rachel spędzała wtedy wakacje w Pendżabie na pomocy Indii; z rodzicami zwiedzała okolice, które jej ojciec poznał jako urzędnik Foreign Office. Nikt tam nie

wiedział o radioaktywnej chmurze, którą wiatry przygnały nad subkontynent indyjski - Rachel i jej rodzice zmarli miesiąc później na chorobę popromienną. Nie zdążyli nawet wrócić do domu.

Moje kochanie, pomyślał, z czułością odkładając zdjęcie do szuflady. Nie wiem, co mi pozostaje, ale tego jednego na pewno nie zrobię. Nie mogę skazywać tylu ludzi na twój los.

Nie mogę.

Odetchnął głęboko, wyjął butelkę i postawił ją na środku biurka. Długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu, a potem wziął ją do ręki i otworzył. Kiedy nalewał sobie drinka, trzymana w roztrzęsionej dłoni butelka zadźwięczała o brzeg szklanki.

Następnego dnia po wizycie w Maine Carl z samego rana podjechał pod komisariat przy Lane Street. Jadąc wąskimi uliczkami, rozglądał się na prawo i lewo, czy nie dojrzy gdzieś ciemno pomalowanej furgonetki. Rewolwer, którego przez całą niespokojną noc nie wypuszczał z ręki, spoczywał pod siedzeniem pasażera. Carl zaparkował na tyłach posterunku; dzień był pochmurny, mglisty i nawet na terenie należącym do policji czuł się niepewnie.

Wystarczyłoby przecież jedno słowo człowieka, który miał w tym mieście choćby odrobinę władzy, i mogliby go zatrzymać na trwające siedem dni przesłuchanie, gdyby ktoś uznał, że bezpieczeństwo kraju jest zagrożone. Potem by go zwolnili, a za dwie minuty zgarnęli na kolejny tydzień. I tak dalej. Po śmierci Merla Sawsona i Andrew Townesa i zniknięciu Troya Clemmonsa Carl zdawał sobie sprawę, że zapuszcza się na niebezpieczne obszary nocnych aresztowań, tajemniczych zniknięć i tajnych procesów sądowych. Mimo to idąc po schodach na górę, czuł, że przepelnia go energia - chociaż ziewał na potęgę po nieprzespanej nocy. Podobne wrażenie miewał często w Kalifornii i Wietnamie Południowym, kiedy to - o dziwo! - wydawało mu się, że w pełni panuje nad własnym losem i żyje znacznie intensywniej niż na co dzień. Dlatego zamiast martwić się rozwojem wydarzeń, rozkoszował się tym uczuciem, o ileż przyjemniejszym od odczuć, jakie towarzyszyły mu w ubiegłym tygodniu, miesiącu czy nawet w zeszłym roku, kiedy po dniu ciężkiej bezbarwnej pracy wracał do pustego, cichego mieszkania.

Zastanawiał się, co było powodem tej przemiany. Śmierć Merla Sawsona? Czy raczej zjawienie się Sandy Price?

Na posterunku panował istny chaos. Wszędzie na ławkach i krzesłach siedzieli jacyś ludzie - niektórzy przykuci do oparcia, inni nie; gliniarze w mundurach i po cywilnemu zwijali się jak w ukropie, biegając za swoimi sprawami; telefony dzwoniły, maszyny do pisania klekotały, a z odgradzonej kratą celi na tyłach dobiegały podniesione głosy. W przeszklonej dyżurce siedziało dwóch żołnierzy w towarzystwie porucznika lub kapitana policji. Przy samym wejściu stało biurko sierżanta dyżurnego.

Carl przepchnął się naprzód, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Sierżant miał sumiaste wąsiska i poplamioną od potu koszulę.

- Czego? - Sierżant nawet na niego nie spojrział. Carl podał mu legitymację prasową.

- Carl Landry, „Boston Globe”. Czy zastałem detektywa Malone'a?

- Nie - odparł policjant, nie podnosząc głowy znad papierów. - A czy później będzie uchwytny?

- Nie.

- To może jutro?

- Nie. - Sierżant pisał coś grubym piórem na kawałku papieru. Zawieszona obok na ścianie tabliczka przypominała: OSZCZĘDZAJ PAPIER I OŁÓWKI.

Carl odetchnął głęboko i spróbował jeszcze raz:

- Czyja nastąpiłem panu kiedyś na odcisk, czy po prostu ma pan zły dzień? Sierżant podniósł wzrok.

- W tym porąbanym zoo każdy dzień jest zły, kolego. Posłuchaj: detektywa Malone'a nie będzie u nas przez najbliższy miesiąc albo dwa. Dostał powołanie.

- Do armii? Przeczący ruch głową.

- Nie, do marynarki.

- Nie był chyba taki młody, żeby jeszcze służyć w rezerwie. Sierżant poczerwieniał na twarzy.

- Jego żona, umierająca matka i trójka dzieci też są tego zdania. Sukinsyn dawno przeszedł w stan spoczynku, tak jak ja i połowa załogi tego posterunku. Ale on bez żadnego powodu dostał powołanie, psiakrew. Z tego, co słyszałem, leci do Seattle, żeby patrolować wody przybrzeżne na granicy z Kanadą. Gówniane zajęcie dla takiego starszego faceta.

Co tu się u diabła dzieje? - rozmyślał gorączkowo Carl.

- A może mi pan powiedzieć, kto przejął jego sprawę? - zapytał. - Zabójstwo Merla Sawsona, wschodni Boston.

Sierżant mruknął coś w odpowiedzi i dał prawdziwy pokaz grzebania w teczkach z dokumentami.

- Detektyw Picucci. Pierwsze piętro po lewej.

Carl udał się zgodnie ze wskazówkami na górę i spędził kilka bezproduktywnych minut w towarzystwie detektywa Grega Picucciego, który cały czas kaszlał i wyglądał tak, jakby do emerytury został mu najwyżej tydzień. Przejrzał stertę akt i zerkając na nie sponad grubych szkielec, oznajmił:

- Jest: Merl Sawson. Sprawa do umorzenia.

- Do umorzenia? Jak to? Przecież zaczęła się tydzień temu!

Picucci zamrugał kilkakrotnie niczym żółw próbujący znaleźć drogę do domu.

- Przykro mi, młody człowieku. Tak tu napisali: do umorzenia.

- Czy może mi pan w takim razie powiedzieć... Detektyw przerwał mu, podnosząc rękę.

- Zgodnie z obowiązującymi przepisami powinien pan zgłosić zapytanie w biurze rzecznika prasowego, na dole.

- Dobrze pan wie, że to strata czasu; trzeba tydzień czekać, żeby chociaż oddzwonili.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

- To już nie moja sprawa. Są przepisy. Ja zamierzam się wycofać i wyjechać z tego paskudnego miasta z pełną emeryturą. Zawsze przestrzegałem przepisów i panu też to radzę, młody człowieku.

Carl wstał i skierował się do wyjścia.

- W dupie mam przepisy - stwierdził, ale był pewien, że Picucci go nie słyszał.

Zajechawszy do redakcji „Globe”, zamierzał właśnie porwać ze stołówki ubek z kawą, kiedy nagle dopadła go Grace Hanratty. Kręciła z dezaprobatą głową zwieszając się na łańcuszku okulary podskakiwały jej na piersi.

- Przykro mi, Carl, ale nic nie znalazłam - rzuciła głośno, aż kilkoro siedzących przy stolikach redaktorów spojrzęło w ich stronę. - Nic, ani śladu.

- Jesteś pewna, że...

- Nie ucz mnie, jak mam wykonywać swoje obowiązki - prychnęła z nie-lakiem Grace. - Nic o tych ludziach nie wiadomo, dosłownie nic. Położyłam listę z powrotem na biurko. I nie zawracaj mi więcej głowy, jeśli nie będziesz miał czegoś bardziej konkretnego.

Niech to szlag! Z kawą w ręku Carl skierował się do sali redakcyjnej. dookoła biurka działu miejskiego i rozpartego w fotelu George'a Dooleya zgromadził się mały tłumek. Dooley uśmiechał się szeroko. Jeremiah King, reporter przydzielony do ratusza i ekspert od zagadek, znajdował się w centrum uwagi: ludzie klepali go po plecach i ściskali mu ręce. Carl popatrzył po nich i głos Jeremiaha zadźwięczał mu echem w głowie: „Przydziałowiec”. Morderca studentów.

Bobby Munson, jeden z reporterów bez przydziału, odłączył się od grupy.

- Hej, Bobby - zawołał go cicho Carl.
- Tak? - Munson podszedł do niego z notesem w garści. Pulchne palce miał usmarowane atramentem i farbą drukarską.

- Co tam się dzieje w miejskim? Ktoś ma urodziny? Bobby obejrzał się przez ramię i odparł:

- Nie, po prostu Jeremiaś ma fart i tyle.

- Co to znaczy? Burmistrz uznał, że nie każe mu się tak podlizywać? Bobby uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie. Są wieści z Albany: Północno-Wschodni Okręg Wojskowy organizuje pod koniec tygodnia wycieczkę dziennikarzy na Manhattan. Pierwszy I raz od pięciu lat. Jeremiaś będzie na niej reprezentował „Globe”.

- A kto dokonał selekcji? „Globe” czy Albany? - A jak myślisz?

- Czyli ma kumpla w ratuszu.

- Albo wrogów, którzy mają nadzieję, że nie wróci.

Carl spojrział na roześmianego Kinga; żałował, że nie poznał go wcześniej, służąc w wojsku. Wtedy przynajmniej takich palantów załatwiałoby się od ręki - na przykład łokciem w szczękę.

- Jest bardzo z siebie zadowolony.

- Może i tak, aleja bym sobie chętnie darował taką wycieczkę.

Carl przeniósł wzrok na Bobby'ego, któremu chyba zrobiło się wstyd, że tak mówi.

- Daj spokój, Bobby, kto by nie chciał polecieć? Munson zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie, piękne dzięki, ale nie. To martwa wyspa. Widziałem już coś takiego i ten jeden raz mi wystarczy.

- Byłeś na Manhattanie?

„Bobby spuścił wzrok i zagapił się na własne buty.

- Nie. Ale w 1962 roku miałem szesnaście lat. - Munson spojrział Carlowi w oczy. Twarz miał ściągniętą grymasem bólu. - Mój starszy służył w marynarce, w bazie Guantanamo. Na Kubie. Mnie z mamą ewakuowali 22 października, razem z tysiącami innych żon i dzieci i personelem pomocniczym. Wsadzili nas na „Duxbury Bay”. - W oczach Bobby'ego pojawiły się łzy. - Nawet nie zdążyliśmy się z nim pożegnać: mieliśmy godzinę, żeby się spakować. Trzy dni później zawinęliśmy do Norfolk, a potem wybuchła wojna i znów musieliśmy się ewakuować, bo bali się, że

baza wojskowa będzie celem ataku. Zamieszkaliśmy u rodziców taty w Kentucky i tam właśnie dowiedzieliśmy się, że Rosjanie i Kubańczycy zajęli Guantanamo. Nic więcej nie wiem. Niech sobie Jeremiaś jedzie na tę cholerną wymarłą wyspę. Ja nie mam ochoty.

Bobby odszedł do siebie, a Carl udał, że zainteresował go leżący na biurku „Globe” sprzed tygodnia. Gdziekolwiek się człowiek ruszy, gdziekolwiek spojrzy, wszędzie straszą dziesięcioletnie duchy.

Przerzucił wszystkie papiery, ale nie znalazł otrzymanej od Sawsona listy nazwisk. A przecież ta cholerna Grace mówiła, że położyła ją na biurku. Popatrzył po sąsiednich stanowiskach, a kiedy przekonał się, że wszyscy starannie go ignorują, wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki kawałek białego papieru z nadrukiem „Stewart Thompson”. Tuż obok niej spoczywało zaproszenie J.F.K. i identyfikator Merla, ale ich nie ruszał. Wykręcił podany na wizytówce numer.

Po trzecim dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

- Słucham? - zabrzmiał męski głos.

Carl wyprostował się na krześle i przycisnął słuchawkę do policzka, żeby zagłuszyć stukot dalekopisów i maszyn do pisania.

- Czy mogę rozmawiać ze Stewartem Thompsonem? Chwila ciszy.

- A czy mogę wiedzieć, kto mówi?

- Przyjaciel Merla Sawsona - odparł Carl po błyskawicznym namyśle. Długa cisza zakończona chrząknięciem.

- Może pan powtórzyć?

- Przyjaciel Merla Sawsona.

- A mogę poznać pańskie nazwisko?

- Moje nazwisko nie jest w tej chwili istotne. Chciałbym rozmawiać z...

Trzask. Rozmówca się rozłączył.

- Ty bałwanie! - zaklął w duchu Carl. - Ty dumny dziennikarzyno! Trzeba było powiedzieć „Caz, Caz Cynewski”. Kretyn!

Tym razem telefon zadzwonił dwadzieścia pięć razy, zanim Carl odłożył słuchawkę. Sprawdził numer na wizytówce i spróbował jeszcze raz. Tym razem doczekał się reakcji już po pierwszym dzwonku.

- Halo? Mówi... - przerwał i słuchał z niesmakiem, jak nagrany na taśmie kobiecy głos informuje go, że „abonent jest czasowo niedostępny”.

Z wściekłością rzucił słuchawkę. Cholera jasna! Trzeba było najpierw pomyśleć, a dopiero potem dzwonić, głąbie! Jeszcze raz przyjrzał się wizytówce: tajemniczy Stewart Thompson, który nie udziela odpowiedzi i nie odpowiada na telefony. Nawet na powtarzające się telefony. Ale dwóch rzeczy nie mógł ukryć.

Jedną z nich był brytyjski akcent.

A drugą charakterystyczny wysoki głos, który Carl całkiem niedawno słyszał - w męskiej toalecie brytyjskiego konsulatu.

Zjadł szybki lunch z Jackiem Burnsem w Bel-Aire, starej, mieszczącej się w aluminiowym kontenerze jadalni, która przetrwała lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, a teraz obsługiwała kierowców ciężarówek, licznie zmierzających do Bostonu i na Pomocne Wybrzeże.

- Znasz kogoś w angielskim konsulacie? - zagadnął Carl Jacka przy jedzeniu.

- Chyba nie, do cholery! Nie wydaje mi się, żeby rozdawali wizy imigracyjne krytykom muzycznym. A czemu... Ach, pracujesz nad czymś nietypowym, prawda?

- Można tak powiedzieć. - Carl zastanawiał się, ile właściwie może powiedzieć Jackowi. - Powiedzmy, że mam materiał, który jakoś tam wiąże się z konsulem.

- George ci go nagrał? - spytał ostrym tonem Jack. - Jezu Chryste, nawet mi nie mów: to ma związek z tym morderstwem, prawda? I z tym tekstem, który ci wycięli?

Strach w oczach Jacka nie umknął uwagi Carla. - Może tak, ale...

- Zapomnij o tym, i to już! Zapomnij o wszystkim, co ma związek z tym zabójstwem, z konsulem i twoją zdjętą notką. Napisz jakiś duży tekst o Halloween albo łyżwiarzach w Public Garden. Na zdrowie ci to wyjdzie.

- Dam sobie radę, Jack.

- Może i tak, ale lubię cię i brakowałoby mi cię w redakcji. Nie chciałbym, żeby z tego powodu powołali cię do czynnej służby i wysłali do Omaha. Posłuchaj mojej rady i nie wkurzaj tych z wierchuszki.

Carl uniósł widelec, rozmyślając o nocnym spotkaniu z gangiem.

- Nie wiem, czy nie spóźniłeś się ze swoją radą, Jack.

Kiedy wrócił do redakcji, ktoś czekał na niego na dole. Wszedł do budynku od strony Morrissey Boulevard i w holu zastał Sandy Price w brązowych spodniach i

długim skórzanym płaszczu ściągniętym mocno w pasie.

- Nareszcie jesteś - stwierdziła z uśmiechem. - Wpadłam wyciągnąć cię na lunch, ale spóźniłam się dosłownie o kilka chwil.

Carl też się uśmiechnął; naprawdę ucieszył się na jej widok.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam, tym bardziej że chyba zaraz rozczaruję cię ponownie: muszę pędzić na górę, do redakcji.

- Mogę zabrać się z tobą? Chciałam cię o coś zapytać.

Wjechali windą na piętro. Kiedy weszli do sali redakcyjnej, z jej hałasem, biurkami i dalekopisami, Sandy się roześmiała.

- Słowo daję, redakcje gazet niewiele się różnią, czy z tej, czy z tamtej strony Atlantyku.

- U nas mówi się, że redakcje pracują na piwie, szlughach i kawie. W „Timesie” też tak jest?

- Z wyjątkiem kawy. Po południu pijamy herbatę i zagryzamy biszkoptami.

Carl prowadził Sandy do swojego biurka, nie zważając na ciekawskie spojrzenia, jakie na siebie ściągały. Do diabła z nimi wszystkimi, uznał. Usiadła przy nim, położyła sobie torebkę na kolanach i zaczęła:

- Jeszcze raz chcę ci podziękować za wspólnie spędzoną niedzielę. To był cudowny dzień. Tyle się dowiedziałam... A potem wszystko popsułam, zasypiając. Dzięki za liścik, a zwłaszcza za to pożegnanie.

- Nie masz za co przeproszać - uspokoił ją Carl. Znów z całą mocą podziałała na niego gładkość jej skóry i uroczy uśmiech. - Cieszę się, że coś na tym skorzystałaś.

- A i owszem. - Podała mu wyjętą z torebki cienką kopertę. - Masz. Sandy Price zawsze dotrzymuje słowa. To czek za dzień pracy dla „Timesa”.

Przez chwilę myślał o tym, żeby unieść się honorem i odmówić, ale jego konto w banku nie rozumiało pojęcia honoru.

- Dzięki - powiedział i wziął od niej kopertę. Sandy złożyła ręce i oparła je na torbie.

- Dobrze, ta sprawa jest załatwiona, a ja mam dla ciebie następną propozycję.

- Służbową, jak mniemam.

- Naturalnie że służbową - przytaknęła z błyskiem w oku. - Umiesz robić zdjęcia?

- Do fotoreportażu?

- No tak, oczywiście. Zdjęcia do gazety.

Nie odrywał od niej wzroku, chociaż zdawał sobie sprawę, że obserwuje go co najmniej kilkanaście par oczu.

- Pewnie. Swego czasu pstrykałem trochę taką zwykłą lustrzanką; pewnie każdy w redakcji miał aparat w rękach. Ale nie mam pojęcia o obróbce. Zostawiam ją tym magikom z ciemni.

- Jak ja cię dobrze rozumiem... No dobrze, oto moja propozycja. Zostałam zaproszona do udziału w dziennikarskiej wycieczce na Manhattan; wojsko od lat nie wpuszczało tam cywilów. Pamiętasz, co ci mówiłam w konsulacie? Że przed wyjazdem znajdę sposób, żeby dostać się na Manhattan. Uwierzyłbyś? Znalazłam się we właściwym miejscu o właściwej porze.

Carl przypomniał sobie łzy w oczach Bobby'ego Munsona i uznał, że powinien zareagować uprzejmie.

- Rozumiem; musisz być naprawdę szczęśliwa.

- Oj, tak; moi pracodawcy są bardzo podekscytowani. Za tydzień szykują miejsce na specjalny raport ze Stanów i kazali mi zająć się również stroną wizualną przedsięwzięcia. Mam wynająć fotografa, więc pomyślałam, że skoro już pracowałeś dla „Timesa”, sprawdziłeś się... Czemu nie? Mam przecucie, że to będzie wspaniała wycieczka.

Szlag by trafił ten jej uśmiech, tę pewność siebie i przekonanie, że zapowiada się radosna przejażdżka, a nie wizyta w wymarłym mieście. Nie podobało mu się to, co musiał jej odpowiedzieć, ale nie miał wyboru.

- Obawiam się, że nie mogę z tobą lecieć - odrzekł i serce mu się ścisnęło, gdy na twarzy Sandy odmalowało się rozczarowanie. - Nie żebym nie chciał, ale po prostu nie mogę. Przede wszystkim „Globe” wysyła własnego reportera i fotografa; jestem pewien, że nie byliby zadowoleni z mojego towarzystwa. Po drugie - nie dam rady się urwać z pracy, nawet żeby zrobić coś na własną rękę. Przykro mi, Sandy.

Kiedy zmarszczyła brwi, na czole zaznaczyły się jej delikatne zmarszczki.

- Nie powinnam pomówić z twoim szefem? Może udałoby się to jakoś ułożyć. - Sandy odwróciła się i spojrzała po sali. - Do kogo miałabym się zwrócić?

Carl przesunął palcami po klawiszach maszyny do pisania.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła. Naprawdę.

- Dlaczego? Nie chcesz zobaczyć Manhattanu? Większość reporterów, których znam, zrezygnowałaby z picia piwa do końca życia, gdyby w zamian mogli tam polecieć.

Carl nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć.

- Powiem to tak: moja pozycja w redakcji już w tej chwili jest raczej chwiejna. Większość moich kolegów po fachu uważa, że w ogóle nie powinienem tu być.

Złożone ręce Sandy ani drgnęły.

- Co masz na myśli?

Carl powoli odwrócił się, omiół wzrokiem redakcję, obserwując szepczących między sobą lub demonstracyjnie ignorujących go dziennikarzy. Siedzący przy zestawionych w podkowę biurkach szefowie działów wykręcali szyję, żeby dostrzec go ponad tłumem.

- Czas na kolejną lekcję - rzekł Carl. - Jest takie słowo, dość powszechnie używane, choć rzadko mam okazję je słyszeć. Czasem jednak zdarza się że ktoś się przejęczy i dowiaduję się, że jestem przydziałowcem.

- Kim? - spytała zdezorientowana Sandy.

- Przydziałowcem - powtórzył. Stwierdzi, że nie potrafi oderwać wzroki, od jej spokojnych brązowych oczu. - Kiedy odszedłem z wojska, mogłem jako kombatant, wynająć mieszkanie w dobrej dzielnicy za rozsądne pieniądze; mój status weterana wojennego pozwolił mi również ubiegać się o pracę w „Globe”. Są ludzie - to znaczy, jest ich większość - którym się to nie podoba; mam na myśli zwłaszcza tych, którzy w wojnie nie brali udziału Takich jak ja nazywają przydziałowcami i twierdzą, że gdybym nie był weteranem, nie załapałbym się do „Globe”; pracowałbym w jakiejś prowincjonalnej gazecie, pisząc o spotkaniach szkolnych komitetów rodzicielskich i odpustach w miejscowym kościele. A może i to nie.

- I boisz się, że taki wyjazd...

- Dodatkowo osłabi moją pozycję w redakcji - dokończył Carl. - Może „boję się” to za mocno powiedziane, ale „martwię się” byłoby w sam raz Poza tym pracuję nad artykułem, do którego udało mi się zebrać jakieś strzępy informacji i chciałbym go skończyć. Sandy, to naprawdę świetna propozycja...

Przerwała mu szybkim skinieniem głowy.

- Doskonale cię rozumiem. Czasem mam wrażenie, że najbardziej wredni i złośliwi politycy zasiadają nie w Izbie Gmin, lecz w redakcji „Timesa”. Nie mogą mi darować, że dostałam tę pracę dzięki staraniom ojca, tak że wciąż muszę potwierdzać swoje kompetencje, goniąc za coraz ciekawszym materiałem. Takim jak ten. - Wstała i podała mu wizytówkę. - To naprawdę niepowtarzalna wycieczka, Carl, i strasznie

żałuję, że nie możesz ze mną jechać. Ale skoro tak, to przynajmniej po powrocie postawię ci kolację i będziesz mógł mnie o wszystko wypytać. Podała mu rękę. Uścisnęła ją, mówiąc:

- Umowa stoi.
- Stoi.

Sandy wyszła z redakcji. Odprowadził ją wzrokiem, śledząc każdy jej krok.

Szukając ołówka, natknął się wreszcie na spisana przez Merla Sawsona listę nazwisk. Leżała w środkowej szufladzie biurka opatrzona przypiętą do niej odręczną adnotacją:

Carl,

Tu masz wszystko, co udało mi się znaleźć. Nie podoba mi się to, czego się dowiedziałam, więc podczas naszego publicznego spotkania dziś rano wołałam wszystkiemu zdecydowanie zaprzeczyć.

Bardzo cię proszę, nie mieszaj mnie do swoich spraw, ale życzę ci powodzenia.

Nawiasem mówiąc, w 1960 roku byłam wolontariuszką w sztabie Kennedy'ego...

Grace

PS Proszę cię, zniszcz tę kartkę. Dzięki.

G.

Carl podniósł na chwilę wzrok, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje, ale nikt się nim nie interesował. Odczepił napisaną przez Grace karteczkę, podarł ją na drobne kawałeczki i wrzucił je do stojącego na biurku na wpół opróżnionego kubka z kawą. Zaraz potem wylał ją i wytrząsnął resztki do kosza na śmieci.

Zerknął na dostarczone przez Grace wycinki z gazet - niewyraźne fotokopie ze starych numerów „Boston Globe'ów”. Przy każdym z nazwisk znajdował się wycinek z podanego przy nim roku:

Q. DOOLEY 65

Jak podały miejscowe władze, Quentin Dooley, osobisty asystent prezydenta Johna F. Kennedy'ego, skazany w 1963 roku przez Trybunał do spraw Zbrodni Wojennych, został w ubiegłym tygodniu zastrzelony podczas próby ucieczki z

więzienia federalnego w Leavenworth...

T. ISAACSON 65

Jak podały agencje, Thomas Isaacson zmarł w ubiegłym miesiącu na atak serca w więzieniu stanowym Alcatraz w San Francisco. Isaacson był pracownikiem Departamentu Obrony i odsiadywał wyrok za przestępstwa popełnione podczas wojny kubańskiej...

C. PORTER 68

Ubiegłej nocy, wkrótce po aresztowaniu, Clarence Porter - zastępca asystenta sekretarza obrony w administracji Kennedy'ego - zmarł na posterunku żandarmerii wojskowej...

N. DINITALE71

Ostatniej nocy w wypadku samochodowym na drodze numer trzy na południu New Hampshire zginął Nicholas DiNitale, dawny bliski doradca prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Do wypadku doszło podczas prowadzonego przez policję i żandarmerię wojskową pościgu. Funkcjonariusze usiłowali aresztować DiNitale, który w 1963 został osądzony zaocznie przez Trybunał do spraw Zbrodni Wojennych i od tej pory był poszukiwany...

F.X. TILLEY 72

Jeden z ostatnich żyjących doradców prezydenta Johna F. Kennedy'ego i członek Komitetu Wykonawczego - ExCommu - który odpowiadał za fatalne przygotowanie strategiczne wojny kubańskiej, został w sobotę zastrzelony podczas buntu więźniów.

Frances X. Tilley odsiadywał wyrok w więzieniu federalnym w Leavenworth, gdzie wybuchły zamieszki...

Carl miał wrażenie, że wszystkie włoski na karku stają mu dęba. Przypomniało mu się spotkanie z Merlem Sawsonem. Mówił, że dzieje się coś strasznego, że szykuje się afera, o jakiej świat nie słyszał... Carl za długo siedział w kronice kryminalnej, żeby nie wiedzieć, co jest grane: świadkowie. Ktoś usuwał świadków, którzy znali tajniki wybuchu najkrwawszej wojny w historii ludzkości. Merl był ostatnim z nich.

Wyglądało na to, że zwrócił się o pomoc do Carla, potem do konsulatu brytyjskiego, a teraz...

Wyczuł, że ktoś podchodzi do niego od tyłu. Niedbałym gestem zasłonił jakimś rachunkiem kartkę z wycinkami.

- Panie Landry? - rozległ się za jego plecami głos, męski, pewny siebie i dziwnie znajomy.

- Słucham? - Carl odwrócił się na krześle i zamarł ze zdumienia. Major Cullen Devane, redaktor nadzorczy, z satysfakcją pokiwał głową.

- Chciałbym, żeby poświęcił mi pan kilka minut - powiedział.

I minąwszy biurko Carla, skierował się do swojego gabinetu. Nie odwrócił się, żeby sprawdzić, czy Carl idzie za nim.

W redakcji zapadła okropna cisza. W takiej chwili naprawdę niewiele można zrobić.

Odetchnął głęboko, wstał i udał się w ślad za majorem.

Carl wszedł do biura Devane'a i zamknął za sobą drzwi. Major siedział z na miękkim skórzanym fotelu obrotowym; gestem wskazał mu jedno z dwóch obitych skórą krzeseł stojących przed biurkiem. Miał na sobie swój tradycyjny ubiór roboczy - ciemnoszarą kamizelkę i spodnie od garnituru, białą koszulę i granatowy krawat. W rogu, na wieszaku, wisiała marynarka od kompletu. Zasłony w oknach były zasunięte, tak że pokój rozświetlał tylko blask lamp z zielonymi kloszami.

Usiadł i spojrzał na Devane'a, który właśnie otwierał szarą kartonową teczkę. Na krótkich czarnych włosach pojawiały mu się już pasemka siwizny; uszy miał małe, przylegające do czaszki. W słabym oświetleniu jego skóra wyglądała jak nawoskowana. Carl przypomniał sobie nagle, że ktoś mu mówił o dwóch kategoriach oficerów, jakich spotyka się w wojsku - tych, którzy się liczą, oraz tych, którzy się nie liczą. Ci pierwsi spędzali życie na polach bitew i poligonach, z żołnierzami - wykonywali swoją robotę i zmieniali świat; ci drudzy przesiadywali na tyłach, tworząc gówniane regulaminy, które z czasem stawały się podstawą ich istnienia. Zdaniem Carla Devane zdecydowanie zaliczał się do tych drugich - i to bez względu na to, jak wielką władzę posiadał.

Na ścianie za plecami majora wisiały oprawione w ramki dyplomy, certyfikaty i zdjęcia - na jednym z nich Devane z galowym mundurze odbierał jakiś medal; na innym uśmiechał się, ściskając dłoń generała Ramseya Curtisa.

Oficer podniósł wzrok znad dokumentów.

- Pańskie akta są dość interesujące, panie Landry - stwierdził.
- To prawda.

Carl oparł dłonie na kolanach zdumiony, że udaje mu się zachować taki spokój. Więc tak wygląda legowisko lwa... Obserwował bacznie Devane'a -J°go doskonale uszytą kamizelkę, nieskazitelnie czysty gabinet, uprzątnięte biurko i ozdoby na ścianach - i nagle poczuł się jak za dawnych czasów w armii, kiedy stawiał czoło innym durnym oficerom. Odetchnął głęboko. Zapowiadała się niezła afera.

- Spójrzmy... - Devane odchylił się w tył, czytając niskim, równym głosem: - Carl Martin Landry, urodzony w Newburyport w stanie Massachusetts 5 marca 1942 roku. Uczył się w miejscowych szkołach. Rodzice nie żyją, siostra uznana po wojnie za zaginioną. W wojsku od 1 maja 1960. Dwustopniowe szkolenie w piechocie. -

Devane popatrzył na Carla i uniósł brwi. - Oraz szkolenie w oddziałach specjalnych w Fort Bragg, w Karolinie Północnej. Jestem pod wrażeniem.

- I bardzo dobrze.

- Po dalszym przeszkoleniu wysłany za granicę z przydziałem do Grupy Doradczej w Republice Wietnamu Południowego. Kilka miesięcy służby: doradztwo i szkolenie oddziałów wojskowych Wietnamu Południowego. Musiało tam być piekielnie gorąco.

- Chwilami tak. Devane odwrócił stronę.

- Po wojnie razem z innymi doradcami wrócił pan do kraju i wraz z 24. Dywizją Piechoty trafił na południe Kalifornii. Sześć lat służby w pomocy humanitarnej. Proszę, skończyło się na pomocy humanitarnej.

Carl milczał, nie spuszczać wzroku z twarzy majora. Devane odpowiedział mu niewzruszonym spojrzeniem.

- Przez rok lub dwa, bo pańskie dokumenty tego nie precyzują, służył pan w Kalifornii w oddziałach specjalnych, w grupie uderzeniowej „Coven”. Mógłby pan coś więcej powiedzieć o swojej służbie w tym okresie?

- Nie.

- Podano tu, panie Landry, iż brał pan udział w kilku niezwykle ciekawych kampaniach na terenie Kalifornii: operacja „Thrasher”, operacja „Kilroy”... Operacja „Phoenix”. Co to były za akcje?

No proszę... Carl stwierdził, że ręce wcale mu się nie trzęsą, a głos brzmi czysto i wyraźnie:

- Po odejściu ze służby podpisałem standardowe zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Obawiam się, że nie mogę zaspokoić pańskiej ciekawości.

Devane uśmiechnął się półgębkiem.

- Operacje „Thrasher” i „Kilroy” miały miejsce wiosną 1960 roku na granicy z Meksykiem. Meksykańskie gangi, złożone po części z emerytowanych żołnierzy, napadały na założone na wschód od San Diego obozy uchodźców. Pan i pańscy ludzie przeniknęliście do Meksyku nielegalnie, rzecz jasna, i zneutralizowaliście napastników. Mam rację?

Carl nie odpowiedział. W pamięci jak żywe stanęło mu tamto słońce, wiejący od San Diego wiatr, niosący odór sadzy i rozkładu, i zimny pustynny wiatr; posuwali się na południe, śmiertelnie przerażeni, że Meksykanie zdybią ich, zanim zdołają osiągnąć swój cel. Krótkie strzelaniny; eksplozje i pociski smugowe rozświetlające

noc.

Nie przestając się uśmiechać, Devane odsunął od siebie teczkę.

- Ale naprawdę interesująca była operacja „Phoenix” - ciągnął. - Farmerzy i mieszkańcy wsi w południowej Kalifornii zaczęli się łączyć w uzbrojone bandy, samozwańczą milicję. Nie podobał im się pomysł lokowania pod ich boki obozów dla uchodźców, nie przepadali za stanem wojennym i złościли ich żołnierze, którzy konfiskowali plony i trzodę, żeby wyżywić swoich kumpli z miast. Celem operacji „Phoenix” była likwidacja przywódców owych milicji: mieliście ich uprowadzić.

- Czy ta wyliczanka ma jakiś konkretny cel? - spytał Carl. - Czy po prostu należy pan do tych facetów, którzy lubią słuchać własnego głosu?

- Niech się pan nie martwi - odparł Devane. Fotel zaskrzypiał cicho, gdy major usiadł wygodniej. - Jej cel jest aż nadto konkretny. Bo dopiero w czasie operacji „Phoenix” pańska kariera zaczyna się robić naprawdę interesująca. Jakieś kłopoty dyscyplinarne, potem rana w jednej z nocnych strzelanin, Purpurowe Serce i przeniesienie do Sacramento. I tam dostaje pan pracę kancelisty - siedzi pan za biurkiem i pisuje różne duperele, a także redaguje gazetkę w bazie. Tak doczekał pan końca służby, a potem, w 1968 roku, trafił pan do „Globe”. - Devane złożył dłonie i pochylił się nad biurkiem. - Niech mi pan powie, panie Landry: czy pracując w „Globe”, niczego się pan nie nauczył? Nic a nic?

- Wiem, gdzie wygodnie zaparkować w centrum, jeśli o to panu chodzi.

- Niezupełnie. - Tym razem Devane posłał mu wściekłe spojrzenie. - Chodzi mi o pańską pracę, o posłuszeństwo wobec szefa dziani i realizację jego zleceń. Tych prawdziwych, a nie takich, które sam pan sobie przydziela. Panie Landry, dlaczego nie zostawił pan w spokoju nieżyjącego Merla Sawsona, do ciężkiej cholery?

Carl sporym wysiłkiem woli zmusił się do zapanowania nad głosem:

- Bo to przecież też informacja.

- Właśnie że nie. - Devane pokręcił głową. - A wie pan dlaczego? Bo pański redaktor powiedział, że nie. I już. I nic mnie nie obchodzi, czy jutro na głównym placu w mieście zobaczy pan radzieckich, czy kubańskich spadochroniarzy; jeśli szef powie, że to nie jest ważna wiadomość i wyśle pana na doroczne zebranie Boston Garden Club powinno to panu wystarczyć.

- Czemu ściął pan mój tekst? - spytał Carl ciekaw, jak bardzo może prowokować Devane'a. - Dlaczego sprawa Merla Sawsona wiąże się z bezpieczeństwem narodowym?

- Moja praca nie powinna pana interesować, panie Landry.
- Ale interesuje, do diabła! I będzie interesować, póki pan ścina moje teksty, nie wyjaśniając swoich decyzji!

- Niech panu wystarczy, że tekst został odrzucony - rzucił ostro major. - I proszę posłuchać: niech pan przestanie interesować się zgonem Sawsona. Czy to jasne? W jego zabójstwie nie ma niczego niezwykłego. Niech pan sobie odpuści.

Carl w milczeniu obserwował gładką, rumianą twarz Devane'a; redaktor nadzorczy wyglądał mu na człowieka, który mógłby wydać wyroki śmierci na ludzi z listy Merla Sawsona - wysoko postawionych urzędników państwowych z czasów wybuchu wojny kubańskiej. A wszystko przez te dwa magiczne słowa: bezpieczeństwo narodowe. Co za kraj!

- Za kogo pan się właściwie uważa, co? - mówił dalej Devane. - Czyżby należał pan do tych zwariowanych wyznawców kultu Kennedy'ego? Chce pan na nowo pisać historię? Coś panu powiem o historii. - Z szuflady biurka major wyjął plik spiętych papierów. - Niech pan to w wolnej chwili przeczyta: to artykuł, który przed paru laty napisałem do „Army Timesa”. Przed chwilą rozmawialiśmy o tajnych operacjach wojskowych; słyszał pan o operacji „Mongoose”?

Carl z namysłem pokiwał głową.

- CIA podjęło na Kubie działania przeciw Castro zaraz po tym, jak przejął władzę.

- Niezupełnie, panie Landry: zaraz po tym, jak Kennedy zyskał pełnię władzy. Po tym, jak został upokorzony w 1961 roku w Zatoce Świń, wraz z bratem postanowili pozbyć się Castro. W tamtych czasach nikt nie mógł bezkarnie upokarzać Kennedych - zawsze wyrównywali rachunki. I to właśnie chodziło w „Mongoose”, nie o spalenie upraw trzciny cukrowej czy zatopienie kilku łodzi patrolowych. CIA miała sprzątnąć Castro. - Devane machnął papierami. - I o rym właśnie napisałem: są tu między innymi wywiady z byłymi funkcjonariuszami CIA i urzędnikami Departamentu Obrony. Kennedy tak się wkurzyli na Castro, że na Karaibach otworzyli regularne biuro zabójców. Chcieli go zlikwidować, nie raz i nie dwa. To właśnie takie traktowanie Castro pchnęło nas do trzeciej wojny światowej. Czy o to panu chodzi, Landry? Aż tak lubi pan Kennedych?

- Jestem tylko dziennikarzem.

- Czyżby? Tylko dziennikarzem? Chyba jednak nie. Czego pan naprawdę chce?

Carl poczuł nagle, że czara goryczy przepelnia się, jakby stłamszona pod zbyt wielkim ciśnieniem para nagle uderzyła w zawór.

- Tak jest, tylko dziennikarzem; bardziej ja jestem dziennikarzem niż pan redaktorem. Bo pan wie, kim pan naprawdę jest, prawda, Devane? Takich jak pan nazywaliśmy w Sajgonie, Bakersfield i Tijuanie Kuzkami, kutasami z kancelarii. Jest pan ograniczonym umysłowo pochlebcą, który w dupie ma żołnierzy, dowództwo i wszystko inne. Chodzi panu tylko o to, żeby regularnie odbijać kartę w zegarze, jeździć po świecie i robić sobie zdjęcia, jak całuje pan generała w dupę.

Twarz Devane czerwieniała z każdą chwilą.

- Niech się pan lepiej zamknie, sierżancie Landry. Mogę powołać pana do czynnej służby i za tydzień będzie pan sprzątał latryny w obozie dla uchodźców w New Jersey.

Carl roześmiał się na całe gardło, zadowolony z reakcji, jaką wywołał.

- No proszę, kolejny znak firmowy prawdziwej Kuzki: nie boi się straszyć i grozić. Większość żołnierzy próbuje odwalać pożyteczną robotę, a tacy jak pan krążą nad nimi niczym sępy, żeby podgryzać ich przy każdej okazji. Ależ musi być pan dumny ze swojego munduru!

- Dość tego. - Głos Devane'a wyprany był z wszelkich emocji. - Jest pan wolny. Za niewypełnianie poleceń redaktora zostaje pan do końca tygodnia zawieszony w obowiązkach reportera, bez prawa do wynagrodzenia. Do poniedziałku nie chcę pana widzieć na oczy. Czy to jasne?

Carl wstał.

- Równie jasne jak pański świecący nochal. Wychodząc, nie zamknął za sobą drzwi.

Przysiadł na chwilę przy swoim biurku, czekając, aż spłynie z niego całe napięcie. Oto stawiał czoło samemu Wielkiemu Demonowi, dostał KK - a tymczasem wciąż tu był, pracował w „Globe”, zamiast od ręki dostać powołanie i jutro stawić się w koszarach przy State Street. W redakcji panowała okropna cisza; ktoś po drugiej stronie pokoju z wahaniem stukał w klawisze maszyny do pisania, pomrukiwały nieregularnie pracujące dalekopisy, ale poza tym nic się nie działo. Carl stwierdził, że nie jest w stanie oglądać twarzy swoich kolegów; ciekaw był, co myślą i czują, i podejrzewał, że w ich sercach strach - przed tym, co się stało - walczy o prymat z ulgą - że nie im się to przytrafiło.

- Carl? - rozległ się cichy głos.

Zignorował go, zadowolając się obserwacją swego zabałaganionego biurka. Czuł złośliwą satysfakcję na myśl o tym, że teraz przez tydzień nie będzie musiał tego bałaganu oglądać. Dostał tydzień bezpłatnego urlopu - tak właśnie powinien się zapatrywać na przymusową przerwę w pracy, ale coś ścisnęło go za gardło: niepokój. Co dalej? Podążać dalej tropem sekretu Merla Sawsona? Czy to w ogóle możliwe?

- Carl?

Podniósłszy wzrok, ujrzał stojącego przy biurku George'a Dooleya - i prawie roześmiał mu się w twarz. To dopiero przerażające! Zostać wezwanym na dywanik do Devane'a - zdarza się, zwłaszcza ostatnio, ale żeby szef działu sam przyszedł do twojego biurka? Nie do wiary! Było się czym martwić, bo George nigdy nie kręcił się po redakcji: pracownicy zawsze przychodzili do niego, wzywani donośnym rykiem.

- Możemy porozmawiać, Carl? - George rozejrzał się po sali. - U mnie? Carl skinął głową.

- Chyba mam dziś dobry dzień na oficjalne spotkania.

W gabinecie George'a usiadł i poczuł, że jest okropnie zmęczony. Dooley zajął miejsce naprzeciwko. Przesunął dłońmi po blacie biurka, wziął do ręki zdjęcie siostrzenicy, odłożył je i spojrzał na Carla.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało. Devane powiedział mi dziś rano, co zamierza; próbowałem go za wszelką cenę powstrzymać, ale nic z tego. Przykro mi.

Carlowi nagle głowa zaczęła okrutnie ciążyć, jakby zrobiła się za duża na jego wątłe ramiona. George, który za coś przeprosza? Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego i poczuł nagły przypływ życzliwości dla szefa działu. Nie przeszkadzało mu w tej chwili, że został zawieszony.

- Jak to właściwie jest? Zostałem zawieszony za niewykonywanie poleceń czy za drażnienie sprawy Merla Sawsona?

George położył dłonie płasko na biurku.

- Zostałeś zawieszony, bo redaktor nadzorczy tak chciał. Żałuję, że muszę ci to powiedzieć, ale taka jest cholerna prawda.

- Z pewnością.

Szczęknęła otwierana szuflada i George wyjął butelkę jacka danielsa. Obok postawił dwie szklanki.

- Masz ochotę na drinka?

Carl na nic właściwie nie miał ochoty, ale uznał, że nie należy marnować okazji.

- Chętnie.

Nalewając whisky, George mówił dalej:

- Nie lubię tego mówić, Carl, bo po takim tekście ludziom woda sodowa uderza do głowy i schodzą na psy, ale tobie to powiem: jesteś jednym z moich najlepszych ludzi. Wiem, że ludzie w redakcji nazywają się przydziałowcem; staram się z tym walczyć, kiedy tylko mogę. Jesteś dobry w tym, co robisz.

Pchnął jedną szklaneczkę po blacie do Carla, który wziął ją w dłoń, nie wierząc własnym uszom. Pociągnął jeden łyk ze szklanki, potem następny.

- Herbata? - zdziwił się. - Trzymasz w biurku butelkę po whisky napełnioną herbatą?

Dooley z uśmiechem pokiwał głową.

- No jasne. A co, myślałeś, że piję w pracy? Tamte dni minęły bezpowrotnie, a wraz z nimi moja wątroba. - Jednym haustem opróżnił szklanekę i nalał sobie następną. - Wiele dni minęło. Kiedyś, w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, gdyby ktoś mi powiedział, że będziemy tolerować bieżącą cenzurę w gazecie, wyśmiałbym go. Kto by pomyślał, że będę pracował w redakcji, gdzie jakiś majorzyna będzie mi dyktował nie tylko co pisać, ale też co robić z ludźmi... Jezu Chryste! - Zapatrzył się na szklanekę i przesunął ją kawałek po blacie. - Chociaż przyznaję, że z początku zapowiadało się to sensownie. Na początku wojny. Byłeś wtedy za granicą, prawda?

- Tak.

- Jak się dowiedziałeś o wojnie?

- Z radia. Słuchaliśmy BBC i Głosu Ameryki. Miałem wrażenie, że to wszystko dzieje się tak daleko, że nie może być do końca prawdziwe...

- Ha! - George pociągnął solidny łyk herbaty. - Z miejsca, gdzie się znajdowałem, wszystko wyglądało aż nadto prawdziwie. - Gestem wskazał znajdującą się za drzwiami gabinetu redakcję. - Pracowałem w serwisie, szcztując na bieżąco depeche AP i UPI: najpierw doniesienia o raketach, potem przemówienie Kennedy'ego, spotkania w ONZ, zdjęcia z U-2; blokada Kuby; przerzut wojska na Florydę; powołanie rezerwistów do służby. To był straszny czas. Miało się wrażenie, że dzwonki dalekopisów będą brzęczeć bez końca, co chwila.

Carl przypomniał sobie zadymiony, gorący bar w Sajgonie, w dzielnicy Thong

Qui, kilka przecznic od dowództwa Grupy Doradczej. Przesiadawali w nim do późna w noc, słuchając wiadomości. Szczególnie zapadł mu w pamięć spocony, otyły żołnierz z Florydy: siedział zawsze najbliżej radia, żuł zgaszone cygaro i pił okropne piwo marki 66. Jakżeż on się nazywał? Jakoś na K... Kyle? Tak, właśnie tak: Kyle. Nabijał się z Kennedy'ego, zastanawiał się, czy J.F.K. ma dość ikry, żeby raz na zawsze rozprawić się z Castro. Cóż, nigdy się tego nie dowiedział.

- Niewiele wtedy spaliśmy - rzekł Carl. - W tamtej strefie czasowej serwisy wypadały w środku nocy.

- Myśmy też się nie wysypiali - odparł cicho George. - Aż przyszedł ten weekend, w którym zestrzelili naszego U-2 i rozpętało się piekło. Dzwonki dalekopisów się poprzepalały. Nasze lotnictwo zbombardowało wyrzutnie rakiet, zaczęła się inwazja i Kubańczycy rzucili atomówki na nasze oddziały desantowe. Dzyń, dzyń, dzyń! Każde „dzyń” oznaczało wiadomości jeszcze gorsze od poprzednich: z Kuby startują rakiety; radzieckie bombowce przelatują nad biegunem i Kanadą; bomby spadają na Florydę, Waszyngton i Nowy Jork; uderzenie odwetowe i wszystkie rosyjskie miasta - Moskwa, Mińsk, Władywostok, wszystkie - zmiecione z powierzchni ziemi. - George spojrzał smętnie na Carla. - Tamtej nocy ludzie ustawili się w kolejce pod redakcją, a my co godzinę drukowaliśmy nową pierwszą stronę. Ciężarówki nie mogły rozwieźć gazet, bo wszyscy chcieli od razu, nie czekając, poznać najświeższe wiadomości. Telewizja nic nie nadawała, a radio głównie trzeszczało, więc gazety były najlepszym źródłem informacji, chociaż uzależnionym od dalekopisów. Dzień czy dwa później dowiedzieliśmy się, że władzę przejął generał Curtis, który doprowadził do zawieszenia broni; kiedy przyszli żołnierze i zaczęli nam dyktować, co można, a czego nie można publikować, z początku miało to ręce i nogi. Nie chcieliśmy szerzyć paniki i powielać plotek, tym bardziej że trzeba było zamieszczać informacje o dostępnych schronach, dystrybucji żywności i masę tego typu rzeczy.

Carl napił się jeszcze herbaty - smakowała paskudnie, jakby z rok już spędziła w butelce - ale George częstował nią ze szczerego serca. Nigdy by się nie spodziewał, że Dooley naprawdę jest właśnie taki.

- A kiedy przestało mieć ręce i nogi? George pokręcił głową.

- Tego nikt nie wie. Jasne jest tylko, że minęło dziesięć lat, cała dekada; wydawałoby się, że sytuacja powinna niebawem wrócić do normy, a wiesz, co ja myślę? Że nie dożyję chwili, kiedy „Globe” stanie się na powrót normalną gazetą. -

Przesunął palcem po krawędzi szklanki. - Za kilka tygodni obywatele tego kraju wybiorą burmistrza Nowego Jorku na prezydenta dlatego, że obieca im zachowanie obecnego stanu. Będzie prezydentem przez osiem lat, a potem ci, którzy naprawdę u nas rządzą, wskażą następnego kandydata, który będzie mówił dokładnie to samo. I tak do końca stulecia będziemy z rozkoszą wybierać sobie nowych dyktatorów. A można by pomyśleć, że powinniśmy się czegoś nauczyć.

Carl dopił resztkę herbaty i odstawił szklaneczkę.

- Powinniśmy - przytaknął. - I niebawem się nauczymy, ale nie dziś. Dziś chyba powinienem iść do domu.

- Idź, Carl. - George pokiwał głową. - I, na miłość boską, zrób coś dla mnie.

- To znaczy?

- Zapomnij o tym całym bajzlu, dobrze? Wyjedź na wycieczkę czy coś... Carl się uśmiechnął; czuł się znakomicie.

- Przykro mi, stary, ale nie mam nastroju do wyświadczenia przysług.

Słońce świeciło jasno; gdyby nie odór spalin i sadzy, w powietrzu unosiłby się tylko ostry zapach suchych liści, który zawsze kojarzył się Carlowi z dzieciństwem i domem rodzinnym. Zamknął samochód i wspomnienia wróciły potężną falą: domek w Newburyport, w którym mieszkał z siostrą i rodzicami; budowanie zimą umocnień ze śniegu na podwórku i zagrzebywanie lalek Sarah; klejenie łódeczek z patyków po lizakach i puszczanie ich na zalaną wodą z roztopów ulicę - to na wiosnę; długie, gorące dni i chłodne noce lata, czasem wycieczki łódką na ryby, zakładanie przynęty Sarah; i jesień - zeschnięte liście, dym, kowbojski kostium na Halloween - i Sarah obok niego, przebrana za wróżkę z bajki...

A potem Kalifornia, po wojnie: telefony nie działają, system pocztowy przeciążony, brak wiadomości o rodzicach i siostrze i dopiero w 1963 roku telegram z Czerwonego Krzyża i pierwsze wieści o ojcu i matce... Ten telegram: dwa zdania, które nie dawały mu spokoju, które czytał wciąż na nowo, bez końca, nie mogąc uwierzyć w wypisane na formularzu słowa.

- Szlag by trafił ten dzień - mruknął i odszedł od samochodu. Skręcił w zaułek, mijając pojemniki na śmieci. Zrobiło mu się zimno i dziwnie na myśl, że ani jutro, ani pojutrze, ani przez następne kilka dni nie będzie miał nic do roboty. Mógł traktować tę przerwę jak bezpłatny urlop, ale jakoś za szybko się to rozegrało i dziwnie się z tym czuł. Co zrobić z taką ilością wolnego czasu? Może powinien

wrócić do sprawy Merla Sawsona? Albo dowiedzieć się, kim jest Stewart Thompson? Popracować nad książką? No, to nawet niegłupi pomysł...

- Hej, Carl! - dobiegł go czyjś teatralny szept. - Zaczekaj no chwilką, co? Po schodach prowadzących do piwnicy sąsiedniego domu wygramolił się

mężczyzna w starym ubraniu i kaloszach do kolan - nie kto inny jak Dwutonowiec, i to bardzo podenerwowany Dwutonowiec, bo podchodząc do Carla, niespokojnie rozglądał się na boki. Nie miał ze sobą wózka na zakupy, co było bardzo, naprawdę bardzo dziwne. Zdrowym okiem starał się ogarnąć całą okolicę jednocześnie. Przysunął się bokiem do Carla i dodał:

- Muszę przyznać, że jest mi przykro.
- Dlaczego?
- Bo dałem im wejść.

Carl poczuł, jak wracają ciarki, które czuł ostatnio u Devane'a w biurze.

- O kim mówisz? O tych facetach, którzy wcześniej się tu już kręcili? Nerwowe skinienie głowy.

- O tych samych. Elegancy, grzeczni, w garniturach. Przyszli tu jak do siebie i zaczęli grzebać w śmieciach. Wyobrażasz sobie? Tacy goście, a przeszukują śmietnik! Przecież to moja robota! Ja się tym zajmuję!

- Ależ oczywiście, oczywiście, Williamie. - W tym momencie Carl również nerwowo zaczął rozglądać się po zaułku. Z Comm Ave dobiegał zgiełk ruchu ulicznego, dźwięk syren i klaksonów. - Co potem robili?

- Tacy dobrze ubrani... Poszli do ciebie, do twojego mieszkania, ot co! Tak mi się przynajmniej wydaje. Głównym wejściem weszli; musieli mieć chyba klucz czy jak, bo na pewno nikt ich nie wpuścił. A potem widziałem, jak coś się rusza u ciebie w mieszkaniu. Długo tak stałem i patrzyłem, co robią.

Carl podniósł wzrok, starając się przeniknąć ciemność za oknami.

- Dalej są na górze?

- Nie, na pewno nie. - Dwutonowiec przestępował niecierpliwie z nogi na nogę niczym pierwszoklasista, który czeka, aż nauczyciel pozwoli mu wyjść do łazienki. - Liczyłem ich, Carl: trzech weszło, a potem trzech wyszło. Więcej ich nie było. Ale weszli do środka i dlatego przepraszani. Naprawdę mi przykro.

Dwutonowiec był tak przybity tym, co się stało, że Carl nie wiedział, jak się zachować.

- Nie przejmuj się, Williamie - rzekł. - To nic wielkiego. William wyglądał

tak, jakby lada moment miał się rozplakać.

- Nic wielkiego, akurat. Wy, dobrzy ludzie, wynajęliście mnie do konkretnej roboty, i ja staram się ją wykonywać, dzień w dzień. Patrzę, co się dzieje, przeganiam różnych łobuzów, a teraz tego nie zrobiłem.

Wyjął z kieszeni przybrudzoną chusteczkę ze związanymi czterema rogami.

- Co to jest? - zaciekawiał się Carl.

- Pieniądze z ostatnich miesięcy. - Dwutonowiec podniósł zawiniątko. - Zbieram tu ćwierćdolarówki, które od ciebie dostaję. Mam je wszystkie, co do jednej, i teraz chcę ci je oddać, Carl. Nie zasługuję na nie.

Carl przyjął od niego paczuszkę i delikatnie położył ją z powrotem na poblížnionej dłoni Dwutonowca.

- Zasługuje pan na nie bardziej niż wszyscy inni ludzie, jakich znam, kapitanie. Proszę je przyjąć i o nic się nie martwić, dobrze? Świetnie się pan spisał.

- Przecież wiesz, Carl, że to nie w porządku. Powinienem był...

- Nie ma pan racji, kapitanie - przerwał mu Carl, podnosząc głos. - I dobrze pan o tym wie. Pamięta pan szkolenie w piechocie, prawda? Co należy zrobić w przypadku napotkania przeważających sił wroga? Wycofać się i obserwować. I to właśnie pan zrobił, kapitanie; tak należało postąpić. Zapracował pan rzetelnie na swój dzisiejszy żołd. Proszę się tego nie wypierać.

Dwutonowiec zastanowił się chwilę nad tymi słowami.

- Zgadza się, tego mnie właśnie uczono. Wiedziałem o tym; cały czas to pamiętam. - Zmusił się do uśmiechu, odsłaniając poźółkłe zepsute zęby. - Stare nawyki wciąż są silne i przydają się, nawet gdy człowiek o nich nie myśli.

- Chyba tak właśnie jest.

Dwutonowiec schował zawiniątko do kieszeni i ruszył w swoją stronę.

- Będę dalej wypełniał swoje obowiązki, Carl - rzucił na odchodnym. - Ale uważaj na siebie. Jacyś goście się tobą interesują, a ja naprawdę bym nie chciał, żeby coś ci się stało. Pamiętaj: jak zawyją syreny, wyjdź przed dom, a ja cię zabiorę do siebie. Następną wojnę przetrwamy razem. Dobrze mówię?

- Pewnie - przytaknął Carl.

Niespiesznie wszedł po schodach; serce waliło mu jak młotem - nie dawała mu spokoju myśl, że Dwutonowiec w którymś momencie pomylił się w rachunkach. Może wszechpotężni „oni” czekali na niego w pokoju, z kajdankami albo powołaniem

do wojska. Całkiem możliwe, że tak właśnie będzie. Otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i już po chwili poczuł się trochę lepiej: był sam. Może Dwutonowiec po prostu miał halucynacje.

Pomyszkował trochę po mieszkaniu i szybko przekonał się, że bezdomny weteran wcale się nie pomylił: ktoś był u niego w mieszkaniu i je przeszukał. Ci ludzie znali się na robocie; nie zostawili po sobie żadnych ewidentnych śladów, ale zdradziły ich drobiazgi - niedomknięta szuflada, poprzekładane papiery na biurku... Ktoś złożył Carlowi wizytę. Jeśli szukali czegoś, za co można by go zapuszkować, to... Pomacał się po kieszeni: zaproszenie, identyfikator i wizytówka tajemniczego Stewarta Thompsona były na swoim miejscu. Podobnie jak lista nazwisk, opatrzona teraz wycinkami z gazet.

W pokoju panował ciężki zaduch, Carl otworzył więc okno i przysiadł na kanapce. Co powinien zrobić? Objął się rękoma za kolana i wbił wzrok w pustą ścianę naprzeciwko. Z pewnością zwrócił na siebie uwagę bardzo ważnych osobistości, których silne ręce sięgają bardzo, bardzo daleko. Tak daleko, że mogą sobie pozwolić na włamanie w biały dzień, zawiesić go w pracy, a może nawet nasłać na niego gang sierocy - wtedy pod konsulatem, po pierwszym spotkaniu z Sandy. Wyglądało to na działanie Sekcji Z, jak zwykle skrytej w cieniu.

Co w takim razie mu pozostało? Ma zostać przez tydzień w Bostonie i prowadzić prywatne śledztwo? Wcale mu się ten pomysł nie podobał, chociaż tyle już wiedział o losie nieszczęsnego Merla Sawsona. Zewsząd otaczali go potencjalni włamywacze i obserwatorzy, o których nie wiedział nawet, co robią. Z różnych szeptanych rozmów wiedział, że Sekcja Z ma w zwyczaju składać niezapowiedziane wizyty w domach swych przyszłych ofiar: po rozpoznaniu terenu, dzień czy dwa później zjawiali się z nakazem aresztowania.

Wrócił myślami do spotkania z George'em. Co on takiego powiedział?

Żeby zapomniał i wyjechał na wycieczkę...

- A czemu by nie? - rzekł na głos Carl i wyjął z portfela wizytówkę. Wykręcił podany na niej bostoński numer. Od razu ktoś się zgłosił, a wówczas Carl poprosił o przełączenie do jednego z pokojów. Kiedy po trzecim dzwonku podniosła słuchawkę, przeszedł prosto do rzeczy:

- Sandy, mówi Carl. Dalej szukasz fotografa?

Nie tak miało to wyglądać, myślał Carl, stojąc na chodniku przed swoim domem. Ale Sandy nalegała.

- Tak się cieszę, że jedziesz ze mną, Carl - powiedziała przez telefon. -Uczcijmy to jakoś... Już wiem: za godzinę będę u ciebie, z kolacją pod pachą. Co ty na to?

Pomysł ani trochę mu się nie podobał, ale nie mógł jej tego powiedzieć.

- Doskonale - odparł.

Następną godzinę spędził na gorączkowych porządkach w mieszkaniu. Wszystkie gazety zwinął w jeden rulon i wrzucił za kanapę; ubrania pozbierał i poupychał w szafach; umył zalegające w zlewie naczynia i sztuce. Zajrzał do gabinetu, obrzucił smętnym spojrzeniem walające się po podłodze papiery i ołówki, niedoczytane książki, pokręcił głową i zamknął drzwi. Tam musiałby sprzątać z tydzień, a tyle czasu z pewnością nie miał.

Czekając na jej przyjazd, śledził wzrokiem mijające go samochody i próbował sobie przypomnieć, kiedy to ostatni raz kobieta zaszczyciła go swoją obecnością. Sporo czasu upłynęło, prawda? Rok... Trochę więcej. To była Monica, dziewczyna z działu ogłoszeń. Lubiła chodzić do na wpół nielegalnych kin w Cambridge, oglądać zagraniczne filmy z napisami. Miała też okropny nałóg: kiedy skończyli się kochać, paliła te paskudne brązowe papierosy. Zawsze prosił, żeby otworzyła okno - czy to u niej na Beacon Hill, czy u siebie w mieszkaniu. Wszystko układało się świetnie przez pięć czy sześć miesięcy, dopóki nie znalazła pracy w agencji reklamowej w San Francisco. Przysłała dwa listy i jedną pocztówkę, później wszystko się skończyło. A potem już nikt? Dlaczego?

Z różnych powodów. Był przydziałowcem i kombatantem, a ludzie zwykle albo nie cierpią przydziałowców, albo boją się weteranów wojennych. Monica zaliczała się do rzadko spotykanych wyjątków.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku i ze środka wysiadła Sandy z dwoma papierowymi torbami w rękach. Uśmiechnęła się do niego; miała zarumienione policzki i zmierzwione wiatrem włosy.

- Zapowiada się kapitalna zabawa - stwierdziła, podając Carlowi jedną z toreb. - Nie cierpię gotować, ale w hotelu coś dla nas sklecili.

Dotarłszy na górę, odstawili torby na świeżo wypucowany blat kuchenny i Sandy rozejrzała się po pokoju.

- To co, może oprowadzisz mnie szybko po zamku, zanim siądziemy do stołu? - zaproponowała. - Jedzenie wystarczy podgrzać.

Zrzuciła z ramion płaszcz, który Carl odebrał od niej i powiesił w szafie w przedpokoju. Sandy została w czarnych płaskich pantoflach, obcisłych dżinsach i białej bluzce z długim rękawem i wyszywanym w kwiaty kołnierzykiem. Kiedy się do niego uśmiechnęła, spróbował sobie przypomnieć Monice.

- Wycieczka będzie krótka - stwierdził. - Stojąc tu, widzisz większość mieszkania. To jest salon z telepatrzydłem i pięknym widokiem z okna.

Oboje podeszli do wysokich okien.

- Ładny park - przyznała Sandy. - Z mojego okna w Londynie widać stajnię.

- Stajnię?

- No, podwórze, na którym kiedyś znajdowała się stajnia. Tu masz przynajmniej jakąś zieleń, drzewa. - Sandy oparła się o szybę. - To spora ulica; nie jest za głośno w nocy?

- Do samochodów można się przyzwyczaić, tym bardziej że to drugie piętro. Poza tym mam szczególny dar.

- Tak? - Sandy uniosła pytająco brwi. - Cóż to takiego?

- Śpię prawie w każdych warunkach. A skoro o tym mowa, zapraszam dalej.

Carl pokazał jej małą sypialnię z poślany łóżkiem, uprzątniętym biurkiem i zamkniętą szafą i Sandy wskazała dwuskrzydłowe drzwi na końcu krótkiego korytarza.

- A tam co jest?

- Łazienka i gabinet.

- Mogłabym zobaczyć miejsce, w którym pracujesz? Cudownie.

- Wygląda jak szcurze gniazdo.

- Jestem dorosłą kobietą, Carlu Landry - odparła, krzyżując ramiona na piersi.

- Poza tym pisarką, tak jak i ty. Nic mnie nie zaskoczy. - Uśmiechnęła się. - Chyba że jesteś typowym facetem i masz na ścianie portret Raquel Welch, Marilyn Monroe czy innej gwiazdy.

- Raczej nie.

Carl otworzył drzwi gabinetu i przepuścił Sandy przodem. Bałagan był nieprzeciętny. Jedyne okno wychodziło na uliczkę, w której urzędował Dwu-

tonowiec. Poobijane drewniane biurko kupił przed kilkoma laty od studenta bostońskiego uniwersytetu, a krzesło i maszyna do pisania pochodziły z nadwyżek meblowych w „Globie”. Regały na książki porobił sam, wykorzystując znajdowane tu i tam drewniane odpady. Sandy podeszła prosto do nich.

- Uwielbiam oglądać biblioteki w domach innych ludzi - powiedziała, wiodąc palcami po grzbietach książek. - Można się z nich dowiedzieć, jaki człowiek jest naprawdę; moja mama zawsze mi to powtarzała. Mówiła, że każdy może się przechwalać, gdzie był i co robił, ale dopiero widząc jego książki, można stwierdzić, kim jest. Kupienie książki na własność to bardzo osobiste posunięcie.

Carl oparł się o futrynę, chcąc nacieszyć wzrok zgrabną figurą swego gościa.

- I czego się o mnie dowiedziałas?

Stała do niego plecami, ale wyczuł, że się uśmiecha.

- Że lubisz historię. Większość książek, które tu masz, opowiada o przeszłości. Prawdę mówiąc, nasze zbiory są dość podobne. Mam mnóstwo książek historycznych, jak również komplet dzieł naszego wspólnego znajomego pana Orwella. - Odwróciła się do niego z niepewnym wyrazem twarzy. - Ale masz bardzo dużo książek wojennych, a szczególnie o dwóch wojnach: waszej secesyjnej i pierwszej światowej. Co cię w nich tak interesuje?

Niezłe pytanie.

- Nie sądzę, żebym umiał ci udzielić wiarygodnej odpowiedzi.

- Mógłbyś chociaż spróbować. - Podeszła do biurka. - A to co? Stanął obok niej.

- Nic takiego.

- Czyżby? - Znów uniosła brwi. - Chyba jednak coś to jest. - Zaczęła przeglądać gruby plik zapisanych na maszynie kartek. Carl poczuł, że się czerwieni. - To książka, prawda? - spytała z błyskiem w oku.

- Tak jakby...

Zważyła plik w dłoni jak siatkę z owocami na targu.

- Jest tego dobre kilkaset stron, Carl. U nas takie coś nazywa się książką. Mój ty skryty przyjacielu, przy ruinach rezydencji Kennedych nie przyznałeś mi się, że piszesz, ale teraz już wiem. Odkryłam twoją tajemnicę. O czym jest ta książka?

- A jeśli nie będę ci chciał powiedzieć? Przerzuciła jeszcze kilka kartek i wyjęła jedną z nich.

- Opowieść żołnierza, Carl Landry. - Podniosła wzrok. - To nie jest zwykła

beletrystyka, co? Pisziesz prawdziwą historię.

- Na tyle prawdziwą, na ile potrafię.

Odłożyła stos kartek na biurko i jeszcze raz zerknęła na regały. - I wszystko, co tu masz, ma z nią jakiś związek.

- Niezły strzał.

- Mówiłam ci przecież, że jestem dobrą dziennikarką. A teraz jestem dodatkowo zazdrosna. - Postukała się znacząco w skroń. - Moje książki na razie wszystkie są tutaj, a ty przynajmniej masz coś na papierze. Ale wracając do mojego pytania: dlaczego kupujesz tyle pozycji historycznych?

Następne dobre pytanie, cholera jasna! Sam się swego czasu zmagam z tym problemem: wracał z redakcji, siadał i czytał, czytał, czytał, starając się uchwycić. .. Co właściwie? Temat? Przekaz? Sens krwawej rzezi sprzed dziesięciu lat? Tak bardzo chciał zapisać na papierze, ująć w słowa tę prawdę, którą pamiętał.

- Wojną secesyjną zainteresowałem się z oczywistych przyczyn - powiedział wreszcie. - Do czasu Kubę na naszym terytorium nie rozegrała się żadna inna wojna. A wtedy zginęły setki tysięcy ludzi, unicestwiono całe miasta: Richmond, Vicksburg, Atlantę...

- Uczyliśmy się o tym w szkole. - Sandy skinęła głową. - Wojna secesyjna zawsze przypominała mi pierwszą światową: wszyscy wiwatowali, cieszyli się i przechwalali, że w kilka miesięcy będzie po wszystkim. Tymczasem po czterech latach wciąż były prawdziwe okopy, błoto, szczury i daleko do końca.

- Właśnie. Pod pewnymi względami wojna secesyjna stała się preludium do pierwszej światowej: użycie telegrafu, artylerii dalekiego zasięgu, wykorzystanie kolei do przewożenia wojska i zaopatrzenia. A kiedy patrzę na 1914 rok, od razu przypomina mi się 1862: dwa uzbrojone po zęby międzynarodowe sojusze znalazły się o krok od wojny i wystarczyło leciutkie szturchnięcie, żeby wszystko runęło. Zawsze zaczyna się od jakiegoś małego kraiku: wtedy to był zamach w Serbii, teraz rakiety na Kubę. - Carl zdjął książkę z półki. - Strzały w sierpniu. Barbara Tuchman napisała je tuż przed wojną kubańską. W tej książce ktoś pyta pewnego niemieckiego generała, jak doszło do wybuchu pierwszej wojny światowej, a on odpowiada: „Ach, gdybyśmy tylko wiedzieli, że tak się sprawy potoczą”. Dwie wielkie wojny w jednym stuleciu i to samo wytłumaczenie. Nie wiemy, jak to się stało. Sandy wyjęła mu książkę z rak i ostrożnie wstawiła ją na półkę.

- A o czym jest twoja książka?

- Och... - Musnął palcami maszynopisu, jakby szukając zachęty w jego dotyku.

- Bardziej przyjemne spojrzenie na wojnę: jak wyglądała z odległości kilku tysięcy kilometrów i jak się czuł człowiek, który wróciwszy do kraju, zastał w nim kompletny chaos; jak to było - wyjechać na krucjatę przeciw komunizmowi z imieniem młodego prezydenta na ustach, a potem wrócić i ujrzeć spustoszoną ojczyznę: jedzenie i paliwo na kartki, opad radioaktywny, Waszyngtonu nie ma, starych przywódców politycznych nie ma, tylko jeden pewny siebie, dzielny generał lotnictwa, który zapewnia cię, że o wszystko się zatroszczy.

- Uwierzyłeś mu? - spytała Sandy nieco kąpiącym tonem. Carl się zawahał.

- Dziesięć lat temu widziałem go nawet na własne oczy. Przyjechał na inspekcję do Sajgonu. Robił wrażenie.

- Nadal nie odpowiedziałeś na pytanie: wierzysz mu czy nie? Czy będę musiała przeczytać twoją książkę, żeby się tego dowiedzieć?

Jeszcze raz przesunął dłonią po stercie kartek.

- Obawiam się, że musiałabyś długo czekać.

- Dużo jeszcze brakuje ci do końca? - spytała rozczarowana Sandy. Carl złapał ją delikatnie za łokieć i wyprowadził z gabinetu.

- Żaden amerykański wydawca nie zgodzi się opublikować takiej książki, Sandy. Co przygotowałaś na kolację?

- Zaprowadź mnie do kuchni. Już się biorę do roboty.

Carl rozstawił naczynia na szerokim blacie oddzielającym kuchnię od salonu, Sandy zaś faktycznie wzięła się solidnie do pracy. Wkrótce po mieszkaniu zaczęły rozchodzić się rozkoszne wonie i dźwięki, jakich dawno w nim nie było. Sandy wymieszała składniki, odgrzała hotelowe dania, wrzuciła do lodówki kilka butelek mocnego guinnessa. Carl wyjął butelkę czerwonego kalifornijskiego wina i razem zasiedli do gęstego gulaszu z homarów z sałatką i kawałkami chrupiącego chleba. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł tak smacznie u siebie w domu.

Po kolacji włączył stojące na blacie radio i złapał wieczorną audycję jazzową. Muzyka przygłuszyła nieco dobiegający z ulicy hałas.

- No dobrze - rzekła Sandy, nabierając łyżkę gulaszu. - Opowiedz mi coś więcej o tym, jak zostałeś zawieszony w obowiązkach reportera. Wkurzyłeś cenzora, prawda?

- W rzeczy samej. Oficjalną przyczyną zawieszenia jest nieposłuszeństwo

wobec przełożonego; nieoficjalną i prawdziwą jest to, że nie chciałem odpuścić sobie pewnego materiału.

Sandy przyglądała mu się uważnie, aż zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby nie spuścił wzroku.

- To coś ważnego? Wiąże się z bezpieczeństwem narodowym?

I to nawet bardzo, pomyślał, ale postanowił nie mówić jej nic więcej.

- Zbierałem materiały o starym człowieku, którego ktoś zastrzelił w jego mieszkaniu. Ale moja notka nie ukazała się w gazecie, a mnie niedwuznacznie kazali zapomnieć o całej sprawie. No i żeby się upewnić, że tym razem zrozumieć aluzję, wysłali mnie na bezpłatny urlop.

Sandy otarła usta serwetką.

- W Anglii mamy Ustawę o tajemnicy państwowej i też nie wszystko możemy publikować. Czasem zdejmują nam w ostatniej chwili jakieś materiały sprzeczne z tak zwanym interesem narodowym. Na przykład rok temu na jesieni w Zatoce Biskajskiej nasz niszczyciel ostrzelał jakieś francuskie kanonierki naprzykrzające się naszym kutrom rybackim.

- Zgadza się. - Carl pokiwał głową. - Do nas nie dotarło ani słówko.

- Ale przynajmniej redaktorzy opowiedzieli się po naszej stronie. Postawili się parlamentowi i premierowi, starając się doprowadzić do druku artykułu, ale nie było mowy. Nie wyobrażam sobie, jak to jest mieć cały czas cenzora na karku.

- Ona ma przez to ułatwione zadanie, a dla nas to mordęga.

- Co zrobisz po powrocie z Manhattanu? Przymusowy urlop przecież ci się skończy.

Carl dopił wino; wrócił myślami do listy nazwisk, do tajemniczego pana Thompsona, znanego mu z wizytówki człowieka z angielskim akcentem. I do Merla, dawnego doradcy z kancelarii Białego Domu.

- Sprawdzę, czy nie ma dla mnie poczty, a potem wrócę do sprawy morderstwa tego starego człowieka.

- To dobre wyjście, Carl.

Po sprzątnięciu i umyciu naczyń Carl stanął obok Sandy przy zlewku.

- Obawiam się, że na deser niewiele mogę zaproponować. W lodówce są lody i jakiś jogurt, ale nie ręcę za ich świeżość. Możemy wyjść na New-bury Street, znaleźć jakąś kafejkę... Tylko że na dworze jest zimno.

Sandy z założonymi rękami oparła się tyłem o blat. Oczy jej zabłysły.

- Nic innego nie przychodzi ci do głowy? Carl z uśmiechem zrobił krok do przodu.

- Mam jeszcze taki pomysł - powiedział, wziął ją w ramiona i pocałował, z początku delikatnie, do czasu, aż nie miał wątpliwości, że reaguje na jego pocałunek: przycisnęła się do niego całym ciałem, wsunęła mu palce we włosy i westchnęła cicho. Rozkoszował się jej zapachem, dotykiem świeżo upranego, czystego ubrania, miękkością skóry.

- Cudownie - wyszeptała Sandy. - Nie mogłam się już doczekać.

Leżała z głową na jego piersi i wodziła mu paznokciami po brzuchu, a on muskał jej włosy ustami i nosem: miały obezwładniający zapach i Carl ze wszystkich sił starał się wryć go sobie w pamięci wraz z innymi doświadczeniami ostatniej godziny. Chciał na zawsze zapamiętać tę woń, zapamiętać każdą sekundę, każde westchnienie, każdy jęk. Od pierwszych niezdarnych momentów w sypialni, gdy upajał się widokiem jej obnażonego ciała, idealnej cery i cieszył się jej ciepłem, biorąc ją w ramiona, aż do ostatniej chwili, przed dwoma, trzema minutami, kiedy to westchnęła przeciągle, głośno i przejechała mu paznokciami po plecach - nie wyobrażał sobie, że może to być tak cudowne.

Mimo chłodnej październikowej nocy cała pościel leżała zepchnięta w kąt łóżka.

- Bardzo pan szlachetny, panie Landry - stwierdziła Sandy. Uśmiechnął się; jej włosy łaskotały go w nos.

- Czyżby? Myślałem, że jestem powolny i niezdarny. Pocałowała go w pierś.

- Ależ skąd, drogi panie. W tych nielicznych - podkreślam: nielicznych - przypadkach, gdy próbowałam tego wcześniej, mężczyźni byli albo tak powolni, iż miało się wrażenie, że trzeba ich pogonić i powiedzieć, co mają robić, albo tak prędcy, jakby spieszyli się na pociąg. Ale teraz było bardzo, bardzo przyjemnie.

- Wcale nie.

Sandy usiadła na łóżku, udając złość.

- Co chcesz przez to powiedzieć, do diabła?! Carl mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Że było fantastycznie, cholera jasna! Fantastycznie!

Ugryzła go w nos, on pociągnął ją pieszczotliwie za ucho i po kilku chwilach

łagodnej szarpaniny z powrotem złożyła mu głowę na piersi. Nagle zgasło światło.

- Co się dzieje, Carl? - Sandy podniosła niespokojnie głowę.

Carl wyciągnął po omacku rękę w stronę nocnej szafki, na której trzymał pudełko zapalek i zapalił stojącą obok świeczkę. Właśnie ujawniła się kolejna słabość jego pięknego kraju.

- Po prostu zabrakło prądu. Sieć energetyczna nie jest jeszcze do końca ustabilizowana i czasem się to zdarza. Na przykład dzisiaj.

- Jakie to romantyczne.

- Z początku pewnie tak, ale z czasem robi się męczące. Zwłaszcza jeśli prądu nie ma przez tydzień i całe żarcie w lodówce trafia szlag.

- Mogę cię o coś zapytać?

- A czy kiedykolwiek powiedziałem „nie”?

- Na razie nie. - Carl czuł na piersi jej delikatny oddech. - Powiedz mi, boisz się? Boisz się wyjazdu na Manhattan? Boja tak. Większość spraw, o których pisałam do tej pory, rozgrywała się w Londynie albo gdzieś w okolicy. Ja się tam wychowałam, znam sklepy, przystanki metra, parki; wiem, jak wygląda życie. A na Manhattanie... - Sandy zadrżała. - Wydaje mi się, że to zupełnie martwe miejsce. Miałam przedwczoraj straszny sen, że zgubiłam się podczas tej wycieczki. Siedziałam sama na środku ulicy; trawa rosła w szparach w chodniku, nadszła noc, było całkiem ciemno i były dzikie psy... Wiem, że starałam się robić dobrą minę, kiedy opowiadałam ci o mojej dzielnej babce i jej mężu w czasie wojny burskiej, ale i lęk na wspomnienie tego snu przenika mnie dreszcz...

Carl pogładził palcami jej miękką skórę.

- Nie, nie boję się. Może trochę się martwię. Z pewnością Manhattan jest całkiem bezpieczny, bo inaczej wojsko nie wpuściłoby tam dziennikarzy. Poza tym na pewno będą nas krótko trzymać. Właściwie nie mają się wpakować w kłopoty.

- Ale bywały w twoim życiu takie chwile, że się bałeś, prawda?

Carl zamknął oczy, po raz kolejny starając się wbić sobie w pamięć wspomnienie tego wieczora, dotyk tej skóry pod palcami...

- Mnóstwo razy.

- Jak sobie radziłeś ze strachem?

- Zwykle wystarczyło wziąć głęboki oddech i przeć do przodu, mieć nadzieję, że niedługo będzie po wszystkim. Poza tym byłem młodszy i dobrze wyszkolony, a jak człowiek jest młody, pełen energii i entuzjazmu, to mu się wydaje, że nic go nie

ruszy.

Sandy nic nie odpowiedziała, przesunęła tylko dłonią w dół, zatrzymując się na bliźnie na lewym udzie Carla.

- A czy kiedy to się stało, przestałeś myśleć, że jesteś niezwyciężony? Coś ścisnęło go w gardle.

- Nie. Wtedy już od jakiegoś czasu byłem pewien, że daleko mi do niezwyciężonego.

- Co się wtedy stało, jeśli mogę o to spytać? Carlowi zaschło w ustach.

- Zostałem postrzelony.

- W Wietnamie?

- Nie, w Kalifornii. W czasie misji humanitarnej.

Sandy podniosła głowę, oparła brodę o jego pierś i spojrzała na niego z powagą. W blasku świecy jej skóra wyglądała nienaturalnie gładko.

- Jak to się stało?

- Chcesz usłyszeć wersję prawdziwą czy oficjalną?

- Sam zdecyduj.

- Oficjalnie to było tak, że wyszedłem na nocny patrol, żeby aresztować przywódcę milicji w rejonie San Bernardino. Mieliśmy informacje od wywiadu, że przebywa na ranczu na wzgórzach, do którego prowadzi długa bita droga.

- Dlaczego mieliście go aresztować?

- Bo on i jego ludzie stawali się zbyt skuteczni. Podburzali miejscowych farmerów i ranczerów, żeby ci postawili się żołnierzom, kiedy przyjdą zebrać jedzenie dla uchodźców z San Diego, La Mesa i Spring Valley. No i wyznaczono nam takie zadanie.

- Doszło do bitwy?

- Tak napisali w uzasadnieniu mojego Purpurowego Serca. Znaleźliśmy się pod ostrzałem z rancza. Nasz oddział został dosłownie przyszpilony, a ja próbowałem podprowadzić go bliżej i zająć stojącą niedaleko stodołę. Wtedy dostałem, przez zupełny przypadek zresztą. Ale mimo to starałem się prowadzić ludzi do walki. To wszystko, koniec wersji oficjalnej. Postrzelony przy próbie dowodzenia oddziałem pod ogniem nieprzyjaciela.

Sandy schyliła się i cmoknęła go w pierś.

- A prawdziwa wersja?

- Prawdziwa? - Carl sam się zdziwił, słysząc taką gorycz w swoim głosie. -

Otóż cały oddział milicji to była jedna duża rodzina: matka, ojciec, synowie, córki, wujostwo i kuzyni. Nie podobało im się, że rząd stanowy i resztki federalnego próbują nimi pomiatać; to typowe dla Amerykanów. Nie podobało im się również to, że urzędnicy z akcji humanitarnej konfiskują im bydło i zboże. Pomyśleli, że jesteśmy złodziejami, więc zaczęli strzelać. I pewien ciężko przestraszony czternastolatek trafił mnie z karabinu w nogę - żaden powód do chwały, naprawdę. Całą rodzinę aresztowano i po rzetelnym, trwającym niespełna godzinę procesie zesłano do obozu dekontaminacyjnego pod San Diego.

Czuł oddech Sandy na swojej szyi.

- Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się właściwie wydarzyło w Kalifornii; docierały do nas tylko jakieś szeptane plotki. Mógłbyś...

- Opowiedzieć ci, co się stało? To zależy, kto pyta: „Times” czy Sandy Price.

- Sandy. Po prostu Sandy.

Carl westchnął na wspomnienie dokumentu, który podpisał, odchodząc ze służby; przysiągł w nim, że nigdy nikomu nie powie o tym, co widział. Do diabła z tym.

- To był chaos, nic innego: chaos. Przed wojną południe Kalifornii było cudownie zrównoważonym, bezcennym instrumentem, który dostarczał energii i wody milionom ludzi zamieszkujących jałowe pustkowia. Na skutek wojny ten instrument przestał istnieć. Wyobraź sobie Londyn, w którym od miesiąca nie ma prądu. Co się dzieje?

- Ludzie zaczynają wyjeżdżać - odparła cicho Sandy.

- Właśnie. Dziesiątki tysięcy uchodźców z okolic San Diego ruszają na północ, do Los Angeles. Tymczasem tam już czekają setki tysięcy takich, którym od tygodni brakuje prądu i jedzenia. Zapanował... chaos. Strzelaniny na ulicach, barykady, zlinczowani uciekinierzy powywieszani na słupach telegraficznych; matki razem z córkami sprzedawały się za bochenek chleba. Całe dzielnice spłonęły... Wtedy przyszła zima i... oficjalnie zmarło z głodu jakieś sześćset, siedemset osób.

- Boże...

- A wiesz, jak było naprawdę, Sandy? Co miesiąc umierało dwa, trzy razy tyle ludzi; statki zabierały zwłoki i topiły je w oceanie, kawałek od brzegu. A dobrzy obywatele Kalifornii odwdzięczali się żołnierzom, strzelając do nich.

- Przykro mi, że i tobie się dostało, Carl.

- Niepotrzebnie się tym martwisz. -Przytulił ją mocno. - Rzygać mi się już

wtedy chciało żołnierką, tak że ten postrzał okazał się klasyczną raną za milion dolarów, jak to nazywaliśmy. Zostałem przewieziony do szpitala, a potem dostałem pracę biurową w Sacramento: redagowałem gazetkę bazy wojskowej. Przekonałem się, że mam dryg do pisania, co zaprowadziło mnie do „Globe”, tego mieszkania i uroczej angielskiej dziennikarki w moim łóżku. -Musnął palcem jej usta. - Gdybym wiedział, że historię z raną tak się skończy, nie wydzierałbym się wtedy tak głośno.

- Znów jesteś szlachetny - zauważyła Sandy z uśmiechem.

- Czy to znaczy „rycerski”? Bo jeśli tak, to moja zbroja już trochę zarzewiała.

- Eee tam, gadanie. Mogę cię jeszcze o coś prosić?

- Słucham?

- Chodzi o twoją książkę. Chciałabym ją przeczytać.

- Dzisiaj? Teraz?

- A czemu nie? - Sandy połaskotała go w brzuch. - Chyba że masz inne plany, mój ty przystojny ogierze.

- Nie skończyłem jej. I długo jeszcze nie skończę.

Włączono światło. Carl zdmuchnął świeczkę; cieniutka smużka dymu uniosła się aż pod popękany sufit.

- To bez znaczenia. - Sandy westchnęła. - Znów się robię natrętna, ale... Do licha! Mówiłeś, że nikt w Stanach jej nie wyda. Ale są jeszcze przecież wydawcy w Anglii, głodni amerykańskiej prozy, której tak mało do nas dociera. Mam kilku przyjaciół w wydawnictwach... Chociaż oczywiście nic nie obiecuję.

Carl zamknął oczy; jak to się stało, na Boga, że ktoś taki znalazł się w jego bezpiecznym, bezbarwnym życiu, wywrócił je do góry nogami, a przy okazji namówił go do czegoś, czego nigdy przedtem nie robił. Na przykład do nocnej eskapady do mieszkania Merla.

- To bardzo hojna propozycja, ale przy okazji poruszyłaś temat, który i tak powinniśmy przedyskutować.

- Chodzi ci o mój powrót do Anglii? Nie psujmy tego wieczora, Carl. Zostaną tu jeszcze co najmniej dwa tygodnie; wykorzystajmy je jak najlepiej.

Objął ją i złączył dłonie.

- Dobra: umowa stoi. Przeczytasz kawałek, jeden rozdział, i powiesz mi, czy ci się podoba. Tylko nie śmiej się z literówek.

- Nie będę się śmiała, obiecuję.

Carl wstał i przeszedł do gabinetu; dobrze wiedział, który rozdział jej przeczyta - ten, od którego dziesięć lat temu wszystko się zaczęło. Wróciwszy do salonu, zastał ją owiniętą prześcieradłem, uśmiechniętą i spoglądającą na niego wzrokiem, który mówił: „Wszystko będzie dobrze; nie ma rzeczy niemożliwych”. Położył się obok niej i podał jej cienki plik kartek.

- Jedno pytanie, zanim zaczniesz czytać dzieło mojego życia - zaproponował.
- Słucham - zgodziła się Sandy, układając kartki.
- Czy znasz ludzi z konsulatu? Skrzywiła się i przysunęła bliżej.
- Trochę... Po przyjeździe do Bostonu musiałam wszystkich poznać osobiście; to był element szkolenia. Bardzo nudny element.
- A poznałaś wtedy Stewarta Thompsona? - spytał Carl, starając się zachować spokojny ton głosu.
- Na miłość boską, Carlu Landry! - Sandy nie kryła zdumienia. - Skąd znasz jego nazwisko?

Spojrzał jej głęboko w oczy, nie wiedząc, co powiedzieć, na ile jej zaufać.

- Wyłynęło przy okazji tego materiału, nad którym pracuję. Mam nadzieję, że to zostanie między nami. Kim on jest?

Sandy szturchnęła go łokciem pod żebra.

- Nie bój się, nie zamierzam relacjonować twoich opowieści w konsulacie. My, dziennikarze, musimy trzymać się razem, zwłaszcza jeśli mamy przeciw sobie cenzurę... Obojętne, jak się nazywa. Ale przynajmniej wiem, skąd twoje kłopoty, skoro Stewart Thompson jest zamieszany w tę sprawę.

Carl bał się poruszyć.

- To znaczy?
- Oficjalnie Stewart Thompson jest zastępcą attache do spraw rolnictwa. Wszyscy w konsulacie - i miejscowym FBI, jak sądzę - wiedzą jednak, dla kogo naprawdę pracuje: dla MI6.

- Dla wywiadu... - Słowa te z trudem przeszły Carlowi przez gardło. O Boże, Merl Sawson musiał zwrócić się do nich o pomoc.

- Nie inaczej. Był na bankiecie: wysoki, smętny gość z grzywą siwych włosów. W wolnym czasie chyba zajada cytryny, żeby utrwalić sobie tę skwaszoną minę. Ciekawe... Dugie Harris, attache prasowy, mówił mi, że kilka tygodni temu Stewart miał urwanie głowy za sprawą śmierci tego generała Sheffielda. Szefostwo nie dawało mu spokoju.

- To ten generał, którego znaleźli z prostytutką w łóżku, tak?

- Ten sam. - Sandy podniosła zapisane na maszynie kartki. - Teraz ja zdradzę ci pewien sekret, tak że na dziś będziemy kwita. Ten emerytowany generał był chyba kimś więcej niż podstarzałym oficerem gustującym w nastolatkach. Miał ciekawą przeszłość. Przed wojną był attache wojskowym naszej ambasady w Waszyngtonie.

- W Waszyngtonie? W 1962 roku był attache wojskowych w Stanach? Sandy z uśmiechem wzięła do ręki pierwszą kartkę.

- Oczywiście; nie chodziło mi przecież o wojnę w Korei. Miał szczęście: wyjechał z Waszyngtonu tuż przed bombardowaniem. Cóż za ironia losu: przyjechał tu pierwszy raz od dziesięciu lat i zmarł na atak serca w łóżku dziwki.

Rzeczywiście, pomyślał Carl, ironia losu. W odstępnie tygodnia w Bostonie umiera angielski attache wojskowy z 1962 i ginie zaufany asystent Johna F. Kennedy'ego - dwaj ludzie, którzy przed wojną zapewne się znali. Co więcej, u zamordowanego znaleziono nazwisko i numer telefonu bostońskiego rezydenta wywiadu Wielkiej Brytanii.

- Faktycznie - powiedział, nie wierząc we własne słowa. - Co za ironia.

OPOWIEŚĆ ŻOŁNIERZA

Carl Landry Rozdział 3

Każde wystrzelenie pocisku nuklearnego z Kuby przeciw któremukolwiek z państw zachodniej półkuli naszego globu zostanie uznane za atak Związku Radzieckiego na Stany Zjednoczone i stanie się podstawą do uderzenia odwetowego na Związek Radziecki .

prezydent John F. Kennedy

22 października 1962

W październiku 1962 roku byłem jednym z kilku tysięcy doradców wojskowych w Wietnamie Południowym. Większość z nas wchodziła w skład kadry szkoleniowej, która starała się przerobić wietnamskie siły zbrojne na zdadne do walki oddziały wojskowe. Pełniliśmy funkcję „doradców”, co oficjalnie oznaczało, że powinniśmy nadzorować w bazach szkolenie bojowników ARVN przed wysłaniem ich na spotkanie z Wietkongiem, ale w praktyce była to jedna wielka bzdura. W razie potrzeby wszyscy ruszaliśmy do walki - i czyniliśmy to z entuzjazmem. Chcieliśmy towarzyszyć „naszym” żołnierzom, kiedy znajdą się pod ostrzałem; chcieliśmy im pokazać, że jesteśmy dla nich partnerami, na których mogą polegać. A ponieważ byliśmy przy tym młodzi, głupi i pełni wiary, chcieliśmy również samym sobie udowodnić, że sprawdzimy się na pierwszej linii frontu, w walce z komunizmem.

Trudno mi pisać te słowa; od tamtej pory upłynęło już siedem czy osiem lat. Walka z komunizmem - jak to szlachetnie brzmi. Zarazem ta właśnie walka zaprowadziła nas na manowce. Zapłaciliśmy za to bardzo wysoką cenę.

Ceną tą było między innymi życie trzech doradców, którzy zginęli tuż przed wybuchem wojny kubańskiej. Samolot szpiegowski, którym lecieli, by z powietrza podawać namiary na cel operującym w pobliżu oddziałom ARVN, został zestrzelony przez Wietkong. Jestem pewien, że dziś nikt - poza może ich rodzinami - o nich nie pamięta, oto więc ich nazwiska: kapitan Terry Cordell, kapitan lotnictwa Herbert Willoughby Booth i sierżant Richard Fox.

W sobotę 20 października 1960 roku na lotnisku Ton Son Nhut w Sajgonie odbyło się nabożeństwo żałobne poświęcone ich pamięci. Był to jeden z tych parnych, gorących dni i właściwie wystarczyło znaleźć się na płycie lotniska, żeby mózg się człowiekowi zaczął smażyć pod czaszką. My, doradcy, staliśmy wraz z wietnamską gwardią honorową i kapelanem, który odczytał kilka wersów z Biblii. Śmigłowce i samoloty prawie dokumentnie go zagłuszały, ja zaś pamiętam, że w moim sercu mieszały się uczucia wspólne dla wszystkich młodych żołnierzy: smutek z powodu śmierci kolegów; duma z tego, co robili dla ojczyzny; pewność, że mnie nic podobnego się nie przydarzy, bo jestem zbyt cwany i mam za dużo szczęścia, żeby zginąć. I jeszcze to poczucie obowiązku: łopot amerykańskiej flagi pod obcym niebem i świadomość, że jesteśmy tu po to, żeby pomóc Wietnamczykom wygrać z komunistami.

Drugą liczną ekipę na lotnisku stanowili tego dnia dziennikarze - w tym jeden

z „New York Timesa” - gdyż nawet w tak mało znaczącej wojnie nawet w Laosie towarzyszyło nam poczucie obejmującej cały świat misji, świadomość, że młody, zadziorny J.F.K. wysłał nas tam, byśmy w imię wolności byli gotowi „zapłacić każdą cenę i udźwignąć każde brzemie”.

Nie wątpiliśmy ani przez chwilę, że to właśnie robimy, prasa zaś w większości się z nami zgadzała. O ceremonii pogrzebowej pisały wszystkie duże gazety, odnotowując skrupulatnie, iż Cordell, Booth i Fox to, odpowiednio, szesnasty, siedemnasty i osiemnasty Amerykanin zabity podczas służby w Wietnamie Południowy.

Kiedy schodząc z pasa startowego, udawaliśmy się do knajp, nikt z nas nie wiedział jeszcze, iż więcej Amerykanów w Wietnamie nie zginie.

Niebawem na pierwsze strony gazet trafił kryzys kubański, który później dał początek wojnie kubańskiej. Dwanaście godzin różnicy nie ułatwiało śledzenia na bieżąco doniesień z Moskwy, Stanów i ONZ; dla przykładu wyjaśnię, że kiedy Amerykanie w rodzinnym gronie oglądali przemówienie prezydenta Kennedy'ego o siódmej wieczorem w poniedziałek 22 października, my próbowaliśmy go słuchać w radiu we wtorek 23 października - o siódmej rano. Wieści ze świata były potem podawane dalej, opatrzone nieuniknionymi w takiej sytuacji plotkami i domysłami. W dodatku wszyscy byliśmy pochłonięci szkoleniem i wyprawami do dżungli i nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus codziennego słuchania BBC czy Głosu Ameryki.

Zabrzmiało to może arogondzłom, ale uważaliśmy, że wojna z komunistami już trwa i w głowie nam się nie mieściło, że Eisenhower i Kennedy godzą się na to, by sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeży Florydy zainstalował się komunistyczny reżim. Niejedno piwo wypiliśmy, debatując nad tym, „dlaczego, do cholery, siedzmy tutaj, piętnaście tysięcy kilometrów od domu, żeby walczyć z czerwonymi, skoro tam mielibyśmy własnych czerwonych pod bokiem”. W Wietnamie wojna trwała już tak długo, że z radością przyjęliśmy zachowanie Kennedy'ego, który wreszcie pokazał Kubie, że ma dość ikry, i zażądał usunięcia rakiet. Nikt z nas nie przypuszczał, żeby chłopcy Chruszczowa rzeczywiście zamierzali je stamtąd zabrać; domyślaliśmy się, iż w swoim czasie Kennedy wyśle po nie komandosów i piechotę morską.

Naturalnie do głębi poruszył nas fakt, że Rosjanie, ci przekłęci Rosjanie, zdołali przemyścić na Kubę bombowce i rakiety strategiczne średniego zasięgu. Większość z nas uważała, że Kennedy powinien był ich uprzedzić i wysłać na wyspę

własne bombowce, zamiast bawić się w negocjacje i blokady. Rosjanie obiecywali przecież, że nigdy nie zainstalują na Kubie żadnej broni ofensywnej - mieliśmy więc jaskrawy przykład, jak fałszywi potrafią być czerwoni.

Mało kto podnosił w tych rozmowach kwestię naszych rakiet w Turcji i we Włoszech czy bombowców stacjonujących w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Japonii i Korei Południowej. Świat był czarno-biały: my jesteśmy dobrzy, oni źli; nasze rakiety są dobre, ich rakiety złe. Opletliśmy Związek Radziecki kordonem bombowców, żołnierzy, samolotów szpiegowskich, rakiet i okrętów podwodnych, żeby „ich” powstrzymać. A nie należy zapominać, że minęło raptem dwadzieścia lat od chwili, gdy Niemcy najechali na Związek Radziecki i wymordowali dziesiątki milionów jego mieszkańców.

Można było więc zrozumieć, że Rosjanie posyłają rakiety na Kubę, żeby dać Amerykanom odczuć ten sam lęk, w którym sami się wychowali.

Nie jest to jednak żadnym wytłumaczeniem ani dla dalszego rozwoju wydarzeń, ani dla wcześniejszych dokonań sowieckich: mord na polskich oficerach w Katyniu, stalinowskie obozy katorzniczej pracy w całej Rosji, zmiażdżone gąsienicami radzieckich czołgów Węgry, które w 1956 roku ośmieliły się wybrać własny rząd. O nie, nie było powodów, żeby litować się nad Rosjanami, tym bardziej więc nasza obecność w Wietnamie miała sens. Czuliśmy, że słabe, z wolna stające na nogi państewka demokratyczne potrzebują naszej pomocy - i z chęcią im ją nieśliśmy.

Nawet już po tym, jak gazety zaczęły się rozpisywać o kryzysie na Kubie, stwierdziłem, że głowę zaprzętąją mi znacznie bardziej przyziemne rozważania. Łapałem jakiś serwis informacyjny w radiu, czytałem „Stars & Stripes” i po kawałku zbierałem wiadomości. Blokada. Przygotowania do inwazji rozpoczęte na Florydzie, w Georgii i Alabamie. Spotkania w ONZ. Wysiłki sekretarza generalnego U Thanta zmierzające do pogodzenia stron konfliktu. Ale tylko kiwałem mądrze głową i wierzyłem, że „ci na górze”, którzy są po prostu stopień wyżej w hierarchii płac, znajdą rozwiązanie. A ja miałem własne problemy.

Szkoiliłem wtedy kompanię południowowietnamskich żołnierzy zawodowych, którzy chcieli nauczyć się walczyć z Wietkongiem na jego terenie i na jego warunkach, zamiast siedzieć w silnie bronionych garnizonach i wioskach. Moim bezpośrednim współpracownikiem był porucznik Nguyen Van Minh -facet mniej więcej w moim wieku, chociaż o ponad głowę niższy i dobre dwadzieścia kilogramów lżejszy. Jeżeli nawet przyjmowanie „sugestii” sierżanta sprawiało mu jakieś kłopoty,

nigdy nie dał tego po sobie poznać. Podoba mi się myśl, że podczas tych kilku miesięcy znajomości połączyła nas swego rodzaju ostrożna przyjaźń - mnie, syna robotnika z Massachusetts, i jego, dziecko bogatego plantatora kuczuku z okolic Pleiku.

W przeciwieństwie do większości moich kolegów po fachu spędziłem sporo czasu, zapoznając się z historią Indochin; czytałem o francuskich kolonialistach, którzy dawniej rządili na Malajach, o Japończykach, którzy odebrali im Indochiny w latach czterdziestych, o rewolucji i wojnie domowej Ho Szi Mina. Dowiedziałem się jednej ciekawej rzeczy - z początku nie mogłem w nią uwierzyć, ale pewien stary wyga wojskowy, Wietnamczyk, powiedział mi, że Ho Szi Min napisał wietnamską wersję deklaracji niepodległości, opartą na naszym oryginale z 1776 roku. Był nawet gotów przyjąć amerykańskich doradców i amerykańską pomoc humanitarną, bylebyśmy poparli go w walce przeciw Francuzom.

My jednak nie mogliśmy oczywiście denerwować Francuzów, naszych szlachetnych sprzymierzeńców w dopiero co zakończonej drugiej wojnie światowej. Ho Szi Min wycofał się więc do dżungli i pozostał w niej do czasu pokonania wroga pod Dien Bien Phu, kiedy to do całej sprawy wmieszała się ONZ. Zanim dotarłem na Malaje, istniały już dwa Wietnamy - Północny i Południowy; my udzieliliśmy poparcia Południowemu, a Sowietom Północnemu.

Dzięki Nguyenowi wiele się nauczyłem o Wietnamie; chyba obaj byliśmy zadowoleni, że ślepy los nas zetknął. Dostając mnie, Nguyen trafił na doradcę, który znał choć trochę historię regionu (taką przynajmniej miałem nadzieję) i nie patrzył z góry na „tubylców” czy „małych brązowych braci”, jak ich czasem nazywaliśmy; niektórzy Amerykanie, zwłaszcza ci starsi i bardziej zapijaczeni, z Południa, chętniej mówili o nich „ryżowe czarnuchy”. I mimo że słowa te padały tylko w naszym gronie, nocą, w knajpach dla Amerykanów, Wietnamczycy o tym wiedzieli. Zawsze się o wszystkim dowiadywali.

Ja też uważam się za szczęściarza. Dostałem do pomocy całkiem niezłego żołnierza, który nie po to wstąpił do wojska, żeby zdobyć wpływy czy robić lewe interesy na fałszywych koncesjach na dostawy, lecz poważnie traktował swoją robotę. Któregoś razu przy piwie spojrzął na mnie i rzekł:

- Wiesz co, Carl? Mój dziadek walczył z Japończykami, ojciec z Francuzami, a teraz przyszła moja kolej. Obawiam się tylko, że trafiło mi się o wiele bardziej niewdzięczne zadanie: walczę w bratobójczej wojnie, tak jak wy sto lat temu. Żal mi

cię, przyjacielu. To nie jest jakaś wspaniała, szczytna kampania - to wojna domowa, podjazdowa, którą ciężko wygrać. I jest coś jeszcze!

Co to takiego, zapytałem.

Mimo że miał już dobrze w czubie, spoważniał i odparł:

- Musicie pozwolić nam walczyć. Jeżeli sami nie obronimy naszego kraju, nie zasługujemy na niego. Powiedz to swoim przełożonym.

Zapewne dałem słowo, że to zrobię, ale była to jedyna obietnica, której nie mogłem dotrzymać.

Pracując z Nguyenem, w okresie kryzysu kubańskiego martwiłem się też i o inne rzeczy - na przykład o amunicję. Ludzie Nguyena mieli kilka sztuk M-1; to doskonały karabin dla żołnierza piechoty, choć trochę przyciężki i niezgrabny dla Wietnamczyka, znacznie niższego od przeciętnego Amerykanina. Chciałem zdobyć dla nich dość amunicji, żeby zanim wyślę ich do dżungli, wiedzieli, co ich broń potrafi. Brzmi to sensownie, prawda? Znalezienie choćby kilku skrzynek pocisków kalibru trzydzieści wymagało ode mnie mnóstwa pracy, płaszczenia się i jeżdżenia po Sajgonie.

To chyba zabawne, że w ostatnich dniach przed wybuchem wojny - kiedy w silosach rakiety szykowano do odpalenia, nasze B-52 oraz radzieckie „niedźwiedzie” i „zubry” patrolowały przestrzeń powietrzną, krążowniki i niszczyciele blokowały Kubę, a okręty podwodne zdążyły ku wyznaczonym celom - pewien żołnierz w armii wuja Sama martwił się tylko o to, skąd wytrzasnąć jeszcze skrzynkę amunicji.

W ostatni weekend października przestałem się nią przejmować.

Dwudziestego siódmego, w sobotę, Kubańczycy zestrzelili nasz U-2. Idąc na śniadanie, dowiedziałem się, że w odwecie za to nasze lotnictwo zbombardowało wyrzutnię rakiet ziemia-powietrze, która otworzyła ogień do U-2. Jeden ze starszych żołnierzy, niejaki Kyle Secord, słuchał wiadomości z radia stojącego w małej świetlicy. Pochodził z Florydy, z Key West. Cały w skowronkach przekazał nam nowinę.

- Stary J.F.K. wreszcie udowodnił, że ma jaja - rzekł z przeciągłym południowym akcentem. - Zobaczycie, niedługo wyląduje na Kubie piechota morska i spadochroniarze.

Cóż, nie przepadałem za Kyle'em (był jednym z tych, którzy często i chętnie mówili o „ryżowych czarnuchach”), ale tego dnia przemawiał jak prorok. Zanim siedliśmy do kolacji, zaczął się desant Marines - największy od czasów Inchonu w

Korei w 1951 roku - a 82. i 101. brygady spadochronowe zostały zrzucone w rejonie Hawany, żeby zająć lotniska. Bomby spadły na wyrzutnie rakiet, a jednostki biorące udział w blokadzie zaczęły zatapiać radzieckie okręty podwodne. Dziwny widok przedstawiali sobą żołnierze siedzący na wiklinowych fotelach, wsłuchani w przerywany trzaskami opis wojny toczącej się tysiące kilometrów od miejsca, w którym się znajdowali. Wiatraki leniwie kręciły się nad ich głowami, a Głos Ameryki z trudem przebijał się przez zgiełk sajgońskiego ruchu ulicznego.

Nie rozmawialiśmy wiele; w świetlicy przybywało doradców, zaczęli się też pojawiać pojedynczy Wietnamczycy. Siedzieliśmy z ponurymi twarzami, kopiąc papierosy, i choć od czasu do czasu ktoś zdobywał się na brawurowy żart, myśli wszystkich podążały chyba podobnym torem: co z chłopcami, którzy są w oddziałach desantowych? Co w domu? Co zrobią Rosjanie? Drażniło nas wszystkich, że właśnie rozgrywa się prawdziwa wojna, a my nie bierzemy w niej udziału - wojna dająca obietnicę awansu, odznaczeń, zdobycia prawdziwego doświadczenia bojowego, a nie jakaś zabawa w żołnierzyków i doradców, w której ci drudzy uczą tych pierwszych, jak strzelać i jak chodzić po lesie, żeby nie hałasować niczym stado słoni.

Przytaczając ten opis, próbuję oddać ducha czasów: byliśmy tak pewni siebie i pozbawieni wyobraźni, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jakie mamy szczęście.

W poniedziałkową noc siedzieliśmy przy radiu i jedliśmy spóźnioną kolację, kiedy z głośnika dobiegł wysoki, przerażony głos spikera: radzieckie oddziały lądowe na Kubie stawiały zdecydowany opór desantowi, a nasze siły inwazyjne i okręty wsparcia zostały ostrzelane taktyczną bronią atomową o małej sile rażenia.

Nawet dziś, choć po latach do wszystkiego nabiera się dystansu, nie umiem należycie oddać wstrząsu, jakim była dla nas ta wiadomość, i przerażenia, jakie poczuliśmy; daliśmy się ponieść jakiejś „spokojnej panice”. Oto pierwszy raz od 1945 roku nuklearny dzin został wypuszczony z butelki w warunkach bojowych. Wydarzenia następnych dni zwały się na nas jak lawina; każdy kolejny serwis przynosił wiadomości gorsze od poprzedniego i był jak cios prosto w żołądek. Mało kto wyszedł ze świetlicy. Piliśmy, paliliśmy, coś tam jedliśmy, drzemaliśmy na podłodze - i tylko co kilka godzin ktoś chował twarz w dłoniach i cicho płakał albo zaczynał krzyczeć i szukał zaczepki, byle tylko dorwać kogoś w swoje ręce. Nasi wietnamscy asystenci byli przy nas i podejrzewani, że walczyli z własnym strachem: oto ich niezwycony przyjaciel i sprzymierzeniec walczył o życie, przez co problemy ich małego kraiku zeszyły na dalszy plan.

A wiadomości z godziny na godzinę coraz bardziej nas przygnębiały. Po pierwszym uderzeniu nuklearnym na Kubie nasze lotnictwo rozpoczęło naloty na cele militarne w Związku Radzieckim; okręty stacjonujące w rejonie Morza Śródziemnego zaczęły ostrzeliwać jednostki radzieckie; Rosjanie wkroczyli do Berlina Zachodniego; na Kubie zapanował kompletny chaos, tak że z płonącej wyspy nie wychodziły na zewnątrz żadne informacje. Późno w nocy Kennedy przemówił w radiu, zwracając się do narodu i całego świata, a my ledwie rozumieliśmy, co mówi, takie były zakłócenia. Proponował natychmiastowe zawieszenie broni i zaprzestanie działań wojennych, zwołanie spotkania na szczycie, ustępstwa gospodarcze - wszystko, byle tylko zahamować rozwój wojny, zanim ogarnie Amerykę. Mimo trzasków doskonale słyszeliśmy strach w jego głosie.

- Cholerny chłopczyk z Haryardu - mruknął jeden z moich kumpli. -Gdyby w zeszłym roku nie spieprzył Zatoki Świń, nie doszłoby do tego.

Odpowiedziały mu potakujące okrzyki i kiwanie głowami.

Próbowaliśmy wsłuchać się w trzeszczący głos Kennedy'ego, ale i tak było już za późno. Co najmniej dwie lub trzy radzieckie rakiety zostały wystrzelone z Kuby i trafiły w Omaha, siedzibę dowództwa wojsk lotniczych. Pomyślałem o mojej siostrze Sarah i schowałem twarz w dłoniach, żeby zapłakać.

Potem Rosjanie zbombardowali bazę marynarki w San Diego - rakiety wystrzelił prawdopodobnie sowiecki okręt podwodny. Z chwilą gdy nasze miasta znalazły się pod ostrzałem, S AC rozpoczęło serię uderzeń odwetowych. Na wieść o bombardowaniu rosyjskich miast robiło się nam niedobrze. W którymś momencie - nie pamiętam dokładnie kiedy - Głos Ameryki zamilkł. Po długim strojeniu złapaliśmy BBC, skąd dowiedzieliśmy się, że po raz drugi w historii Waszyngton został zaatakowany bezpośrednio przez siły wroga. Tym razem jednak Doiły Madison nie biegała po Białym Domu i nie próbowała ukryć najcenniejszych obrazów i dokumentów przed nadciągającymi Anglikami. Otepiali przyjęliśmy do wiadomości, że J.F.K., Jackie, Caroline, John junior, Bobby Kennedy, Kongres, Pentagon, Smithsonian Institute, Iglica Washington Monument, pomniki Jeffersona i Lincolna stopiły się w żarze eksplozji gorącej jak wnętrze słońca i że kiedy my siedzimy na odległej amerykańskiej placówce, w kraju umierają miliony naszych rodaków.

Otepiali. Tacy właśnie byliśmy - pijani, zmęczeni i otepiali. Nie poruszyła nas już wieść o ataku na Nowy Jork, o raketach, które o włos chybiły Manhattanu i dziesiątkach tysięcy ludzi, którzy zginęli, próbując opuścić tę wyspę. Ale dopiero

zniszczenie innej wyspy sprawiło, że w pełni dotarła do nas potworność wojny: angielski spiker, podając listę unicestwionych miast radzieckich i amerykańskich, mimochodem dodał, że radzieckie głowice trafiły w bazy wojskowe na Key West - cała wysepka została wypalona aż do macierzystej skały. Pochłonął ją ocean.

Kyle Secord zerwał się z krzesła - był nieogolony, rozczochrany i tylko trochę wstawiony.

- Mamusiu! - zawył. - Murleen! Moje dziewczynki!

Kilku naszych ruszyło w jego stronę, ale odwrócił się do nich z obłędem w oczach.

- Nie zbliżajcie się do mnie! - warknął. - Wszyscy cofnąć się! Wszyscy! - Trzymanym w trzęsącej się ręce przydziałowym koltem kaliber czterdzieści pięć wodził niepewnie dookoła. - Nie zbliżać się!

Zachowując dystans, półkolem posuwaliśmy się za nim, gdy wypadł ze świetlicy na ulicę. Biegł środkiem jezdni, uskakując przed skuterami, rowerami i taksówkami; cały czas darł się wniebogłosy i wymachiwał pistoletem. Szliśmy za nim; oczywiście przede wszystkim chcieliśmy mu pomóc, ale czuliśmy też ogromną ulgę, że wreszcie robimy coś konkretnego - cokolwiek by to było. Nagle Kyle zatrzymał się na środku drogi. Był boso; chwiał się na nogach, krzycząc i wymiotując jednocześnie.

- Mamo! Och, mamusiu - zaskowytał. - Murleen, kochanie... Nie żyją... -Daj spokój, Kyle- odezwał się jeden z jego kumpli, Pope, podchodząc o krok. - Oddaj spluwę. Opuść sobie.

Kyle stał na skrzyżowaniu, wokół którego zebrał się już tłum Wietnamczyków ciekawych, co też ten wariat wyprawia. Kierowcy zaczęli trąbić. Kyle zatoczył się i krzyknął:

- Opuścić sobie? Mam sobie opuścić? Jezu, Pope, masz absolutną rację! Po czym włożył do ust lufę czterdziestkapiątki i odstrzelił sobie czubek głowy.

Po jakimś czasie ciało Kyle'a zostało wreszcie zabrane ze skrzyżowania. Nie mogłem znieść myśli o powrocie do świetlicy. Nagle poczułem się śmiertelnie zmęczony i ogarnęła mnie fala mdłości. Jak każdy Amerykanin w Sajgonie znalazłem sobie telefon i próbowałem zamówić rozmowę międzykontynentalną, ale wszystkie centrale były beznadziejnie zapchane. Staralem sienie myśleć o Sarah. Miałem nadzieję, modliłem się wręcz, żeby okazało się, że znalazła miejsce w schronie albo w czasie nalotu na Omaha nie było jej w mieście. Moi rodzice mieszkali w Newburyport

- kawał drogi od Bostonu, nawet gdyby

Boston został trafiony; martwiłem się raczej tym, że blisko mają do stoczni w Portsmouth i bazy lotniczej Pease na wybrzeżu New Hampshire. Liczyłem na to, że starczy im oleju w głowach, żeby albo siedzieć w piwnicy, albo wskoczyć do wozu i popędzić na zachód, na wieś. Nie miałem szans się do nich dodzwonić, wróciłem więc do koszar, gdzie - ubrany i pijany - zwałem się na łóżko.

Tej nocy dręczyły mnie koszmary. Wciąż nie potrafię wymazać ich z pamięci.

Jakoś tak we czwartek nad ranem obudziło mnie walenie do drzwi. Zerwałem się z łóżka, zatoczyłem, przetarłem oczy i chwiejąc się na nogach, otworzyłem drzwi. Za progiem stał jeden z naszych - Al Richter, chłopak z Idaho.

- Zbieraj się - rzucił krótko. - Wyjeżdżamy.

- Jak to: wyjeżdżamy?

- Nie słyszałeś? -O czym?

- O wojnie. Skończyła się. Pierwszym samolotem wracamy do domu. Ubranie się przyszło mi z niejakim trudem, ale w końcu udało mi się zejść do świetlicy. Siedzący w niej ludzie wyglądali tak, jakby w ogóle nie odchodzili od radia. Powietrze zrobiło się aż gęste od woni potu i strachu, z głośnika zaś dobiegał głos, który wtedy usłyszałem po raz pierwszy: przemawiał generał lotnictwa Ramsey Curtis, p.o. szefa połączonych sztabów. Brzmiał pewnie i spokojnie niczym zatroskany lekarz, który informuje pacjenta o śmiertelnej chorobie, ale zarazem zapewnia, że robi, co w jego mocy, żeby go ocalić. Mówił konkretnie, prostym, zrozumiałym językiem. Wojna kubańska, najkrótsza i najkrwawsza w historii Stanów Zjednoczonych, dobiegła końca. Ocalałych z inwazji żołnierzy wycofano z Kuby. Stany zwróciły się do ONZ z propozycją wspólnego organizowania pomocy humanitarnej dla kubańskiej ludności cywilnej. Curtis osiągnął porozumienie z marszałkiem Siergiejem Ławenkowem z dowództwa wojsk raketowych, który był najwyższym rangą przedstawicielem władzy - cywilnej i wojskowej - w powojennym Związku Radzieckim.

- Z ciężkim sercem przychodzi mi poinformować rodaków, że prezydent Kennedy, jego rodzina, a także wiceprezydent Johnson, wielu członków rządu i Kongresu zginęli podczas ataku na naszą stolicę - powiedział generał Curtis. - Do czasu rozstrzygnięcia kwestii obsadzenia fotela prezydenckiego i wyborów nowego prezydenta biorę na siebie - tymczasowo i awaryjnie - obowiązki szefa organizacji federalnych i dowódcy sił wojskowych.

Późniejsze poszukiwania najwyższego rangą urzędnika rządowego ciągnęły się

tygodniami, zanim stwierdzono, że jest nim sekretarz skarbu Dillon, który zresztą rychło został ponownie zaprzysiężony na swój urząd.

Nasz kraj poniósł ciężkie straty. Curtis wspomniał o Omaha, San Diego, Miami, Waszyngtonie, Nowym Jorku i kilku bazach wojskowych, które zostały zniszczone, a których nazw ze względów bezpieczeństwa nie wymienił. W całym kraju zalecono ludziom nasłuchiwanie lokalnych stacji radiowych, które miary na bieżąco informować o opadzie radioaktywnym w najbliższej okolicy. Liczba ofiar wśród ludności cywilnej była przerażająca i -choć generał unikał konkretów - z pewnością miała jeszcze wzrosnąć. Curtis napomknął tylko o zniszczeniach, jakich nasze rakiety dokonały w Związku Radzieckim - powiedział coś o „agresorze, który zapłacił najwyższą cenę za swą arogancję”. Ogłoszono stan wojenny i powołano do służby wszystkich rezerwistów i całą Straż Przybrzeżną. Pod koniec wystąpienia generał zapowiedział bieżącą aktualizację informacji o pracy służb humanitarnych oraz wydał jeszcze jedno niezwykle oświadczenie.

- Niniejszym rozkazuję wszystkim stacjonującym za granicą żołnierzom armii amerykańskiej, bez względu na to, gdzie się znajdują, jak najszybszy powrót do kraju w celu wspomoczenia wysiłków służb ratunkowych i humanitarnych - mówił z nutą niesmaku w głosie. - Podczas tej okropnej wojny, kiedy ujęliśmy w dłonie losy całego wolnego świata, szybko nauczyliśmy się, ku naszemu zaskoczeniu, że pozostawiono nas samych sobie. Żaden z naszych sprzymierzeńców nie przyszedł nam z pomocą, nie rozpoczął działań wojskowych. Żaden. Rodacy! Drogo zapłaciliśmy, naszym majątkiem i krwią, za ocalenie świata przed zbrodniczym narodem agresorów. Zapłaciliśmy tę cenę sami. Czas wrócić do domu i go odbudować.

Zerknąłem na Ala Richtera, który siedział obok z cygarem w ustach. Zauważył moje spojrzenie i rzekł:

- NATO się rozsypało, kiedy Rosjanie zrzucili bomby na naszych żołnierzach na Kubie. Trudno kogoś za to winić; czy angielski premier chciałby ujrzeć zbombardowany Londyn tylko dlatego, że jakiś zapyziały hodowca trzciny cukrowej wszczął rozróbę?

- Właściwie czemu nie? - dobiegł nas głos z drugiej strony pokoju. -Kennedy i jego chłopcy poszli na całość.

Generał Curtis skończył i z radia popłynęły dalsze wiadomości, tym razem skierowane do słuchaczy w kraju: gdzie szukać schronienia; które rejony w Kalifornii, Nebrasce, Iowa, Alabamie, Georgii, New Jersey, Connecticut, Nowym Jorku i na

Florydzie są najbardziej narażone na opad radioaktywny; jak przerobić piwnicę na schron. Wyszedłem ze świetlicy i wróciłem do siebie. Palcując się, nie posiadałem się ze zdumienia, że tak mało rzeczy mam ze sobą: trochę ubrań, jakieś zdjęcia, kilka książek i osobistych drobiazgów. To wszystko. Niewiele jak na taki szmat czasu za granicą. Wieczorem zabrał nas autobus i przez ruchliwe o tej porze ulice utworował sobie drogę na lotnisko, gdzie niewiele ponad tydzień wcześniej stałem w prażącym niemiłosiernie słońcu, odprowadzając zwłoki trzech żołnierzy wysyłane do spokojnego jeszcze kraju.

Zebrali nas w hangarze, przy którym co chwila lądowały helikoptery zwożące doradców z rozsianych po dżungli obozów szkoleniowych ARVN. W szmerze rozmów słyszało się głównie plotki: o inwazji Chin na Indie, o zrównanych z ziemią ambasadach amerykańskich, o aresztowaniu amerykańskich turystów w Europie. Staralem się ich nie słuchać; prawdziwe nowiny były wystarczająco przygnębiające. Część Wietnamczyków, korzystając z zamieszania, zaczęła rozkradać magazyny; żandarmeria dała sobie spokój z zachowywaniem pozorów, że panuje nad sytuacją - tak jak my, ci goście też przede wszystkim chcieli wrócić do domu. Czekanie na samolot się przeciągało. Poszedłem napić się wody, gdy ktoś pociągnął mnie za rękaw. Odwróciłem się. Przede mną stał Nguyen Van Minh. Miał zaczerwienione, zażławione oczy, ale mundur czysty i idealnie zaprasowany.

- Chciałem się z panem pożegnać, sierżancie Landry - powiedział, podając mi rękę. - Jest pan dobrym człowiekiem i dobrym nauczycielem.

Podziękowałem mu i powiedziałem, iż cieszę się, że zajął na lotnisko.

- Mój honor tego wymagał. - Popatrzył po kłębiących się w hangarze ludziach, obrzucił spojrzeniem porzucone skrzynie z zaopatrzeniem i sprzętem, przeklinających żołnierzy, głośniki, przez które bez przerwy coś ogłaszano. - Bardzo mi przykro z powodu strat, jakie ponieśliście. Wasz kraj jest nam bardzo przyjazny. Mam szczerą nadzieję, że jeszcze do nas wrócicie.

Może byłem zmęczony albo zirytowany, ale nie podzielałem jego zapatrywań. Odparłem, że raczej w to wątpię, gdyż w kraju czeka nas dość pracy.

- W domu. - Pokiwał głową. W oczach wciąż miał łzy. - Naturalnie. Kiedy widzę, jak wyjeżdżacie, zaczynam się bać o mój dom. Nie wiem, co się stanie z naszym rządem i z Wietkongiem. Nie wiem, co robi Pomoc, i tego też się boję.

Zabrakło mi słów, on zaś stanął na baczność i zasalutował.

- Życzę powodzenia, sierżancie. I proszę o nas nie zapominać, cokolwiek by

się działo.

Ja również zasalutowałem, na co Nguyen odwrócił się i odszedł, szybko ginąc mi w tłumie. Nie wiem, co się z nim później stało. Mniej więcej miesiąc po naszej ewakuacji sajgoński rząd upadł i wojska Wietnamu Północnego najechały Południe. Po roku Ho Szi Min stanął na czele nowego rządu już zjednoczonego Wietnamu. Podejrzewam, że nadal nazywa się socjalistą czy komunistą, ale do Indochin wrócili teraz Japończycy i Francuzi, inwestując w tamtejsze rynki. Mam nadzieję, że Nguyen Van Minh ma się dobrze.

Od jego odejścia upłynęło już kilka godzin, gdy wreszcie nadeszła moja kolej. Przeszedłem przez płytę lotniska z torbą na ramieniu - więcej bagażu i tak nie pozwolono by mi zabrać. Niektórzy skarżyli się i przeklinali to zarządzenie, ale ładownie samolotów zapełniono zapasami żywności i medykamentów. Z boku pasów startowych porzucono całe sterty walizek i pakunków, w których radośnie buszowała wietnamska dzieciarnia. Miałem szczęście, bo przydzielono mnie na pokład wynajętego przez wojsko pasażerskiego boeinga 707; wiem, że niektórzy z moich kolegów wracali przez ocean nieogrzewanymi wojskowymi transportowcami na rozkładanych, płóciennych siedzeniach.

Ostatni raz spojrzałem wtedy na Sajgon. Robiło się ciemno i wszędzie włączały się światła; upał, smog i wilgoć wciskały się wszystkimi porami skóry do wnętrza organizmu. Mało brakowało, a wchodząc na pokład samolotu, wybuchnąłbym śmiechem: modlitwy moich rodziców zostały wysłuchane. Zawsze chcieli, żebym cały i zdrowy wyjechał z Wietnamu, i ich marzenie właśnie się spełniało. Wątpię jednak, by zdawali sobie sprawę, jak wysoką cenę przyjdzie nam wszystkim za to zapłacić.

Lot był długi i nudny. Stewardesy robiły, co mogły, żeby umilić nam ten czas, ale widać było, że z najwyższym wysiłkiem powstrzymują łzy. Niektórzy próbowali się od nich dowiedzieć, co słychać w kraju, ale wszystkie przyleciały z Hawajów i nie wiedziały za wiele. Nie starczyło też czasu, by zadbać o należyte zaopatrzenie pokładowej kuchni, tak że w ciągu trwającego szesnaście godzin przelotu nad Pacyfikiem mieliśmy tylko wodę do picia i jeden posiłek, złożony z jabłka i kanapki z masłem orzechowym. Ludzie znów trochę ponarzekali; założę się, że trzymaliby buzie na kłódkę, gdyby wiedzieli, że przez najbliższe kilka miesięcy nic równie dobrego nie zjedzą.

Na Hawajach mieliśmy międzylądowanie, żeby uzupełnić zapas paliwa. Nie pozwolono nam nawet wysiąść z samolotu - tylko tankowanie i w drogę. Na zmianę

próbowaliśmy się rozruszać, spacerując w przejściu między fotelami i wyglądając przez małe okienka.

- Patrzcie, jaki tu ruch - zauważył ktoś i musieliśmy przyznać mu rację: wojskowe transportowce wszelkich typów lądowały, kołowały, tankowały i odlatywały na wschód, na kontynent.

- Przyjrzyjcie się dobrze, chłopcy - rzekł jakiś kapitan. Miał zmęczone oczy i jednodniowy zarost na twarzy. - Te samoloty wiozą żołnierzy i zaopatrzenie z Japonii, Filipin, Tajlandii, Korei Południowej, Australii... Zostawiamy Pacyfik Bóg wie komu. Będziecie mogli opowiadać wnukom, że byliście świadkami upadku amerykańskiego imperium.

Wystartowaliśmy i skierowaliśmy się znów na wschód. Próbowaliśmy się choć trochę zdrzemnąć, ale im bardziej zbliżaliśmy się do Zachodniego Wybrzeża, tym więcej dało się słyszeć rozmów. Nie wiedzieliśmy, co zastaniemy na miejscu, co się będzie działo, jaka rola nam przypadnie w udziale. Młodszy byli bardziej zadziorni.

- No cóż, dostało nam się, ale żyjemy - mówili. - Przynajmniej zbombardowaliśmy czerwonych i na zawsze mamy z nimi spokój. Zobaczycie: za rok, dwa Stany się odrodzą, silniejsze i lepsze niż przedtem. Jesteśmy mocnym krajem i nie wystarczy kilka ruskich rakiet, żeby to zmienić. Sami się przekonacie.

Kiedy znaleźliśmy się nad Kalifornią i samolot rozpoczął podejście do lądowania w Riverside, zaparło nam dech w piersiach. Na południu widniała żółta czerwona łuna - to płonęło San Diego z przedmieściami. W samolocie nagle zrobiło się zupełnie cicho; dopóki nie usiedliśmy na pasie, nikt się nie odezwał.

Przez następne kilka godzin panował jeszcze większy chaos niż dotąd. Poprzestańmy na tym, że przespaliśmy się na podłodze terminalu, a rankiem, po śniadaniu złożonym z zimnej owsianki i rozwodzonego soku pomarańczowego, zostaliśmy przydzieleni do kompanii A 4. Batalionu 45. Brygady Piechoty i wysłani na południe. Mieliśmy kontrolować zachowanie tłumu, pomagając organizować ruch tysięcy uciekinierów z rejonu San Diego na północ. W pobliskich miastach powstawały klecone naprędce obozy dla uchodźców.

Pierwszego dnia stałem na pasie zieleni rozdzielającym jezdnię drogi międzystanowej numer piętnaście nieopodal Temeculi. W rękach trzymałem naładowany M-14. Obok miałem oficera radiacyjnego z terkocącym miarowo licznikiem Geigera. Patrzyłem, jak obiema jezdniami ciągną na północ poparzeni, wystraszeni i poranieni ludzie. Ci, którzy mieli szczęście, siedzieli w pełzających wolno szkolnych

autobusach, ciężarówkach i samochodach; inni musieli iść pieszo. Niektórzy z pieszych mieli kule, wielu - obandażowane ręce i głowy. Widziałem ojca, który w czerwonym wózku ciągnął syna z głową całą w bandażach. Jechały zaprzężone w konie wozy z piętzącymi się na nich stertach materaców i mebli. Mała dziewczynka trzymająca matkę za rękę wpatrywała się w nas rozszerzonymi oczyma; miała kompletnie spalone włosy i poparzoną skórę na głowie. Nigdy nie zapomnę tej mieszaniny dźwięków: niski pomruk silników, szmer stóp na asfalcie, kaszel, westchnienia, szloch... Mieszkańcy San Diego i okolic starali się za wszelką cenę uniknąć przed nadciągającą z południa radioaktywną chmurą. Przypomniały mi się stare kroniki filmowe: uchodźcy z wojny koreańskiej, ofiary walk w Kongo i innych odległych krajach. Nigdy nie przypuszczałem, że i mój naród doświadczy losu uchodźców.

Milczałem, tak jak milczeli inni żołnierze, i czułem, jak coś ściska mnie w gardle, jak na widok bezradnych tłumów narasta we mnie poczucie winy. Przysięgaliśmy bronić naszych braci, sióstr, matek i ojców, ale zawiedliśmy ich, zawiedliśmy ich wszystkich. Jeszcze kilka dni wcześniej byłem pewnym siebie żołnierzem gotowym zapłacić każdą cenę i udźwignąć każde brzemię dla mojego kraju i prezydenta.

A teraz i kraj, i prezydent nie żyli.

Mijała nas właśnie kobieta z wysiłkiem pchająca wózek sklepowy załadowany nędznym dobytkiem. Z poranionych nóg płynęła jej krew; na jedną stopę założyła elegancki pantofel, na drugą - zwykły tramppek.

- Dranie! - krzyknęła. - To wszystko przez was! Dlaczegoście do tego dopuścili? Dlaczego? Co robiliście w tym czasie?

Odwrociłem się, nie chcąc patrzeć jej w oczy. Z boku drogi, przy szkolnym boisku futbolowym, buldożery kopały masowy grób - ta scena nie dawała mi spokoju przez długie miesiące służby w Kalifornii. Kiedy krzycząca kobieta minęła nas, odwróciłem się ponownie i mój wzrok przykuła czarna chmura znacząca martwe miasto. Wtedy zrozumiałem, że powrót do normalności zajmie nam więcej niż „rok, dwa”.

O ile w ogóle jest możliwy.

Siedzieli w ciasnej kabinie wojskowego samolotu cysterny KC-135, stłoczeni z grupą innych dziennikarzy. Sandy złapała Carla za rękę, gdy rankiem startowali z Logan Airport, i wciąż go tak trzymała - uznał, że po części z uczucia, a po części z nerwów. Zresztą chyba wcale nie chciał, żeby go puściła. Przysunęła się bliżej, żeby przekrzyczeć ryk silników.

- Nie cierpię latać samolotem, Carl - przyznała się. - Ciesz się, że nie było cię na pokładzie, jak leciałam z Londynu; zanim dolecielibyśmy do Bostonu, zmiażdżyłabym ci dłoń.

Odpowiedział jej uściskiem i zagłębił na chwilę twarz w jej włosach, ale myślami błądził gdzie indziej. Nie wierzył już w zbiegi okoliczności. Nie mógł: zamordowany asystent prezydenta i angielski generał, zamieszany w sprawę rezydent brytyjskiego wywiadu, lista nazwisk urzędników Kennedy'ego, którzy zginęli w więzieniu albo w podobnych okolicznościach, w każdym razie „pod opieką” policji lub żandarmerii. A co z ostrzeżeniem, którego udzielił mu Merl? Carl z wysiłkiem obudził w sobie wspomnienie tamtej chwili:

- Bo widzi pan, minęło dziesięć lat, a niektórzy tak zasmakowali w zabijaniu, że wciąż to robią.

Proponował straszną historię, o jakiej nie pisały gazety.

Co w takim razie robił on, Carl, na pokładzie tej maszyny, lecącej na południe od Bostonu i oddalającej go od źródła całej sprawy? Zakrawało to na kiepski żart, ale dla niego Manhattan mógł okazać się jedynym bezpiecznym schronieniem. Tam przynajmniej nie grozi mu aresztowanie w środku nocy ani „wypadek” taki jak ten, w którym zginął właściciel mieszkania Merla.

Sandy spojrzała na niego badawczo, więc odpowiedział jej jeszcze jednym uspokajającym uściskiem dłoni. Dobrze pamiętał spędzoną z nią noc i niezwykłą energię, która go po niej przepelniła: zrozumiał, że w życiu chodzi o coś więcej niż o dobre wykonywanie obowiązków i unikanie kłopotów.

Sandy. To ona zmusiła go znów do myślenia. To ona sprawiła, że znów zaczęło mu na czymś zależeć.

Wiesz co, Merl? - pomyślał. Jeśli uda mi się dowiedzieć, co naprawdę ci się przydarzyło, powinieneś być wdzięczny nie tylko mnie, ale i tej kobiecie, która siedzi

obok.

Rozejrzał się po wnętrzu kabiny wyposażonym czysto użytkowo, bez zbędnych luksusów. Wraz z kilkunastoma innymi dziennikarzami siedzieli na składanych, wyplatanych z czerwonych linek krzeselkach mocowanych do ściany kokpitu. Z przodu znajdowało się sześć prawdziwych foteli lotniczych przeznaczonych dla starszych reporterów. Podłoga była z gołego metalu z mnóstwem umocowanych w najdziwniejszych miejscach pierścieni haków. We wnętrzu maszyny panował okropny hałas. Przerobiona z pasażerskiego boeinga 707 cysterna służyła obecnie wyłącznie do tankowania innych samolotów w powietrzu. Kobieta pełniąca funkcję rzecznika prasowego na lotnisku uśmiechała się ciut zbyt promiennie jak na tak wczesną porę, ale uprzedziła ich ucziwie:

- Proszę państwa, to wszystko, co możemy wam zaproponować. Nasz KC-135 wraca właśnie do bazy Tylera w Yonkers. Nie jest może zbyt wygodny, ale zawiezie was na miejsce.

Dziennikarze i fotoreporterzy coś pomruczeli z niezadowoleniem, ale niezbyt głośno; Carl był przekonany, że każdy udałby się do Nowego Jorku choćby i wozem zaprzężonym w woły, gdyby tylko mógł przy okazji zajrzeć na Manhattan. Jednym z nich był Jeremiah King z „Globe”, który na widok Carla uśmiechnął się złośliwie.

- Czy w tej torbie masz aparaty fotograficzne, Carl? - spytał z udawanym zdziwieniem. - No, no... Nie wiedziałem, że jesteś tak wszechstronnie utalentowany. Dla kogo robisz zdjęcia? Dla jakiejś gazetki z ogłoszeniami?

- Nie - odparł Carl. Obok Kinga stał Mark Beasley Zwierzak, który wyglądał tak, jakby zaraz miał zasiąść w fotelu dentystycznym. - Dla londyńskiego „Timesa”. Pewnie o nim słyszałeś?

Jeremiah przestał się uśmiechać.

- Masz fart, że możesz sobie pozwolić na tę przejażdżkę. -Ano mam fart.

Kiedy Carl odchodził od biurka, przy którym potwierdzano akredytacje, Zwierzak ruszył za nim.

- Słuchaj, Carl - powiedział. - Gdyby zabrakło ci filmów, daj znać. Carl poklepał go tylko po ramieniu.

Samolot przechylił się na skrzydło; najprawdopodobniej podchodził już do lądowania. Zwisająca pod oknem pozołkła płachta przypięta do ściany była z jednej strony wypalona, jakby poddano ją działaniu bardzo silnego światła. Czarnymi literami wypisano na niej słowa OSŁONA PRZECIW-BŁYSKOWA. W uchu Carla

znów zabrzmiał głos Sandy:

- Co to jest?

- Zasłona na okno - odparł, czując, jak robi mu się zimno w ręce. - Osłania wnętrze samolotu przed silnym światłem.

Sandy pokiwała ponuro głową.

- Na przykład przy wybuchu bomby atomowej.

- Na przykład. Sądząc z tych osmalonych śladów, podejrzewam, że nasz KC-135 jest na służbie już od dobrych dziesięciu lat. I że bywał w różnych niemiłych okolicach.

Maszyna znów wyraźnie skręciła. Do dziennikarzy wyszedł sierżant w zielonym skafandrze lotniczym.

- Podchodzimy do lądowania - oznajmił. - Zapnijcie pasy. Za pięć minut siadamy.

Rozległ się szczepek klap i zgrzyt wysuwanego podwozia. Carlowi mignęły za oknem pola, drogi i domki w Yonkers, miejscinie leżącej jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na pomoc od Manhattanu. Samo lądowanie przebiegło gładko, tylko w jednym momencie samolot lekko podskoczył- co i tak wystarczyło, żeby Sandy zaparło dech w piersi. Teraz za oknem przesuwały się wolno wojskowe samoloty wszelkich typów i rozmiarów; najwięcej było czterosilnikowych transportowców. Niektóre z nich nosiły okrągłe emblematy RAF, brytyjskich sił powietrznych. Ciekawe, pomyślał Carl. Co Anglicy tu robią? Dalej wożą koce i zaopatrzenie? A co porabiają ich koledzy w Kanadzie? Przypomniał sobie podsłuchany fragment rozmowy w konsulacie:

- ...jak już załatwi się sprawę Jankesów...

Na końcu pasa startowego uniosły się w powietrze dwa zielone śmigłowce niczym mechaniczne ważki. Dziennikarze wyszli gęsiego z samolotu i przeszedłszy przez pas, weszli do terminalu. Z sufitu zwieszała się ogromna tablica z białym napisem na niebieskim tle:

WITAMY W BAZIE LOTNICZEJ IM. TYLERA
PUNKT PRZESIADKOWY DLA STANU NOWY JORK
OPERACJE HUMANITARNE

Niewielu cywilów kręciło się w pobliżu; większość personelu stanowili

żołnierze w mundurach i roboczych skafandrach, obserwujący przybyszów przyjaźnie, lecz z rezerwą. Na dole, przy transporterze bagażu, ustawiono w równym rzędku cały bagaż reporterów. Któryś z fotoreporterów z New Hampshire narzekał głośno, wygrzebując swoją torbę ze sprzętem:

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy zabrać ich na pokład. - Wybrał pękata torbę wypchaną aparatami i filmem. - Przecież to delikatny sprzęt i lepiej byłoby go wieźć na kolanach.

Carl bez trudu znalazł swoją walizkę i wypożyczoną z „Timesa” torbę fotograficzną.

- Nie mogliśmy ich zabrać, bo chcieli być uprzejmi - odparł.

- Uprzejmi? - zdziwił się młody fotograf. - Jak to: uprzejmi?

Carl zarzucił sobie torbę na ramię, kiedy ujrzał stojącą na końcu kolejki Sandy.

- Woleli schować sprzęt do ładowni, niż zostawić go nam w rękach, a potem powiedzieć, że na podejściu do lądowania nie wolno fotografować krateru w Nowym Jorku. Mniej zachodu.

Podszedł do Sandy, która podała mu fotokopię jakiegoś dokumentu.

- Cholernie precyzyjny plan zajęć nam wymyślili - stwierdziła. - Konferencja prasowa, czas wolny, lunch, a po południu lecimy na Manhattan.

- Starają się jak mogą ułatwić życie nam, zapracowanym dziennikarzom.

Sandy powiedziała, co o tym sądzi, na co Carl zareagował z udawanym zdumieniem:

- Jakie to wulgarne! Gdyby to usłyszeli twoi przyjaciele z Fleet Street...

- Niech się pan o mnie nie martwi, panie Landry - przerwała mu Sandy. - Moi przyjaciele z Fleet Street są śmiertelnie znudzeni trwającą właśnie konferencją laburzystowską w Blackpool. A ja lecę oglądać Manhattan.

Przeszli do audytorium z miękkimi fotelami, które w razie potrzeby mogło służyć za kino. Na scenie znajdowała się amerykańska flaga, chorągiew wojsk lądowych i flaga stanu Nowy Jork oraz mównica przyozdobiona jakimś godłem - zapewne znakiem jednostki stacjonującej w bazie. Obok stały trzy stojaki z zasłoniętymi niebieskim papierem mapami.

Carl wygrzebał z torby nikona z wbudowaną lampą błyskową i zmiennoogniskowym obiektywem. Musiał przyznać, że ci cholerni Japończycy potrafią produkować lekki, dobry sprzęt; szczerze współczuł Francuzom, którzy próbowali z nimi rywalizować na ich terenie, w Azji Południowo-- Wschodniej. Musiał parokrotnie przeczytać podręcznik i poświęcić ładne kilka godzin na opanowanie

wszystkich funkcji aparatu, zanim poczuł się z nim jako tako pewnie. Na początku od czasu do czasu robił wprawdzie zdjęcia dla „Globe”, tak że co nieco się nauczył, ale nie miał dużej praktyki. Teraz zaś zabrał mnóstwo rolek filmu i zamierzał większość z nich rzetelnie wykorzystać; im więcej zdjęć pstryknie, tym większa szansa, że Sandy i „Times” znajdą wśród nich coś nadającego się do druku.

- Przepraszam - mruknął, widząc poruszenie na podwyższeniu. - Chyba czas, żebym zaczął na siebie zarabiać.

- Tylko spisz się dobrze - rzuciła z uśmiechem Sandy. - Bo inaczej pomyślę, że wynajęłam cię ze względu na czarujący uśmiech i uroczy tyłeczek.

- Mojego tyłka w to nie mieszaj - ostrzegł ją Carl, ale zrobiło mu się miło, gdy ruszył na przód sali. Aparat wciąż trochę dziwnie leżał mu w rękach, ale i tak z nikim by się nie zamienił na tę wycieczkę.

Przyłączył się do nielicznego grona fotografów w pierwszym rzędzie. Zwierzak skinął mu głową, przygotowując własny sprzęt. Szczupły Murzyn w lotniczym mundurze przeszedł przez scenę do mównicy w towarzystwie dwóch innych oficerów. Carl jednym rzutem oka ocenił ich insygnia i musiał przyznać, że zrobiły na nim wrażenie. Zapowiadała się naprawdę niezła wycieczka.

- Dzień dobry państwu - rzekł Murzyn. - Nazywam się pułkownik Brigham Jefferson i jestem dowódcą bazy sił powietrznych im. Tylera. Jestem również jednym z dwóch zastępców szefa Nowojorskiego Okręgu Wojskowego. Chciałbym powitać państwa na dwudniowej wycieczce, podczas której zobaczycie państwo Manhattan i inne okoliczne osiedla. Liczymy na pełną współpracę z państwa strony. Zanim ze szczegółami opiszę naszą misję, muszę rozpocząć od przedstawienia pewnych podstawowych zasad.

Dziennikarze jęknęli coś niechętnie, pułkownik zaś uśmiechnął się i podniósł w górę rękę.

- Proszę, zanim zaczniecie państwo protestować, posłuchajcie mnie; sami się przekonacie, że nasze wymagania nie są szczególnie trudne do spełnienia. Przede wszystkim wszędzie towarzyszyć państwu będzie wojskowy przewodnik i eskorta. Przewodnik ma odpowiadać na państwa pytania, prowadzić w miejsca, które państwa interesują, a także dbać o państwa bezpieczeństwo. Jeżeli jutro przewodnik stwierdzi, że spacer po Roosevelt Parkway byłby zbyt niebezpieczny, proszę go usłuchać. Zna teren i pilnuje nie tylko państwa, ale i własnej skóry.

Pułkownik nie korzystał z notatek, co zrobiło na Carlu spore wrażenie.

Większość wyższych stopniem wojskowych - o majorze Devanie nawet nie wspominając - nie trafiłaby bez mapy do wychodka. Zrobił kilka zdjęć i położył aparat na kolanach.

- Po drugie: znalazłszy się na Manhattanie, otrzymacie państwo dozymetry, czyli urządzenia do pomiaru ewentualnego napromieniowania. Proszę przestrzegać zaleceń oficerów radiacyjnych. Jeżeli ktoś z państwa zostanie gdzieś zauważony bez dozymetru, natychmiast odstawimy go z powrotem do bazy. Po trzeciej: będziemy wprawdzie odpowiadać na wszystkie państwa pytania najlepiej, jak potrafiemy, ale z pewnością znajdą się pewne kwestie, których nie wolno nam poruszać. Mogą się również zdarzyć sytuacje, w których nie wyrazimy zgody na robienie zdjęć. W obu wypadkach chodzi o kwestie bezpieczeństwa. - Szczery uśmiech Jeffersona gwarantowałby mu udaną karierę w polityce, gdyby zdecydował się nią zająć po odejściu ze służby. -Z góry przepraszam za ewentualne utrudnienia.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy.

- Doskonale - mówił dalej pułkownik. - To były warunki wstępne, jakich należy przestrzegać na tej wycieczce. Na zakończenie odprawy zostaniecie państwo poproszeni o złożenie podpisu potwierdzającego przyjęcie do wiadomości obowiązującego regulaminu. Jeżeli uznacie państwo, że nie chcecie lub nie możecie się zgodzić na nasze warunki, proszę o bezzwłoczne opuszczenie audytorium. Z tyłu jest wyjście. Bezzwłocznie zorganizujemy państwu transport powrotny do Bostonu.

Nikt się nie ruszył; bo i kto chciałby wyjść w takiej chwili? Zapowiadał się najciekawszy materiał prasowy roku, lepszy nawet niż zbliżające się wybory, w których Rockefeller miał konkurować z McGovernem.

- Znakomicie - rzekł pułkownik Jefferson. - Przejdźmy dalej. Poruczniku Sinclair, proszę odsłonić pierwszą mapę.

Był to narysowany w dużej skali plan Manhattanu, Long Island, obrzeży stanu Nowy Jork i wschodniej części New Jersey. U góry widniał podpis: 30 PAŹDZIERNIKA 1962, WTOREK. Na planie naniesiono szarym kolorem trzy okręgi opisane jako DET1, DET2 i DET3. Dwa z nich częściowo zachodziły na siebie na wschód od Manhattanu, trzeci znajdował się na zachód od Newark. Pułkownik wziął do ręki drewniany wskaźnik.

- Kilka lat zajęło nam ustalenie przebiegu wypadków z dnia 30 października 1962 roku w rejonie Nowego Jorku. Było to na kilka dni przed zakończeniem wojny kubańskiej. - Jefferson mówił dalej niskim grobowym głosem niczym prawnik

odczytujący testament dawno zmarłego krewnego. - Na podstawie raportów pilotów lotniczych i obserwacji naziemnych, a także relacji pracowników ONZ z misji humanitarnych w dawnym Związku Radzieckim udało nam się z dużą dokładnością odtworzyć przebieg tamtych wydarzeń. - Postukał wskaźnikiem w koło opisane „DET1”. - Mamy niemal stuprocentową pewność, że bomby atomowe zrzucone tego dnia na Nowy Jork zostały przewiezione na pokładzie radzieckich turboodrzutowych bombowców międzykontynentalnych Tu-95, znanych w NATO pod kryptonimem „niedźwiedź”. Prawie wszystkie „niedźwiedzie”, które wystartowały z baz w azjatyckiej części Związku Radzieckiego i ponad biegunem skierowały się nad Stany Zjednoczone, zostały wysledzone na radarach zainstalowanych w kanadyjskiej części Arktyki i zestrzelone wspólnym wysiłkiem naszych i kanadyjskich sił powietrznych. Jednakże... - Mimo upływu dziesięciu lat z głosu Jeffersona wciąż przebijał nabożny lęk. - Jednakże pięć Tu-95, lecąc ze wschodu na wyjątkowo niskim pułapie, uniknęło wykrycia i zaatakowało Nowy Jork. Z informacji naszego wywiadu wynikało niezbitcie, że „niedźwiedzie” nie mają ani dostatecznego zasięgu, ani manewrowości na dokonanie tak długiego lotu na małej wysokości, który pozwoliłby im wyminąć radary systemu wczesnego ostrzegania. Bardzo się myliliśmy.

Carl z uwagą i lękiem słuchał miarowego tonu pułkownika. Słyszał jakąś relację z ataku na Nowy Jork już wcześniej, ale nie z takimi szczegółami, nie tak bezwzględnie precyzyjną.

- Trzy myśliwce przechwytyjące F-102 Delta Dagger, wchodzące w skład 10. Szwadronu Myśliwców w Dover w stanie Delaware, znajdowały się na nowojorskim lotnisku Idlewild. Zostały tam wysłane, aby zapewnić ochroną cywilnemu portowi lotniczemu w związku z kryzysem kubańskim. Radary na Cape Cod i Long Island namierzyły pięć Tu-95, zaczęły je prowadzić, i F-102 natychmiast poderwano w powietrze. Po osiągnięciu granic Stanów Zjednoczonych bombowce się rozdzieliły, realizując własne zadania taktyczne. Zaalarmowano więc inne F-102, które miały zapewnić wsparcie trzem wysłanym z Idlewild, ale nie zdążyły na czas dotrzeć na miejsce. - Jefferson przytknął wskaźnik do mapy. - Dwa bombowce zestrzelono około godziny ósmej rano. Jeden z nich spadł do cieśniny Long Island, drugi zaś roztrzaskał się w tym miejscu, półtora kilometra na południe od Plainview. W 1964 roku specjalna ekipa dekontaminacyjna przeszukała miejsce jego upadku i odnalazła dwie megatonowe bomby atomowe, które nie wybuchły przy upadku. - Pułkownik odkasznął i mówił dalej: - Trzeci „niedźwiedź” z płonącymi silnikami zniżył lot nad

tą okolicą i o godzinie 8.10 zrzucił bombę. Spadła na Queens, pomiędzy Bayside Avenue i Czterdziestą Szóstą Aleją. Dwa ścigające go F-102 zostały zniszczone w tej eksplozji.

Pułkownik mówił z coraz większym wysiłkiem. Carl dobrze go rozumiał: służył w lotnictwie, którego głównym zadaniem była przecież ochrona przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych. Przed rakietami, które spadły na San Diego i Waszyngton, nie było jak się obronić, ale amerykańskie lotnictwo dzielnie stawiało czoło radzieckim bombowcom. Z wojny kubańskiej pochodziło wiele historii o bohaterskich zmaganiach ponad kanadyjską prerią, gdzie dziesiątki kierujących się na południe „niedźwiedzi” i „żubrów” zostały przechwycone i zestrzelone przez myśliwce. Wszystkie te zwycięstwa bladły jednak w obliczu jednej klęski: Nowy Jork. Skrót SAC - Dowództwo Strategiczne Wojsk Lotniczych - do dziś brzmiał jak zapowiedź najgorszego koszmaru dla tych, którzy przeżyli wojnę w Azji i Europie. Wysoko postawieni oficerowie lotnictwa po dziś dzień woleli nie podróżować za granicę, gdzie jako zbrodniarzom wojennym groziło im aresztowanie i sąd.

- Piętnaście minut później czwarty bombowiec zrzucił bombę na Idlewild; samo lotnisko zostało dokumentnie zniszczone, a wybuch dodatkowo podsycił pożary w Queens. Druga bomba trafiła tutaj, w Orange w stanie New Jersey. Przypuszczamy, że pierwotnym celem bombardowania było lotnisko w Newark; nie wiadomo jednak, dlaczego pilot chybił. Może samolot został uszkodzony, może załoga odniosła rany - nie mamy pewności. Kilka minut później maszyna rozbiła się na pomoc od Patterson. Kilku członków załogi katapultowało się na spadochronach, ale na ziemi zostali natychmiast zabici przez uzbrojonych cywilów i policję. - W tym momencie głos pułkownika zmienił się: zabrzmiała w nim... Duma? Tęsknota? Carl nie mógł się zdecydować.

- Piąty Tu-95 skierował się tutaj, na południe, w stronę New Rochelle. Jedyny ocalały myśliwiec, który wcześniej przyczynił się do zestrzelenia dwóch „niedźwiedzi”, przechwycił go tutaj, na północ od Bronksu. Niestety, uprzednio już zużył wszystkie sześć rakiet powietrze-powietrze klasy falcon. Widząc otwierające się luki bombowe Tu-95, pilot staranował bombowiec własną maszyną. „Niedźwiedź” rozbił się w tym miejscu, na Wards Island. W 1963 roku w miejscu katastrofy znaleziono pięciomegatonową bombę atomową. Ta właśnie bomba, proszę państwa, miała zostać zrzucona na Manhattan; jej eksplozja doprowadziłaby do kompletnego zniszczenia wyspy i kilku milionów jej mieszkańców. - Pułkownik Jefferson zawiesił

na chwilę głos, po czym kontynuował: - F-102 majora Tylera spadł do zatoki Flushing Bay. Jego ciała nie udało się odnaleźć. W 1963 roku pośmiertnie odznaczono go Medalem Honoru, a rok później tę bazę lotniczą nazwano jego imieniem.

W sali panowała cisza tak absolutna, że słyhać było oddechy pojedynczych ludzi. Pułkownik skinął krótko głową.

- Poruczniku Sinclair? Poproszę o następną mapę.

Młody porucznik lotnictwa ściągnął karton zasłaniający drugą mapę: obejmowała ona dokładnie ten sam obszar - Manhattan, Long Island, obrzeża Nowego Jorku i wschodni skrawek New Jersey - w tej samej skali, miała jednak inny podpis: NOWOJORSKI OKRĘG WOJSKOWY, PAŹDZIERNIK 1972. Bazę Tylera zaznaczono na niej stylizowanym rysunkiem samolotu. Niektóre fragmenty mapy - tym razem nieregularnych kształtów - były pokryte szarym kolorem; w miejscu szarych kręgów z poprzedniego rysunku widniały trzy czarne owale. Pułkownik przytknął wskaźnik do mapy i rzekł:

- Oto jak ten obszar wygląda obecnie, proszę państwa. Zacienione obszary to tak zwane SZ-y, strefy zakazane. W Nowojorskim Okręgu Wojskowym SZ obejmuje całą Long Island na zachód od linii Fort Salonga - Bay Shore. W jej obrębie znajdują się także dawne nowojorskie dzielnice Queens i Brooklyn. Tutaj, na obrzeżach stanu Nowy Jork, strefa zakazana rozciąga się ku południowi, od linii mniej więcej równoległej do granicy hrabstw Westchester i Bronx. Wyspy Manhattan, Wards Island, Welfare Island, Ellis Island, Governors Island oraz Staten Island znajdują się w jej obrębie. -Wskaźnik przesunął się na lewo. - W New Jersey SZ obejmuje obszar ograniczony Hudsonem oraz drogami międzystanowymi numer osiemdziesiąt i dwieście osiemdziesiąt. Z większych miast znajdują się w niej: Clifton, Passaic, Montclair, Hoboken i Orange.

Jefferson umilkł na chwilę.

- Strefy zakazane to obszary, które wciąż są narażone na opad radioaktywny, będący skutkiem eksplozji wspomnianych trzech ładunków jądrowych. W roku 1962 wszyscy cywile opuścili te okolice i od tej pory SZ-y znajdują się pod kontrolą wojska. Z przyjemnością muszę w tym miejscu nadmienić, że SZ-y w Nowojorskim Okręgu Wojskowym są o połowę mniejsze niż dziesięć lat temu. Co roku dzięki staraniom oddziałów uczestniczących w operacji humanitarnej udaje nam się odzyskać coraz większe obszary ziemi; z naszych prognoz wynika, że do roku 1982 SZ-y powinny zmniejszyć się dwukrotnie. Carl zwrócił uwagę, że pułkownik zaczął mówić

szybciej, jakby wstydził się własnych słów.

- Czarne obszary na mapie otaczają, jak państwo widzicie, miejsca wybuchu bomb. To tak zwane SNZ-y, strefy nie nadające się do zamieszkania. Wątpliwe, byśmy dożyli chwili, gdy możliwy stanie się powrót ludzi w te rejony.

Panująca w sali cisza zdumiała Carla - wyglądało na to, że dziennikarzom i fotoreporterom zwyczajnie odebrało mowę. Dziesięć lat... Minęło tyle czasu, ale patrząc na ich szeroko pootwierane usta i oczy, można by pomyśleć, że bomby spadły zaledwie przed tygodniem.

Wskaźnik przeskoczył na górę mapy.

- Baza wojsk lotniczych imienia Tylera, dawniej lotnisko cywilne, w listopadzie 1962 roku miała tylko tymczasowy pas startowy i służyła jako stacja paliwowa samolotom z pomocą humanitarną. Szybko jednak ją rozbudowano i nadano jej charakter bazy wojskowej. Obecnie pełni funkcję głównej stacji przeladunkowej i przesiadkowej dla wszystkich działań w strefach zakazanych. Nasza misja nie różni się zatem od zadań, jakie zlecono nam dziesięć lat temu: i wtedy, i teraz chodzi o ochronę własności prywatnej i instalacji przemysłowych w tym rejonie. Dodatkowo mamy szukać wszelkich cennych obiektów w SZ-ach, poddawać je dekontaminacji i wywozić w bezpieczne miejsca - mowa tu przede wszystkim o złocie ze skarbców bankowych i dziełach sztuki z dziesiątków muzeów w strefach zakazanych. Mamy zapobiegać szabrownictwu, a przy okazji oczyszczać okolice, gdyby w przyszłości ich dawni mieszkańcy chcieli wrócić do domów. A wiercie mi państwo, że mimo upływu dziesięciu lat chętnych do powrotu nie brakuje. Poruczniku, poproszę o trzecią mapę.

Tym razem plan przedstawiał sam Manhattan. Jefferson wskazał prostokątny obszar w samym środku wyspy.

- Oto państwa cel: stacja wojsk lotniczych na Manhattanie znajdująca się na południowym skraju Central Parku. Późnym popołudniem zostaniecie państwo przewiezieni śmigłowcami na Manhattan, gdzie odbędzie się krótka odprawa, a potem zwiedzanie wyspy. Doceniam państwa cierpliwość i przepraszam, że zająłem tyle czasu, ale chyba zdążę jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań. Kto pierwszy?

Carl odwrócił się i popatrzył po dziennikarzach. Ich twarze nie wyrażały niczego, niczym oblicza marmurowych posągów. Pytania; czy naprawdę nikt nie chciał niczego się dowiedzieć? Może cała ta diabelna sprawa była po prostu za wielka, żeby ogarnąć ją jakimś pytaniem? Przecież równie dobrze można by spędzić miesiąc sam na sam z pułkownikiem Jeffersonem i wypytywać go przez dwadzieścia cztery

godziny na dobę. Najczęściej padałoby pewnie sakramentalne, jak” i „dlaczego”: Jak do tego doszło? Czy naprawdę nie dało się uniknąć bombardowania? Dlaczego?

Ktoś podniósł rękę; Jefferson z ulgą udzielił dziennikarzowi głosu:

- Ten pan, bardzo proszę.

- Dziękuję. - Carl usłyszał męski głos, ale nie wstając z miejsca, nie mógł dostrzec twarzy pytającego. - Chodzi mi o ofiary wśród ludności cywilnej... Czy może na pan powiedzieć, ilu ludzi zginęło w rejonie Nowego Jorku?

Pułkownik skinął ostro głową.

- Obawiam się, że nie. To w dalszym ciągu informacja poufna. Nie wątpię jednak, iż rozumiecie państwo, jak wiele wycierpieliśmy tego jednego dnia. Następne pytanie, proszę.

Tym razem odezwała się kobieta z angielskim akcentem, ale nie Sandy:

- Czy to prawda, że w strefach zakazanych wciąż mieszkają ludzie?

- Niestety tak. Są to zarówno ludzie, którzy nie zgodzili się na wyjazd, jak i tacy, którzy prześliznęli się do miasta, wymijając nasze posterunki. Z przykrością muszę zauważyć, że w niektórych okolicach grasują zorganizowane bandy szabrowników, którzy z biur i domów kradną wszelkie wyposażenie. - Jefferson zniżył głos: - Nadal obowiązuje nas rozkaz strzelania bez ostrzeżenia. Spotkania z szabrownikami często tak właśnie się kończą.

Carl podniósł aparat do oczu, ale ręce mu się trzęsły. Przyszła mu na myśl Sarah, która być może walczy o życie w strefie zakazanej wokół Omaha: może jest ranna, może ma coś nie w porządku z głową, aż tu pewnego dnia spotyka wojskowy patrol, który podejrzewa ją o kradzież. Żołnierz podnosi karabin - kurczę, może nie jakiś tam żołnierz, tylko facet, którego Carl zna z Wietnamu czy Kalifornii - celuje do jego siostry, domniemanej szabrowniczki, i pociąga za spust...

- Następne pytanie? - rzekł pułkownik.

Carl zmusił się do głębokiego wdechu. Wracaj do rzeczywistości, synu, upomniał się w duchu, rozpoznając następny głos - Jeremia King:

- Pułkowniku, jest pan żołnierzem sił powietrznych. Czy pan i pańscy towarzysze... Proszę wybaczyć to pytanie, ale czy czujecie się winni za to, co SAC zrobiło w czasie wojny? Panie pułkowniku?

Porucznik Sinclair wyglądał tak, jakby tylko brak broni powstrzymał go od zastrzelenia Kinga. Jefferson ścisnął mocniej wskaźnik i zmrużył oczy.

- Ciekawe pytanie - przyznał. - Nie pierwszy raz przychodzi mi na nie

odpowiadać, toteż odpowiem na nie tak samo jak poprzednio. Dowództwo Strategiczne Wojsk Lotniczych, podobnie jak inne elementy struktury sił zbrojnych, znajduje się i zawsze się znajdowało pod cywilną jurysdykcją. Wykonujemy prawomocne rozkazy cywilnych przywódców kraju. Jesteśmy tu po to, by wykonywać swoje zadanie, a o tym, jakie jest to zadanie, decydują, cywilni urzędnicy - czy to prezydent Kennedy w 1962 roku, czy prezydent

Romney w 1972. Pytał pan, czy czuję się winny... Nie. Czy jest mi smutno na myśl o tym, co stało się z mieszkańcami byłego Związku Radzieckiego? Naturalnie. Znacznie bardziej jest mi jednak żal mieszkańców Nowego Jorku, New Jersey i innych miast i stanów amerykańskich. Słucham, pan w drugim rzędzie?

Znowu angielski akcent:

- Chciałbym, jeśli pan pozwoli, zadać nieco osobiste pytanie, niezwiązane bezpośrednio z naszym pobytem w bazie.

- Cóż za miła odmiana! - Jefferson uśmiechnął się szeroko. - Słucham, słucham; zobaczę, co da się zrobić.

Grzeczne śmiechy ze strony publiczności, a potem głos Anglika:

- Jest pan Murzynem, a zarazem pułkownikiem w armii amerykańskiej. Czy z pańskiego punktu widzenia można zmienić panujące w tym kraju stosunki rasowe?

Znów krótkie, zdecydowane skinienie głową.

- Dobrze, spróbuję odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim chciałbym zwrócić panu uwagę, iż słowo „Murzyn” stosuje się obecnie coraz rzadziej: jedni wolą określenie „czarny”, inni „Afro-Amerykanin”. Ja osobiście uważam się za lotnika, a więc niebieskiego. - Jeffersonowi odpowiedział kolejny ugrzeczniony chichot, ale pułkownik mówił dalej poważnie: - Coś panu jednak powiem. W 1962 roku byłem sierżantem w jednej z baz w Oregonie i wydaje mi się, że wyżej bym się wtedy po szczeblach hierarchii nie wspiał. Moi kuzyni działający na rzecz równouprawnienia byli regularnie pałowani i gazowani przez policję. Potem wybuchła wojna, a jeszcze później, w 1963 roku, uchwalono ustawę o bezpieczeństwie narodowym i prawach obywatelskich; generał Ramsey Curtis bardzo przyczynił się do jej powstania. Wiele można by opowiadać o nim samym, jego powojennych decyzjach i wpływie na nasze dzisiejsze życie, lecz tę dyskusję zostawiam innym.

Jefferson wsparł się oburącz na mównicy, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów.

- Ale jedno powiem państwu od razu- ciągnął. - Kiedy w 1963 roku generał

Curtis wystąpił na forum dziesiątkowanego Kongresu w Filadelfii i powiedział, że dla dobra kraju musimy działać wspólnie, że nie ma sensu izolować dziesięciu procent siły roboczej i potencjału umysłowego naszego kraju, to... Cóż, panie i panowie, tymi słowami tworzył historię. Jeszcze w tym samym tygodniu wojsko wkroczyło do Alabamy, Georgii, Missisipi i innych stanów, zmiotło Ku-Klux-Klan i położyło kres segregacji rasowej. Za taką historię jestem mu osobiście głęboko wdzięczny. Pytał pan o stosunki rasowe w naszym kraju, a ja odpowiem, że z pewnością mamy jeszcze wiele do zrobienia, ale jest człowiek, któremu możemy podziękować za zakończenie segregacji. Słucham, kto następny?

Padło jeszcze kilka pytań, w większości związanych z technicznymi aspektami wyjazdu na Manhattan i ograniczeniami obowiązującymi dziennikarzy w czasie pobytu. W którymś momencie pułkownik podniósł rękę i oznajmił:

- Jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

Carl zastrzygł uszami, słysząc znajomy głos:

- Sandy Price z „Timesa”, panie pułkowniku. Zauważyłam, że dwie godziny przed lunchem zaplanowano nam jako czas wolny. Chciałabym jednak o coś pana poprosić, a przemawiam, jak sądzę, w imieniu większości zgromadzonych tu kolegów dziennikarzy. Czy nie moglibyśmy polecieć na południe, żeby obejrzeć Płot? Tyle o nim słyszeliśmy, że chyba wszyscy chętnie zobaczyliby go na własne oczy.

Po sali rozszedł się pomruk; ktoś głośno przytaknął sugestii Sandy.

- Sądziliśmy, że po locie z Bostonu będziecie się chcieli państwo odświeżyć - zauważył pułkownik Jefferson.

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale nie czuję się zmęczona i byłabym bardzo zobowiązana, gdyby udało się zorganizować przelot w okolice Płotu. Jeśli to nie kłopot, naturalnie...

Pułkownik wziął na stronę porucznika Sinclaira, zamienili kilka słów i Jefferson wrócił na mównicę.

- Dobrze - powiedział. - Za pół godziny podstawimy samolot dla tych z państwa, którzy chcą zobaczyć Płot. Ci, którzy zostaną, za pół godziny będą mogli zapoznać się ze szczegółowym programem działania bazy Tylera.

W wojskowej ciężarówce panował przejmujący ziąb i ogłuszający hałas. Carl siedział na samym tyle skrzyni ładunkowej, obserwując skutą przymrozkami stan Nowy Jork. Sandy skuliła się obok niego. Telepali się wolno drogą szybkiego ruchu. Carl nachylił się do Sandy.

- Ładnie to wykombinowałaś - stwierdził.

- O co ci chodzi?

- O to, jak zagadałaś z pułkownikiem. Przed tobą nikt nie przedstawił się z imienia ani nie podał, jaką gazetę reprezentuje. Byłaś pierwsza. Czy celowo posłużyłaś się mającym swoją wagę tytułem „Timesa”, żeby dostać się pod Płot?

Sandy się uśmiechnęła; nos zmarszczył się jej przy tym uroczo.

- W każdym razie udało się, prawda?

Położył jej dłoń na kolanie i znów wyjrzał na dwór. Podłogę skrzyni ładunkowej zrobiono z desek, podobnie jak ławki, na których siedzieli pasażerowie.

Z trzech stron buda samochodu była obciągnięta płótnem, z tyłu zaś otwarta, tak że Carl swobodnie mógł oglądać okolicę. Zbliźali się stopniowo do Płotu oddzielającego okręg Westchester od południowych rejonów strefy zakazanej. Droga była nierówna, nawierzchnia spękana, w szczelinach gdzieniegdzie wyrosła już trawa. Liście na drzewach zaczynały żółknąć, ale na to akurat Carl zwracał mniejszą uwagę; bardziej przyciągały ją porzucone, zardzewiałe samochody sprzed dziesięciu lat, pościągane później na pobocze, albo kompletny brak ruchu na szybkiej, przelotowej drodze - minęli tylko kilka wojskowych ciężarówek i jeden autobus, często za to widziało się konne wozy, którym przydzielono cały lewy pas ruchu. Sandy pociągnęła go za rękaw.

- Ile tu koni... - powiedziała. - Nie widziałam ich tyłu w Bostonie.

- W miastach dystrybucja benzyny i innych towarów jest ułatwiona, ale im dalej odjeżdżasz na wieś, tym więcej wszystko kosztuje. Częściej też zdarzają się wyłączenia prądu. A utrzymanie konia kosztuje znacznie mniej niż konserwacja samochodu. Koń ma jeszcze jedną zaletę.

- To znaczy?

Carl się uśmiechnął.

- Na razie nikomu nie udało się zmusić pary samochodów do rozmnażania.

Konie są w tym lepsze.

- Rzeczywiście.

Zmienił się ton basowego dudnienia dieslowskiego silnika i ciężarówka ze zgrzytem hamulców zatrzymała się na olbrzymim parkingu. Dwóch żołnierzy otworzyło tylną klapę i pomogło pasażerom wygramolić się na zewnątrz. Carl przeciągnął się, chuchnął w skostniałe dłonie i zaczął się rozglądać dookoła.

Jakieś trzydzieści metrów na południe od granic parkingu biegł Płot z widoczną bramą i budką strażniczą. Po tej stronie ogrodzenia byli jeszcze w Yonkers, dalej natomiast rozciągał się Bronx, a dalej Manhattan. Parking był zatłoczony pojazdami wojskowymi wszelkiej maści: dookoła stały dżipy, duże i małe ciężarówki, a nawet kilka transporterów opancerzonych. Płot ciągnął się jak okiem sięgnąć na wschód i na zachód. W jego sąsiedztwie przycięto wszystkie drzewa i krzewy, ale z tej odległości wydawało się, że drobne gałązki i liście uwięzły w okach metalowej siatki.

- Pani i panowie, proszę o uwagę - odezwał się żołnierz w polowym mundurze. Miał czarne rękawiczki i zaczerwienioną twarz; wyglądał na zmarzniętego. W rękach trzymał notes. - Nazywam się porucznik Momeau. Oto obowiązujące państwa przepisy w skrócie. Po tej stronie Płotu macie państwo pełną swobodę ruchu. Proszę nie próbować przejść przez niego ani w inny sposób dostać się do strefy zakazanej; każdy, kogo przyłapiemy na takiej próbie, zostanie aresztowany. Ciężarówki odjeżdżają za piętnaście minut. Pięć minut przed odjazdem kierowca zatrąbi klaksonem, żeby państwu o tym przypomnieć.

- Co będzie, jeśli spóźnimy się na samochód? - spytał głos z tłumu z wyraźnym niemieckim akcentem.

- Czeka państwa męcząca droga powrotna. Piechotą do bazy Tylera idzie się stąd dość długo. - Któryś z dziennikarzy roześmiał się w odpowiedzi, ale twarz porucznika pozostała surowa.

- Proponuję się rozdzielić - mruknęła Sandy, zatrzymując się obok Carla. - Zobaczymy, co uda się nam w ten sposób wskórać.

Carl podniósł z ziemi torbę fotograficzną.

- W porządku - odparł.

Na początek zrobił kilka zdjęć strażnicy przy bramie. Na świeżo pobielonych masztach łopotały dwie flagi - Stanów Zjednoczonych i stanu Nowy Jork. Droga na południe prowadząca w głąb SZ wyglądała jeszcze gorzej niż ta, którą tu przyjechali: asfalt był mocno popękany, a ze szpar wyrastała trawa sięgająca do kolan.

Kilku żołnierzy przy bramie - funkcjonariuszy żandarmerii, sądząc po błyszczących hełmach i opaskach na rękawach - z uśmiechem kręciło głowami. Carl z własnego doświadczenia wiedział, co myślą: kontakty z prasą zawsze oznaczały konieczność odpowiadania na durne pytania, stratę czasu i ryzyko poważnego konfliktu z przełożonym. W związku z tym za wszelką cenę należało unikać bezpośrednich spotkań z dziennikarzami. Ledwie tłumek reporterów zbliżył się nieco, żołnierzy odwrócili się na pięcie i zniknęli we wnętrzu strażnicy.

Na budynku widniała duża tablica w kolorach białym, czerwonym i niebieskim, która informowała:

GRANICA OKRĘGU WESTCHESTER
WEJŚCIE DO STREFY ZAKAZANEJ MIASTA NOWY JORK
NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY
WEJŚCIE GROZI ŚMIERCIA

Poniżej mniejszymi literami dopisano: Kompania C, 2. Batalion, 1. Dywizja, CZERWONA JEDYNKA.

Carl kilka razy pstryknął tablicę informacyjną, po czym odłączył się od grupy skupionej wokół strażnicy. Zbliżywszy się do Płotu, ujrzał, że mylił się, sądząc, iż w ogrodzeniu ugrzęzły liście i gałązki drzew i krzewów. Na chwilę zaparło mu dech w piersi.

Jak okiem sięgnąć, wzdłuż Płotu znajdowały się talizmany i pamiątki pozostawione przez niezliczonych gości odwiedzających to miejsce. Różnokolorowe wstążki przewleczono przez drut, na ziemi zaś poustawiano - teraz wyblakłe - pocztówki z pozdrowieniami i życzeniami. Suszone, sztuczne i świeże kwiaty również powtykano w oka siatki wraz z odręcznie pisanymi karteczkami. Zrobił jeszcze kilka zdjęć i dał sobie spokój. Wszędzie leżały osobiste mniej lub bardziej drobiazgi: butelka szkockiej, karty do gry, zapalniczka marki Zippo... Wziął do ręki pocztówkę wetkniętą w Płot u j ego stóp: była to urodzinowa kartka z serii przedstawiającej bohaterów Fistaszków: widniał na niej Snoopy w ciemnych okularach, w środku zaś ktoś napisał: „Tommy, zawsze byłeś najlepszy. Kochamy cię i tęsknimy. Jack”.

Obok pocztówki leżał numer „Playbilla” sprzed dziesięciu lat, posklejany taśmą i wybielony przez słońce. Kiedy Carl wziął go do ręki, wydał mu się bardzo kruchy i delikatny, jakby pochodził z prastarego egipskiego grobowca. Z przodu miał

przyklejoną białą kartkę z ledwie już widocznym napisem: „Les, kiedy wrócimy na Broadway, zagramy raz dla ciebie. Twoje imię znów znajdzie się w blasku reflektorów. Bili i reszta ekipy”.

Carl słyszał za plecami rozmowy zbliżających się ludzi, ale nie zwracał na nich uwagi; wszystko, co chciał zobaczyć, znajdowało się tutaj, przed nim. Ostrożnie odłożył „Playbilla” na ziemię i mało nie podskoczył, słysząc tuż za sobą głos:

- Niesamowicie to wygląda, co?

Odwrócił się i ujrzał młodego żołnierza, który stał przed nim i rozcierał zmarznięte ręce. Miał pewnie osiemnaście, może dziewiętnaście lat, zimowy mundur i przerzucony przez ramię M-14. Na głowie nosił czarną furazerkę -hełm zdjął i zawiesił sobie u pasa obok manierki i małego chlebaka. Do lewej kieszeni na piersi miał przypięty kawałek plastiku - dozymetr, jak domyślał się Carl. Skórę miał jasną, nieopaloną i pokrytą piegami. Spojrzawszy ku bramie, Carl ujrzał, że inni żołnierze przechadzają się niespiesznie po parkingu.

- No - zgodził się z chłopakiem. - Niesamowicie.

- Przyjechałeś z nimi?

- Tak jakby. Robię zdjęcia dla gazety. Żołnierz się roześmiał.

- Bez jaj!

- Bez jaj, mówię serio.

- Do artykułu? O czym?

- No, na pewno o Płocie. Poza tym po południu lecimy na Manhattan.

- To ładny kawałek - stwierdził chłopak i znów parsknął śmiechem. -W życiu nie widziałem bardziej opustoszałego miejsca. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś tam jechał z własnej woli.

- Wracacie z patrolu? - Carl skinieniem głowy wskazał ogrodzenie. -Stamtąd? Żołnierz nie przestał się wprawdzie uśmiechać, ale spojrzał czujniej na Carla.

- Czy to wywiad? -Nie.

- A tak brzmi. Cały czas mnie wypytujesz i w ogóle...

- Po prostu jestem ciekawy, to wszystko. Kilka lat temu robiłem to samo co wy tutaj.

- Akurat! Służyłeś w woju?

- Właśnie.

- Kiedy cię powołali?

- Zgłosiłem się na ochotnika - odparł Carl z niewesołym uśmiechem. -W 1960

roku.

- W takim razie napatrzyłeś się na niezłe bagno.

- Ano napatrzyłem się.

- Gdzie stacjonowaliście?

- Głównie w Fort Ord w Kalifornii. Misja humanitarna. Młody żołnierz pokręcił z podziwem głową.

- Słyszałem, że po bombardowaniu Kalifornia zmieniła się nie do poznania. Czy to prawda, że tamtejszy dowódca zlikwidował gubernatora Browna, a potem wszystko zatuszowali? Sfingowali wypadek samochodowy?

- Nie wolno mi o tym mówić. Chociaż przyznam, że często słyszałem te plotki. Ale wiesz, jak jest: czasem lepiej nie wnikać w takie rzeczy.

- Jasna sprawa. - Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Teraz jest już raczej spokojnie, ale człowiek szybko się uczy nie zadawać pytań.

- No właśnie... - Carl machnął ręką w stronę Płotu. - Co robicie na takim patrolu?

- Zaglądamy tu i tam; idziemy wzdłuż Płotu, aż spotkamy patrol z posterunku nad rzeką, sprawdzamy, czy nie ma dziur w ogrodzeniu... Tak się rozglądamy.

- Dziś wszystko w porządku?

- W najlepszym. Płot jest cały i zdrowy.

- A tak to co, cały czas ktoś próbuje się przedostać? Żołnierz pokiwał głową.

- Bez przerwy. Facet, myślałbyś, że po dziesięciu latach dadzą sobie spokój, nie? Ale gdzie tam: oni tam mają domy, kapujesz? Tak że co kilka tygodni albo gdzieś jest dziura w siatce, albo łapiemy jakąś rodzinę, która właśnie wybiera się na południe. Smutne to. No i są jeszcze ci, którzy przychodzą i zostawiają różne rzeczy przy Płocie. Brrr... - dodał chłopak, udając, że przebiega go dreszcz. - W ten sposób człowiek ma wrażenie, że za Płotem jest największy cmentarz na świecie.

- Faktycznie, mnóstwo tu różnych drobiazgów.

- No. Starsi, tacy, którzy dłużej tu służą, opowiadali mi o gościu, który kierował tą placówką kilka lat temu. Upierdliwy gość: co tydzień kazał patrolom zbierać wszystko, co ludzie zostawili przy Płocie; chciał, żeby było tu czysto i porządkie, tak że co tydzień trzeba było coś z tymi śmieciami robić. Zajęli nim cały jeden magazyn, bo nikt nie mógł się zdobyć na to, żeby wszystko wyrzucić.

- Co było dalej?

- Kazał wszystko spalić, ale jak następnego dnia rano siedział w latrynie

oficerskiej, wyleciała w powietrze: połamało mu nogi, a od huku popękały mu bębenki. Swoją drogą to dziwne, że tak dupnęło: pewnie jakiś metan się zebrał czy coś...

- Czy coś... - zgodził się Carl.
- No i wtedy się skończyło sprzątanie Płotu.

Po oczach chłopaka Carl widział, jak bardzo jest zmęczony i zrezygnowany. Znał to spojrzenie, znał je z okresu swojej służby w Kalifornii. Dziesięć lat, pomyślał. Minęło dziesięć lat, a my dalej zamiast uczyć żołnierzy wojennego rzemiosła, robimy z nich policjantów w zielonych mundurach.

- Jak tam jest, w SZ-ecie? - spytał.
- Właściwie to nie wiem. Rzadko wysyłamy tam patrole, a jeśli już ktoś się zapuszcza głębiej, to tylko w ciągu dnia i na krótko. Większość czasu spędzamy przy Płocie.

- Myślałem, że SZ-y są regularnie patrolowane.
- No pewnie - przytaknął żołnierz z szyderczym uśmiechem. - A pobór do wojska to ucziwa szansa dla każdego, żeby mógł się przysłużyć naszemu cudnemu krajowi. Widzisz, w SZ-ecie poza promieniowaniem musisz jeszcze strzec się różnych rzeczy, które mogłyby ugryźć cię w dupę, zwłaszcza po nocy. Tak że dopóki nie musimy się tam kręcić, nie pchamy się za daleko.

- Serio? Co tam właściwie jest?
- Przykro mi, ale wolałbym mówić o Płocie. I tak nic innego tu nie robię, chociaż jestem już kilka tygodni. Nudne to, ale ponudzę się jeszcze tylko siedem miesięcy i dwanaście dni i spokój.

- Koniec służby?

Tym razem chłopak z zapalem pokiwał głową.

- Żebyś wiedział, bracie. Kończę za siedem miesięcy i dwanaście dni i... Coś ci powiem, ale gęba na kłódkę.

- Obiecuję.

Żołnierz uśmiechnął się i podszedł bliżej.

- Sporo się nauczyłem o różnych płotach i o tym, jak przez nie przechodzić. Zamierzam to wykorzystać. Jak tylko mnie wypuszczą, chrzanię rezerwę; wyjadę na pomoc, do Michigan albo do Montany, a stamtąd skok przez granicę - i jestem w Kanadzie. Pojadę sobie w Górki Skaliste, odpocznę i będę pił dużo piwa, żeby wypłukać z siebie wszystko, co tu załapałem. Niby z dozymetru wynika, że prawie nie

ma promieniowania, ale ponieważ to wojsko sprawdza dozymetry, wolę oczyścić organizm.

- Może ci się nie udać - zauważył Carl. Zdawał sobie sprawę, że powinien być przerażony tą zapowiedzią dezercji, ale stwierdził, że darzy młodego żołnierza sympatią.

Któryś z żołnierzy na parkingu krzyknął coś głośno i chłopak odpowiedział machnięciem ręki.

- Może i tak, ale będzie zabawnie. Muszę lecieć; sierżant już drze ryja.

- Dzięki za rozmowę i za wasz czas, żołnierzu. Chłopak machnął niezobowiązująco ręką.

- Miło się gada z kimś, kto był w armii. Staraj się nie złapać za dużo bzyków, jak już będziesz na Manhattanie.

Było w młodym chłopaku coś dziwnie znajomego, kiedy tak szedł na parking z karabinem na ramieniu i hełmem u pasa - Carl nie musiał się długo zastanawiać, żeby stwierdzić, co przykuło jego uwagę: miał wrażenie, jakby patrzył w lustro i widział siebie samego z okresu służby w Kalifornii. Przypomniał sobie też inne rzeczy - w tym slangowe określenie promieniowania.

Bzyki. Tam, za płotem, jest pewnie sporo bzyków.

Rozległ się dwukrotny ryk klaksonu, dając dziennikarzom sygnał do powrotu. Carl ruszył w stronę parkingu, gdy wśród czerwonych, żółtych i pomarańczowych liści coś białego rzuciło mu się w oczy: był to święty obrazek z wypisaną na odwrocie modlitwą. Podniósł go. Obrazek przedstawiał Maryję Dziewicę, po drugiej stronie zaś czyjaś dłoń nagryzmoła jakiś pacierz. Po hiszpańsku. Carl za słabo znał hiszpański, żeby coś zrozumieć, ale nie to było teraz najważniejsze. Tak jak i Płot nie miał znaczenia.

Odłożył obrazek na miejsce, opierając go o siatkę, i wrócił na parking.

Carl wdrapał się do ciemnozielonego wojskowego hueya i usiadł obok Sandy; cały śmigłowiec aż dygotał od ogłuszającego jazgotu silnika. Zaraz potem do środka wskoczył pilot, zajął miejsce w fotelu i maszyną zakołysało, gdy oderwała się od ziemi.

Nieduży bagaż pasażerów i cały sprzęt fotograficzny zebrano w kącie brudnej od smarów kabiny i przypinano pasami. Poza Carlem i Sandy na pokład hueya trafili dwa dziennikarze z Japonii, którzy powitali ich uśmiechami, oraz kamerzysta z telewizji ABC, który tylko mruknął coś pod nosem, skrzyżował ramiona na piersi i siadł z boku, z nosem przy szybie. Wyjrząwszy przez drugie okienko, Carl ujrzał cztery inne śmigłowce, jeden za drugim startujące z bazy Tylera. Było wczesne środowe popołudnie. Lecieli na Manhattan.

Powrót do helikoptera, z jego znanymi zapachami, dźwiękami i kołysaniem, gdy najpierw wzbił się w powietrze, a potem pochyliwszy dziób, ruszył naprzód, obudził taką falę wspomnień, że Carl na chwilę przymknął oczy. Przypomniał sobie szkolenie w Fort Bragg w Karolinie Północnej, gdzie latało się na wysokości czubków drzew ponad rozgrzanym sosnowym lasem; później Wietnam i loty do zagubionych w dżungli wiosek, nisko, nad parującymi poletkami ryżu - on i inni doradcy siedzieli stłoczeni w kabinie, podnieceni, zdenerwowani i roześmiani; i Kalifornia po powrocie - pościgi za bojownikami kryjącymi się wśród wysokich skalistych wzgórz, zrzuty żywności w odległych miejscach wciąż nie mogących otrząsnąć się z wojennego szoku, nielegalne nocne wypadki do Meksyku.

Jeden z lotów szczególnie utkwiał mu w pamięci. Nie zapowiadał się nadzwyczajnie - ot, jakimś trzem kongresmanom zachciało się oblecieć z bliska krater San Diego - gdy nagle z silnika dobiegł nienaturalnie wysoki pisk, coś strzeliło i zaczęły gwałtownie spadać. Carl zdziwił się niepomnie, że w takiej chwili zachowuje spokój - myślał tylko: „no cóż, widać tak kończy się moje życie”. Kongresmani z wytrzeszczonymi oczami czepiali się uchwytów na ścianach kabiny; jeden z nich zwymiotował i wskutek przeciążeń w wirującym śmigłowcu wymiociny obryzgały sufit. Carl zamknął oczy, czekając na zderzenie z ziemią, ale pilot w ostatniej chwili odzyskał panowanie nad maszyną i posadził ją prosto, choć z impetem - złamali jedną z płóz. Drugi kongresman zmoczył się w spodnie, ale trzeci - niejaki

Bush, Tekszańczyk - wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu i powiedział, że raz w życiu zdarzyła mu się już taka jazda - kiedy w czasie drugiej wojny światowej Japończycy zestrzelili jego samolot na Pacyfikiem.

Carl otworzył oczy i znów zerknął przez okno. Przelatywali właśnie nad rzeką Hudson, z prawej rozciągało się New Jersey, dalej zaś na południe rozciągała się szaro-czarna martwa strefa, miejsce wybuchu bomby DET2. Na szaroburzych wodach rzeki kołysało się kilka łódek, a na drodze przybrzeżnej po stronie New Jersey, tuż poza granicą strefy zakazanej, dostrzegł nieliczne ciężarówki i samochody osobowe. Zastanawiał się, jak można żyć i pracować, widząc wciąż ogromne wymarłe miasto.

Kiedy helikopter przechylił się na bok i zaczął zataczać łuk w lewo, w polu widzenia pasażerów znalazły się wreszcie niebosiężne wieżowce Manhattanu. Nieco dalej, słabiej widoczne w popołudniowej mgiełce, znajdowały się dwa dalsze ciemne owale - kratery w Queens i na zachodzie Long Island. Ich krawędzie nie były idealnie równe, gdyż wytyczały je sterty gruzu i innych śmieci; z oddali przypominały olbrzymie bieżnie, tory wyścigów konnych lub coś równie niewinnego, lecz Carl poczuł mdłości, gdy uświadomił sobie, co naprawdę ogląda: wypalone masowe groby setek tysięcy Amerykanów.

Teraz już wąskie ulice i ciasno postawione budowle Manhattanu znajdowały się dokładnie pod nimi. Najwspanialsze miasto Stanów Zjednoczonych rozciągało się w dole puste i ciche. Na pierwszy rzut oka wyglądało tak samo jak na starych pocztówkach i fotografiach; dopiero z bliska dostrzegało się szczegóły, których - Carl już to wiedział - nie sposób zapomnieć.

W niektórych kwartałach domów powstały poszarpane czarne wyrwy w miejscach, gdzie pożar strawił część domów i choć został ugaszony, nie odbudowano żadnego z nich. Nieliczne drzewa rozrosły się tak bardzo, że -zwłaszcza nad węższymi ulicami - ich korony utworzyły gęste baldachimy z liści. Od czasu do czasu nawierzchnia ulic była poznaczona mniejszymi kraterami, prawdopodobnie w miejscach, gdzie zawalił się strop biegnących w dole tuneli. Z części budynków osypały się eleganckie marmurowe i ceglane fasady, odsłaniając sterczące w powietrze stalowe belki zbrojeń.

Helikopter zniżył lot i Carl zmarszczył brwi: widok ulic miał w sobie coś dziwnego: mnóstwo samochodów, ciężarówek, autobusów, jak w godzinach szczytu...

Aż oparł się o ścianę, gdy zrozumiał, co go zaniepokoiło; ależ jestem głupi, pomyślał. Żaden z pojazdów się nie poruszał. Na ulicach panował całkowity bezruch;

porzucone pojazdy rdzewiały spokojnie od dziesięciu lat, od dnia, w którym wybuchły ogniste burze, a chmury w kształcie grzybów zamajaczyły na horyzoncie, zaś mieszkańcy miasta rzucili się do ucieczki, jakiej świat nie widział: miliony pieszych w zatłoczonych tunelach i na mostach, i w porcie, gdzie próbowali dostać się na łodzie i za wszelką cenę opuścić Manhattan.

Sandy ścisnęła go mocniej za rękę. Śmigłowiec zniżał lot i coraz więcej szczegółów rzucało się w oczy. W budynkach brakowało większości okien, dookoła piętrzyły się sterty osmalonego gruzu, tuż obok zaś rozciągała się regularna prostokątna plama zieleni: Central Park. Jego północna część wciąż była na wpół dzika, w południowej zaś usadowiła się baza wojskowa: betonowe lądowiska z wymalowaną pośrodku olbrzymią żółtą literą „H”, tunelowane baraki o metalowych ścianach i inne zabudowania zajmowały większość przestrzeni; dalej w rzędach stały ciężarówki, dżipy i transportery opancerzone; na lądowiskach trwał nieprzerwany ruch - gdy helikoptery wiozące dziennikarzy podchodziły do lądowania, inne wzbijały się w powietrze. Śmigłowiec zapikował ostro w dół i przez chwilę Carlowi zrobiło się niedobrze, ale pilot zaraz posadził maszynę i wyłączył silniki.

Dowódca załogi skinął reporterom głową i otworzył przesuwane drzwi z boku kabiny. Carl natychmiast wyskoczył na zewnątrz, nie wypuszczając z uścisku dłoni Sandy. Schylili głowy, żeby uniknąć kręcących się jeszcze łopat wirnika wzniesających tumanu kurzu i drobnych kamyczków. Carl zaciągnął Sandy poza lądowisko, na trawę, i dopiero wtedy spokojnie się rozejrzeli.

- Co to za domy? - spytała Sandy, podnosząc nieco głos.

- Nie mam pojęcia - przyznał Carl zawstydzony, że nie umie opowiedzieć gościowi z zagranicy o największym mieście swojego kraju. Przed wojną był jednak tylko dwukrotnie na Manhattanie, a i to tylko na krótko. - Mam plan miasta, ale gdzieś głęboko w torbie. Tam na pewno jest Piąta Aleja; przed wojną przy niej były najdroższe apartamenty.

Odwrócił się, usiłując wchłonąć cały obraz otoczenia naraz. Wzdłuż krawędzi parku i pomiędzy budynkami rosły drzewa; asfaltowe dróżki łączyły zabudowania bazy ze starszymi domkami z cegły, zapewne w przeszłości przynależącymi do parku. Zza drzew wyglądały wysokie biurowce i apartamentowce. Słońce miało prześliczny odcień czystego błękitu; liście przybrały już jesienne barwy czerwieni i żółci, wiewiórki wspinały się po pniach drzew, gołębie całymi stadkami dreptały po ziemi. W parku panował spokój, taki cholerny spokój, pomyślał Carl, gdyby tylko człowiek

umiał nie zauważyć transporterów, śmigłowców i porucznika z notatnikiem i trzcinką w ręce, który usiłował zapędzić wszystkich przybyszów do jednego z ceglanych domków, opatrzonego napisem ADMINISTRACJA BAZY LOTNICZEJ MANHATTAN. Wszystko odbywało się w idealnym porządku, ale Carl zdawał sobie sprawę, że znalazł się na małej wyspie pośrodku morza chaosu, w którym tonęła cała okolica. Wciągnął głęboko powietrze do płuc -dominował odór paliwa do śmigłowców, ale było w nim coś jeszcze, woń wilgoci, spalenizny i zgnilizny, smród rozkładu. Całe miasto rozkładało się od lat i nikt nie był w stanie tu posprzątać.

Odebrali bagaż i zostali zaprowadzeni do jednego z budynków administracyjnych, gdzie trafili do korytarza, po którego obu stronach urządzono biura: za szkłem żołnierze siedzieli przy telefonach i maszynach do pisania. Zza jednych drzwi wynurzyło się dwóch wojskowych w połowych mundurach, jeden z zielonym, drugi z czerwonym beretem w ręku. Na widok dziennikarzy jak na komendę zrobili w tył zwrot i zniknęli w pokoju, z którego wyszli.

W audytorium bazy czekała ich odprawa dla prasy. Reporterów przywitał generał ze wskaźnikiem, stojący przy mapie Okręgu Wojskowego Manhattan - wysoki, krótko ostrzyżony, siwiejący szatyn. Kiedy na chwilę odwrócił się bokiem do publiczności, chcąc porozmawiać ze swoim asystentem, Carlowi przypomniał się Dwutonowiec: połowę twarzy generała pokrywały blizny od poparzeń radiacyjnych. Ciekawe, czy razem służyli na Kubie, pomyślał, siadając w fotelu na skraju rzędu.

- Następna konferencja prasowa - szepnęła mu do ucha Sandy. - Trzeba wymyślić nowe pytanie.

Z kieszeni kurtki Carl wyjął notes, coś napisał na pierwszej stronie, wyrwał kartkę i podał ją Sandy. Dobrze wiedział, że to dziennikarze zadają pytania - nie fotoreporterzy.

- Masz - powiedział. - Zapytaj go o to w odpowiednim momencie. Sandy rzuciła okiem na kartkę i posłała mu zdumione spojrzenie.

- Dobrze - odparła z wahaniem. - Chociaż nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi...

- Ćśśś. - Carl wstał i podniósł aparat. - Zaraz zacznie.

Generał podszedł do zwykłej, nieozdobionej żadnymi barwami mównicy. Carl przyłączył się do grupki fotografów klęczących w pierwszym rzędzie. Generał odchrząknął.

- Generał Malcolm Conroy - powiedział. - Jestem dowódcą wojsk w Okręgu

Manhattan. Na dziś przygotowaliśmy państwu krótkie wprowadzenie, później posiłek, jeszcze jedną prezentację i nocleg. Jutro po śniadaniu każdemu z państwa przydzielimy pojazd i eskortę. Będziecie państwo mogli zwiedzić wszystkie interesujące was fragmenty Manhattanu; jedynym ograniczeniem jest zły stan dróg oraz warunki radiologiczne. Na lunch wrócić tutaj, do bazy, później odbędzie się kolejna konferencja prasowa, a następnie odleciecie państwo z powrotem do bazy Tylera.

Carl zrobił kilka zdjęć i obejrzał się przez ramię na dziennikarzy. Sandy pospiesznie zapisywała coś w notatniku.

- ...po raz pierwszy w połowie dziewiętnastego wieku- ciągnął Conroy, stając przy mapie. - Po wojnie kubańskiej i ewakuacji miasta liczący trzysta czterdzieści hektarów powierzchni Central Park stał się naturalnym miejscem lokalizacji bazy wojskowej. Oddziały lotnictwa zjawiły się na Manhattanie wkrótce po zakończeniu działań wojennych, a na początku 1963 roku oficjalnie zainicjowano działalność bazy lotniczej. Na przestrzeni ubiegłej dekady nasze zadania w tym rejonie uległy zasadniczym przeobrażeniom. Z początku głównym celem naszych działań było niesienie pomocy humanitarnej mieszkańcom Manhattanu i pobliskich dzielnic, zwłaszcza Bronksu, Queens i Brooklynu. Latem 1963 roku zajęliśmy się ewakuacją ludności cywilnej ze stref zakazanych na Manhattanie i w jego sąsiedztwie.

Generał wolnym krokiem wrócił na mównicę.

- Od tej pory nasza baza pełni funkcję, jakiej praktycznie nie znała historia wojskowości: chronimy cały majątek ruchomy i nieruchomy Manhattanu; pilnujemy domów, biur i zakładów przemysłowych. Korpus Inżynieryjny dba o doprowadzenie prądu i pozostałych mediów, co pozwala nam uchronić miejskie biblioteki i muzea przed niekorzystnym działaniem warunków atmosferycznych, a także przed atakami nielicznych pozostałych na wyspie szabrowników. Ponadto przeprowadzamy specjalistyczne operacje ratunkowe, takie jak w 1964 roku, kiedy to ze skarbca Banku Rezerw Federalnych podjęliśmy i wywieźliśmy kilka ton złota w sztabach. Nigdy dotąd •w dziejach ludzkości nie zdarzyło się, by tak licznie zamieszkane miasto tak szybko się wyludniło; nigdy też wojsko nie przejęło kontroli nad miastem jedynie po to, by chronić jego zasoby materialne. Nigdy też tak olbrzymie miasto nie zostało ponownie zasiedlone. - Generał pozwolił sobie na lekki uśmiech, który mimo szpeczących jego twarz blizn był ujmujący. - Chciałbym zwrócić państwa uwagę na jedną rzecz; mówię tu zarówno do naszych przyjaciół z prasy zagranicznej, jak i do

dziennikarzy z gazet krajowych. Swego czasu modne było przedstawianie Manhattanu jako miasta duchów, jako nowoczesnego Babilonu, Niniwy czy Kartaginy, wielkich miast wielkich imperiów, które legły w gruzach. Przykro mi państwa rozczarować, ale do Manhattanu porównanie to niedługo przestanie się stosować. Moi ludzie mają za zadanie przygotować Manhattan do ponownego zasiedlenia. I zapewniam, panie i panowie, iż dojdzie do niego szybciej, niż sądzicie.

Wśród dziennikarzy- rozległ się szmer niedowierzania. A więc o to chodzi, pomyślał Carl. Po to zorganizowali tę całą wycieczkę i przedstawienie - żeby ogłosić, iż Nowy Jork wkrótce będzie gotowy do zamieszkania. A jeśli przypadkiem nastąpi to za kilka tygodni przed wyborami, w których Rockefeller - postrzegany jako przyjaciel wojskowych - zmierzy się z McGovernem - który raczej stroni od kontaktów z żołnierzami? Cóż to będzie za zdumiewający zbieg okoliczności.

Pograżony w tych rozmyślaniach nie usłyszał pierwszego pytania, ale wysłuchał odpowiedzi generała:

- Nie, na razie nie podano żadnej oficjalnej daty, ale moim zdaniem dojdzie do tego wiosną przyszłego roku. Tak, kwiecień lub maj byłby najrozsądniejszym terminem.

Carl pstryknął jeszcze kilka zdjęć stojącemu na podwyższeniu generałowi, po czym musiał zaszyć nowy film. Inni fotografowie nieustannie poszturchiwali go i popychali, szukając lepszej pozycji do zdjęcia. Następne pytanie dotyczyło rabunków w mieście.

- Szczerze mówiąc, z szabrownikami nie mamy już takich kłopotów jak w połowie lat sześćdziesiątych - zabrzmiał donośny głos generała. - Miasto jest intensywnie patrolowane, nieliczni zaś rabusie bez wątpienia rozproszeni i słabi. Jesteśmy przekonani, że na Manhattanie wciąż przebywa kilkuset dawnych jego mieszkańców, którzy ze wszystkich sił starają się uniknąć wykrycia przez wojsko. Przed kilkoma laty każdego napotkanego obywatela aresztowalibyśmy bez pytania; dzisiaj raczej próbujemy im pomagać, leczyć ich i ewakuować do ośrodka Czerwonego Krzyża w Connecticut. Służba na Manhattanie zrobiła się bardzo spokojna. Następne pytanie?

Carl znów nie usłyszał dziennikarza.

- Kłopoty? - rzekł generał. - Z pewnością jednym z najważniejszych są pożary. W miarę podłączania coraz większych obszarów miasta do odtwarzanej sieci elektrycznej zdarzają się sytuacje, że wskutek zwarcia w starej instalacji dochodzi do

pożary którego nie udaje się nam natychmiast zlokalizować. Nie możemy zaś pozwolić sobie na to, żeby raz zaproszony ogień przeniósł się na inne budynki, gdyż łatwo mógłby się wymknąć nam spod kontroli. Poza tym w wielu okolicach ciśnienie wody wciąż jest niewystarczające do przeprowadzenia skutecznej akcji gaśniczej. Dlatego też na dachach wieżowców - między innymi na Empire State Building i Chrysler Tower - trzymamy posterunki przeciwpożarowe nieco podobne do tych, jakie stosuje się w parkach narodowych na zachodzie kraju. Z dumą muszę dodać, iż niektórzy z żołnierzy na tych stanowiskach to dawni nowojorscy strażacy, którzy zaciągnęli się do wojska specjalnie po to, by móc wrócić do zawodu.

- Generale Conroy, Sandy Price z „Timesa” - rozległ się znajomy głos. - Czy mógłby nam pan wyjaśnić, dlaczego przylecieliśmy na Manhattan, zamiast po prostu przyjechać jedną z dróg szybkiego ruchu? Wydaje mi się, że wojsko naraża się na spore koszty, wykorzystując śmigłowce. Czy drogi nie są bezpieczne?

Generał wzruszył niedbale ramionami.

- Drogi prowadzące do miasta z bazy Tylera są w całkiem niezłym stanie; uległy tylko nieznacznemu, naturalnemu zniszczeniu wskutek działania warunków atmosferycznych. Zdecydowaliśmy się na lot wyłącznie ze względu na państwa wygodę, nic poza tym. Zdajemy sobie sprawę, że macie państwo mało czasu.

Dobra dziewczynka, ucieszył się Carl. Czas uściślić pytanie.

- Przepraszam, generale, ale chyba się nie zrozumieliśmy. Kiedy pytałam o bezpieczeństwo na drogach, miałam raczej na myśli bandytów i rabusiów. Czy w strefach zakazanych występują problemy z uzbrojonymi cywilami?

Z bliska Carl dobrze widział, jak generał mocniej zaciska dłoń na mównicy.

- Nie - odparł krótko Conroy. - Ostatnie pytanie proszę.

- Proszę wybaczyć mi nadmierną śmiałość, generale, ale... - Kolejny głos z angielskim akcentem, tym razem męski. - Zaciekawily mnie blizny na pańskiej twarzy. Czy wchodził pan w skład sił inwazyjnych, które wylądowały na Kubie?

- Nie. - I tym razem odpowiedź była krótka, ostra.

- Skąd w takim razie te obrażenia?

Generał wzbił wzrok w ścianę, półtora metra nad głowami zebranych dziennikarzy.

- Siedziałem w domu na zwolnieniu po operacji stopy - odrzekł wypranym z emocji głosem. - Wyszedłem na chwilę na dwór do skrzynki pocztowej, gdy bomby spadły na bazę lotniczą im. Maxwella. Moja żona była z dziećmi na zakupach w bazie.

To wszystko.

Odwrócił się i zszedł ze sceny.

Carl stał przy oknie pokoju w hotelu „Blaine House”, który wojsko zajęło na potrzeby swoich gości. Hotel znajdował się przy Piątej Alei, na skraju Central Parku, ale okna wychodziły na ślepią ceglana ścianę sąsiedniego budynku. Pokój Carla miał numer 1410; Sandy trafiła do 1418. Uznał, że później rozwiąże ten problem, a na razie wszedł do łazienki, obmył ręce i twarz zimną wodą i spojrział w lustro na swoją zmęczoną twarz.

Kolacją - rozrobione wodą puree ziemniaczane w proszku i wołowinę z puszki w sosie własnym- podano w jadalni przy budynku administracyjnym. Po kolacji podziemnym tunelem przeszli do Blaine House, gdzie wojskowy prawnik wygłosił niekończący się wykład o prawach własności na Manhattanie. Carlowi oczy same zaczynały się zamykać, gdy wreszcie pogadanka dobiegła końca i gościom przydzielono pokoje. Kiedy siedząca po drugiej stronie sali Sandy uniosła znacząco brwi, był pewien, że jest zaproszony na wieczór.

Ale... Czuł, że wokół dzieje się coś dziwnego, coś, czego nie rozumiał. Brytyjskie samoloty w bazie Tylera; dwaj żołnierze, których widział przed odprawą generała Conroya - ten z zielonym beretem był z amerykańskich oddziałów specjalnych. Cóż za zapobiegliwość ściągnąć na Manhattan kogoś z jednostki Carla, żeby go tu powitał. Ale ten drugi... Nie nosił amerykańskiego munduru i miał czerwony beret, jak angielscy spadochroniarze.

Angielscy spadochroniarze i amerykańscy komandosi - elitarne oddziały do zadań specjalnych.

A nie do podłączania prądu i wody w mieście.

Włączył czarno-biały telewizor i znalazł cztery programy: ABC, NBC, CBS i kanał wojskowy. Wyłączył odbiornik i znów zagapił się na mur za oknem. Niezbyt porywający widok. Na dobrą sprawę odkąd wylądowali na Manhattanie, niewiele widział: najpierw śmigłowiec, potem budynki administracji i tunelem do hotelu, skąd mógł podziwiać pustą ścianę stojącego obok domu.

Aż się człowiek zastanawiał, jak wygląda świat na zewnątrz.

Otworzył starą skórzaną walizkę - miał w niej mały plecaczek z wojskowymi racjami żywnościowymi, poncho i zmianę ubrania. Sięgnął głębiej i namacał jakiś metalowy przedmiot. No dobrze, może to i paranoja, przyznał, ale lepiej się czuję,

mając kolta pod ręką. Dochodziła ósma i uznał, że czas się trochę rozejrzeć. Zarzucił na plecy lekką kurtkę, wyszedł na korytarz i zamknął drzwi.

Idąc korytarzem, minął bar, w którym przy okrągłych stolikach zebrala się większość dziennikarzy. Przeszedł po dywanie do dwuskrzydłowych szklanych drzwi, których pilnował żołnierz z żandarmerii wojskowej w błyszczącym hełmie i wypastowanych na wysoki połysk butach. Na widok Carla wyciągnął przed siebie rękę z otwartą dłonią, chcąc zatrzymać intruza.

- Mogę panu jakoś pomóc? - zapytał uprzejmie.

- Chciałem się przejść i pooddychać trochę świeżym powietrzem.

- Przykro mi, proszę pana. - Żołnierz pokręcił głową. - Bez eskorty to niemożliwe.

- A nie wie pan, skąd mógłbym wziąć eskortę? Twarz żandarma nie zmieniła wyrazu ani na jotę.

- Musi się pan skontaktować z oficerem prasowym. Jutro będzie do państwa dyspozycji.

Carl wyjął portfel i pokazał żołnierzowi wojskowy identyfikator.

- Widzi pan? Nie jestem jakimś przygłupim cywilem. Służyłem w armii osiem lat, zanim przeszedłem do rezerwy; nic mi się nie stanie. Przewietrzę się tylko, dobrze?

Żołnierz skinął głową i odwrócił się plecami do niego.

- Doskonale, proszę pana. Proszę się porozumieć z oficerem prasowym w sprawie eskorty. Jutro.

Carl schował portfel, przeszedł przez bar, minął windy i trafił do drzwi z napisem SCHODY. Za nimi znajdował się betonowy podest, gdzie na chwilę przystanął, po czym ruszył schodami w dół. Dobiegający stamtąd dźwięk pracującej maszynarii, pomp i klimatyzatorów narastał stopniowo, aż w końcu Carl znalazł się w ciasnym pomieszczeniu pełnym krzyżujących się rur z zaworami. Zanotował w pamięci, jak trafić do wyjścia, po czym zanurzył się głębiej w labirynt pomieszczeń: minął kuchnię, pralnię i spiżarnię z mnóstwem puszkowanych zapasów poukładanych na paletach i zamkniętych w odrutowanej izolacie.

Nagle poczuł znajomy zapach ropy do dieslowskiego silnika. Na końcu korytarza o betonowych ścianach znajdowały się grube metalowe drzwi. Uchyliwszy je, zajrzał przez szparę i zobaczył podziemny parking. Blżej drzwi stało kilka dżipów i ciężarówek, pod przeciwległą ścianą zaś znajdował się jasno oświetlony warsztat

naprawczy. Kilka pojazdów miało podniesione maski - przy każdym stało kilku żołnierzy. Coś leżącego po lewej stronie od wejścia przykuło jego uwagę, otworzył więc drzwi szerzej.

Zdumiał go widok zrolowanych bel drutu kolczastego, ponumerowanych drewnianych zapór i podpór, pęczków cienkich plastikowych pasków w foliowych workach i grubych pałek, podobnych nieco do kijów baseballowych. Pod ścianą leżały stosy prostokątnych plastikowych tarcz, jakby porzuconych przez duchy rzymskich legionistów. Obok drutu kolczastego stały sięgające sufitu stosy kartonowych pudeł. Carl ledwie widział odbite z szablonu litery na ich bocznych ściankach:

OSTROŻNIE!
TYLKO DLA PRZESZKOLONEGO PERSONELU
CS...

Zanim Carl odczytał trzecią linijkę napisu, gdzieś w pobliżu zabrzmiał tupot obutych stóp. Zamknął drzwi, ale to, co widział, i tak dało mu do myślenia. Wrócił biegiem do schodów i po minucie znalazł się z powrotem w holu z barem, a kilka sekund później wsiadł do windy i wrócił na swoje piętro.

Korytarz był pusty. Dobrze. Carl niespiesznie podszedł do drzwi swojego pokoju. Wspomnienie tego, co znalazł w piwnicy, wciąż zapierało mu dech w piersi. Czy to już dość pracy na dzisiejszą noc? Raczej nie. Uznał, że ma dobrą passę, więc powinien jeszcze trochę się rozejrzeć.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, a nad nimi lampka z napisem WYJŚCIE. Uchylił je lekko, wśliznął się przez nie i zamknął je za sobą. Ruszył po schodach na górę.

Nie spieszył się zbyt - i dobrze, bo zanim schody się skończyły, pokonał dziewięć pięter, zdyszał się, spocił i dostał kolki. Nad klamką drzwi dostrzegł naklejkę:

PRZED WYJŚCIEM SPRAWDŹ DOZYMETR

Niżej, na mniejszym skrawku papieru, ktoś dopisał:

SWÓJ I KOLEGI!

Przykro mi, pomyślał, chyba zostawiłem dozymetr w domu.

Wyszedł na dach. Noc była chłodna i całkiem przyjemna, nawet mimo wszechobecnej słodko-kwaśnej woni rozkładu. Drzwi zaczęły się zamykać, ale Carl złapał je i przytrzymał; a jeśli zatrzasną się automatycznie?

Dopiero kiedy wyjętym z kieszeni portfelem zablokował drzwi, odważył się odsunąć od nich i ruszyć choć kawałek dalej po dachu. Świeciły gwiazdy, na wschodnim niebie pojawił się sierp księżyca. Krawędź dachu znaczyła sięgająca mu do pasa ścianka z cegieł. Oparł się o nią i rozejrzał dookoła. Przeszedł go dreszcz. Serce ciągle jeszcze waliło mu jak młotem i choć uspokajał się, że to tylko wynik wspinaczki po schodach, wiedział, że przyczyna leży gdzie indziej. To, co znalazł w piwnicy, nijak nie przystawało do obrazu żołnierzy podłączających tylko prąd i udrażniających kanalizację w mieście. Co się naprawdę dzieje na Manhattanie?

Po drugiej stronie ulicy rozciągała się jasno oświetlona baza na południu Central Parku. Blżej, przy hotelu, Piąta Aleja tonęła w blasku ulicznych latarni, których światło wyławiało z mroku także kilka zaparkowanych w pobliżu wojskowych pojazdów. W oknach najbliższych zabudowań również paliły się światła - mieszkali w nich stacjonujący w bazie żołnierze - ale dalej rozciągało się morze mroku. W słabej poświacie księżyca i gwiazd ze wszystkich stron majaczyły zarysy wieżowców podobnych do wyniosłych szczytów niezamieszkanego pasma gór: mieszkania, apartamenty, mniej i bardziej luksusowe biura, slumsy... A w nich tylko kurz, stare papiery, kości, zmumifikowane ciała - i może kilku trzęsących się ze strachu mieszkańców i rabusiów, którzy uparcie odmawiali opuszczenia wyspy.

Widniejący na pomocy punkcik światła nagle się poruszył. Do uszu Carla dobiegł stłumiony odległością terkot silników helikoptera, a po chwili spod kadłuba maszyny trysnął stożkowaty snop białego światła. Szperacz. Kogo tu szukać w samym środku zimnej październikowej nocy? Tych samych ludzi, dla których dwanaście pięter niżej szykowano bele drutu kolczastego, przenośne barykady, plastikowe kajdanki, tarcze, pałki i CS, gaz łzawiący? Chciał się odwrócić, gdy...

- Proszę podnieść ramię do góry! - usłyszał.
- Tak jest - mruknął i wykonał polecenie.

Na dachu błysnęła latarka. Carl zamrugał osłepiony.

- Proszę się odwrócić!

Zrobił to i ujrzał przed sobą dwóch żołnierzy w hełmach i pełnym rynsztunku bojowym. Jeden z nich wycelował w niego latarkę, drugi M-14. Carl poczuł się nieswojo.

- Kim pan jest i co pan tu robi? - zapytał ten z latarką.

- Nazywam się Carl Landry, przyjechałem z wycieczką dziennikarzy. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza, więc wyszedłem sobie na dach.

- Ma pan jakieś dokumenty?

- Są w portfelu. Podparłem nim drzwi do klatki schodowej. Żołnierze znaleźli portfel, sprawdzili przepustkę prasową i grzecznie oddali papiery Carlowi.

- Nie powinien się pan tu kręcić bez eskorty. Poza tym nie wydano panu jeszcze dozymetru.

Carl schował portfel do kieszeni spodni.

- W porządku, panowie. Już wracam do siebie.

Otwierając drzwi na schody, kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie z drugiej strony dachu, tej wychodzącej na Piątą Aleję. Za ceglany murkiem przycupnął tam oddział żołnierzy: dwóch z nich miało dziwnie duże hełmy i długie karabiny zamiast standardowych M-14.

W głowie kłębiły mu się niezliczone pytania, ale zamiast je zadawać, wrócił na dół.

Zastukał do pokoju 1418. Kiedy kobiecy głos zapytał: „Kto tam?“, odpowiedział:

- Delegacja z biura premiera.

Ubrana w długi niebieski szlafrok Sandy otworzyła mu drzwi, przecierając zaspane oczy.

- Och, to ty. Wejdz.

Przesunął się trochę, starając się nie zepchnąć jej głowy ze swojego barku. - Jak to możliwe, że to łóżko jest takie wygodne? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

Sandy delikatnie chwyciła go zębami za ucho. - Może coś w nim złamaliśmy.

- Może... Szybkie pytanie?

- Słucham.

- Dlaczego?

Sandy znieruchomiła.

- Co dlaczego?

- Dlaczego ja? Dlaczego my? Sandy, ostatnie kilka dni było naprawdę cudowne, ale nie... No wiesz...

Podniosła głowę.

- Chcesz wiedzieć, co czuję, tak? Co mnie w tobie pociąga? Pogłaskał japo plecach.

- Jeśli nie miałybyś nic przeciwko... Kiedy jesteś przy mnie, czuję się, jakbym... jakbym trafił główną wygraną na loterii, a ja przecież nawet nie kupiłem losu. To cudowny i nieoczekiwany prezent.

Sandy z uśmiechem pogładziła go po piersi.

- Mój chłopcze, poza tym, że masz przystojną ogorzałą twarz, wyróżnia cię to, że jesteś inny. Byłeś w różnych miejscach, robiłeś różne rzeczy, drzemie w tobie jakaś tajemnicza inteligencja, niespożyta energia, jakaś siła... Jesteś inny od mężczyzn, których poznawałam w Anglii. Dorastałam wśród mięczaków, dla których największy wyobrażamy wysiłek fizyczny to pościg za uciekającą kolejką miejską, a szczyt przeciwności życiowych to brak świeżego tosta na śniadanie. Właśnie tak. Zadowolony?

Carl przytulił ją, ale Sandy odepchnęła go lekko.

- Nie tak szybko! - zaproponowała. - Teraz twoja kolej. Oczekuję odpowiedzi na to samo pytanie.

Ujął ją za brodę i uniósł jej głowę.

- Chcesz znać prawdę?

- Naturalnie, że chcę.

- Widzisz, Sandy, ty... dajesz mi nadzieję.

- Nadzieję? - powtórzyła z udawaną złością. - Jak to: nadzieję?

- Zjawiasz się w moim życiu i pokazujesz, jak wygląda świat, od którego dzieli mnie lot samolotem. Udowadniasz, że nie wszystko stracone, że wciąż zostały na świecie dobre, przyjazne ludziom miejsca. I dajesz mi nadzieję, że nie jest za późno.

- Za późno na co?

Carl wyrżał przez okno.

- Za późno dla tego kraju.

- Mogę cię o coś zapytać, przyjacielu? - zagadnęła go jakiś czas potem Sandy.
- Oczywiście, słucham.
- Jak wpadłeś na pomysł tego pytania, które tak zirytowało generała? Miałam wrażenie, że pukam do drzwi, o których istnieniu nie powinnam wiedzieć.

Carl pogłaskał ją po jedwabistych włosach.

- Kiedy dzisiaj pojechaliśmy pod Płot, rozmawiałem z takim jednym żołnierzem; młody chłopak, mógł mieć osiemnaście, dziewiętnaście lat. Nie powiedział tego wprost, ale z jego słów wynikało, że wbrew oficjalnym raportom i powszechnie panującym opiniom wojsko nie patroluje stref zakazanych.

Sandy nagle usiadła wyprostowana na łóżku, odgarniając włosy z oczu.

- Z Co ci jeszcze powiedział?
- Właściwie nic takiego, chociaż dał mi też do zrozumienia, że w SZ-ach bywa niebezpiecznie. Nie wierzę w potwory, nie wierzę w duchy i nie sądzę, żeby wojsko bało się sfor bezpańskich psów; dlatego myślę, że chodziło mu o ludzi.

- Jakich ludzi? Kto miałby mieszkać w strefie?
- Ci, którzy przeżyli - albo w ogóle nie wyjechali, albo teraz wrócili do swoich domów. Może też tacy bojownicy, jakich spotykaliśmy w Kalifornii. Ktokolwiek by to był, armia ma się na baczności, wysyłając ludzi w głąb SZ-ów.

Sandy z namysłem potarła policzek.

- Dobre pytanie kazałeś mi zadać, cwaniaczku, cholernie dobre. Masz jeszcze coś ciekawego?

Carl przyciągnął ją do siebie. Cmoknęła go w nos, a on pocałował ją w usta, policzki i oczy.

- Kiedy generał mówił o bazie na Manhattanie... - zaczął Carl, zniżając głos. - Jakiego słowa użył?

- Hmm... Mówił coś o cichej służbie... -mruknęła wtulona w niego Sandy.
- Blisko - przytaknął, głaszcząc ją długimi kolistymi ruchami. - Powiedział: „spokojna”, a to bardzo ważne dla żołnierza. Spokojna służba oznacza, że robisz, co do ciebie należy, wszystko idzie zgodnie z planem i nie musisz się martwić, że wieczorem wyrko wyleci ci w powietrze.

Sandy zamruczała donośnie niczym zniecierpliwiona kotka.

- Do czego zmierzasz, młody człowieku?
- Czy trzymanie snajperów na dachu to też element spokojnej służby? Przytulając Sandy, Carl poczuł, jak sztywnieje pod jego dotykiem.

- Na dachu naszego hotelu?

- Nie inaczej. Jakiś czas temu chciałem się trochę przewietrzyć, więc wyszedłem na dach. Straszny widok, te wszystkie drapacze chmur i biurowce, całkiem ciemne. Dwóch żołnierzy przyłapało mnie na górze i kazało się zwijać do pokoju, ale z drugiej strony dachu siedziało paru innych, którzy zwrócili moją uwagę.

- Co takiego robili? - Tym razem w głosie Sandy brzmiało czysto zawodowe zainteresowanie.

- Nie patrzyli na mnie; obserwowali ulicę pod hotelem. Mieli też jakieś noktowizory i jednostrzałowe karabiny. Snajperskie karabiny. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz.

- To znaczy?

- Przed odprawą z generałem widziałem na korytarzu dwóch żołnierzy, którzy wyszli z któregoś biura, a widząc nas, zaraz schowali się z powrotem, jakby nie chcieli, żebyśmy ich zobaczyli. Ale zdążyłem obejrzeć sobie ich berety; jeden z tych gości, Sandy, był od was. Z brytyjskiego regimentu spadochronowego.

- Nasz spadochroniarz? Tutaj? - Sandy usiadła na łóżku, podciągając koc pod brodę.

- Tak, tutaj. Drugi był amerykańskim komandosem. Obaj są z elitarnych, specjalnie szkolonych jednostek, nie z jakiegoś przypadkowego garnizonu.

- A skoro służba na Manhattanie jest taka spokojna, to na co komu komandosi i spadochroniarze, tak? - Sandy zacisnęła mocniej pięści.

- Właśnie; po co ich marnować do takich zadań jak podłączanie światła i naprawa wodociągów? To nie dla komandosów. Oni mają tu inne zadanie.

- Jakie?

Carl przypomniał sobie, co znalazł w piwnicy, ale postanowił zachować tę nowinę na później; nie podobał mu się natarczywy ton głosu Sandy.

- Nie wiem.

- Ale ja jutro zamierzam się tego dowiedzieć - stwierdziła Sandy, sięgając po leżący na nocnym stoliku notatnik. Przerzuciła kilka pierwszych stron i coś w nim zapisała.

Carl przetoczył się na plecy, podłożył sobie ręce pod głowę i wbił wzrok w sufit. Cudzoziemcy, pomyślał. Cywile. Bez pojęcia. Jej się wydaje, że ten wyjazd to jedna wielka przygoda, radosna eskapada przygotowana specjalnie dla niej, żeby mogła zrobić dobry reportaż i opowiadać o nim w pubach przy Fleet Street. Z zadumy

wyrwał go szelest odkładanego notesu i długopisu.

Sandy pogłaskała go delikatnie po głowie.

- Co się dzieje, Carl?

- Wiesz, co to jest wieś potiomkinowska, Sandy? Znieruchomiła.

- Coś z czasów Katarzyny Wielkiej... Jej minister oszukiwał ją, że w rządzonej przez nią kraju ludziom dobrze się żyje. Mam rację?

- Twój rodzice zrobili dobrą inwestycję, wysyłając cię do Oxfordu. Nie mylisz się: książę Potiomkin był doradcą i kochankiem Katarzyny Wielkiej. Pod koniec osiemnastego wieku carcy zachciało się odwiedzić nowo przyłączone do Rosji tereny. Potiomkinowi zależało na tym, żeby wizytacja dobrze wypadła, więc kazał wsie odnowić i odmalować, a starych, biednych i chorych wieśniaków powyganiał z domów. W niektórych wsiach odnowiono tylko fasady chałup. Chłopi mieli tańczyć i śpiewać dla przejeżdżającej królowej.

- Myślisz, że Manhattan to taka właśnie wieś? - spytała cicho Sandy.

- Mniej więcej. A wiesz, co mnie najbardziej martwi?

- Nie, powiedz.

- Lepiej nie zadawaj jutro żadnych kłopotliwych pytań, Sandy. - Carl nie odrywał wzroku od sufitu. - We wsi potiomkinowskiej każdy ma do odegrania swoją rolę, gazety także. Wieśniacy też grali swoje role; kiedy nie chcieli na dany znak śpiewać czy tańczyć, byli bici lub skazywani na śmierć. Co z nami będzie, jeśli nie zatańczymy?

- Carl, przez ciebie zaczynam się bać.

Pomyślał o tym, co zamierzała jutro zrobić: zadać kilka wścibskich pytań, znajdując się w samym środku wojskowej strefy zakazanej.

- To dobrze - powiedział.

Sprawa Imperium: 3

Major Kenneth Hunt siedział w tymczasowym biurze urządzonym w rogu hangaru w bazie Trenton - przeglądał listę personelu, starając się całkowicie skoncentrować na tym zajęciu, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Podniósł wzrok gotów warknąć niegrzecznie na tego, kto zakłóca mu spokój. Papiery wypadły mu z rąk.

- Clive! - wykrzyknął, zerwał się z biurka i podał gościowi rękę. -A ty co tu robisz?

Jego brat miał na sobie wymiętą czarną marynarkę, białą koszulę i wąski krawat. Wyglądał na zmęczonego. Był o pięć lat starszy od Kennetha, miał gęstą szopę czarnych włosów, krzaczaste brwi i mięsiste policzki, które z czasem powinny upodobnić jego twarz do obwisłego pyska buldoga - choć już teraz, za młodu, Clive'a cechował godny buldoga upór. Oficjalnie Clive pracował w brytyjskim Foreign Office, ale Kenneth znał prawdę. Znał ją od lat.

Starszy brat uściśnął jego dłoń i odparł:

- Przepraszam za najście, brachu, ale pomyślałem, że po drodze do Ottawy zajrzę tu i zobaczę, jak się miewa mały Kenny. Nie przeszedłbyś się na spacer?

Kenneth chciał zaprotestować, zasłaniając się nawałem pracy i planowanymi spotkaniami - najpierw, za dziesięć minut, z oficerem łącznikowym bazy, później z sierżantem regimentu - ale na widok wyrazu twarzy Clive'a zrezygnował.

- Chodźmy - powiedział.

Długimi krokami szli wzdłuż pasa startowego, gawędząc o rodzicach i siostrze imieniem Penelope, pracującej jako producent w BBC. Dotarli do ogrodzonego siatką kawałka trawiastego gruntu. Clive usiadł na ziemi i z westchnieniem ulgi oparł się plecami o ogrodzenie. Październikowy dzień był słoneczny i nadzwyczaj ciepły. Kenneth usiadł obok brata.

Jakieś sto metrów od nich, na skraju pasa, znajdował się rdzewiejący i częściowo rozebrany wrak B-52. Stał tak od dziesięciu lat przechylony na bok i częściowo zagrzebany w ziemi. Od jednego z oficerów kanadyjskich sił powietrznych Kenneth wiedział, że bombowiec - trafiony gdzieś nad terytorium Związku Radzieckiego - lądował awaryjnie w Trenton w drodze powrotnej do Stanów. Załogę odesłano do domu, tajne wyposażenie usunięto, a wrak porzucono na pastwę losu.

Kanadyjczycy protestowali przeciw takiemu rozwiązaniu i domagali się przyznania funduszy na usunięcie wraku, na co Amerykanie odpowiedzieli, że wkrótce się tym zajmą - ale od tego czasu minęły lata.

Clive wskazał rdzewiejącą maszynę.

- No i proszę, jeszcze jeden relikwiarz martwego imperium: bombowiec boeinga. Wyprodukowany w Seattle, stacjonował zapewne gdzieś na środkowym zachodzie, a potem wysłano go ponad biegunem gdzieś w głąb Azji, żeby zabijał ludzi, którzy pewnie przez całe życie nosa nie wychylili z rodzinnej wioski. Jedynym przestępstwem, jakiego się dopuścili, było zamieszkanie w sąsiedztwie sowieckiej bazy wojskowej. A teraz boeing leży sobie tutaj, rdzewieje i już nigdy nie wzbije się w powietrze. Z pewnością jednak prawdą jest, że niektóre martwe imperia chcą wrócić do życia - na przykład nasze.

Kenneth skinął głową; wiedział już, co go czeka. Jego starszy brat miał naturę wykładowcy i kiedy miał nastroju do przemawiania, należało go po prostu słuchać. Clive wyjął z kieszeni ciekawą paczkę dunhillów.

- Chcesz szluga, Kenny?

- Nie, dzięki; przerzuciłem się na fajkę. Uspokajają mnie.

- Ha! - Clive zapalił sobie papierosa. - Od ładnych kilku miesięcy nie byłem spokojny; w każdym razie od czasu, jak ci dumie na górze wymyślili operację „Karuzela”.

Na dźwięk tego kryptonimu Kenneth zeszytniał. To właśnie do „Karuzeli” intensywnie się przygotowywał, to do jej rozpoczęcia zostało już niecałe cztery tygodnie, to przez nią miał koszmary, w których główną rolę grała jego nieżyjąca żona.

- Na twoim miejscu nie rozpowiadałbym tej nazwy na prawo i lewo, Clive.

- Spokojna głowa. - Clive machnął lekceważąco ręką. - Dlatego właśnie wyszliśmy się przejść, zamiast siedzieć u ciebie w biurze, w którym pewnie ściany mają uszy. Jest jednak coś, co chciałbym powiedzieć tylko tobie: otóż operacja „Karuzela” nie cieszy się bynajmniej całkowitym poparciem rządu Jej Królewskiej Mości. Premier wciąż się waha.

- Mogą ją odwołać? - nie wytrzymał Kenneth. - Wiesz, Clive, kosztowała mnie kilka bezsennych nocy.

Jego brat zmarszczył brwi i zaciągnął się głęboko papierosowym dymem.

- No to obawiam się, że przez najbliższe tygodnie znów sobie nie pośpisz.

-Och...

Clive pokiwał głową.

- Prawdopodobnie jakiś tydzień czy dwa temu była jeszcze szansa powstrzymać rozwój wypadków. Pewien człowiek w Stanach, w Bostonie, twierdził, że dysponuje informacjami, które pomogłyby nam skompromitować „Karuzelę”.

- Nam? To znaczy komu, jeśli wolno wiedzieć? Wolną ręką Clive potarł policzek.

- Tym, którym operacja „Karuzela” sienie podoba; tym, którzy są przekonani, że trzy wojny światowe w jednym stuleciu to aż nadto; i tym, którzy uważają, że jeśli imperium brytyjskie ma się odrodzić, to tylko dlatego, że cały świat tak chce, a nie dlatego, że wykorzystamy naszą przewagę nad śmiertelnie rannym przyjacielem.

- Wiem już, kogo rozumiesz przez „nas”; kim wobec tego są „oni”? Clive znów zaciągnął się dunhillem.

- Reszta. Ci, którzy boją się Francuzów i Niemców przyczajonych za kanałem. Kto by pomyślał, że te stare dranie - de Gaulle i Adenauer - dogadają się po wojnie? I że Pompidou i Brandt podtrzymają sojusz? Francuzi i Niemcy rozwijają ofensywę w Europie Wschodniej, wchodzą na tamtejsze rynki, a nas, żebraka Europy, jak zwykle wyśmiewają i lekceważą. A tu trafia się okazja, żeby w jedną noc odbudować imperium, większe i lepiej uzbrojone niż kiedykolwiek przedtem. Nie bylibyśmy już żebrakami.

Hunt z coraz większą rezygnacją słuchał słów brata i patrzył na jego wykrzywioną wściekłym grymasem twarz.

- Pewnie masz rację, Clive - przyznał. - Nie bylibyśmy najbiedniejsi, tylko najbardziej znienawidzeni.

Clive pokiwał głową i zduśił papierosa w trawie.

- Dziesięć lat temu wszystkim się nam wydawało, że wojna skończyła się na dobre; zwłaszcza po obejrzeniu zdjęć i filmów z Rosji i Stanów. Ale dziesięć lat to kawał czasu, Kenny. Ludzie zapominają.

Ku zdumieniu Kennetha jego brat - z natury skryty i nieskory do okazywania uczuć - mocno uściskał mu dłoń.

- A kiedy ludzie i politycy zapominają - ciągnął - robią różne głupstwa. Na przykład wysyłają swoich najlepszych ludzi, żeby odwalali czarną robotę. Rany, już jadą.

Poboczem pasa startowego zbliżał się ku nim jeden z samochodów personelu

bazy. Wstali i Clive otrzepał spodnie z suchej trawy.

- Jest już moja oficjalna eskorta, Kenny - stwierdził. - Czas lecieć do Ottawy.
- Co się stało z tym człowiekiem w Bostonie? Z tym, który mógł pomóc powstrzymać „Karuzelę”?

Clive smutno pokręcił głową.

- Mieliśmy mu podesłać kogoś z naszych, człowieka, którego przed laty dobrze znał i cenił, emerytowanego generała. Nazywał się Sheffield. A teraz obaj nie żyją i operacji „Karuzela” chyba nie da się już odwołać.

Lodowaty dreszcz przebiegł Huntowi po plecach.

- Obaj nie żyją... To już koniec?
- Na razie tak. Chyba że w najbliższych dniach dopisze nam szczęście.

Granatowy samochód zatrzymał się przy nich. Wsiadając, Qive smętnie

skinął bratu na pożegnanie. Kenneth odprowadził samochód wzrokiem, myśląc: „Nie mogę, nie mogę tego zrobić. Przecież Rachel na mnie patrzy. Nie mogę”.

Porucznik Greg Loomis wyglądał jak żywcem wyjęty z plakatu reklamującego pobór do wojska: wysoki, w czystym mundurze polowym i wysokich czarnych butach. U pasa zwisał mu kolt kaliber czterdzieści pięć i krótkofalówka. Włosy miał ciemne, krótkie, a uścisk dłoni mocny i konkretny. Carl i Sandy zostali mu przedstawieni w zatłoczonej stołówce zaraz po śniadaniu złożonym z owsianki i parówek. Carl zapakował do małego plecaka garść niezbędnych drobiazgów, Sandy zaś zabrała swoją dużą czarną torebkę. Porucznik z miejsca przeszedł do rzeczy.

- Dziś występuję w roli państwa eskorty - oznajmił.

Stołówka była naprawdę olbrzymia; wszyscy pozostali dziennikarze i foto-reporterzy stali w małych grupkach, rozmawiając z przydzielonymi im oficerami.

- Zaczniemy od rzeczy najważniejszych. - Ze skórzanej dyplomacji wyjął dwa błyszczące cylindryczne obiekty przypominające pękate ołówki oraz kwadratowe plakietki z plastiku zaopatrzone w zapinki. Wręczył po jednym „ołówku” i plakietce każdemu ze swych podopiecznych.

Coś w jego sposobie bycia zaniepokoiło Carla. Przypomniał sobie, jak wyglądali porucznicy, z którymi miał do czynienia podczas służby. Nazywali ich „cudownymi wcześniakami”, gdyż po trwającej zaledwie trzy miesiące nauce w szkole oficerskiej mieli uchodzić za należycie wyszkolonych dowódców. Carl - jak większość sierżantów - miał na ten temat własne zdanie: po dziewięćdziesięciu dniach porucznik umiał sobie podtrzeć tyłek po wyjściu z latryny, ale niewiele poza tym. Nowi oficerowie rwali się do akcji, mieli głowy pełne przepisów i jeśli człowiek nie uważał, mógł przez nich zginąć.

- To są dozymetry - wyjaśnił Loomis. - Proszę przypiąć je do kieszeni na piersi. Ten kwadratowy, z plastiku, to DTL, dozymetr termoluminescencyjny; wskazuje całkowitą wartość napromieniowania. Po opuszczeniu Manhattanu otrzymacie państwo zaświadczenia z wojskowego laboratorium dozymetrycznego w Ithace stwierdzające, jaką dawkę przyjęliście. Proszę się nie martwić: z pewnością będzie minimalna. - Porucznik podniósł ołówkową tubę. - To jest SRPD, czyli dozymetr do samodzielnego odczytu. Proszę obejrzeć go pod światło, to zobaczycie państwo skalę: każda kreska oznacza jeden milirem. Dozymetr jest wyzerowany, wskazówka powinna znajdować się po lewej stronie skali. Trzeba od czasu do czasu

sprawdzać SRPD; gdyby wskazówka przesunęła się w prawo, proszę dać mi znać. Prawdopodobnie będzie to oznaczało, że podjechaliśmy za blisko jakiegoś gorącego miejsca i należy skręcić gdzie indziej.

Carl przypiął dozymetry do klapy kurtki i nagle jakby przeniósł się w czasie - i przestrzeni - w lata sześćdziesiąte, do Kalifornii, kiedy dozymetr był równie oczywistym wyposażeniem żołnierza jak manierka i zapasowy magazynek. I tak jak wtedy ciarki przebiegły mu po plecach. Co innego znaleźć się w dżungli twarzą w twarz z uzbrojonym przeciwnikiem, a co innego stawić czoło wrogowi, którego nie sposób zobaczyć, usłyszeć ani wywęszyć, a który zabija równie skutecznie jak pocisk karabinowy,

Sandy również przypięła sobie dozymetry.

- Dlaczego musimy je nosić, poruczniku? - zapytała. - Przecież w przyszłym roku Nowy Jork ma być gotowy do powtórnego zasiedlenia.

- Takie są przepisy. Promieniowanie na Manhattanie, tak samo zresztą jak i w pozostałych SZ-ach, opadło już do bezpiecznego poziomu, ale na razie cały czas pikujemy, jaką dawkę dostają nasi ludzie. W wojsku regulamin zmienia się bardzo powoli; możliwe, że za rok nikt już nie będzie musiał używać dozymetrów. Tym bardziej że to nie poziom promieniowania uniemożliwia zasiedlenie Manhattanu - po prostu trzeba wcześniej doprowadzić prąd, wodę i przywrócić kanalizację.

- Ile czasu spędzimy w mieście, poruczniku?

- Przede wszystkim skończmy z tymi tytułami, dobrze? - Porucznik uśmiechnął się do Sandy. - Jestem Greg.

Sandy zarzuciła torbę na ramię.

- W takim razie mów mi Sandy, jasne?

- Pewnie. Dawno już się nauczyłem, żeby nie zadzierać z prasą. Zawsze przegrywamy.

Nie zawsze, poprawił go w duchu Carl, ale nie powiedział tego głośno.

Dzień był chłodny, jesienny, a niebo czyste i błękitne. Greg wyprowadził ich na ulicę. Siedzący za kierownicą dżipa sierżant zasalutował i przekazał wóz porucznikowi. Greg usiadł w fotelu kierowcy, Carl wskoczył na tył, oddając Sandy przednie siedzenie pasażera. Leżały na nim złożone w kostkę wojskowe koce i dwa małe chlebaki. W uchwycie przymocowanym do deski rozdzielczej, między przednimi siedzeniami, zwiisał M-14. Do tylnej burty wozu przyczepiono dwa kanistry z

benzyną. Wzdłuż krawężnika zaparkowało jeszcze kilka dżipów, w których teraz zajmowali miejsca inni dziennikarze i fotoreporterzy z obstawą.

- Kiedy rozłoży się dach, mało widać - wyjaśnił Greg. - Dlatego rzadko montuje się tę szmatę. Ale po drodze możecie zmarznąć; koce są do waszej dyspozycji. W chlebakach jest lunch i termosy z kawą. Przykro mi, proszę pani, ale herbaty nie mamy.

- Jakoś to przeżyję - uspokoiła porucznika Sandy. Uśmiechnęła się do Carla i otuliła sobie kocem nogi. - Tu chyba wszyscy potrzebują do życia kawy i papierosów.

- Jeśli chodzi o tytoń, to ja dziękuję - odrzekł Greg i z dyplomatką wyjął poskładaną wielokrotnie mapę. - Można powiedzieć, że mamy dziś szczęście. Wiatr wieje z zachodu, więc możemy spokojnie objechać praktycznie całą wyspę; musimy tylko wyrobić się z powrotem na trzecią. Mam być waszym przewodnikiem i odpowiadać na wszelkie pytania, na jakie zdołam. - Odwrócił się do Carla. - Z rozpiski wynika, że robisz zdjęcia dla londyńskiego „Timesa”, ale nie jesteś Anglikiem, prawda?

- Przyjechałem z Bostonu. Greg pokiwał głową.

- Ja jestem ze Springfield. W zeszłym roku skończyłem uniwersytet w Dartmouth. Przydzielili mnie tu w ramach SKRO.

- Słucham? - zdziwiła się Sandy. - Co to za skrót?

- Szkolenie Korpusu Rezerwy Oficerskiej, całkiem niegłupi program. Wojsko opłacało mi chesne na uczelni, a ja w weekendy i wakacje robiłem szkolenie oficerskie. Kiedy skończyłem studia, dostałem od razu podporucznika. W ten sposób unika się regularnego poboru. Z Bostonu, tak? Chodziłeś tam do college'u?

- Nie - odparł Carl i zawiesił głos. - Za to na początku lat sześćdziesiątych uczyłem się w takiej jednej szkółce... Na uniwersytecie sajgońskim.

- No to mnie zastrzelełeś - przyznał Greg z niepewnym uśmiechem,

- Niezupełnie - wtrąciła Sandy, piorunując Carla wzrokiem. - Coś mi się widzi, że mój fotograf za bardzo się dziś wymądrza. Carl też służył w armii. Wstąpił do wojska po szkole. Wysłali go do Sajgonu w Wietnamie.

- Jasna sprawa! Byłeś w piechocie, tak?

- W piechocie też.

- No, od tamtych czasów dużo się w wojsku zmieniło. Kiedy mnie przydzielali do służby, poprosiłem, żeby wysłali mnie na Manhattan - i udało mi się. Jestem tu prawie od roku i na razie mi się nie znudziło. - Greg obrócił się i wcisnął przycisk

rozzrusznika. - To co, jedziemy się rozejrzeć?

Silnik zaskoczył z dudniącym warkotem. Greg włączył krótkofalówką i przytknął ją do ust.

- Kontrola ruchu, tu Baker czternaście. Jadę Piątą Aleją na południe, odbiór.

- Baker czternaście, bezpiecznej jazdy - zatrzeszczało radio. - Bez odbioru.

Ruszyli Piątą Aleją na południe.

- Na czym polega wasze zadanie tutaj, Greg? - zainteresował się Carl. Greg mówił dużo i chętnie, a słuchało się go tym łatwiej, że nie jechał za szybko. Droga była nierówna - pełna pęknięć i wyrw; gdzieś tam brakowało nawet pokryw studzienek kanalizacyjnych i miejsca te okolono drewnianymi barierkami. W szczelinach jezdni zadomowiła się trawa i Carl nawet żałował, że cały czas jada, bo miał ochotę zrobić zdjęcie: trawa na środku Piątej Alei. Niemal przed każdym budynkiem piętrzyła się sterta gruzu z ozdób i tynków, które przez lata osypały się z fasady.

- Jestem w oddziale porządkowania budynków. Mój pluton każdego dnia wychodzi na ulice i sprawdza dom po domu: szukamy uszkodzeń konstrukcji i pękniętych rur gazowych, a poza tym odłączamy budynki od sieci elektrycznej. Po to, żeby po doprowadzeniu mediów włączać je stopniowo; nie mamy pojęcia, jak instalacja zniesie włączenie prądu po dziesięciu latach przerwy.

- To chyba dość mozolna robota - zauważyła Sandy, sięgając po notatnik.

- Właściwie nawet nie. - Na widok otwartego notesu Greg zjechał do krawężnika. Jedyne dźwięki, jakie dochodziły do ich uszu, było powarkiwanie pracującego na jałowym biegu silnika samochodu i trzaski w radiu. Sandy posłała porucznikowi zaniepokojone spojrzenie, ale Greg się uśmiechał. - Przepraszam, że o tym mówię, ale zanim pojedziemy dalej, chciałbym wyjaśnić kilka spraw; inaczej pół dnia stracimy na ustalaniu, co mówię oficjalnie, a co nie.

- Słuchamy. - Sandy kiwnęła potakująco głową.

- Proponuję przyjąć, że wszystko jest oficjalne, ale nie będziecie cytować mojego nazwiska ani nazwy oddziału. Wystarczy, że powołacie się na oficera z bazy wojsk lotniczych na Manhattanie.

- Nikt się nie domyśli? - spytał Carl.

- Gdzie tam! Poza komandosami mamy tu chyba wszystkie możliwe rodzaje wojsk. Są lotnicy i piechota - to chyba oczywiste - ale mamy też chłopaków z marynarki i Straży Przybrzeżnej. Pracują w porcie i patrolują rzeki. W każdym razie

nawet jeśli to, co powiem, wywoła jakieś zamieszanie, nikt się mnie nie czepi. A tak sobie myślę, że będzie nam w ten sposób łatwiej i przyjemniej. Zgoda?

- Dla mnie w porządku - odparła Sandy i wyjęła długopis.

- Pytaliście o patrolowanie budynków - ciągnął Greg. - Naprawdę uważam, że to ciekawe zajęcie. Nigdy człowiek nie wie, co za chwilę znajdzie; czasem czuję się jak płatny włamywacz. Albo szpieg. Mamy w oddziale takich gości, którzy po wojsku mogą być naprawdę niebezpieczni, gdyby postanowili zostać złodziejami. W niecałą minutę potrafią rozbroić każdy zamek.

- Co robicie, kiedy już wejdziecie do środka?

- Zaczynamy od najwyższego piętra i posuwamy się w dół. W mieszkaniach sprawdzamy na przykład, czy nie zostały żadne cenne rzeczy, które należałoby zabrać i oddać do depozytu - wiecie, jakieś obrazy, antyki, kosztowności. - Odwróciwszy się szybkim ruchem, Greg uśmiechnął się ponownie, tym razem do Carla. - Byliśmy raz w takim drogim biurowcu na Upper East Side. Ktoś w ogromnym pokoju, wielkim jak sala balowa, zainstalował makietę kolejki elektrycznej: bardzo dokładną, elegancką... Nic nie zginęło. Rzadko mi się to zdarza, ale wtedy się cieszyłem, że nie mamy prądu: kilku moich chłopaków wyglądało tak, jakby chcieli cały dzień tam siedzieć i się bawić.

- Czy dużo znajdujecie... ciał? - zagadnęła Sandy, balansując notesem na kolanie.

Greg krótko potrząsnął głową.

- Trochę, ale nie tak dużo, jak mogłoby się wydawać. W 1962 roku większość ludzi zdążyła się jednak ewakuować, a dziś, po dziesięciu latach... Natura zadbała o zwłoki. Jest kilku chłopaków, którzy pracują w rejestracji grobów. Kiedy znajdziemy ludzkie szczątki, zwykle szkielety, zawiadamiamy ich i przejmują sprawę. Notujemy tylko, gdzie je znaleźliśmy i czy można je łatwo zidentyfikować - te informacje idą do Czerwonego Krzyża. A chłopaków od grobów wymienia się rotacyjnie co miesiąc. Bo wiecie, taka robota potrafi dać człowiekowi w tyłek, zwłaszcza jak się trafi na przykład na szkolny schron... W zeszłym miesiącu jeden z moich kumpli był w tunelu metra i znaleźli tam kilka wagonów. W każdym mnóstwo szkieletów. Brr... Podobno cały czas mu się śnią.

- Jeździłeś już jako eskorta po Manhattanie, prawda? - spytał Carl.

- Jasne! - Greg wjechał wolniutko z powrotem na jezdnię. - Kongresma-nów, senatorów, gości z zagranicy, czasem jakiegoś VIP-a, który chce obejrzeć swój stary

apartament przy Parku. Różnych ludzi woziłem, ale wiecie, co wam powiem? Nikt nie przyjeżdża zimą, a szkoda. Manhattan jest wtedy prześliczny, ulice całe w śniegu, cisza jak makiem zasiał. W zimie z jednym facetem z Maine przebiegliśmy sobie na nartach z Bartery Park do Inwood Hill Park na północnym skraju wyspy. Piękna wycieczka. Widzieliśmy nawet sarny po drodze.

- Samy? - powtórzyła z niedowierzaniem Sandy. - Na Manhattanie? - A czemu nie? Kto by im miał przeszkadzać? Znam facetów, którzy ponoć widzieli wilki, chociaż osobiście w to wątpię. Pewnie zdziczałe psy.

- To przez nie wozisz karabin w wozie? - zapytał Carl.

- Ano tak... Dzikie psy; smutne, ale prawdziwe. Po parkach ciągle włóczą się sfory zdziczałych piesków. W bazie jest wprawdzie biuro miłośników zwierząt, ale niewiele mogą zdziałać. - Greg posłał Carlowi smutne spojrzenie. - Na razie wciąż obowiązuje nas rozkaz strzelania do dzikich psów, ale chociaż mamy problemy ze wściekliwością, nie potrafiłbym tego zrobić. Jak je zobaczę, to tylko trąbię albo strzelam w powietrze.

Carl zerkał we wszystkie przecznice, które mijali: wszędzie stały dziesiątki porzuconych samochodów i autobusów.

- Czy dużo ulic jest zablokowanych starymi pojazdami?

- Większość. - Greg podniósł mapę. - Dlatego plan miasta jest taki ważny. Główne arterie, jak na przykład Broadway, są przejezdne, ale przecznice raczej nie. Stopniowo sobie z tym radzimy, ale założę się, że i za rok będą tu tysiące wraków. Co miesiąc dostajemy zaktualizowaną mapę, na której są zaznaczone uprzątnięte ulice.

Greg odłożył mapę i skręcił w prawo, przecinając Czterdziątą Szóstą Wschodnią. Warkot silnika odbijał się echem od wysokich murów. Carl odchylił się na oparcie i podniósł wzrok na puste okna ciągnące się wysoko w górę. Miliony ludzi, pomyślał. Miliony ludzi mieszkały tu, oddychały, jadły, kochały i walczyły. Gdzie są teraz? Większość obozów dla uchodźców w Pensylwanii, New Jersey i Connecticut likwidowano, gdy uciekinierzy stopniowo przenosili się na zachód - do krewnych, przyjaciół, do nowej pracy. Tych, którzy nie mieli się gdzie podziać - starych, niedołączonych, osieroconych - trzymano w nielicznych pozostawionych jeszcze obozach, ale z roku na rok ich liczba malała. Dla tych wszystkich dawnych nowojorczyków powstawały organizacje i wydawnictwa, które pomagały śledzić los dawnych siedzib i dawnych stowarzyszeń. Tysiące ludzi chciały wrócić.

A jeśli wota składane przy Płocie miały w ogóle jakieś znaczenie, tysiące

wciąż czekały.

Greg zwolnił i skręcił w lewo, w Broadway. Carlowi gardło się ścisnęło, gdy zorientował się, dokąd jadą: na Times Square, w miejsce, gdzie krzyżowały się wszystkie drogi świata. Porucznik zatrzymał wóz i wysiedli na środku jezdni, rozglądając się dookoła. Ulice, które zbiegały się w tym miejscu, były szerokie i puste, jeśli nie liczyć dwóch dziupli na południowym skraju placu, gdzie kamerzyści nagrywali właśnie wystąpienia spikerów stacji telewizyjnych.

Carl wyplątał się z pasków aparatu i zaczął robić zdjęcia porzuconym sklepom i kinom. Przy wejściu do jednego z nich, na ścianie, znalazł wyblakły plakat do Barabasa z Anthonyem Quinnem. Odwróciwszy się, ujrzał, jak Sandy rozmawia z Gregiem i zapisuje jego słowa. Ogarnęła go melancholia na myśl o tym, że taka piękna, inteligentna i utalentowana kobieta ze spokojnego kraju robi notatki o martwym mieście - najwspanialszym mieście Stanów Zjednoczonych. Wykonywała swoją pracę, nic więcej; musiał też szczerze przyznać, że nie wyglądała przynajmniej na wiecznie zadowoloną z siebie mistrzynię dziennikarstwa, w przeciwieństwie do wymuskanych Niemców i Japończyków. Patrząc na nich, słuchając ich śmiechu, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że... że odczuwają satysfakcję. W poprzedniej wojnie światowej amerykańskie bomby spadały na ich miasta i fabryki, amerykańskie pociski zabijały ich rodaków. A teraz, choć Carl zdawał sobie sprawę, że jest niesprawiedliwy, wyglądało na to, że cieszą się z tego, co przydarzyło się Stanom; cieszą się, że mimo upływu dziesięciu lat ich największe miasto wciąż zamieszkują duchy. W 1955 roku Berlin i Tokio kwitły, czego nie dałoby się powiedzieć o Nowym Jorku w 1972.

Wrócił do robienia zdjęć. Skręcił w Czterdziestą Pierwszą Zachodnią i sfotografował porzucone samochody: powietrze uszło z opon, lakier na karoserii zbladł. Dalej stały autobus i kilka taksówek, ale postanowił się do nich zanadto nie zbliżać: nie miał ochoty sprawdzać, czy ktoś w nich jeszcze siedzi.

Za rogiem znajdował się budynek -jakżeż on się nazywał? - z wyświetlaczem, na którym na bieżąco pojawiały się najświeższe wiadomości; zawsze pokazywali go na filmach. Carl poszedł za Sandy i Gregiem na północ. Minęli kilka przecznic. Po drugiej stronie ulicy, za ogrodzeniem, stał pomnik żołnierza w mundurze z pierwszej wojny światowej. Na postumencie widniało wyryte nazwisko: OJCIEC DUFFY. Duffy walczył w słynnej Tęczowej Dywizji w wojnie, którą nazywano po prostu „wielką”, przynajmniej dopóki nie przysłała moda na to, żeby je numerować. Carl

zrobił kilka zdjęć pomnikowi - najbardziej zadowolony był z tych, które przedstawiały Grega w mundurze polowym na tle ojca Duffy'ego.

- Gdzie teraz pojedziemy? - spytała Sandy Grega, gdy Carl do nich dołączył.

-A co proponujesz? - odpowiedział pytaniem porucznik.

Sandy nie dała się długo prosić:

- Może do siedziby ONZ?

- Proszę bardzo. - Greg odpiął krótkofalówkę od pasa. - Ale nie wolno wchodzić do środka. To zbyt niebezpieczne. - Podniósł nadajnik do ust. -Kontrola ruchu, tu Baker czternaście, odbiór.

- Tu kontrola ruchu, odbiór.

- Jadę na wschód Pierwszą Aleją, odbiór.

- Przyjąłem.

Greg schował krótkofalówkę do skórzanej sakiewki przy pasie.

- Muszą tak pilnować ruchu pojazdów w mieście? - spytał Carl.

- Pewnie. - Ruszyli w stronę samochodu. - To rozsądne. Gdyby radio się zepsuło albo mielibyśmy wypadek, nie wiem, wpadlibyśmy kołem w studzienkę, byłoby miło wiedzieć, że ktoś ma pojęcie, gdzie nas szukać. A gdybyśmy nagle potrzebowali posiłków, radio może nam uratować życie.

- Jakich posiłków? - zaciekała się Sandy.

- Jakichkolwiek - zbył ją Greg, ale jego twarz stężała na moment, co nie uszło uwagi Carla.

Jadąc Czterdziestą Drugą Zachodnią, przecięli Piątą Aleję, z której również uprzątnięto wraki pojazdów. Kiedy mijali remizę przy Trzeciej Alei, Greg zatrąbił na strażaków myjących przy krawężniku dwa czerwone samochody. Strażacy pomachali im w odpowiedzi; kilku gwizdnęło z podziwem na widok kobiety w dżipie.

- Ci to mają dopiero ciężką robotę. - Greg musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć głośno pracujący silnik. - Jeżeli ogień wyrwie się spod kontroli, może za jednym zamachem strawić dwa, trzy kwartały domów. W 65., podczas wielkiego pożaru w Harlemlie, trzeba było ściągnąć z zachodu samolot do gaszenia lasów.

Dwukrotnie minęli na swej drodze oddziały saperów skupione przy włączach do kanałów.

- Też niewdzięczna praca - odezwał się Greg. - Ale ktoś ją musi wykonać. Zwolnił, skręcił w Pierwszą Aleję i znaleźli się na miejscu: ogrodzenie z drutu

kolczastego otaczało plac z dwoma charakterystycznymi budynkami Organizacji Narodów Zjednoczonych. Mimo znacznej odległości, jaka ich od nich dzieliła, Carl dostrzegł powybijane okna i olbrzymie czarne ślady po ogniu na bocznej ścianie sekretariatu. Stojący po lewej gmach z salą obrad był mniej zniszczony. Greg zaparkował samochód przy krawężniku, tuż pod płotem, za którym zaczynał się długi łukowaty podjazd prowadzący do siedziby ONZ. Kiedy zgasł silnik dzipa, Carl wychwycił w ciszy delikatny, metaliczny dźwięk. Nie miał pojęcia, skąd mógłby pochodzić. Za gmachami ONZ płynęła East River, dalej widać było Welfare Island, a po drugiej stronie rzeki wypalone ruiny i sterty gruzu pozostałe z Queens.

Wysiedli. Carl zrobił dwa zdjęcia, ale niemal absolutna cisza w tak wielkim mieście coraz bardziej działała mu na nerwy. Sandy otarła pot z czoła.

- Co się tutaj stało? - zagadnęła. Greg skrzyżował ramiona na piersi.

- Po zbombardowaniu Queens i lotniska Idlewild dziesiątki tysięcy ludzi uciekały tymi ulicami, w większości pieszo. Tłum zmieszał się z uchodźcami z Brooklynu; ludzie byli wystraszeni i wściekli - niektórzy tak bardzo, że dotarli aż tutaj, do siedziby ONZ, żeby zlinczować wszystkich rosyjskich dyplomatów, którzy wpadną im w ręce. Nie wiem, czy kogoś znaleźli, ale oba budynki splądrowali i podpalili.

- Na pewno nie dałoby się wejść i zrobić kilku zdjęć? - upierał się Carl.

- Przykro mi, ale nie. - Porucznik pokręcił głową. - Po pożarze i tylu latach bez opieki budynki stanowią duże zagrożenie. Poza tym... No, trudno w to uwierzyć, ale wolimy się tam nie zapuszczać. To teren Narodów Zjednoczonych, nie nasz; zaraz po przybyciu na Manhattan wojsko postawiło ten płot.

Carl opuścił aparat i patrząc na ogromne gmaszyska, usiłował sobie przypomnieć, jak na początku lat pięćdziesiątych oddawano je do użytku, a on, dzieciak jeszcze, wyobrażał sobie, że staną się siedzibą organizacji, która zakaze wszelkich wojen. Cóż, Korea i Kuba popsują trochę ten eksperyment ze światowym pokojem, a ONZ przeniosła się z powrotem do Genewy. Działała w dalszym ciągu, szczególnie nacisk kładąc na prace Agencji Rozbrojeniowej w Chinach i dawnym Związku Radzieckim, która usiłowała odszukać zapodzione gdzieś na świecie egzemplarze broni atomowej. Poza tym zorganizowała i utrzymywała ogromne obozy dla uchodźców we wschodniej części Europy i wzdłuż granic sowieckiego imperium, a także pomagała Hiszpanii zarządzać jej protektoratem -Kubą. A Stany Zjednoczone... Kraj, który w latach czterdziestych przyczynił się do powstania ONZ, dopiero przed

rokiem uzyskał status obserwatora - a i to po ciągnących się miesiącami dyskusjach w Genewie, Londynie, Berlinie, Paryżu i Tokio.

Carl wciąż starał się zidentyfikować ciche dzwonienie, gdy dobiegł go napięty głos Sandy:

- Czy wasze dozymetry też coś wskazują? Na Times Square pokazywał zero, teraz wskazówka jest na jedynce.

Carl i Greg jednakowym ruchem sięgnęli po swoje SRPD, podnosząc je pod światło.

- U mnie też jest jedna kreska - stwierdził Carl, Greg zaś dodał:

- U mnie już dwie. To znak, że czas się stąd wynosić. Wrócili do dżipa.

- Czy to niebezpieczne? - zaniepokoiła się Sandy.

- Nie, na razie nic się nie dzieje. - Greg sadził się już za kierownicą. - Pewnie gdzieś w pobliżu jest kilka mocno promieniujących kawałków gruntu; wczorajszy wiatr naniósł trochę radioaktywnego pyłu i tyle. Wskazania musiałyby być dziesięć albo i dwadzieścia razy wyższe, żeby było się czym martwić. Ale i tak uważam, że lepiej już jechać na zachód. Dokąd teraz?

- Na razie to my prosiliśmy, żebyś nas tu przywiózł - rzekł Carl, zanim Sandy zdążyła się odezwać. - Może pokazałbyś nam jakieś miejsce według własnego uznania? Takie bardziej osobiste, co?

Sandy uśmiechnęła się, a Greg z namysłem skinął głową.

- W porządku. - Wziął krótkofalówkę do ręki. - Kontrola ruchu, tu Baker czternaście. Jadę na południowy zachód.

- Przyjąłem, Baker czternaście.

Kiedy Greg sięgnął do przycisku rozrusznika, Carl wreszcie zlokalizował źródło niepokojącego go dźwięku: dzwoniły stalowe linki na stojących przed drugim gmachem ONZ masztach. U ich szczytów powiewały wyblakłe strzępy materiału - niegdyś flagi dumnych krajów, z których część przestała istnieć.

Tym razem podczas jazdy Carlowi zrobiło się zimno i musiał okryć nogi kocem. Cały czas miał wrażenie, że Gregowi się spieszy, gdyż prowadził bardzo szybko i nie dało się już swobodnie rozmawiać. Nawet Sandy zamilkła i skuliła się na przednim siedzeniu. Carl zresztą również czuł się nieswojo, porażała go skala widowiska: ogromna wyspa, drapacze chmur, sklepy, stacje metra, parki, ulice - i ani żywego ducha. Gdzieś z przodu sfora psów przebiegła przez ulicę; Greg zatrąbił kilka

razy. Witryny sklepowe i powybijane okna zlewały się w jedną rozmazaną smugę, gdy dżip pędził ulicami, ale tu i tam Carlowi rzuciły się w oczy napisy wymalowane farbą na murach i ścianach autobusów. Niektóre z nich wyglądały na całkiem świeże.

Było wśród nich kilka odmian: ŻOŁNIERZE! ZOSTAWCIE NAS W SPOKOJU!, JANKESI DO DOMU!, parę PRZEPROŚCIE!, jeden DZIEŃ ODRODZENIA JEST BLISKI i stary, spłowiały na słońcu BIURO CZERWONEGO KRZYŻA: TOMPKINS SQUARE. Było również sporo niezwykłych symboli i pojedynczych liter w jaskrawych kolorach. Jeden ze znaków przedstawiający trzy okręgi połączone falującą linią wpadł Carlowi w oko co najmniej trzykrotnie i wydał mu się dziwnie znajomy, choć nie wiedział dlaczego.

Na bocznej ścianie domu przy alei Bowery półtorametrowej wysokości literami ktoś napisał dwa słowa: ON ŻYJE.

Nawet tutaj, pomyślał Carl, dochodząc do wniosku, że podoba mu się ten widok. Nawet tu w niego wierzą.

Wjechali do parku ze stojącym pośrodku kamiennym, ozdobnym łukiem. Greg podjechał pod samą budowlę i wyłączył silnik. Odchylił się wygodnie w fotelu.

- Witani w parku Waszyngtona - oznajmił. - To moje ulubione miejsce, a wiecie dlaczego? Ze względu na to, co się tu stało w przeszłości, i co się stanie za parę miesięcy. 30 kwietnia 1789 roku Waszyngton został tu zaprzysiężony jako nasz pierwszy prezydent. Wtedy Nowy Jork był przez krótki czas stolicą Stanów, dopiero rok później przeniesiono ją do Filadelfii. Ironia losu, nieprawdaż? - Usadowił się wygodniej i mówił dalej: - To, co teraz wam powiem, to właściwie tylko pogłoski, więc jeśli zdecydujecie się je wykorzystać, nie podawajcie nikogo z bazy jako źródła informacji, dobrze?

- Nie każ nam czekać, Greg - odparła Sandy. - Słuchamy.

- To jeszcze nic pewnego, ale w dowództwie już zaczęły się przygotowania do uroczystości. W styczniu Nelson Rockefeller zostanie tu zaprzysiężony na stanowisko prezydenta. W ten sposób ma pokazać światu, że naprawdę jesteśmy o krok od powrotu do Nowego Jorku.

Greg wykonał szeroki gest ramionami.

- Wyobrażacie sobie, jak tu będzie za te kilka miesięcy? Domy zamieszkane, prąd i woda podłączone, wszędzie flagi, festony, gwardia honorowa, gazety, radia i telewizje z całego świata, a tu, pod tym łukiem, Rockefeller złoży przysięgę. To będzie wspaniały widok; będę miał co opowiadać wnukom. Carl otulił ciałem nogi

kocem.

- Pozostaje tylko drobny problem wyborów - zauważył.
- Och, on na pewno wygra - roześmiał się Greg. - Bez dwóch zdań.
- Cieszysz się z tego, prawda? - Sandy nachyliła się ku niemu. Porucznik

wzruszył ramionami.

- Nie ja jeden. Obiecuje skoncentrować się na operacjach humanitarnych i odbudowie kraju i nie mieszać się w sprawy zagraniczne. McGovern chciałby zmniejszyć liczebność armii i wrócić do ONZ, zaufać międzynarodowym traktatom. Miałem wujka, który w 1962 roku służył w wojsku i stacjonował w Berlinie Zachodnim. Kiedy wybuchła wojna, Armia Czerwona i Niemcy ze wschodu wkroczyli do Berlina; los żołnierzy z tego garnizonu do dziś pozostaje nieznanym, jakby się pod ziemię zapadli. Dla mnie to wystarczający argument, żeby głosować na kogoś, kto woli nie wychylać się za granicę.

- Widzieliście?! - wykrzyknęła Sandy, prostując się nagle na fotelu.

-Widzieliście to?!

Obaj mężczyźni wychylili się w przód.

- Co takiego?

- Teraz go już nie widać! Po drugiej stronie parku, przy tym budynku, który wygląda jak uniwersytet... Chodnikiem szedł człowiek, ale chyba nas zobaczył, bo skręcił w boczną uliczkę. Zobaczymy kto to? Myślisz, że jakiś szabrownik?

Greg uruchomił silnik.

- Co do twojego drugiego pytania: wątpię, żeby był szabrownikiem, bo oni zwykle wychodzą na miasto w nocy. A co do pierwszego: nie. Nie ścigamy już ludzi. Jeżeli chcą się poddać, proszę bardzo, ale poza tym nie wchodzimy im w drogę.

Carlowi przypomniał sobie, co widział wieczorem z dachu hotelu: śmigłowiec ze szperaczem i oddział snajperów, sprzęt w piwnicy. Nic nie powiedział.

- Co powiecie na lunch w Bartery Park? - zaproponował Greg. - Zobaczymy, jak odbudowują Statuę Wolności. Odkąd jej ręka...

- Baker czternaście, Baker czternaście! - zatrzeszczało radio innym niż poprzednio głosem. - Tu kontrola ruchu, odbiór.

Porucznik zatrzymał samochód i sięgnął po krótkofalówkę.

- Tu Baker czternaście, zgłaszam się, odbiór.

- Baker czternaście, podjedź na skrzyżowanie Greenwich Street i Siódmej lei.

Ekipie pomiarowej skończyła się benzyna, dasz im swój kanister, odbiór.

Greg posłał Carlowi i Sandy rozbawione spojrzenie i rzucił głośnym szeptem:

- Często tak bywa, jak się chłopakom spieszy: wyjeżdżają z parkingu, a nie spojrzą na wskaźnik paliwa. - Włączył mikrofon i dodał już głośniej: -Baker czternaście, przyjąłem, odbiór.

- To daleko stąd? - spytała Sandy.

- Kilka przecznic. Zjemy lunch kwadrans później.

Carl rozgrzewał ręce pod kocem. Greg ruszył, przyspieszył i ruszył na zachód, w stronę niskich zabudowań Greenwich Village. Wypadli na Siódmą Aleję i skierowali się na północ, a kiedy skręcili w Greenwich Street, Greg zahamował gwałtownie: ulica była zablokowana splątaną masą złomu - wrakami starych taksówek i ogromnej cysterny. Porucznik sięgnął po mapę.

- Dziwne - mruknął cicho. - Na planie jest przejezdna od miesięcy. Nie powinno tu być żadnych samochodów.

Carl poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

- Greg! - rzucił ostro, pochylając się do kierowcy. - Zjeżdżajmy stąd!

- Co ci się, do diabła... - zaczęła Sandy, ale Carl nie dał jej skończyć.

- Poruczniku! - ryknął. - Dupę w troki i zbieramy się stąd!

Greg wypuścił z rąk plan miasta i błyskawicznym gestem wrzucił wsteczny bieg, gdy pierwsza kula z wizgiem rykoszetowała na masce dżipa. Drugi pocisk roztrzaskał przednią szybę.

Trzecia kula oderwała porucznikowi Gregowi Loomisowi czubek głowy.

Rozległy się jeszcze dwa strzały. Dżip jechał jeszcze chwilę do tyłu, wskoczył na krawężnik, uderzył w coś - w hydrant pożarowy albo inny samochód - i przewrócił się na bok. Carl upadł na ziemię obok krzyczącej wniebogłosy Sandy Price.

Odgłos strzałów sprawił, że zaszła w nim natychmiastowa zmiana: wszystko widział, słyszał i czuł znacznie ostrzej niż zwykle - zarówno ogłuszający huk karabinów, jak i popękany asfalt, na którym leżał. Złapał Sandy za rękę i pociągnął ją pod osłonę leżącego samochodu. Zerknął na Grega uwięzionego za kierownicą: porucznik patrzył niewidzącym wzrokiem w dal, a tylna część jego czaszki zmieniła się w paskudną masę kości, krwi i mózgu. Carl chciał przez chwilę wyjąć M-14 z uchwytu obok kierowcy, ale na widok blokującego karabin zapięcia zrezygnował: nie miał czasu ani ochoty, że w kieszeniach munduru Grega szukać kluczyka. Porwał więc krótkofalówkę, mapę, swój plecak i oba chlebaki.

- Nic ci się nie stało? - wyszeptał chrapliwie do ucha Sandy, chwytając ją pod ramię.

- Nie... nie... - Jej głos drżał. - Boże, Carl...

- Ćśś - uciszył ją ostro i podał jej dwa koce. - Nie zgub ich. Musimy stąd uciekać.

- Co takiego?! - zaprotestowała Sandy. - Strzelają do nas!

Wcisnął jej koce w ręce, wyjrzał zza dżipa na ulicę i zobaczył otwarte drzwi pobliskiego sklepu. Sandy zwinęła koce i wzięła je pod pachę. Dał jej znak ręką, żeby podczołgała się bliżej.

- Do tych drzwi - rzucił krótko. - Nie podnoś głowy.

Bez przeszkód pokonali półtora metra otwartej przestrzeni i wpadli do małego sklepiku spożywczego. Półki były puste i zakurzone, a w powietrzu unosiła się kwaśna woń, ale Carla nic a nic to nie obchodziło. Żył, to się teraz liczyło. Sandy też żyła. I chwilowo nikt do nich nie strzelał.

Sam się zdziwił, że zachowuje taki spokój.

- Carl, możemy chwilę odpocząć? - zapytała błagalnie Sandy pół godziny później.

Sprawdził dokładnie mieszkanie, w którym się znajdowali - na pierwszym

piętrze, dwie przecznice od miejsca zasadzki. Sandy usiadła na podłodze, oparła się plecami o ścianę i wyczerpana zwiesiła smutno głowę. Carl, również wykończony, odpowiedział tylko skinieniem głowy. Ostatnie trzydzieści minut biegli wąskimi zaułkami, skakali po dachach, czołgali się i wspinali na góry gruzu pośród rozsypujących się budynków. Teraz znaleźli się w pięciopiętrowej kamienicy czynszowej na Perry Street. Dwie przecznice dalej ciągnęła się Siódma Aleja, oczyszczona z wraków i całkowicie przejezdna. Na rogu znajdowała się knajpa z szyldem OPEN ROAD BAR.

Nieduże mieszkanie sprawiało wrażenie, jakby przed laty mieszkał w nim jakiś artysta malarz. Carl i Sandy siedzieli w salonie z drewnianą podłogą i ogromnymi oknami. W kącie stało kilka par sztalug, leżały tubki wyschniętej farby, pędzle i zszarzałe płótna, a deski podłogi były osłonięte wielkimi płachtami materiału. W miejscach, gdzie długimi pasami zerwano ze ścian tapetę, wyzierały nagie, wybrzuszone tynki. Obok pokoju znajdowała się mała kuchnia i chyba jeszcze mniejsza łazienka. Carl zajrzał do łazienki zaraz po wejściu, ale natychmiast zamknął drzwi: owinięta kocami leżała tam jakaś skulona sylwetka, której wcale nie zamierzał się przyglądać z bliska.

- Czemu te domy tak wyglądają? - spytała drżącym głosem Sandy. Carl stanął przy oknie, zerkając spoza pleśniejących, sięgających ziemi

zasłon na ulicę. Niektórych szyb w oknie brakowało i zimny powietrze ciągnęło mu po nogach. To chyba wstrząs, pomyślał; musi być w szoku, żeby zadawać takie pytania.

- Pytałam, czemu domy tak wyglądają, Carl. Mało nie zabiliśmy się na schodach.

- Wyobraź sobie, że zostawiasz je same sobie na rok, że nikt ich nie pilnuje i nie remontuje - odparł Carl, nie odwracając się od okna. - Szambo wybija, studzienki zapychają się liśćmi, woda zaczyna cieknąć po ścianach; okna się wypaczają, wiatr hula po pokojach i nanosi śnieg; woda zamarza i rozsadza podłogi, a latem wszystko zaczyna gnić. To tylko rok, a tu upłynęło dziesięć lat. Właściwie to aż dziwne, że więcej budynków się nie zawaliło.

Na ulicy panował absolutny spokój, tylko gołębie kręciły się po chodnikach i wśród nieruchomych aut. Gdzieś w oddali czekały psy. Carl cofnął się od okna, uklęknął obok Sandy i ujął jej głowę w dłoń.

- Dobrze się czujesz?

Łzy płynęły jej po policzkach.

- Jezu, tak się bałam... Nigdy... Nikt do mnie jeszcze nie strzelał... Czy moglibyśmy wezwać pomoc przez radio? Zawiadomić bazę? Przyjechaliby po nas, prawda?

Pogłaskał ją delikatnie i podszedł do złożonych w kącie koców i chlebaków, gdzie zostawił plan miasta i krótkofalówkę.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - odparł łagodnie. Sandy otarła oczy drżącymi rękoma.

- Jak to nie, do cholery?

- Bo nie wiemy, kto by nas usłyszał.

Opuściła ręce i spojrzała na niego rozszerzonymi z niedowierzania oczyma.

- Co masz na myśli?

- Chciałbym, żeby ci, którzy do nas strzelali, okazali się zwykłymi rabusiami, Sandy, ale boję się, że tak nie było: wpadliśmy w zaplanowaną zasadzkę. - Carl wziął do ręki krótkofalówkę. - A ten, kto się zgłosił do nas przez radio, o wszystkim wiedział.

Sandy wstała i podeszła do niego, patrząc na krótkofalówkę jak na przerażający twór obcej cywilizacji.

- Jesteś pewien?

- Boże, chciałbym się mylić, ale sama pomyśl: co tam się stało? Grego-wi kazano jechać pod wskazany adres, prawda? A czy na miejscu czekali na nas ludzie z ekipy pomiarowej?

Sandy wolno pokręciła głową.

- Nie. A zanim zaczęła się strzelanina, Greg... powiedział, że na mapie ta ulica jest czysta.

- Właśnie, a była zablokowana. Gdybyśmy mieli dość czasu, pewnie można by sprawdzić, że wszystkie te samochody całkiem niedawno zostały tam przestawione. Z tego wynika, że ktoś, kto tę akcję zaplanował, potrafi przestawiać stare wraki i może wysyłać fałszywe wiadomości radiowe. A wszystko to w samym środku kontrolowanej przez wojsko strefy. To chyba wyklucza szabrowników, nie sądzisz?

- Mój Boże... - wyszeptała Sandy, krzyżując ramiona. - Co teraz zrobimy? Wrócimy pieszo do Central Parku?

Carl wyjrzał na ulicę: była pusta, wiatr przeganiał po jezdni jakieś papiery.

- To byłby długi spacer, ponad pięćdziesiąt przecznic. A niedługo się ściemni. Wolałbym dziś się tam nie wybierać. Moglibyśmy napatoczyć się na psy albo naszego znajomego snajpera.

Sandy wzdygnęła się, rozcierając ramiona. Łzy znów wezbrały jej w oczach.

- Carl... Jezu Chryste, to jest jak sen, jak ten sen, o którym ci opowiadałam. Sama na Manhattanie, w nocy, słyszę, jak psy się zbliżają...

- Przestań śnić - przerwał jej Carl, starając się mówić spokojnie. - Tak samo jak twoja babka z Południowej Afryki, nie jesteś sama. A ja nie pozwolę, żeby coś ci się przydarzyło. Możemy zrobić kilka rzeczy.

- Na przykład?

- Wariant pierwszy. - Carl podniósł krótkofalówkę. - Możemy wezwać pomoc, tylko powiedzcie im, że jesteśmy gdzieś indziej niż naprawdę. A potem obserwować tamto miejsce i patrzeć, kto się zjawi. Jeśli wojsko, wybiegamy na ulicę i robimy zamieszanie; może ta pułapka była tylko jednorazowym wybrykiem.

- A jeśli sprawy nie będą wyglądały tak różowo?

- Wtedy realizujemy wariant drugi.

Sandy otarła oczy i uśmiechnęła się niepewnie.

- Prawdziwy Amerykanin: na zawołanie ma mnóstwo planów i pomysłów. Dalej, śmiało. Dokąd ich wyślemy?

- Tam dalej jest knajpa z grillem. - Carl ruchem ręki wskazał Open Road Bar. - To dobre miejsce.

Sandy skinęła głową na znak zgody i Carl pstryknął przełącznikiem radia.

- Kontrola ruchu, kontrola ruchu, zgłoś się. Kontrola ruchu, zgłoś się.

Odpowiedź nadeszła natychmiast:

- Tu kontrola ruchu do niezidentyfikowanego nadawcy. Kto mówi, odbiór?

- Kontrola ruchu, tu ekipa „Timesa” przydzielona do porucznika Loo-misa. -

Carl zerknął na Sandy. - Mieliliśmy wypadek, porucznik Loomis nie żyje. Odbiór.

- Proszę powtórzyć, odbiór. - Głos kontrolera brzmiał cokolwiek sceptycznie.

- Powtarzam: porucznik Loomis nie żyje. Zaszliśmy się w barze w Greenwich Village. Potrzebujemy pomocy.

- Podajcie adres, odbiór.

Carl wyrwał przez okno i spojrzał na mapę.

- Open Road Bar, parter, na rogu Siódmej Alei i Perry Street. Powtarzam: róg Siódmej Alei i Perry Street, Open Road Bar, parter.

- Zrozumiałem, „Times”. Pomoc w drodze. Bez odbioru. Carl wyłączył radio.
- A teraz zobaczymy, co się wydarzy.

Przełożył zawartość jednego z chlebaków do plecaka, do którego przymocował też koce. Wyciągnął kaburę z koltem i przypiął ją do pasa. Sandy wytrzeszczyła oczy.

- Skąd go masz?
- Z wojska. Zaczekaj chwilę, dobrze?

Schowwał się za zasłonami i podniósł do oczu małą lornetkę.

- Ile jeszcze? - spytała Sandy.

Rozległ się warkot silnika, a właściwie kilku silników.

- Chyba już niedługo.

Przez lornetkę mógł spokojnie obserwować wejście do baru, dzięki czemu już po chwili poczuł, jak lodowata kula zaciska mu się w żołądku.

Z dwóch dzipów wyskoczyli żołnierze - w mundurach polowych bez oznaczeń, czapkach z daszkiem i czarnych kominiarkach. Wszyscy mieli karabiny. Błyskawicznie zajęli pozycje, porozumiewając się tylko gestami. Przyczaili się i schylili głowy, gdy jeden z nich uchylił drzwi baru i wrzucił coś do środka. Głośny grzmot wstrząsnął całą ulicą; z okien baru trysnęło szkło.

Sandy powiedziała coś, czego Carl w ogłuszającym łoskocie nie zrozumiał. Patrzył dalej i podziwiał chłodny profesjonalizm żołnierzy. Widział, że są dobrzy - cholernie dobrzy w swoim fachu.

Z krzykiem wpadli do środka i natychmiast rozległy się strzały. Spłoszone gołębie poderwały się do lotu. Carl odjął lornetkę od oczu i spuścił głowę. Roztrzęsiona Sandy stała obok niego z dłonią przytkniętą do ust. Płakała.

Pogłaskał ją po policzku.

- Czas na wariant drugi.

W niespełną minutę ewakuowali się z mieszkania, zostawiając za sobą wyłączoną krótkofalówkę. Sandy chciała ją wziąć, ale Carl ją powstrzymał: -Zostaw. Następnym razem mogą namierzyć sygnał.

- Ale...
- Jeśli im się uda, będziemy martwi. Chodź.

Dwie godziny zajęło im przemieszczenie się o trzy przecznice w kierunku Barrow Street. Carlowi głowa pękała z bólu, a Sandy miała twarz szarą ze strachu i

zmęczenia. Poruszali się wolno, od domu do domu, przemykali się uliczkami, po dachach i przez małe zamknięte podwórca. Czasem Carl przystawał, podnosił palec do ust i nasłuchiwał: dwa razy usłyszał warkot samochodu: dżipy krążyły po większych arteriach Greenwich Village. Starał się trzymać nieprzejezdnych ulic, żeby zachować choćby najmniejszą przewagę nad zmotoryzowanymi patrolami.

Gdzieś po drodze zgubili dozymetry, z czego Carl w duchu się cieszył. Sprawdzanie ich zajmowało mnóstwo czasu, a ewentualna niewielka dawka promieniowania naprawdę była teraz najmniej ważna. Na jednej z szerszych ulic stanęli jak wryci, słysząc wściekle ujadanie: wolno zbliżało się w ich stronę stado złożone z pięciu czy sześciu psów - chudych jak szkielety, ze skołtunioną brudną sierścią.

Carl odruchowo pomyślał o rewolwerze i hałasie, jakiego by narobił, strzelając, więc zamiast po broń sięgnął po leżący na jezdni kawał deski. Cisnął nim w psy - dwa z nich uchyliły się odruchowo, ale nie przestawały napierać; z obnażonymi zębami podchodziły coraz bliżej. W tej samej chwili, gdy zdecydowały się zaatakować, Carl wepchnął Sandy do wnętrza najbliższego budynku i zatrzasnął za nimi drzwi. Z ulicy dobiegało teraz szczekanie i chrobot pazurów o deski.

- Już dobrze, Sandy - pocieszył szlochającą dziennikarkę. - Poszukamy sobie teraz miejsca na noc.

Przyświecając sobie latarką, weszli po schodach na górę, trzymając się blisko ściany. Carl zignorował dwa mieszkania na parterze, uznając, że zwierzęta zbyt łatwo mogłyby się do nich dostać. Wyłamawszy dobrze mierzonymi kopniakami drzwi mieszkań na pierwszym piętrze, stwierdził, że w obu okna są powybijane. Dopiero piętro wyżej znalazł jakie takie lokum. Zgasił latarkę.

- Co teraz? - spytała Sandy, wchodząc za nim do pokoju i rozcierając zziębnięte ramiona.

- Posiedzimy chwilę i coś zjemy. Potem pomyślimy co dalej. -Carl...

- Sandy, słońce zaraz zajdzie. Zanim zupełnie się ściemni, chcę się upewnić, że możemy tu bezpiecznie zostać.

Skinęła głową i odwróciła się do niego plecami. Zdawał sobie sprawę, że potraktował ją zbyt obcesowo, ale nic nie mógł na to poradzić. Dawne nawyki i doświadczenia wracały z pełną mocą, domagając się jego całkowitej, niepodzielnej uwagi. Wydawało mu się, że przez cztery lata życia w cywilu zbudował barierę, która na dobre odizoluje go od doświadczeń z linii frontu, ale bariera okazała się równie

trwała jak wał przeciwpowodziowy ulepiony z cukru.

Salon był całkiem okazałych rozmiarów. Stała w nim kanapa, trzy krzesła i fotel przy oknie, które wychodziło na biegnącą dołem ulicę. Z tyłu znajdowała się kuchnia: posadzka była brudna i lepka, a blat pokryty kurzem i odchodami jakichś niedużych zwierząt. Do łazienki Carl nie zaglądał, pchnął za to następne drzwi, prowadzące do sypialni. Łóżko się zapadło, a błysk latarki pozwolił mu odkryć, w których miejscach wśród materaców i pościeli zagnieździły się szczury. Wzdrygnął się i starannie zamknął drzwi. Następne - prowadzące zapewne do drugiej sypialni - zostały od wewnątrz zaklinowane i postanowił nie otwierać ich na siłę.

Wrócił przez kuchnię do salonu. Ściemniło się. Poza chlebakiem, który oddał Sandy, cały ich bagaż leżał na środku podłogi, na starym ozdobnie obrębionym chodniku. Drzwi na schody stały otworem.

I nigdzie nie było Sandy.

- Sandy? - rzucił w ciemność. - Sandy? - powtórzył głośniejsze.

Z koltem w jednej i latarką w drugiej ręce podszedł do drzwi wejściowych - i prawie zderzył się z Sandy, która właśnie weszła po schodach.

- Ach, tu jesteś - rzuciła z ulgą, trochę zbyt beztruskim głosem, jakby zmuszała się do zabawy w wielką przygodę na Manhattanie. - Obejrzałam kilka mieszkań i patrz, co znalazłam.

W dłoniach niosła całe naręczne świece.

Chciał złapać ją za rękę, mocno potrząsnąć i zapytać, dlaczego, do ciężkiej cholery, wyszła z mieszkania, nic mu o tym nie mówiąc; chciał zapytać, co by było, gdyby zapadła się pod nią przegniła podłoga; albo gdyby zaczęły ją gonić psy albo szczury; albo gdyby wpadła na szabrownika czy któregoś z uzbrojonych ludzi, którzy właśnie na nich polowali.

Ale tylko odetchnął głęboko i odparł:

- Świetnie, Sandy. Przydadzą się.

Za pomocą małego młotka i garści gwoździ, które znalazł w kuchni w skrzynce z narzędziami, Carl zasłonił okno kocem i dopiero wtedy zapalił parę świec. Później spędził kilka strasznych, samotnych chwil na ulicy, żeby sprawdzić, czy na zewnątrz nie przesącza się poświata, która mogłaby ich zdradzić.

Usiedli po turecku na podłodze. Rozglądając się spokojnie po swojej nowej kryjówce, zaczęli w migotliwym blasku świec dostrzegać szczegóły, które wcześniej

uszy ich uwagi. Regały z książkami we wnękach, rodzinne zdjęcia na ścianie, stojak na nuty, pokrowiec na skrzypce, stosik listów, rachunków i prasy na stoliku przy drzwiach. Sandy przejrzała kilka z nich i znalazła między innymi numer „Time'a” z października 1962 roku. Podarta teraz okładka przedstawiała dyrektora szkoły Philips Andover.

- Popatrz tylko - rzekła Sandy. - Tydzień do wojny atomowej, a na okładce największego magazynu zapowiadają artykuł o prywatnych szkołach. O czym oni wtedy myśleli?

- O niczym.

- Musimy porozmawiać, Carl. Muszę się dowiedzieć, co się stało, dlaczego zostaliśmy napadnięci... Czy to możliwe, że im chodziło o Grega?

Głowa wciąż bolała go niemiłosiernie, a czekało go jeszcze tyle roboty: chciał dla pewności drugi raz obejrzeć mieszkanie i zrobić spis zapasów, którymi dysponują, ale zmienił zdanie, widząc w oczach Sandy ten błysk charakteryzujący dziennikarza, który natychmiast musi poznać fakty.

- Nie sądzą, żeby chcieli dorwać Grega - odpowiedział. - A to oznacza, że polowali na nas. Przepraszam cię, Sandy, ale wydaje mi się, że to moja wina.

- Jak to: twoja wina? Za co mnie przepraszasz? Carl uklęknął przy swoim chlebaku.

- Przepraszam za to, że zachowałem się jak idiota. Wczoraj w nocy... Poza tym, że cudownie spędziliśmy czas, sporo też rozmawialiśmy, o wsiach potiomkinowskich, naszych i waszych komandosach na Manhattanie. Niespełna dzień później omal nie zginęliśmy. I to dwukrotnie, jeśli liczyć tę akcję w barze. Niezły zbieg okoliczności, nie uważasz?

Sandy splotła mocno palce, jakby chciała powstrzymać drżenie rąk.

- W naszych pokojach... był podsłuch, tak? Carl otworzył jej chlebak.

- Tak, a ja byłem głupi, że o tym nie pomyślałem. To bardzo rozsądny pomysł, żeby wiedzieć, o czym rozmawiają dziennikarze w zaciszu własnego pokoju. Powinniśmy byli pisać sobie liściki, ale nie, musiałem się rozgadać. I ktoś nas usłyszał, ktoś, komu zależy na dochowaniu tajemnicy.

- Zależy mu tak bardzo, że będzie zabijał - dodała ledwie słyszalnym szeptem Sandy. - Carl, co my...

Carl rozłożył koc na podłodze.

- Na razie zjemy. Musimy mieć siłę, bo czeka nas długa noc, a potem jeszcze

dłuższy dzień.

- Ale co z...

- Sandy - przerwał Carl, czując, jak budzi się w nim stara natura sierżanta. - Później porozmawiamy, o czym tylko zechcesz, o zasadzce też, ale na razie musimy coś zjeść. Tak że usiądź, proszę.

Sandy spuściła wzrok i zrobiła to, o co prosił.

Zanim zjedli - na lunch złożyły się kanapki z pieczoną wołowiną i serem z wojskowego prowiantu - noc zapadła już na dobre i w mieszkaniu zaczęło się robić chłodno. Zza ścian dochodziło nieustanne chrobotanie i choć starali się jak mogli ignorować ten dźwięk, Sandy nie potrafiła się całkowicie wyłączyć. Siedzieli przy stoliku na zdjętych z kanapy poduszkach, kiedy zwróciła się do Carla:

- To szczury?

- Szczury. - Pokiwał głową. - Obejrzałem ściany w tym pokoju: nie ma w nich żadnych dziur ani szpar. Nic nam nie zrobią.

- Brr... - Sandy wzdrygnęła się i przysunęła bliżej. - Paskudne zwierzaki. Pamiętasz tę scenę pod koniec 1984, kiedy torturuj ą biednego Winstona Smitha? Przy stawiaj ą mu do twarzy klatkę ze szczurem? Jak o niej pomyślę, mam w nocy koszmary. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Chyba możemy już porozmawiać, Carl. Za jakie to tajemnice chcą nas zabić?

Carl wziął głęboki wdech i ujął ją za rękę.

- Nie wiem. Wiem tylko, że ktoś chyba doszedł do wniosku, iż nie pasują nam nasze role w tej prasowej farsie. I ktoś postanowił coś z tym fantem zrobić. Im większy sekret, tym bardziej zdecydowana reakcja; to, co się nam przydarzyło, sugeruje, że ten sekret ma ogromną wagę.

- Ale żeby wasze wojsko...

- To chyba nie było wojsko - zauważył Carl. - Nawet na pewno nie. Popatrz tam, na ścianę. - Sandy posłusznie obróciła głowę. - Widzisz te cienie? I mrok? Właśnie w ciemności wszystko się odbywa. Osobiście podejrzewam, że widzieliśmy w akcji komandosów albo agentów wywiadu działających na zlecenie kogoś u samej góry. A ten ktoś ma dla Manhattanu jakieś plany, w których nasi żołnierze i wasi spadochroniarze mają do odegrania swoją rolę. I raczej nie chodzi tu o podłączenie prądu ani styczniowe zaprzysiężenie Rockefellera.

- W takim razie o co?

- Nie mam pojęcia, a w dodatku teraz akurat mam większe zmartwienia na

głowie.

- To znaczy?
- To znaczy, że chcę się zdrzemnąć. A potem wydostać z Manhattanu.
- Żartujesz sobie ze mnie? - Sandy usiadła wyprostowana na kocu. -Przecież to wyspa! Wojsko kontroluje wszystkie mosty i tunele; jak chcesz stąd wyjść?
- A pamiętasz wczorajszą odprawę? I wzmiankę o szabrownikach?
- Pamiętam.

Carl ścisnął jej dłoń.

- Jeżeli rabusie wciąż działają, muszą jakoś wywozić towary z wyspy.
- A jak zamierzasz się z nimi skontaktować?
- Czekaj cierpliwie, to sama się przekonasz.

Wiedział, że dużo ryzykują, ale nie mieli innego wyjścia: zeszli na małe podwórko na tyłach domu, zarośnięte małymi drzewami, krzewami i zielskiem. W jedną rękę Carl ujął latarkę, w drugą rewolwer. Bieżącej wody w budynku nie było, a pitnej nie mogli marnować, toteż kawałkiem drewna wykopał w ziemi dwa małe dołki, które posłużyły im za latrynę. Znow odezwało się w nim szkolenie komandosa: nie zostawiać śladów. Czuł się cokolwiek niezręcznie, ale nie trwało to długo. Sandy podeszła do niego i poprosiła:

- Zgaś na chwilę latarkę, dobrze? - A kiedy to zrobił, dodała: - A teraz spójrz w górę.

Gwiazdy świeciły jasno i ostro; Carl był pewien, że nigdy przedtem nie lśniły tak intensywnie - nawet kiedy krainę tę zamieszkiwali wyłącznie Indianie. Wszędzie dookoła ciemne kształty wieżowców częściowo przesłaniały niebo. Sandy przytuliła się do niego.

- Wystarczy na chwilę zapomnieć, jakie to straszne miejsce; widok jest piękny. Gdzie indziej na świecie mógłbyś tak stać w wielomilionowym mieście i podziwiać gwiazdy, jakbyś znalazł się z dala od cywilizacji?

Gdzieś daleko zawarczał silnik samochodu. Podniósłszy wzrok, Carl dostrzegł poruszający się stożek światła. Powietrze jeszcze bardziej pochłodziło.

- Czas wracać do środka.
- Co to za światło?
- Szperacz na helikopterze. Chyba ciągle na nas polują.

Kiedy wrócili do mieszkania, Carl zamknął drzwi i zabarykadował je ciężkim biurkiem, a potem jeszcze raz przeszukał mieszkanie, żeby upewnić się, że żadne czworonogie futrzaste stworzenia nie zakradły się tam podczas ich krótkiej nieobecności. Usiadł na podłodze i naciągnął koc na nogi. Palila się jeszcze tylko jedna świeca.

- Powinniśmy na zmianę trzymać straż, żeby... No, mieć wszystko na oku.

- Możemy tak zrobić, ale najpierw obejrzyj sobie to. - Sandy przekopywała się właśnie przez stos butwiejących gazet i magazynów ilustrowanych. Wybrała jeden numer „New York Timesa”. - Patrz: to prawdziwy zabytek.

„New York Timesa” z wtorku 23 października 1962 roku wielkimi literami na pierwszej stronie donosił:

USA INICJUJĄ ZBROJNĄ BLOKADĘ KUBY
PO ODKRYCIU WYRZUTNI RAKIETOWYCH
KENNEDY GOTOWY DO KONFRONTACJI Z SOWIETAMI

- A ten? - Carl ostrożnie położył na wierzchu następny egzemplarz, tym razem sobotni, z 27 października 1962 roku:

KUBA PRZYSPIESZA BUDOWĘ BAZ
I PLANUJE DALSZE DZIAŁANIA
POCZĄTEK ROKOWAŃ NA FORUM ONZ
ROSIJANIE GODZĄ SIĘ NIE NARUSZAĆ STREFY BLOKADY

- Trochę mi to przypomina podróż w czasie - zauważyła Sandy. - Albo oglądanie filmu, który już się widziało: wiadomo, że źle się kończy, ale za wszelką cenę chciałoby się zmienić zakończenie. I nic nie można zrobić.

- Trochę tak... - przyznał Carl. - Spójrz na to.

Gazeta pochodziła z poniedziałku 29 października 1962 roku:

SPADOCHRONIARZE I PIECHOTA MORSKA LĄDUJĄ NA KUBIE
BOMBARDOWANIA WYRZUTNI RAKIET
PO ZESTRZELENIU U-2
KENNEDY OSTRZEGA:

„NADCHODZĄ CIĘŻKIE DNI”

Carl wyciągnął następnie ze stosu „New York Timesa”, który miał tylko cztery strony - składał się z jednej złożonej na pół płachty papieru.

- Aż mi się wierzyć nie chce - mruknął z nabożnym lękiem w głosie. - Ten też mają...

- Co to jest? - zaintrygowała się Sandy. Carl ostrożnie wziął gazetę do ręki.

- Ostami numer starego „New York Timesa” z 1 listopada, czyli dwa dni po bombardowaniu miasta. Niewiele ich się zachowało. Większość ludzi, którzy nad nim pracowali, zmarła potem na chorobę popromienną. Taka gazeta jest teraz warta kupę szmalu, w każdym razie dla kolekcjonerów.

Na pierwszy rzut oka całą pierwszą stronę zajmowały krzyczące nagłówki:

RADZIECKIE SAMOLOTY BOMBARDUJĄ MIASTO,
SĄ MILIONY OFIAR
BOMBY SPADAJĄ NA SAN DIEGO,
WASZYNGTON I BAZY WOJSKOWE
KENNEDY I WIĘKSZOŚĆ KONGRESMANÓW
PRAWDOPODOBNIENIE NIE ŻYJĄ

- Ile oni musieli się nacierpieć, żeby go wydać. - Sandy ostrożnie dotknęła delikatnych stronic. - To byli prawdziwi dziennikarze. I dziennikarki.

- Nie mylisz się: ostatni prawdziwi dziennikarze. Potem cenzorzy zaczęli się we wszystko mieszać - przyznał Carl, przeglądając kolejne tytuły, starając się pospiesznie wszystko opowiedzieć i ogłaszające koniec pewnego stylu życia:

POŻARÓW W OUEENS I BROOKLYNIE NIE UDAJE SIĘ OPANOWAĆ
WYDANO NAKAZ EWAKUACJI DLA WSZYSTKICH MIESZKAŃCÓW
METRO I AUTOBUSY MIEJSKIE NIE KURSUJĄ
BURMISTRZ WYDAJE ROZKAZ STRZELANIA BEZ OSTRZEŻENIA DO
SZABROWNİKÓW

I złożony mniejszą czcionką melancholijny nagłówek na ostatniej stronie: PO RAZ PIERWSZY W DZIEJACH „TIMES” PRZESTAJE SIĘ UKAZYWAĆ. Carl

złożył gazetę na pół. - Schowaj ją do chlebaka, dobrze? - poprosił.

Sandy trąciła Carla i wypowiedziała nagłym szeptem jego imię. Obudził się.

- To już moja kolej? - spytał. W głowie mu się kręciło. Przetarł oczy i nagle wydało mu się, że coś słyszy: czyżby on i Sandy zostawili włączone radio? Zamrugął, odkaszlnął i wrócił do rzeczywistości: nie mieli radia.

- Słyszysz muzykę, Carl? - Sandy złapała go za ramię. - Słyszysz?

- Słyszę.

- Skąd ona dobiega?

Carl dobrze wiedział, że powinien wyjść na dwór i rozejrzeć się po okolicy, ale miał to gdzieś: był potwornie zmęczony.

- Nie wiem, ale brzmi, jakby ktoś grał na żywo - odparł. - Gdzieś przy tej ulicy.

- Na żywo? To znaczy... jakiś zespół?

- Właśnie.

- Niesamowite... Kto by miał grać w środku nocy na Manhattanie? Carl musnął palcami twarz Sandy.

- Uparci mieszkańcy Nowego Jorku, którzy nigdy stąd nie wyjechali. Mieszkają w piwnicach i opustoszałych mieszkaniach i jakoś żyją. Nie poddali się.

- A co z żołnierzami?

- Nasz wczorajszy wypadek to zupełnie inna sprawa. Wojsko nie może chyba być wszędzie naraz.

- Jak myślisz, Carl...

- A jak ty myślisz: powinniśmy złożyć im wizytę? Raczej nie. Po pierwsze: tu jesteśmy bezpieczni, a to mi się podoba. Po drugie: nie podoba mi się pomysł błąkania się po mieście po ciemku.

Sandy przysunęła się bliżej i trąciła go nosem. - Coś jeszcze?

- Coś jeszcze. - Pocałował ją w nos. - Nie zostaliśmy tam zaproszeni.

Odpowiedziała mu pocałunkiem w usta.

- Przedwczoraj powiedziałeś coś bardzo szczególnego, że daję ci nadzieję. Czy podtrzymujesz swoje słowa? Nawet w tej ponurej okolicy?

Carl ją przytulił.

- Jak najbardziej, Sandy. Jak najbardziej.

Po chwili zasnęła mu w ramionach, więc delikatnie uwolnił się z jej objęć i położył ją na kocu. Usiadł, zapalił następną świecę i wsłuchał się w odległe dźwięki jazzowej muzyki, cudownie żywej w martwym mieście.

Obudził się gwałtownie i przez chwilę nie bardzo wiedział, gdzie jest. W pokoju było jasno, Sandy spała na ziemi u jego boku - i w jednej chwili wszystko sobie przypomniał, co przyprawiło go o mdłości. Powoli wstał i skrzywił się z bólu: nogi zdrętwiały mu dokumentnie, a kark zeszywniał. Stanął przy oknie i ostrożnie odchylił rąbek koca.

Był piękny pogodny dzień; i najbliższe domy, i odległe wieżowce rysowały się na tle błękitnego nieba jasno i wyraźnie. A gdzieś pośród nich znajdowali się ludzie, którzy polowali na niego i Sandy. Dlaczego?

Co takiego wydarzyło się na Manhattanie? Albo wcześniej w Bostonie?

Wzdrygnął się i przesunął dłonią po ostrej szczecinie jednodniowego zarostu. O tym nie pomyślał: w Bostonie węszył przecież uparcie, dowiedział się czegoś o Merlu Sawsonie, agencie brytyjskiego wywiadu, i likwidacji starych urzędników Kennedy'ego. Może właśnie dlatego snajper czekał na niego tu, na ulicy Manhattanu; może nie chodziło wcale o gadanie o wsiach potiomkinowskich, lecz od początku do końca o starego żołnierza, który nosił posklejane plastrem buty i ostrzegał go, że czas zabijania jeszcze się nie skończył.

Usłyszał za plecami cichy szmer, a zaraz potem poczuł muśnięcie ust na karku.

- Cześć, kochanie - ziewnęła Sandy. - Jak ci się spało?

- Nie najgorzej - odparł z uśmiechem. - Trochę się wierciłem i śniły mi się szczury w ścianach, a poza tym orkiestra dostarczała mi rozrywki. A ty jak spałaś?

- Lepiej, niż myślałam, że to możliwe. Chociaż trudno mi było zasnąć, cały czas myślałam... no, o tych wszystkich ludziach, którzy tu mieszkali, o gangach sierocych, o rodzicach szukających dzieci po bombardowaniu. Coś mi się przypomniało, Carl: czy twoi rodzice... Czy w czasie wojny byli w domu?

Wyjrzał na ulicę i zastrzygł uszami w oczekiwaniu na jazgot silników samochodowych, ale usłyszał tylko odległe ujadanie psiej sfory.

- Tak. I w domu zmarli.

- Jak to się stało?

Nie odwrócił się do niej - patrzył na opustoszałe miasto i zastanawiał się, jak mają wydostać się z Manhattanu. - Umarli z głodu, Sandy.

Na śniadanie musiały im wystarczyć resztki lunchu z poprzedniego dnia: ciastka - czy raczej „herbatniki”, jak nazywała je Sandy -jabłka i kawałek czekolady. Carl zmajstrował na poczekaniu małą kuchnię z kilku garnków i ostrożnie podgrzał starą kawę, rozpalając ogień z drewnianych sprzętów kuchennych. Po jedzeniu spakowali się i Carl powiedział:

- Za ostro zareagowałem wtedy przy oknie: zadałaś mi rozsądne pytanie, a ja rzuciłem się na ciebie-z zębami. Przepraszam.

Ścisnęła go za rękę. W oczach miała łzy.

- Przyjmuję przeprosiny.

- Powiem ci wszystko, co chciałabyś wiedzieć o mnie i o moich rodzicach.

- Nie musisz tego robić, Carl.

- Właśnie że muszę. Naprawdę masz prawo wiedzieć. - Usiadł obok niej na kanapie i nie wypuszczając z objęć, zaczął mówić: - Stacjonowałem w Kalifornii, kiedy w marcu 1963 roku dostałem telegram z Czerwonego Krzyża: dwie linijki, które będę pamiętał do końca życia: „Z przykrością informujemy pana, że Andy i Matilda Landry, zamieszkali w Newburyport w stanie Massachusetts, w ubiegłym miesiącu zmarli z głodu. Dodatkowych informacji może pan zasięgnąć u J. Fletchera w biurze Czerwonego Krzyża w Newburyport”.

- Zasięgnąłeś?

- Owszem - westchnął Carl. Od tamtej chwili upłynęło dziewięć lat, a jemu wciąż smutek ścisnął gardło, gdy o tym myślał. - Tydzień później udało mi się zamówić międzymiastową z bazy do biura w Newburyport; nie było to łatwe, ale pomógł mi dowódca kompanii. W telefonie strasznie trzeszczało, ale i tak miałem wrażenie, że ten Fletcher jest strasznie zmęczony.

- Co się z nimi stało?

Carl wzruszył ramionami. Na zewnątrz znów rozszczeły się psy.

- Coś tak zwyczajnego, że trudno w to uwierzyć. Massachusetts i New Hampshire nawiedziły wtedy liczne burze śnieżne. Nie było paliwa dla pługów śnieżnych, nie było prądu, nie działały telefony. Moi rodzice zostali po prostu uwięzieni w domu. Nawet na początku nie mieli za wiele jedzenia, a jak się później dowiedziałem, racje żywnościowe dzielono i wydawano w ratunku. Tymczasem wokół domu napadało tyle śniegu, że rodzice nie mogli wyjść na dwór; dopiero jak przyszły roztopy, znaleźli ich sąsiedzi. Tyle mniej więc dowiedziałem się od pana Fletchera.

Sandy uścisnęła go mocno, a on mówił dalej:

- Służyłem Bogu i ojczyźnie, zamiast wyżywić ojca i matkę, Sandy. Nie mogłem dla nich zrobić tak prostej rzeczy...

- Carl... - Sandy chciała coś powiedzieć, ale przytknęła jej palec do ust.

- Czekaj nas sporo pracy, jeżeli zamierzamy się wydostać z tej wyspy. Pocałowała go mocno w usta.

- Rodzice mogliby być z ciebie dumni, przyjacielu.

W kilka minut posprzątała po sobie. Carl zabrał z kuchni dwie ścierki, spakował je do chlebaka, a potem poskładał gazety na stos i odłożył poduszki na miejsce. Sandy przyglądała mu się zdziwiona.

- Robię to z dwóch powodów - wyjaśnił. - Przede wszystkim nie chcę, żeby zostały tu jakieś ślady naszego pobytu.

- To rozsądne - przyznała Sandy. - A drugi powód?

Carl powiódł wzrokiem po zakurzonych pokojach, które od dziesięciu lat ziały pustką; zastanawiał się w duchu, czy minie następne dziesięć lat, zanim ktoś tu przyjdzie.

- Z szacunku - odparł. - Chcę tym ludziom okazać szacunek.

Sandy kiwnęła ze zrozumieniem głową, a potem nadstawiła ucha: na dworze wciąż czekały psy.

- Cały czas je słyszeć... - zauważyła.

Carl zamarł w bezruchu. Nasłuchiwał przez chwilę, ale coś... coś się zmieniło, szczerkanie brzmiało inaczej niż przedtem.

Jakby czekały tresowane psy.

Porwał lornetkę i podbiegł do okna. Przytulił się do ściany i odchylił skrawek koca: kilka przecznic dalej dostrzegł jakiś ruch. Samochody. Uniósł lornetkę do oczu.

Na rogu stały dwa dżipy. Po chodnikach przechadzali się żołnierze z wilczurami na smyczy. Psy wyrywały się do przodu, węsząc i drapiąc w drzwi.

Pośród żołnierzy znajdował się jakiś wysoki mężczyzna w eleganckim cywilnym ubraniu. Tłumaczył coś wściekle dwóm mundurowym. Coś w jego sposobie poruszania się, w krokach...

Mężczyzną tym był Cullen Devane, redaktor nadzorczy „Boston Globe”. Przyjechał na Manhattan i szukał Carla Landry'ego.

Jezu Chryste.

- Co się... - odezwała się Sandy, ale Carl odskoczył od okna, minął ją i porwał

z ziemi ich bagaże.

- Zbieramy się. Dalej nas szukają, ale teraz jest z nimi mój cenzor z „Globe”. Sandy skinęła głową. Jej twarz miała kolor starego tynku na ścianach.

Kiedy zbiegli na dół do maleńkiego holu, Carl przystanął na chwilę: serce waliło mu jak młotem, ręce go swędziały, a stara rana w nodze bolała jak diabli. Żałował, że nie udało mu się zabrać M-14 z dżipa: karabin sporo ważył, ale miał większy zasięg niż jego kolt. Sandy zatrzymała się tuż obok niego; słyszał, jak łąpczywie chwyta powietrze.

- Co dalej? - zapytała.

- Zaczekaj chwilę - odparł. Cullen Devane... Niech to szlag! Więc jednak strzelanina miała coś wspólnego z tym, co robił w Bostonie. Musiała mieć. Szlag by trafił tego przekłętego sukinsyna. Carl wyjrzał przez uchylone drzwi: słyszał ujadanie psów, ale ulica była pusta, w każdym razie do miejsca, w którym wrak miejskiego autobusu zasłaniał widok. Złapał Sandy za rękę. - Chodź, biegniemy.

- To daleko?

- Tak daleko, żebyśmy przestali słyszeć te cholerne psy.

Biegli szybko, wymijając sterty gruzu i śmieci na chodnikach, chwilami kryjąc się w otwartych drzwiach. Za którymś razem wpadli do zniszczonego, obrabowanego sklepu odzieżowego i Sandy zawyła z przerażenia na widok rozrzuconych na podłodze zwłok; Carl długo musiał ją uspokajać i tłumaczyć, że to tylko manekiny.

W końcu szczekanie psów ucichło w oddali; nie słyszeli też warkotu samochodów. Przystanęli, żeby złapać tchu w cieniu schodów szeregowej kamienicy, i Carl obejrzał mapę, którą zabrał porucznikowi. Musieli się jak najprędzej wydostać z wyspy - żołnierze ścigali ich bez wytchnienia, a Carl nie miał wątpliwości, że major Devane potrafi być wytrwały. A za dzień, najdalej dwa skończy im się jedzenie i woda do picia.

- Co widać na mapie, Carl? - Sandy usiadła na ziemi i oparła się plecami o ścianę domu. - Prowadzi nas do jakiegoś magicznego promu?

- Nie, ale przynajmniej wiem, które ulice są przejezdne, a które nie. Dzi-pami za nami nie pojedą, tak jak wczoraj mieli problemy. Niewielka to przewaga, ale na więcej nie możemy liczyć.

- Więc co właściwie robimy? Carl złożył i schował mapę.

- Szukamy graffiti.
- Czego? Napisów na murach? -Właśnie.

Sandy wstała, podeszła na skraj chodnika i pokazała coś wyciągniętą ręką.

- Takich?

Litery spłwiałały z biegiem lat, ale na granitowej fasadzie czarną farbą ktoś napisał: MOOREHOUSE'OWIE - PRZYJEDŹCIE DO NAS DO HARTFORD. POWODZENIA. AARONOWIE.

- Nie - odrzekł Carl.
- Słuchaj no, mój przyjacielu... - W głosie Sandy zabrzmiała groźna nuta.
- Cicho! - Carl pociągnął ją w dół i schowali się za stertą gruzu. W oddali coś się poruszyło.

- Żołnierze? - spytała szeptem Sandy.

- Raczej nie... Wydaje mi się, że to jeden człowiek. Chyba się zbliża. Carl wyjrzał przez lukę w stosie połamanego nadpalonego drewna - dziwny kołyszący ruch znów przyciągnął jego uwagę. Niby człowiek, ale...

- Rany, ale dureń ze mnie - mruknął.
- Co mówiłeś?
- Czekaj, sama zobaczysz.

Mężczyzna jechał na rowerze, dostojnie i niespiesznie. Miał długie włosy i brodę, a jego ciało okrywał duży szary koc, który po wycięciu otworu w samym środku udawał poncho. Na kierownicy wiózł zawieszane pokaźne torby. Pogwizdywał coś, wymijając nieruchome samochody.

Sandy chciała wstać, ale Carl złapał ją za rękę i pociągnął z powrotem.

- Nie wygłupiaj się! - zbesztła go po cichu. - Chciałam z nim porozmawiać! Dowiedzieć się, dlaczego tu jest. Nie rozumiesz, że to pierwszy cywil, jakiego widzimy na Manhattanie?

- A nie rozumiesz, że chcemy stąd ujść z życiem? Psiakrew, przecież gonią nas uzbrojeni żołnierze z psami, a my nie wiemy, ani kim jest ten facet, ani w jakim jest stanie. Może to jakiś ekscentryk, który postanowił się nie wyprowadzać z domu, a może świr, który w torbach kolekcjonuje ludzkie czaszki?! - Carl wstał i zorientował się, że rowerzysta skręcił za róg. Sandy też zerwała się na równe nogi, otrzepując dłonie i kolana z ziemi.

- Słucham cię, Carl, ale nie ucz mnie, jak mam wykonywać mój zawód.
- Jeśli nie zaczniesz bardziej uważać, będziesz naprawdę świetną dzien-

nikarką, tyle że martwą. A teraz chodź, chcę ci coś pokazać.

Razem przebiegli ulicę, chociaż Sandy cały czas przeklinała Carla pod nosem. Na rogu znajdował się budynek z czerwonej cegły. Dalej przy tej ulicy stały domy z brunatnego piaskowca i eleganckie apartamentowce ze sklepami na parterze. Podarte markizy powiewały na wietrze. Nad głównym wejściem do ceglanego gmachu widniały plamy czerwonej farby układające się w taki sam wzór, jaki dzień wcześniej zwrócił uwagę Carla: trzy koła połączone krzywymi liniami. Powiódł wzrokiem po pustej ulicy i odwrócił się do Sandy.

- Widzisz coś niezwykłego? - zapytał. -Carl.,

- Mówię poważnie. Rozejrzyj się; co tu wygląda inaczej? Sandy popatrzyła dookoła.

- Ulica jest sprzątnięta. Tak jakby ktoś się nią zajmował...

- Właśnie.

- Graffiti. - Sandy wskazała malunek nad wejściem. - Takiego szukasz? - Tak.

- Co ten symbol oznacza?

- Mam nadzieję, że tutaj znaczy to samo co gdzie indziej. Wiesz, co to jest lombard?

- Pewnie że wiem: ludzie wypłacają pieniądze za... Kurczę, przecież to symbol lombardu, prawda? Trzy kule.

- Zgadza się. - Carl pokiwał głową. - Widziałem go wczoraj na kilku budynkach, bliżej ONZ, zanim dojechaliśmy na plac Waszyngtona. Zastanów się, Sandy: lombard nie mógłby istnieć, gdyby w mieście nie było ludzi.

Ktoś na pewno przeszukuje domy i kradnie różne rzeczy, a potem komuś musi je sprzedać. Komuś, kto ma coś do zaoferowania w zamian.

- A co my możemy sprzedać?

Carl wziął Sandy za rękę i razem przeszli przez ulicę.

- My chcemy coś kupić: dokładniej rzecz biorąc, bilet poza Manhattan.

Przed budynkiem panował bałagan - walały się wyblakłe puszki po piwie, kawałki papieru i inne śmieci, ale w porównaniu z resztą ulic i tak było tu względnie czysto. W samym środku frontowej ściany znajdowały się masywne dwuskrzydłowe drzwi pomalowane na czarno i chyba w całkiem niezłym stanie. Carl popatrzył po oknach.

- Widzisz, Sandy?

- Okna są pozabijane.

- No właśnie. Ktoś się opiekuje tym domem, bez dwóch zdań. Carl nacisnął mosiężną klamkę, ale ta ani drgnęła.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona Sandy, widząc wyraz jego twarzy.

- Są zamknięte na klucz.

- Och... - Sandy uśmiechnęła się przebiegle. - Może dlatego - dodała, wskazując coś ręką.

Carl podszedł do niej. Stała obok schodów, przy których kiedyś była skrzynka pocztowa. Teraz zamiast niej widniała drewniana tabliczka z napisem:

SKLEP PRZY GREENWICH SQUARE
CZYNNY OD ZMIERZCHU DO PÓŁNOCY
BROŃ PROSIMY TRZYMAĆ U PASA

Carl się rozejrzał. Po widoku dżipów, żołnierzy i Cullena Devane'a pusta ulica w Greenwich Village wyglądała wprost gościnnie.

- Musimy gdzieś się przyczołgać i poczekać. Żołnierze mają psy i...

- Zamknij się już, proszę. - Sandy przeczesła palcami włosy. - Wydawało mi się, że nie ma gorszej rzeczy od szczurów, ale odkąd usłyszałam, jak te psy na nas szczekają, zmieniłam zdanie.

Znaleźli puste mieszkanie naprzeciwko lombardu. Prezentowało się wyjątkowo fatalnie, gdyż wszystkie sprzęty zostały albo skradzione, albo zniszczone. Usadowili się w salonie na poprutych, poplamionych krzesłach. Szyby w oknach dawno zostały wybite, toteż towarzyszył im zimny przeciąg, gdy dzielili się następną kanapką; została jeszcze tylko jedna. Oboje mieli nogi okutane kocami.

- Będziemy musieli słono zapłacić, żeby się wydostać z Manhattanu, co? - zauważyła Sandy.

Carl przełknął kęs kanapki, marząc o świeżo upieczonym kurczaku.

- Na pewno. Ile masz pieniędzy? Sandy pogrzebała chwilę w torebce.

- Trzydzieści dolarów i ze dwadzieścia funtów. Jak myślisz, przyjmą funty?

- Może tak, może nie. Ja mam dwadzieścia pięć dolarów, co razem daje pięćdziesiąt pięć. - Carl zerknął na swój plecak. - I towar na wymianę.

- Że co?

- Towar na wymianę. Tu pewnie obowiązuje handel wymienny, bezgo-

tówkowy. Lepiej będzie zaproponować im coś wartościowego. Myślisz, że „Times” rozstanie się bez bólu z aparatem fotograficznym?

- Jeśli za tę cenę mamy stąd wyjść, to spokojnie. - Sandy pociągnęła łyk wody z manierki i zmieniła temat: - Co to właściwie oznacza, że razem z żołnierzami szuka cię ten twój cenzor?

- To chyba znak, że materiał, nad którym pracowałem w Bostonie, ten o zamordowanym staruszku, ma coś wspólnego z Manhattanem. Związek ten jest tak ważny, że redaktor nadzorczy osobiście się tu pofatygował. A jeśli chodzi o twoje następne pytanie: nie, nie wiem, co łączy te dwie sprawy. Na razie.

- W takim razie zapytam o co innego: powiedz mi, co zrobimy, jak już znajdziemy się w New Jersey?

Jeśli znajdziemy się w New Jersey, poprawił jaw myślach Carl.

- Na razie martwmy się o to, jak wydostać się z Manhattanu, Sandy, a to...

- Nie bądź taki skryty, Carl - przerwała mu ostro Sandy. - Będzie ciężko, prawda?

Spojrzał głęboko w jej ciemne oczy i odparł:

- Będzie ciężko, może nawet bardzo ciężko. Ktoś może na nas napaść i zabrać nam wszystko, co mamy. Ba, żołnierze z psami mogą nas znaleźć jeszcze wcześniej. Zresztą kto wie, czy ten lombard w ogóle jest czynny, kurczę?! Ale jeśli jest i jeżeli prowadzi go względnie uczciwy człowiek, może nam się udać. To nasza jedyna szansa.

- No dobrze, załóżmy, że się nam uda. Co dalej?

- Znajdziemy się samym środkiem strefy zakazanej New Jersey, ale tym będziemy się martwić w swoim czasie.

Z daleka dobiegł ich terkot śmigłowca.

- Jeżeli wydostaniesz mnie i z New Jersey, możesz być pewien, że ta historia z zasadzką i spadochroniarzami na Manhattanie trafi do „Timesa”; jeśli będę musiała, wyślę ją pocztą dyplomatyczną. Przepraszam cię., bo wiem, że to zakrawa na moralizowanie, ale nie cierpię, jak ktoś mnie ściga i mnie okłamuje, a już najbardziej nie lubię, jak ktoś do mnie strzela.

Carl nie mógł oderwać od niej wzroku - elegancka, dobrze ułożona Angielka w wymarłym mieście, ścigana przez uzbrojonych ludzi.

- Twoja babcia byłaby z ciebie dumna - stwierdził. Zarumieniła się.

- To dla mnie ogromna pochwała, Carl. Babcia była niezwykłą kobietą.

Szkoda, że już nie żyje, bo nie będę cię mogła jej przedstawić. Palila cygara, była zacieklą sufrażystką i w swoim czasie stała się przyczyną kilku skandali; jej ojciec, angielski oficer, kochał ją bezgranicznie, nawet jeśli czasem swoim zachowaniem utrudniała mu karierę.

- Coś mi się widzi, że kiedy wyjedziemy z Nowego Jorku, będziesz mogła opowiadać równie ciekawie jak ona o oblężeniu Mafeking.

- Nie przyszło mi to do głowy... Wiesz, kogo poznała w Mafeking w czasie ataku Burów?

- Nie mam pojęcia.

- Lorda Baden-Powella, twórcę ruchu skautowskiego.

- Co o nim opowiadała?

- Są dwie wersje, tak jak w twojej historii o Kalifornii: oficjalna i nieoficjalna - wyjaśniła Sandy z uśmiechem. - Oficjalnie lord Baden-Powell był wiecznie młodym, opanowanym i zaradnym obrońcą brytyjskiego garnizonu, który przez prawie siedem miesięcy opierał się Burom. W wersji nieoficjalnej, którą znam dzięki babci Price, był okrutnikiem, który ustanawiał w podbitym kraju własne prawa i mordował głodujących tubylców za kradzież żywności. To chyba charakterystyczne dla naszego wieku, nie sądzisz? Zawsze mamy dwie wersje i staramy się dojść prawdy.

- I przeżyć, Sandy. Przeżyć, żeby przekazać ją innym.

Popołudnie wlekło się niemiłosiernie. Sandy przeglądała znalezione w mieszkaniu stare gazety i czasopisma, których druk czas zmienił w rozmazane smugi. W pewnej chwili bez słowa podała Carlowi wyjętą ze sterty broszurkę.

- „Co powinniście wiedzieć i zrobić” - odczytał na głos ze spłowiałej tekturowej okładki. -, Jak przeżyć atak nuklearny i włączyć się w odbudowę kraju”.

Sandy siadła na podłodze i objęła kolana ramionami.

- Oni naprawdę myśleli, że przeżyją, prawda?

- Wszyscy tak myśleliśmy - przytaknął cichym głosem Carl. - Na całym świecie pewnie kilkaset osób wiedziało, jak wygląda wybuch jądrowy, ale żadna z nich nie pracowała w Białym Domu ani na Kremlu. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek tam na górze umiał sobie wyobrazić, do czego może doprowadzić użycie kilkunastu, kilkudziesięciu głowic. Więc właściwie dlaczego nie zakładać, że uda się przeżyć? Pewnie i tak instrukcja do niczego się nie przyda, ale przynajmniej lepiej się człowiek poczuje.

Sandy z namysłem kiwała głową.

- Wśród przyjaciół mojego ojca nie brakuje starych torysów, którzy uważali, że Wielka Brytania powinna mieć własną broń atomową. Ale po wojnie kubańskiej... Wszyscy się cieszą, że ONZ przejęła arsenały. Wszyscy.

Carl wrócił wzrokiem do ulotki.

- Kilka dni temu rozmawiałem ze starszym mężczyzną, który przed wojną aktywnie działał w ruchu pacyfistycznym. Jego przyjaciele z kolei uważają, że mieliśmy szczęście, my, Amerykanie. Powinniśmy się cieszyć, że wojna wybuchła w 1962 roku, a nie pięć, dziesięć czy piętnaście lat później.

- To potworne.

- Owszem, ale na swój sposób rozsądne. - Carl przesunął dłonią po szorstkiej tekturze okładki. - Gdyby wtedy do niczego nie doszło, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki wyprodukowałyby dziesiątki tysięcy głowic; pewnie i inne kraje weszłyby w posiadanie technologii atomowej. Wyobrazasz sobie Izrael i państwa arabskie uzbrojone w bomby atomowe? Albo Indie i Pakistan? Albo Salwador i Gwatemalę? Po bombardowaniu cofnęlibyśmy się w rozwoju tak bardzo, że karaluchy wiodłyby prym na ziemi.

- Mogło być inaczej - zaprotestowała słabo Sandy. - ONZ mogła wypracować rozwiązanie, które wszystkich by satysfakcjonowało, a przy tym zmusiło do rozbrojenia.

- Niezły pomysł - zgodził się Carl, postanawiając zachować wątpliwości dla siebie. Czytał dalej:

Ta broszurka może uratować niejedno ludzkie życie, gdyby na ziemi amerykańskiej doszło do ataku jądrowego. Za sprawą polityki zagranicznej i obronnej rządu USA sytuacja taka jest wyjątkowo mało prawdopodobna i taki stan należy za wszelką cenę utrzymać. To z tej właśnie przyczyny z ogromnym wysiłkiem zbudowaliśmy i utrzymujemy w gotowości nasze siły zbrojne: realizujemy politykę odstraszania atomowego. Gdyby jednak doszło do ataku jądrowego, podjęte wcześniej przygotowania mogą decydować o życiu i śmierci każdego z was...

Nie ma ucieczki od faktu, że konflikt nuklearny pozostawiłby po sobie tragiczną spuściznę. Na obszarach eksplozji i pożarów nastąpiłoby zniszczenie i chaos; śmierć zebrałaby bogate żniwo. Dla tych części kraju, które znalazłyby się poza obszarem bezpośredniego uderzenia, nadszedłby czas ciężkiej próby- zarówno

dla całej społeczności, jak i dla poszczególnych jednostek. Szkodliwe skutki promieniowania byłyby odczuwalne także na obszarach bezpośrednio nieskażonych. Transport i łączność uległyby poważnym zakłóceniom, a cały naród stałby się łatwym łupem dla siewców plotek i bezzasadnych lęków. Jeżeli jednak zawczasu przedsięwzięmie się odpowiednie środki ostrożności, kraj nasz nie musi pogrążyć się w otchłani rozpacz.

Nie do wiary, pomyślał Carl. „Kraj nie musi pogrążyć się w otchłani rozpacz”. Powiedział wzrokiem po pustym mieszkaniu i martwym mieście za oknem. Kto by pomyślał, że rozpacz będzie trwać tyle lat, aż stanie się nieodłączną częścią życia, elementem krajobrazu. Człowiek próbuje zabezpieczyć to, co ma, bronić tego, co ma, ale jak obronić się przed rozpaczą? Zamknął broszurę: kolejny zabytek, który obok ostatniego „New York Timesa” znajdzie się w jego plecaku. Oczy mu się same zamykały.

- Sandy? Masz coś przeciwko temu, żebym się zdrzemnął?
- Zdrzemnął? Dasz radę zasnąć?
- Na pewno, choćby i na godzinkę. Zbudzisz mnie, jak się zrobi ciemno?

Sandy uśmiechnęła się i podciągnęła mu koc pod brodę.

- Na pewno.

Carl odłożył broszurę i zamknął oczy. Sandy wyciągnęła się obok niego na ziemi i cmoknęła go w szyję. -Carl?

- Mhmm? - wymruczał, uchylając powieki.
- Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie, zanim zaśniesz?
- O co chodzi?
- O tego starego żołnierza, o którym pisałeś. Dlaczego ktoś go zabił?
- Nie wiem, Sandy. Ale zamierzam się tego dowiedzieć.

Carl ponownie zamknął oczy i nagle stwierdził, że wcale nie jest tak strasznie zmęczony, jak mu się wydawało. Wysilał pamięć, jak tylko potrafił, ale nijak nie mógł sobie przypomnieć, żeby wspominał Sandy o tym, iż stary Sawson był emerytowanym żołnierzem. Jej ciało, które tulił w ramionach i które przed chwilą było ciepłe i przyjazne, nagle zaczęło mu ciążyć jak balast.

Oczy miał zamknięte, ale ochota na sen przeszła mu, jak ręką odjął. Jeszcze niedawno zdawało mu się, że całe zagrożenie jest daleko, tam gdzie szczekają psy, a akcją dowodzi Cullen Devane.

Sandy poruszyła się w jego ramionach i cicho westchnęła.
Teraz niebezpieczeństwo bardzo się przybliżyło.

Carl - zabrzmiał mu przy uchu szept Sandy. - Jacyś ludzie się tam kręcą. Otworzył oczy i natychmiast się rozbudził; nie spał ani zbyt głęboko, ani spokojnie, martwiąc się, co przyniosą najbliższe godziny, gdzie przyjdzie im spędzić następną noc, a przede wszystkim - zaniepokojony tym, co usłyszał od Sandy przed godziną. Stary żołnierz. Właśnie. Skąd o tym wiedziała?

A skąd ta pewność, że jej nie powiedział? Przez ostatnie kilka dni dużo rozmawiali o najróżniejszych rzeczach... W dodatku prawie każdy obywatel tego kraju miał za sobą jakąś militarną czy paramilitarną przeszłość, więc może Sandy zwyczajnie założyła, że staruszek był kombatantem...

- Carl? - Jej głos zadrżał lekko.

- Nie śpię. - Usiadł na posłaniu. - Słyszałem cię: na dworze są ludzie. -Ziewnął, przeciągnął się i podrapał po plecach. Sandy miała zatroskany wyraz twarzy. Nie teraz, powiedział sobie w duchu; pamiętaj o tym, ale na razie myśl, jak się stąd wydostać. - Co dokładnie widziałaś?

- Kilka osób, które wchodziły do tego budynku i z niego wychodziły. Jak ja się wystraszyłam! No bo jedyny człowiek, jakiego widzieliśmy na wyspie, to był ten dziwak na rowerze. A teraz ci wszyscy... Sama nie wiem. Zaczynam się mocno zastanawiać, co tu się dzieje.

Zabrali plecak i chlebak i przy świetle latarki zeszli po schodach. Na dole w holu Carl zgasił latarkę.

- Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi - stwierdził. - Proponuję zwyczajnie przejść przez ulicę, jakbyśmy szli załatwiać interesy.

Sandy wsunęła w jego dłoń swoją; ścisnął ją uspokajająco.

- To dobry pomysł.

Carl sięgnął pod kurtkę i odpiął klapę kabury z rewolwerem. Zamierzał zastosować się do polecenia wypisanego na murze i nie wyjmować broni, ale mógł przecież zadbać o to, żeby w razie potrzeby łatwo było po nią sięgnąć. Na zewnątrz ściemniało się szybko; z zachodu powiał silniejszy wiatr. Od rogu ulicy szło w stronę lombardu dwóch mężczyzn taszczących wspólnie jakiś ciężar. Znów doszedł do wniosku, że to niezwykle, iż ktoś w ogóle mieszka na wymarłym Manhattanie.

Kiedy stanęli przy wejściu do ceglanego gmachu, odetchnął głęboko.

- Dobra - stwierdził. - Ruszamy.

Tym razem bez wysiłku przekręcił mosiężną gałkę.

Chwilę trwało, zanim jego oczy przywykły do ciemności. Wiedział, że Sandy wciąż stoi u jego boku - ścisnęła mu rękę aż do bólu. Znajdowali się w sporym pomieszczeniu rozświetlonym blaskiem rozstawionych po rogach świec. Podłogę stanowiły przybrudzone płytki ceramiczne, tynk na ścianach przybrał matową, żółtą barwę; w dwóch miejscach wykuto małe otwory obserwacyjne. Pod przeciwległą ścianą stały rzędem drewniane ławki i krzesła, za to po prawej było okno wychodzące na sąsiedni pokój. Kiedy podeszli bliżej, Carl stwierdził, że wstawiono w nie grube, pancerne szkło, jak w okienku w banku. Pod oknem z obu stron ciągnęła się lada, pod którą zainstalowano obrotową metalową tacę. Z prawej strony znajdował się mechanizm, który umożliwiał przesuwanie w szufladzie drobnych przedmiotów z pokoju do pokoju.

Carl przesunął się jeszcze trochę; Sandy nie odstępowała go na krok. Za szkłem siedziało dwoje ludzi w wieku czterdziestu kilku, może pięćdziesięciu lat. Mężczyzna miał rzadkie czarne włosy, szesane do tyłu i częściowo przesłaniające łysinę. Ubrany był w niegdyś białą, teraz zaś poszarzałą koszulę, wąski czarny krawat i skórzaną kurtkę. Cerę miał żółtawą, niezdrową; nosił obfite baki, a kiedy na widok przybyszów uśmiechnął się przelotnie, na chwilę odsłonił paskudnie zepsute zęby.

- Nie jesteście stąd, co? - zapytał. Grube szkło tłumiło jego głos.

- Nie jesteśmy - przyznał Carl.

Kobieta miała na sobie sukienkę w kwiaty. Robiła powoli na drutach; po charakterystycznie przekrzywionej głowie i nieruchomych oczach Carl zorientował się, że jest niewidoma. Siwe włosy nosiła upięte w kok; całe przedramiona aż błyszczały w półmroku od rozległych blizn. Pokój, w którym siedzieli gospodarze, również rozjaśniały świece, wydobywając z mroku dwa ciągnące się daleko w ciemność regały.

- Czego w takim razie szukacie, moi wolni strzelcy?

Carl spojrzął na Sandy i wrócił spojrzeniem do mężczyzny.

- Przepraszam, ale nie rozumiem pana: jacy wolni strzelcy? Mężczyzna powiedział coś cicho do kobiety, na co ta parsknęła śmiechem.

- Wolni strzelcy specjalizujący się w odzysku. Wydaje się wam pewnie, że możecie zacząć pracę na naszym terenie bez zgody rady wioski? Że będziecie

sprzedawać mi towar, odkładać kasę, a w odpowiednim momencie mnie wygryziecie z rady? Nie radziłbym wam tego, dzieci.

- Pan nas nie rozumie - wtrąciła Sandy. - Nie chcemy nic panu sprzedać. Nie jesteśmy nawet...

Kobieta za szybą przestała poruszać drutami. -Albercie, ta dziewczyna jest Angielką.

- Nie mylisz się, Melanie - przytaknął mężczyzna z uśmiechem. - To Angielka. Co ty tu robisz, kotku? Chcesz ratować głodujących dzikusów? To spóźniłaś się o dobre dziesięć lat. - Zaśmiało się niewesoło.

- Jesteśmy dziennikarzami - odezwał się Carl. - Z londyńskiego „Time-sa”. Chcemy się wydostać z tej wyspy.

- Zaraz: najpierw powiedzcie, jakeście się tu dostali.

- Przyjechaliśmy pod eskortą żołnierzy.

- No to czemu z nimi nie wrócić?

- Mieliśmy wypadek i nie mamy czego szukać pomocy u wojskowych -wyjaśniła Sandy. - Musimy sami się stąd wyrwać.

Mężczyzna pokiwał mądrze głową.

- Wkurzyliście ich, co?

- Można tak powiedzieć - zgodził się Carl.

- Łatwo ich wkurzyć. Ludzie w mieście starają się po prostu uczciwie żyć, a armia ich prześladowa.

- Jak w takim razie udaje się panu prowadzić tak otwarcie ten interes? -zdziwiła się Sandy.

- Nocą ulice należą do nas. - Wzruszenie ramion. - Wojsko wysyła kilka patroli, żeby pokazać, kto tu niby rządzi. Poza tym cała okolica jest podziurawiona jak ser szwajcarski, pełno tu kryjówek, pustych strychów i tuneli. Na dachu cały czas dwójka dzieciaków pilnuje, kto idzie: jak tylko dowiemy się, że zieloni nadchodzą, zamykamy lokal i dajemy nogę. Zabierają wyposażenie, przenosimy się w inne miejsce. To bez znaczenia. O co w takim razie chodzi? Chcecie wyjechać z naszej rajskiej wyspy?

- Właśnie - przytaknął Carl. - Im szybciej, tym lepiej.

Właściciel lombardu otworzył księgę rachunkową i powiodł palcem wzdłuż kolumny z nazwiskami. Siedząca obok niego Melanie wróciła do pracy: druty poruszały się wolno.

- Wiecie, właściwie ja się tym nie zajmuję - uprzedził, podnosząc wzrok.
- Jestem kupcem. Ale mam niezłe kontakty z ekipą, która działa kilka przecznic stąd; wiem, że mają regulamy transport. Sporo to kosztuje, ale można im zaufać.

- To by nam odpowiadało. - Sandy ścisnęła rękę Carla.

- W takim razie pogadajmy o cenie. Zanim podam wam nazwisko i adres, chcę dziesięć procent znaleźnego.

- A dlaczego... - zaniepokoiła się Sandy. - Skąd mamy wiedzieć, że to rzetelne informacje?

Mężczyzna znów uśmiechnął się szeroko, błyskając odbarwionymi zębami.

- Nie to chcieliśmy powiedzieć, prawda? Chcieliśmy zapytać, dlaczego mamy mi zaufać. Panienko, prawda jest taka, że jeśli znajdziecie w okolicy kogoś, kto obsłuży was lepiej, proszę bardzo: droga wolna. Zapytajcie, kogo chcecie; każdy wam powie, że siedzę tu od dwóch lat, czasem ostro się targuję, ale przynajmniej jestem uczciwy. Gdybym nie był, nikt by ze mną nie handlował i musiałbym zwinąć interes. Więc co, umowa stoi?

- Jaka jest cena? - spytał Carl.

- Zależy, co macie. Baterie? Tylko w latarce, pomyślał Carl.

- Nie - odparł.

- A przenośne radyjko? Najlepiej z falami krótkimi, ale zwykły tranzystor też wystarczy. Carl pokręcił głową.

- Broń? Amunicja? Latarki?

- Nic z tych rzeczy.

Mężczyzna z namysłem skubnął płatek ucha.

- No to jak czegoś nie wykombinujecie...

Carl odruchowo pomyślał o aparacie fotograficznym, ale zaraz wpadł na inny pomysł:

- Czekolada.

Kobieta opuściła druty; Albert zmrużył czujnie oczy.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. - Jaka?

- Hershey, standardowa. Gospodarz zabębnił palcami w książkę.

- Podam wam nazwisko - za sześć tabliczek. Mieli tylko trzy.

- Dam jedną.

Albert prychnął rozbawiony.

- Naprawdę nie jesteście stąd, bo inaczej byście mnie tak nie obrażali. Pięć.
Carl starał się przywołać kamienny wyraz twarzy, który przydawał mu się, gdy z kumplami w wojsku grywał w pokera.

- Oferta się nie zmieniła: jedna.

Albert ostentacyjnie westchnął i pokręcił głową.

- Żaden z tobą handel, młody byczku. Ale niech stracę: żal mi was; jesteście tu całkiem sami i nie znacie wyspy. Cztery.

Sandy chciała coś powiedzieć, ale Carl uciszył ją gestem. Zdjął plecak, położył go na podłodze i spod kłapy wygrzebał dwie tabliczki czekolady. Podniósł je do pancernego okna.

- Dwie - powiedział. - Dorzucę paczkę fajek. Cameli.

- Albercie... - odezwała się kobieta. Druty leżały nieruchomo na jej kolanach.

- Czy ty wiesz, jak dawno jadłam ostatni raz czekoladę? I to prawdziwego hersheya...

- Wiem, wiem... - przerwał jej zirytowany Albert. - Tylko że...

- W takim razie zgódź się. - Melanie zacisnęła zdecydowanie szczęki.

-Natychmiast.

Mężczyzna przygładził nieliczne włosy.

- Dobrze już, dobrze, niech będzie. - Posłał kobiecie wściekłe spojrzenie. - Aż sam się sobie dziwię, że pozwalam żonie tu siedzieć, kiedy mam klientów. Za łatwo się poddajesz.

Kobieta ze stoickim spokojem wróciła do robótki.

- Gdyby nie ja, nic by ci z tych interesów nie wychodziło - zauważyła. - Zawsze za długo się targujesz i płoszysz ludzi. Tak się nie handluje.

Jej mąż zmusił się do uśmiechu, przesunął prawą rękę i obrócił tacę pod blatem otworem do Carla. Ten wrzucił do środka dwie tabliczki czekolady i paczkę cameli, po czym Albert odebrał je i podsunął sobie pod oczy.

- Doskonale - powiedział. - Doskonale. Na pewno wystarczą na ładnych kilka tygodni.

Pochyliwszy się nad blatem, nagryzmołił coś na skrawku papieru, przystawił pieczętkę i przekazał karteluszek na drugą stronę. Carl podniósł go pod światło i przeczytał:

Gang SP19, przystanek metra Houston and Varick, prosić Jima. Pokażcie mu

stempel, a wszystko będzie OK. A.

Pod spodem widniała czerwona pieczęć, koło z napisem: SKLEP W GREENWICH YILLAGE. HANDEL DOSKONAŁY. ROK ZAŁOŻENIA: 1970.

Carl spojrzął na Alberta, który otworzył paczkę cameli i liczył papierosy.

- Co to jest gang SP 19?

- Ekipa, która rządzi tym odcinkiem tuneli metra. Mają połączenie z New Jersey po drugiej stronie rzeki. To kilka przecznic stąd, na wschód; łatwo ich znaleźć. Ale możecie być pewni, że nie zabiorą, was ze sobą za czekoladki. Każą sobie słono płacić.

Sandy zajrzała Carlowi przez ramię.

- Od dwóch lat pan tu pracuje?

- Zgadza się, panienko. Od 1970 w tym samym miejscu, a w ogóle od wojny nie ruszyłem się z miasta.

- Jak tu jest? Wspomniał pan coś o radzie wioski; czy to znaczy, że macie tu jakieś lokalne władze?

- Ależ naturalnie - odparł Albert, zapisując transakcję w książce rachunkowej.

- A co panienka myślała, że my jakieś dzikusy jesteśmy? Pewnie, trochę to trwało, żeby po ewakuacji się zorganizować, ale handlarzy jest sporo i wszędzie powstały lokalne rady: w Soho, w centrum, w Harlemie... Wydają licencje zbieraczom, którzy mogą potem albo handlować z nami, albo na własną rękę wywozić towary z wyspy.

- To znaczy, że nie wyjechał pan stąd ani na chwilę? - Carl rozejrzał się po pokoju. - Nawet po bombardowaniu?

- A po co? - wtrąciła Melanie. - Tu jest i zawsze będzie nasz dom. Nawet po tym, jak zostałam ranna przy bombardowaniu, nie zgodziłam się, żeby Albert mnie stąd zabrał. Nie mogłabym mieszkać gdzieś indziej niż w Nowym Jorku; zresztą nie brakuje ludzi, którzy myślą tak samo jak ja.

- Ale... Nie jest wam ciężko tak żyć? - W głębi duszy Carl nie mógł wyjść z podziwu, że tym ludziom udało się już tyle lat wytrwać.

- Jakoś sobie radzimy. - Albert wzruszył ramionami. - Jedzenia nie brakuje, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko pewnej monotonii: mamy ryby, czasem koźlinę... No i młode gołębice. Poza tym handel kwitnie, a ja nie mam na karku żadnego inspektora, poborcy podatkowego czy cholera wie kogo jeszcze, który chciałby mnie uczyć, jak prowadzić interesy.

- A wojsko?- spytała Sandy. Carl zwrócił uwagę, że dyskretnie robi notatki z rozmowy. - Żołnierze was nie niepokoją?

- Tu duże miasto, moje dziecko - odparła Melanie. - Za dnia armia robi to, co musi, a nocą my robimy swoje. Nie wchodzą nam w drogę, a my staramy się nie wchodzić im w drogę.

- Naprawdę nie macie tu żadnych kłopotów?

- Oj, dzieciaki, dzieciaki... - rzekł Albert z uśmiechem. - Nie zauważyliście tych dziur w ścianach, przy samym wejściu?

Carl obejrzał się przez ramię i dostrzegł jakiś ruch w jednym z otworów.

- Ktoś trzyma nas na muszce, tak? - powiedział. - Od samego początku.

- No jasne: moich dwóch synków, każdy ze strzelbą w garści. Nie spuszczają was z oka. Nie jest już tak źle jak na początku lat sześćdziesiątych, ale ja jestem z natury ostrożny. Mam rodzinę na utrzymaniu.

Drzwi otworzyły się i do środka weszło dwoje długowłosych ludzi w starych, połatanych ubraniach i butach wiązanych sznurkiem i klejonych plastrem. Przysiedli na drewnianych ławkach pod ścianą. Każde z nich trzymało sporych rozmiarów zawiniątko z ubraniami.

- Przepraszam was teraz, ale to nie przystanek autobusowy - powiedział Albert. - Mam klientów.

Kiedy wyszli ze sklepu, Sandy uwiesiła się Carlowi na ramieniu.

- Rany, własnym uszom nie wierzę! - wyszeptowała z podnieceniem. - Carl, to miasto jest niesamowite!

Było zimno i Carl poważnie zastanawiał się, czy nie zapiąć kurtki. Narzucił szybkie tempo, chcąc jak najszybciej znaleźć się przy wskazanej stacji metra. Nie miał pojęcia, kto - lub co - włóczy się pustymi ulicami po zmroku, pośród martwych samochodów, które za życia były naturalnym elementem krajobrazu miasta. W niektórych oknach paliły się światła, a na rogach ulic czasem płonęły ogniska rozpalone w wielkich dwustulitrowych beczkach. Gdzieś z daleka dobiegały pokrzykiwania i dźwięki muzyki.

- To miasto wcale nie jest wymarłe! - stwierdziła rozentuzjasmowana Sandy. - Wcale!

Carl nie przestawał czujnie rozglądać się na wszystkie strony.

- Tego się właśnie boję.

- Jak to?

Chciał powiedzieć coś na temat powrotu miasta do epoki barbarzyńców; wygłosić jakże adekwatną uwagę o starożytnym Rzymie, który musiał wyglądać podobnie, gdy zabrakło cesarskich legionistów; wyjaśnić jej, że w miastach przygranicznych - a takim był teraz Nowy Jork - nie można liczyć na rzetelne działania policji ani innych sił porządkowych.

I pewnie powiedziała by coś takiego, ale nagle z jakiejś piwnicy wyskoczyło trzech ludzi i rzuciło się na nich.

- Patrzcie no, co my tu mamy? - krzyknął jeden z nich.

Sandy wrzasnęła przerażona. Carl cofnął się i potknął o krawężnik, sięgając wolną ręką pod kurtkę. Spóźnił się. Dwóch mężczyzn złapało go za ręce i pchnęło na ścianę domu. Sandy znowu krzyknęła.

Kiedy Carl spróbował poruszyć ramionami, ktoś przytknął mu do szyi jakiś ostry przedmiot. Z płonącej na skrzyżowaniu beczki sączyło się słabe światło, nie rozpraszające mroku, w którym dostrzegął jakieś gorączkowe poruszenie. Jakaś cząstka jego umysłu skarżyła się cicho na jak zwykle nieobecnych policjantów.

Napastnicy mieli długie brody i skołtunione włosy; odziani byli w połatane cuchnące łachmany. Jeden z nich chwycił Sandy: jedną ręką złapał ją od tyłu za szyję i zasłonił jej dłonią usta, w drugiej trzymał nóż, który przystawił jej do szyi. Miał na sobie brudny wełniany płaszcz bez guzików i cały czas się śmiał. Sandy usiłowała mu się wyrwać, ale tylko wypuściła z ręki chlebak.

- Znów się nam udało - powiedział. - To był świetny pomysł, że wyłapywać ich pod sklepem. Zobaczmy, co mają.

- To, co ty masz, Zeke, jest całkiem niezłe - zauważył mężczyzna stojący po lewej stronie Carla. - Będę teraz drugi w kolejce?

Jego kompan parsknął śmiechem.

- Najpierw pozbadźmy się tego balastu. Potem się zabawimy.

Sandy szarpnęła się w objęciach Zeke'a, który zaśmiał się tylko i krzyknął:

- Chłopaki, ona jest całkiem świeżutka! W ogóle nie czuję kości. A jak pachnie!

Słyszając ich śmiech i radosne okrzyki, Carl zacisnął mocniej pięści i z całej siły nadepnął na stopę bliżej stojącego mężczyzny. Ten wrzasnął przeraźliwie i puścił rękę Carla, który natychmiast wbił łokieć w twarz drugiego napastnika. Wyszarpnął

rewolwer z kabury i wycelował go w stojącego najbliżej Zeke'a. Zeke dalej trzymał rękę na ustach Sandy, a nóż przy jej szyi, tylko oczami nerwowo strzelał na boki.

- Nie podchodź - ostrzegł Carla. - Bo ją potnę.

Carl zszedł z chodnika na jezdnię, starając się mieć całą trójkę napastników na oku; kompani Zeke'a powoli podnosili się z ziemi. Odciągnął kurek.

- Nie podchodź! - Zeke podniósł głos. - Jeszcze jeden krok i naprawdę ją pochlastam.

Carl zrobił kilka kroków; broń w jego ręku ani drgnęła, jakby stanowiła naturalne przedłużenie ramienia. Słyszał szepczących kumpli Zeke'a i słabe pojękiwanie Sandy, ale starał się skupić tylko na nim jednym.

- Ostrzegam cię! - krzyknął Zeke, choć głos mu zadrżał. Carl odchrząknął.

- To ja cię ostrzegam, słonko. Rusz nożem, a strzelę.

- Jestem prawdziwym szczurem z Gotham! - zaśmiał się chrapliwie Zeke. - Myślisz, że boję się śmierci?

Krok do przodu.

- Nie powiedziałem przecież, że cię zabiję, tylko że strzelę. Kula urwie ci nogę i będziesz tak leżał na chodniku, aż się wykrwawisz. Dużo znasz lekarzy?

Jeszcze raz popatrzył na pozostałą dwójkę, ale nie podeszli bliżej. Spojrzał na Zeke'a, który nie wiedzieć czemu wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Posłuchaj mnie - wybełkotał Zeke. - Posłuchaj, mam propozycję. Podszewka płaszcza, z tyłu, ja mam... ja tam zaszyłem monety, zwędziłem je z banku na Broadwayu, zanim przyszli żołnierze. Jak mi jadasz, będą twoje.

- Nie ma mowy - odparł Carl i zrobił następny krok naprzód. Mimo prawie zupełnych ciemności widział, że Sandy ma oczy szeroko otwarte z przerażenia. Była o krok od płaczu.

- To nieuczciwe! - poskarżył się Zeke. - Nieuczciwe! Czy ty wiesz, jak długo nie miałem takiej kobiety?

Po kolejnym kroku Carl przytknął wylot lufy kolta do brody Zeke'a.

- Nie interesuje mnie, czy to uczciwe, czy nie - powiedział, starając się zachować spokój. - Puść ją.

Zeke zacisnął oczy, zakwicział przeraźliwie i pchnął Sandy do przodu. Carl złapał ją wolną ręką i stanął między nimi. Zeke umykał już z kumplami, gdzie pieprz rośnie, ale odwrócił się jeszcze i krzyknął:

- Żebyście się tak porzygali! Żeby was napromieniowało! Porzygacie się i

umrzecie, właśnie tak!

Carl objął roztrzęsioną Sandy i popatrzył czujnie dookoła. Po drugiej stronie ulicy widział światła świec w oknach oraz kilkoro ludzi, którzy po zakończeniu szarpaniny spokojnie szli ulicą.

- Nic ci się nie stało? - spytał. - Sandy? Zadrżała jeszcze mocniej w jego ramionach.

- Chyba... Chyba się zmoczyłam, Carl. Tak się bałam...

- Ja też - przyznał, nie przestając się rozglądać. - Chodź, idziemy. Mamy kawałek do przejścia, ale może tam przynajmniej będziesz się mogła umyć.

Sandy wzdrygnęła się i podniosła chlebak z ziemi.

- Byłeś... byłeś bardzo odważny, że im się tak postawiłeś, Carl...

- Nie byłem odważny - odparł. W powietrzu unosiła się jakaś kwaśna woń. - Wcale nie byłem odważny.

Minęli następne ognisko, tym razem rozpalone w małym koksowniku. Blask ognia padał na drzwi i tabliczkę z napisem RESTAURACJA U BOGIEGO - OTWARTE. Na granitowych schodkach przy wejściu siedziało dwóch mężczyzn, trzymając na kolanach kije baseballowe.

- Jak to: nie byłeś odważny? - zaprotestowała Sandy. - Widziałam, co zrobiłeś. Zachowałeś się...

- Byłem dla nich za silny - wszedł jej w słowo Carl. W jednej ręce nadal trzymał pistolet, drugą przyciskał ją mocno do siebie.

Sandy zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

- Co powiedziałeś?

- Wolałbym, żebyśmy na razie szli dalej. Potem porozmawiamy.

- Nie, teraz chcę o tym porozmawiać. Co miałeś na myśli?

Gdzieś z przodu dolatywała muzyka. Carl nie wierzył własnym oczom i uszom: Manhattan nie był opustoszały ani tym bardziej wymarły. Wprost przeciwnie! Na wyspie istniały dwa miasta: jedno w ciągu dnia, kiedy patrole w dżipach i śmigłowcach przeczesywały puste ulice - i drugie w nocy, kiedy wojsko wycofywało się do swoich baz, dobrze chronionych hoteli i mieszkań, a władzę w Nowym Jorku przejmowali całkiem inni ludzie - ci, którzy zostali, i ci, którzy wrócili do domu.

- Byli chudzi jak szczapy, Sandy, pewnie od tygodni nie jedli porządnego obiadu. Czułem się tak, jakbym bił się z dziesięcioletnimi dziećmi.

- Ale uratowałeś mi życie, Carl. - Podniosła dłoń do jego twarzy i znów

przebiegł ją dreszcz. - Nie bądź taki skromny, Jankesie. Oni chcieli mnie zgwałcić i... Bóg jeden wie, co jeszcze zamierzali, ale ty się mną opiekujesz i cholernie cieszę się z tego, że jesteś dla nich za silny. Nie chcę nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby było inaczej.

Carl poczuł, jak coś ciepłego spływa mu po karku; bolał go cały tył głowy. Sandy cofnęła rękę.

- Jesteś ranny! To krew!

Ostrożnie dotknął skaleczenia, poczuł pod palcami lepłą krew.

- Nic mi nie jest, to tylko zadrapanie. Chodźmy na tę stację metra.

- Ale i tak jesteś odważnym człowiekiem, Carl.

- Nieprawda. Jestem przede wszystkim śmierdzącym człowiekiem. Muszę wziąć prysznic i się przebrać.

- A ja?

Carl pociągnął ją za rękę.

- Ty swoje najlepsze ubranie masz zawsze ze sobą. Teraz ona go pociągnęła.

- Moja babcia mogłaby tak powiedzieć.

Następne dwa kwartały bloków minęli bez przeszkód, tym bardziej że komuś - choć raczej nie żołnierzom - udało się przynajmniej częściowo ściągnąć na bok blokujące drogę pojazdy. Carl spoglądał na migoczące światła i zastanawiał się, co zrobią ci wszyscy ludzie, kiedy wojsko podłączy na powrót prąd i otworzy Manhattan dla wszystkich chętnych. I czy to prawda, co mówił Greg? Nawiasem mówiąc, odnosił teraz wrażenie, jakby rozmowa z porucznikiem miała miejsce całe wieki temu. Czy naprawdę Rockefeller miał zostać tutaj zaprzysiężony? Czy rzeczywiście udało się dokonać takiego postępu, czy też było to zwykłe niewinne kłamstewko, jedno z wielu?

A jeśli już mowa o kłamstwach... Tylko w okolicy, przez którą szli, widział dobre kilkaset osób na ulicach; ilu w takim razie mieszkańców liczy cały Manhattan? Kilka tysięcy? Kilkadziesiąt tysięcy? Instynktownie, jakby przez skórę czuł ich niespożytą energię, chęć życia, niemal elektryczne napięcie... I Już prawie zapomniał, jakie to uczucie. Patrzył na mijanych ludzi, na to, jak I chodzą, jak się noszą, przysłuchiwał się strzępkom rozmów. Wyczuwał w powietrzu coś niezwykłego, a zarazem znajomego, coś, co prawie udało mu się...

Tak, pomyślał, właśnie to. Mijali właśnie kolejną witrynę; z głębi lokalu dolatywały dźwięki jazzowej muzyki, brzmienie saksofonów i trąbek, oklaski, pokrzykiwania... I już wiedział, co odróżnia tę noc od innych.

Ci ludzie naprawdę żyli - i wcale się nie bali. Może martwili się, że nie mieli co jeść i że mogą podpaść żołnierzom, ale nie musieli się przejmować cenzurą, obozami dekontaminacyjnymi i obławami, jakie policja urządzała na dzikich lokatorów. Przeciwnie: byli prawdziwie wolnymi Amerykami, żyjącymi potajemnie w otwartym mieście i...

Nie, pomyślał. Tylko nie to.

Hotelowa piwnica: sprzęt, drut kolczasty, przenośne zapory uliczne, pałki i tarcze. I gaz łzawiący. Angielscy spadochroniarze? Pewnie, czemu nie; wszystko nagle nabrało sensu.

Wiedział już, co czeka dzielnych mieszkańców tego miasta przed styczniowymi uroczystościami. I na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

- Jest! - powiedziała Sandy. - To chyba tutaj. - Na skrzyżowaniu widniało podświetlone zejście do metra. - To chyba nie może być pułapka, co?

- Nie sądzę - odparł Carl wyrwany nagle z zamyślenia. - Wpuszczenie nas w kanał byłoby kiepską wizytówką dla Alberta. Ale trzymaj się za mną, dobrze?

- Mhmm...

Schody były uprzątnięte i umyte; czerwoną farbą w sprayu ktoś napisał „SP 19” na starym znaczku metra. Kiedy Carl i Sandy zeszli niżej, światło stało się jaśniejsze. Schody skręciły w lewo i ujrzeli, że blask pochodzi z rozmieszczonych wzdłuż ścian - także na podłodze - latarni. Z przodu znajdowała się barykada z worków z piaskiem i kawałków złomu, za nią zaś siedziało na barowych stołkach dwóch mężczyzn z karabinami na kolanach. Obaj mieli czapeczki baseballowe New York Yankees, połatanie niebieskie dżinsy i grube sztruksowe płaszcze. Próbowali chyba zapuszczać brody, ale czekała ich jeszcze długa droga.

Na widok przybyszów jeden z nich wstał i niedbałym gestem uniósł karabin.

- Macie tu coś do załatwienia? Szukacie kogoś? - zapytał. Carl spojrzął na trzymany w dłoni świstek papieru.

- Przychodzimy od Ala ze sklepu w Greenwich Village. Kazał nam pytać o Jima.

Strażnik obszedł barykadę bokiem. Carl doszedł do wniosku, że chłopak niedawno skończył dwadzieścia lat.

- Mogę zobaczyć waszą przepustkę?

Carl podał mu kartkę. Chłopak obejrzał ją i oddał.

- Zgadza się, to pieczętka Ala.
- Ale nie dał jej wam za darmo - zauważył jego towarzyszy i parsknął śmiechem.

- To fakt - przyznała Sandy. - Wysoko się ceni.
- A prawda, prawda... - przytaknął ten, który oglądał przepustkę. - Nie jesteście stąd, prawda?

- Nie - zgodził się Carl. - Jesteśmy dziennikarzami: ona z londyńskiego „Timesa”, a ja z „Boston Globe”. Chcielibyśmy porozmawiać z Jimem.

- Jasna sprawa. - Chłopak zrobił w tył zwrot i strzelił palcami. - Hej, Paco! Chodź no tutaj! Będziesz kogoś eskortował.

Z półmroku wynurzył się trzeci chłopak, jeszcze młodszy od strażników przy barykadzie, ale ubrany i uzbrojony tak samo jak oni. Na pierwszy rzut oka barykada wydała się Carlowi cokolwiek niedorzeczna, za słaba, żeby stanowić jakąś rzeczywistą przeszkodę, ale teraz zaczynał rozumieć, że niekoniecznie musi mieć rację. To był tylko pierwszy posterunek; dalej pewnie znajdowały się następne, solidniejsze i silniej obsadzone.

Śniadoskóry Paco usilnie pracował nad wyhodowaniem wąsów - i szło mu to lepiej niż próby kolegów z brodą. Kiedy obszedł barykadę, zaskoczył Carla, wyciągając dłoń na powitanie - najpierw do niego, potem do Sandy.

- Dobrze słyszałem? Jesteście dziennikarzami? - zapytał z nieskrywanym entuzjazmem.

- Dobrze słyszałeś.

- To kapitalnie! Witajcie w Nowym Jorku!

- Dzięki! - roześmiała się Sandy. - Nikt nas jeszcze tak tu nie witał.

Zagłębiali się w tunele stacji metra. Paco bez chwili przerwy komentował mijane sceny, opowiadał różne historie i zadawał pytania, na które Carl odpowiadał monosylabami. Idąc starymi korytarzami o wykładanych glazurą ścianach i podłodze z gołego cementu, Sandy i Carl z najwyższym trudem radzili sobie z prawdziwym potopem nowych wiadomości i widoków. We wnękach ścian znajdowały się sklepy, a w nich dosłownie wszystko, czego człowiekowi na co dzień potrzeba, od butów po naczynia kuchenne; ludzie ustawiali się grzecznie w kolejkach albo po prostu zaglądali ciekawie, co mogą kupić.

W wielu miejscach pojawiły się ściany z drewna i sklejki z wymalowanymi nazwiskami; wszystko wskazywało na to, że za nimi znajdują się pomieszczenia mieszkalne. W dużej otwartej przestrzeni urządzono szkołę: dzieci siedziały grzecznie ze starymi, mocno używanymi książkami w rękach, a przy tablicy stał, gestykulując, nauczyciel. Nieco dalej znajdował się warsztat tkacki; Carl ze zdumieniem zauważył, że wszyscy pracujący przy krosnach ludzie są niewidomi, tak samo jak żona Alberta. W korytarzach rozbrzmiewała muzyka i gwar rozmów, paliły się lampy naftowe i - nieliczne, chwilami przygasające - elektryczne. Carl nie wierzył własnym oczom.

Zatrzymali się na chwilę, żeby opatrzeć mu ranę na karku; na szczęście krwawienie samo już przedtem ustało.

- To mi przypomina niemieckie naloty - powiedziała Sandy z niekłamanym podziwem. - Wtedy, w czasie wojny, ludzie też żyli w tunelach metra.

- W Londynie, tak? - upewnił się Paco. - Tak mi się właśnie wydawało, masz angielski akcent i w ogóle... Nie żebym znał jakiegoś Anglika, ale dużo słucham radia.

- Angielskiego radia? Słuchacie BBC?

- No pewnie. Lubię to, jak mówią, tak czysto, wyraźnie. Poza tym wiadomości też mają lepsze niż ci tutaj, w Stanach. Wieści z kraju są zwykle nudne jak flaki z olejem, a poza tym i tak człowiek nie wierzy w co drugie słowo. Co właściwie robicie w Nowym Jorku?

- Pracujemy nad materiałem do gazety - odparł Carl. - A poza tym próbujemy się stąd wydostać.

- Ach tak? No to dobrzeście trafili, bez dwóch zdań. Za minutką będziemy na miejscu. A jak już mowa o nowinach: co słyhać u Niemców i Francuzów?

- W jakiej sprawie? - zdziwiła się Sandy.

- Jak to? - Paco stanął jak wryty. - Przecież mają lecieć na Księżyc. Nie słyszeliście?

Sandy i Carl poczuli się trochę zawstydzeni. Oto mieli przed sobą chłopaka, który pewnie nie skończył jeszcze dwudziestu lat, mieszkał w podziemnym świecie, o którego istnieniu prawie nikt w Stanach nie wiedział, a w dodatku bardziej interesował się podbojem kosmosu niż tym, co się dzieje wokół niego.

- Wystrzeliją rakiety z Gujany - odparł Carl. - Z Ameryki Południowej. Budują stację kosmiczną „Orle Gniazdo” i za kilka lat faktycznie zamierzają lecieć na Księżyc. Jeśli wystarczy im pieniędzy.

- To super. - Paco pokiwał głową. - Mam nadzieję, że będziemy już wtedy mieli telewizję.

Weszli w kolejny krótki korytarz, tym razem zastawiony stalowymi biurkami i krzesłami ściągniętymi z miasta na powierzchnię. Na każdym biurku stała maszyna do pisania. Paco zamienił kilka słów z mężczyzną siedzącym przy drewnianych drzwiach, który również nosił baseballówkę Jankesów i sztruksowy płaszcz, ale zamiast karabinu trzymał na kolanach strzelbę z upiłowaną lufą. Był starszy od Paco i miał wspaniałe wąsy. Carl od razu poznał, z kim ma do czynienia: typowy wartownik, podejrzliwy wobec każdego, kto chce się spotkać z jego szefem.

- Czy mogę zobaczyć przepustkę od Ala? - zapytał strażnik. Carl podał mu ją bez słowa.

- Za te drzwi nie wolno wносить broni - uprzedził Paco. - Przypilnuję i spluw, i waszych plecaków. Jim poświęci wam pięć minut, nie więcej.

- Przepraszam, że pytam, ale kim właściwie jest Jim? - zaciekawił się Carl. Wartownik prychnął pogardliwie.

- Facet, ty naprawdę jesteś całkiem zielony! To Jim Rowley, szef SP 19 i prawdziwa szacha na tej wyspie, jedna z największych. Macie farta, że od razu was przyjmie; lubimy dobrze żyć z Alem.

- Nie chcę być niewdzięczna... - zagadnęła Sandy, zerkając w długi mroczny korytarz. - Po prostu boję się spuścić nasz dobytek z oka. Nic więcej nie mamy, więc...

- Wszystkiego przypilnuję - wszedł jej w słowo Paco. - Daję słowo, proszę pani. Jesteście w SP 19; my załatwiamy takie rzeczy uczciwie.

Carl również był niespokojny, ale rozumiał, że nie ma wyboru. Odpiął pas z koltem i wraz z bagażami położył na ziemi. Paco przysunął sobie wolne krzesło i

usiadł.

- Nie martwcie się - oznajmił z uśmiechem. - Nie znikną do waszego powrotu.

Strażnik zapukał dwukrotnie do drzwi, a następnie je otworzył.

- Jim, przyszli goście od Ala. Mają do ciebie jakiś interes.

Kiedy Carl i Sandy weszli do pokój, drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Pomieszczenie było nieduże i załatywało wilgocią. Z boków znajdowały się dwa masywne regały pełne książek oprawnych w skórę i tanich, kieszonkowych wydań. Pośrodku postrzępionego dywanu stało metalowe biurko i dwa krzesła, których skórzane obicie ktoś posklejał plastrem. Z sufitu zwieszały się dwie lampy elektryczne. Młody człowiek w grubym zielonym swetrze i - a jakże - czapeczce Jankesów podniósł na chwilę głowę znad opasłego zeszytu i skinieniem ręki wskazał gościom miejsce. Jedną stronę twarzy miał mocno poparzoną, a oczy okolone wianuszkami zmarszczek. Carl starał się nie gapić zbyt beczelnie ani na niego, ani na wiszące za jego plecami oprawione w ramki zdjęcie: przedstawiało Johna F. Kennedy'ego, a u dołu miało wydrukowany podpis ON ŻYJE.

- Siadajcie, siadajcie proszę. Nazywam się Jim Rowley i jestem szefem SP 19. Podobno ubiliście interes z Alem, a teraz macie jakąś sprawę do nas. O co chodzi?

Z wewnętrznej kieszeni kurtki Carl wyjął przybrudzoną wizytówkę.

- Nazywam się Carl Landry. Jestem dziennikarzem i fotoreporterem „3^o-ston Globe”.

- A ja jestem Sandy Price z londyńskiej redakcji „Timesa” - dodała Sandy. - Niestety, nie mam wizytówki, więc chyba musi pan zaufać mojemu akcentowi.

Jim wziął wizytówkę do ręki i odchylił się na oparcie krzesła.

- Z Bostonu i z Londynu... Daleko od domu was rzuciło, nie ma co. Co wy tu, do diabła, robicie?

Carl i Sandy popatrzyli po sobie.

- Przyjechaliśmy, żeby napisać artykuł o Nowym Jorku - wyjaśnił Carl.

- Sami czy z żołnierzami?

- Z żołnierzami.

- No to co się stało? Uciekliście eskortcie?

- Można tak powiedzieć.

- Można, ale ja bym tak nie powiedział. - Jim uśmiechnął się szeroko.

-Wczoraj w Greenwich sporo się działo: ktoś ostrzelał dżipa, potem rozwalił jakiś bar... Wiecie coś na ten temat?

- To byliśmy my - przyznała Sandy. - Wpadliśmy w zasadzkę i nasz przewodnik zginął na miejscu.

- A po co tu przyszliście? - Jim nie przestawał się uśmiechać. - Czemu nie wróćcie do armii?

- Po tym, jak zorganizowano zasadzkę, nie jesteśmy pewni, czy możemy im ufać - wtrącił Carl. - Nie wiem, czy ci, którzy strzelali, są żołnierzami, czy nie, ale mało nas to obchodzi; po prostu nie chcemy ich więcej spotkać. Dlatego uznaliśmy, że warto spróbować na własną rękę.

Jim oparł dłonie o tył głowy i splótł palce.

- Rzeczywiście, brzmi to sensownie. Prawdziwi żołnierze są w porządku: mają swoją robotę do wykonania i nic poza tym ich nie interesuje; nie ruszają nas, a my nie ruszamy ich. Najgorsi są ci z Wydziału Specjalnego, z Sekcji Z. - Zmrużył oczy. - I tu się zaczyna problem. Jeśli wy też jesteście z Z, to wam współczuję. My ich tu nie lubimy.

- Dlaczego? - zapytała Sandy.

- Bo to służbiści i za bardzo się starają. Zwykli żołnierze pozwalają ludziom spokojnie żyć; doszli do wniosku, że jeżeli wyspa zostanie kiedyś otwarta dla mieszkańców, gliny sobie z nami poradzą. A ci z Sekcji Z chcieliby wszystko załatwić osobiście, posprzątać tu, i to tak, żeby nikt się o nas nie dowiedział.

Carl znów przypomniał sobie, co widział w piwnicy: drut kolczasty, skrzynki z gazem, plastikowe kajdanki. Jeszcze nie, pomyślał. Później przyjdzie na to czas.

- Szczerze mówiąc, Jim, nikt z nich chyba nawet nie wie, że tu jesteście.

- Pewnie że nie. Przecież wojsko kontroluje nie tylko Manhattan, ale i gazety, nie? Chyba nie trzeba nic więcej dodawać.

Carl powiódł wzrokiem po ciasnym pokoiku.

- Szkoła, tak?

- Co takiego? - zdziwiła się Sandy.

Na widok uśmiechu, który znów rozjaśnił twarz Jima, Carl poczuł się pewniej.

- Dlatego nazwaliście się SP 19, „Szkoła Publiczna numer 19”. Mam rację?

- Masz.

- Jesteście dziećmi z jednej szkoły? - upewniła się Sandy.

- Nie jesteśmy dziećmi. - Jim gwałtownie pochylił się nad biurkiem. Głos miał teraz poważny, chrapliwy. - Chcecie posłuchać, jak to było? Zanutuj sobie,

panienko, jak doszło do tego, że dziesięć lat temu dzieciaki z SP 19 w jedną noc się postarzały, kiedy dorośli wszystko spieprzyli.

Sandy poszła za jego radą: wyjęła notatnik i odkręciła skuwkę wiecznego pióra.

- Już piszę - oznajmiła. - I słucham.

Jim mówił spokojnie, wyraźnie i gładko, jakby od lat ćwiczył swoją kwestię w oczekiwaniu na szansę opowiedzenia wszystkiego przybyszom z zewnętrznego świata.

- To było w październiku. Podstawówka numer dziewiętnaście znajdowała się kilka przecznic stąd, uczyło się w niej kilkaset dzieci. Ja byłem w szóstej klasie, ostatniej. Kiedy zawyły syreny, nauczyciele sprowadzili nas do piwnicy, kazali sięść pod ścianami i schować głowę w dłonie. Płakaliśmy i krzyczeliśmy ze strachu, a ja od razu domyśliłem się, że coś nie gra, bo nie wszyscy nauczyciele zeszli z nami do schronu. Uciekli pewnie, żeby spotkać się z własnymi rodzinami. - Jim powiódł palcami wzdłuż oprawy zeszytu na biurku. - Najpierw wydawało nam się, że to następny próbny alarm. Wiedzieliśmy, że doszło do kryzysu w sprawie rakiet i że źle się dzieje, ale w tamtych czasach zawsze źle się działo, nie? Kryzys, spotkanie na szczycie, próbny alarm atomowy. I tak w kółko. Ale wtedy po kilku minutach rozległ się grzmot, zaraz po nim następny i po krótkiej przerwie jeszcze jeden. Za każdym razem ziemia się trzęsła i sprzęty spadały z półek; w pewnym momencie nawet sufit częściowo się zawalił. Wrzeszczeliśmy jak opętani; nawet nasi nauczyciele byli śmiertelnie przerażeni. Jim podniósł wzrok i uśmiechnął się łagodnie.

- Wiecie, to było najgorsze... Dzieci są twarde; pewnie wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że dorośli też się bali. Kiedy jesteś dzieckiem i twój nauczyciel się boi, zaczynasz rozumieć, że dzieje się coś bardzo złego.

- Ktoś został ranny? - wtrąciła Sandy.

- Domyślam się, że próbujesz delikatnie zapytać o to. - Jim dotknął blizn na twarzy. - Nie, to nie wtedy. Kilka lat temu sfora głodniałych psów uznała, że nadam się na lunch.

- Co działo się po bombardowaniu? - zapytał Carl.

- Płakaliśmy strasznie; niektóre dzieciaki zsikały się w spodnie, a potem jeszcze zgasło światło i musieliśmy pozapalać świece. - W tym momencie Jim

wyraźnie sposepniał. -Następne kilka tygodni było ciężko, naprawdę ciężko. Niektórzy rodzice zdołali dotrzeć do szkoły i odebrać dzieci; odjeżdżały, a ich koledzy zostawali zapłakani w schronie. Boże, jak myśmy wszyscy tęsknili za rodzicami. Po

jakimś czasie nauczyciele zaczęli się wymykać, jeden po drugim znikali. Trudno ich winić za to, że chcieli zobaczyć, co z rodziną, ale wtedy nie mogliśmy im tego darować. Tylko dwie osoby zostały z nami do końca: pani Bouchard i pani Callaghan, starsze, doświadczone nauczycielki. Staraly się pilnować porządku, chociaż nie było im łatwo: mieszkaliśmy w piwnicy, w wiecznym strachu przed promieniowaniem i zdziżeniem na ulicach. Piliśmy paskudną wodę z beczek, jedliśmy tylko herbatniki i twarde cukierki. Któregoś dnia pani Callaghan oznajmiła, że pójdzie na posterunek policji, żeby zorientować się, czy możemy liczyć na jakąś pomoc z ich strony. To było całkiem blisko, pięć, sześć przecznic, ale pani Callaghan już nie wróciła.

Carl zorientował się, że słucha z zapartym tchem, stara się nie uronić ani słowa, śledzi ruch ust mówiącego i stara się przeniknąć jego myśli. Jim odchrząknął i mówił dalej:

- Po kilku tygodniach zaczęła się nam kończyć woda. Pani Bouchard wzięła swój kapelusz, założyła płaszcz i rękawiczki. Myślę, że niewiele brakowało jej do emerytury, ale została z nami i wytrzymała bardzo, bardzo długo. Była ostatnia. Zostało nas około sześćdziesięciu dzieciaków. Zawołała mnie do siebie - byłem najstarszy - i powiedziała, że idzie do remizy strażackiej. Jej drogi świętej pamięci mąż, jak zawsze o nim mówiła, był strażakiem i nie ulegało dla niej wątpliwości, że strażacy zostali w mieście, by się nim opiekować. Tak mi właśnie powiedziała. - Jim spuścił wzrok. - Przepraszam. Sami widzicie, że to dla mnie najtragiczniejsze wspomnienia. Mniejsza z tym: siedzieliśmy w piwnicy i patrzyliśmy wszyscy na nią, jak wychodziła. Powiedziała, że mamy być grzeczni, pomagać sobie nawzajem, uczyć się pilnie i o nic się nie martwić. Poklepała mnie jeszcze w policzek i dodała, że jako najstarszy w grupie będę teraz jej szefem. Założyła kapelusz i wyszła po schodach na górę. Nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy, a ja cały czas jestem szefem.

- Zagospodarowaliście taki szmat tuneli? - zdumiał się Carl.

- No, nie w tydzień i nie w dwa. - Jim uśmiechnął się smutno. - Dopiero później zaczęliśmy się rozglądać po okolicy i przenosić do tuneli. Przyłączyło się do nas trochę dzieciarni i paru dorosłych, którym podobało się, że jesteśmy zorganizowani i trzymamy się razem.

- A dlaczego nie wyjechaliście z innymi po bombardowaniu? - spytała Sandy, unosząc wzrok znad notesu.

Jim wzruszył ramionami.

- Przede wszystkim chyba nie dowiedzieliśmy się na czas o ewakuacji.

Mieszkaliśmy w szkolnej piwnicy i prawie nie wychylaliśmy z niej nosa. Baliśmy się promieniowania i tego, co stało się paniom Callaghan i Bouchard. Wychodziliśmy na górę na krótko, a i to tylko w środku nocy, żeby poszukać czegoś do jedzenia. W nocy zwykle mniej wieje, więc szansę, że wiatr przygna zabójczą chmurę znad Queens albo Long Island, były mniejsze. No i po jakimś czasie nauczyliśmy się tak żyć. Potem wprawdzie usłyszeliśmy o ewakuacji ludności, ale przy okazji dotarły do nas i inne wieści: że zabija się na miejscu chorych i napromieniowanych... Wariactwo, ale wtedy w to wierzyliśmy. Poza tym nie wiedzieliśmy, komu można by zaufać, więc najlepiej było nie ruszać się z miejsca. W dodatku byliśmy jeszcze dziećmi, które traktowały to wszystko jak wspaniałą przygodę; uważaliśmy, że lepiej przeżyć jako miejski gang, niż dać się stąd wywieźć i rozparcelować do rodzin zastępczych.

- Jak to się stało, że teraz tu urzędujecie? - zapytał Carl.

- Wyrośliśmy ze szkoły - odparł Jim, bawiąc się od niechcenia piórem. -W krótkim czasie zostaliśmy jedyną zorganizowaną ekipą w tej części Village, więc zaczęliśmy handlować z innymi gangami, w większości też złożonymi z dzieciaków. Podoba nam się to życie w podziemiu: wojsko się nami nie interesuje, wiemy, jak sobie radzić, a poza tym... No, jakby znowu spadły bomby, będziemy mieli osłonę.

- Ale wiecie, że Związek Radziecki nie istnieje - zauważyła Sandy. -Tak samo jak komunistyczne Chiny. Następne bombardowanie jest raczej mało prawdopodobne.

Jim uśmiechnął się do niej, choć wcale nie poweselał.

- Przykro mi, panno Price, ale nie jesteśmy tak łatwowierni i ufni jak wy. Myśleliśmy, jak to dzieci, że dorośli się nami zaopiekują, ale szybko nauczyliśmy się, że nie mają zielonego pojęcia, co robią. Pani mi mówi, że nie muszę się przejmować Rosjanami ani Chińczykami; to prawda i nie potrzebujemy pani dobrych rad. Mamy radio, a kiedy kilka razy odwiedziłem New Jersey, oglądałem tam telewizję. Wiem, co się dzieje na świecie, nawet jeśli świat nic o nas nie wie; wiem o Anglikach, Francuzach i Niemcach: wydaje im się, że znów grają pierwsze skrzypce na arenie międzynarodowej, i wiem również, że w większości nas nie lubią. Któregoś dnia, jak im się znudzimy, wyślą nam kilka rakiet i dokończą dzieła.

Sandy pospiesznie notowała jego słowa, gdy Carl dostrzegł wypelzający jej na policzki rumieniec.

- Mówiłeś, że nie ufacie dorosłym, Jim - zauważył. - Dlaczego w takim razie masz tu zdjęcie Kennedy'ego?

Jim obrócił się wraz z krzesłem.

- J.F.K.? To jedyny prezydent, jakiego kojarzę z dzieciństwa; Eisenhowera nie pamiętam już zupełnie. Moi rodzice byli... no, byli demokratami do szpiku kości. Kochali Roosevelta. W czasie kryzysu, jeszcze przed wybuchem wojny, mówili mi, że J.F.K. sobie poradzi i nie pozwoli komunistom ani wojsku wplątać nas w wojnę. Chyba im wierzyłem i tak samo wierzyłem w J.F.K. Nawet po wojnie słyszałem go już kilkakrotnie w radiu... A w każdym razie gościa, który się za niego podaje. To byłoby miłe, gdyby nie zginął w czasie nalotu i teraz wrócił pokierować krajem. Poza tym to dobrze robi interesom -dodał, zwracając się z powrotem ku gościom.

- Jak to?

- Chodzi mi o starych poddanych Kennedy'ego, pracowników jego administracji, tych, którzy mu uwierzyli. Sporo ich mieszka w okolicy.

- Tutaj? - Sandy podniosła głowę znad notesu. - Na tej stacji?

- No nie, większość mieszka na West Side. Chodziło mi o to, że wciąż są w Nowym Jorku. I dalej są trochę snobistyczni. Czasem z nimi handlujemy; podoba im się to zdjęcie. Przypomina stare dobre czasy.

- To znaczy, że też zrezygnowali z ewakuacji.

- Można tak to ująć...

- Przyjechali później, prawda? - wtrącił Carl. Sandy spojrzała na niego bez słowa.

Jim wolno pokiwał głową, dając Carlowi mówić:

- No jasne. Po wojnie zapanowało szaleństwo: Trybunał do spraw Zbrodni Wojennych, areszty, lincze... Musieli się gdzieś ukryć, w miejscu, gdzie nikt by ich nie szukał. Więc czemu nie wrócić tutaj, do największego i najbardziej wyludnionego miasta na świecie? Od zewnątrz strzeżonego przez wojsko. Mają tu święty spokój. Ilu ich jest?

- Trudno powiedzieć, ale z pewnością bardzo to przeżyli. Przychodzą tu czasem starsi faceci, z których każdy mógłby być moim dziadkiem, i zaczynają mi się wyplakiwać w rękaw, jak to im jest strasznie przykro z powodu tego, co się stało. Jak ich pierwszy raz usłyszałem, zrobiło mi się słabo, ale po dziesiątym, piętnastym razie po prostu przerywam im w pół zdania i przechodzę do interesów. - Jim otworzył zeszyt, z którym zapisywał klientów i transakcje. - No właśnie: interesy. Mówiliście, że chcecie się wydostać z Manhattanu. Czy to nadal aktualny pomysł?

- Jak najbardziej - przytaknął Carl. - A możliwy do zrealizowania?

- Oczywiście. Opiekujemy się sporym kawałkiem tuneli metra i przez te dziesięć lat nieźle go zbadaliśmy. Zdziwilibyście się, wiedząc, jaka masa rur z wodą, kanałów, starych tuneli i korytarzy inspekcyjnych ciągnie się pod ziemią. Są wśród nas prawdziwi odkrywcy, którzy uwielbiają badać stare tunele. Znaleźliśmy też taki, który kończy się w New Jersey. Dziś go wprawdzie już nie używamy, ale was może zainteresować.

- I to bardzo - zgodziła się Sandy.

- To kosztuje - ostrzegł Jim. - I nie bez powodu. Nie możemy pozwolić, żeby każdy chętny pętał się bez powodu tam i z powrotem. Utrzymanie tunelu w jakim takim stanie jest kosztowne, a my mamy mało surowców i musimy być wybredni. Tak to wygląda. Moglibyście wyruszyć jutro o piątej rano. Co macie?

Teraz, pomyślał Carl. Nadszedł właściwy moment.

- Informację - powiedział.

- Informację? - powtórzył z niedowierzaniem Jim. - Musi być bardzo wielkiej wagi, żeby opłacić waszą wycieczkę za rzekę. Słucham więc: co wiecie?

- Wojsko się przygotowuje.

Kątem oka Carl dostrzegł malujące się na twarzy Sandy zdziwienie, ale nie odrywał wzroku od Jima.

- Do czego?

- Do wyczyszczenia wyspy z mieszkańców. Wszystkich, co do jednego.

- Już tego próbowali - stwierdził z niesmakiem Jim. - Nie udało im się i teraz też im się nie uda.

- Przeciwnie: teraz będą mieli więcej szczęścia.

- Dlaczego?

- Nie będą sami. - Carl wolał nie widzieć miny Sandy, gdy wypowie następne zdanie. - Ściągnęli na pomoc Brytyjczyków.

- Co masz na myśli... - odezwała się Sandy, ale Jim uciszył ją, podnosząc dłoń.

- Chwileczkę, panienko. Chcę wysłuchać twojego przyjaciela do końca.

Carl świdrował oczyma twarz rozmówcy, jakby chciał przeniknąć jego myśli.

- W bazie Tylera stoją angielskie samoloty transportowe. Słyszałem, że lądują też w Kanadzie, a tu, na Manhattanie, angielscy spadochroniarze pracują ręka w rękę z naszymi komandosami, może nawet z Sekcją Z. Widziałem też magazyn sprzętu.

- Jakiego sprzętu? - Głos Jima był pozbawiony wszelkich emocji.

- Zwoje drutu kolczastego, plastikowe kajdanki, drewniane zapory uliczne, pałki, tarcze i CS, gaz łzawiący.

- Coś jeszcze? - spytał Jim. Sandy milczała.

- Drobiazgi - odparł Carl. - Podobno w styczniu na Washington Square Rockefeller ma zostać zaprzysiężony na urząd prezydenta. Kilka miesięcy później Manhattan ma zostać otwarty dla wszystkich, którzy chcieliby się tu osiedlić. Wchodziliśmy z Sandy w skład propagandowej wycieczki prasowej; wojsko chciało chyba rozpowszechnić fakt, że wyspa nadaje się już do zamieszkania. I że jest pusta. Dziennikarze wrócą i opowiedzą całemu światu, że to miejsce, w którym się znajdujemy, nie istnieje - mówił dalej, gestykulując jedną ręką. - Że nie ma ani ciebie, ani SP 19. Wtedy żołnierze spokojnie wejdą tu i was wykurzą. Nawet nie będziecie musieli długo czekać: wydaje mi się, że poczekają z tym do ogłoszenia wyników wyborów, żeby przez zaprzysiężeniem załatwić sprawę. Może zaczną jeszcze przed pierwszymi śniegami.

Jim milczał, turlając pióro wieczne w tę i z powrotem po blacie biurka. W ciszy, jaka nagle zapadła, Carl słyszał dochodzące zza drzwi pogwizdywanie i dźwięki fletu.

Szef SP 19 odchrząknął i powiedział:

- No, proszę pana, właśnie zarobił pan na dwa bilety do New Jersey.

Kilka godzin później znaleźli się w maleńkim pomieszczeniu o ścianach z drewna i sklejk - jednym z pokoików noclegowni, którą wybudowano nad odcinkiem torów metra. Jedyne światło pochodziło z maleńkiej żarówki na ścianie. Starsza kobieta, która zarządzała noclegownią, nosiła połatany skafander roboczy miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania. Dała im dwa klucze i uprzedziła, czego mogą oczekiwać:

- Jest posprzątane. Na nic więcej nie liczcie. W kranie macie zimną wodę, pod każdym łóżkiem nocnik. Nie wolno palić ognia - także świeczek i papierosów. Jeśli kogoś złapiemy na paleniu, odsyłamy go na górę, a wcześniej za karę zabieramy mu to, co ma najcenniejszego.

Carl obrzucił spojrzeniem dwie prycze z kocami, nieduży stolik i jeszcze mniejszą od niego umywalkę w kącie.

- W porządku - powiedział.

Kiedy wyszła, Sandy rzuciła chlebak na łóżko, odkręciła wodę i obmyła twarz.

- Wiesz, że powinniśmy im pomóc - zauważyła. Carl przysiadł na drugim łóżku.

- Wiem, ale zrobiliśmy już wszystko, co w naszej mocy. Ostrzeżyliśmy ich, co się może stać.

Był zmęczony, a stara rana dokuczała mu boleśnie, ale zarazem cały aż drżał od przepelniającej go energii. Wyszedłszy od Jima Rowleya z Paco jako przewodnikiem, następne godziny spędzili, rozmawiając z mieszkańcami podziemnego miasta i robiąc zdjęcia. Carlowi zaschło od tego gadania w ustach, rejce bolały go od robienia notatek i dziesiątków zdjęć, a w głowie szumiało mu od prób zrozumienia tego wszystkiego, co widział. Małe sklepiki i firmy kwitnące w podziemnej społeczności pod ochroną SP19; magazyny pełne puszkowanej żywności i innych zapasów, pilnowane przez młodych, bystrookich chłopaków z karabinami; szpital polowy, w którym ranni i umierający - przede wszystkim na raka i chorobę promienną- mieli zapewnioną opiekę i pomoc; klasa, w której dzieci - niektóre urodzone już po wojnie - siedziały na lekcjach tak samo jak w zwykłej wiejskiej szkole w Nowej Anglii.

W miejscowej stołówce zjedli szybki posiłek, na który złożył się grubo krojony ciemny chleb i miska zupy, której składników woleli się nie domyślać. Przy jedzeniu towarzyszył im cichy gwar rozmów - w stołówce siedziało dobre pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób i wszystkie oczy były zwrócone na dziennikarzy. Obcych. Tych, którzy przybyli ze świata prawdziwych szpitali, elektryczności, gorącej wody i bezpiecznego pożywienia. Ludzie przyglądali im bez wrogości, ale i bez szczególnej życzliwości, raczej z ostrożną ciekawością. Kilka razy Carl zauważył Jima, który po cichu i w napięciu dyskutował z innymi członkami SP 19.

Teraz patrzył, jak Sandy wyciera twarz w ściereczkę, którą mieli w plecaku.

- Jak się stąd wydostaniemy, napiszę o wszystkim w „Timesie” - powiedziała.
- Najlepiej byłoby od razu po wyjściu pojechać do Filadelfii, gdzie moglibyśmy się ukryć w naszej ambasadzie. Stamtąd przesłałabym artykuł i zdjęcia do Londynu, pocztą dyplomatyczną. Nie traktuj tego zbyt osobiście, ale wiem, że w twojej gazecie nic by się nie dało wydrukować. Zwłaszcza odkąd wasz cenzor szuka nas na Manhattanie.

- To może zaszkodzić Jimowi i jego ludziom - zauważył Carl. - Cała ta popularność.

- Myślisz, że może ich czekać gorszy los od tego, który im wróżysz? - spytała

Sandy, odwracając się do niego ze ściereczką w rękach. - Od zagazowania w tunelach, skucia, wyprowadzenia i wysłania do jakiegoś obozu na Zachodzie, żeby Rockefeller miał miłe, schludne miejsce na inaugurację prezydentury?

Carl stłumił ziewnięcie.

- Spójrz prawdzie w oczy, Sandy. Twój instynkt jest słuszny, ale się myli.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sama o tym wspominałaś: Ustawa o tajemnicy państwowej. Naprawdę myślisz, że pozwolą ci opublikować ten artykuł, kiedy bliżej zbadają sprawę?

- Ale przecież to ważna informacja...

- Oczywiście że tak, do cholery! Ważna, ale niebezpieczna. Fakty mówią same za siebie: żołnierze tutaj i w Kanadzie, którzy przybywają na czyjeś zaproszenie i działają w czyimś imieniu, a to oznacza porozumienie na bardzo wysokim szczeblu. Tajne porozumienie. Z pewnością Ustawa o tajemnicy państwowej obejmuje takie sytuacje.

Zniechęcona Sandy rzuciła ścierekę na pryczę.

- Niech to szlag... Masz niestety rację, wiesz o tym? - Usiadła i podparła głowę rękami. - Spadochroniarze... Miałam wujka, który w czasie drugiej wojny światowej służył w takim batalionie: zادیorny, cały taki na pokaz, ale miły: zawsze przywoził słodycze. Sęk w tym, że potrafił obić w barze gościa, który źle się wyrażał o królowej. - Podniosła wzrok na Carla. - Nie wierze, żeby mogli zrobić coś takiego: przyjechać tu i pomóc waszym komandosom aresztować tych ludzi, zniszczyć im życie.

- Wasi spadochroniarze to elita: doskonale wyszkoleni ludzie do specjalnych poruczeń. Posłuszni rozkazom, bo tak się ich uczy. Winni są ci, którzy te rozkazy wydają, ci, którzy zawarli porozumienie.

- Musimy coś zrobić.

- Ostrzeżliśmy ich - odparł Carl, rozważając w myślach wszelkie możliwe rozwiązania i szukając takiego, które przeoczył. - I to będzie musiało

starczyć.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też nie.

Leżeli razem na pryczy. Przyjrząwszy się z bliska szarej pościeli i czarnym kocem - „na takich mniej widać brud”, jak zauważyła - Sandy postanowiła spać w

ubrani. Była śmiertelnie zmęczona, Carl natomiast czuł, że oka nie zmruży, więc zaproponował, że przytuli ją, żeby mogła spokojnie zasnąć. Różne myśli kłębiły mu się w głowie - Sandy, Merl, dzieciaki z SP 19, rządzące okolicą i dziwnie eleganckie w czapeczkach Jankesów...

Ty idioto, zbeształ się w duchu. Powinieneś był już wcześniej zwrócić na to uwagę.

- Obiecay mi coś, dobrze? - wymruczała Sandy, ziewając i ocierając się głową o jego ramię.

- Dobrze - zgodził się mechanicznie. Westchnęła; jej włosy załaskotały go w nos.

- Że kiedy całe to zamieszanie się skończy, wrócisz ze mną do Londynu. Chcę, żebyś pojechał tam ze mną, do bezpiecznego miasta: wynajmiemy pokój w Savoyu, będziemy spacerować, wpadniemy na herbatę do Harrodsa... Będzie cudownie.

- Oczywiście - przytaknął Carl. - Oczywiście.

Chwilę głaskał ją po włosach, aż upewnił się, że zasnęła, a wtedy delikatnie wyplątał się z jej objęć i wstał. Słaba żarówka paliła się cały czas; postanowił jej nie gasić. Przeczesał palcami włosy i spojrział na swoje łóżko. Wiedział, że powinien się przespać: następny dzień miał być bardzo, bardzo długi. Sen dobrze by mu zrobił.

Wyszedł, znalazł się w tunelu metra i cicho zamknął za sobą drzwi.

Kwadrans później znalazł się w mikroskopijnym gabineciku Jima Rowleya; Jim przyglądał mu się z mieszaniną podejrzliwości i zdumienia w oczach.

- Przepraszam cię, ale nie rozumiem, o co ci właściwie chodzi. Za pięć godzin ruszacie w drogę. Nie poszedłbyś się zdrzemnąć?

- Wiem, powinienem iść spać, ale mam kilka spraw do załatwienia - odrzekł Carl. Napisał coś w notesie i podsunął go Jimowi. - Czy ta osoba może znajdować się tutaj, na Manhattanie?

- Sarah Landry... Krewna?

- Moja siostra.

- Zaginiona?

- Od wojny. Studiowała w college'u koło Omaha. Po bombardowaniu ktoś stamtąd mówił mi, że mogła przeżyć. Wykorzystałem już wszystkie oficjalne kanały - Czerwony Krzyż, Armię Zbawienia... I noc.

- A dlaczego myślisz, że mogłaby tu być?

Jak ja mu to mam powiedzieć, zadumał się Carl. W jaki sposób wyjaśnić, jak się zachowywała, jak mówiła, jak wygłaszała swoje poglądy o polityce, życiu i kobietach.

- Myślę, że życie na środkowym zachodzie nie bardzo by się jej podobało. Wolałaby przenieść się tutaj.

Jim spojrzął jeszcze raz na kartkę i pokręcił głową. Carlowi zrobiło się zimno.

- Nie kojarzę. Poza tym z Nebraski na Manhattan jest szmat drogi. Carl skinął tylko głową, nie mogąc chwilowo znaleźć żadnych słów. Napisał na kartce następane nazwisko.

- W porządku - rzekł. - A czy znasz tego człowieka? Chciałbym się z nim zobaczyć, zanim odejdziemy. To bardzo ważne.

Jim nawet nie zerknął na papier; nie spuszczał wzroku z Carla.

- Ważne dla waszego artykułu? Czy dla ciebie samego? - I to, i to.

- Nie podoba mi się to. Nie lubię tych z zewnątrz. Mają swoją historię, a w dodatku mnóstwo ludzi wolałoby, żeby nie żyli.

- Z pewnością - przyznał Carl. - Niemniej jednak to naprawdę ważne. Interesuję się nim w związku ze sprawą, nad którą pracuję w Bostonie. Co więcej, on może mieć coś wspólnego z Anglikami, o których wcześniej ci mówiłem.

Jim z niesmakiem spojrzął na kartkę i skinął głową.

- Znam go, ale nie wiem, czy zdążymy go tu ściągnąć. Mam mu powiedzieć, kto chce się z nim spotkać?

- Nie. - Na kartce pojawiło się trzecie nazwisko. - Pokażcie mu to.

- Nie chcesz mu chyba zrobić krzywdy? - Jim przekrzywił ciekawie głowę.

- Nie. Chciałbym tylko porozmawiać.

- No dobrze - westchnął Jim. - Jezu Chryste... Manny! - krzyknął. - I chodź no tu!

W drzwiach stanął strażnik z obrzynekami.

- Słucham?

- Zaprowadź naszego gościa do sali konferencyjnej, dobrze? Spróbuj mi załatwić filiżankę herbaty i zawołaj Gorda. Potrzebuję posłańca.

Sala konferencyjna okazała się następnym pokojem o betonowych ścianach. Na środku podłogi stał stary stół z mnóstwem napisów i śladów po papierosach na blacie. Dookoła stała istna zbieranina krzeseł - żadne dwa nie [były identyczne - a pod

ścianą znajdowała się nieco wytarta tablica z gąbką i kilkoma kawałkami kredy. Obok wisiała jeszcze jedna fotografia z podpisem [ON ŻYJE. Carl usiadł, oparł łokcie na stole i ujął głowę w dłonie. Chyba [zdrzemnął się na moment, bo obudziło go skrzypienie otwieranych drzwi.

W progu stał szczupły mężczyzna o pociągłej, zmęczonej twarzy. Miał [na sobie połataną dzinsy, grubą koszulę i wełnianą kamizelkę; siwe włosy i cesał z przedziałkiem na środku głowy. Bez przerwy strzelał oczami na boki, (jakby bał się, że w każdej chwili może mu się przydarzyć coś złego.

- Przepraszam - powiedział. - Pan nie jest człowiekiem, którego szukam. Carl zerwał się z krzesła; kolana mu się trzęsły.

- Ale za to ja pana szukam! To znaczy - szukam, jeśli nazywa się pan [Casimir Cynewski, a przyjaciele wołają na pana Caz.

Mężczyzna przy drzwiach zawahał się, przełknął z wysiłkiem ślinę i skinął głową.

Caz niepewnie wszedł do pokoju. - Pan nie jest Merlem! - zaprotestował. - Powiedziano mi, że mam się spotkać z Merlem Sawsonem!

Carl wstał. Wiele by dał za to, żeby nie musieć mówić tego, co miał do powiedzenia, ale nie było innego wyjścia.

- To moja wina i bardzo pana za to przepraszam. Panie Cynewski, nazywam się Carl Landry i jestem dziennikarzem „Boston Globe”. W Bostonie przydzielono mnie do opisu sprawy, która zaprowadziła mnie do Merla i do pana. Przykro mi to mówić, ale Merl nie żyje.

Caz zamknął oczy i zachwiał się na nogach, jakby po morderczym wyścigu nie mógł złapać tchu. Oparł kościstą dłoń na oparciu najbliższego krzesła.

- Tego się właśnie obawiałem. - Otworzył oczy, w których błysnęły łzy. Usiadł. - Jak umarł?

- Został zamordowany, zastrzelony we własnym mieszkaniu nieco ponad tydzień temu. Wkrótce po tym, jak przekazał mi informacje o eliminowanych członkach administracji Kennedy'ego. I chyba niedługo po tym, jak go pan odwiedził. Prawda?

Caz oblizął wargi i rozejrzał się po pokoju, starając się nie patrzeć Carlowi w oczy.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Ktoś był u niego krótko przed śmiercią; sąsiad słyszał dochodzące z jego mieszkania głosy - wyjaśnił Carl i postanowił trochę skłamać: - I widział starszego mężczyznę wychodzącego z budynku.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedział ostrożnie Cynewski i skrzyżował ramiona na piersi.

- Ależ wie pan, wie, panie Cynewski. Więcej: przyniósł mu pan prezent stąd, z Manhattanu: czapkę baseballową Jankesów, czyli element munduru SP 19. Nie mylę się chyba?

Caz niepewnie skinął głową.

- Wiem, że to głupio brzmi, ale obiecałem mu, że jeśli zechce wrócić ze mną, będzie bezpieczny. Wystarczyło, żeby w określonym czasie i miejscu w Bostonie założył tę czapkę, a ktoś go tu do mnie przyprowadzi. Tunelem metra.

- Miał wrócić tu z panem, tak? W 1962 roku przyjaźniliście się, pracowaliście razem w Białym Domu: pan w CIA, a on w gabinecie prezydenckim. I zostaliście w Waszyngtonie do samego końca, prawda?

Caz zagryzł wargę; jego oczy wciąż poruszały się niespokojnie.

- Oj tak, byliśmy w samym centrum wydarzeń, my dwaj, bojownicy nowego pogranicza do szpiku kości. Najlepsi. Walczyliśmy z komunistami, wyzwaliśmy Murzynów, pomagaliśmy naszym przyjaciołom z Afryki Południowej. Chcieliśmy zrobić jak najwięcej, bo wiedzieliśmy, że na wszystko mamy tylko osiem krótkich lat. Lata sześćdziesiąte miały być wspaniałą dekadą dla naszego kraju i dla całego świata, a my staliśmy u steru. - Caz spojrział wreszcie Carlowi w oczy. - Rozumie mnie pan chyba, co?

Owszem, przytaknął w duchu Carl, wspominając, jak w pewien lodowaty dzień 1961 roku słuchał tych samych słów. Doskonale rozumiem.

- Tak - powiedział. - Rozumiem.

Caz znów skrzyżował ramiona, jakby obawiał się, że jeśli nie będzie nimi poruszał, straci w nich czucie.

- Ciągle przypominam sobie najdziwniejsze rzeczy w najdziwniejszych momentach. Kobiety. Dużo myślę o kobietach. O matce. Do dziś nie wiem, co się z nią stało. I o Jackie. W Białym Domu widziałem ją tylko kilka razy, i to z daleka. Była taka urocza, taka śliczna... Myślę o niej, o Caroline, o Johnie juniorze... - Zacisnął pięści. - Pamiętam jeszcze inną kobietę, chociaż nie wiem, jak się nazywała. To był ostatni dzień października i miałem wszystkiego dość, chciałem się poddać. Czułem, że wszystko wokół mnie wali się i czas wyjechać ze stolicy. Nie mogłem tam zostać ani chwili dłużej. - Znów popatrzył badawczo na Carla. - Czy to tchórzostwo? Uważa pan, że powinienem czuć się winny, panie Landry? Że jestem tchórzem?

- Jest pan tym, który przeżył - odparł Carl, starannie dobierając słowa.

- Ha! Niezła odpowiedź. Ten, który przeżył. - Caz zaczął huścić się na krzesło. - A co do tamtej kobiety... Zobaczyłem ją w dniu wyjazdu z Waszyngtonu. Cały rano siedziałem w Białym Domu; ludzie płakali, krzyczeli, biegali jak opętani. Merl też tam był; cały czas powtarzał: „Nie ma czasu, nie ma czasu! Musimy iść, wyjechać”. Wybuchła bójka o miejsca w helikopterach, które przyleciały zabrać Pierwszą Rodzinę. Spóźniły się, a ja miałem już wszystkiego dość: wsiadłem do samochodu i pędziłem jak wariat przed siebie, tak jak wszyscy, do Wirginii. Inne wozy śmigają koło mnie - sto, sto trzydzieści, sto sześćdziesiąt na godzinę; radio

podawało tragiczne wiadomości: niepowodzenie inwazji, bombardowanie San Diego, samoloty na radarach, uderzenie odwetowe. - Caz umilkł na chwilę i zapatrzył się na ścianę. - Ta kobieta... Stała na poboczu, przy samochodzie. To był chevrolet impala. Złapała gumę. Machała rozpaczliwie do kierowców, błagając, żeby ktoś się zatrzymał i ją zabrał. Wydawało mi się, że w wozie siedzą dzieci, ale nie jestem pewien: to mogły być tylko walizki. - Podrapał się w brodę. - Chciałbym, żeby to były walizki. Tylko że oczywiście nikt się nie zatrzymywał. Wszyscy jechali ze wzrokiem utkwionym w liczniki, z jedną myślą w głowie: pół minuty - kilometr. Kiedy pędzisz sto dwadzieścia na godzinę, robisz dokładnie dwa kilometry na minutę; z każdą minutą oddalaliśmy się o dwa kilometry od epicentrum wybuchu. Spojrzałem na nią: płakała, w ręce miała chusteczkę - i zawahałem się, przez ułamek sekundy chciałem zdjąć nogę z gazu. Tylko przez ułamek sekundy, bo zaraz docisnąłem gaz do deski, panie Landry. Pojechałem dalej. Tak jak inni.

Carl miał wrażenie, jakby rozmawiał z człowiekiem, który od dziesięciu lat nie żyje, tylko nikt mu jeszcze o tym nie powiedział.

- Wie pan, co było dalej? - spytał Caz.

- Słucham, niech pan mówi.

- Stała u stóp niewielkiego wzgórza. Droga wspinała się na nie i opadała w dół. Właśnie znajdowałem się na zjeździe, kiedy niebo za moimi plecami rozjaśnił niesamowity blask, ostry, oślepiający, jakby ktoś włączył największą na świecie lampę błyskową. Opaliło mi kark i wierzch dłoni: miałem oparzenia drugiego stopnia, chociaż przecież wzgórze częściowo mnie osłaniało. Samochodem zatrzęsło; niektórzy kierowcy nie zapanowali nad wozami i zjechali na bok albo na drugi pas, ale wyminąłem ich wszystkich i pojechałem dalej. Gdybym się zatrzymał, żeby ją zabrać... No cóż, teraz jestem tutaj.

- Zrobił pan to, co musiał pan zrobić - pocieszył go Carl przerażony makabryczną opowieścią.

- Oczywiście że tak, to, co musiałem zrobić, żeby przeżyć. Proszę na mnie spojrzeć. - Caz pochylił się do przodu na krześle i zniżył głos. - Zdaje pan sobie chyba sprawę, że jestem obłąkany?

Carl poruszył się niespokojnie. Nagle poczuł się zmęczony; dodatkowo zaciążyła mu świadomość, że za kilka godzin opuszczą z Sandy Manhattan. Miał mało czasu.

- Musiał pan zachować dość oleju w głowie, żeby pojechać do Bostonu i

spotkać się z Merlem. Po co pan to zrobił? Kto mógł go zabić? Jego śmierć ma coś wspólnego z tą listą nazwisk, prawda?

Caz uśmiechnął się sztywno, a Carlowi aż ciarki przebiegły po plecach na widok tego uśmiechu.

- Czy człowiek przy zdrowych zmysłach porzuciłby bezpieczną wyspę, wrócił do świata prawdziwych wariatów? Świata rządzonego przez służbę bezpieczeństwa, z blokadami dróg, sprawdzaniem tożsamości i obławami w środku nocy? Co? Normalny człowiek nie ruszyłby się z miejsca; zostałby tu, pod ziemią, pisał pamiętniki i zapomniał o tym, co się tam dzieje. - Caz pokiwał głową. - Ale ja zrobiłem inaczej, mój panie, całkiem inaczej. Wykorzystałem moje kontakty wśród uchodźców i wróciłem do Bostonu. Urocze miasteczko: tak bardzo stara się być drugim Nowym Jorkiem, że aż mi żal, że nigdy mu nie dorówna. Wy z Bostonu jesteście jak dzieci, które próbują pokierować rodziną po śmierci wszechpotężnego ojca. Zakładacie nawet jego buty, ale nijak nie chcą na was pasować.

- Po co spotkał się pan z Merlem?

Caz, nie przestając się uśmiechać, przechylił głowę na bok.

- A ty... Mówiłeś, że jesteś jakimś cholernym dziennikarzem. Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

Carl sięgnął do kieszeni. -Mam tu...

- Dokumenty, co? - Caz zaśmiał się piskliwie. - Gdyby centrum w Lang-ley jeszcze istniało, a chyba nie istnieje, bo jakiś czas temu słyszałem, że tłum je zburzył i podpalił, pokazałbym ci warsztacik, w którym mogłem zamówić sobie dowolny dokument, jaki istnieje na świecie: legitymacje agencji Reutersa, Agence France Presse, TASS-u... Chociaż TASS-u też już nie ma.

- W takim razie chyba pana nie przekonam... Ale mówią prawdą: jestem dziennikarzem z „Globe”.

- I przyjechałeś tu, żeby się ze mną spotkać? - spytał Caz z niedowierzaniem w głosie.

- Nie od razu. Razem z moją przyjaciółką z londyńskiego „Timesa” wziąłem udział w organizowanej przez wojsko wycieczce dla dziennikarzy. Zostaliśmy. .. Wpadliśmy w zasadzkę, w której zginął nasz przewodnik i opiekun, ale my dwoje uciekliśmy i teraz próbujemy wydostać się z Manhattanu. Kiedy usłyszałem, że mieszkają tu dawni współpracownicy Kennedy'ego, postanowiłem spróbować - i miałem szczęście.

- Tak, rozumiem... I przez to szczęście ściągnąłeś na siebie uwagę prawdziwych władców naszego kraju. Nieprzyjemne uczucie, co? Boję się ich; Merl też się bał. Powiedziałem mu kiedyś, że może tu przyjechać i zamieszkać; nie jest to może szczyt luksusu, ale przy zachowaniu ostrożności można przestać się bać, że w środku nocy obudzi cię to pukanie do drzwi. Tylko że on był upartym starym capem; twierdził, że chce się wygodnie zestarzeć. Przy tej ostatniej wizycie też próbowałem go namówić do wyjazdu. Nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że ma jeszcze jedną misję do wypełnienia, ostatnie zadanie do wykonania. Pokazał ci listę nazwisk?

- Tak. Dał mi ją, mówiąc, że będą dalsze ofiary. I że coś trzeba na to zaradzić. Czaz kiwał pospiesznie głową.

- Oj tak, tak, zawsze coś trzeba zrobić: wypełnić misję, dochować tajemnicy... Boże, znam tyle starych tajemnic, że we łbie mi szumi, kiedy próbuję zasnąć. Na tym polegała moja praca, rozumiesz? Poznawałem sekrety, spotykałem się z J.F.K. i jego chłopakami i wspólnie planowaliśmy, co zrobimy, jak dzieciaki, które naradzają się w tajnym domku na drzewie. Kłopoty w Laosie? Wyślijcie im trochę M-1. Problemy z Castro? Spróbujcie załatwić sukinsyna. Źle się dzieje w Wietnamie? Dajcie im naszych doradców. Potem przerwa na lunch: trzy martini w Sans Souci albo kanapka u Duke'a Zeiberta. No a później... przyszła Kuba. I skończyło się; nie byliśmy już najmądrzejsi ani najlepsi. Słuchaj no, czy Bundy dalej siedzi?

- Owszem. Dopiero za rok może się znów starać o zwolnienie warunkowe. -Szkoda, że...

- Pański brat jednak miał rację - przerwał mu poirytowany Carl. Bezcenne minuty upływały nieubłaganie. - Jest pan snobem, i to w dodatku strasznie upierdliwym.

Czaz zamrugał niepewnie, zamknął na chwilę oczy, a potem podniósł powieki i wbił wzrok w Carla.

- Widział się pan z Tomem?

- Nieźle - przyznał Carl. - Stara się pan. Widziałem się z Marcusem, czyli Markiem. Tydzień temu. Chciałem się dowiedzieć czegoś o Merlu.

- Mark... Co u niego? Carl pokręcił głową.

- Pan mi opowie o Merlu, ja panu o Marku.

Czaz przez chwilę milczał. Ręce mu się trzęsły, ale kiedy to zauważył, złożył je na kolanach i zaplótł palce.

- Zostaliśmy przyjaciółmi w najdziwniejszych możliwych okolicznościach.

Siedzieliśmy właśnie w Ogrodzie Różanym i czekaliśmy, aż prezydent będzie mógł się z nami zobaczyć. Powiedziałem coś o siedzącej na krzaku świstunce leśnej, Merl mnie usłyszał i okazało się, że obaj uwielbiamy podpatrywać ptaki. Zaczęliśmy rozmawiać i od słowa do słowa zaprzyjaźniliśmy się. To dość niezwykle: żołnierze zazwyczaj nienawidzą tych z CIA. Kiedy lepiej się poznaliśmy, okazało się, że jesteśmy bardzo, ale to bardzo podobni: patrioci, prawdziwi ludzie honoru, którzy próbują pomóc krajowi przetrwać ciężkie czasy.

- Takie jak teraz? Cóż zatarł dłonie.

- W najbliższych tygodniach wszystkich nas... Wszyscy musimy podjąć pewne decyzje, które wpłyną na nasze dalsze losy. Dostaliśmy drugą szansę, drugą szansę na normalne życie i tylko od nas zależy, jak ją wykorzystamy. W 1962 roku znaleźliśmy się o krok od unicestwienia świata; miliony ludzi zginęły, ale świat przetrwał. Wojna szybko się skończyła, nie rozprzestrzeniła się na Europę i inne kontynenty. Merl stwierdził, że tej drugiej szansy nie wolno nam zaprzepaścić, że on do tego nie dopuści. I powiedział mi, co chce zrobić.

- A co chciał zrobić? I dlaczego właśnie on?

Cóż skulił się na krześle, jakby nie chciał wystawiać się na strzał.

- Bo Merl był najważniejszy. Miał klucz. Wszystko wiedział.

- Jaki klucz? Do czego?

Cóż skinieniem głowy wskazał wiszący na ścianie portret.

- Do niego - odrzekł cicho. - On żyje, panie Landry. Carl odetchnął głęboko.

- Chce pan powiedzieć, że John F. Kennedy żyje, a Merl wiedział, gdzie go szukać?

- Dokumenty... Merl miał bardzo ważne papiery, które są kluczem do wszystkiego. Do powstrzymania morderców. Dość ci już powiedziałem, wystarczy.

Carl przypomniał sobie wywiad z właścicielem domu Merla Andrew Townesem, który mówił coś o kancelaryjnej robocie: w Białym Domu Sawson miał do czynienia z ważnymi dokumentami.

- Kto zabił Merla?

Cóż pokręcił przecząco głową, odął wargi i spytał ostro:

- Co z moim bratem? Jak się miewa?

Carl zastanawiał się jeszcze przez chwilę, czy nie przycisnąć Cynewskiego, nie wydusić zeń wszystkiego, co wie, ale dostrzegł w nim nagłą zmianę podobną do tej, jaka zaszła w Dwutonowcu, kiedy rozmawiali przed kilkoma tygodniami. Oto siedział

przed nim dawny Casimir Cynewski, wysoki urzędnik Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Pański brat... - Przez chwilę wahał się, co właściwie powiedzieć, ale w końcu zdecydował się mówić prawdę. - Trzyma się nieźle. Dwa razy aresztowano go za działalność antypaństwową! zesłano do obozów dekontaminacyjnych. Miał raka; przeszedł kurację i dwie operacje. Kiedy się z nim spotkałem, wyglądał mizernie, jakby odczuwał ciężar przeżytych lat. Mówił trochę o panu...

- Co robił? - przerwał mu zdumiony Caz.

- Mówił o panu. Powiedział, że żałuje ostrych słów, jakie padły między wami, i że gdyby nie wojna, moglibyście być przyjaciółmi.

Caz znów złożył dłonie i zaczął się kołysać na krześle.

- Tak to musiało wyglądać w czasie wojny secesyjnej: brat przeciw bratu, przyjaciel przeciw przyjacielowi. Tylko zamiast niewolnictwa czy praw stanowych teraz podzieliła nas bomba, święta wszechpotężna bomba. Mark z kumplami chcieli potopić wszystkie bomby w oceanie i żyć w pokoju długo i szczęśliwie. Zapominając przy tym oczywiście o radzieckich dywizjach w Europie Wschodniej i szaleństwach Rosjan i Chińczyków w Laosie i Wietnamie. Takie problemy dla nich nie istniały; pozostała tylko opozycja: my albo oni, z bombą albo bez niej. Kto nie stanął po ich stronie, służył złu, był przeklęty. Był mordercą.

- Może mieli rację? - wtrącił Carl coraz bardziej zniecierpliwiony jałowymi rozważaniami Caza. - Nigdy pan o tym nie pomyślał?

- Myślałem... I dalej myślę, dzień w dzień i noc w noc. Chodząc tunelami, patrzę na tych młodych ludzi, a oni gapią się na mnie jak na chodzącą skamielinę, żywy łącznik z przeszłością, o jakiej mogą tylko pomarzyć, z czasami, kiedy jedzenia nie brakowało i wszyscy czuli się bezpiecznie. Czasami. .. Wydaje mi się, że chcieliby mnie zabić za moje grzechy, których popełniłem aż nadto. To też był jeden z powodów, dla których pojechałem do Bostonu, wiesz? Chciałem się przekonać, czy mogę je odpokutować, czy mogę dać tym młodym ludziom coś w zamian za to, że pozwalają mi żyć. -Caz nachylił się do Carla i postukał go w kolano. Carl z trudem powstrzymał się, żeby się nie odsunąć: czuł się tak, jakby dotykał go umarły. - I dlatego musisz znaleźć te dokumenty. Dowiedzieć się, gdzie Merl je schował. Dopiero wtedy, tylko wtedy on będzie naprawdę mógł żyć.

Stary wystraszony Caz, który przybył na spotkanie, znów wziął górę.

- Czy można się z nich dowiedzieć, jak Kennedy'emu udało się uciec? Czy

raczej gdzie się ukrywa?

Staruszek założył ręce na piersi, zakołysał się na krześle i pokręcił głową.

- Nic więcej nie mogę ci powiedzieć - szepnął. - Nie udowodniłeś mi, że zależy ci na tej wiedzy.

Carl wyszedł właśnie z sali konferencyjnej, gdy z gabinetu wynurzył się Jim Rowley z kubkiem herbaty w ręce.

- Jak spotkanie? - zagadnął. Carl przystanął i przetarł oczy.
- Całkiem nieźle. Chociaż rozmowa była raczej ogólnikowa.
- Dowiedziałeś się tego, o co ci chodziło?
- Sam nie wiem, szczerze mówiąc.

Jak okiem sięgnąć, kręcący się po korytarzu prawdziwi mieszkańcy Nowego Jorku zajęci byli swoimi sprawami. Jim posłał Carlowi badawcze spojrzenie, które upewniło Carla w przekonaniu, że poddawany jest jakiemuś sprawdzianowi, że ci ludzie bez przerwy próbują go przejrzeć i należycie ocenić. Jim odchrząknął i oddał kubek strażnikowi przy drzwiach.

- Wiem, że niewiele czasu na sen ci zostało, ale może poświęciłbyś mi jeszcze chwilę? Chciałem ci coś pokazać.

- Z miłą chęcią. - Carl nie czuł już zwalającego z nóg zmęczenia. - Śmiało. Jim milczał, prowadząc go korytarzami, a Carl bez słowa podążał za nim.

Mieszkańcy podziemnego miasta z szacunkiem pochylali głowy na widok Rowleya - jakby był młodym następcą tronu, który przechadza się wśród swoich poddanych, pomyślał Carl. Zanurzyli się w mrok kolejnego sektora korytarzy i minęli kilku młodych chłopaków przy barykadzie. Drogę oświetlały migocące lampy naftowe na ścianach; gdzieś w oddali nieustannie kapła woda.

- Kiedyś planowaliśmy rozbudowanie naszego kompleksu mieszkalnego w tym korytarzu - wyjaśnił Jim, stając przed drzwiami z szyfrowym zamkiem. - Chcieliśmy załatać wszystkie nieszczelności i położyć fundamenty.

- No i co się stało? - spytał Carl. Oczy z wolna przyzwyczajały mu się do ciemności.

Jim otworzył drzwi, za którymi znajdował się dobrze oświetlony pokój.

- Plany się zmieniły - wyjaśnił. - Z planami często tak bywa. Wejdz, proszę.

Drzwi zamknęły się za nimi. Znajdowali się w kolejnej sali konferencyjnej, tym razem jednak znacznie lepiej odmalowanej i wyposażonej. U szczytu podłużnego stołu

siedział człowiek, który na ich widok wstał. Carl zamarł w bezruchu, niezdolny wykonać krok.

Mężczyzna miał na sobie mundur armii amerykańskiej, a rękach trzymał zielony beret - nakrycie głowy komandosów.

- Ty draniu! - Carl wściekły odwrócił się do Jima. - Wrobiłeś nas! To pułapka, tak?

Jim się roześmiał; pobliźniona skóra na jego twarzy napięła się mocno, formując uśmiech.

- Rany boskie, Carl! Uspokój się. Chciałem ci kogoś przedstawić. To sierżant Paul Picard. Paul, to jest Carl Landry z „Boston Globe”.

- Miło mi pana poznać - rzekł Picard i wyciągnął dłoń na powitanie. Carl uściśnął ją krótko, po męsku. Mundur sierżanta był podniszczony i umazany błotem, daleki od regulaminowej perfekcji. Picard miał krótkie blond włosy i był bardziej muskularny i wysportowany niż większość ludzi z podziemnego miasta.

- Jeszcze jedno... - Jim usiadł i wskazał Carlowi drugie krzesło. - Paul również należy do SP 19. Prawda?

Sierżant Picard z uśmiechem zajął miejsce obok nich.

- W rzeczy samej, Jim.

Teraz i Carl usiadł, patrząc z niedowierzaniem na żołnierza. Przeniósł wzrok na Jima, który siedział obok z wyrazem głębokiego zadowolenia na twarzy. Ręce splótł swobodnie na brzuchu.

- Czy to znaczy... SP 19 ma swoich informatorów w wojsku?

- Widywaliśmy czasem w starych, szmuglowanych na Manhattan gazetach ogłoszenia o tym, jak to obowiązkiem każdego młodego mężczyzny jest wstąpić do wojska. W końcu doszliśmy do wniosku, że i my powinniśmy spełnić ten obowiązek i kilku chłopaków zgłosiło się na ochotnika do armii. Wojsko przyjmuje wszystkich z otwartymi ramionami, nie grzebiąc zanadto w przeszłości swoich przyszłych żołnierzy. Wystarczyło, że chłopcy zeznali, że są sierotami, a ich rodzice zginęli w Miami albo w Omaha. To wszystko.

- Ale przecież nie wszyscy trafili do służby na Manhattan, prawda?

- Nie wszyscy, ale wystarczą nam ci, którym się udało. - Jim przestał się uśmiechać. - Przez nich miewamy teraz bezsenne noce i zmieniamy plany. Już wcześniej mogliśmy się domyślać tego, co nam powiedziałeś o Anglikach i gromadzonym spręcie. Potwierdziłeś nasze obawy, za co jesteśmy ci bardzo

wdzięczni. Ale jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. I Paul ci to powie.

Carl popatrzył na sierżanta i oczyma wyobraźni ujrzał siebie na jego miejscu: w takim samym mundurze, emanującego taką samą pewnością siebie i dumą z tego, że należy do elity.

- Doceniam twoją dobrą wolę - rzekł Carl. - Ale po co to wszystko?
- Bo możemy potrzebować twojej pomocy.

Carl spojrzął w oczy Jimowi - dawnemu chłopcu, który usłuchał nauczycielki i przez tyle lat opiekował się szkolnymi kolegami, aby przy ich pomocy zbudować miasto pod ziemią.

- W takim razie słucham.

- Dziękuję. - Sierżant Picard skinął krótko głową. - Jimowi już to mówiłem, teraz i panu jestem winien przeprosiny, ale nie udało mi się zebrać bardziej precyzyjnych informacji. Uznałem jednak, że im szybciej się tu zjawię i powiem wam, co wiem, tym lepiej. Zeszły tydzień spędziłem w Fort Drum w pobliżu Watertown. Zasiałem się do późna z biurze, kiedy zjawiono się w nim dwóch pułkowników. Byli pijani w sztok i chcieli się gdzieś odlać, więc chyba dlatego trafili do części biurowej. Klócili się o coś cały czas, chociaż z początku nie mogłem rozeznaczyć, o co im chodzi. A potem nagle zrozumiałem i... No, poprosiłem o urlop okolicznościowy i wróciłem tutaj.

- Powiedz Carlowi to, co mnie, Paul - polecił mu Jim, zaciskając rękę. Sierżant nie spuszczał oczu z Carla.

- Londyn i ludzie popierający Rockefellera zawarli tajny układ. Wydaje mi się, że pułkownicy, których słyszałem, sami nie znali wielu szczegółów, ale to, co wiedzieli, wkurzyło ich niemiłosiernie.

Carl zerknął na Jima.

- Przyjechali do nas Anglicy... - rzekł. - Ich rząd kazał sobie pewnie słono zapłacić. Czy o to chodzi?

- Właśnie o to.
- Jak słono?
- Paul?
- Ceną ma być nasz kraj - odparł nerwowo sierżant.

Carl przetarł oczy; nie chciało mu się wierzyć w to, co słyszał.

- Jak to?

Picard spojrzął niepewnie na Jima, a gdy ten lekko skinął głową, mówił dalej:

- Jeszcze raz przepraszam, że nie znam szczegółów. Wiem jednak, że ich żołnierze pojawią się u nas niedługo, jeszcze przed wyborami, natomiast po wyborach Rockefeller wyda oświadczenie. Będzie w nim coś o nowych stosunkach między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. I to najbardziej złościło pułkowników. Mówili: „Za takie coś sprzedajemy nasz kraj! Przecież to nie do pomyślenia!”. Jeden z nich mówił jeszcze coś o kłanianiu się tej przeklętej królowej, kiedy już będzie po wszystkim.

- Jakie mają być te stosunki? Picard nerwowo zmiął beret w rękach.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mam pojęcia; ci goście byli mocno na-pruci.

Mówili jeszcze coś o 1938 i szlus.

- I szlus?

Picard poczerwieniał.

- Wiem, że to głupio brzmi, ale tak powiedzieli: „Jak w 38.1 szlus”.

- To wszystko, tak? - upewnił się Jim. Sierżant skinął głową.

- Przepraszam, Jim; wiem, że to niewiele, ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć o tych żołnierzach. Przecież do wyborów zostało tylko kilka tygodni i...

- Dzięki, Paul - przerwał mu Jim i wstał. Picard poszedł w jego ślady, więc Carlowi nie pozostało nic innego, jak również podnieść się z krzesła. -Wracasz na północ?

- Tak. Za dwanaście godzin kończy mi się przepustka. Mam niewiele czasu, ale do Fort Drum powinienem się wyrobić.

Jim oburącz uściskał podaną mu na pożegnanie rękę.

- Dobrze przysłużyłeś się swoim ludziom, Paul. Jeszcze raz ci dziękuję. Masz czas na jeszcze jedno spotkanie, Carl?

- Oczywiście.

1938, pomyślał. I szlus.

Wcześniej spotkał się z człowiekiem, który twierdził, że jest obłąkany.

Czy w tym miejscu mieszkali sami wariaci?

Jim otworzył następne drzwi, tym razem między dwoma długimi regałami, i znaleźli się w długim korytarzu. Wziął z półki latarkę, żeby oświetlić im drogę. Tunel był wąski, miał ściany i strop z cegły i przez dobrych kilka minut lekko się wznosił, a kończył się przy metalowej, lekko pordzewiałej drabince. Carl wspiął się po niej w ślad za Jimem, cały czas głowiąc się, dokąd, u licha, idą, i rozmyślając o tym, czego

się dowiedział. Merl przestał być zwariowanym wojakiem z listą nazwisk, a stał się żołnierzem, który miał do wypełnienia ostatnią misję. Misję, w której chodziło o... wielką tajemnicę, zdaniem Caza. O dokumenty, które mogą dowieść, że J.F.K. żyje.

I sam Caz, stary i wystraszony człowiek z CIA, który nie umiał nic powiedzieć wprost, ale mówił o zagrożeniu jak najbardziej realnym, które miało nadejść już za kilka tygodni.

I jeszcze ten młody żołnierz. Chłopcy z SP 19 mieli własnych szpiegów w wojsku, ale dowiedzieli się tylko tyle, że będzie jak w 1938 roku i szlus.

Jezu Chryste! I Jim prosił go o pomoc. Jego, Carla Landry'ego. Tak jakby kazał sobie dodatkowo słono zapłacić za wyprowadzenie jego i Sandy z wyspy.

Sandy... Miał nadzieję, że smacznie śpi, zamiast kręcić się po okolicy i go szukać. Trudno by jej było wyjaśnić...

Jim dotarł do kłapy w suficie, uniósł ją i Carl poczuł na twarzy chłodny powiew wiatru. Wyszli na górę i znaleźli się na dachu małego budyneczku z obu boków sąsiadującego z o wiele wyższymi kamienicami. Księżycowy sierp wisiał na niebie i nieco rozjaśniał mroki nocy. Połowę dachu zajmowała nadbudówka, do której prowadziły kolejne drzwi. Zamknięte. Jim zatarł ręce.

- Muszę cię o coś zapytać, Carl - uprzedził.
- Wal śmiało.
- Chodzi o Caza, tego faceta, z którym rozmawiałeś. Nie powiedziałem ci tego przedtem, ale dobrze go znamy. Mówił ci coś o starych dokumentach, które w najbliższych tygodniach mogą mieć ogromną wagę?

Carl wytrzeszczył oczy; byłby chyba mniej zaskoczony, gdyby Jim oznajmił mu, że J.F.K. mieszka w podziemiach stacji Grand Central.

- Ta sala konferencyjna... Podśluchiwałeś nas?
- Nie. Możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

W pierwszym odruchu Carl chciał go wysłać do wszystkich diabłów i oznajmić, że odbył z Cazem prywatną rozmowę, ale dostrzegł w oczach Jima coś takiego, że nie mógł go okłamywać. Działo się tutaj coś, czego jeszcze nie ogarniał, a o czym chciał się jak najwięcej dowiedzieć.

- Tak, mówił mi coś o tym. Jego przyjaciel w Bostonie ponoć posiadał informacje niezwyklej wagi, mogące zmienić świat. Powstrzymać morderców.
- Udało ci się ustalić, co to za informacje?
- Nie. Ten człowiek zginął, zanim do niego dotarłem. Jim chuchnął w zgra-

białe ręce.

- Cóż miał rację, stary dureń... - mruknął i wykonał dyskretny gest ręką.

-Grałeś kiedyś na loterii, Carl?

- Co?!

- Czy grałeś na loterii?

- Nie, nigdy.

- A powinieneś. - Jim ujął go lekko pod ramię i poprowadził do drzwi w nadbudówce. - Moi doradcy twierdzą, że nie powinienem cię tu przyprowadzać. Że nie powinienem nawet z tobą rozmawiać. Ale powiedziałem im, że mam przeczucie; wydaje mi się, że grasz uczciwie, sporo wiesz i możesz nam pomóc. Cieszę się teraz, że miałem rację. Ty też powinieneś się cieszyć.

Ciarki przebiegły Carlowi po plecach; wiedział, że snajper z SP 19 przygląda mu się przez lunetkę na karabinie.

- A ten drobny gest... To pomysł z wiersza Kiplinga, prawda? Z tego o wodzu plemienia, który spotyka angielskiego oficera?

- Zgadza się. Gdyby nasza rozmowa przebiegła inaczej...

- Nie skinąłbyś ręką, a ja padłbym tu martwy.

- Właśnie. Bez urazy.

Jim położył rękę na klamce. Nocne powietrze wydało się nagle Carlowi zimne, bardzo zimne.

- Bez urazy.

Kiedy drzwi się otworzyły, musiał osłonić oczy dłonią przed światłem.

Jim dał mu chwilę, żeby oswoił się z widokiem. W dużym pomieszczeniu panował nieprzyjemny zaduch i hałas; tak jak pokoje w podziemnym kompleksie było ono oświetlone równocześnie słabymi żarówkami i świecami. Po lewej znajdowały się ustawione w szereg radiostacje na fale krótkie. Obsługiwali je młodzi mężczyźni i kobiety ze słuchawkami na uszach i skupionym wyrazem twarzy. Każde z nich albo coś zapisywało w notesie, albo wystukiwało wiadomość alfabetem Morse'a. Z prawej w równych rzędkach stały klatki z gołębiami; ptaki gruchały, przeczesywały dziobem pióra, próbowały podfruć. W drugim końcu pokoju, naprzeciw wejścia, młodzi ludzie zajmowali się wyjmowanymi z klatek gołębiami: przypinali im do łapek małe kapsułki i wypuszczali je przez otwarte okno.

W samym środku zestawiono ciasno kilka biur z maszynami do pisania, przy

których siedzieli uzbrojeni mężczyźni. Patrzyli na Carla spode łba.

- Witaj w Radiu Wolny Manhattan, Carl.
- To wszystko... To wszystko należy do SP 19?

Jim zaśmiał się i podszedł do stolika, przy którym stała zbieranina krzesel. Jakiś człowiek w skafandrze postawił na blacie dwa kubki z herbatą. Usiedli.

- Niezupełnie, Carl. Widzisz... - Jim pociągnął łyk herbaty. - Kiedy rozmawialiśmy na początku we troje, z twoją angielską przyjaciółką, nie chciałem wam za wiele wyjaśnić ani pokazać. Ale gdy powiedziały mi o tych spadochroniarzach i gromadzoną na naszą cześć sprzeczność, a potem wróciły, żeby pogadać z Cazem... Postanowiłem zaryzykować i wtajemniczyć cię w inne sprawy.

- Ładne mi ryzyko: kładłeś na szali moje życie - zauważył oschle Carl.

- A z drugiej strony życie mnóstwa ludzi - zareplikował Jim. - Dziesiątek tysięcy. SP 19 to tylko jedna z grup, które działają na Manhattanie; są i inne. Staramy się współpracować, żeby nikt nie chodził głodny, chory i żeby wojsko się nas nie czepiało. Co dwa lata wybieramy nowego przywódcę.

- I teraz ty nim jesteś, tak? Takim... burmistrzem, powiedzmy. Jesteś burmistrzem Nowego Jorku.

- Czemu by nie? - Jim się uśmiechnął. - Tytuł nic nie znaczy. Jeśli wolisz, możesz nazywać mnie przewodniczącym rady miejskiej Manhattanu. Ale tu chodzi o coś więcej niż kierowanie miastem.

Carl powiódł wzrokiem po radiostacjach, klatkach z gołębiami i reszcie wyposażenia: dużo tego jak na taką małą wysepkę, przyznał w duchu. Za dużo. Odwrócił się do Jima.

- Nie jesteście jedyni, prawda?

- Mów dalej.

Carl poczuł, że jest o włos od ogarnięcia wielkiej tajemnicy.

- Są mną społeczności takie jak wasza na Manhattanie. - Kiedy zaczął mówić, słowa przychodziły mu z łatwością. - W całym kraju jest przecież kilka wojskowych stref zakazanych: San Diego, Omaha, południe Florydy, bazy lotnicze takie jak Maxwell w Alabamie czy Moody w Georgii... Tam też mieszkają ludzie, tak? Jak tutaj: dysydenci, uciekinierzy, dezercerzy; wszyscy, którzy kryją się przed stanem wojennym, kończą w SZ-ach. Utrzymujecie z nimi stały kontakt.

- Od lat. Wymieniamy informacje, wiadomości, doradzamy sobie, jak przetrwać, nie ściągając na siebie uwagi wojska. - Jim przestał rozglądać się po pokoju

i spojrzął na Carla ze śmiertelną powagą w oczach. - Używamy kurierów, gołębi pocztowych i krótkich szyfrowanych transmisji radiowych. Istnieje całkiem spora sieć wolnych społeczności rozsianych po całym kraju; możemy być z niej dumni. W pewnym sensie uważamy się za przedstawicieli jedynej legalnej władzy na obszarze Stanów Zjednoczonych, ponieważ organizujemy wolne, powszechne wybory, Carl. Uczciwsze od tych poza SZ-ami. Kłopot w tym, że minęło już dziesięć długich lat i jesteśmy zmęczeni. Nie da się dłużej żyć, korzystając z resztek sprzed dekady.

Carl wrócił pamięcią do spotkania z sierżantem Picardem z Fort Drum. - I w związku z tym coś planujecie, tak? To dlatego Paul tak się martwił, że może wam nie starczyć czasu, skoro wybory są za dwa tygodnie. Jim wstał.

- Chodź, wyjdziemy na chwilę - zaproponował.

Wyszli innymi drzwiami i znaleźli się na wąskim balkonie nad ulicą. W jednym miejscu rozświetlało ją stłumione światło; z klubu jazzowego sączyła się muzyka. Jim oparł się o barierkę.

- Wybory już blisko, prawda? W pierwszy wtorek listopada.

- Zgadza się, 7.

- A mamy 24 października. Wiesz, że zbliża się rocznica? Trzydziesty? Powiał mocniejszy wiatr, niosąc charakterystyczną woń Manhattanu: mieszaninę dymu i zgnilizny, która nie zmieniała się mimo upływu lat.

- Wszyscy o tym wiedzą. Wszyscy pamiętają, kiedy spadły bomby.

- 30 października... To już za sześć dni, dzień przed Halloween. Niektórzy z nas nazywają go Dniem Odrodzenia: za sześć dni zamierzamy się ujawnić, Carl. Wyjdziemy z ukrycia i upomnimy się o nasze prawa, należne nam jako obywatelom amerykańskim, które odebrano nam wszystkim po wojnie.

Carl oczyma wyobraźni ujrzał żołnierzy, drut kolczasty i pojemniki z gazem.

- Musicie się z tym wstrzymać, Jim. Macie przecież informatorów w armii, oni na pewno...

- Oczywiście. Tu wszyscy mają swoich szpiegów: wojsko, marynarka, lotnicy, Francuzi, Niemcy, Brytyjczycy. Wystarczy znaleźć kogoś, kto umiera z głodu, postawić mu solidny obiad, a powie ci, co zechcesz. Wszyscy wiedzą, że tu, na Manhattanie, i w całym kraju ukrywają się wolni ludzie, którzy nie zamierzają z tej wolności rezygnować. Mamy dość życia dzięki resztkom i odpadkom; nie chcemy dłużej umierać z zimna i braku lekarstw! To moje miasto i mój kraj! Mamy dość krycia się po kątach.

- Dlatego wybraliście ten moment - domyślił się Carl. - Żeby przeważyć szale wyborów.

- Zgadza się. Nie obchodzi nas, kto jest prezydentem i kto z kim wygra. Liczą się ludzie, którzy za nim stoją. Jeśli wybierzemy Rockefellera, status quo zostanie zachowane. Nie dlatego, że on jest złym człowiekiem, ale dlatego, że jego współpracownicy są źli. To samo dotyczy McGoverna, z tą różnicą, że za jego kadencji nie będzie stagnacji. Wszystko się zmieni.

Carl chłonął słowa Jima i nie przestawał gorączkowo myśleć, jak mu wyjaśnić, że marsze protestacyjne i uprawianie polityki na ulicach sprawdzały się przed 1962 roku, ale teraz świat się zmienił.

- Zaczynam rozumieć - rzekł. - Kiedy odpowiedni ludzie dowiedzieli się, co zamierzacie, opracowali plan awaryjny, sprowadzić wojsko i wyczyścić SZ-y przed wyborami. Tylko że może się okazać, iż niektórzy Amerykanie nie zechcą strzelać do swoich rodaków.

- No właśnie. Dlatego wołają ściągnąć pomoc z zagranicy. - Jim zaklął i uderzył pięścią w barierkę. - To ma sens, psiakrew! Trzeba strzelać do cywilów, co łatwo zrobić po wojnie, w której zginęły miliony. Powiedzieć ci coś zabawnego? Pewien staruszek, który pomagał Kennedy'emu i przyłożył rękę do masowego mordu na cywilach w 1962 roku, zaproponował, że teraz pomoże nam zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń.

- Caz.

- Właśnie, Caz. To porąbany sukinsyn, ale twierdził, że jego znajomy z Bostonu ma dokumenty, które pokrzyżowałyby plany Rockefellera i Angoli. Uznaliśmy, że to może być nasza wielka szansa, więc pomogliśmy mu dotrzeć do Bostonu. Wrócił z pustymi rękoma, ale powiedział, że ten jego kumpel obiecał coś zrobić w tej sprawie.

- Tylko że nie zdążył, bo został zabity.

- Zgadza się, ale teraz już za późno. Nie możemy się wycofać. Zaplanowanie i koordynacja działań w wolnych strefach zajęły nam całe miesiące. To jest jak lawina: ruszyła i nikt już jej nie powstrzyma. Za sześć dni wychodzimy, Carl. Wszyscy.

- Będą do was strzelać - powiedział Carl, myśląc o mieszkańcach podziemnego kompleksu: o mężczyznach, kobietach, dzieciach... - Daleko nie zajdziecie.

- No to się zdziwią, bo nie jesteśmy bezbronni. Przez te lata nakładliśmy sporo

broni. Jeśli chcą wojny, niech wybuchnie tutaj; a jeżeli potrzebna będzie druga wojna domowa, żeby wszyscy o nas usłyszeli, niech i tak będzie.

- Mówiłeś wcześniej, że potrzebujecie mojej pomocy. - Carl włożył zmarznięte ręce do kieszeni. - Zobaczą, co uda mi się zdziałać.

- Chcesz napisać o tym w gazecie, zanim do czegoś dojdzie? Wiem, że macie cenzorów; jestem przekonany, że twoja przyjaciółka będzie miała ten sam problem u siebie, jeśli spróbuje napisać o Anglikach, którzy szykują się do mordów na amerykańskich cywilach.

- Myślałem o czym innym. Przed przyjazdem na Manhattan pracowałem nad artykułem o śmierci tego starego człowieka, przyjaciela Gaza. Spotkałem się z nim nawet na krótko przed jego śmiercią. Jeżeli uda mi się w dzień czy dwa wrócić do Bostonu...

Jim odwrócił się nagle i spojrzał mu w oczy.

- Dasz radę? Znajdziesz te dokumenty przed Dniem Odrodzenia? Dowiesz się, co w nich jest?

Carl poczuł się nagle tak, jakby marzenia Jima, wszystkich mieszkańców Manhattanu i innych wolnych stref spoczęły okrutnym brzemieniem na jego barkach; zaparło mu dech w piersi, nie mógł skupić wzroku na rozpalonej emocjami twarzy Jima. Czekano go wielkie zadanie. Przypomniał sobie ten głos z harwardzkim akcentem, który usłyszał ponad dziesięć lat temu w mroźny styczniowy dzień. Obietnicę, że w imię wolności zapłacą każdą cenę i zniosą każde brzemienie. I to jakie brzemienie.

- Spróbuję - odparł. - Zrobię, co w mojej mocy. Jim poklepał go po ramieniu.

- O nic więcej nie proszę, Carl. Spójrz: co tam widzisz? Carl posłusznie zerknął w dół.

- Pustą ulicę.

- Właśnie. A za sześć dni ulice tego miasta i innych wymarłych miast w całym kraju zaroją się od ludzi z transparentami. Pomaszerujemy do płotów otaczających SZ-y, ogłosimy wszem i wobec, że żyjemy i jesteśmy Amerykanami. Musisz znaleźć te dokumenty.

Carl zacisnął pięści w kieszeniach. -Wiem.

Wracając do wynajętego pokoiku - na ostatnie kilka godzin - cały czas bił się z myślami. Widok ulicy pod balkonem i słowa Jima o maszerujących ludziach z

transparentami poruszyły jakąś zapadkę w jego pamięci.

Czarno-białe wspomnienie, fragment starej kroniki filmowej. Ludzie maszerują, podnoszą ręce... Żołnierze, żołnierze w starych hełmach przypominających wiadra na węgiel.

Zatrzymał się pod drzwiami i wyjął klucz z kieszeni.

1938.

I szlus.

Maszerujący Niemcy. 1938 rok.

Dalej, dalej... Przypomnij sobie.

1938... Czechosłowacja?

Nie, gdzie indziej.

I szlus. Szlus.

Anszlus. Niemieckie słowo oznaczające przyłączenie.

- Jezu Chryste - wyszeptał. W 1938 roku wojska niemieckie wkroczyły na terytorium sąsiedniej Austrii. Niemcy połknęły cały mniejszy kraj i rozrosły się jego kosztem. Austria przestała być niepodległym państwem; obowiązujące w niej prawo powstawało od tej pory w Berlinie.

Wielka Brytania zamierza przejąć władzę w Stanach Zjednoczonych?

Tutaj? Naprawdę do tego dojdzie?

Nie mógł w to uwierzyć. Nie chciał w to uwierzyć.

Myślał o rym, co powinien teraz zrobić. Musiał obudzić Sandy i opowiedzieć jej o wszystkim, czego się dowiedział. Może wykorzystując swoje kontakty za oceanem, będzie mogła coś zmienić; może jeśli szybko dotrze do ambasady w Filadelfii, uda się coś zdziałać, zanim angielscy żołnierze za kilka dni wkroczą do stref zakazanych, by uciszyć ostatni prawdziwie niezależny głos Amerykanów. A notatki Merla... Nie, to mało prawdopodobne; nie wiadomo nawet, czy w ogóle istniały.

Może Sandy uda się coś osiągnąć. Był przekonany, że przynajmniej spróbuje; widział wyraz jej twarzy, kiedy oglądali podziemia SP 19. Na pewno. Nie będzie miała wyjścia. Przecież zanim wymknął się po cichu na spotkanie z Cazem, sama mu o tym powiedziała.

Spała, leżąc na boku, odwrócona twarzą do ściany. Światło wciąż się paliło, ale Carl postanowił się nim nie przejmować: był tak zmęczony, że nawet mając żarówkę na czubku nosa, i tak zdołałby zasnąć. Podchodząc do swojego łóżka, potknął

się o chlebak i zaklął cicho. Jakieś drobiazgi wysypały się na podłogę.

Uklęknął na lodowatym, brudnym betonie i zaczął zbierać rzeczy do chlebaka Sandy. Znalazł notatniki, butelkę z wodą, portfel... Wkładając je do środka, namacał jakiś twardy plastikowy przedmiot. Nie miał pojęcia, co to może być.

Podniósł wzrok: pogrążona we śnie Sandy ani drgnęła. Wyciągnął intrygujący go przedmiot i podniósł go do światła: był to wyprodukowany przez Sony przenośny dyktafon, czarny i lśniący. Dziwne, pomyślał Carl, Sandy nic nie wspominała o rym, że ma dyktafon. Nigdy też nie widział, żeby go używała -ani na Manhattanie, ani wcześniej, w Bostonie. Naprawdę dziwne. Podziwiając małe arcydzieło techniki, wcisnął z ciekawości kilka przycisków.

Nic się nie stało: taśma nie zaczęła się przesuwac, nie zapaliła się żadna lampka - nic.

Obrócił dyktafon w rękach. Tylne ścianka była chyba poluzowana: z pozoru trzymały ją cztery wkręty w rogach, ale kiedy ją nacisnął, poruszyła się i dała odsunąć...

Pod nią znajdowała się mała klawiatura numeryczna, kranik i kilka przełączników. W rogu sterczała niewielka gałka. Kiedy Carl za nią pociągnął, rozłożyła się teleskopowa antena.

Miał przed sobą miniaturowy nadajnik radiowy zamaskowany pod postacią dyktafonu.

Zmroziło go. W ustach zaschło mu momentalnie, gdy schował antenę i zasunął tylną klapkę na miejsce. Jeszcze chwila i wszystko znalazło się z powrotem w chlebaku, a Carl leżał na swojej pryczy, wpatrując się w sufit ze sklejki. Ktoś namazał na nim czerwoną farbą TU BYŁEM. KILROY '71; obok ktoś inny na czarno dopisał: JA TEŻ TU BYŁEM, DO DIABŁA. KENNEDY '72. Carl zastanawiał się od niechcenia, czy któryś napis mówił prawdę.

Coś zaszeleściło.

- Carl? - mruknęła cicho Sandy.
- Jestem tu, Sandy. Odkasznęła kilkakrotnie i ziewnęła.
- Gdzie byłeś, skarbie?

Carl oblizwał wargi; wciąż miał je suche jak pieprz.

- Nie mogłem spać, więc wyszedłem się przejść i pogadać. Był czas jakos zleciał.

- Ach... - Sandy jeszcze raz ziewnęła. - Szkoda, że te łóżka są takie małe.

- Szkoda - zgodził się Carl, podkładając sobie ręce pod głowę. - Naprawdę szkoda.

- Chcesz pogadać, Carl? Zawahał się.

- Chyba nie.

Przez moment nasłuchiwał jej uspokajającego się oddechu, a potem po prostu leżał i gapił się w sufit. Przez całą noc nie zmrużył oka; bał się nawet myśleć.

Sprawa Imperium: 4

Major Kenneth Hunt stał przy końcu pasa startowego i palił fajkę. Nadciągał zmierzch. Hunt przysiadł ostrożnie na ogromnym betonowym bloku, jednym z wielu elementów przeznaczonych do rozbudowy bazy lotniczej kanadyjskich sił powietrznych w Trenton. Kilkaset metrów za jego plecami ciągnęły się hangary i baraki, w których spadochroniarze z kompanii A przygotowywali się do swojego zadania. Został im jeszcze nieco ponad tydzień do rozpoczęcia misji, która mogła rozpętać trzecią wojnę światową.

Lecz tym razem wojna nie ominie Europy, pomyślał ponuro Hunt. Okrutne atomowe słońce wypali Paryż, Londyn, Berlin, Amsterdam i Rzym.

A wszystko dzięki mnie. Niegłupia myśl: samemu wykopać sobie grób, kiedy przyjdzie czas. Ciekaw był, co powiedziałyby Rachel.

Ze środka bazy dobiegał nieustanny ryk silników: ciężarówek, które zwoziły zaopatrzenie, turbośmigłowych transportowców C-130, angielskich odrzutowych bombowców Vulcan i innych maszyn. Major wbił wzrok w pogłębiającą się ciemność i migoczące w niej nieliczne światełka domów mieszkalnych od zachodu sąsiadujących z lotniskiem. Spojrzał w niebo, ale światła bazy nie pozwalały dostrzec gwiazd. Za reflektorami znaczącymi skraj terenu wojskowego dostrzegł wąską kreskę mroku - jezioro Ontario, jedno z amerykańskich Wielkich Jezior. Za nim rozciągały się już Stany Zjednoczone Ameryki Północnej; tam też znajdowały się cele, które mieli zaatakować jego ludzie, a także żołnierze z innych brytyjskich kompanii stacjonujących nie tylko wzdłuż kanadyjskiej granicy, lecz również na Bermudach i Jamajce.

Zerwał się lekki wiatr; coś zagrzechotało metalicznie. Hunt odwrócił się i ujrzał niekształtny cień przy końcu pasa startowego. Mimo zmroku bez trudu rozpoznał wycelowany ostro w niebo ogon starego bombowca. Przypomniawszy sobie, co Clive mówił mu o tym wraku, relikcie dawnego imperium.

Przeciągnął się i skrzywił z bólu; lewa noga zdrętwiała mu zupełnie i teraz chwycił go skurcz. Imperia. Przemierzył pół świata w służbie koronie i ojczyźnie, które teraz prosiły go o wypełnienie jeszcze jednej misji - tym razem wymierzonej przeciw krajowi, który od blisko stu lat był ich sprzymierzeńcem. Mimo wielu lat nienagannej służby te nowe rozkazy nie dawały mu spokoju; nie chodziło tylko o

wspomnienia związane z Rachel, choć i one miały w tym swój udział. Zdawał sobie sprawę, że rząd brytyjski doszedł do porozumienia z urzędnikami amerykańskimi, ale wiedział również, że prawdziwa natura planowanych działań wojskowych nie jest im znana. Wrócił pamięcią do dni dzieciństwa, kiedy to pierwszy raz zobaczył na własne oczy Amerykanów - w bazie sił powietrznych numer osiem w czasie wojny. Zastanawiał się, czy przyjdzie mu teraz zabijać tych samych ludzi, z którymi wtedy, ponad ćwierć wieku temu, przyjaźnił się...

Ciężkie wojskowe buty zastukały o beton. Odwróciwszy się, Hunt ujrzał idącego ku niemu człowieka z latarką.

- Panie majorze? - rozległ się znajomy głos. -Tu jestem, Paul.

Jego zastępca kapitan Paul Heseltine zgasił latarkę i usiadł obok niego na betonowym kłocu. Był przysadzisty, silnie umięśniony i tylko o dwa centymetry wyższy niż wymagane w służbach specjalnych minimum. Pracowali razem od ponad dwóch lat.

- Chwila odpoczynku, panie majorze?

- Właśnie. Coś się stało?

- Nie, panie majorze. Chłopcy są gotowi i rwą się do roboty, ale...

Hunt pyknął z fajki i zapatrzył siana światła Trenton, najbliższego miasteczka rozciągającego się trzy kilometry od bazy.

- Mów, Paul.

- Martwi ich to, dokąd lecimy, panie majorze. Lubią Jankesów tak jak i my. A tu się okazuje, że mamy podnieść na nich rękę... Żle to wygląda.

- Rozumiem. Kiedy ostatnio byłeś w Stanach, Paul?

- Zaraz... W 1963 roku, w Georgii. Pomagaliśmy zakładać obozy dla uchodźców z Florydy. Pięknie jest tam na Południu, strasznie gorąco, ale pięknie. A jakie tam ptaki żyją! A pan, majorze?

Wyjętym z kieszeni scyzorykiem Hunt zaczął czyścić cybuch fajki.

- Pierwszy raz byłem w Stanach na początku 1963 roku. W Kalifornii. To były ciężkie czasy. Niewiele brakowało, żeby w całych Stanach wybuchła otwarta rewolta cywilów. Przydzielili nas do oddziału piechoty... Biedni goście; tak się starali kontrolować sytuację, ale nie mieli szans: brakowało im i sprzętu, i żywności. Był tam taki młody sierżant, który później za zasługi w walce dostał awans; nie pamiętam, jak się nazywał. Wyjeżdżając, dałem mu na pamiątkę butelkę brandy; ucieszył się, jakby dostał co najmniej klejnoty koronne. A teraz wracamy do Stanów, do Nowego Jorku.

Kto by pomyślał?

- Ja na pewno nie, panie majorze.

Hunt napelnił fajkę świeżym tytoniem z kapciucha noszonego w kieszeni kurtki.

- Na Manhattanie będzie ciężko, bardzo ciężko. Ale jestem przekonany, że B i C sobie poradzą.

- Za przeproszeniem pana majora: ja się martwię o naszą kompanię. O nasze zadanie, panie majorze.

- Wiem o tym.

Hunt wyczuł, jak kapitan wierci się nerwowo obok niego.

- Myślałem, że może pan wiedzieć coś więcej o naszej misji. Ma pan brata i w ogóle...

Major pstryknął zapalniczką. W nagłym rozbłysku światła wszystko w okolicy nabrało ostrych konturów i barw: pokurczone źdźbła trawy, płaski asfalt na pasie - i oni obaj.

- Nie, niestety, nic nie wiem.

Wcale mu się nie podobało to, że musi okłamywać własnego zastępcę.

- Rozumiem... - Kapitan nie krył sceptycyzmu w głosie. Hunt zaciągnął się dymem i postanowił zmienić temat:

- Wiesz, pierwszych Amerykanów poznałem, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

- Naprawdę, panie majorze?

- W czasie drugiej wojny światowej. Zaraz obok mojej rodzinnej wioski znajdowała się baza lotnicza, ósemka. Stacjonowało w niej mnóstwo B-17. Pamiętasz tamte czasy? Żywność i węgiel na kartki, cerowane i łatanе ubrania... Człowiek nosił buty tak długo, aż się rozpadły, a potem łątał je tekturą i wiązał sznurkiem. I nie było słodczy, nawet dla dziecka.

- Pamiętam to, panie majorze.

- I wtedy zjawili się Jankesi, jak kowboje. Organizowali dla nas przyjęcia, mogliśmy się najeść, dostawaliśmy ubrania, których nie potrzebowali, koce... Miało się wrażenie, że po sąsiedzku zamieszkał właśnie Święty Mikołaj. Bardzo nam pomagali przez cały ten czas do końca wojny. - Pod wpływem innych wspomnień Hunt zacisnął zęby na ustniku fajki. - Rok temu byłem w mesie pewnego regimentu na uroczystym przyjęciu. Nie będę mówił, o który regiment chodzi, żeby nie przynosić ludziom wstydu, ale w czasie toastu nie zdzierzyłem i musiałem wyjść. Zrobiło mi się

niedobrze, Paul. Naprawdę chciało mi się rzygać. Wzniesli toast na cześć duchów Kennedy'ego i Chruszczowa.

Kapitan poruszył się niespokojnie.

- Obawiam się, panie majorze, że słyszałem ten sam toast.

- Na pewno - skrzywił się Hunt - „Za Kennedy'ego i Chruszczowa, za to, że dali nam drugą szansę”, jakoś tak to szło. Za drugą szansę na osiągnięcie wielkości; za większy budżet na żołnierzy, samoloty i okręty, Żebyśmy mogli się zmobilizować, urosnąć w siłę i wrócić na stare tereny łowieckie, do Indii i Hongkongu. Żebyśmy znów zaczęli coś w tym świecie znaczyć, Rzecz jasna, nasze powodzenie zostało zbudowane na trupach milionów ludzi, - Wyciągnął przed siebie rękę z fajką. -Tam, kapitanie, za tym jeziorem, zaczynają się Stany Zjednoczone. Trzy razy w tym stuleciu Amerykanie pomogli nam przetrwać, trzykrotnie dzięki nim nie znaleźliśmy się na śmietniku historii. I jak im za to odpłacamy? Zdradą. Przychodzimy nocą jak złodzieje, żeby zabijać ich cywilów i żołnierzy. Oto nasza wdzięczność. Powinniśmy się wstydzić. Zasłużyli na lepszy los.

Major opuścił rękę i powtórzył cicho:

- Zasłużyli na lepszy los.

Nagle usłyszał dźwięk dzwonka. Ktoś szarpał go za tamie. - Carl! - rozległ się tuż przy jego uchu nagłący głos Sandy. - Zbudź się, Carl! Coś się stało!

Miał wrażenie, że od chwili, gdy złożył głowę na poduszce, minęło najwyżej dziesięć sekund. Poplątane obrazy z ostatnich godzin zaczęły napływać wezbraną falą: Caz, stary agent CIA gadający na okrągło o spiskach i sekretach; on żyje; Jim Rowley i prawdziwe tajemnice SP 19 i Manhattanu; i największy z nich: Dzień Odrodzenia. I jeszcze to ogromne brzemie na jego, Carla Landry'ego, ramionach: zapobiec planowanemu anszlusowi, przybyciu Brytyjczyków, którzy chcą...

- Carl, nie śpisz już?

- Nie śpię, nie śpię. - Sturlał się na skraj łóżka i niepewnie opuścił nogi na podłogę. Z zewnątrz wciąż dobiegało dzwonięcie, jakby ktoś bez przerwy uderzał w krowie dzwoneczki. Sandy stała przy łóżku z latarką w ręce.

- Światło zgasło - oznajmiła drżącym głosem. - Usłyszałam dzwonięcie, zbudziłam się i już nie było prądu.

Carl wstał, potarł dłonią coraz dłuższy zarost i popatrzył na nią. Przypomniawszy sobie, co widział wcześniej: przenośne radio w chlebaku, które cały czas przed nim ukrywała. Co miał teraz zrobić, co powiedzieć, co się...

Łomotanie w drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Poświeć na drzwi - polecił Carl i wyciągnął kolta z kabury. - Kiedy je otworzę, świeć na tego, kto wejdzie. Prosto w twarz.

Szarpnął za klamkę i drzwi stanęły otworem.

- Hej! - krzyknął ktoś. - Zgaś latarkę! Carl opuścił pistolet.

- W porządku, Sandy - powiedział.

Sandy skierowała promień latarki na ziemię i do pokoju wszedł Jim Rowley, osłaniając oczy przed światłem. Dalej miał na sobie czapeczkę baseballową i sztruksowy płaszcz. Machnął na nich ponaglająco. Za jego plecami korytarzem przebiegali ludzie z lampami naftowymi i latarkami w rękach.

- Zbierajcie się - rzucił Jim. - Musimy was stąd wyprowadzić.

Carl i Sandy sięgnęli po swoje bagaże. Znowu alarm, pomyślał Carl. Ile to już razy budził go w nocy sygnał alarmowy zapowiadający kłopoty...

- Wojsko? - zapytał Jima.

Rowley skinął głową, oglądając się za siebie.

- Tak. Sekcja Z weszła właśnie do tuneli, chyba ze dwa przystanki stąd w stronę peryferii miasta. Kilka oddziałów. Posuwają się bardzo szybko i idą w tym kierunku. I...

- I co? - spytała piskliwym głosem Sandy. - Co się dzieje? Jim spojrzał na Carla.

- Nikogo nie aresztują, żeby nie spowalniać marszu. Po prostu ruszyli ostro naprzód, jakby szukali kogoś konkretnego.

Carl porwał plecak w ręce; w duchu był prawie pewien, że żołnierzy Sekcji Z prowadzi major Devane.

- Na przykład nas dwojga?

- Och, nie... - wyszeptała Sandy.

- Obawiam się, że tak - przytaknął smutno Jim.

Kiedy szli szybkim krokiem wśród przemieszczających się korytarzami ludzi, Jim pokrótce wyjaśniał im sytuację. W świetle latarek i lamp po betonowych ścianach skakały najdziwniejsze cienie. U boku Jima szło dwóch mężczyzn uzbrojonych w strzelby ze spiłowanymi lufami. Tupot stóp mieszał się z krzykami ludzi i dźwięczeniem dzwonków.

- To nasz system wczesnego ostrzegania - rzekł Jim, podnosząc głos. - Jeden dzwonek wysyła sygnał, a inne podchwytyją go i powtarzają. Wtedy

wysyłamy gońców, żeby sprawdzili, co się dzieje, i ponieśli tę informację dalej. Zdziwilibyście się, wiedząc, jak daleko dźwięk niesie się pod ziemią.

- Co robią wasi ludzie, kiedy zabrzmie dzwonek? - spytał Carl, starając się równocześnie mieć na oku Sandy i całe otoczenie.

- Każdy ma wyznaczony posterunek i zadanie do wykonania. Stawiamy barykady, które spowalniają żołnierzy, zatapiamy sektory tuneli, chowamy sprzęt; ci, którzy nie mają nic do roboty, idą w rozsypkę i chowają się przygotowanych kryjówek po pięć, sześć osób. Tam czekają na znak, wszystko jest w porządku.

Idąc pod górę korytarzem, minęli grupkę trzymających się za ręce dzieci, z których każde niosło małe zawiniątko. Na końcu szła dziewczynka z blond kucykiem, która odprowadziła ich spojrzeniem rozszerzonych ze zdumienia oczu. Carl zrozumiał nagle, że tak to musiało wyglądać przed dziesięciu laty, kiedy w całym mieście zawyły syreny: grupki dzieci, walcząc z własnym strachem, szukały

schronienia pod ziemią, szukały kryjówek przed szaleńcami, za sprawą których na powierzchni rozpętało się piekło. Sześć dni, rozległ się w jego głowie głos. Masz sześć dni, żeby coś z tym zrobić.

- Posłuchajcie - zwrócił się do nich Jim. - Musimy... Rozdzierający uszy huk zagłuszył jego słowa. Carlowi zaparło dech piersi, gdy fala uderzeniowa omal nie zmiotła go z nóg. Zdawało mu się, słyszał krzyk Sandy, ale nie był pewien - za bardzo bolały go uszy. Złapał ją za rękę, a Jim szarpnął go za ramię, ciągnąc gdzieś w bok. Carl trząsnął głową, starając się odzyskać orientację po wybuchu. Strażnicy z obrzynami podążali za nimi krok w krok; uniósłszy broń do ramienia, celowali prosto przed siebie. Przemierzyli labirynt maleńkich komórek ze sklejki i stanęli przed umocowaną do ściany drabiną.

- Szybciej! - krzyknął Jim, kiedy Carl zaczął się wdrapywać.

Znaleźli się w szybie wentylacyjnym - metalowej rurze, która zwielokrotniała echem dudnienie ich rąk i kolan o ściany. Korzystając z tego, że ma latarkę, Carl odwrócił się na chwilę i obejrzał za siebie. Sandy szła zaraz za Jimem, za nią zaś znajdowała się dwójka strażników.

- Pospiesz się - wysapał Jim. W przypadkowych błyskach światła blizny na jego twarzy wydawały się głębsze niż zwykle. - To był granat ogłuszający, wizytówka Sekcji Z. Grzmot jest taki, że człowiek zupełnie nie wie, co ze sobą zrobić.

- Blisko było - zauważył Carl. - Cholernie blisko.

- Ale jeszcze dość daleko. Pospiesz się, zaraz będzie następny szyb z drabiną. Tylko nie spadnij.

Wspinali się jeszcze kilka wlokących się w nieskończoność minut, aż wreszcie Carl poczuł na twarzy powiew świeżego powietrza. Jim się nie mylił: przed nimi otwierała się kwadratowa studnia z uciepioną ścianą drabiną. Z wysiłkiem zszedł po niej może ze cztery metry i odsunął się na bok. Zaraz potem obok niego znalazł się Jim, za chwilę Sandy i dwóch milczących mężczyzn z bronią w pogotowiu.

Znajdowali się na malutkim peronie dla obsługi metra, w jednym z tuneli serwisowych. Na jego skraju, obok sterty pudeł i kilku zrolowanych dywanów, znajdowało się czworo albo pięcioro innych ludzi. Jim obejrzał się przez ramię, a potem obrzucił wzrokiem strażników.

- Za minutę przyjedzie wasz pojazd - oznajmił. - Uważajcie na siebie, jak już wylądujecie w New Jersey. To dzięki miejsce i zdarzają się napady obcych.

- Gangi sieroce? - spytała Sandy. Jim się skrzywił.

- To określenie z gazet, panienko. Niektórzy nazwaliby SP 19 gangiem sierocym, ale oboje widzieliście, jak jest naprawdę.

Carl założył plecak.

- W takim razie kto ich tam napada? Jim wzruszył ramionami.

- Dzieciaki, dorośli, wszyscy... Jak tak posiedzą trochę w New Jersey czy Pensylwanii, zaczyna im się nudzić: przepisy, żarcie na kartki, pobór do wojska. Muszą się wyszumieć, więc szukają miejsca, gdzie prawo nie obowiązuje - i znajdują najbliższą strefę zakazaną: New Jersey. Włamią się do kilku budynków, spalą parę innych, kogoś obrabują, a potem wracają do bezpiecznego, nudnego domu rodzinnego. Poza tym... No, nareszcie, jest wasz wóz.

Carl odwrócił się i zaniemówił: nie wierzył własnym oczom, choć zarazem zdawał sobie sprawę, że to, co widzi, musi istnieć naprawdę. Z tunelu wynurzyła się właśnie czwórka koni, ciągnąc olbrzymi drewniany wóz. Zamiast opon miał na kołach stalowe obręcze dostosowane do szyn kolejowych, po których jechał. Z obu boków wozu zwieszały się na długich drągach latarnie gazowe, a na koźle siedziało dwóch brodaczy w długich płaszczach i czapkach Jankesów. Siedzący z prawej powoził, jego kompan trzymał na kolanach strzelbę.

- Pospiesz się, Jim! - krzyknął woźnica. - Lepiej, żeby nas tu nie złapali! Na krótką chwilę zrobiło się zamieszanie, gdy na wóz trafiły dywany i kartonowe pudła.

- Wszystko funkcjonuje normalnie - zauważył Jim. - Nawet jak pojawiają się chłopcy z Sekcji Z. Ta normalność trzyma nas przy życiu.

W kilka sekund peron opustoszał: bagaże znalazły się na wozie, a ich właściciele wtopili się w mrok tuneli, zostawiając za sobą Carla, Sandy i Jima z eskortą - obaj strażnicy nerwowo rozglądali się dookoła; dzwonki nie milkły ani na chwilę. Dobięł ich odgłos odległej eksplozji kolejnego granatu. Carl z przerażeniem myślał o tym, jak muszą się czuć dzieci, które widzieli.

- Masz. - Jim podał mu kartkę papieru. - To list polecający do burmistrzów Hoboken. Znamy się dość dobrze, więc proszę ich, żeby pomogli się wam wydostać ze strefy. W Morristown powinniście złapać autobus, jeśli nadal chcecie się dostać do Filadelfii.

- Do burmistrzów? - zdziwił się Carl. - W Hoboken mają dwóch burmistrzów?

- Zgadza się, dwójkę pilotów, którzy jakiś czas temu się spiknęli i postanowili pokierować miastem. Spisują się dobrze, więc co rok ludzie wybierają ich na następną kadencję. Dobra, ja muszę wracać do swoich ludzi. Powodzenia. Rozumiemy się?

Sandy pierwsza uścisnęła dłoń Jima, zaraz potem uczynił to Carl. Spojrzał w zmęczone oczy młodego człowieka i odparł:

- Rozumiemy.

Kiedy wdrapali się z Sandy na tył wozu, woźnica krzyknął rażno „Wio!” i konie ruszyły z miejsca. Wciąż słyszeli dzwonki, a później stłumiony odgłos strzałów. Jim pomachał im na pożegnanie i w jednej chwili i on, i jego towarzysze zniknęli im z oczu.

Sandy przysiadła się do Carla.

- Musimy coś zrobić, Carl - powiedziała. - Musimy. Carl nie odrywał wzroku od pustego peronu.

- Zgadza się, musimy.

W tunelu szybko ogarnęły ich ciemności, rozpraszane tylko bladym światłem latarni z boków wozu. Wcisnąwszy plecaki w kąt, Carl usiadł tyłem do kierunku jazdy, wyjął kolta i położył go sobie na kolanach. Miejsca dla pasażerów było niewiele, a ponieważ od woźniców dzielił ich stos kartonowych pudeł, rozmowa ograniczała się do zdawkowych: „Jak się wam jedzie?” i „Całkiem nieźle”.

Carl oparł się o kartony. Był wykończony, nie spał chyba nawet godziny. Tupot końskich kopyt rozbrzmiewał donośnym echem w zamkniętym tunelu; lampy oświetlały drogę tylko na kilka metrów przed pojazdem, tak że Carl ledwie rozróżniał, co widać z tyłu, a wcale nie widział, dokąd jadą. Piękna metafora dla naszej przeklętej wycieczki, pomyślał. Nigdy nie wiemy, w co się pakujemy, jesteśmy pewni tylko tego, co już było.

- Carl? - odezwała się Sandy, -Mhmm?

- Strasznie jesteś milczący. Coś nie tak?

Wszystko, odpowiedział jej w myślach. Wszystko jest nie tak i wygląda na to, że pomyliłem się także co do ciebie: wiedziałaś, że Merl Sawson był żołnierzem, a w torebce nosisz radio. Kim ty u licha jesteś, Sandy Price? Czy tak jak twoi rodacy, spadochroniarze, masz zadanie do wykonania? Jakie to zadanie? Masz zameldować o wszystkim, co widziałaś w podziemnym mieście? Opisać, jak żyją ludzie, jaką mają broń?

Uścisnął jej uspokajająco rękę i zmusił się do uśmiechu.

- Wszystko w porządku. Jestem po prostu skonany. Odpowiedziała mu uściskiem dłoni, a on patrzył wstecz, na wąskie tory podziemnej kolejki i skaczące po

zakrzywionych ścianach cienie.

Najpierw poczuł zmianę w powietrzu - tak jak wtedy, gdy wspinali się szybem: powiał leciutki wiatr. Usiadł, odwrócił głowę i ujrzał z przodu światła. Słyszał też buczenie maszynerii i głosy ludzi. Konie przyspieszyły kroku, jakby przeczuwając, że zbliża się koniec podróży.

- Jesteśmy na miejscu? - spytała Sandy.

- Chyba tak.

- Jest chyba piąta rano - stwierdziła, ziewając, Sandy. - Boże, nie mogę się już doczekać, kiedy prześpię całe osiem godzin w prawdziwym łóżku.

- Już niedługo - pocieszył ją Carl. - Niedługo. Tylko najpierw musimy się stąd wydostać.

I to szybko, dodał w duchu. Ile czasu zajmie nam powrót do Bostonu? Dzień? Może nawet dwa, a i to tylko wtedy, jak wszystko dobrze pójdzie. Zostanie kilka dni, kilkadziesiąt godzin, żeby powstrzymać zaplanowaną na przyszły tydzień rzeź. Jezus, Maria... Nie, nie wracam do „Globe”. Cóż to by było za spotkanie - stanąć oko w oko z Devane'em po tej wycieczce na Manhattan. Major z pewnością miał pewne interesujące plany wobec Carla Landry'ego. Złowróżbne plany.

Woźnica odwrócił się do nich.

- Już dojeżdżamy - rzucił przez ramię. - Przygotujcie się. Nie będziemy stać długo - tyle, żeby rozładować wóz.

Wóz zbliżył się do świateł i Carl ujrzał ręcznie malowaną tabliczkę podwieszoną do rdzewiejącego dźwigara: WITAMY W HOBOKEN, MIEŚCIE, KTÓRE SIĘ NIE PODDAŁO. Nagle znaleźli się w samym centrum gorączkowej aktywności: wjechali w szerszy fragment tunelu, z kilkoma peronami i stłoczonymi przy nich wozami i wózkami - konnymi i ręcznymi. Wszędzie kręcili się ludzie wyładowujący bagaże z pojazdów i układający je na peronach. Kilku uzbrojonych w karabiny mężczyzn stało u wylotu tunelu; skinęli woźnicom na powitanie. Kiedy wóz stanął, Carl pomógł Sandy zejść i stanęli obok siebie na zakurzonym betonie. Znaleźli schodki prowadzące na peron i weszli po nich na górę.

Czterech lub pięciu ludzi zabrało się do rozładowywania wozu. Pracą kierował masywnej postury mężczyzna w sięgającym kostek płaszczu i z notatnikiem w ręku. Carl podszedł do niego i podał mu otrzymany od Jima Rowleya list polecający.

- Chcielibyśmy zobaczyć się z burmistrzami - rzekł. - Jak najszybciej.

Mężczyzna w płaszczu chrząknął i oddał mu papier.

- Tak jak i wszystkie świry w SZ-ecie. Hej, Mickey! Zaprowadź tych dupków do biura, co?

Podeszła do niego młoda Murzynka, wycierając ręce w spodnie i połataną bluzę od dresu.

- Kurczę, przecież mam robotę.

- Wiem, że masz: to właśnie twoja nowa robota. Ruszaj się. Dziewczyna skrzywiła się i rzuciła ostro:

- Chodźcie ze mną. Tylko nie próbujcie dać nogi.

Poszli posłusznie za przewodniczką i tak jak na Manhattanie Carl ze zdumieniem obserwował gorączkową krzątanie w tunelach i na stacjach metra. A przecież Jim twierdził, że w całym kraju jest podobnie, we wszystkich rzekomo wyludnionych strefach zakazanych otaczających miejsca eksplozji. Ich mieszkańcom nie żyło się może lekko, ale dopóki nie naprzykrzali się żołnierzom, mogli cieszyć się swobodą, jakiej nikt w tym kraju nie zaznawał.

To miało sens. Społeczności żyjące w SZ-ach stanowiły swoisty zawór bezpieczeństwa, miejsce schronienia dla skłóconych z życiem buntowników, dezertersów, ocalałych z pogromu urzędników Kennedy'ego i wszystkich tych, którzy wciąż wierzyli w amerykańską konstytucję. A władze się ich nie czepiały, bo łatwiej trzymać dysydentów w ryzach, gdy znajdą się w jednym miejscu. I taka symbioza trwałaby pewnie jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat, gdyby nie jeden fakt.

Dzień Odrodzenia. Ci Amerykanie postanowili wrócić na łono swojego narodu, lecz naród nie był jeszcze gotowy na ich przyjęcie.

Od czasu do czasu Carl zerkał ukradkiem na Sandy, którą radował każdy nowy widok. Czuł jednak jakąś lodowatą kulę w żołądku, której nie było tam od czasów Kalifornii, kiedy znalazł się sam na odsłoniętym wzgórzu, a pociski karabinowe z ufortyfikowanej farmy rozdzierały grunt obok niego. Odsłonięty: makabryczne uczucie.

Szli dość długo betonowymi tunelami kolejki i korytarzami dla techników; po drodze pokazali papier od Rowleya jeszcze dwóm pochmurnym jegomościom, zostawili bagaże i broń i znaleźli się w biurze, które w porównaniu z pokojem Jima prezentowało się wręcz luksusowo. Znajdowały się w nim dwa drewniane biurka z obitymi skórą fotelami, wschodni kobierzec na podłodze i mały bar przy ścianie. Pokój był jasno oświetlony. Za biurkami siedziało dwóch mężczyzn w białych

koszulach i wąskich krawatach. Zabawne, pomyślał Carl. Ile to już dni nie widziałem czystej koszuli ani krawata?

Mężczyzna siedzący po lewej palił papierosa i popijał coś - chyba herbatę - ze stojącego przed nim kubka. Miał czarne, po wojskowemu krótkie włosy. Jego towarzysz mocno już wyłysiał, za to mógł się pochwalić sumiastymi wąsami. To właśnie on wziął do ręki ich list polecający i rzekł:

- Jim dobrze o was pisze, a to u nas sporo znaczy. Rozumiem, że pan jest Carlem Landrym, a pani to Sandy Price. Ponoć oboje jesteście dziennikarzami. Jim prosi, żeby wam pomóc.

- Zgadza się - odparła Sandy. - Pracujemy dla londyńskiego „Timesa” i chcemy się teraz dostać do Filadelfii.

Kruczowłosy mężczyzna milczał. Jego wąsaty kolega podrapał się z namysłem po głowie.

- Chyba coś się uda zorganizować - powiedział. - Macie ochotę na spacer?

- Jeśli to ma nam pomóc, to jak najbardziej.

- Oczywiście. Chodźmy.

Po wyjściu z biura Carl i Sandy odebrali swoje rzeczy i zarzucili bagaże na plecy.

- A właśnie, byłbym zapomniał: nazywam się Tony Sculley - przedstawił się wąsacz, gdy ruszyli dalej. - Jestem współburmistrzem tej miejsciny. - Wskazał kciukiem idącego obok kompana z kubkiem w ręce. - A ten milczący byczek to mój wspólnik Jurij Malenkow.

- Bardzo mi miło - rzekł Malenkow z lekkim rosyjskim akcentem i skinął głową. Carl stanął jak wryty, nie mogąc oderwać od niego wzroku; mniej by się chyba zdziwił, gdyby Tony przedstawił im przybysza z kosmosu.

- Przepraszam... - odezwała się nieśmiało Sandy. - Ale czy jest pan Rosjaninem?

Malenkow ze znużeniem kiwnął głową i łyknął herbaty.

- Da. Przy okazji - gratuluję pani: jest pani chyba dziesięcioletnią osobą, która mnie o to pyta, odkąd się tu znalazłem.

- Z ambasady. - Carl odzyskał wreszcie głos. - Pracował pan w ambasadzie w Nowym Jorku, kiedy wybuchła wojna, tak? Jak to się stało, do cholery, że dziś jest pan współburmistrzem Hoboken?

Tony uniósł ręce w obronnym geście.

- Dobrze, dobrze, wszystko wam opowiemy, ale musicie obiecać, że nic z tego nie trafi do gazet. Mielibyśmy kłopoty. Umowa stoi?

- To znaczy... - zaczęła ostrożnie Sandy, ale Carl szturchnął ją łokciem pod żebro. Nie chciał rozzłościć gospodarzy ani ryzykować opóźnienia wyjazdu.

- Stoi - odrzekł.

Tony uśmiechnął się i znów ruszyli przed siebie, zagłębiając się w betonowy korytarz.

- Sami się przekonacie, dlaczego wolimy pewnych rzeczy nie rozgłaszać. Jestem byłym kapitanem lotnictwa, którego większość ludzi uznałaby zapewne za dezertera. Bo widzicie, po powrocie z zadania trafiłem tutaj i zacząłem szukać swoich bliskich, zamiast zameldować się u przełożonego. Jurij z kolei jest byłym porucznikiem radzieckiego lotnictwa wojskowego i bardzo fajnym facetem, ale są ludzie - nie w naszym mieście, ale są - którzy najchętniej by go zlincowali.

Mimo że od wojny minęło dziesięć lat, ścierające się w jego umyśle odczucia zdumiały Carla. Z jednej strony postrzegał szczupłego mężczyznę jako najgorszego wroga, źródło wszelkiego zła, zniszczenia, śmierci, chorób i głodu. Z drugiej jednak widział, że ma przed sobą zmęczonego człowieka o twarzy pobrużdżonej zmarszczkami, człowieka, który naprawdę nie miał ojczyzny.

- Na czym polegało pańskie zadanie? - zapytał.

- Trudno w to uwierzyć, choć minęło już tyle czasu - zaśmiał się Tony. - Stacjonowałem w Europie, gdzie wchodziłem w skład ściśle tajnego szwadronu 510. Lataliśmy na F-100, jednomiejscowych odrzutowcach.

- Myśliwcach?

- Nie, bombowcach.

- Och... - jęknęła cicho Sandy.

- Właśnie, och - zgodził się Tony. - To ulubione słówko tych wszystkich, którzy pierwszy raz w życiu widzą pilota bombowca. Z przykrością ucieknę się do tej wyświechtanej frazy, proszę pani, ale wykonywaliśmy rozkazy. A mnie przynajmniej przydzielono cel wojskowy; nie robiłem nalotu na miasto.

- Tony, proszę cię... - odezwał się Jurij, ale Tony uciszył go machnięciem ręki. Zaczęli schodzić po schodach.

- Nie, Jurij: to są dziennikarze, a biorąc pod uwagę, że mija właśnie dziesiąta rocznica tego koszmaru, może uda im się coś z tego wykorzystać jako tło historyczne. Każdy F-100 miał w ładowni jedną bombę, śliczną pięciomegatonową bombę. A

wiecie, jakie mieliśmy zadanie? Stacjonowaliśmy w bazie w Niemczech. Na dany znak wpadliśmy głęboko w obszar Układu Warszawskiego, lecąc dwadzieścia, trzydzieści metrów nad ziemią, żeby uniknąć wykrycia przez radary. Znalazłszy się w pobliżu celu, podrywaliśmy maszyny ostro w górę i zrzucaliśmy bombę, która leciała jeszcze ze trzy kilometry długim hakiem... Niesamowite, co? W tym czasie należało zawrócić, podwinąć ogon pod siebie i uciekać w cholerę, zanim nastąpi wybuch. Ledwie mi się udało, ale zdążyłem. I jestem prawie pewien, że trafiłem.

- A co było pańskim celem? - zapytała Sandy.

Tony wzruszył ramionami i otworzył dwuskrzydłowe drzwi. Znaleźli się na parterze magazynu zastawionego regałami, wśród których uwijało się mrowie ludzi z wózkami pełnymi skrzyń i pudeł.

- Nic wielkiego: rezerwowe lotnisko radzieckie na północy Ukrainy; stało tam pewnie kilka starych maszyn z drugiej wojny, ale ktoś tam uznał, że to ważny obiekt. Bo wiecie, trzeba było wyznaczyć jak najwięcej celów. Macie pojęcie, ile głowic jądrowych mieliśmy w 1962 roku? Możecie strzelać. Nie? Na pewno ponad dwadzieścia tysięcy, a jak się ma dwadzieścia tysięcy głowic, trzeba gdzieś je wykorzystać. Strategów mieliśmy wtedy genialnych: kazali nam nawet bombardować pastwiska, nazywając je „lotniskami awaryjnymi”. To był prawdziwy obłąd.

- Przynajmniej przeżyłeś, Tony - zauważył Jurij. - Niewielu ludzi z twojego szwadronu miało tyle szczęścia.

- Czytałem trochę o radzieckim systemie obrony przeciwlotniczej - wtrącił Carl. - Musiało być ciężko.

Tony parsknął śmiechem.

- Nie widziałem ani kawałka systemu obronnego; wszystko poszło zgodnie z planem. Kłopot był tylko taki, że nasze maszyny nie miały dość paliwa na powrót do baz. To zresztą również uwzględniono w planach bojowych: po zrzuceniu bomb mieliśmy lecieć tak daleko na zachód, jak tylko się da, trzymając się z dala od dużych miast i instalacji wojskowych, a kiedy paliwo się skończyło, należało się katapultować i pieszo wracać do domu, stosując znane z przeszkolenia techniki ucieczki i maskowania.

Carl nie mógł wydobyć z siebie ani słowa; Sandy również milczała, Tony zaś ponownie się roześmiał.

- Wyglądacie, jakbyście zobaczyli ducha. Kilka razy niewiele brakowało, żebym został duchem. Przeżyłem katapultowanie - co samo w sobie zakrawało na cud

- i wylądowałem w lesie gdzieś w Polsce. Ruszyłem na zachód i tak szedłem i szedłem. Żarłem na okrągło ziemniaki, spałem w stogach siana; pozbyłem się munduru i zdobyłem cywilne ciuchy. Przeszedłem przez Polskę i wschodnie Niemcy i wydawało mi się, że to koniec, bo znalazłem się wreszcie na Zachodzie: pozostało mi wrócić do bazy i się odmeldować. Ale zanim tam dotarłem, baza zniknęła. W całości. Generał Curtis ściągnął wszystkich do domu, a w tamtych czasach bycie Amerykaninem - a zwłaszcza lotnikiem -nie oznaczało nic miłego. Przeszedłem więc jeszcze kawałek, trafiłem do Danii i załapałem się na statek towarowy, którym odsyłano do kraju innych Amerykanów. Miałem już długie włosy i brodę i udało mi się przekonać wszystkich, że jestem zwykłym bitnikiem, który zgubił paszport. Trafiłem do Maine, gdzie uznałem, że moja służba dobiegła końca: jakkolwiek by patrzeć, kilka miesięcy wędrowałem po tej Europie. Ruszyłem na południe, żeby odszukać żonę. - Tony zmarszczył brwi na to wspomnienie. - Można chyba powiedzieć, że wciąż jej szukam, ale znalazłem przez ten czas kogoś innego. - Uśmiechnął się, wskazując idącego obok Rosjanina. - Byłego komunistę, który rządził w Hoboken. Trudno w to uwierzyć, co?

- Trudno - przyznał Carl. - Pan... Był pan na pokładzie bombowca zestrzelonego nad New Jersey, tak?

Jurij skinął głową.

- Zgadza, się. Moja historia nie jest tak interesująca jak opowieść To-ny'ego. - Uśmiechnął się blado, gdy stanęli przed następnymi drzwiami. -Zawsze chciałem pojechać do Ameryki i zobaczyć ją na własne oczy. W szkole uczyłem się angielskiego, potem ćwiczyłem go z braćmi w Moskwie. Aż w 1962 roku mój sen się ziścił, choć niezupełnie tak, jak sobie wyobrażałem: przyleciałem do Stanów jako nawigator Tu-95. Rozumiecie? Nawigator, nie bombardier - powtórzył, otwierając drzwi, które tym razem prowadziły na dwór. - Tak samo jak mój przyjaciel Tony byłem młodym człowiekiem, który słuchał rozkazów. Mieliśmy zadanie do wykonania - i je wykonaliśmy. Nie zamierzam więcej o tym mówić. Żałuję, że tak się to skończyło, ale Tony pewnie też żałuje tego, co się stało w moim kraju. Kiedy zestrzelili nasz samolot nad New Jersey, zostałem oddzielony od reszty załogi, co, jak się później okazało, było prawdziwym błogosławieństwem.

Wyszli na zewnątrz i znaleźli się na szerokiej rampie ładunkowej. Jurij skrzywił się na wspomnienie przeszłości.

- Nasz drugi pilot był złym człowiekiem. Nazywał się Leonid i miał naturę

okrutnika, ale i tak nie zasłużył na taką śmierć, jaka go spotkała: powiesili go na drzewie. Wylądowałem na spadochronie w granicach strefy i kilka miesięcy przeżyłem dzięki wrodzonemu sprytowi, aż w końcu zacząłem organizować życie ludzi z najbliższych domów. Byli chorzy, głodni i nic ich nie obchodziło, skąd jestem. Liczyło się tylko to, że im pomagam.

- Jurij ma talent organizatora - wtrącił Tony. - Wyniesiony jeszcze z młodzieźówki komunistycznej, nie?

- Z Komsomołu, to prawda. Wszyscy musieliśmy do niego należeć. Jurij pociągnął jeszcze łyk herbaty. - Teraz nie ma już komunistów, są tylko ludzie, którzy przeżyli. Pomogłem jednemu takiemu człowiekowi, potem drugiemu; zaczęliśmy zdobywać jedzenie i leki, handlować z innymi domami i miastami. Kiedy zobaczyli mnie na własne oczy i zamieniliśmy kilka słów, przestali się bać mnie i mojego kraju. - Oczy mu się zaszkliły. - Mój kraj... Kiedyś tam wrócę. Choćbym był już bardzo stary, a tam nie został ani skrawek nadającej się do życia ziemi, wrócę. Wrócę do mojej Rosji.

Kwadrans później Carl pomógł Sandy wdrapać się na tył półciężarowego forda o rdzewiejących, poobijanych błotnikach. Przednia szyba była rozbita, a drzwi wgniecione i całe w rdzawych plamkach. Jurij zostawił ich z Tonym; stali we troje w cieniu starego magazynu z cegły, a mewy krążyły nad nimi w bladym brzasku przedświt. Na dwa inne samochody jacyś ludzie ładowali skrzynki i duże miękkie paczki. Tony podał im rękę na pożegnanie.

- Przepraszam, że nie możemy zaproponować wam lepszego środka transportu, ale to wszystko, co mamy. Ci ludzie mają dostarczyć towar za płot strefy i muszą się z tym uwinąć, zanim wstanie słońce i wojskowe patrole wyjdą na obchód. Zostawię was w miejscu dostawy. Najbliższy przystanek autobusowy jest w Morristown; to niedaleko stamtąd. Powinniście być w Filadelfii przed południem.

- Bardzo dziękujemy za pomoc - rzekł Carl. - Mielicie jakieś wieści od SPI 9?

- Ani słowa - skrzywił się Tony. - Mamy bezpośrednią linię telegraficzną, więc wiemy o obławie urządzonej przez Sekcję Z, ale od tego czasu odbiornik milczy.

- Biedni ludzie... - zmartwiła się Sandy.

- Chłopcy Jima są cwani i twardzi - pocieszył ją Tony. - Muszą być, żeby przeżyć na Manhattanie. Nic im nie będzie; za kilka godzin pewnie znów się odezwą.

Do auta podeszło dwóch młodych ludzi w skórzanych kurtkach, niebieskich dżinsach i ciężkich butach. Obaj mieli rudobrazowe włosy i kilkudniowy zarost, u boku zaś nosili rewolwery. Skinęli grzecznie głowami na powitanie. Carl nie mógł się oprzeć wrażeniu, że powinni żyć w innym miejscu i czasie - najlepiej przed stu laty w Dodge City.

- Oto Sam i Drew Cooperowie - przedstawił ich Tony. - Wasi kierowcy. Pochodzą z Wirginii, ale przyjechali do nas, bo w domu mieli kłopoty z urzędem skarbowym. Chodziło, zdaje się, o jakieś nielegalne gorzelnie, tak? Prawie od roku jeżdżą poza strefę i najlepiej znają okoliczne drogi i miasteczka. Dostarczycie ich na miejsce w jednym kawałku, prawda? - zwrócił się do Cooperów.

Bracia uśmiechnęli się równocześnie.

- A dostaniemy premie za transport żywego inwentarza? - zapytał jeden.

- Nie ma mowy - odparł również z uśmiechem Tony. - No, zbierajcie się. Macie ważny ładunek.

Cooperowie wsiedli do szoferki. Po kilku rżężących próbach silnik wreszcie zaskoczył i samochód prychnął gęstą chmurą dymu. Tony pomachał im na pożegnanie; Carl i Sandy odpowiedzieli mu tym samym.

Jechali wolno opustoszałymi ulicami na zachód. Carl odpiął od plecaka koc i przykrył nogi sobie i Sandy, ona zaś przysunęła się bliżej.

- Nic mnie nie obchodzi Ustawa o tajemnicy państwowej - stwierdziła. - I nic mnie nie obchodzi mój wydawca: muszę to wydrukować, Carl-Musimy zatrzymać spadochroniarzy.

Czyżby, pomyślał Carl, przypomniawszy sobie o radiu.

- Nawet jeśli ci się uda i opublikujesz ten materiał, co dalej? Wydadzą oficjalne dementi; jeśli twój rząd uzna, że tak mu będzie na rękę, wszystkiego się wyprze. Wiesz, jak tacy ludzie myślą, więc nie bądź naiwna.

- Nie lubię, jak się mnie nazywa naiwną - odparła ostro Sandy.

Nic nie odpowiedział, wodząc wzrokiem po wymarłym mieście. Mniej tu było porzuconych pojazdów niż na Manhattanie, co zresztą go nie dziwiło: z takiego miejsca łatwiej się wydostać niż z wyspy, na którą prowadzi garstka mostów i tuneli. Mijali zniszczone fabryki i magazyny, wyblakłe szyldy zakładów elektrycznych i chemicznych. Nieopodal przebiegło kilka psów; jeden z nich kuśtykał na trzech łapach.

- Musisz być dumny - zauważyła Sandy.

- Z czego?

- Z tego, co zrobili twoi rodacy, czego dokonali. Kiedy słuchałam generałów na odprawie, miałam wrażenie, że strefy zakazane są całkowicie martwe, że nikt nie odważyłby się w nich mieszkać. Okazało się jednak, że jest zupełnie inaczej, panie Landry. SZ-y tętnią życiem, a ich mieszkańcy ani myślą się poddać. Kiedy będzie po wszystkim, powinien pan o nich napisać w swojej książce, panie Landry. I o kłamstwach generałów.

Carl milczał, zacisnąwszy tylko pięści pod kocem. Samochód, kolebiąc się na wybojach, jechał wolno przed siebie. Niebo pojaśniało i do świtu brakowało dosłownie kilku minut. Patrzył przed siebie, ale zamiast pustych ulic widział żołnierzy w mundurach i maskach gazowych, tłumy cywilów walczących o każdy oddech, spędzanych do ciężarówek i autobusów, które miały ich wywieźć do obozów dekontaminacyjnych. Wyobraził sobie snajperów na dachach i ostrzeliwujących się mieszkańców - pierwsze strzały nowej wojny domowej. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony; nie miał już ochoty ani nikogo słuchać, ani z nikim rozmawiać.

- Nic nie mówisz - Sandy przerwała ciszę. -Ano nic.

- A dlaczego?

Samochód wpadł w dziurę w jezdni i oboje polecili na stos skrzyń.

- Dumny? Z czego niby mam być dumny? Owszem, to, co osiągnęli tutaj, w New Jersey i na Manhattanie, jak zdołali sobie poukładać życie, jest godne podziwu. Sęk w tym, że za kilka tygodni ludzie, którzy rządzą tym krajem, zgnotą ich na miazgę. A twoi rodacy im w tym pomogą.

- Nie dopuszczę do tego - zaperzyła się Sandy.

Radio. Carl wiedział, że powinien ją zapytać, po co je ma, ale bardziej martwił się tym, jakie jest jej prawdziwe zadanie. Mogłaby zaprzecić się wszystkiego, a na granicy strefy czekali by na nich ludzie z angielskiego wywiadu. * co wtedy? Jak miałby pomóc Jimowi, siedząc pod kluczem?

- Nadal nic nie mówisz - zauważyła Sandy, odgarniając włosy z twarzy. - Przedtem chyba mówiłeś coś, że powinniśmy im pomóc, a teraz nic, cisza. Poddajesz się?

- Jak ci się wydaje, co my tu robimy?! - wybuchnął nagle Carl, dając upust swojemu lękowi, frustracji i podejrzeniom wobec niej. - Przyjechaliśmy na wycieczkę zorganizowaną na twoją cześć? Żebyś miała o czym pisać? Że jesteś jak twoja babka

na safari w dziczy, wśród prymitywnych tubylców? Tu chodzi o prawdziwych ludzi, którzy przetrwali dziesięć lat na mizernym żarciu, bez leków i dachu nad głową! Nie siedzą tu dla twojej rozrywki ani po to, żeby „Times” mógł wydrukować triumfalną relację „naszej korespondentki”, która ich ocaliła.

Wjechali do dzielnicy willowej, gdzie zgrabne domki były od siebie pooddzielane schludnymi podwórczkami. Żywopłoty i krzewy ogrodowe - od lat nieprzycinane - niemal przesłoniły niektóre z nich; na podwórkach brunatna płatanina chwastów i samosiejek sięgały do pasa.

- To nieuczciwe - zachnęła się Sandy. - Nigdy tak nie mówiłam, ani razu. Dlaczego tak się wściekasz? Nie możesz mi zaufać? Uwierzyć, że zrobię to, jak należy?

- Zaufać! - Carl podniósł głos. - Coś ci powiem na temat zaufania, zaraz...

Wybuch przed ciężarówką oślepił go całkowicie. Jego świat obrócił się do góry nogami, a potem ogarnęła go ciemność.

Głowa pękała mu z bólu, plecy rwały jak szalone, a nogi... Boże, to dopiero był ból.

Słyszając jakieś głosy, otworzył oczy: świat był szaro-czarny i rozmazany. Zamrugał kilka razy.

- Carl? Carl, słyszysz mnie?

Sandy i jeden z braci Cooperów patrzyli na niego z niepokojem. Spróbował wstać, ale zdołał tylko wysapać „Cholera jasna!” i z powrotem upadł. Coś ciężkiego przygniotło mu nogi. Leżał na plecach w przydrożnym kanale burzowym; kamienie i patyki wrzynały mu się w plecy. Przed sobą miał przewróconą półciązarówkę z rozszarpanym przodem. Skrzynie i pakunki rozsypały się po jezdni, a ford przetoczył się na bok, sturlał do kanału i przygniół mu nogi.

- Ale bagno, Chryste Panie - wyszeptał Carl. - Co się stało?

- Wpadliśmy w zasadzkę! - wyjaśnił mu drżącym głosem któryś z braci. W ręce trzymał rewolwer. - Przed maską wybuchł nam ładunek i zmiotło nas z drogi. To na pewno bandyci; kręcą się gdzieś w pobliżu i zaraz tu będą!

Drugi z braci przyklęknął obok niego w kanałku. Jedną rękę przyciskał chusteczkę do zakrwawionej twarzy, w drugiej też trzymał broń.

- Drew, wynosimy się stąd, stary! Zaraz tu będą.

- Nie możemy go tak zostawić! - wrzasnęła Sandy. - Panienko... - odezwał się Drew Cooper, pomagając jej wygramolić się na brzeg. - Zaraz czegoś poszukamy, żeby ściągnąć z niego samochód! Linę albo lewarek, coś się znajdzie!

Drew z Sandy pobiegli przed siebie, a Sam uklęknął przy Carlu; krew ściekała mu po ręce. Carl odetchnął głęboko, próbując się zorientować, czy poza nogami i plecami coś jeszcze go boli, ale nie mógł się skupić.

- Nogi masz złamane? - spytał Sam.

- Nie wiem - odparł z wysiłkiem Carl. - W każdym razie nie mogę ich ruszyć.

- To fakt.

- A ty? Co ci się stało w twarz?

- Kiedy wybuchło, wyrznąłem głową w kierownicę. Chyba złamałem nos.

Sandy krzyczała na Drew, żeby wrócił i pomógł im ściągnąć samochód na bok. Sam westchnął ciężko.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie damy rady ruszyć wozu; musielibyśmy mieć dźwig albo chociaż kilka koni. A bandyci...

Carl skinął głową i aż zgrzytnął z bólu zębami.

- Znam ich; zaraz tu będą. Zabierzcie Sandy i wyprowadźcie ją stąd bezpiecznie. Jest angielską dziennikarką, obywatelką brytyjską. Zaprowadźcie ją do Morristown, a na pewno wam to wynagrodzę.

Sam odkasznął i splunął krwią.

- Mocne słowa, ale nie mogę się z panem sprzeczać. Kombinuje pan całkiem do rzeczy, chociaż przykro mi to mówić. - Odwrócił się i krzyknął: - Drew! Hej, Drew, wracaj tu!

Drew zjechał na butach po stromym brzegu. Sandy deptała mu po piętach. Twarz miała zaciętą, a włosy w nieładzie. Kiedy Carl spróbował się poruszyć, ale znów tylko bezsilnie zazgrzytał zębami, kucnęła przy nim. Wziął ją za rękę.

- Carl... Musi być przecież jakiś sposób... - Sandy, proszę...

- Nie, nie! Na pewno...

- Zamknij się, do ciężkiej cholery!

Nie podobał mu się wyraz jej twarzy w tej chwili - Sandy była zaszokowana, że ktoś może na nią krzyczeć.

Drew i Sam stali obok, niemal przestępując z nogi na nogę z zakłopotania, że muszą być świadkami tej sceny. Carl wziął głęboki oddech i uściśnął mocno dłoń Sandy.

- Nie ma czasu. Rozumiesz, Sandy? Nie ma czasu.

Zagryzła wargę i spuściła oczy; po policzkach stoczyły się jej łzy. Carl mówił dalej, starając się zapomnieć o ciężarze przygniatającym mu nogi i cięższym jeszcze brzemieniu, które wziął na swoje barki. A teraz musiał jeszcze zmagać się ze swoim uczuciem do kobiety, którą zaczynał kochać, a której nawet nie mógł zaufać.

- Musisz iść. Ci goście zabiorą cię za płot i zaprowadzą do Morristown. Kiedy znajdziesz się w bezpiecznym miejscu - na przykład na przystanku autobusowym - zadzwoń na najbliższy posterunek wojskowy. Powiedz im, że tu jestem, to wyślą ekipę ratunkową. Na pewno tak zrobią; powiedz im, że jestem sierżantem w czynnej służbie, a oni wszystkim się zajmą.

- Ale to potrwa kilka godzin! - zaprotestowała z płaczem Sandy. Jeszcze raz uściśnął jej dłoń, chcąc dodać jej odwagi.

- Im więcej czasu tu stracisz, tym dłużej to potrwa. Gdzie mój plecak? Nie

mogąc dłużej znieść beczynności, Drew wystąpił naprzód i podał

mu plecak. Carl wyjął zeń aparat i naświetlone filmy. Dał je Sandy.

- To też ci będzie potrzebne. A teraz już idź. Nic mi nie będzie.

- On ma rację, proszę pani - odezwał się Sam. - Pani to rozumie, prawda?

Musimy iść.

Carl jeszcze raz sięgnął do plecaka w poszukiwaniu znajomego kształtu. Wyjął pistolet i oparł go o pierś.

- Nic mi nie będzie. Idź już, Sandy, dobrze? To nie miejsce dla ciebie. Sandy odgarnęła włosy za uszy.

- Boże, Carl... - wyszeptła. - Chyba się w tobie zakochałam. Pocałowała go delikatnie w usta, na co on uniósł lekko głowę, by chociaż w ten sposób odwzajemnić pocałunek. Przez moment myślał jeszcze o tym, by zapytać ją o ukryte radio, ale dał sobie spokój. Nie mieli na to czasu.

- A ja w tobie, Sandy - odparł. - No już, proszę.

- Savoy, pamiętasz?

- Pamiętam. I Harrods. Idź już.

Bracia łagodnie ujęli ją pod ramiona, nie tylko po to, by pomóc jej wydostać się z kanału, ale i po to, by wreszcie oderwać ją od Carla i ruszyć w drogę. Carl odprowadził ich wzrokiem, gdy wspinali się na stromy, porośnięty trawą brzeg. Kiedy stanęli na szczycie, Sandy chciała jeszcze raz rzucić okiem za siebie, ale bracia pociągnęli ją za sobą i w kilka chwil cała trójka zniknęła Carlowi z oczu.

Mimo że słońce już wzeszło, poranny chłód ustępował niechętnie. Trochę wysiłku kosztowało Carla odczepienie koca od plecaka, ale kiedy wreszcie mu się udało, przykrył się nim od pasa w górę. Co jakiś czas próbował też poruszyć nogami, ale za każdym razem wywoływało to grymas bólu na jego twarzy. Próbował drzeć paznokciami ziemię, żeby zrobić więcej miejsca dla nóg, ale grunt był w tym miejscu przemarznięty i twardy, więc tylko zdarł sobie opuszki palców do krwi. Położył się na plecach, dysząc ciężko. Wyjął pistolet spod koca i położył go w zasięgu ręki.

Więc to tak. Czuł złość, strach i smutek, wracając myślą do Jima Rowleya i jego ludzi z SP 19, którzy kryli się w tunelach i modlili, żeby Carl Landry przyszedł im na ratunek. Przykro mi, Jim, pomyślał. Dziesięć lat temu zaufaliście dorosłym - i zobacz, co się stało. Minęło dziesięć lat, znowu zaufałeś dorosłemu, a on leży tu wystawiony na strzał, niezdolny pomóc ani tobie, ani żadnemu innemu wolnemu

człowiekowi w tym kraju.

Następny spazm bólu przebiegł mu po nogach w górę, do łądźwi. Zamknął oczy, wyobrażając sobie, co w tym czasie dzieje się w innych miejscach: plany są o krok od realizacji, obozy prawie gotowe, a angielscy żołnierze ćwiczą niezmordowanie, jak zapanować nad cywilną populacją. Za kilka tygodni będzie po wszystkim: Rockefeller zostanie prezydentem, Anglicy zrobią anszlus i stolicą Stanów stanie się Londyn, a nie Filadelfia.

Przyszedł mu na myśl George Dooley, stary dobry George z „Globe” -zły, że co cztery lata ludzie wybierają dyktatora, aż wreszcie nadejdzie czas, kiedy zapomną, że może być inaczej, zapomną o świecie bez stanu wojennego, obozów dekontaminacyjnych i cenzury. Niedługo zapomną też, że ten kraj był kiedyś niepodległy. Jak powiedział brat Caza - to zwycięzcy piszą podręczniki do historii; wkrótce nikt nie będzie pamiętał słów martwego prezydenta kraju, który dla tylu ludzi był drogowskazem do wolności.

Istniała jeszcze szansa, że uda się powstrzymać to nieuchronne, zdawałoby się, staczenie się w mrok, ale i ona przed chwilą została zaprzepaszczone.

Co za szkoda, myślał Carl, starając się leżeć nieruchomo i ignorować ucisk na nogi. Zastanawiał się czasem, będąc w wojsku - zwłaszcza w Wietnamie i w Kalifornii - czy dzień, który właśnie się zaczął, będzie ostatnim dniem jego życia; czy tego właśnie dnia z wirnika śmigłowca wyskoczy boleć i maszyna roztrzaska się o jakieś poletko ryżowe; czy jakiś sympatyk Wietkongu nie wrzuci akurat granatu do ich knajpki w Sajgonie; czy snajper farmerskiej milicji w hrabstwie San Diego nie przestrzeli mu czaszki na patrolu.

Nigdy jednak nie podejrzewał, że ostami dzień zostanie go w New Jersey. Zaśmiał się cicho, sam do siebie.

Poruszył się, próbując znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję, ale szybko doszedł do wniosku, że coś takiego jak „wygodniejsza pozycja” nie istnieje. Dla zabicia czasu zaczął dumać, jak długo leży przygnieciony samochodem, ile upłynęło minut, a może godzin, i gdzie teraz znajduje się Sandy. Jeśli wszystko poszło dobrze, powinna już znaleźć się w Morristown, skąd miała dzwonić na posterunek. Jak zareagują wojskowi na anonimową informację o rannym sierżancie w strefie zakazanej? Czy natychmiast zorganizują akcję ratunkową i na pustej ulicy zjawi się opancerzony transporter i para dziupłów?

Czy raczej facet, który odbierze telefon, zapisze zgłoszenie w notesie, przekaze

je dalej, aż w końcu - dziś albo dopiero jutro - ktoś tam poprosi patrol o sprawdzenie tego sygnału.

Czas. Ciekaw był, która jest godzina, bo jego zegarek się zatrzymał.

Ale brał też pod uwagę inny rozwój wydarzeń i na samą myśl o nim przebiegał go dreszcz: Sandy idzie do automatu telefonicznego, ale nie dzwoni po pomoc, tylko do ambasady. Zresztą, może skontaktuje się z nimi przez radio... Zamelduje, że angielski plan ściągnięcia wojska do tłumienia buntu cywilów został rozszyfrowany i w ten sposób przyspieszy rozpoczęcie operacji.

A potem odwiesi słuchawkę - albo wyłączy radio - i postara się zapomnieć o Carlu Landrym, który wolniutko umiera sobie przygnieciony samochodem w SZ-ecie New Jersey.

Dostrzegł jakieś poruszenie na brzegu kanału. Wyjął pistolet z kabury. Nad skrajem kanału mignęła mu głowa, potem druga: dwa wychudzone psy przyglądały mu się, powarkując.

- Jazda stąd! - Odłożył pistolet i cisnął w psy kamieniem. - Jeszcze nie pora na was!

Psy odbiegły. Czas. Wszystkie jego rozważania o Sandy wydostającej się ze strefy i dzwoniącej po pomoc opierały się na jednym założeniu: że nie napotkała po drodze żadnych kłopotów. Że bracia wyprowadzili ją za płot, zamiast wrócić prosto do Hoboken albo dać się powiesić gdzieś na płocie. Poza tym gdyby jednak zadzwoniła do ambasady...

Głosy.

Gdzieś przy drodze rozbrzmiewały głosy ludzi i warkot silnika samochodu. Carl chwycił pistolet i schował go pod koc, na piersi. Na krawędzi kanału pojawiło się dwóch ludzi, po chwili dołączył do nich trzeci. Wybuchnęli śmiechem i Carl nagle poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

Najwyższy z mężczyzn chyba dowodził niewielką grupką. Zjechał po brzegu kanału na dno, jakby pokonywał przeszkodę na torze w wesołym miasteczku. Miał czarne dzinsy, bury do kolan i obszerny kowbojski płaszcz. Na biodrach nisko zawieszony nosił dwa kołty w olstrach jak z westernu, ciemne włosy miał ściągnięte w kucyk, a kocią bródkę równo przystrzyżoną. Z oczu przypominał wariata, który z upodobaniem kolekcjonuje świeże kości zwierząt.

- Patrzenie, przyjaciele: dzisiaj chyba coś się złapało w nasze sidła, prawda? - powiedział. Podeszedł bliżej, poszturchując skrzynie i paczki. Jego towarzysze byli

niżsi i bardziej niechlujnie odziani; mieli połatane płaszcze i skołtunione brody. Obaj nosili rękawiczki z obciętymi palcami, a przez plecy mieli przewieszane karabiny. Słyszac żart szefa, roześmiali się, choć bez przekonania. Najwyższy przykucnął obok Carla i potarł z namysłem podbródek.

- Pewnie, słyszeliśmy wybuch, ale byliśmy zajęci... gdzie indziej, więc nie mogliśmy tu wcześniej przyjść. Przykro mi.

- No... - odchrząknął Carl. - Możecie to jeszcze nadrobić, ściągając mi z nóg ten cholerny samochód.

Na to wszyscy trzej się roześmiali, a herszt wstał i rzekł:

- Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę. Widzisz... - Dla podkreślenia swych słów rozłożył szeroko ręce. - Tak się składa, że to nasz plac zabaw, na którym robimy, co się nam żywnie podoba. A podoba nam się na przykład nie okazywać litości. Kapujesz? Tu nam wszystko wolno i nikt nie może nas powstrzymać. Długo mógłbym ci o tym opowiadać. - Cofnął się o krok i odgarnął połę płaszcza, sięgając po broń. - Ale mam nadzieję, że mnie zrozumiesz: nie mam czasu na słuchanie twojej opowieści.

Carl śledził wzrokiem jego rękę.

- Jasne, rozumiem - powiedział i nie wyjmując pistoletu spod koca, strzelił mężczyźnie prosto w pierś. Ten padł na wznak z wytrzeszczonymi oczyma i ustami otwartymi jak do krzyku, w okrągłe „O”. Carl odrzucił koc i strzelił jeszcze raz, celując w uciekających po skarpie kanału kompanów zabitego. Broń szarpnęła mu się w dłoni, ale ze zmęczenia nie mógł należycie się przymierzyć do strzału i chybił. Intruzi zniknęli za krawędzią kanału.

Carl spojrział na leżącego obok bandytę. Wiatr poruszał klapami jego płaszcza.

- Tak to jest, jak się za dużo gada, palancie - mruknął.

Rozejrzał się, nie wypuszczając pistoletu z ręki i szukając wzrokiem dwójki uciekinierów, którzy mogliby chcieć się zemścić. Nie mógłby mieć do nich o to pretensji. Jeszcze raz spojrział na martwego mężczyznę i zaczął się zastanawiać, który z nich dwóch faktycznie jest palantem. Niech to szlag! Nie było to mądre posunięcie, o nie. Nie miał poczucia winy z powodu tego, co musiał zrobić - zbyt wiele innych odczuć walczyło o palmę pierwszeństwa: wyschnięte usta, pusty żołądek, pełny pęcherz i nasilające się pulsowanie bólu w nogach - ale czuł się jak idiota.

- Tu durniu - zbeształ się szeptem, nie przestając oglądać się na boki. Nie musiał przecież go od razu zabijać; mógł zagadać, wyperswadować mu niewłaściwe

zamiary, przekupić jego i jego kudłatyh koleśiów, żeby ściągnęli mu samochód z kulasów - nawet pewnie nie musiałby się bardzo starać - ale nie: musiał zaszarżować i strzelać. Bez pomysłu.

Cholera jasna! Czy na tym właśnie polega przekleństwo wszystkich Amerykanów, że od razu sięgają po broń - kij, pistolet albo latającą fortecę z bombami? Zamknął oczy. Zrobiło mu się słabo.

Huk wystrzału i świst przelatującego mu tuż obok ucha rykoszetu obudziły jego czujność. Odruchowo strzelił dwa razy, celując w skraj kanału. Odpowiedział mu śmiech.

- Ty, dupku! Zaczynj liczyć uderzenia serca, bo niewiele już ich ci zostało!

Carl zamrugał - raz, drugi, ale nic nie pomagało: obraz wciąż był rozmazany. Miał wrażenie, że grunt, na którym leży, zaczyna się obracać, z początku wolno, ale z każdą chwilą coraz szybciej. Horyzont przekrzywił się niebezpiecznie. Czy to naprawdę koniec? Strzelił jeszcze raz i jeszcze. Rozległ się donośny grzmot i kanonada strzałów. Zamknął oczy i postanowił siłą woli zmusić własne ciało, by przestało wirować.

I nawet miał przez chwilę wrażenie, że mu się udało.

Z ciemności dobiegały głosy. Potem z ulgą poczuł, jak ktoś zdejmuje ciężar z jego nóg, a jeszcze chwilę później ze zdwojoną siłą wróciło mu w nich krążenie i czucie. Otworzył z wysiłkiem oczy i ujrzał pochylające się nad nim olbrzymie owady. Miały zielone mundury i ogromne pękate głowy. Jeden z nich wyciągnął w jego stronę czarny szpon i ostrożnie dotknął jego ust. Carl przełknął odrobinę wody i zamrugał. Dopiero znajomy zapach pozwolił mu ogarnąć sytuację - woń starego płótna, paliwa do samolotów i odór potu ludzi latających wielkim, pięknym helikopterem, który też był zielony.

Carl zamknął powieki.

Obudził się w łóżku otulony czystą, wykrochmaloną pościelą. Odkasznął i przetarł oczy; powieki miał ciężkie od snu i lepkie od brudu. Ostrożnie poruszył nogami, czując, jak koc ociera mu się o skórę, a potem usiadł i odrzucił go na bok: nogi były na swoim miejscu, obandażowane i fioletowo-zielone od sińców, ale były. Zsunął je z łóżka i niepewnie stanął. Zaburczało mu w brzuchu; chciało mu się pić, nie miał pojęcia, gdzie jest, ale przede wszystkim chciał się upewnić, że ma nogi. Spojrzał

w dół: nie zniknęły.

Miał na sobie własne szorty; reszta ubrania leżała porządnie złożona na krześle obok łóżka. Pokój, w którym się znajdował, był całkiem spory. Na podłodze leżał dywan, ściany zdobiła tapeta i obrazek przedstawiający łąkę z kilkoma drzewami z brzegu. Oprócz łóżka stało w nim obszerne biurko, a na nocnym stoliku telefon. Carl podniósł słuchawkę, ale odpowiedziała mu cisza. Podeszedł do drzwi: zamknięte na klucz. W przeciwległej ścianie znajdowało się okno i jeszcze jedne drzwi, tym razem otwarte - za nimi znalazł łazienkę z prysznicem i WC. Nie mógł otworzyć okna; widział tylko, że jest na parterze jakiegoś budynku i że na dworze świeci słońce. Przed nim rozciągał się ogrodzony białym płotem trawnik. Otoczenie przypominało mu wiejski dom gdzieś na północnym wschodzie, może na obrzeżach stanu Nowy Jork. Wojskowy śmigłowiec z rykiem silników wzbił się ponad domem i zwiększając pułap, skierował się nad odległy las.

Wyglądało na to, że wojskowi wreszcie go znaleźli, za co właściwie był im wdzięczny.

Do czasu, aż przypomniał sobie głuchy telefon i zamknięte drzwi.

Spędził pod prysznicem blisko pół godziny, nie bardzo mogąc przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz się kąpał - chyba w hotelu na Manhattanie, rankiem przed wyjazdem na wycieczkę, która zakończyła się katastrofą. Cudownie było czuć na skórze gorącą wodę i mydło, zmywając kilkudniowy kurz i brud. Musiał tylko bardzo uważać na nogi. Po wytarciu się ręcznikiem wreszcie się ogolił, z zadowoleniem pozbywając się sztywnej szczeciny z twarzy.

Wróciwszy do sypialni, zdziwił się na widok hotelowego wózka zjedzeniem. Podnosząc kolejno metalowe klosze znad talerzy, odkrył jajecznicę, tosty, naleśniki, kielbasę i bekon; obok stała szklanka soku pomarańczowego i dzbanuszek z kawą. Przeszło mu przez głowę, by unieść się honorem i darować sobie posiłek. Albo dać się ponieść paranoi i też darować sobie posiłek.

Wybrał najrozsądniejsze wyjście - czyli usiadł i wymiótł talerze do czysta; był tak głodny, że nawet nie ubrał się do jedzenia. Jedząc, rozglądał się czujnie po pokoju, szukając śladów, które świadczyłyby o tym, że cały czas jest pod obserwacją.

Kiedy już zjadł i się ubrał, jeszcze raz podniósł słuchawkę telefonu: cisza. Sprawdzał drzwi: zamknięte. Podeszedł do okna: nie do otwarcia. Uczciwy układ. Wrócił do łóżka, zrzucił z niego pościel i materac i obejrzał ramę: nie była zbyt

solidnie ześrubowana, toteż kilkoma kopniakami zdołał wyłamać z niej boczny fragment: ciężki, dwumetrowy kawał metalu. Idealny.

Jeszcze raz stanął przy oknie i rozsunął zasłony. Cofnął się pod ścianę, mierząc odległość krokami i starając się oszacować, jak długi rozbieg wziąć, żeby z całej siły grzmotnąć kawałkiem łóżka w szybę. Ujął mocniej stalowy element, zrobił kilka głębszych wdechów i...

Drzwi się otworzyły.

- Sierzancie Landry - rozległ się męski głos. - Proszę to odłożyć.

Carl odwrócił się, nie wypuszczając żelastwa z rąk. W progu stał młody uśmiechnięty chłopak w stroju lotnika: miał okulary, granatowe spodnie i niebieski sweter. Jedną ręką przytrzymał otwarte drzwi. Carlowi przypomniał się chłopak spotkany przy Płocie, który niedługo miał kończyć służbę: był mniej więcej w wieku tego lotnika, ale na tym podobieństwo się kończyło. Tamten dzieciak miał zmęczone oczy kogoś, kto od dawna obcuje ze zmarłymi; oczy tego młodzika zdradzały, że ma wygodną służbę - i cieszy się z tego.

Carl nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Odłożę, jeśli mi pan powie, kim pan jest. I co to za miejsce.

- Starszy szeregowy Taft, panie sierzancie...

- Panie Landry - poprawił go ostro Carl. - Odsłużyłem już swoje. Teraz jestem dziennikarzem „Boston Globe”, a chwilowo pracuję na zlecenie londyńskiego „Timesa”. Chcę wiedzieć, gdzie jestem i dlaczego mnie uwięziono.

- Zacznę od ostatniego pytania, panie Landry - odparł szeregowy Taft, nie przestając się uśmiechać. - Nie jest pan więźniem. Uznano, że dla wszystkich zainteresowanych będzie łatwiej, jeśli do czasu umówionego spotkania pozostanie pan w tym pokoju. A jeśli chodzi o pierwsze pytanie: wkrótce wszystkiego się pan dowie.

Carl cisnął żelastwo na podłogę ciekaw reakcji Tafta i z zadowoleniem odnotował, że chłopak podskoczył odruchowo.

- Spotkanie... - powtórzył. - Nie wiedziałem, że mam się z kimś spotkać.

-Ależ naturalnie. - Taft otworzył drzwi szerzej. - Proszę ze mną. Zaprowadzę pana.

- A jeśli nie zechcę z panem pójść?

Ani śladu wahania, nawet mrugnienia okiem.

- Jest pan teraz dziennikarzem, prawda? Jestem pewien, że zawodowa ciekawość zwycięży. Proszę, panie Landry.

- Oczywiście. - Tym razem Carl się uśmiechnął. - Czemu nie? Podejrzewał, że

znalazł się w jakiejś bazie wojskowej - lotnictwa albo wojsk lądowych - i spodziewał się ujrzeć wyłożony kafelkami przestronny korytarz z licznymi drzwiami prowadzącymi do biur. Tymczasem sam korytarz był raczej wąski, a ściany oklejone tapetą i obite boazerią niczym w luksusowo wyposażonej wiejskiej rezydencji. Pod ścianą stały zabytkowe fotele i stoliki, nad nimi zawieszono kilka ze smakiem dobranych obrazów. Wnętrze było zaciszne i przytulne i Carl dziwił się, że taki azyl może w ogóle istnieć w czasach, gdy racjonuje się benzynę, a żywność sprzedaje na kartki. Ale właściwie czemu nie? Ten tydzień zapowiadał się na rekordowy pod względem poznanych sekretów.

- Niekiepskie macie tu więzienie - zauważył głośno.

- Służba nie jest taka zła, jak się już człowiek przyzwyczai. A i najedzenie, jak sam pan zapewne zauważył, narzekać nie można.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Tylko kilka godzin. Uratowaliśmy pana dziś rano.

Doszli do końca korytarza i znajdującej się tam windy. Szeregowy Taft wyjętym z kieszeni kluczem otworzył drzwi i razem weszli do kabiny. Taft zasunął metalową kratę. Innym kluczem uruchomił windę i wjechali dwa piętra wyżej. Drzwi otworzyły się i wyszli na kolejny korytarz, bliźniaczo podobny do poprzedniego.

- Podoba mi się ta wycieczka - przyznał Carl. - Ale niczego mi nie wyjaśnia. Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami.

- Jeszcze minutkę, a sam się pan przekona. - Taft zastukał dwukrotnie w drzwi, uchylił je lekko i dał Carlowi znak ręką. - Proszę, niech pan wejdzie.

- Coś mi się wydaje, szeregowy, że ktoś już podjął za mnie decyzję, czy udać się na spotkanie.

Carl przeszedł przez próg i znalazł się w staroświeckim gabinecie czy bibliotece. Całe dwie ściany były zajęte regałami z książkami, trzecią zaś pokrywały oprawione w ramki zdjęcia i dyplomy. Pośrodku pokoju stało olbrzymie biurko, a w rogu, całkiem blisko biurka, ogromny globus. W małym kominku trzaskał ogień. Obok stały obite skórą sofy i fotele oraz kuchenny blat ze zlewem. W głębi znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Sięgające na całą wysokość pomieszczenia okno przy biurku wychodziło na łąkę, którą Carl widział od siebie z pokoju.

Nie mógł oderwać oczu od mężczyzny, który wstał zza biurka i ruszył w jego stronę. Miał na sobie biały golf, spodnie koloru khaki i brązowe mokasyny. Palił cygaro. Czarne włosy i równie czarne krzaczaste brwi przyprószyła mu już siwizna.

Carl odetchnął; głęboko. Tego człowieka widział kilka dni temu w Bostonie. W telewizji.

Stał przed nim Ramsey Taran Curtis, emerytowany generał wojsk powietrznych.

Podał mu rękę.

- Pan Landry, tak?

Carl uścisnął podaną dłoń.

- Tak jest, panie generale.

- Proszę, niech pan siada. - Generał gestem wskazał mu fotel. - Mamy sobie sporo do powiedzenia.

Carl skinął głową. -Chyba tak.

Generał wrócił za biurko. - Witam w Pensylwanii. Oto moja rezydencja i zarazem ostami posterunek żołnierza. Jak nogi?

- W porządku. - Carl nie odrywał od niego wzroku. - Bardzo bołą, ale chyba powinienem się cieszyć, że jeszcze je mam.

Generał Curtis skinął głową.

- Powinien się pan cieszyć, że kiedy moi chłopcy pana znaleźli, miał pan jeszcze całą głowę. Przy drodze zastali dwóch bandytów, którzy strzelali do pana jak do kaczki. Podobno jednego załatwił pan osobiście. Dobra robota.

- Żadna tam robota, po prostu nie miałem wyjścia.

Generał strząsnął popiół do wielkiej kryształowej popielniczki.

- Pewnie zastanawia się pan, czemu pan tu trafił i dlaczego tak pana pilnujemy: zamknięte drzwi, głuchy telefon, takie tam bzdety... Nie myślę się, prawda?

- Nie myli się pan, generale.

Wskutek nadmiaru wrażeń Carl miał kłopoty z zachowaniem koncentracji: oto siedział przed nim okryty złą sławą generał Ramsey Curtis, dawny szef Dowództwa Strategicznego Wojsk Lotniczych i dowódca armii, która zgładziła miliony ludzi. A zarazem ten sam generał Curtis okrył się chwałą, pomagając zakończyć wojnę kubańską, zanim nadmiernie się rozprzestrzeniła, a potem wspierając kraj w pierwszych latach odbudowy. Jeden człowiek, dwa życiorysy. I znacznie więcej sprzeczności.

Generał Curtis, który popierał Nelsona Rockefellera w zbliżających się wyborach. I który z pewnością wiedział o zamiarze sprowadzenia brytyjskich spadochroniarzy, którzy mieliby wyczyścić SZ-y. I który w tej chwili całą swą uwagę poświęcił Carlowi Landry'emu. Carl wiedział już, jak czuje się małe polne myszka, gdy pada na nią cień pikującego jastrzębia.

- Przede wszystkim to standardowa procedura - wyjaśnił generał. - Musiał pan mieć chwilę, żeby doprowadzić się do porządku, umyć i zjeść, żebyśmy mogli spokojnie przejść do ważniejszych spraw. Po drugie - jest pan dla nas cennym człowiekiem, sierżancie Landry. Nadzwyczaj cennym.

Carl z wysiłkiem przełknął ślinę; gardło wyschło mu na wiór.

- Obawiam się, że nie rozumiem, panie generale. Curtis skinął głową.

- Za sprawą Merla Sawsona jeszcze w Bostonie wpadł pan w tarapaty, czy tak?

- Nie wiem, czy „tarapaty” to najlepsze słowo...

- Ale ja wiem. - Generał znów otrzepał cygaro nad popielniczką. - Wtykał pan nos w nie swoje sprawy; nie posłuchał pan swojego szefa w gazecie i redaktora nadzorczego. Został pan zawieszony. Jakby tych tarapatów było za mało, wybrał się pan na Manhattan i o mały włos nie zginął, wciągając w to dodatkowo obywatelkę angielską. Że nie wspomnę o tragicznie zmarłym młodym oficerze. A wszystko przez to, że nie chciał pan zrezygnować ze śledztwa w sprawie Merla Sawsona. Coś panu powiem: gdyby zachowywał się pan w ten sposób, służąc w Dowództwie Strategicznym Wojsk Lotniczych, zostałby pan przeniesiony do obsługi radarów w Point Barrow -i to tak szybko, że krew pociekłaby panu z uszu.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego zginął. - Carl starał się zachować obojętny ton głosu.

Generał wydmuchnął kłęb dymu.

- Mój Boże, sierzancie! A nie wydaje się panu, że i my chcemy się tego dowiedzieć?

Carl poczuł, że głowa zaczyna mu tętnić bólem.

- Nie chciałbym pana urazić, generale, ale kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”?

Curtis uśmiechnął się lekko.

- Od ponad roku jestem na emeryturze i nie sprawuję funkcji szefa połączonych sztabów. Zaglądam jednak czasem do sztabu, by zorientować się w sytuacji i ewentualnie coś doradzić; zazwyczaj moje rady są przyjmowane bez zastrzeżeń - ku przerażeniu dziennikarzy, jak mi wiadomo. W każdym razie to jest właśnie powód, dla którego odruchowo używam formy „my” w rozmowie: my, członkowie społeczności wojskowo-wywiadowczej, chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o panu i o Merlu Sawsonie.

- Jak to, panie generale? - Łomot w głowie Carla jeszcze się nasilił.

- Dobrze pan słyszał: o Merlu Sawsonie. My również jesteśmy ciekawi, co działo się z nim w Bostonie i jaki to miało związek z Manhattanem. - Miotając złowrogie błyski z oczu, generał pochylił się i oparł łokciami o biurko. - Do cholery, człowieku! Major Devane z „Globe” próbował ratować pański tyłek, zabierając panu tę sprawę. A potem wybrał się pan na Manhattan, gdzie ci sami ludzie, którzy zabili nieszczęsnego

pułkownika Sawsona, omal nie odstrzelili panu tyłka. Major Devane pojechał tam za panem, żeby pana szukać.

Carl milczał, wbijając niewzruszone spojrzenie w generała. Zdawał sobie sprawę, że od poprawności udzielonych Curtisowi odpowiedzi zależą jego dalsze losy.

- Pewnie nie to pan sobie pomyślał, sierżancie, co? Wydawało się panu, iż pułkownik Sawson zginął z ręki przedstawiciela tak zwanych mrocznych sił w naszym rządzie, tych samych sił, które ściagały pana na wyspie. Tych samych, przeciw którym rzekomo opowiada się ten dureń McGovern. Mam rację?

- Na Manhattanie, po tym, jak ostrzelał nas snajper... - zaczął cicho Carl. - Jeszcze raz zastawiono na nas pułapkę. Tym razem byli to ludzie z Sekcji Z.

- Jest pan inteligentny, młody człowieku. Proszę się w takim razie zastanowić: ile czasu zajęłoby panu zdobycie mundurów na czarnym rynku? Dzień? Dwa dni?

- Najwyżej.

- No właśnie. A gdyby był pan na żołdzie pewnych zagranicznych morderców, zapewne jeszcze krócej.

- Chce pan powiedzieć, że za śmierć pułkownika Sawsona i strzały na Manhattanie są odpowiedzialni agenci zagranicznych struktur wywiadowczych? Po co mieliby to robić?

Kolejny ruch nad popielniczką.

- Obawiam się, że jeśli zdradzę panu ten sekret, sierżancie, będzie pan musiał wrócić do służby. To ściśle tajne. Muszę chyba jednak dopuścić pana do tajemnicy, chociażby ze względu na to, co już pan wie. Będę się czuł swobodniej, jeśli zgodzi się pan powrócić do służby; na jakiś czas oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył Carl ciekaw, czy generał wychwyci sarkastyczną nutę w jego głosie.

Najwidoczniej nie wychwycił.

- Świetnie. - Ruchem ręki Curtis strząsnął drobinę popiołu z nieskazitelnego blatu biurka. - Co pan wie o pułkowniku Sawsonie?

Carl wzruszył ramionami.

- Mieszkał sam, był emerytowanym żołnierzem, a za czasów Kenne-dy'ego pracował w Białym Domu.

- Czy słyszał pan o tym, że mógł posiadać pewne... pewne bezcenne dokumenty?

- Nie, panie generale - skłamał gładko Carl. Jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu zachować wzmożoną czujność. Rozmawia przecież z człowiekiem, który walczył w drugiej wojnie światowej, potem w Korei, a później doszedł do wniosku, że w pojedynkę wygrał wojnę atomową i ocalił swój kraj. A przy okazji cały świat.

- Tak właśnie było i przez to zginął. Przede wszystkim proszę zapamiętać, że pułkownik Sawson wcale nie był na stałe przydzielony do personelu Białego Domu. Przebywał tam jedynie tymczasowo, gdyż jego obowiązki w Waszyngtonie obejmowały znacznie szerszy zakres działań. Te właśnie obowiązki przyczyniły się teraz do jego śmierci. Uważamy, że to dlatego na Manhattanie groziła panu śmierć. Nasi przeciwnicy doszli do wniosku, że albo zna pan dokumenty Sawsona, albo przynajmniej wie pan, gdzie zostały ukryte.

- Przeciwnicy? Jacy przeciwnicy? Francuzi? Japonia?

- I Niemcy. - Tym słowom towarzyszyło śmiertelnie poważne skinienie głowy.

- A także część naszych tak zwanych przyjaciół w Wielkiej Brytanii. Lubią mówić o sobie „Pierwszy Świat”, prawda? Niegdyś potężny Związek Radziecki zmienił się w jeden wielki obóz dla uchodźców, a nie mniej potężne Stany Zjednoczone z trudem da się dziś zaliczyć do krajów Drugiego Świata. Oni chcą, żeby tak zostało, i to jak najdłużej. Dokumenty, którymi dysponował pułkownik Sawson, pomogłyby nam odzyskać należne miejsce wśród narodów świata.

- Co to były za dokumenty?

Generał rozparł się wygodnie w fotelu, celując w Carla cygarem jak pistoletem.

- Zanim odpowiem na pańskie pytanie, proszę mnie wysłuchać, dobrze? A mam inne wyjście? - pomyślał Carl.

- Słucham, panie generale.

- Znakomicie. - Curtis z zadowoleniem skinął głową. - Zawsze mam wrażenie, że najbardziej precyzyjnie wysławiam się na odprawach. Trafiła się panu nie lada gratka, sierżancie: osobista audyencja u starego obłąkanego generała. - Uśmiechnął się i zaciągnął cygarem. - Znam dziennikarzy „Los Angeles Timesa”, „New York Timesa” i „Chicago Tribune”, którzy z chęcią znaleźliby się teraz na pana miejscu.

- To znaczy, że mam szczęście - zauważył Carl, zastanawiając się, co też naprawdę dzieje się za obłokiem dymu i szklistymi oczyma generała.

- Owszem - przytaknął Curtis bez cienia ironii w głosie. - I pan, i my mamy

szczęście. Podczas wojny kubańskiej też mieliśmy szczęście, chociaż czytając to, co ludzie wypisują dziesięć lat po jej zakończeniu, nikt by się tego nie domyślił.

Mama i tato, Sarah, Dwutonowiec, Caz, Jim Rowley i SP 19. Carl wreszcie odzyskał głos:

- W jednym tygodniu zginęło kilka milionów Amerykanów; trochę trudno mówić tu o szczęściu, nie uważa pan, generale?

- Nie mogę się z panem zgodzić. - Curtis zniżył głos. - Naprawdę uważam, że mieliśmy szczęście. Proszę pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby Chruszczow przechrzył Kennedy'ego i zostawił rakiety na Kubie. Za kilka lat te prostaki z Kremla dyktowałyby nam warunki polityki zagranicznej.

- Może doszliby do porozumienia i podpisali traktat, na mocy którego pociski zostałyby usunięte - sprzeciwił się Carl. Sam się sobie dziwił, że wdaje się w dyskusję z człowiekiem, którego nie da się przekonać. - Słyszałem, że...

- Też to słyszałem, ale to bzdury. - Generał uciszył go lekceważącym gestem. - Owszem, jajogłowi z Departamentu Stanu nad czymś tam pracowali, ale wszyscy w Sztabach Połączonych wiedzieliśmy - wszyscy, co do jednego - że skończy się to zwykłą, konwencjonalną wojną. Rozwiązanie dyplomatyczne nie miało najmniejszych szans powodzenia; w najlepszym razie tylko odroczyłoby nieuniknioną konfrontację. - Generał obrócił się na krześle i wyjrzał przez okno. - Do wojny ze Związkiem Radzieckim tak czy inaczej musiało dojść. Powinniśmy się cieszyć, że wybuchła właśnie wtedy, zanim Rosjanie rozbudowali swój arsenał. Podjęliśmy wyzwanie i wygraliśmy, co nie udało się nam trzy czy cztery lata później. Złe się stało, ale nie musimy się wstydzić tego, co zrobiliśmy.

Ból usadowił się na dobre w skroniach i nogach Carla.

- W czasie wojny zginęły miliony rosyjskich cywilów. Amerykanie wciąż się tego wstydzą.

Niecierpliwy ruch głowy.

- Ci biedni dranie zginęli, bo mieli pecha: urodzili się nie tam, gdzie trzeba. Miliony Rosjan zginęły w pierwszej wojnie światowej, potem w drugiej, a w latach dwudziestych i trzydziestych za sprawą Stalina i jego współpracowników; wojna kubańska stała się tylko jednym z wielu nieszczęść, jakie ich dotknęły. Przykro mi, ale nie potrafię zmienić historii. Proszę jednak zwrócić uwagę na pozytywne aspekty tego wydarzenia, sierżancie. - Aby dodać wagi swoim słowom, generał wymierzył w niego cygaro. - Gdzie jest teraz jakieś poważniejsze zagrożenie? Czy sowieckie imperium

wciąż trzyma w swych szponach satelickie państewka w Europie Wschodniej? Nie. Czy istnieją komunistyczne Chiny zagrażające sąsiadom: Wietnamowi, Laosowi, Birmie, Tajlandii czy Indiom? Nie. Na Boga, nawet Koree mają się niebawem połączyć. Widzi pan, zebraliśmy cięgi za cały świat, ale to dzięki nam wszyscy mogą teraz bezpiecznie się rozwijać i prowadzić interesy. I bardzo dobrze. Za kilka lat i my wrócimy, żeby zmierzyć się z nimi na światowej arenie. Jednego tylko nam brakuje; coś po drodze utraciliśmy.

- Co takiego?

- Naszą historię. Nasz kraj leczy rany, sierzancie, ale nie mamy historii. Filadelfia to piękne miasto, a Romney jest wspaniałym prezydentem, ale nie zasiada w Białym Domu. Waszyngton był dla nas czymś więcej niż tylko stolicą: stanowił ośrodek, wokół którego skupiał się cały naród. Takiego ośrodka dziś nam brakuje. I tu znów wracamy do sprawy pułkownika Sawsona.

Ból się nasilał.

- Panie generale?

- I jego dodatkowych obowiązków. Pułkownik Sawson był oficerem łącznikowym Obrony Cywilnej. Współpracował z różnymi departamentami i agencjami, w tym także z Archiwum Narodowym. Jednym z ostatnich jego zadań było zabezpieczenie dwóch niezwykle istotnych kawałków papieru, dokumentów dla naszego kraju wprost bezcennych. Chodziło o to, żeby wywieźć je w bezpieczne miejsce, zanim na Waszyngton spadną bomby.

Carl obserwował generała, przypominając sobie, co powiedział mu właściciel domu, w którym mieszkał Merl - kancelaryjna robota, ważne dokumenty...

- Chodzi o Konstytucję i Deklarację niepodległości?

- W rzeczy samej. - Generał z namysłem skinął głową. - Przed atakiem zostały zabrane z archiwum i od dziesięciu lat miejsce, w którym się znajdują, jest okryte tajemnicą. Bóg jeden wie, dlaczego pułkownik tak długo trzymał je w sekrecie. Wiele innych zabytków wywiezionych z Waszyngtonu znajduje się wciąż w rękach prywatnych i drugorzędnych muzeach: rękopis apelu wygłoszonego przez Lincolna w Gettysburgu, wózek inwalidzki Roosevelta, różne drobiazgi z naszej przeszłości. Musimy odzyskać historię, poczucie narodowej tożsamości.

Carlowi przyszedł na myśl jego dawny sąsiad, który chełpił się posiadaniem oryginalnego młotka z Senatu.

- Czy do śmierci pułkownika Sawsona...

- Doprowadziły te dwa dokumenty, tak. I to przez nie pan również znalazł się w niebezpieczeństwie. Ścigają pana.

- Kto? Kto mnie ściga?

Generał oparł cygaro o popielniczkę i otworzył górną szufladę biurka. Wyjął ze środka szarą kopertę, z niej zaś kilka czarno-białych odbitek o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Rozłożył je w wachlarz przed Carlem, który zerknął na nie przelotnie, zamrugał ze zdziwienia i spuścił wzrok. Nie mógł sobie poradzić ze sprzecznymi uczuciami, które nagle wypełniły mu duszę: poczucie zdrady, wstyd, czułość i zawiedzione zaufanie.

- Zna pan tę kobietę?

- Dobrze pan wie, generale, że tak. -Kim ona jest?

- To Sandy Price z „Timesa” - odparł Carl, wciąż nie chcąc oglądać jej zdjęć: Sandy schodząca z pokładu odrzutowca BOAC, Sandy w recepcji hotelowej, Sandy na ulicy w Bostonie, Sandy przed domem Merla Sawsona. - Ona...

- Tak, sierżancie?

- Jest szpiegiem. Skinienie głowy.

- W rzeczy samej, sierżancie, w rzeczy samej.

Generał schował zdjęcia do koperty i wrzucił ją do szuflady.

- Ta Sandy Price pracuje na zlecenie brytyjskiego wywiadu MI6. Przy-
puszczalnie zjawiała się w Bostonie po to, żeby spotkać się z pułkownikiem Sawsonem i ustalić warunki wymiany: on miałby przekazać jej Deklarację niepodległości i Konstytucję w zamian za pewne usługi ze strony MI6 - najprawdopodobniej w grę wchodziły pieniądze i wyjazd ze Stanów. Nie muszę chyba panu wyjaśniać, dlaczego plan się nie powiódł, prawda? Albo Brytyjczycy zagrali za ostro, albo dali się uprzedzić Francuzom lub Niemcom.

W Carlu aż się zagotowało, gdy słuchał słów generała.

- A na co Anglikom, Francuzom czy jakimś tam popieprzonym Belgom nasza Konstytucja i Deklaracja niepodległości?!

Generał wziął cygaro do ręki, obejrzał je uważnie i na nowo zapalił, używając do tego masywnej zapalniczki ozdobionej godłem sił powietrznych.

- Dzięki nim mogliby próbować wpłynąć na wynik najbliższych wyborów, ot co. W czytaniu wyników sondaży są nie gorsi od nas; wiedzą, że Rockefeller to pewniak, a nie wszystkim naszym tak zwanym przyjaciółom z zagranicy musi się to

podobać.

- Brytyjczykom też nie?

Generał zamknął wieczko zapalniczki.

- Niektórym Brytyjczykom, w tym pańskiej znajomej, a także Francuzom i Niemcom. Spójrzmy prawdzie w oczy. Powodzenie naszych działań humanitarnych w ostatnich dziesięciu latach zależało w głównej mierze od hojności kolejnych rządów Wielkiej Brytanii. Na pewno wydawanie na nas znacznych sum nie przychodziło im łatwo; znaleźli się malkontenci, którzy chcieliby ograniczyć przepływ pieniędzy do Stanów. Nam też nie jest łatwo grać wiecznie młodszego brata, wcale nie. Ale robimy to, co musimy, żeby przetrwać. - Curtis odstawił zapalniczkę na biurko. - Jeżeli prezydentem zostanie Rockefeller, dalej będziemy uprzywilejowanym partnerem w stosunkach z Anglikami; jeżeli fotel zajmie McGovern, dobre układy się skończą.

Z pewnością, pomyślał z goryczą Carl. Z całą pewnością.

- Co tu ma do rzeczy Konstytucja i Deklaracja?

- Nie rozumie pan tego, sierzancie? - Generał pokręcił głową. - Dwa tygodnie do wyborów. McGovern występuje w telewizji i pokazuje oryginały Konstytucji i Deklaracji niepodległości przekazane mu potajemnie przez tych Anglików, którzy chcą się nas pozbyć. Mówi, że to znak od Boga, który nakazuje nam powrót do korzeni, do czasów, kiedy byliśmy na świecie szanowani za to, co sobą reprezentujemy. Czas samemu stanąć na nogi, powiada, czas przyłączyć się do niego, McGoverna, i pod jego przewodnictwem w nowej krucjacie wrócić do domu, do prawdziwej Ameryki. Rety, sierzancie, jest pan przecież pisarzem; z zamkniętymi oczami napisałby mu pan takie przemówienie.

- A jaką mamy alternatywę? Żeby Rockefeller wygłosił tę samą mowę, tylko zachęcając do głosowania na republikańskiego kandydata?

- Nie, Rockefeller by tego nie zrobił. Jeżeli dzięki panu te dokumenty faktycznie się znajdują, na co bardzo liczymy, nikt nie powie ani słowa przed zakończeniem wyborów. Potem zaś Rockefeller ogłosi, że udało się odnaleźć i że zostaną wystawione na widok publiczny w Filadelfii. Nie możemy pozwolić, żeby to Anglicy wybierali nam prezydenta, i dlatego musimy pierwsi dotrzeć do tych papierów. Musi nam pan pomóc, żeby nie wpadły w ręce popleczników McGoverna.

Carl nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia: najpierw Jim Rowley poprosił go o pomoc, a teraz generał Ramsey Curtis zrobił to samo. Cholera by cię wzięła, Merl! - pomyślał. O ile łatwiej byłoby mi teraz żyć, jakbyś od razu wszystko mi powiedział.

- Chyba zwraca się pan do niewłaściwego człowieka, generale - rzekł na głos.
- Od czterech lat nie służę w wojsku; jestem tylko zwyczajnym dziennikarzem.

Generał znów pochylił się nad biurkiem i skierował cygaro w stronę Carla.

- O to właśnie chodzi, Landry! Jest pan dziennikarzem. Może pan zadawać pytania... Ba, powinien pan zacząć zadawać pytania, gdy tylko wróci pan do Bostonu. Major Devane nie będzie już wchodził panu w drogę; więcej, stanie się pańskim sprzymierzeńcem z chwilą, gdy dowie się, że zaangażował się pan w sprawę ściśle związaną z bezpieczeństwem narodowym.

Carl złożył dłonie i splótł palce - głównie po to, żeby ukryć ich drżenie.

- Inaczej mówiąc, mam wrócić do Bostonu i zacząć od nowa drążyć sprawę morderstwa pułkownika Sawsona - stwierdził. - I zobaczyć, do czego dojdę.

Zdecydowane skinienie głowy.

- Tego właśnie od pana oczekujemy. Będzie pan dyskretnie wykonywał swoje obowiązki i nikt - ani MI6, ani niemiecka służba bezpieczeństwa, ani francuskie biuro spraw zagranicznych - nie domyśli się, że pracuje pan dla nas.

- Jest jeszcze jedna sprawa... - odezwał się Carl.

- Chodzi o tę kobietę z „Timesa”? -Właśnie.

Curtis wzruszył ramionami.

- W tej kwestii niewiele już możemy zrobić. Zawiadomiliśmy Ambasadę Brytyjską w Filadelfii, że powinna w ciągu siedmiu dni opuścić Stany Zjednoczone za zachowanie sprzeczne z etyką dziennikarską. O ile mi wiadomo, jest teraz w Bostonie, ale nie bardzo wiem, po co miałby się pan z nią kontaktować.

Sprzeczne emocje wróciły ze zdwojoną siłą.

- Rozumiem.

Telefon na biurku zabzyczał i generał podniósł słuchawkę.

- W porządku, zrozumiałem - powiedział, odłożył słuchawkę i wstał.
- Przepraszam pana na moment, sierżancie.

- Ależ oczywiście.

Generał otworzył drzwi w bocznej ścianie, zza których dobiegł przyciszony szmer kilku głosów. Carl wychylił się z fotela i przez pozostawioną przez Curtisa szparę w drzwiach zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia -był to salon z podobnym jak w gabinecie kominkiem. Na skórzanych krzesłach i kanapach siedzieli mężczyźni w garniturach. Generał Curtis stanął przy najbliższym fotelu, na którym siedział jakiś człowiek, z ożywieniem coś tłumacząc i gestykułując wolną ręką - w drugiej trzymał

szklaneczkę brandy.

Carl nie rozumiał słów, ale widział, co się dzieje. Człowiek na fotelu obrócił się w jego stronę. Carl rozpoznał szeroki uśmiech i okulary w ciemnych oprawkach - w oczy patrzył mu gubernator stanu Nowy Jork i kandydat Partii Republikańskiej w wyborach prezydenckich Nelson Rockefeller. Drzwi powoli się zamknęły.

Odetchnął głęboko. Generał Curtis potrafił całkowicie pochłonąć uwagę rozmówcy; miało się wrażenie, że zasysa cały tlen w powietrzu i w pokoju nikt poza nim nie ma czym oddychać. Carl zatarł ręce, wstał i obszedł mały pokój dookoła. Nerwy nie dawały mu spokojnie usiedzieć na miejscu; najchętniej uciekłby z rezydencji jak najdalej, gdyby tylko miał szansę.

Pewnie: uciekłby z jednego z najsilniej strzeżonych kompleksów wojskowych w całych Stanach. Ciekawe jak daleko?

Skupił się zatem na oglądaniu zdjęć, certyfikatów i tabliczek pamiątkowych zdobiących ściany gabinetu. Fotografie przedstawiały generała Curtisa w mundurze lotniczym w czasie drugiej wojny światowej w Anglii i na Pacyfiku; na późniejszych siedział za sterami bombowców B-17 i B-29. Jeszcze dalej wisiały zdjęcie z lotniska w Korei, z kwatery głównej Dowództwa Strategicznego Wojsk Lotniczych w Omaha, a także z wnętrza B-47 i B-52. Nie brakowało też zdjęć kolorowych, bardziej oficjalnych: generał Curtis z prezydentem Eisenhowerem, generał Curtis z prezydentem Dillonem, generał Curtis z prezydentem Romneyem.

Nie było natomiast fotografii, na której generał Curtis stałby obok prezydenta Kennedy'ego.

Jeden kąt pokoju wydzielono drewnianą barierką sięgającą Carlowi do pasa. Za nią, pod ścianą, znajdował się postument, a na nim kawałek czegoś, co przypominało cegłę zalaną sześciennym blokiem grubego szkła. Mniej więcej co dwadzieścia centymetrów na barierce widniały tabliczki z napisem NIE PODCHODZIĆ, w środku zaś, na postumencie, widniała większa tablica pamiątkowa:

DLA GENERAŁA RAMSEYA TARANA CURTISA
W PODZIĘKOWANIU ZA LATA WIERNEJ SŁUŻBY KRAJOWI
W DNIU PRZEJŚCIA W STAN SPOCZYNKU
1 SIERPNI 1971 ROKU

FRAGMENT NAWIERZCHNI PLACU CZERWONEGO

MOSKWA, ZSRR PRZYWIEZIONY W DNIU
1 MAJA 1971 PRZEZ ŻOŁNIERZY
177. SZWADRONU RADIOLOGICZNEGO
DOWÓDZTWA STRATEGICZNEGO WOJSK LOTNICZYCH
POKÓJ TO NASZ ZAWÓD

Carlowi zrobiło się niedobrze. Jasne, pokój - pokój grobów, pokój cmentarzy, pokój umarłych. Przyszło mu na myśl, że za setki lat nikt nie będzie nosił żałoby po zabitych Amerykanach, Rosjanach, Kubańczykach, Chińczykach, Hindusach, Ukraińcach i Polakach. Bo i po co? Czy ktoś pamięta o zmarłych dawno temu Rzymianach, Grekach, Egipcjanach czy Asyryjczykach?

I znów w głowie usłyszał głos brata Caza: historię piszą nie zwycięzcy, lecz ci, którzy przeżyli.

Przeniósł wzrok na biurko generała - puste, jeśli nie liczyć zapalniczki, popielniczki i płachty bibuły na środku blatu. Z boku stał jeszcze telefon i interkom, na którym znajdowały się trzy przyciski: WYŁĄCZONY, ŁĄCZNOŚĆ JEDNOKIERUNKOWA i ŁĄCZNOŚĆ DWUKIERUNKOWA. Carl wstrzymał oddech, pstryknął drugim przełącznikiem i nachylił się nad małym głośniczkiem.

Dobiegł do szmer zmieszanych męskich głosów, nad którymi dominował bas generała:

- ...spisze się na medal. Natchnąłem go bojaźnią Bożą i moją własną... Potem także inne głosy:

- ...można mu zaufać?

- ...nie kwestia zaufania. Chodzi o odpowiedzialność, o umiejętność załatwienia konkretnej sprawy...

- ...mowa o zaufaniu, zaczynam myśleć o tych przeklętych Angolach.

Niedługo zlecą się tu dziesiątkami tysięcy...

- ...się panu nie podoba, ale czy mamy wybór? Znów głos generała:

- Wiecie panowie, jaka jest alternatywa: chaos i zamieszki na ulicach miast. Musimy kontrolować sytuację, a tu Anglicy są kluczem do sukcesu...

- ...jeśli nie zechcą stąd wyjechać po skończonej robocie? I zaczną działać na własną rękę?

- ...pan ma na myśli?

- ...psiakrew, aresztują nas wszystkich... nie wiem... zagraniczni żołnierze na

naszej ziemi. Mogą zrobić, co zechcą...

I jeszcze raz generał Curtis:

- ...zaczną podskakiwać, to się doigrają... Jak było w Moskwie?... Zrzucimy jedną w komin Buckingham Palace i będzie po sprawie...

Odpowiedział mu chóralny śmiech. Carl czym prędzej wyłączył interkom i usiadł na swoim krześle. Nogi mu się trzęsły. Rozmyślał o tym, czego właśnie się dowiedział, gdy z najwyższym zdumieniem skonstatował, iż ani razu nie usłyszał w dyskusji głosu gubernatora Rockefellera.

Mniej więcej minutę później generał wrócił do gabinetu.

- Chciałbym panu coś pokazać, sierzancie - oznajmił. - Jeśli oczywiście znajdzie pan godzinkę czasu dla takiego starego piernika jak ja.

Carl wstał, wytarł spocone ręce o spodnie. Czuł się jak w domu wariatów prowadzonym przez wariatów, którzy w dodatku chcą przekonać cały świat zewnętrzny do swojej wizji życia.

- Z przyjemnością, panie generale.

Wyszli z gabinetu, przeszli przez korytarz i znaleźli się na dworze. Dzień był rześki, jesienny. Dwóch umundurowanych lotników szło za nimi krok w krok zwirowaną ścieżką, zachowując pełen szacunku dystans. Po obu stronach wzdłuż dróżki biegł biały drewniany płot.

- Oto moja rezydencja emeryta - mówił Curtis. Nie wyjmując rąk z kieszeni, pykał z cygara. - Chociaż, jak już się pan zorientował, niewiele mam tu wolnego czasu. Nie skarzę się na to. - Zatrzymał się i powiódł wzrokiem po zabudowaniach, łąkach i drzewach. - Dziesięć lat temu znajdowałem się na latającym stanowisku dowódczym i patrzyłem, jak wszystko trafia szlag. Nie wiedziałem nawet, czy przeżyję następną godzinę, a co dopiero mówić o całym dniu. Pamięta pan, jak mówiliśmy o szczęściu? Nasze szczęście polegało na tym, że mieliśmy bezpośrednie łącze do Sowietów i udało nam się zakończyć całą tę tragedię. Już wtedy wiedziałem, że pozostałe lata życia poświęcę odbudowie tego kraju i poprawie bytu jego ludzi. Pan w czasie wojny stacjonował za granicą, prawda?

- Zgadza się, panie generale. W Wietnamie Południowym. Curtis kopnął kamyczek na ścieżce.

- Wietnam Południowy... Byłem tam kiedyś na krótkim przeglądzie wojsk.

To prawda, przyznał w duchu Carl, przypomniawszy sobie ten sam dzień, tyle

że z innego punktu widzenia. Generał mówił dalej:

- To zadupie; niepotrzebnie się tam wpieprzaliśmy. Wszystkim to powtarzałem wszystkim, którzy chcieli mnie słuchać, ale Kennedy z chłopakami mieli inne plany. Na przykład Kubę. Klan Kennedych został upokorzony w Zatoce Świń niedługo po inauguracji, i to w dodatku nie ze swojej winy. To było dzieło Eisenhowera -jego plan i jego ludzie, którzy przyczynili się do fiaska. Ale kiedy głównie trafiło w wentylator, stary Jack nie zapewnił wsparcia lotniczemu chłopcom, którzy zostali wyrznięci na plażach. Biedaczyska. Ale od chwili, kiedy pojawiły się pierwsze doniesienia o raketach na Kubie, widać było, że J.F.K. nie ma dość ikry, żeby załatwić tę sprawę, jak należy. Należało wkroczyć wcześniej i zdecydowanie, wykorzystać przewagę zaskoczenia - tylko jak kogoś można było zaskoczyć, jak J.F.K. gadał cały czas jak najęty, a ten błazen Stevenson pokazywał w ONZ zdjęcia zrobione przez nasze U-2?

Carl wyczuł, że lepiej będzie zachować milczenie i dać generałowi się wyszumieć. Kątem oka zerknął na towarzyszącą im dwójkę i ujrzał na ich twarzach znaczące uśmiechy. Z pewnością już wcześniej słyszeli tę przemowę. I to kilkakrotnie, za każdym razem retuszowaną i ulepszaną, żeby na pewno ta właśnie wersja trafiła do podręczników.

Curtis wypuścił kłęb dymu i ruszył dalej.

- J.F.K. był po prostu bogatym dzieciakiem, który bawił się w udawanie dorosłego. Zabawił się tak o jeden raz za dużo i wszystko diabli wzięli. A przecież przez całe życie mógł liczyć na szczególne traktowanie. Kiedy jego kuter wywrócił się i zatonął na południowym Pacyfiku, nic mu się nie stało; każdy inny dowódca jednostki trafiłby przed sąd wojenny, ale jego ojciec - bimbrownik i przemytnik, a później także nasz ambasador - wyciągnął go z tego. Później przy wsparciu całej rodziny Kennedych załatwił mu miejsce w Izbie Reprezentantów i ustawił wybory w 1960. - Curtis znów przystanął i popatrzył badawczo na Carla, który nagle poczuł się bardzo nieswojo. - Zabawne, co? Mówi się, że w tamten listopadowy wieczór to umarli zagłosowali tak, że Kennedy trafił na szczyt. Czasem się człowiek zastanawia, czy umarli nie byli przypadkiem samotni i nie dopominali się o towarzystwo. Kilka milionów nowych kumpli. Niecałe dwa lata później ich marzenie się spełniło.

- Panie generale... - wtrącił Carl. Wytrzymał spojrzenie Curtisa, myśląc o Cazie i innych, o tych, którzy od dziesięciu lat żyli marzeniem. - Jedno pytanie.

- Niech pan strzela.

- Nadal ma pan spore koneksje i wpływy; zdaje pan sobie sprawę z istnienia kultu Kennedy'ego - „On żyje” i tak dalej. Jak było naprawdę? Czy J.F.K. rzeczywiście mógł ewakuować się na czas z Waszyngtonu?

Generał zmarszczył gęste brwi.

- Od dziesięciu lat muszę wysłuchiwać podobnych głupot - powiedział. -I rzygać mi się nimi chce.

- Z pewnością, panie generale.

- Coś panu powiem, sierżancie - burknął Curtis. - Wiem, co się wydarzyło tego dnia, i wiem to ze stuprocentową pewnością: to była wielka fuszerka, nie pierwsza i nie ostatnia w tym okresie. W bazie imienia Andrews'a stacjonowały śmigłowce, których jedynym zadaniem było zabrać Kennedy'ego i jego rodzinę z Waszyngtonu. Najpierw jednak J.F.K. zwlekał i dopiero w ostatniej chwili wysłał prośbę o przysłanie maszyn; słyszałem, że załamał się nerwowo i siedział, płacząc, w Gabinetcie Ovalnym. Później nastąpiły jakieś problemy z łącznością między centralą w Białym Domu i bazą Andrews'a - ktoś tam nie miał właściwego kodu dostępu, żeby potwierdzić rozkaz. W ten sposób stracono mnóstwo czasu. A kiedy ktoś wreszcie poderwał helikoptery w powietrze, było za późno: przeleciały raptem połowę drogi, kiedy wybuchła pierwsza bomba. Dysponowaliśmy pełnym zapisem łączności, minuta po minucie, i nie ulega wątpliwości, że J.F.K. znajdował się w Białym Domu i czekał na śmigłowce, gdy miasto zostało zniszczone.

Kolejny kłęb dymu towarzyszył dalszym słowom generała:

- Wiem, że ludzie lubią tę bajeczkę o rannym młodym prezydencie, któremu udało się przeżyć i który czeka teraz na właściwy moment, by ujawnić się i uratować kraj. Ale to tylko bajeczka, a my nie mamy czasu na bajeczki. No, jesteśmy na miejscu.

Ścieżka kończyła się na obszernej polanie, pośrodku której stała przerobiona na hangar stara stodoła. Obok znajdowało się betonowe lądowisko, a na nim zielony huey. Na widok generała załoga śmigłowca wskoczyła na pokład i w kilka chwil zagrały silniki, a wirnik zaczął się ze świstem obracać.

- Jeszcze tylko krótka przejażdżka i odstawimy pana do Bostonu, sierżancie - wyjaśnił generał, podnosząc głos. Wyrzucił cygaro.

Razem wsiedli do kabiny śmigłowca; Carl skrzywił się z bólu, dźwignąwszy nogi z płozy na pokład. Jeden z pilotów wskazał fotele. Usiedli na nich i każdy założył na głowę słuchawki z mikrofonem. W chwili gdy sprawdzali ich działanie, maszyna

oderwała się od ziemi i przechyliła na prawo w ostrym skrucie. Carl usadowił się wygodnie w fotelu i skrzyżował ramiona na piersi. Dręczył go tylko lodowaty strach, że gdyby generał nagle uznał, iż sierżantowi Landry'emu jednak nie można zaufać, mógłby go z łatwością wypchnąć z maszyny lecącej na wysokości półtora kilometra.

A biorąc pod uwagę, do czego był zdolny przed dziesięciu laty, teraz też by się raczej nie zawahał.

Niespełna pół godziny później w słuchawkach usłyszał głos generała zmieszany z trzaskiem zakłóceń:

- Niech pan łaskawie wyjrzy przez okno, sierżancie.

Carl posłusznie przechylił się i przytknąwszy nos do pleksiglasowej szyby, spojrzał w dół, gdzie przesuwwały się małe miasteczka, drogi, drzewa i łąki. Na horyzoncie majaczyło jakieś większe miasto.

- To Frederick w stanie Maryland - wyjaśnił Curtis.

Carl pokiwał głową. Z ciężkim sercem oczekiwał dalszego rozwoju wydarzeń, wiedząc już, co go czeka. Krajobraz zaczął się zmieniać; okolica dziczała, domów i zabudowań gospodarczych ubywało z każdą chwilą. Na autostradach samochody tkwiły w kilometrowych korkach, światło odbijało się od szyb, ale żaden nawet nie drgnął. Od dziesięciu lat. Znów w oddali pojawiło się zniszczone miasto: mimo znacznej odległości Carl dostrzegł wypalone ruiny i sterty gruzów.

- Rockville - rzekł generał. - Nikt nie wie, kiedy zaczniemy odbudowę na tych terenach. Te same problemy co wszędzie: za duże oczekiwania, za mało pieniędzy i ludzi.

Silnik śmigłowca zaryczał głośniejsze i Carl zwrócił uwagę, że wznoszą się na wyższy pułap. W ruinach miast i miasteczek rosły zdziczałe drzewa i krzewy, ale nie brakowało też martwych roślin o spalonych liściach i osmalonych konarach. Dalej rozciągały się pola szaro-czarnego gruzu, gdzie trudno było dostrzec jakiegokolwiek szczegóły, a jeszcze dalej nieoczekiwanie pojawiło się jezioro o brzegach ze stopionej czarnej gleby.

- Jezioro Waszyngtońskie - powiedział generał. - Kiedy głowice eksplodowały, topografia tego miejsca zmieniła się całkowicie. Pod nami znajduje się jeden z trzech kraterów w tej strefie, zalany wodami Potomacu.

Helikopter zatoczył koło, a Carl mimo narastających mdłości nie mógł oderwać wzroku od widoku w dole - szarej ziemi, równie szarych wód martwego

jeziora i nie kończących się połąci gruzów. Mimo znacznej wysokości wyczuwał przez skórę kompletną martwość miejsca, w którym niegdyś biło serce całych Stanów Zjednoczonych. Kiedyś i on sam stał tam, w dole, dumny, że może uczestniczyć w inauguracji kadencji prezydenta, który obiecywał wspaniałą przyszłość. Teraz zaś, podczas drugiej wizyty w mieście, zastał tylko gruzy. Rozumiał już, dlaczego zakazano lotów nad zbombardowanymi miastami: myśl o tym, do czego tu doszło, potrafiła doprowadzić człowieka do obłądu. Przeniósł wzrok na generała. To naprawdę obłąd, pomyślał.

- Proszę pomyśleć o mieście, które rozpościerało się tam, w dole, sierzancie - zagrzmiał w słuchawkach głos Curtisa. - Jefferson został tu zaprzysiężony na urząd, Lincoln ocalił Unię, Roosevelt walczył stąd z hitlerowcami i żóltkami, Eisenhower z honorem odsłużył dwie kadencje. Tam znajdował się Kapitel, pomnik Lincolna, Biały Dom, pomnik Jeffersona, Smithsonian Institute - cała nasza przeszłość, cała historia, wszystko, co najdroższe. Przepadło na zawsze.

Carl aż się wzdrygnął, gdy generał złapał go za rękę.

- Zostały nam tylko te dwa dokumenty, sierzancie Landry. To w nich zaklęta jest dusza narodu; to one są szansą na zaleczenie naszych ran. Musi je pan znaleźć, sierzancie. Musi nam pan zwrócić historię.

Carl milczał, obserwując ciągnące się kilometrami pustkowie. Wreszcie Curtis puścił jego rękę, a śmigłowiec skręcił na pomoc i ruszył w drogę powrotną do Pensylwanii.

Obłąd.

Carl stanął przed domem i wypuścił plecak z rąk. Słuchał szumu wieczornego ruchu na ulicach, starając się zignorować ludzi zdążających do domu albo na pobliską Newbury Street, gdzie można było zrobić zakupy albo zjeść kolację w restauracji. Wciąż szumiało mu w głowie od natłoku wydarzeń i informacji. Zrobił się późny wieczór, ale minęło zaledwie kilka godzin od lotu nad kupą gruzu, która kiedyś była stolicą tego kraju. Odrzutowcem wrócił na lotnisko Logan, skąd samochód zabrał go do Bostonu i odstawił pod dom. Carl był wyczerpany i przerażony tym, co miała przynieść przyszłość.

Sześć dni. Za sześć dni Jim Rowley wraz z SP19 i wszystkimi wolnymi społecznościami stref zakazanych wyjdą na ulice, wynurzą się z tuneli, piwnic i schronów, by upomnieć się o swoje prawa. Będą czekać na nich żołnierze -jeżeli wcześniej ich nie zgarną - gotowi ich aresztować lub wymordować na miejscu. A później, po wyborach, władze wydadzą oświadczenie o anszlusie. Carl już wyobrażał sobie to przemówienie Rockefellera: zacieśnienie sojuszu, odzyskanie uprzywilejowanego statusu, dodatkowe transporty żywności, wszechstronna pomoc... No, może jakiś przedstawiciel Jej Królewskiej Mości pojawi się w Gabinetce Ovalnym.

Za sześć dni.

Miał niespełna tydzień na to, by znaleźć ukryte przez Merla Sawsona dokumenty, które mogą mieć wpływ na wynik wyborów, ale przede wszystkim mogą zdecydować o tym, czy Jim Rowley i SP 19 będą żyć jak wolni ludzie, czy trafią do obozów.

Czy mu się uda?

Musiał spróbować; nie miał innego wyjścia.

Zebrał bagaż z chodnika i wszedł do domu.

W mieszkaniu powitał go zaduch dawno niewietrzonego wnętrza. Carl otworzył wszystkie okna wychodzące na Comm Ave i park. Gwar ulicy brzmiał kojąco po martwej ciszy Manhattanu. Wszedł do sypialni, rozpakował rzeczy i stwierdził, że obsługa w domu spokojnej starości generała Curtisa była nader skrupulatna i schludna: całe ubranie zostało wyprane i uprasowane, nawet pistolet

doczekał się czyszczenia i smarowania, aczkolwiek zabrano mu całą amunicję. Bardzo sprytnie, musiał przyznać.

Na podłodze przy drzwiach zebrala się sterta listów i ulotek przysłanych pocztą. Przejrzenie ich zajęło mu kilka nużących chwil. „Newsweek” z uśmiechniętym Nelsonem Rockefellerem na okładce; zdjęcie pochodziło z jakiegoś wiecu wyborczego. Rachunek z elektrowni i przesyłkę z Amerykańskiego Stowarzyszenia do Walki z Rakiem z wielkim, czerwonym nadrukiem JESIENNA AKCJA na kopercie Carl odłożył na bok, do późniejszego zapłacenia. Kolejny list zachęcał go do wstąpienia w szeregi organizacji Weterani Wojen Atomowych - tę kopertę od razu wyrzucił do kosza.

Wpadła mu w ręce ulotka reklamowa z rysunkiem kryształowej kuli, gwiazd i planet, opatrzona bostońskim numerem telefonu i adresem:

Madame Bolivar

Spirytystka i wróżka

Możesz skontaktować się z krewnymi w zaświatach!

Tysiące ludzi już to zrobiły. Spróbuj i ty.

Symbol jednej z nielicznych gałęzi ludzkiej przedsiębiorczości, które po wojnie przeżywały gwałtowny rozkwit - media i specjaliści od wywoływania duchów żerowali na milionach ludzi żyjących z poczuciem winy. Ta kartka też wylądowała w koszu.

Na dole stosiku znalazł cienką kopertą z firmy „Poszukiwania, spółka z o.o.” - i nie otwierając jej, wiedział, co oznacza. Cienka koperta zawsze mogła znaczyć tylko jedno. W środku znalazł rachunek i znajomy formularz z równie znajomymi słowami: „Z przykrością informujemy, że nie poczyniono żadnych postępów w kwestii odnalezienia pańskie siostry Sarah Landry...”.

Niewiele brakowało, by i tę kartkę odruchowo wyrzucił, ale zamiast tego wyjął z lodówki dwie butelki guinnessa, które Sandy przyniosła na ich wspólną kolację, i wyciągnął się na kanapie. Nie miał ochoty na telewizję ani czytanie gazet - leżał tylko i popijał piwo. Po półgodzinie poszedł do lodówki po następne butelki i wkrótce leżał na kanapce jak długi, wlepiwszy wzrok w płyty odłóżającej farby na suficie. Myślał o tym, żeby przenieść się do sypialni, ale... Czy jak ktoś się naprawdę upije, to myśli o tym, żeby szukać sypialni? Zasypia zwykle na podłodze, na sofie czy na fotelu. Jeśli

zdołałby dowieść się do łóżka, znaczyłoby, że nie jest dostatecznie pijany.

Wstał i zachwiał się na nogach. Głowa ciążyła mu niemiłosiernie, a nogi nie niosły go dokładnie tam, gdzie chciał, ale po jakiejś minucie czy dwóch faktycznie zwałił się na łóżko. Był w ubraniu, w butach, ale doczłapał do sypialni -widocznie, doszedł do wniosku, nie jestem jeszcze poważnie ubzdrygolony.

W środku nocy obudził się nagle, czując potworne pragnienie. Najpierw poszedł do łazienki, a potem do kuchni po wodę. Wypił duszkiem dwie szklanki, aż go zemdliło. Odstawił więc szklankę do zlewu i jeszcze raz wciągnął do płuc zatęchłe powietrze. Wciąż miało dziwny zapach - i tym razem zorientował się dlaczego: dym. Ktoś palił papierosy w mieszkaniu pod jego nieobecność. Wzdrygnął się i przez salon przeszedł do gabinetu.

Włączył światło, żeby się rozejrzeć. Oczywiście: znów - tak jak wtedy, przed wyjazdem na Manhattan - miał praktycznie pewność, że ktoś tu był, nieznacznie poprzestawiał książki na półkach i poprzekładał papiery. Carl usiadł przy biurku i włączył lampkę, przy której zwykle pracował. Głowa wciąż go bolała, gdy zastanawiał się, co właściwie znaczą te ślady czyjejś obecności. Nieudolni szpiedzy, którzy przyszli się porozglądać... Amatorzy? Czy raczej bezwzględni profesjonaliści, którzy nie musieli się przejmować tym, że wie o ich wizycie?

Zerknął na zegarek - dochodziła druga nad ranem w środę. Zostało mu pięć dni. Ziewnął, myśląc o czekających go tego dnia zajęciach i o tym, że w czwartek wraca do „Globe” i na serio bierze się do pracy. Merl Sawson. Jeżeli generał nie kłamał - w co akurat wątpił - to ani ekipy policyjne, ani wojskowe nic w mieszkaniu Sawsona nie znalazły.

Gdzie ktoś taki jak Merl schowałby rzecz, do której przywiązywałby szczególną wagę? I jak tę kryjówkę znaleźć? I co właściwie jest w tych papierach?!

Jim Rowley uważał, że ich treść może wpłynąć na przebieg wyborów i w ten sposób zapobiec upadkowi wolnych społeczności.

Generał Curtis twierdził, iż Merl ukrył Konstytucję i Deklarację niepodległości.

A Caz Cynewski, stary wiarus z CIA, utrzymywał, iż w dokumentach tych kryje się klucz do sekretu Kennedy'ego.

J.F.K. wciąż żyje?

Jezu słodki... Carl nie miał złudzeń: cokolwiek było w tych papierach, generał

i jego kompani potrzebowali ich do realizacji własnych celów. Gdyby faktycznie wyświadczył im tę przysługę i je znalazł, podziękowano by mu pewnie i wysłano go na przedmieścia San Diego, gdzie zająłby się odkażaniem gleby albo czymś w tym rodzaju.

W każdym razie nie wróciłby już do Bostonu i „Globe”. I nigdy nie usłyszałby ani słowa o Sandy.

Szlag by trafił tę babę!

Jego wzrok spoczął na rękopisie powieści. Co Sandy powiedziała wtedy w New Jersey, na chwilę przed tym, jak samochód wyleciał w powietrze na minie? Coś o pisaniu nowego rozdziału, o tym, co widzieli, i o kłamstwach generałów. Przesunął palcami po pierwszej stronie rękopisu. Pomysł był nie-głupi, zwłaszcza gdyby skupić się na jednym konkretnym kłamstwie i jednym konkretnym generale. Coś w słowach Curtisa, kiedy mówił o Wietnamie, obudziło dawne wspomnienia. Carl wiedział, że powinien iść spać, ale rozpierała go energia; chciał koniecznie przelać słowa na papier, zanim je zapomni albo zajmie się czym innym.

Obok maszyny do pisania stało przenośne radyjko, mniejsze od odbiornika, który trzymał w salonie. Minęła trzecia rano. Carl włączył radio, odczekał chwilę, aż się nagrzej, a potem pokręcił gałką, nastawiając z pamięci częstotliwość. Rozległy się trzaski, przez które chwilami przebijał się męski głos z harwardzkim akcentem:

- ...obywatele, rodacy! W listopadzie staniemy przed wyborem...

Na dźwięk tego głosu Carl poczuł, jak wszystkie włoski na rękach stają mu dęba.

- ...czy powrócić do obietnic, które złożyła moja administracja, której kadencja w tragicznych okolicznościach uległa skróceniu...

Trzaski, gwizdy, piski... Carl wstrzymał oddech i delikatnie poruszył pokręteł. Znajomy głos, który słyszał na Kapitelu w ten pamiętny styczniowy dzień w 1961 roku, mówił dalej:

- ...czy pograżać się w coraz głębszym mroku, z dala od cywilizowanego świata i zapomnieć o ideałach...

Zakłócenia znów go zagłuszyły. Jeszcze przez kilka minut Carl kręcił gałką, ale słyszał już tylko szum i trzaski zakłócające sygnał. Sięgnął ręką do wyłącznika, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie, pomyślał; niech zostanie. Tak jak tłumaczył Sandy przy ruinach domu w Hyannis Port - dawno, dawno temu - bycie w mniejszości oznaczało brak kontaktu z tłumem, a to bardzo mu odpowiadało.

Wkręcił do maszyny czysty arkusz papieru i zaczął pisać.

Był późny środowy poranek, pochmurny i ponury. Zanosiło się na deszcz. Carl stał z kubkiem kawy w ręku w budce telefonicznej obok antykwariatu, kilka przecznic od domu. Wiedział, że czeka go sporo pracy, a z niewyspania niemal kręciło mu się w głowie. Wykręcił numer hotelu „Park Plaża” i poprosił o połączenie z Sandy Price.

- Przykro mi, proszę pana - oznajmił recepcjonista. - Panna Price się wymeldowała.

Cholera jasna.

- Nie zostawiła nowego adresu albo numeru telefonu?

- Nie, proszę pana.

- I żadnej wiadomości?

- Obawiam się, że nie, proszę pana.

Carl odwiesił wolno słuchawkę i siorbnął kawy. Przypuszczalnie mógł spokojnie zadzwonić z domu, ale miał ochotę się przejść, a poza tym nie podobała mu się myśl o dzwonieniu z własnego telefonu. Obcy ludzie już dwukrotnie nachodzili jego mieszkanie - czort wie, jaką aparaturę podsłuchową zostawili po sobie. Nie miał pojęcia, dla kogo pracowali: dla Anglików, Francuzów, Niemców, Japończyków, Nelsona Rockefellera, generała Curtisa czy może George'a McGoverna. W każdej chwili mogli zjawić się ponownie u niego w domu, żeby na przykład poprzeglądać zapisane późną nocą kartki.

Poklepał się po wewnętrznej kieszeni kurtki, gdzie trzymał najświeższy fragment maszynopisu zapakowany w kopertę. Przykro mi, panowie szpiedzy. Nic tam nie znajdziecie.

Wszystkie dowody mam tutaj.

Wrócił pod dom i po kilku wytężonych próbach uruchomił wysłużonego coroneta. Podjechał na State Street - szczęście mu dopisało, bo od razu znalazł wolne miejsce do zaparkowania wozu. Chmury, które wcześniej tylko nieprzyjemnie wyglądały, zaczynały właśnie spełniać swą groźbę. Bez parasola czy chociażby kapelusza w kilka chwil wyglądałby jak zmokła kura.

I co z tego? Mam robotę i mało czasu.

Pod numerem dziesiątym znalazł znajomy budynek. Pierwszy raz był w nim niespełna dwa tygodnie wcześniej i to stąd trafił później w bardzo dziwne miejsca.

Trzypiętrowy gmach brytyjskiego konsulatu z dumą prezentował światu elegancką ceglana fasadę. Carl otworzył żelazną furtkę i ruszył przed siebie brukowaną ścieżką.

Przez otwarte drzwi wszedł wprost do maleńkiego korytarzyka, w którym za szybą siedział młody człowiek zaczytany w „The Economist”. Pośrodku szyby znajdowała się kratka osłaniająca mikrofon i głośnik. Carlowi nagle przypomniał się prowadzony przez niezwykle małżeństwo lombard na Manhattanie. Jakżeż oni się nazywali?

- Słucham pana? - odezwał się mężczyzna kulturalnym tonem, w którym ledwie dawało się wyczuć cień irytacji, że ktoś przeszkadza mu w lekturze. Był ubrany w białą koszulę i chyba stary krawat szkolny. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym się spotkać z panem Douglasem Harrisem, attache prasowym.

Recepcjonista uśmiechnął się i zajrzał do leżącego przed nim zeszytu. - Obawiam się, że to niemożliwe, jeśli nie był pan umówiony.

Carl wyjął z portfela wizytówkę i wsunął ją w wąską szczelinę między szklaną taflą i blatem.

- Nazywani się Carl Landry, jestem dziennikarzem „Boston Globe” i naprawdę muszę pilnie porozmawiać z panem Harrisem.

Recepcjonista wziął do ręki pogniecioną wizytówkę i obejrzał ją z obu stron, jakby obawiał się, że może być ubrudzona.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale to wbrew regulaminowi. Musi się pan umówić na spotkanie.

Carl przysunął się bliżej i prawie przytknął usta do mikrofonu.

- Posłuchaj no, przyjemniaczku, tylko uważnie. Jestem dziennikarzem „Boston Globe” i chcę rozmawiać z waszym attache prasowym. Jutro na pierwszej stronie puszczamy artykuł o tym, że wasz konsul generalny zdefraudował część funduszy przeznaczonych na kampanię „Paczki dla Bostonu”. Chciałbym uzyskać jego opinię, zanim rzecz pójdzie do druku.

Mężczyzna za szybą zbladł.

- Rozumiem.

Carl się uśmiechnął.

- Wiem, że to wbrew waszemu pieprzonemu regulaminowi, ale muszę się zobaczyć z Douglasem Harrisem. I to zaraz. - Rozejrzał się w poszukiwaniu krzesła, ale żadnego nie znalazł. - Postoję tu i poczekam. Albo może usiądę na podłodze, jeśli nie macz nic przeciwko temu.

Recepcjonista nic nie odpowiedział - rozmawiał już z kimś przez telefon.

Trwało to pół godziny, które Carl faktycznie przesiedział na podłodze, ale kiedy szczęknął zamek w drzwiach, na spotkanie wyszedł mu nieszczęśliwy, nachmurzony Douglas Harris we własnej osobie, w dzinsach i brązowym golfie. Twarz miał zaczerwienioną, jakby przed chwilą nabiegał się sporo po schodach.

- Proszę, niech pan wejdzie - rzekł uprzejmie.

Carl przeszedł za nim do rozległej sali, ale zamiast podążać trasą, którą znał z poprzedniej wizyty w konsulacie, skręcili od razu w prawo i znaleźli się w małym pokoiku z pogiętym metalowym biurkiem, dwoma krzesłami i paskudnym portretem królowej na ścianie naprzeciw wejścia. Carl podejrzewał, że w takich właśnie pokojach załatwia się natrętnych petentów, którzy nie zasługują na wiele czasu ani uwagi - tych, którym odmawia się wizy na wyjazd na leczenie; tych, którym nie przyznaje się obywatelstwa; no i namolnych dziennikarzy.

- Możesz mi powiedzieć, co to za bzdury? - odezwał się Douglas, siadając za biurkiem. - Nie lubię zonglować rozkładem dnia, żeby wykroić czas dla takich jak ty.

- Po tym, co powiem, będziesz jeszcze bardziej niezadowolony - rzekł Carl i wyjął z kieszeni kopertę z zapisanymi przed kilkoma godzinami kartkami. - "Globe" nie zamierza drukować artykułu o waszym konsulu. Zmyśliłem to.

- To po co, do ciężkiej cholery, wciskasz nam te brednie?

- Żeby się z tobą spotkać.

- Nic mnie to nie obchodzi. Mogę w każdej chwili zadzwonić do twojego szefa i bardzo uprzykrzyć ci życie.

- Wątpię. - Carl sięgnął po długopis i napisał coś na kopercie. - Sam już niemożliwie wkurzyłem wszystkich moich przełożonych w redakcji. Posłuchaj, Douglas: chcę, żebyś przekazał tę kopertę Sandy Price.

Douglas nie przyjął koperty z jego ręki, więc Carl położył ją na biurku.

- Dlaczego uważasz, że mogę to zrobić?

- Wymeldowała się z hotelu; wiem, że za kilka dni ma zostać deportowana, i wiem również, że się przyjaźnicie. Co najmniej przyjaźnicie. To naprawdę ważne, żeby ta koperta do niej dotarła.

Cisza przeciągała się, aż wreszcie Douglas szybkim ruchem podniósł kopertę.

- Sandy - przeczytał na głos. - Dzięki za ocalenie tyłka w New Jersey. Oto rozdział, którego pomysł mi podsunęłaś. Jeżeli zdecydujesz się powiedzieć mi prawdę,

zadzwoń; jeśli nie, życzę miłego powrotu do domu. - Podniósł wzrok na Carla. - Co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, co napisałem.

- Rozumiem... - Douglas postukał kopertą o blat. - Wiesz, nie mogę ci obiecać, że ją dostarczę.

- Jestem przekonany, że przynajmniej spróbujesz. - Carl wstał. - Kurczę, ona pewnie mieszka teraz gdzieś w konsulacie, nie? Żebyście mieli pewność, że przez te ostatnie dni nie narozrabia, nikomu się nie narazi i nie da się przymknąć miejscowym władzom. Fatalnie by było, gdyby taki incydent zakłócił nasze znakomite skądinąd stosunki z kuzynami zza oceanu.

Douglas patrzył na trzymaną w dłoni kopertę, gdy nagle jego twarz nabrała zdecydowanego, niemiłego wyrazu.

- Niech pan uważa, panie Landry. Nie wiem, co pan zamierza, ale to może być niebezpieczne. Nawet bardzo niebezpieczne dla takiego zwykłego dziennikarza jak pan.

- Niebezpieczne, mówisz... Jesteś tu już od jakiegoś czasu, prawda? Zdążyłeś przejechać się do Lexington albo Concord?

- Zdążyłem - odparł oschle Douglas.

- W takim razie wiesz, co się dzieje, kiedy zwykli ludzie, tacy jak ja, spotykają się z takimi jak ty. Dzięki za przestrożę.

Douglas nic nie odpowiedział, Carl natomiast zastanawiał się, czy po anszlusie attache prasowy konsulatu dostanie nową posadę - na przykład rzecznika przedstawiciela Anglików w Stanach.

- Odprowadzisz mnie? Czy może po prostu zaufasz mi, że sam trafię do drzwi?

Teraz Douglas również wstał, uśmiechając się kwaśno.

- Ależ ufam ci całkowicie - rzekł, po czym odprowadził Carla do wyjścia.

Carl spędził paskudne popołudnie we wschodnim Bostonie, mimo padającego deszczu włócząc się po okolicy, w której mieszkał Merl Sawson, i rozpytujac o niego wśród ludzi. Większość z nich nie miała pojęcia o nim samym ani o tym, w jakich barach, sklepach czy parkach najczęściej bywał. Carl liczył w duchu na to, że znajdzie jakiegoś kumpla Merla - byłego żołnierza, kibica sportowego, kogokolwiek! - ale odpowiadały mu tylko zdumione spojrzenia, przeczące ruchy głów i trzask

zamykanych przed nosem drzwi.

Starsze małżeństwo wyżaliło mu się, że gazety, które prenumerują, nie docierają na czas albo są podarte; skarżyli się też, że „Globe” nie jest już taki jak kiedyś. Słuchając ich skarg, czuł, jak czas przecieka mu przez palce. Gdzieś tam angielscy żołnierze szykowali się do akcji, podobnie jak i Jim Rowley z kompanami. Jim mu zaufał, uwierzył, że znajdzie rozwiązanie, tymczasem to popołudnie przyniosło w efekcie jedno wielkie nic. Carl spędził nawet pół godziny na maleńkim podwóreczku kamienicy Merla, przenosząc kamienie, grzebiąc w krzakach, szukając świeżo skopanej ziemi lub dudniącej pusto części fundamentów - każdej potencjalnej kryjówki na dokumenty.

Nie znalazł dosłownie nic, jeśli nie liczyć starych psich odchodów na zbrązowiałym trawniku - pewnie pozostawił je tam nieżyjący już pies Merla.

Carl przysiadł na tylnym ganku domu i zagapił się na sięgający mu do ramion płot ustawiony wokół podwórka. Był pomalowany szarą farbą, która teraz łuszczyła się i odpadała kawałkami. Carl splótł ciasno palce i skulił się, żeby ochronić się przed deszczem, który moczył mu włosy i przyczyniał się do narastającej beznadziei. Było mu zimno i bał się, że sprawa wymyka mu się z rąk.

Myśl, nakazał sobie w duchu. Oddychaj głęboko i myśl. Jeżeli staruszek naprawdę miał ważne dokumenty, to musiały zajmować trochę miejsca -może nie za dużo, ale zawsze; co najmniej grubą kopertę. Dobrze. Wojsko, policja i wszystkie inne możliwe służby przeszukały budynek, ale na razie nic nie znalazły. Teraz zaś wszystko złożyli na barki dziennikarza, który nie miał ani tylu ludzi, ani takich środków jak na przykład armia. To miłe, jak bardzo w niego wierzą, że wyciągnie królika z cylindra.

W takim razie Merl wyniósł papiery z mieszkania. I co, wysłał je gdzieś? Osobiście dostarczył przyjacielowi, o którego istnieniu Carl nie wiedział? A może w starczym poplątaniu po prostu zaniósł je na pocztę i zaadresował do prezydenta Kennedy'ego, na Pennsylvania Avenue 1600?

Rany boskie! Były i zniknęły. Carl spojrzał w górę, na okna mieszkania Merla. Dokumenty zostały zabrane. Tylko jak?

Spuścił wzrok na trawnik, czując słaby przyływ nadziei. Jezu! Może tak! Może.

Kiedy tuż przed zmierzchem zajechał coronetem na maleńki parking na tyłach

domu, zza kontenera ze śmieciami wynurzył się starszy mężczyzna i dyskretnie rozejrzał się dookoła. Miał na sobie połatane dżinsy, wełniany płaszcz do kolan, stare trampki i szare rękawiczki. W jego gęstej czarnej brodzie migąły pasemka siwizny. Na jego widok Carl sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu ćwierćdolarówki, ale mężczyzna powstrzymał go gestem i pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie, nie. Nie trzeba - powiedział. - Ja po prostu kogoś szukam. Pan Landry, prawda?

- Zgadza się - przytaknął Carl, zamykając drzwiczki wozu. - Przepraszam, ale czy my się znamy?

Mężczyzna zachichotał.

- Kiedyś dosłużyłem się majora, ale teraz, jak minęło tyle lat, wolałbym o tym zapomnieć. Możesz mnie nazywać Lotnikiem. Byłem pilotem.

- W porządku, Lotniku. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chodzi o Dwutonowca. Przesłał mnie do ciebie i kazał przyprowadzić do swojej dziury.

- Po co?

Lotnik podszedł bliżej, aż Carl poczuł na twarzy jego oddech.

- Źle się czuje i nie bardzo może chodzić. Prosił, żebym cię przyprowadził.

- Co mu się stało? - spytał Carl, sam zdziwiony, że aż tak przejął się losem starego weterana.

- Ktoś go pobił i tyle. Chodź, powiedział, że mi zapłaci. Nie traćmy czasu. Razem przeszli Comm Ave, później przecięli wąski skrawek parku i po spękanych chodniku doszli do następnej przecznicy, mijając kamienice bliźniaczo podobne do tej, w której mieszkał Carl. Dotarli do wylotowej Storrow Drive, po której drugiej stronie płynęła Charles River, dalej zaś piętrzyły się zabudowania Cambridge i MIT, gdzie studiował Troy Clemmons, sąsiad Merla Sawsona i działacz ruchu antypoborowego. Może on mógłby coś...

- To tu. - Lotnik przeszedł przez niską barierkę i zrobił kilka kroków w dół po trawiastym nabrzeżu. Zatrzymał się przy słupie telefonicznym.

Carl, nic nie rozumiejąc, szedł za nim. Znaleźli się na tyłach rzędu czynszówek, od strony parkingów i małych niezadaszonych ganków; prowadziła tu wąska dróżka dojazdowa. Porośnięty splątaniem zielskiem i krzewami brzeg rzeki tworzył w tym miejscu małe zagłębienie, którego drugi skraj stanowił nasyp Storrow Drive.

Lotnik obejrzał się na Carla i powtórzył:

- To tu. Chodź.

Opadł na czworaki. Carl poszedł w jego ślady, czując pod palcami wilgotną trawę i miękki grunt. Lotnik odgarnął trochę zeschniętej trawy na bok i odsłonił metalowy wąż niewiele mniejszy od drzwi samochodu. Rozejrzawszy się bacznie po okolicy, natężył się, sapnął i podniósł klapę. Pod nią znajdowało się wejście do pogrążonego w mroku tunelu, w którym daleko na końcu majaczyło słabe światełko. Lotnik dał Carlowi znak, żeby wszedł do środka, po czym zrobił to samo i zamknął wąż za nimi.

- To tutaj - oznajmił po raz trzeci. - Kryjówka Dwutonowca. On już na ciebie czeka.

Z drugiego końca doleciał słaby, lecz zrozumiały jeszcze głos:

- Lotnik, to ty? Przeprowadziłeś Carla?

- Widzisz? - powiedział Lotnik. - A nie mówiłem? Carl wyjął z portfela pięciodolarowy banknot.

- Dzięki. Świetnie się spisałeś.

- Wejdz. Ja poczekam na zewnątrz.

Carl poczołgał się dalej na czworakach, wymacując na ziemi kawałki drewna i krzywiąc się z bólu z nogach. Tunel kończył się obszerną pieczarą - miała dobre dziesięć metrów średnicy i dwa i pół metra wysokości, ściany z cegieł i betonową posadzkę, a oświetlały ją świece i sycząca lampa gazowa w kącie. Dwutonowiec leżał na materacu rzuconym na łóżko sklecone z kawałków desek. Niepewnie skinął Carlowi ręką na powitanie.

- Carl - wychrypiał, jakby bolało go gardło. - Cieszę się, że udało mi się cię tu ściągnąć. Musimy porozmawiać. Siadaj.

Obok kuchennego stołu stało stare szkolne krzesło. Carl przyciągnął je sobie do łóżka, rozglądając się po kryjówce Dwutonowca. W dziewiętnastym wieku pieczara służyła pewnie za piwnicę. Teraz pod ścianami stały regały, a na nich rzędy książek i puszek z jedzeniem. Na ścianach wisiało kilka podartych plakatów; jeden z nich przedstawiał wiśnie kwitnące w Waszyngtonie, inny -wprost niemożliwie przystojnego Johna F. Kennedy'ego i niewiarygodnie piękną Jacqueline. Pokój był nieco zagracony, ale czysty; z odchodzącego po lewej mniejszego tunelu dochodził powiew świeżego powietrza. Obok stał mały piecyk z kominem wyprowadzonym przez otwór w ceglany suficie.

Carl przeniósł spojrzenie na Dwutonowca: mężczyzna miał posiniaczoną

twarz, lewe oko tak spuchnięte, że w ogóle na nie nie widział, a w blasku świec jego poblizniona łysina wyglądała wyjątkowo paskudnie.

- Kto ci to zrobił? - spytał Carl. - Dzieciaki z sąsiedztwa? Tak? Dwutonowiec zakaszłał i pokręcił głową.

- Nie, nic z tych rzeczy. Wszystko przez taką jedną partyjkę pokera, którą wygrałem w 1961 roku.

- Przykro mi, Williamie, ale nie... Dwutonowiec uciszył go niecierpliwym gestem.

- Carl, chłopcze drogi, zawsze byłeś dla mnie miły. Zawsze. Miły i grzeczny. Jestem ci za to wdzięczny. Zawsze byłem. Ale nie jestem już Williamem; te czasy minęły bezpowrotnie. Jestem Dwutonowiec, jasne? Właśnie tak. I chcę, żebyś mnie tak nazywał.

Carl skinął głową. Coś ścisnęło go w gardle.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że to wszystko przez grę w pokera? Dwutonowiec zachichotał i podciągnął sobie koc pod brodę.

- Przepraszam; to taki niewinny żart z mojej strony. A co, myślałeś, że stary Dwutonowiec już do reszty zwariował?

- Nie, nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Przyszło, przyszło. - Dwutonowiec zakaszłał. - Ale jesteś za grzeczny, żeby mi to wprost powiedzieć. Widzisz, tak się złożyło, że w 1961 roku grałem kiedyś nocą w pokera, niedaleko od Fort Bragg. Karta mi szła, jak się patrzy, tak że nad ranem byłem ładne kilka stów do przodu. Poszedłem odebrać pieniądze i odpocząć, ale taki jeden młody kozak, podpity i odważny, nie chciał mnie wypuścić. Powiedział, że chce się odegrać. A ponieważ sam też byłem młody, powiedziałem mu, co o tym myślę i... no, dałem mu w mazak. - Dwutonowiec uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili. - To były piękne dni, kiedy człowiek czuł się młody i silny. Miłe uczucie. No nic; w każdym razie ten koleś odgrażał się, że jeszcze mnie znajdzie. A ja dobrze zapamiętałem jego twarz. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale twarz znam: kwadratowy łeb, malutkie oczka, prawie bez szyi.

- To było ponad dziesięć lat temu - zauważył Carl, rozcierając obolałe kolana.

- Co się teraz stało?

- Teraz? Co się teraz stało? No więc siedzę sobie jak zwykle i zarabiam na pieniądze, które płacie mi razem z sąsiadami, pilnuję okolicy, a tu jacyś goście ładują się do twojego mieszkania. Drugi raz. No, uznałem, że tym razem nie będę stał

i się przyglądał, jak odwalają tę swoją paskudną robotę.

- Nie musiałeś nic robić, Dwutonowcu - powiedział Carl. Był śpiący, zły i kompletnie wyczerpany.

- Akurat, nie musiałem! - Dwutonowiec pokręcił gniewnie głową. - Przecież żyjemy w Stanach Zjednoczonych, nie? I nikt nie powinien się kręcić po cudzym mieszkaniu bez pozwolenia. Nieważne; widziałem ich trzech, jak wchodzi na górę, więc postanowiłem poczekać na chodniku i zobaczyć, co będzie dalej. Wyszli w końcu, tacy zadowoleni z siebie i pyskaci, i mnie poniosło. Idę do nich i mówię, żeby wynosili się z naszej ulicy. Zaczęli mnie bić. Postawiłem się im, na ile mogłem; patrzę na tego największego dryblasza i myślę sobie „fuli”. I zaczynam się zastanawiać, co mi do łba strzeliło. No i wszystko sobie przypomniałem: pokera i tego zasmarkanego porucznika, który się tak na mnie pienił. Trochę się przejąłem, bo też zaczął mi się przyglądać, więc myślę sobie: „Czas z tym kończyć”.

- I co zrobiłeś?

Dwutonowiec oblizwał nerwowo wargi.

- Poddałem się. Upadłem na ziemię, zwinąłem się w kłębek i pozwoliłem, żeby mnie skatowali. Jak już leżałem, przywalili mi jeszcze kilka razy, trochę skopali, a potem poszli, naśmiewając się z brudnych włóczęgów. Nie było to miłe, oj nie. Myję się często i zawsze staram się czysto ubierać; nie moja wina, że nie mam tu ciepłej wody.

- Coś jeszcze się wydarzyło? - spytał Carl, ze zdumieniem rejestrując, że z całej siły zaciska pięści.

- A nie uważasz, że to wystarczy jak na jeden dzień? - zaśmiał się Dwutonowiec i znów się rozkaszał. - Siedziałem tak przez chwilę, obolały, zakrwawiony, aż przyszedł Lotnik i zaciągnął mnie do mojej dziury. Od tej pory tu siedzę. Poprosiłem go, żeby pokręcił się pod twoim domem i przyprowadził cię, jak tylko się zjawisz. No i jesteś.

- Dziękuję... Dziękuję ci za wszystko, Dwutonowcu. Za wszystko. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

Stary weteran poruszył się niespokojnie.

- Nie martw się, w ogóle się tym nie przejmuj. W końcu obaj jesteśmy żołnierzami i musimy się troszczyć o siebie nawzajem, nie? Wystarczy kilka ćwierćdolarówek i może ze dwie puszki szynki. Lubię szynkę, ale rzadko mnie na nią stać. Och, jeszcze dwie sprawy, jeśli łaska...

- Śmiało.

Dwutonowiec powiódł wzrokiem po pokoju.

- To moja kryjówka; tylko kilka osób wie, gdzie jest. Ty nikomu o niej nie powiesz, prawda?

Carl poklepał go po nodze.

- Nie pisnę nikomu ani słówka - zapewnił go. - Ale to dobrze, że wiem, gdzie cię znaleźć: jak zawyją syreny, nie będziesz musiał mnie szukać. Sam przyjdę.

Dwutonowiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Kapitalnie. A ta druga sprawa... Czegoś ci jeszcze o tych trzech gościach nie powiedziałem, Carl.

- Słucham.

- Powiedzieli coś jeszcze, zanim mnie zostawili i sobie poszli. Myślałem, że mówią o mnie, ale coś mi się widzi, że to było o tobie.

Carl splótł dłonie; miał wrażenie, że ściany i sufit podziemnego pokoju napierają na niego.

- Mów, słucham.

- Jeden zapytał: „A jeśli to na niego nie podziała?”, na co drugi, ten z Fort Bragg, się zaśmiał. „No to co!” - powiedział. „Jeszcze jeden martwy weteran wojenny. Po pierwszym jest już coraz łatwiej”. I wszyscy się roześmiali.

Następnego dnia, w czwartek, wrócił do „Globe”. Usiadł przy swoim biurku i popatrzył po ogromnej sali redakcyjnej. Klekot maszyn do pisania i dzwoniące telefonów świdrowały mu w uszach; wszystko było zbyt jaskrawe, zbyt jasne i zbyt hałaśliwe. Zdziwił się, widząc, że biurko zostało uprzątnięte do czysta, a jeszcze bardziej zdumiał go fakt, że na jego widok George Dooley, szef działu miejskiego, wstał i lawirując wśród biurek, ruszył w jego stronę. Dooley sam kiedyś powiedział: „Jedynym miejscem, w którym redaktor może rozmawiać z reporterem, to okolice biurka tego pierwszego”.

Tymczasem tak się złożyło, że drugi raz w tym tygodniu George fatygował się do Carla, zamiast wzywać go do siebie.

Szef był w białej koszuli, czarnych spodniach i równie czarnym krawacie. Skinął mu głową na powitanie.

- Cieszę się, że znów cię widzę - powiedział.
- Dzięki, George.
- Nauczyłeś się czegoś przez ten czas?

Carl omal się nie roześmiał, słysząc tak absurdalne pytanie, ale zdołał nad sobą zapanować.

- Nawet sporo, ale chyba niczego, co mogłoby mi się tu przydać. George się uśmiechnął.

- No dobrze... W takim razie proponuję, żebyś zaczął spokojnie przyzwyczajać się na nowo do swoich obowiązków. Masz. - Podał Carlowi złożony świstek papieru. - O drugiej burmistrz urządza konferencję prasową. Będzie mówił o udziale naszego miasta w jesiennej akcji Stowarzyszenia do Walki z Rakiem.

- Zrobi się - zapewnił go Carl, kładąc sobie kartkę na biurku. George już chciał wrócić do siebie, ale obejrzał się jeszcze przez ramię.

- Jeszcze jedno, Carl.
- Tak, słucham?
- Nie zepsuj tego, dobrze?

Zdaniem Carla równie dobrze cały gmach redakcji mógłby się nagle zatrząść w posadach. George uprzejmy? George miły i grzeczny?!

- Przed końcem dnia dostaniesz ten materiał - obiecał. Zostały mu cztery dni.

Wyszedł na kawę, a kiedy wrócił, na krześle zastał następną karteczkę:

Panie Landry, proszę pilnie o spotkanie.

Devane

Zmiał karteluzek i wyrzucił go do kosza. Nie odstawiając kubka z kawą, poszedł prosto do biura redaktora nadzorczego. Major Devane, przypominający w cywilnym ubraniu dobrze odżywioną łasicę, wstał zza biurka i spiorunował go wzrokiem.

- Zamknijcie za sobą drzwi, Landry, dobrze?

Carl przymknął drzwi, pozostawiając jednak małą szparę. A masz; może cię to wkurzy, pomyślał i nie czekając na zaproszenie, usiadł.

- Słyszałem, że wróciliście do aktywnej rezerwy, sierżancie - ciągnął Devane.

- Wiem też, iż cieszyicie się zaufaniem generała Curtisa i wykonujecie zlecone przez niego osobiście zadanie. To wszystko prawda, ale jeśli jeszcze raz w mojej obecności bez pozwolenia odważycie się usiąść, Landry, pošlę was pod sąd.

- Niech będzie. - Carl pociągnął łyk kawy. - O co chodzi?

Devane poczerwieniał, ale usiadł bez słowa i zaczął przeglądać jakieś papiery.

- Najchętniej widziałbym was skazanych na dziesięć lat pracy w obozie dekontaminacyjnym pod Miami - przyznał. - Podobno nawet teraz, po latach, w gorące dni smród jest tam taki, że można się udusić. - Spojrzał na Carla. - Na razie jednak poproszono mnie o przekazanie pewnych informacji. Jak wam zapewne wiadomo, pułkownik Sawson posiadał pewne dokumenty o kapitalnym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego. Nie udało się ich odnaleźć, mimo że pracownicy wywiadu wojskowego, a potem także bostońska policja i miejscowe FBI starannie przeszukali wszystkie mieszkania w budynku - także lokale zajmowane przez sąsiadów; przy okazji przesłuchano również listonosza. Nic nie zostało z tego domu wysłane. Także bostońskie firmy kurierskie nie mają w papierach żadnego śladu takiej przesyłki.

- Czy Sawson nie miał przypadkiem siostry? - zagadnął Carl, przypominawszy sobie rozmowę z właścicielem kamienicy.

- Owszem, miał. Od ponad sześciu lat nie żyje. Przeszukano także jej byłe mieszkanie w Detroit. - Devane się uśmiechnął. - I to by było tyle, Landry;

zapoznałem was z wynikami śledztwa. Wczoraj w nocy rozmawiałem przez telefon z generałem Curtisem, szyfrowaną linią oczywiście; prosił, bym przekazał wam te informacje, a także udzielił wszelkiej możliwej pomocy.

- A na jaką pomoc z pańskiej strony mogę liczyć?

- Praktycznie żadną. - Devane rozpromienił się jeszcze bardziej. - Bo widzicie, sierżancie Landry, ja was nie lubię. Nigdy nie lubiłem. Zamierzam dołożyć wszelkich starań, by ta misja zakończyła się waszym niepowodzeniem. Kiedy przestaniecie się cieszyć względami generała, traficie prosto w moje ręce, Landry.

- Wiadomość o tym, że mnie pan nie lubi, to chyba najprzyjemniejszy akcent dzisiejszego dnia, panie majorze - przyznał Carl. Miał ochotę cisnąć kubek z kawą prosto w twarz Devane'a. - Właściwie bardziej ucieszyłaby mnie chyba tylko wiadomość, że na Manhattanie dopadły pana zdziczałe psy. A właśnie, jak się panu tam podobało?

Uśmiech Devane'a stał się bardziej cierpki, nieprzyjemny.

- Przypuszczam, że bardziej niż wam, Landry.

- Co by pan zrobił, gdyby mnie pan wtedy znalazł? Zastrzelił mnie? Czy przesłuchał?

- Jedno albo drugie, Landry. Jedno albo drugie... Zanim wyjdziecie, jest jeszcze jedna sprawa. W wypadku - mało prawdopodobnym, zaznaczam - gdybyście coś jednak odkryli, generał przydzielił wam osobistego łącznika. - Devane sięgnął po telefon. - Clair? Przyślij do mnie kapitana Rowlanda, jeśli łaska.

Odłożył słuchawkę i dodał:

- Może nawet się znacie - przez jakiś czas służył, tak jak i wy, w oddziałach specjalnych.

W drzwiach stanął masywnie zbudowany krótko ostrzyżony mężczyzna w źle skrojonym brązowym garniturze. Na jego widok Carl omal nie wypuścił kubka z rąk. Przybysz był zbudowany jak rasowy obrońca futbolowy. Carl od razu przypomniał sobie zasłyszany poprzedniego dnia opis: kwadratowy łeb, malutkie oczka, prawie bez szyi. Wstał od biurka.

- Kapitanie Rowland, oto sierżant Landry - przedstawił ich sobie Devane. - Nie spotkaliście się już wcześniej?

Kapitan omal nie zmiażdżył Carlowi dłoni w uścisku, Carl zaś ze wszystkich sił starał się nie pozostać mu dłużny. Spojrzawszy na jego dłoń, ujrzał otarcia na kłykciach, jakby Rowland z kimś się niedawno bił. Czując na sobie ciekawy wzrok

majora, Carl skłamał najlepiej, jak umiał:

- Przykro mi, majorze Devane. Nie miałem przyjemności poznać kapitana Rowlanda.

Jakiś czas potem, wróciwszy już do biurka, długo starał się złapać normalny oddech, jakby dopiero co ukończył długi, męczący bieg. W ręce trzymał zwykłą białą wizytówkę z nazwiskiem kapitana Rowlanda i dopisanym odręcznie numerem telefonu.

- O każdej porze dnia i nocy, sierżancie - rzekł Rowland, wręczając mu ją. - Jak tylko odszuka pan to, co ma pan znaleźć, proszę zadzwonić. Przejmiemy znalezisko od pana.

W czasie spotkania z kapitanem Carl kiwał tylko potakująco głową w odpowiednich momentach. Przejmiemy znalezisko - tak próbowaliście przejąć od Merla Sawsona. Wystarczy kilka kuł w tył głowy i będziecie mieli następnego martwego weterana.

Schował wizytówkę do kieszeni na piersi i wziął z biurka porzucony tam wcześniej notatnik. Przeglądając go, natknął się na niechlujne notatki ze spotkań z różnymi ludźmi w pierwszych dniach po śmierci Merla Sawsona. Detektyw Paul Malone - powołany do służby w marynarce i wysłany na kuter patrolowy na Pacyfiku. Andrew Townes - przejechany przez samochód pod własnym domem. Troy Clemmons, student MIT i aktywista ruchu antypoborowego - albo aresztowany, albo się ukrywa po nalocie na swoje mieszkanie.

Ludzie, którzy mieli to nieszczęście, że dało się ich powiązać z Merlem i jego zgonem, albo zniknęli z Bostonu, albo zginęli jak on. Biorąc pod uwagę zrobiony poprzedniego dnia obchód sąsiednich domów i uliczek, niewiele mu tropów zostało. Na dobrą sprawę znalazł tylko stare psie kupy na podwórku. Co dalej?

Cztery dni. Jim Rowley. Anszlus.

Powiódł wzrokiem po sali redakcyjnej; zwrócił uwagę na to, jak ludzie demonstracyjnie go ignorują. Nic nowego; może za tydzień w ogóle go tu nie będzie, a wtedy do diabła z nimi wszystkimi. Przypomniał sobie słowa swojego sierżanta sprzed lat:

- Kiedy sprawy układają się źle, żołnierzu, macie zamknąć dziób i być żołnierzem.

Dobra rada. Uniwersalna.

Chwilę jeszcze przeglądał notes, ale na widok przechodzącego obok Jacka Burnsa coś przyszło mu do głowy. Odłożył notes i podszedł do stojącego pod ścianą biurka Jacka. Uśmiechnął się słabo, gdy tamten podniósł na niego wzrok.

- Cześć, Carl - zagadnął go Burns. Miał na sobie odprasowane w kant dzinsy i czarny sweter. - Jak tam było na wygnaniu?

- Jak na wygnanie to całkiem nieźle - odparł Carl, przysiadając się do niego. - Mogę cię zaprosić na lunch?

Jack odwrócił wzrok.

- Wiesz, mam sporo roboty i...

- Nie chcę stawiać cię w kłopotliwej sytuacji. Jeśli chcesz się spotkać w jakimś spokojnym miejscu, powiedz gdzie. Zajmę ci tylko chwilę, a bardzo potrzebuję twojej pomocy. Bardzo.

Jack napisał coś na kawałku papieru.

- Przykro mi, Carl - rzekł. - Nie mogę ci pomóc.

Podsunał Carlowi kartkę z wypisanymi słowami: „Old Ale House, w południe”.

Carl skinął głową, podarł papiera i wrócił do swojego biurka.

Ale House był tanią jadłodajnią położoną o kilka przecznic od redakcji. Siedli z Jackiem w jednej z łóż w głębi sali. Zamówili cheeseburgery, a gdy lunch pojawił się na stole, Jack powiedział:

- Nie bierz tego do siebie, Carl, ale w tej chwili jesteś równie niebezpieczny jak centrum Omaha.

- Wyobrażam sobie... Co się działo, jak mnie nie było? Jack wgrzył się w cheeseburgera.

- Co rusz zjawiali się smutni panowie w garniturach, żeby porozmawiać z George'em i z majorem Devane'em. Po cichutku, za zamkniętymi drzwiami. A twoje biurko ze dwa razy przeszukiwali, co samo w sobie pokazuje, jaki ważny się stałeś.

- Dlatego że przeszukali mi biurko?

- Nie. - Jack pokręcił głową. - Dlatego że zrobili to w biały dzień, przy wszystkich; nic ich nie obchodziło, czy ktoś to zobaczy. Ale mniejsza z tym: jak tam było w krainie duchów?

Carl też zaczął jeść: cheeseburger był gorący, smaczny i z prawdziwego mięsa. Kurczę, może generał jednak mówił prawdę; może faktycznie kraj się odradzał.

- Samotnie. Ciemno. Dla ciebie samego lepiej będzie, jak ci więcej nie powiem.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- To najlepsze, co od ciebie usłyszałem, odkąd wróciłeś po urlopie.
- Jack, ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Uśmiech Jacka zbladł.
- Jakiego rodzaju miałyby to być pomoc?

- Szukam pewnego człowieka. - Carl napisał dwa słowa w notesie i podsunął go Jackowi pod nos. Jack podniósł kartkę do światła. - Troy Clemmons... Kim, do ciężkiej cholery, jest Troy Clemmons?

- Mieszkał w tym samym domu co ten zamordowany stary żołnierz, tylko piętro wyżej...

- Rany boskie, Carl! Można by pomyśleć, że ten gość był twoim wujkiem; cały czas się go czepiasz. Mało ci kłopotów? Chcesz sobie do reszty spieprzyć karierę?

Carl przełknął kolejny kęs.

- Mniej więcej. Poza tym mam dość sekretów, kłamstw, włamań do mieszkania i traktowania mnie jak trzyletniego dzieciaka. Nikt z nas nie ma już trzech latek, do licha! Jako dziecko nie lubiłem, kiedy ktoś mi mówił, co mam robić; teraz jeszcze mniej mi się to podoba.

- Po co ci ten Troy?
- Muszę z nim porozmawiać, a on od ponad tygodnia nie pojawia się w domu.
- A dlaczego uważasz, że mogę ci pomóc go znaleźć? Carl przeplukał usta

łykiem wody.

- Bo jest studentem MIT i aktywnym działaczem ruchu antypoborowego. Muszę się z nim spotkać.

Jack złożył kartkę z nazwiskiem Clemmonsa na pół i położył na stole.

- Powtarzam się, ale zapytam jeszcze raz: dlaczego uważasz, że mogę go odszukać?

Carl powiódł wzrokiem po wnętrzu restauracyjki: przy barze stało kilku listonoszy, jedząc szybki lunch na stojąco, a ostatnią w rzędzie łóż zajmowała starsza kobieta pochylona nad złożonym wpół „Boston Heraldem”. Jadła zupę ze skorupiaków.

- Bo jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który może mieć kontakty w takim światku.

- Cholera jasna! Jestem krytykiem muzycznym!
- Nie, Jack, jesteś krytykiem rockowym. Ile razy mi tłumaczyłeś, że rock jest właściwie jedyną formą wyrażania buntu, jaka jeszcze jest w tym kraju dostępna? Ile razy cytowałeś mi teksty piosenek, odkrywając przede mną ich ukryte znaczenie? Czy to tylko poza, czy naprawdę jesteś człowiekiem kontr-kultury?

Jack wziął cheeseburgera do ręki, ale odłożył go na talerz, nie biorąc do ust następnego kawałka.

- Nie pouczaj mnie, Carl. Ty może nie lubisz, jak ktoś ci mówi, co masz robić, aleja wprost nie cierpię kazań.

- W porządku.

- Sęk w tym, że wolę iść na łatwiznę. Zarabiam niezłą kasę, piszę o muzyce, chodzę na koncerty i spotykam się z ciekawymi ludźmi. Są imprezy, darmowe drinki, żarcie, bilety i stada dupofanek, których nie obchodzi, czy należysz do zespołu, czy nie. Postrzegają cię jako stały element sceny i jak przychodzi co do czego, chętnie ładują ci się wieczorem do łóżka i równie chętnie z niego wyskakują nad ranem. Bez łaż, bez zobowiązań. I ja to lubię. Nawet bardzo. - Jack wbił wzrok w blat stołu, zatłuszczony i poznaczony brudnymi obrączkami od stawianych na nim szklanek. - Ale zaczynam mieć tego dość, jak wszyscy. Widzisz, ja też nie lubię, jak ktoś robi ze mnie dziecko.

Carl złapał się na tym, że wstrzymuje oddech, czekając na dalsze słowa Jacka, ten zaś wziął ze stołu świstek z nazwiskiem Clemmonsa i schował go do kieszeni.

- Nic nie obiecuję - rzekł. - Absolutnie nic. I na tym koniec, Carl, jasne? Nie będzie więcej przysług.

- Mogę zapłacić za lunch?

- Nie krępuj się.

Wróciwszy do redakcji z konferencji prasowej, na którą wysłał go George, zastał na biurku szarą kopertę wsuniętą pod maszynę do pisania - bez nazwiska, bez adresu nadawcy, czysta koperta z szarego papieru. W środku znalazł pojedynczą kartkę kredowego papieru wyrwaną z broszury reklamowej Bostońskiej Izby Handlowej. Przedstawiała pomnik, który bez trudu rozpoznał: statuę upamiętniającą sławny 54. Regiment z Massachusetts, który zasłynął w wojnie secesyjnej -jeden z pierwszych murzyńskich oddziałów wojskowych w tamtych mrocznych czasach. Pomnik przypominał trochę ustawiony na cokole obraz, a przedstawiał maszerujących

żołnierzy i ich dowódcę majora Shaw, który prowadził ich do bitwy i do podręczników historii.

Statua znajdowała się w Boston Common, dużym parku naprzeciwko State House - całkiem blisko domu Carla. Przypomnił sobie jeszcze, że podczas jednej z bitew w Karolinie Południowej regiment majora Shaw został zdziesiątkowany.

- Strasznie mi przykro - mruknął pod nosem i obrócił kartkę. Na odwrocie ktoś napisał długopisem: „12.00, piątek, TC”.

Jack podniósł na chwilę wzrok znad biurka, ale zaraz wrócił do pracy. Carl przypomniał sobie, że powinien zacząć znów oddychać.

Wtedy przypomniał sobie coś jeszcze i zaczął gorączkowo grzebać w papierach, które już zdążyły się nagromadzić na biurku. Znalazł interesującą go ulotkę słabo odbitą na fotokopiarce: na piątek zapowiadano w Boston Common protest antypoborowy połączony z wiecem wyborczym George'a McGoverna. Ulotka przedstawiała stylizowany rysunek studentów, nauczycieli, robotników i urzędników maszerujących zgodnie pod transparentem z napisem 1972. BOSTOŃSKA KOALICJA PRZETRWANIA.

Wyglądało to sensownie: gdzie szukać dezertera i ukrywającego się dysydenta, jeśli nie na marszu protestacyjnym?

Kiedy wieczorem wrócił do domu, czekała na niego przy drzwiach wejściowych, w cieniu pojemników na śmieci.

- Carl? - zagadnęła niepewnie. - Możesz mi poświęcić chwilę? Zatrzymał się i spojrzał na nią; po dłoniach nagle przebiegły mu nerwowe ciarki.

- Sandy... Rozumiem, że otrzymałaś mój ą przesyłkę od Douga Harrisa?

- Tak... Tak, dostałam ją. Podeszła bliżej.

Carl przyjrzał się jej uważnie: wydawała się blada i zmęczona; nie wyjmowała rąk z kieszeni płaszcza.

- Napisałem ci, co możesz zrobić - rzekł Carl. - Skoro przyszłaś na spotkanie, to znaczy, że chcesz mi powiedzieć prawdę. Mam rację?

Sandy spuściła wzrok.

- Naopowiadali ci o mnie paskudnych rzeczy, co?

- Bardzo paskudnych. Po tym, jak żołnierze znaleźli mnie na ulicy, skończyło się na spotkaniu z generałem Ramseyem Curtisem. Poruszyliśmy w rozmowie kilka tematów, między innymi twój. Nic miłego.

- Z generałem? Naprawdę rozmawiałeś z generałem?

- Rozmawiałem i nie było to zbyt zabawne, Sandy. Nie odgrywałem roli dziennikarza, lecz sierżanta, który musi wysłuchiwać, jak jego przełożony bredzi o polityce i tajemnicy państwowej. Jedna z tych tajemnic związana była z twoją osobą. Sandy się wzdrygnęła.

- Sama chciałam ci to powiedzieć, naprawdę, ale jakoś nigdy... Nie mogłam znaleźć stosownej chwili.

Myśli i obrazy przelatowały Carlowi przez głowę jak na pokazie slajdów puszczone w przyspieszonym tempie. Sandy, pierwsze spotkanie w konsulacie; rozmowa na balkonie; spacer w ruinach rezydencji Kennedych; pierwsza wspólna noc; lot na Manhattan; zasadzka; odkrycie sekretów SP 19 i Manhattanu, a potem...

Czarno-białe zdjęcia rozrzucone na biurku generała.

- Może teraz jest stosowna chwila - zauważył. - Dla kogo pracujesz, Sandy? I czy to twoje prawdziwe imię i nazwisko?

- Chryste Panie, oczywiście, że prawdziwe. I naprawdę pracuję w „Ti-mesie”.

- A co z MI6?

Sandy wzięła głęboki wdech.

- Sprawa jest prosta, naprawdę. Miałam tu spędzić kilka tygodni, zrobić materiał o dziesiątej rocznicy, wykorzystać kilka ciekawych kontaktów. Mój ojciec... No, krótko mówiąc, pracuje w Whitehallu i na pewno ma znajomych w wywiadzie, chociaż nigdy wprost mi tego nie powiedział. Przed wyjazdem zgłosił się do mnie ktoś z MI6, prosząc o przysługę. Przeszkolili mnie trochę w szpiegowskim rzemiośle - wiesz, trochę zabaw jak z filmu płaszcz i szpady - i przysłali tutaj. Wszystkich zagranicznych korespondentów prosi się o takie przysługi; nie byłam pierwsza i nie będę ostatnia.

- Jakie przysługi? Sandy przebiegł dreszcz.

- Przepraszam cię, Carl, ale zmarłam strasznie. Muszę już iść.

- Zaczekaj, wejdziemy na górę, rozgrzejesz się - zaproponował Carl sam zdziwiony, jak bardzo zależy mu na tej rozmowie.

Sandy pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie mogę. - Machnęła ręką, wskazując pobliski park. - Ja też mam swoich opiekunów, którzy pilnują, żebym nie wpakowała się w nowe tarapaty. I tak strasznie się pieklili, kiedy uparłam się, że tu przyjdę, ale musiałam się z tobą zobaczyć, chociaż na chwilę... Zgodnie z obietnicą wyciągnęłam mnie z Manhattanu, a ja ci tego

nie zapomnę. Nigdy.

- Musisz mi jeszcze powiedzieć kilka rzeczy - nalegał Carl. - Cholera, na Manhattanie mówiłaś, że chcesz pomóc Jimowi i jego ludziom. Czy te słowa jeszcze coś znaczą? Czy też ludzie, którym wyświadczasz przysługi, stoją po stronie spadochroniarzy? Miałas zebrać dla nich informacje? Odkryć tajemnice Manhattanu?

Sandy znów wbiła wzrok w ziemię.

- Naprawdę muszę już iść, Carl.

- Jutro... - powiedział. - Jutro w Boston Common jest wiec przeciwników poboru. Na pewno uda ci się na chwilę wyrwać; powiesz swoim opiekunom, że masz przygotować jeszcze jeden materiał przed odlotem.

Patrzył na nią- na kobietę, która przybyła z zagranicy i zabrała go do miejsc, o których nawet nie śnił, że je zobaczy; przypomniła mu rzeczy, o których dawno zapomniał.

Sandy obejrzała się przez ramię w stronę swoich ukrytych opiekunów.

- Chyba tak... - mruknęła.

- W takim razie do zobaczenia jutro, pół do pierwszej. W parku, od strony Beacon Street, znajduje się taki znany pomnik przedstawiający oddział czarnoskórych żołnierzy. Tam się spotkamy.

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Dobrze, spróbuję przyjść. Ale teraz muszę...

Carl zrobił krok w przód i mocno ją pocałował. Z początku się opierała, ale potem odwzajemniła pocałunek. Objął ją, przytulił mocno i usłyszał jej szept przy uchu:

- Przepraszam, że nie mogę zostać na noc. Tyle mam ci do powiedzenia. Ale oni patrzą...

- Rozumiem. Dzięki za ocalenie mi skóry w New Jersey. I jeszcze jedno, Sandy... Miło było cię zobaczyć.

Odpowiedziała uściskiem na jego uścisk.

- Ciebie też, Carl. Ciebie też.

Wyśliznęła się z jego objęć, podali sobie jeszcze ręce, a potem odprowadził ją wzrokiem, kiedy przebiegła przez ulicę i zniknęła w parku. Kiedy był już całkowicie pewien, że nie mignie mu nigdzie wśród drzew, wrócił do pustego mieszkania. Myślał o zdjęciach, które widział u generała, a które dowodziły, że Sandy była szpiegiem, nasłanym z zagranicy szpiegiem.

A potem przypomniał sobie jej dotyk. I jej smak.
Cztery dni.

Sprawa Imperium: 5

Dzień był zimny. Major Kenneth Hunt stał na zaimprovizowanym podwyższeniu w hangarze. Przed nim znajdowało się bez mała dwustu mężczyzn wchodzących w skład jego kompanii, których miał poprowadzić do walki przeciw dawnemu sojusznikowi. Obok stał oddział saperów królewskich, którzy, jak sami to żartobliwie ujęli, zabierali się ze spadochroniarzami na przejażdżkę. Wszyscy siedzieli na poustawianych w równe rzędy krzesłach. Pierwsza część odprawy dobiegła końca i Hunt widział po twarzach swoich żołnierzy, że musiałby wygłosić porywającą mowę, by choć częściowo zatrzeć potworne wrażenie słów, które dopiero co usłyszeli - i to mimo że większość już wcześniej się domyślała, o co chodzi.

Wcale nie był przekonany, czy podoła temu zadaniu.

Zmusił się do uśmiechu i przeszedł na skraj podwyższenia. Jedną rękę trzymał w kieszeni zaciśniętą na cybuchu fajki; ten gest zawsze dodawał mu pewności siebie. Za jego plecami asystenci właśnie zakrywali odsłonięte na czas odprawy plansze z napisem ŚCIŚLE TAJNE - na wypadek, gdyby jakiś niepowołany świadek przybłąkał się przypadkiem do hangaru. Major Hunt powiódł wzrokiem po zebranych.

- Przyszedł czas, co sami chyba rozumiecie, żebym przemówił do was niczym Henryk V, wiecie: „My, nieliczni szczęśliwi, my - bracia”. Znacie te bzdury.

Udało się: na twarzach chłopaków pojawiły się niepewne uśmiechy. Małe zwycięstwo. Hunt uczeplił się tego sukcesu i mówił dalej:

- Ale nie muszę wam tego mówić, bo i bez tego wiecie, kim jesteście. Jesteście spadochroniarzami; jesteście najlepsi z najlepszych. I macie to jeszcze raz udowodnić. - Gestem wskazał wrota hangaru. - Tam, w innych hangarach, znajdują się wasi koledzy z kompanii B i C. Ich też czekają trudne zadania, tym bardziej że mają wkroczyć do New Jersey i na Manhattan i podjąć działania wymierzone przeciw cywilom. Ale my nie; wiecie już, na czym polega nasza misja. Zmierzymy się z żołnierzami sił powietrznych armii amerykańskiej w bazie Plattsburgh w stanie Nowy Jork. To trudne, ambitne zadanie i właśnie dlatego my dostaliśmy je do wykonania, my, kompania A. Regiment księcia Wellington był w Plattsburghu przed nami, w 1812; zmierzili się z Jankesami i wygrali. Mamy szczytny wzór do naśladowania.

Jego chłopcy milczeli. Hunt zrobił kilka kroków na podwyższeniu, marząc o tym, żeby było już po wszystkim, bo wtedy mógłby zaszyć się spokojnie w swoim

pokoju z jakąś sympatyczną flaszeczką whisky i pić, patrząc na zdjęcie Rachel. Ach, cóż za piękny sen!

- Operacja została zaplanowana i przećwiczona z niezwykłą starannością -ciągnął. - Wylecimy z Kanady razem z pozostałymi kompaniami; rozstawione przy granicy radary wychwycą tylko zwykły, spodziewany ruch w powietrzu, a wtedy my skręcimy w stronę Plattsburgha, meldując, że mamy kłopoty z silnikiem. I od razu zaczniemy skakać. - Wśród ludzi rozległy się zdumione szepty; Hunt podniósł głos: - Będziemy dzięki temu dysponować przewagą zaskoczenia. Ich komandosi z początku nie będą wiedzieli, co robić - pamiętajcie, nie są tacy świetni jak dawniej: ubogie pożywienie, minimum treningu i powszechna niechęć do służby wojskowej działają na naszą korzyść. Nie powinni stawiać znaczącego oporu. - W tym miejscu Hunt skinął na saperów. - Pomożemy oddziałowi królewskich saperów dostać się jak najszybciej do bunkrów z bronią, zabierzemy, co trzeba, załadujemy głowice i wyniesiemy się z bazy. Przed wschodem słońca wrócimy do Trenton. Za kilka godzin będzie po wszystkim.

Świetnie, pogratulował sobie w duchu. Jeszcze jedna sprawa i skończy się to cholerne przemówienie.

- Jakieś pytania, chłopcy? Odpowiedziała mu cisza. Doskonale.

Chciał już powiedzieć: „Dziękuję, jesteście wolni”, kiedy ktoś z tłumu podniósł rękę.

- Za pozwoleniem, panie majorze... - Jakiś sierżant wstał z krzesła i stanął z rękami założonymi za plecy.

- Słucham, sierżancie? - Hunt starał się nie okazać irytacji. - O co chodzi?

- A co z uderzeniem odwetowym, panie majorze? - W głosie sierżanta brzmiała tłumiona złość. - Co będzie dalej, jak już załatwimy sprawę? Czy Jankesi nie będą chcieli się zemścić? Inne oddziały mogą przecież przegapić część pocisków. A nasz kraj jest taki mały... Wystarczy kilka bomb i będzie po nas!

Odpowiedział mu szmer ściszonych głosów i wybijające się z niego okrzyki aprobaty.

- Dobre pytanie, sierżancie - przyznał Hunt. - Wszystko zostało starannie przemyślane i zaplanowane. Znamy lokalizację wszystkich bomb i głowic atomowych, co do jednej - w lukach samolotów, na okrętach podwodnych i wyrzutniach rakiet. Nie znam wszystkich szczegółów, ale równoległe z nami do akcji wkraczają pozostałe oddziały: marynarka, SAS, piechota morska. Jankesi nie zdążą

związać nas walką: mamy tylko porwać bomby i zniknąć. A jeśli nawet jedna czy dwie zostaną w Stanach, większość będzie w naszych rękach. Nie odważą się nas zaatakować.

- A co zrobimy potem? - zapytał ktoś inny. - Co zrobimy, jak już zbierzemy cały ten makabryczny ładunek? Mamy oddać bomby ONZ?

- Z pewnością do tego dojdzie - odparł spokojnie Hunt. - Nie potrzebujemy ich. Dzięki naszej misji świat ma się stać bezpieczniejszym miejscem; mamy rozbroić kraj, który nie powinien władać bronią nuklearną.

- Fantastycznie - rzucił ktoś sarkastycznie, choć nie odważył się wstać i ujawnić wśród tłumu. - W jedną noc znów staniemy się najpotężniejszym państwem na kuli ziemskiej, a potem z własnej woli się rozbroimy. W takie bajki to ja nie uwierzę.

Ludzie znów zaczęli szeptać i pomrukiwać między sobą. Hunt zszedł na skraj podwyższenia.

- Chłopcy, mamy do wykonania paskudną robotę - powiedział. - Ja to wiem i wy to wiecie. Ale poproszono nas o to i zrobimy to odważnie i z honorem. Nie dla naszego cholernego premiera, nie dla jego ministrów, ministerstwa obrony ani tych zarozumiałych palantów z Whitehallu. - Tym razem zapadła całkowita cisza. - Zrobimy to, bo taki mamy zawód. Zrobimy to dla regimentu. To wszystko. Rozejść się.

Zszedł z podwyższenia. Nogi trzęsły mu się tak samo jak przed laty, kiedy na pokładzie samolotu szykował się do pierwszego w życiu skoku ze spadochronem.

Po wyjściu z hangaru zdążył zrobić zaledwie kilkanaście kroków, gdy rozległy się strzały z automatu. Odwrócił się na ich dźwięk, a wtedy zawtórowały im krzyki, dźwięk klaksonów i wycie syreny. Zaczął biec w kierunku, z którego dobiegały te odgłosy; dłonie swędziały go z nerwów, pozbawione uspokajającego ciężaru broni. Z innych hangarów też wybiegli ludzie, niosąc latarki i karabiny.

Sabotaż, pomyślał Hunt. Jankesi dowiedzieli się o operacji „Karuzela”; wiedzą, co naprawdę planujemy dla nich na przyszły tydzień, i postanowili uprzedzić nasz atak. Niech szlag trafi cały Whitehall, premiera i wszystkich tych cholernych idiotów. Nie wolno lekceważyć Amerykanów. Nie wolno i już.

Było mu przy tym wstyd, że poczuł ulgę na myśl, iż faktycznie Amerykanie zaatakowali pierwsi; obudziła się w nim nadzieja, że uda się powstrzymać

nieuchronną katastrofę. Rachel, proszę cię, spraw, by tak było.

Biegł w stronę stojących w szeregu transportowców, wielkich czterosilnikowych C-130. Widział już skupione przy nich grupki ludzi. Strzały umilkły, ktoś krzyczał; Hunt zaczął się przepychać przez tłum ludzi - saperów, spadochroniarzy, personelu naziemnego, kanadyjskich lotników - gdy ktoś zawołał:

- Lekarza! Sprowadźcie lekarza!

Hunt stanął w kręgu ludzi i ujrzał leżącego na asfalcie żołnierza służby naziemnej RAF w służbowym kombinezonie. Wił się z bólu, krew tryskała mu pomiędzy zaciśniętych na udzie palców. Dwaj uzbrojeni Kanadyjczycy celowali do niego z karabinów, dwaj inni zaś przeszukiwali jego torbę. Cała scena rozgrywała się w świetle latarek i reflektorów ciężarówek, które właśnie podjechały bliżej.

- Zwariował, biedaczek - powiedział któryś z Kanadyjczyków. - Biegł do samolotów z torbą granatów. Nie chciał się zatrzymać, więc musieli go postrzelić.

- Jeszcze nie jest za późno! - krzyknął z ziemi ranny żołnierz. - Możecie ich powstrzymać. Nie rozumiecie, co tu się dzieje?! Jeśli ta operacja dojdzie do skutku, to tak jakbyśmy zapalili lont do wybuchu następnej wojny światowej! Tego chcecie?! Tego chcecie, pytam?! Czy myślicie, że jak zgarniemy bomby, to Francja, Niemcy i Japonia będą siedzieć na dupie i beczynnie się nam przyglądać?! - Otaczający go kręgiem ludzie milczeli. - Pewnie że nie! Zbudują własne bomby i zaczną się nowy wyścig zbrojeń, a w końcu dojdzie do wojny! Światowej! Znów zginą miliony ludzi, miliony! W Japonii, we Francji, w Niemczech i u nas też! Wszyscy zginiemy! Bo teraz przyjdzie kolej na nas! Wasze matki, żony, narzeczone, dzieci, dziadkowie... Wszyscy zginą, spłoną żywcem, i to z naszej winy! Przez to, co chcemy teraz zrobić!

Dwaj pielęgniarze przepchnęli się przez zamknięty krąg wokół rannego, uklękli przy nim i odciągnawszy mu ręce od rany, próbowali go opatrzyć, ale on cały czas młócił na oślep pięściami.

- Wszyscy zginą tak jak mój tata! - Żołnierz się rozpłakał. - Jak tata... Służył w RAF-ie, a zginął w Omaha, w amerykańskiej bazie lotniczej... Za co? Po co? Czy tego właśnie chcecie? Tego samego?!

Mężczyźni w mundurach, reprezentujący w ten czy inny sposób wracające do dawnej chwały imperium brytyjskie, zaczęli się rozchodzić: pojedynczo, parami, trójkami... Major Hunt również udał się do swojej kwatery. Boże Święty, o niczym już tak nie marzył jak o tym, żeby się napić.

Wrócił niespiesznie do baraku, zawstydzony przedstawieniem, które oglądał, i

własną przelotną radością z tego, że Amerykanie nie dopuszczą do realizacji ich obłąkańczej misji.

Gwizdki i bębny zaczęły w końcu irytować Carla. Stał przy Beacon Street, nieopodal słynnego pomnika majora Shaw i jego regimentu straceńców. Świeciło piękne słońce, ale on był zły, zmęczony i głodny - na śniadanie wypił tylko dwie kawy podenerwowany nadchodzącym dniem. Jeżeli rozmowa z Troyem poszłaby po jego myśli - a tego nie mógł być pewien - następne kilka godzin zapowiadało się niezwykle interesująco. Gdyby zaś Troy się nie zjawił albo nie chciał rozmawiać, albo wystąpiły inne nieprzewidziane okoliczności, to...

Sam nie wiedział co wtedy. Jim Rowley czekał setki kilometrów od Bostonu, pokładając wszelkie nadzieje w Carlu Landrym, który miał tylko jedną jedyną szansę, żeby tego zaufania nie zawieść. A gdzieś w cieniu czaił się kapitan Rowland gotów wyrwać mu ewentualne znalezisko i nagrodzić go kulą w łeb.

No i Sandy.

Carl pokręcił głową, żeby otrząsnąć się z tych rozważań, i wrócił do obserwacji tłumu. Po kolei, żołnierzu, po kolei. W rękę trzymał notatnik, a pod nogami postawił sobie mały plecak; miał w nim butelkę wody i kilka niezbędnych drobiazgów. Od czasu powrotu z Manhattanu czuł nieustanną potrzebę targania ze sobą niezbędnych zapasów; chyba w pewnym sensie zbliżał się do Dwutonowca i jego sposobu pojmowania świata, ale ta myśl, zamiast go przerażać, przynosiła mu ukojenie.

Do bębnow i gwizdków dołączyły i inne dźwięki - krzyki, śpiewy, muzyka z głośników ustawionych na scenie przy Park Street nieopodal State House. Obok Carla przechodzili najróżniejsi ludzie: młodzi i starzy, w dzinsach i koszulach flanelowych albo w garniturach i pod krawatem. Wiedział już, co napiszą jutrzejsze gazety: zamieszczą srogie opinie na temat niechlujnie ubranych brudnych chuliganów, którzy zebrali się w parku otumanieni oparami trawki i alkoholu, choć na razie nie widział ani jednego pijanego człowieka. Ramie w ramie z młodzikami szła para ludzi w średnim wieku. Poruszali się powoli, w milczeniu, z godnością; kobieta niosła oprawione w ramki zdjęcie młodego chłopaka w galowym mundurze, mężczyzna zaś miał zawieszoną na piersi odręcznie wypisaną tabliczkę: MÓJ SYN ROY ZMARŁ NA RAKA W WIEKU 21 LAT. DOŚĆ POBORU. DOŚĆ ZABIJANIA. Kiedy przechodzili obok pomnika, Carl zauważył, że ojcu trzęsą się ręce.

W tłumie widniały też inne tablice i transparenty, w większości również odręcznie pisane i trzymane na kijach:

PROMIENIOWANIE SZKODZI LUDZIOM I WSZYSTKIEMU,
CO ŻYWE
DZIESIĘĆ LAT WYSTARCZY - OGŁOŚCIE ZWYCIĘSTWO,
ZAKOŃCZCIE POBÓR
GENERAL CURTIS - ZBRODNIARZ WOJENNY;
CELA W LEAYENWORTH CZEKA
DOŚĆ STANU WOJENNEGO

Nie brakowało też profesjonalnie wykonanych MCGOYERN NA PREZYDENTA, rozsianych wśród ludzi niczym kolorowe konfetti.

Uwagi Carla nie uszli też młodzi krótko ostrzyżeni mężczyźni o zacieklej oczach, którzy bez powodzenia usiłowali wmieszać się w tłum. Ciekaw był, kto jest ich celem: protestujący, czy może raczej pan Landry? Jezu Chryste, popadasz w paranoję, Carl!

Zerknął na zegarek: pięć po dwunastej. Gdzie on się podziewa? Wyjrzał zza pomnika na nadchodzących Beacon Street ludzi, którzy lawirowali wśród samochodów. Coraz częściej rozlegały się klaksony i gniewne krzyki kierowców. Młody blondyn w za dużej kurtce od munduru polowego wpadł na Carla, ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Gdzie, do cholery, jest Troy?

Zostały trzy dni. Jezu Chryste!

- Hej! - szepnął mu ktoś do ucha i pociągnął go za rękaw. - Co ty, ślepy jesteś?

Odwrócił się. Przed nim stał blondyn w kurtce od munduru. Jeszcze chwila i coś przeskoczyło Carlowi w pamięci.

- Nieźle się kamuflujesz, Troy.

- Czasem tak trzeba - stwierdził Clemmons, wodząc oczyma po dumie. -Z farbowaniem włosów nie miałem kłopotu, ale wkurza mnie brak brody. Gęba mi marznie.

- Wszyscy mamy jakieś problemy.

- To prawda, ale mnie moich wystarczy. Więc szybko: czego chcesz?

- Potrzebuję informacji o twoim sąsiedzie z dołu. O Merlu Sawsonie. Muzyka

ze sceny zabrzmiała głośniejszy. Troy pokręcił głową i wzniósł oczy ku niebu.

- Znow wracasz do tego gówna? Posłuchaj no: przyszedłem tu tylko dlatego, że coś ci jestem winien za to, że uprzedziłem mnie o obławie; do mnie też wtedy przyszli, więc jeszcze raz dziękuję. Zamiast trafić do obozu, jestem tutaj. I jestem ci wdzięczny.

- Wyobrażam sobie.

- Chcesz pogadać czy nie? Czas leci.

Carl zawahał się, nie wiedząc, jak zadać pytanie, żeby nie wyjść na idiotę, ale doszedł do wniosku, że nie ma wyboru.

- Chodzi mi o jego psa. Co się z nim stało? Troy schował ręce do kieszeni.

- Jego co?!

- Psa - powtórzył Carl. - Co się z nim stało?

- Rany boskie! - Troy pokręcił głową. - Wierzyć mi się nie chce, że wyciągnąłeś mnie tu tylko po to, żeby zapytać o jakiegoś w dupę kopanego psa! Co ty, za dużo na słońcu przesiadujesz?

- Odpowiedz na moje pytanie, Troy, dobrze? Co się stało z psem? Clemmons odkasznął i nerwowo oblizał spierzchnięte usta.

- Pies zdechł, stary. Ponad miesiąc temu.

- Co Merl z nim zrobił?

Tym razem Troy posłał Carlowi zaciekawione spojrzenie i parsknął śmiechem.

- A to dobre! Pytasz, jakbyś wiedział, że coś w tym jest. No dobrze, słuchaj: wiesz, co staruszek zrobił, jak mu pies zdechł? Kiedyś jak wyrzucałem śmieci, właściciel, stary Townes, wszystko mi opowiedział. Stary Sawson, który żył z gównianej wojskowej emerytury, wykosztował się na pogrzeb. Uwierzyłybyś, facet? Na ulicach pełno bezdomnych i sierot, a on wydaje ciężki szmal, żeby pochować psa na cmentarzu! - Troy znow obejrzał się na maszerujących ludzi. - Jeśli to nie jest kolejny znak, że ten kraj jest popieprzony, to ja jestem Święty Mikołaj.

- Gdzie pochował psa?

- Nie wiem. - Clemmons wzruszył ramionami. - Gdzieś na północy, w New Hampshire. Nic więcej nie wiem i nic więcej ci nie powiem. Jasne? Jesteśmy kwita... Chociaż nie, jeszcze jedna sprawa.

- To znaczy?

- Za jakiś czas będzie obława. Nie strać głowy i trzymaj się raczej na skraju tłumu.

- To po co maszerujecie razem z nimi? - Carl wytrzeszczył na niego oczy. Troy mrugnął porozumiewawczo.

- Polityka, dziecinko, polityka. Im więcej ludzi przymkną, zwłaszcza takich elegancików, tym większa szansa, że pobór się skończy i kraj wróci do normy.

Po tych słowach Clemmons wtopił się w tłum i niemal natychmiast zniknął Carlowi z oczu. Carl sprawdził, czy ma jeszcze plecak i notes, a potem zapatrzył się na płynącą przed nim ludzką rzekę. Oczywiście wyobraźni widział podobne tłumy, które za kilka dni wyruszą z San Diego, Omaha, Miami, Waszyngtonu, baz w Alabamie i Georgii i - naturalnie - z Manhattanu, ze starego dobrego Nowego Jorku. Masy ludzi zdeterminowanych, wściekłych, gotowych upomnieć się o swoje prawa. A naprzeciwko nich szpalery uzbrojonych żołnierzy z zagranicy, którzy są w awangardzie odradzającego się imperium i nie zawahają się strzelać.

Carl miał wrażenie, że jakiś ogromny ciężar przygniata go do ziemi, jakby nagle ktoś narzucił mu na plecy ołowiany płaszcz.

I wtedy ją zobaczył. Szła ze spuszczoną głową od strony wąziutkiej Winter Place, przy której znajdowała się jedna z najlepszych bostońskich restauracji, Locke-Ober. Miała na sobie długi czarny płaszcz, którego poły rozwiewał wiatr. Dopiero wszedłszy na rojący się od ludzi chodnik, podniosła wzrok.

- Przyszłaś - stwierdził Carl. -Tak.

- A gdzie twoi opiekunowie? Skinęła głową.

- Powiedzieli, że dadzą mi chwilę wolnego.

- Wierzysz im? -Nie.

- To dobrze. Ja też nie. Przejdźmy na chwilę w jakieś zaciszniejsze miejsce.

Podniósł plecak i ruszył za nią, wymijając ludzi zmierzających w kierunku sceny. Wreszcie stanęli pod ogromną sosną w parku. Oparł się o pień i rzekł:

- No dobrze, porozmawiajmy. Mówiłaś, że przyjechałaś tu pisać artykuł i pracować dla MI6. Czy to prawda?

- Carl, naprawdę nie wiem, czy mogę...

- Zaczekaj - przerwał jej ostro. - Nie mam już czasu na gierki i tajemnice. Co tu jest grane, do ciężkiej cholery?! Czy to... Psiakrew, czy nasz związek również został zaplanowany? Tak czy nie?

- Żeby cię szlag trafił, Carl. - Oczy Sandy zaszklily się łzami. - Jeśli tak uważasz...

- A jak mam uważać, kiedy nic nie mówisz?! Rozejrzała się niepewnie.

- Dobrze, słucham. Tylko pospiesz się, bo naprawdę nie powinnam ci nic mówić.

- Przysługi - rzucił Carl. - Porozmawiajmy o tych przysługach. Jedną z nich było nawiązanie kontaktu z Merlem Sawsonem, tak?

A jednak... Zdziwienie w jej oczach.

- Carl, ja... - nie skończyła zdania.

- Sandy, na Manhattanie pytałaś mnie o zabitego żołnierza, a ja nie mówiłem ci, że Meri był weteranem wojennym. Powiedziałem tylko, że zginął stary człowiek. Ale ty i bez tego wiedziałaś, kim był. Ostatni raz cię o to pytam, Sandy. Jeszcze jeden kant - i do widzenia. Czy miałaś się spotkać z Merlem Sawsonem?

Mógł jej powiedzieć, że widział ją na zdjęciu zrobionym przed domem Merla, ale przykro mu się robiło na myśl o takiej konfrontacji. Chciał jej dać szansę, ostatnią szansę na oczyszczenie się z hańby.

Mimo ogłuszającego hałasu i zamieszania widział, jak ze sobą walczy. Przynęła się bliżej.

- Tak - odparła.

- Po co?

- Żeby odebrać od niego jakieś bardzo ważne dokumenty.

- Dlaczego akurat ty?

- Podejrzewaliśmy, że jest obserwowany - odrzekła, zacinając się lekko. -A ja mogłam z nim zrobić wywiad do artykułu rocznicowego. W ten sposób udałoby mi się dyskretnie przejąć papiery i przekazać je do konsulatu.

- Jak poszło?

- Przyjechałam do Bostonu, ale zanim zdążyłam się umówić na wywiad, Sawson zginął.

- I wtedy kazano ci przyłączyć się do mnie?

- Tak. - Znów miała łzy w oczach.

- Dlaczego?
 - Ktoś wiedział, że rozmawiałaś z Merlem i że potem zainteresowałaś się jego zabójstwem. Uznano, że możesz znaleźć paczkę, jeśli już jej nie masz.
 - Co to miały być za dokumenty? - spytał Carl, klnąc w duchu Merla za to, że od razu, przy pierwszym spotkaniu, nie oddał mu papierów.
 - Nie wiem. -Sandy pokręciła głową i spuściła wzrok. -Wiem tylko, że miały być niezmiernie ważne i że należało je za wszelką cenę wywieźć ze Stanów. Merl też miał wyjechać.
 - Taka była umowa, prawda? Od daje papiery, wy go zabieracie?
 - Właśnie. - Smutne skinienie głowy.
 - A co z tym zabitym angielskim generałem? Zbieg okoliczności.
 - Nie - odparła po chwili wahania Sandy. - Nie wydaje mi się. Prawdopodobnie on też miał się spotkać z Merlem, tylko wcześniej. Ja go zastąpiłam.
 - A Manhattan? Czy naprawdę chciałaś tam jechać, czy to znów była tylko przykrywka?
 - Naprawdę, do diabła! - Zdenerwowana Sandy zdeptała suchy listek. -Miałam dość tej zabawy w ciuciubabkę i powiedziałam, że chcę dla odmiany trochę popracować. Wyjazd na Manhattan dawał mi taką okazję.
 - A dlaczego mnie zaprosiłaś?
 - Słucham? - Spojrzała Carlowi w oczy.
 - Dlaczego zabrałaś mnie do Nowego Jorku, Sandy? - Nie spuścił wzroku; zastanawiał się, czy kiedykolwiek zrozumie, co się dzieje w jej sercu, za tą chłodną, iście brytyjską fasadą. - Jeżeli miałaś sprawdzić, co wiem o Merlu Sawsonie, po co zabierałaś mnie z Bostonu na Manhattan? Co to miało na celu? A może chciałaś się dowiedzieć czegoś o Jimie Rowleyu i jego ludziach?
- Skrzywiła się, jakby zranił ją do głębi.
- Zabrałam cię dlatego, ty tępaku, że się w tobie zakochałam i chciałam, żebyś tam ze mną był. Tylko dlatego. Moi opiekunowie wcale nie byli zachwyceni, że cię zaprosiłam; woleliby, żebyś został w Bostonie i piklował spraw na miejscu. A o SP 19 nie wiedziałam nic, dopóki nie spotkaliśmy Jima. Taka jest prawda.
 - No właśnie, SP 19 - powtórzył Carl, nie chcąc zdradzać jej planów Jima związanych z ujawnieniem się przed wyborami. - Wiesz, co planuje rząd; wasi spadochroniarze są gotowi do akcji. Mówiłaś coś, że chciałabyś pomóc Jimowi i jego ludziom - to też zmyśliłaś na poczekaniu?

- Mówiłam prawdę. - Sandy potarła palcami skronie. - Ale... Nie wolno mi już dzwonić do Anglii, a zostałam uprzedzona, że moje teksty będą cenzurowane, i to ostro. Chyba... nic nie zdziałam, chociaż przykro mi to mówić i nie podoba mi się to, co widzę. Nie wiem, czy konsulat nie macza w tym palców.

Carl wrócił pamięcią do Manhattanu.

- Pierwszego dnia po tym, jak wpadliśmy w zasadzkę, trafiliśmy do takiego mieszkania; zniknęłaś gdzieś na chwilę i wróciłaś ze świecami. Nadałaś wtedy meldunek przez radio, prawda? Bo miałaś nadajnik zamaskowany jako dyktafon.

Sandy otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

- Skąd o tym wiesz?

- Daj spokój, przecież dobry dziennikarz nie zdradza swoich źródeł informacji - powiedział Carl zawstydzony, że szok malujący się na jej twarzy sprawia mu przyjemność. - Co chciałaś zrobić? Poprosić o pomoc?

- Tak - przyznała Sandy, wciąż zmieszana. - Zdążyłam nadać krótki komunikat i dostać potwierdzenie odbioru, ale za szybko się przemieszczaliśmy, żeby mogli nas namierzyć. Byłam pewna, że ludzie z MI6 prędzej czy później nas stamtąd wyciągną.

- Po co im były te dokumenty?

- Miały wielką wagę, to wszystko, co wiem. Wielkie znaczenie dla stosunków między naszymi państwami.

Carl patrzył w jej błyszczące bystre oczy i nadal nie wiedział, co się za nimi naprawdę kryje. Przypomniwał sobie dotyk jej gładkiej skóry, smak jej ust, zapach włosów i uczucia, które na nowo w nim obudziła. Nadzieję - to bardzo dużo. Nadzieję. Jeszcze chwilę ważył w myślach przeszłość i ewentualną przyszłość, po czym spytał:

- Nadal cię interesują?

- Oczywiście - przytaknęła z zapalem Sandy. - A wiesz, gdzie są?

- Może się okazać, że trzeba po nie pojechać, na dzień czy dwa zmyć się z Bostonu. Obejdiesz się bez swoich opiekunów?

- Bez problemu, a nawet z przyjemnością. Ale...

Muzyka ze sceny umilkła i zastąpiły ją rytmiczne okrzyki, coraz głośniejsze i równiejsze, aż prawie kłuły w uszy:

- My nie chcemy pro-mie-niować! My nie chcemy pro-mie-niować! MY NIE CHCEMY PRO-MIE-NIOWAĆ!

Carl nachylił się i przysunął usta do jej ucha.

- Demonstracja właśnie zaczyna się na dobre - zauważył. - Chcesz popatrzeć?
W ten sposób łatwiej zgubimy twoich stróżów.

- Jasne. - Sandy ścisnęła go za rękę. Po chwili wahania Carl odpowiedział jej tym samym; wiedział, co robi. Tak mu się przynajmniej wydawało.

- Trzymaj się mnie - polecił jej jeszcze, po czym zarzucił sobie plecak na ramię.

Odsunęli się od drzewa i dali porwać masie ludzkiej kłębiącej się na trawniku Boston Common. Wszyscy śpiewali, kołysali transparentami i wznosili zaciśnięte pięści, wykrzykując refren:

- My nie chcemy pro-mie-niować!
- My nie chcemy pro-mie-niować!
- My nie chcemy pro-mie-niować!
- Możemy podejść pod scenę? - Sandy pociągnęła Carla za rękaw.

W ogłuszającym hałasie nie dało się swobodnie rozmawiać, więc odpowiedział skinieniem głowy, ścisnął mocniej jej rękę i pociągnął ją za sobą w stronę Tremont Street. Posłała mu zdumione spojrzenie, ale już skręcili do skrzyżowania z Park Street. Carl pilnował, żeby nie zabrnąć zbyt głęboko w tłum. Mijani ludzie wpadali na nich, przepychali się, poszturchiwali i deptali im po nogach, tak że Carl kilka razy aż skrzywił się z bólu. Nie wypuścił jednak dłoni Sandy z uścisku, a na wszelki wypadek oglądał się od czasu do czasu przez ramię, żeby upewnić się, że z nią wszystko w porządku.

Rytmiczny zaśpiew umilkł i ktoś zaczął przemawiać ze sceny, ale głos był tak silnie wzmocniony i zniekształcony, że Carl z najwyższym trudem składał wychwycone słowa w pełne zdania. Krótkie wyraziste sekwencje odbijały się echem od domów przy Tremont Street:

- ...musimy zacząć od nowa, przyznając się do grzechów przeszłości, ale i patrząc z nadzieją w przyszłość...

Na ulicy policja ustawiła pierwsze zapory. Carl wyczuwał w powietrzu jakieś niezwykle napięcie, zapowiedź starcia dwóch potężnych sił, jak w duszne popołudnie przed letnią burzą. Górą z rykiem silników przemknął helikopter; ludzie wygrażali mu gniewnie pięściami. Carl zaparł się plecami o latarnię i przyciągnął Sandy do siebie.

- ...dyktatura, choćby nie wiem jak pomocna i z pozoru doskonała, pozostaje dyktaturą...

Sandy przytuliła się do niego, pytając głośno:

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?
- Chwila przerwy dobrze nam zrobi.

Carl powiódł wzrokiem po tłumie, wychwytyjąc pojedyncze twarze spośród tysięcy mijających ich ludzi. Podeszli już do sceny na tyle, by dostrzec zaimprovizowane podwyższenie. Jaskrawe transparenty trzepotały na wietrze; po bokach sceny ustawiono potężne wzmacniacze i głośniki, a przed mikrofonem stał jakiś człowiek w dżinsach i koszuli w barwach flagi amerykańskiej. Przemawiając, gestykulował z ożywieniem:

- ...pobór do wojska, wskutek którego nasi bracia i synowie trafiają na wyjałowioną ziemię niczyją, jest formą niewolnictwa...

Za sceną wznosiła się złota kopuła State House, siedziby władz stanowych. Coś się pod nią poruszało... Wytężywszy wzrok, Carl dostrzegł rzędy umundurowanych na zielono sylwetek kierujących się w stronę parku. Przebiegł go dreszcz i przypomniał sobie słowa Troya.

- Nie możemy podejść bliżej? - zdziwiła się Sandy. - Chodź, jeszcze trochę.
- Nie, dalej nie idziemy - odparł zdecydowanie. - Tutaj wystarczy.

Sandy posłała mu zdziwione spojrzenie, a potem spojrzała na tłum. Z boku dobiegły krzyki i skowyty bólu, gdy zwarte szeregi robotników w kaskach naparły na tłum na rogu Tremont Street i Park Street, bijąc się z grupą młodych ludzi wymachujących amerykańską flagą. Człowiek na scenie podniósł głos:

- ...nie będziemy tego dłużej znosić. Odbierzemy sobie ten kraj, ulica po ulicy, miasto po mieście, stan po stanie!

Krzyki rozbrzmiewały coraz głośniejsze i głośniejsze, a Carl wsparty o latarnię obserwował coraz częściej wybuchające bójki. Minęło ich dwoje ludzi: zapłakana kobieta ocierała chusteczką zakrwawione czoło swojego towarzysza. Nieco dalej czterech młodych ludzi stanęło w kręgu, podnosząc w górę swoje płonące karty mobilizacyjne; pobliski tłum klaskał i pokrzykiwał z entuzjazmem. Z oddali dobiegło wycie syren. Carl spojrzał nieco dalej, na uliczki łączące zabudowania urzędów z Tremont Street: wszędzie było pełno żołnierzy w hełmach z przezroczystymi osłonami na twarz, uzbrojonych w długie drewniane pałki i plastikowe tarcze. Takie same jak te, które widział w piwnicy na Manhattanie. Obok nich jechali konno policjanci i Carl z przerażeniem dostrzegł, że zarówno wierzchowce, jak i jeźdźcy mają maski przeciwgazowe.

- ...chodźmy więc do nich i pokażmy im, co potrafią wolni ludzie! Sandy

objęła go mocno.

- Zaraz stanie się coś złego.
- Też tak sędzę.
- Nie powinniśmy stąd uciekać?
- Spróbujmy.

Carl popatrzył na mijających ich w biegu, potykających się ludzi i rozpoznał nagle twarz kapitana Rowlanda, który ze złowrogą miną parł przez tłum w ich stronę. Jedną rękę trzymał pod płaszczem.

Było już za późno.

Dobiegł ich stłumiony huk -jeden, drugi, potem cała seria. Ze wzgórza za sceną w powietrze wzbily się białe i żółte smugi dymu, wznosząc się łukiem i lądując w środku tłumy. Obłoki gazu rozdziły się, spuchły i wiatr poniosł je dalej. Krzyki ludzi stawały się coraz głośniejsze.

- Chryste Panie! - zawołała Sandy. - Strzelają do nas?
- Nie, to gaz łzawiący. - Carl złapał ją za rękę i pociągnął chodnikiem przed siebie. - Musimy się stąd wydostać, bo wkrótce zrobi się tu bardzo nieprzyjemnie.

Obejrzał się przez ramię: kapitan Rowland chwilowo utknął w tłumie, ale był wściekły i powoli przebijał się w ich stronę. Carl nie musiał się nawet zastanawiać, żeby wiedzieć, co go tak złości: kontaktów z wrogami kraju nie aprobowano zbyt powszechnie, nawet w warunkach pokoju; w dodatku sierżant Landry nie wykonywał rozkazów. Fatalne połączenie.

- Carl...

Szedł szybko, starając się zachować spokój i nie rzucić do ucieczki biegiem. Kiedy człowiek biegnie, łatwo się potknąć i przewrócić, a w tej masie ludzkiej niewiele było trzeba, żeby dać się stratować. Tłum nie wpadł jeszcze w panikę, ale coraz więcej gapiów z niepokojem i lękiem w oczach śledziło wydarzenia pod sceną.

- Lada chwila będziemy tu mieli sporo rannych! - krzyknął do Sandy. -Wolałbym się wśród nich nie znaleźć.

Coś świsnęło w powietrzu i huknęło głośno za ich plecami. Odruchowo odwrócili się i Sandy krzyknęła głośno na widok błyskawicznie rozprzestrzeniającej się chmury gazu. Ludzie zaczęli biec; Sandy chciała się włączyć w tę pędzącą rzekę, ale Carl przyciągnął ją do siebie.

- Zaczekaj! - powiedział. - My biegniemy w tę stronę, tylko zamknij oczy i

wstrzymaj oddech.

Odpychając spanikowanych widzów, ruszyli wprost w kierunku chmury gazu. Sandy próbowała się wyrwać, ale Carl nie puszczał jej ręki. Przytulił ją mocno do siebie.

- Weź głęboki wdech!

Owionął ich żrący, duszący obłok; ludzie zaczęli się krztusić i płakać. Carl wcisnął twarz w kołnierz płaszcza Sandy i przycisnął jej głowę do swojego barku. Wiatr poniosł chmurę dalej. Carl otworzył oczy i zamrugał kilka razy, próbując zapanować nad łzawieniem. Dookoła ludzie leżeli pokotem na ziemi, jak ryby chwytając powietrze; niektórzy wymiotowali. Na ulicy przy wtórce wycia syren zjawily się samochody policyjne, a za nimi wojskowe ciężarówki z żołnierzami w maskach gazowych. Wszyscy żołnierze mieli karabiny z bagnetami.

- Nic ci nie jest? - zapytał Sandy i się rozkaszał. Zakrztusiła się i przetarła ręką załzawione oczy.

- Ty draniu! - krzyknęła oskarżycielsko. - Po co nas wepchnąłeś w ten gaz?

- Bo i tak byśmy przed nim nie uciekli; dlatego najlepiej jest wbiec w chmurę i poczekać, aż przejdzie po tobie. Jeśli będziesz się z nim ścigać, dopadnie cię, powali na ziemię i wtedy dopiero pożałujesz. Masz chusteczkę?

Sandy skinęła głową.

- Przyłóż ją sobie do twarzy. Musimy iść.

Grzebiąc w torebce, Sandy popatrzyła na leżących dookoła ludzi. -A co z nimi?

- Na razie martwię się o ciebie, Sandy. Chodź.

Wolnym truchtem ruszyli przed siebie Tremont Street, słysząc za plecami narastający łoskot. Odwróciwszy się na chwilę, Carl ujrzał nierówny szereg żołnierzy w maskach przeciwigazowych, którzy idąc, uderzali pałkami o tarcze. Coś sprzęgło się w systemie nagłośnienia sceny, bo przeszywający uszy pisk niósł się po całym parku, ale zaraz dał się słyszeć wyważony, wyraźny głos:

- Uwaga, uwaga, uwaga! Proszą się rozejść! Zgodnie z ustawą o stanie wojennym z roku 1962 jest to zgromadzenie nielegalne. Uwaga, uwaga, uwaga! Proszą się rozejść...

Człowiek przy mikrofonie powtarzał w kółko swój komunikat, Carl i Sandy zaś biegli cały czas na zachód, oddalając się od Boston Common. Carl trzymał ją cały czas za rękę; towarzyszył im płynący z głośników apel, huk petard gazowych, wycie

syren, krzyki i rytmiczne łoskot pałek o plastikowe tarcze.

W towarzystwie kilkuset osób, którym także udało się wyrwać z wiecu, odpoczęli chwilę nad stawem w miejskim ogrodzie, wycierając się z gryzącego zapachu. Carl wyjął z plecaka dwa ręczniki, z których jeden podał Sandy; przyjęła go z wdzięcznością. Zamoczyli je w wodzie jeziora i obmyli twarze. Inni uczestnicy marszu robili to samo: przyklękawszy na skraju wody, ochlapywali się nią z ulgą. Pary tuliły się do siebie, a Carl zwrócił uwagę na starszą kobietę - jego matka byłaby teraz w podobnym wieku -która delikatnie ocierała oczy starszego mężczyzny w mundurze lotnika z drugiej wojny światowej.

Rozejrzał się dookoła z czujnością i uwagą, jakiej nauczył się w wojsku: gdzieś tam kryli się ich wrogowie przebrani w amerykańskie mundury. Nie było chwili do stracenia. Kapitan Rowland z kolegami należeli przecież do Sekcji Z, więc jeśli on i Sandy zaraz nie ruszą się z miejsca... No, będzie kiepsko. Syreny wozów policyjnych nie milkły ani na chwilę; po parku przelewał się szary opar gazu łzawiącego. W tej chmurze wolno poruszali się policjanci na koniach, które dzięki maskom i czaprakom przypominały raczej jakieś bestie z najgorszego koszmaru.

- Nic ci nie jest? - spytała Sandy.

- Nie, dlaczego? - Carl powiódł wzrokiem po otaczających ich ludziach: zapłakanych, szlochających, leżących na plecach, walczących o łyk świeżego powietrza. - Piękny dzień dla Amerykanina.

- Przepraszam, co powiedziałeś?

- To ja przepraszam: próbowałem zażartować, ale mi nie wyszło. Szereg żołnierzy i oddział konnej policji posuwały się systematycznie

naprzód, wymijając błakających się po omacku pojedynczych manifestantów. Dwóch z nich próbowało stawić jakiś opór, ciskając kamieniami w uzbrojony szereg, ale dwóch jeźdźców bez pardonu ich rozjechało. Przynajmniej nikt nie strzela, pomyślał Carl; wątpił, żeby zagraniczne wojsko za kilka dni okazało się równie łagodne.

- Posłuchaj mnie, Sandy. nie możemy tu zostać. Najprawdopodobniej aresztują zaraz wszystkich w Boston Common, nie przejmując się nawet legitymacjami prasowymi.

- Przecież ty tu mieszkasz - zauważyła Sandy. - To niedaleko, prawda?

- Niedaleko, ale nie możemy tam iść. A stąd naprawdę musimy już uciekać.

Sandy wstała i dała się odciągnąć od stawu w stronę Commonwealth Avenue. Mieszkańcy okolicznych kamienic wyszli z domów i skupili się na chodnikach w małych grupkach, w milczeniu obserwując rozgrywający się w parku dramat. Niektórzy zasłaniali twarze rękoma.

- O co ci chodzi? - spytała Sandy.

- Cały czas byłem obserwowany przez człowieka z naszych oddziałów specjalnych - wyjaśnił Carl, nie zwalniając kroku. - Człowieka, który ma dopilnować, żebym wykonał pewne konkretne zadanie.

- Jakie zadanie?

- Podobne do twojego, panno Price, z tą różnicą, że ja jestem na służbie amerykańskiego wywiadu. Widzisz, oni też chcą zdobyć te dokumenty.

- A ty wiesz, gdzie one są, tak? Znajdziemy je?

- Nie tak szybko, Sandy. Szukanie ich trochę potrwa, a poza tym najpierw musimy stąd zniknąć, zanim nas przyłkają.

- Dokąd chcesz iść? Do konsulatu?

- Nie, bo tam nas zgarną, zanim staniemy przed bramą. Wynajęcie pokoju w hotelu wiązałoby się z użyciem karty kredytowej, a wtedy też zamknęliby nas przed upływem godziny. Musimy iść gdzie indziej.

- To znaczy gdzie?

Carl odpowiedział na jej pytanie, z przyjemnością obserwując malujące się na jej twarzy zmieszanie:

- Co byś powiedziała na spotkanie z prawdziwym weteranem wojny ku-
bańskiej, Sandy?

Przez całe popołudnie Dwutonowiec zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen i z wdziękiem pełnił obowiązki gospodarza. Carl zaprowadził Sandy do jego kryjówki, podniósł stalowy właz i krzyknął głośno w głąb tunelu, zapowiadając swoje przybycie. Usłyszawszy wesołe zaproszenie, wpełzli z Sandy na czworakach do podziemnego korytarza. Dwutonowiec miał się wyraźnie lepiej niż podczas ostatniej wizyty Carla; mógł też samodzielnie poruszać się po pokoju, podpierając się laską. Kiedy oboje usiedli na kanapie, poczęstował ich wodą. Sandy wodziła dookoła szeroko otwartymi z podziwu oczami.

- Wiem, Dwutonowcu, że obiecywałem nikomu nie mówić o twojej kryjówce, ale to była sytuacja awaryjna - usprawiedliwił się Carl.

- Nic się nie stało, Carl, naprawdę. Wszystkim nam zdarzają się czasem sytuacje awaryjne, nie? Jak pani się nazywa, panienko? Obawiam się, że tak ucieszyłem się z wizyty kobiety w moich skromnych progach, iż zagapiłem się, gdy mi panią przedstawiono.

- Sandra Price - odparła Sandy, a Carl z zadowoleniem odnotował, że podała gospodarzowi rękę na powitanie. Dwutonowiec odpowiedział krótkim uściskiem dłoni.

- Z Anglii, tak? - upewnił się.

- Zgadza się, z Londynu. Jestem dziennikarką „Timesa”. I proszę mówić mi Sandy.

Dwutonowiec zachichotał i przeniósł wzrok na Carla.

- Wierzyć mi się nie chce, że taka dama z klasą w ogóle się z tobą zadaje, Carl.

- Mnie też.

Sandy szturchnęła porozumiewawczo Carla w bok.

- Carl mówił mi, że uczestniczył pan w desancie na Kubie... Czy to prawda?

Dwutonowiec podrapał się z namysłem po policzku. Na głowie miał czapeczkę baseballową Red Soksów.

- Prawda, najprawdziwsza prawda, ale naprawdę wolałbym teraz do tego nie wracać, Sandy.

- Ależ naturalnie; rozumiem, że możesz nie chcieć o tym opowiadać.

- Nie to, że nie chcę, ale Carl mówił, że to sytuacja awaryjna i szkoda mi czasu na głupstwa. O co chodzi, Carl?

- W Boston Common była demonstracja - odparł Carl. - Sprawy się mocno skomplikowały i chyba na razie nie uda nam się wrócić do domów; przymknęliby nas przed nastaniem świtu. Poza tym widziałem tam niejakiego kapitana Rowlanda, który wcale się na mój widok nie ucieszył. Coś ci mówi to nazwisko?

Dwutonowiec skinął głową.

- Ten od fula. Drań.

- Jakiego fula? - zdziwiła się Sandy.

- Chodzi o żołnierza sił specjalnych, który obserwował mnie w parku. Dwutonowiec dawno temu miał przyjemność go poznać, a ostatnio znów się spotkali.

- Jeśli ten skurczybyk cię ściga, to naprawdę masz kłopoty, Carl. Czego on od ciebie chce?

- Nie jestem pewien, czy mnie ściga; raczej chce wiedzieć, gdzie się podziewam i co robię, natomiast ja wołałbym, żeby o niczym nie wiedział. -

Carl spojrzał na Sandy; jej twarz wciąż przyprawiała go o miłosny dreszcz, ale i uczucie najgłębszej rozpacz. - I mamy coś do zrobienia, coś ważnego. Nie chcemy, żeby ktoś nam deptał po piętach.

- O, tu cię doskonale rozumiem. - Dwutonowiec klasnął w ręce. - Od mniej więcej dziesięciu lat pracuję nad tym, żeby zostawiono mnie w spokoju, i patrzcie, jak skończyłem. Zostaniecie u mnie na trochę? Ciasno tu trochę, ale jakoś się przecież pomieścimy.

- Doceniam twoją propozycję, Dwutonowcu, ale czas nas goni. Myślałem, że może udałoby ci się skontaktować z Lotnikiem, a on przyniósłby mi kluczyki od wozu...

- Nie da rady, synu. - Stary żołnierz pokręcił głową. - Jeśli tak głęboko wdepnąłeś, założyli ci pewnie wszędzie podsłuch: i w mieszkaniu, i w aucie. Biedny Lotnik wpadłby im w łapy jak nic; mogliby go nawet zastrzelić przy próbie ucieczki. Mam lepszy pomysł.

- Jaki? - zaciekawiała się Sandy, stawiając sobie szklankę z wodą na kolanie.

- Załatwię wam samochód. Pasuje?

- Ty?! - Carl zdawał sobie sprawę z tego, że na jego twarzy maluje się bezbrzeżne zdumienie. - Załatwisz nam wóz?

Dwutonowiec wybuchnął śmiechem.

- A zastanawiałaś się kiedyś, Carl, dlaczego zimą właściwie mnie nie widzisz?

- Czasem... Jeździsz na Florydę?

- Nie, to za daleko. I za dużo tam bzyków. Nie, przenoszę się do Karoliny Pomocnej: klimat łagodny, ludzie uprzejmi, ciepło, w kościach człowieka nie rwie... Widzisz, kilka lat temu zrobiliśmy z chłopakami zrzutkę -między innymi ja z Lotnikiem - i kupiliśmy sobie samochód. Żeby na drugi raz, jak znów zrobi się gorąco, wyjechać do Maine i spokojnie przeczekać. Masz. - Dwutonowiec wyjął z kieszeni duży pęk kluczy. Odczepił jeden z nich i podał go Carlowi. - Proszę bardzo. Zaraz wam powiem, gdzie stoi, tylko wam jeszcze doleję wody. Ale jeden warunek.

Carl zorientował się, że trzyma w ręce kluczyk od volkswagena.

- Słucham?

- Chodzi o samochód. -Tak...

- Zanim go tu odprowadzicie, zatankujcie do pełna - uśmiechnął się Dwutonowiec. - Nie chciałbym drażnić Lotnika i reszty chłopaków.

Dwie godziny później byli już w New Hampshire, tuż za granicą stanu, w Nashua. Postawili wóz na parkingu przed sklepem z alkoholami. Normalnie taki dystans pokonaliby w godzinę, ale tym razem warunki były dalekie od normalności: Carl bocznymi uliczkami wyjechał z Bostonu, a i poza miastem trzymał się drugorzędnych dróg. Nie chciał ryzykować, że całą operację szlag trafi tylko dlatego, że ktoś przypadkiem zatrzyma ich na punkcie kontrolnym. Nastawili radio na WBZ, jedną z większych lokalnych stacji, żeby posłuchać wiadomości. Na czwartym miejscu, po aktualnościach drogowych, podano wzmiankę o krótkich niepokojach w Boston Common - I to było wszystko.

- Jestem tu prawie od miesiąca - zauważyła Sandy - ale jakoś nie mogę się przyzwyczaić do cenzury. Jak to możliwe, żeby taka wiadomość nie przeniknęła do mediów? Czy oni naprawdę myślą, że kogoś uda im się okpić?

- Może i nie, ale pozory trzeba zachowywać.

Ostatnie pół godziny Carl spędził w budce telefonicznej pod sklepem, teraz zaś wrócił do „garbusa” i uruchomił silnik. Sandy z zaciętą miną siedziała w fotelu pasażera.

- Dla odmiany można powiedzieć, że dopisało nam szczęście. W książce

telefonicznej znalazłem kilka cmentarzy dla zwierząt, a już za trzecim razem trafiłem na ten właściwy. Nazywa się Happy Farms i niejaki Merl Sawson kupił tam niedawno kwaterę. Cmentarz znajduje się w Hudson, a Hudson to następne miasteczko na naszej drodze. Zarezerwowałem nam od razu nocleg, niedaleko stamtąd.

Trzy dni; jeszcze nie wszystko było stracone.

Kilka razy musiał przekręcić kluczyk w stacyjce, zanim wreszcie volkswagen zapalił. Wjechali na autostradę i od razu zaczęli wypatrywać najbliższego zjazdu.

- W głowie mi się nie mieści, że przyjechaliśmy tutaj tylko dlatego, że wpadłeś na ten niedorzeczny pomysł: dokumenty pogrzebane w psim grobie. Czy ty nigdy nie spoważniejesz?

- Wiem, że to głupio brzmi, ale nie mam innego pomysłu - odparł Carl, starając się zachować spokój. - Cały dom, w którym mieszkał Merl, był wielokrotnie przeszukiwany; wszystko, co znaleźli w jego mieszkaniu, obejrzeni i skatalogowali. Właściciel domu nie żyje, a sąsiad Merla z góry się ukrywa. Wojsko i policja na pewno były bardziej dokładne ode mnie w tych poszukiwaniach. Wiemy, że Merl kiedyś miał te dokumenty. Teraz nigdzie ich nie ma. Połączyłem dwa fakty: zniknął pies i zniknęły dokumenty. Mało to prawdopodobne, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Też coś! - Sandy siedziała naburmuszona, ze skrzyżowanymi ramionami. - Sam pomysł, że ściśle tajne dokumenty, które doprowadziły do śmierci kilku osób, są zakopane na cmentarzu dla zwierząt... - Obróciła się do Carla z błyskiem w oku. - Chyba nie zamierzasz się mnie teraz pozbyć, co? Nie taki chyba masz plan? Wyrzucić mnie z wozu i samemu poszukać tych papierów, to by było wygodne.

- Niezła gadka jak na szpiega.

Zapadła cisza, mącona tylko rytmicznym, basowym terkotaniem silnika. Zjechali z autostrady i znaleźli się na drodze numer sto jedenaście. Jadąc na wschód, mijali farmy, domy mieszkalne i nieliczne sklepy. Carl nigdy nie przepadał za New Hampshire, które kojarzyło mu się z wrednymi, skąpymi Jankesami - w najgorszym znaczeniu tego słowa. Mieszkali tu sami zaciekli republikanie, w całym stanie nie obowiązywał ani podatek obrotowy, ani dochodowy, a budżet New Hampshire opierał się na handlu tanią whisky i papierosami. W dodatku mieszkańcy nie przestawali się chwalić, że w 1960 roku, mimo iż na urząd prezydenta kandydował człowiek z pobliskiego Massachusetts, oni zdecydowanie poparli Nucona.

- Przepraszam, nie powinnam była tak mówić - przyznała skruszona Sandy. -

Jesteś... Jesteś wspaniały, Carl. Zastanawiam się tylko, dlaczego po tym wszystkim jednak mnie tu zabrałeś?

Ujął ją za rękę.

- Nie chciałem kończyć tej sprawy sam, a poza tym...

- Co poza tym?

- Jak się człowiek zakocha, traci gdzieś zdrowy rozsądek - odrzekł Carl, nagle wpatrując się w drogę przed samochodem.

Sandy bez słowa cmoknęła go w policzek.

Większość miejsc w okolicznych hotelikach zajęli miłośnicy jesieni szykujący się do wycieczek po lasach i Carlowi trochę wstyd się zrobiło, gdy ujrzął, jaki nocleg im się trafił. Motel nosił nazwę Matador i nadawał się w sam raz na miodowy miesiąc dla mieszkańców pobliskich przemysłowych miasteczek Lawrence i Lowell, którzy nie mogli sobie pozwolić na wyjazd dalej na Pomoc. Carl i Sandy dostali na tę noc drewniany domek, nie wiedzieć czemu nazwany „Wiejską chatą”, gdyż w istocie był raczej ledwie trzymającą się kupy szopą. Ściany wyłożono sztuczną boazerią, która nie chciała już trzymać się ścian, a łóżko składało się z kawałka gruzłowanej gąbki rzuconego na oklapłe sprężyny. W jednym rogu pokoju wydzielono małą kuchnię, w drugim - łazienkę; jedynym ustępstwem na rzecz wygody był otwarty kominek w samym środku izby. Czarny blaszany komin wychodził przez dach, wspierając się na stosie cegieł i kamieni.

Carl przekręcił mały metalowy kurek. Coś pstryknęło i w kominku zapłonął gaz. Żółto-niebieskie płomienie skoczyły wysoko. Spojrzał na stojącą przy drzwiach Sandy, która rozcierała zgrabią ręce.

- Przytulnie tu, co? - powiedział.

- Wiesz, ja ci cały czas obiecuję, że zaproszę cię do Savoya, a ty co rusz zabierasz mnie w jakieś smętne, zimne miejsca. - Sandy podeszła do kominka. - Zaczynam się zastanawiać, czy za karę nie powinnam cofnąć mojej propozycji.

- Dzień się jeszcze nie skończył - zauważył Carl, podnosząc z podłogi plecak.

- Jeśli chcesz skorzystać z łazienki, teraz masz okazję. Zaraz wychodzimy.

- Jestem gotowa. - Sandy wzięła do ręki zdjęty przed chwilą płaszcz.

- Chodźmy.

Był taki moment, że strach go obleciał: kiedy w sklepie z artykułami żelaz-

nymi przy drodze numer trzy kupował łopatę. Po tym, jak zapłacił za nocleg, zostały mu w portfelu dwie jednodolarówki, a łopata kosztowała 4,99. Przez chwilę myślał upokorzony o tym, żeby pożyczyć pieniądze od Sandy, ale okazało się, że w drugiej kieszeni ma pognieciony banknot dziesięciodolarowy.

Wrzucił łopatę na tylne siedzenie samochodu.

- Niesamowite, jak się tak człowiek zastanowi - stwierdził.
- Co jest niesamowite?
- Żeby odkrycie tajemnicy zgonu Merla Sawsona zależało od tego, czy będę miał kilka groszy na łopatę.

- Nie rozumiem.

- Później ci wyjaśnię.

Nie do wiary: los dwóch państw uzależniony od szpadla za pięć dolarów.

Dziesięć minut później zajechali na cmentarz Happy Farms. Zarządzała nim krępa, starsza kobiecina, która urzędowała w stróżówce w brunatnych spodniach i dzinsowej koszuli. Nie była zbyt skora do pomocy, przynajmniej do czasu, aż Carl podał jej swoją ostatnią pięciodolarówkę - wtedy jej twarz się rozjaśniła. Pieniądże zniknęły, a właścicielka rzekła:

- Wiecie państwo, że teraz coś sobie przypominam... Jakiś czas temu przyjechał do nas taki pan z Massachusetts i chciał tu pochować pieska.

Carl zacisnął dłoń na kluczykach z taką siłą, że bał się, iż zaraz popęka mu skóra na kłykciach.

- To właśnie powiedziała mi jakaś pani przez telefon, kiedy tu dzwoniłem.

- To moja córka. - Kobieta machnęła lekceważąco ręką. - Jest taka roztrzepana; nie zapytałabym jej, czy pada śnieg, nawet gdybyśmy się znalazły w samym środku zadymki.

Wyjęła spod lady oprawny w skórę zeszyt. Otworzyła go i poślinionym palcem powiodła wzdłuż kolumny nazwisk.

- Jest: kwatery sto siedemnaście wykupiona przez pana Sawsona. Powinna tam być taka metalowa tabliczka z numerem. Życzy pan sobie, żeby z wami poszła?

- Nie, dziękuję. Pan Sawson był naszym przyjacielem. Kupiliśmy skromny kamień nagrobny dla jego psa; chcemy, żeby wiedział, że pamiętamy. Trafimy na miejsce.

Kobieta z trzaskiem zamknęła zeszyt.

- Swoją drogą to zabawne...

- Co jest zabawne, proszę pani? Wzięła ścierkę i zaczęła wycierać blat.
- To, co powiedział, jak tu przyjechał i przywiózł psa. Nie chciał żadnej pomocy; uparł się, że sam tam pójdzie i sam go pochowa.

Carl wziął łopatę z auta. Idąc, starał się ją trzymać blisko nogi, żeby nie rzucała się w oczy ewentualnym gapiom z małego domku przy bramie. Zarzucił sobie plecak na ramię i zaczęli się z Sandy posuwać w głąb cmentarza.

- Wiesz, Carl, jestem troszkę podekscytowana - przyznała Sandy. - Tylko troszeczkę.

- Podekscytowana? Sandy ujęła go pod rękę.

- Po tym, co powiedziała ta kobieta: że sam tu przyszedł i tak dalej. Boże, może się okazać, że naprawdę miałeś rację!

- Na razie mi jeszcze nie dziękuj.

Trzy dni. Może się uda; szansa była niewielka, ale...

Mijali kolejne nagrobki, czasem przyozdobione kwiatami - świeżymi i sztucznymi. Kamienie były proste, bez zbędnych ozdób - upamiętniały niezliczone psy, koty i innych zwierzęcych przyjaciół ludzi. Carl zwrócił uwagę, że kotów jest zdecydowanie więcej niż psów. Sandy wzdrygnęła się i przytuliła do niego.

- Nie wiem dlaczego, ale okropnie mnie to miejsce przygnębia; chyba nawet bardziej niż normalny cmentarz dla ludzi - powiedziała. - Czemu tak się dzieje?

- Bo one są całkiem niewinne - odparł Carl, wodząc wzrokiem po maleńkich nagrobkach. - Nie wymyślają nowych sposobów zabijania, oszukiwania i okłamywania się nawzajem. Może to przez to.

- Może.

W odległym od bramy kącie cmentarza znaleźli metalowy słupek wysokości może piętnastu centymetrów, z umocowaną na szczycie metalową tabliczką. Wryto na niej liczbę sto siedemnaście. Carl zrzucił plecak na ziemię i wsparł się ciężko na łopacie. Cmentarz był kwadratowy, z trzech stron obramowany gęstym lasem. Zapadał zmierzch i w stróżówce zapaliły się światła. Niebo było całkiem bezchmurne. Na parkingu stał tylko volkswagen, którym przyjechali, i kombi należące do kobiety, która ich przywitała. Gdzieś dalej po drodze przetoczyła się z hurkotem ciężarówka.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Sandy.

- Muszę złapać oddech - wyjaśnił Carl. - Tylko tyle.

Najpierw kopał powoli i ostrożnie - wygrzebał z ziemi pręt z tabliczką,

zakotwiczony dobre kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią. Odrzucił go na bok i wrócił do łopaty. Sandy stała obok niego ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Ręce jej się trzęsły. Carl znów złapał się na rym, że nie wie, co ona myśli.

- Tajemnice, Sandy - powiedział.

- Słucham?

- Tajemnice - powtórzył, odrzucając na bok kolejną porcję ziemi. - Chyba czas na to, żebyśmy zdradzili sobie nawzajem pewne sekrety. Na przykład: co znajduje się w tym dole? Powiedziałaś, że miałaś odebrać od Merla jakieś dokumenty; co w nich jest?

- Carl, mówiłam ci już...

- Wiem, wiem: mówiłaś, że są bardzo ważne i że trzeba je wywieźć za granicę. Chcę wiedzieć, co waszym zdaniem zawierają, Sandy?

Carl przestał na chwilę kopać i wbił mocno łopatę w wilgotną ziemię. Sandy zacisnęła pięści, patrząc uparcie w dół, aż w końcu odchrząknęła i odparła:

- Kody.

- Jakie kody?

- Strategiczne - wyjaśniła zrezygnowana. - Nie masz pojęcia, jak my się was boimy... Jesteście jedynym krajem, który wciąż dysponuje bronią atomową; wszyscy się was boją- w Tokio, Paryżu, Berlinie, Londynie... Z tego, co wiem, pułkownik Sawson dysponował kodami, które pozwoliłyby uruchomić resztki waszych sił strategicznych. Wypuścić bombowce i wysłać okręty podwodne.

- I wystrzelić kilka rakiet.

- Tak, chociaż rakietami mniej się przejmujemy. Bardziej martwią nas samoloty i okręty. Kody od pułkownika Sawsona skierowałyby je do celów za granicą.

Carl ujął mocniej łopatę w dłoń.

- Kody strategiczne... - powtórzył. - W razie zagrożenia wystarczyłoby wyprowadzić nasze samoloty i okręty z baz, a znając kody, skierować je w dogodne punkty globu, na przykład do Kanady, Wielkiej Brytanii albo Hongkongu. Przypuśćmy więc, że udaje wam się przejąć kody, a potem przesłać je do naszych jednostek na wskazanych częstotliwościach. Stany Zjednoczone same się rozbroją, oddając broń jądrową swoim kanadyjskim i angielskim przyjacielom. A nasze samoloty i statki po przybyciu do obcych baz zostałyby... internowane, tak?

- Tak. - Sandy z zapalem pokiwała głową. - I rozbrojone. Wtedy może generał

Curtis i reszta oszołomów zaczęliby współpracować z nami, z ONZ i w ogóle zachowywać się rozsądnie.

- Niektórzy mogliby to nazwać mieszaniem się w wewnętrzne sprawy innego państwa.

- A inni mieszaniem się w kwestię przetrwania naszej planety - odparowała Sandy.

Carl wrócił do kopania.

- Wiesz, to zabawne - stwierdził.

- Dlaczego? Co cię tak śmieszy?

- Twoja wersja zawartości dokumentów. To już czwarta, jaką znam. Inni twierdzą że przechowywał oryginał naszej Konstytucji i Deklaracji niepodległości, potajemnie wywiezione z Waszyngtonu przed bombardowaniem. Jeszcze inni mówią, że dokumenty mogły mieć decydujący wpływ na zbliżające się wybory.

I Dzień Odrodzenia, dodał w myślach, ale wciąż nie chciał dzielić się z Sandy tym fragmentem tajemnicy. Jeszcze nie teraz.

- Jest jeszcze jedna historia... Tak zwariowana, że sam nie bardzo w nią mogę uwierzyć: podobno w tych papierach wskazana jest domniemana kryjówka prezydenta Johna F. Kennedy'ego i jasne potwierdzenie, że prezydent żyje.

- To jakiś obłąd.

- W rzeczy samej, Sandy... Przekonajmy się sami.

Carl poszerzył dół i teraz systematycznie go pogłębiał, Sandy zaś kręciła się przy nim niespokojnie, starając się dostrzec coś na dnie. Kombi zniknęło przez ten czas z parkingu, na którym pozostał tylko samotny volkswagen. Ściemniało się z każdą chwilą, wiatr przybierał na sile. Carl właśnie miał zamiar zrobić sobie chwilę przerwy, gdy łopata zazgrzytała o jakiś twardy przedmiot.

- Co to było? - spytała Sandy, pochylając się nad otworem.

- Nie jestem pewien... W klapie plecaka mam latarkę. Wyjmij ją i daj mi tutaj, dobrze?

Sandy uklękła przy plecaku, wygrzebała latarkę i trzymając ją w obu rękach, przesunęła wyłącznik. Zaświeciła w dół, Carl zaś przesunął łopatą w tę i z powrotem po czymś białym i twardym. Zgarnął na bok spłachetek niebieskiego materiału, którym owinięty był biały obiekt, a kiedy odrzucił jeszcze trochę ziemi, Sandy jęknęła słabo. Carlowi żołądek podszedł do gardła.

Spod cienkiej warstwy ziemi szczyrzyła zęby psia czaszka częściowo pokryta

jeszcze sierścią.

Sandy usiadła na skraju grobu, cały czas kierując latarkę w dół. Carla rozboleły już ręce i nogi z wysiłku i napięcia. Mruknął coś i wrócił do kopania.

- Co ty robisz? - zdziwiła się Sandy.
- Trzeba tę sprawę doprowadzić do końca.

Ostrożnie odsunął na bok szczątki zwierzęcia i najlepiej jak umiał zawinął je w znaleziony w grobie niebieski ręcznik. Kopał jeszcze systematycznie przez dobre pięć, może nawet dziesięć minut, gdy łopata znów zgrzytnęła o coś twardego. Sandy zerwała się na równe nogi.

- Co to?
- Spokojnie - odrzekł Carl. - To może być kamień albo jakaś następna kość.

Ale i jemu ręce trzęsły się z podniecenia, gdy odgarniał luźną ziemię na bok. Tym razem zgrzyt był inny, jakby metal drapał o metal. W niepewnym blasku latarki zamajaczyło mu coś zielonego. Jeszcze chwila i oczom Carla ukazało się podłużne metalowe pudełko, które rozpoznał, odrzuciwszy następne dwie łopaty ziemi. Odstawił łopatę i padł na kolana.

Na pokrywie znajdowała się metalowa rączka: złapał ją i pociągnął.

Wieko się nie otworzyło.

- Cholera jasna! - zaklął szeptem, choć wiedział, że i tak nikt poza Sandy nie może go tu usłyszeć.

- Co się dzieje?

- Siedzi w ziemi jak korek w butelce - odparł i wziął łopatę do ręki. Wykopał trochę ziemi z boków i podważył skrzyneczkę.

- Carl! Carl, spójrz no tutaj! - odezwała się nagle Sandy.

Carl podniósł wzrok: na parking obok volkswagena zajeżdżały dwa inne samochody.

- Światło - rzucił krótko. - Zgaś tę cholerną latarkę i połóż się na ziemi. Sandy posłusznie wyłączyła latarkę i rozpląszczyła się na ziemi. Carl poszedł w jej ślady - tylko jedną ręką sięgnął w dół, do rozkopanego grobu. Złapał pudełko, czując, jak metal wrzyna mu się w skórę. Pociągnął za rączkę. Nic.

- Nie wiem, czy nas zauważyli - szepnęła Sandy. - Idą do stróżówki, ale chyba jest zamknięta. Światła pogaszone.

Carl znów szarpnął: na próżno. Zaklął, sięgnął oburącz w dół i zdarłszy sobie paznokiec z kciuka, złapał mocno za uchwyt.

- Jest ich trzech albo czterech - zameldowała Sandy. - Pukają do drzwi i zagląдают przez okna do środka.

Carl zgrzytnął zębami, szarpnął i wreszcie coś puściło. Trochę ziemi posypało się do grobu; grudki zabębniły głucho o metalowe wieko.

- Carl! - szepnęła nerwowo Sandy. - Patrzą w naszą stronę.

- To fatalnie.

Pociągnął jeszcze dwa razy i wyciągnął pojemnik - metalowe pudełko na amunicję zamknięte z boku klamrą. Odetchnął głęboko.

- Umiesz się czołgać? - spytał szeptem.

- Pewnie.

- No to czołgamy się do tych drzew. Szybko!

Przez cały ten krotki odcinek Carl nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, jakby snajper celował mu w plecy z karabinu.

Droga przez las, a potem ulicami Hudson zdawała się trwać całą noc, chociaż ścienny zegar w domku wskazywał, że nie było ich tylko dwie godziny. Pokonali zagajnik, kilka pól uprawnych, przemknęli zaułkami cichego miasteczka, kierując się odgłosem silników samochodowych. W ten sposób wyszli na drogę numer trzy i wrócili do Matadora.

Tuż przed motelem ukryli się w gęstwinie krzaków po drugiej stronie ulicy, wypatrując wszelkich niezwykłych znaków i sygnałów - na przykład nieoznakowanej furgonetki na parkingu albo grupy krępych młodych mężczyzn nieopodal recepcji.

Kiedy Carl doszedł do wniosku, że nic im nie grozi, przeszli przez ulicę. Plecak zarzucił sobie na ramię, a w drugiej, wolnej ręce niósł metalową skrzynkę na amunicję. Otworzył drzwi i weszli do środka; najpierw starannie pozaciągał wszystkie kotary w oknach i zamknął drzwi, a dopiero potem zapalił lampkę na stole i przeszedł do kominka.

- Nie ma sensu ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi - stwierdził. - Posiedzimy chwilę, zobaczymy, co się nam trafiło, umyjemy się i jazda.

- Dokąd?

- Po kolei.

Carl odstawił plecak i zapalił w kominku, nastawiając wolny przepływ gazu. Ręce miał otarte i podrapane do krwi, lewy policzek rozcięty wysoko pod okiem; Sandy wyglądała niewiele lepiej - z włosami, w które wplątała się masa liści i drobnych gałązek.

- Nie każ mi dłużej czekać, Carl. Otwórz pudełko, proszę cię.

Postawił skrzynkę na ceglanej podmurówce kominka i wytarł dokładnie z ziemi i błota. Wyblakły żółty napis na bocznej ścianie informował, że w pudełku znajduje się pięćset sztuk naboju kaliber trzydzieści. Carl zachichotał nerwowo - kto wie, czy żółte literki nie mają całkowitej racji. Może to właśnie koniec całej sprawy: rozkopywanie grobu i czołganie się nocą po lesie doprowadziło do znalezienia skrzynki karabinowych pocisków. Przykro mi, Jim; przepraszam was, SP 19. Przepraszam, Stany Zjednoczone.

Sprężynowy zatrzask puścił bez oporów i wieko podskoczyło w górę. Sandy niecierpliwie zajrzała do środka. Carlowi zimny pot wystąpił na czoło, a ręce zaczęły

trząść się nerwowo, gdy podniósł wyżej pokrywę i ujrzał opakowane w folię zawiniątko. Wyjął je i zaczął rozpakowywać.

- Papier - mruknął cicho. - Papiery - powtórzył. - Z całą pewnością nie nasza Konstytucja ani Deklaracja niepodległości.

- Kody - stwierdziła uradowana Sandy, rozcierając zmarznięte ramiona. - Mieli rację, to kody, Carl. Wiesz, co to znaczy?

Plastikowa torebka sfrunęła na podłogę. Carl spojrzął na pierwszy dokument i bez słowa podsunął go Sandy, która cicho jęknęła.

- To ma być wszystko? Tyle się namęczyliśmy, a tu są tylko jakieś notatki służbowe? Jakies cholerne notatki? I nie ma kodów?

- Obawiam się, że nie.

W migoczącym blasku kominka Carl oglądał właśnie następny dokument. Przeczytał nagłówek:

TAJNE

OPRACOWANIE WYWIADOWCZE SPECJALNEGO ZNACZENIA
NUMER 85-3-62

Rozbudowa militarna Kuby

19 września 1962

PROBLEM

Oszacować strategiczne i polityczne znaczenie podjętych ostatnio na Kubie działań, mających na celu wzmocnienie walorów bojowych wyspy, oraz określić najbardziej prawdopodobną wersję dalszego rozwoju wypadków.

Carl przerzucił szybko kilka kartek, odsłaniając kolejne dokumenty. Wszystkie pochodziły z dawno nieistniejącego budynku, zwanego Białym Domem.

ŚCIŚLE TAJNE

SUPLEMENT NR 7
DO OCENY ZAGROŻENIA

ZE STRONY RADZIECKICH RAKIET NA KUBIE

AUTORZY

Rakietowa i Lotnicza Komisja Wywiadowcza
Komisja Wywiadu Energii Atomowej
Narodowe Centrum Interpretacji Zdjęć Lotniczych
Godzina: 02.00
27 października 1962

STRESZCZENIE

1. Szczegółowa analiza potwierdza szybkie tempo prac sugerowane w naszym ostatnim suplemencie. Ostatnie raporty z dnia 25 października nie pozwalają stwierdzić żadnych oznak ewentualnego przerwania budowy, rozebrania wyrzutni ani ich przeniesienia.

2. Daty przewidywanej gotowości bojowej wyrzutni raketowych nie uległy zmianie. Pięć z sześciu wyrzutni typu MRBM już osiągnęło pełną gotowość bojową, szósta zaś osiągnie ten status w dniu jutrzejszym, 28 października (rys. 2). Oznacza to zdolność do wystrzelenia 24 pocisków klasy MRBM (zasięg 1800 kilometrów) w ciągu od 6 do 8 godzin od wydania takiej decyzji, oraz wystrzelenia kolejnych 24 pocisków w ciągu następnym od 4 do 6 godzin (tabela 1).

Carl trzymał w rękach około stu stronic podobnych raportów. W jednym z nich znajome nazwisko zwróciło jego uwagę. Była to notatka wypisana w pośpiechu na maszynie, z kilkoma błędami i poprawkami:

BIAŁY DOM

Waszyngton

27 października 1962

28 Do: prezydent Stanów Zjednoczonych

Plan operacyjny numer 312 Sztabów Połączonych wzywał do likwidacji wszelkich - kubańskich i radzieckich - wyrzutni raketowych na Kubie już dwie godziny od zestrzelenia naszego samolotu szpiegowskiego U-2. Dla realizacji tej dyrektywy 16 myśliwców F-100 stacjonujących w bazie Homestead na Florydzie

postawiono na początku kryzysu w stan podwyższonej gotowości.

W dniu dzisiejszym około godziny 10.00 czasu wschodniego zestrzelono krążący nad północnym wybrzeżem Kuby samolot U-2. Krótco po godzinie 14.00 na żądanie prezydenta biuro Sztabów Połączonych skontaktowało się z generałem Ramseyem Curtisem, aby upewnić się, że uderzenie odwetowe wymierzone w wyrzutnie rakiet nie zostanie przeprowadzone bez wyraźnego rozkazu prezydenta.

Odpowiedź generała Curtisa brzmiała (cytuję): „Rosyjski niedźwiedź zawsze chętnie maczał łapę w wodach terytorialnych Ameryki Łacińskiej. Teraz, jak już wpadł w naszą pułapkę, proponuję obciąć mu tę łapę przy samych jajach. Na dobrą sprawę jaja też można by mu obciąć”.

Roztrzęsiony Carl podniósł wzrok znad raportów. Nie mógł uwierzyć w to, co czytał. Sandy siedziała przy kominku oparta o jego ceglana ścianę i kręciła z niedowierzaniem głową.

- Cały nasz... Cały wysiłek, krew, pot i łzy na nic. Znaleźliśmy plik nie niewartych notatek służbowych sprzed dziesięciu lat, cholera jasna!

- Nie panikuj, Sandy. - Carl jeszcze przebiegł wzrokiem po papierze. Nie miał pojęcia, jakim cudem coś takiego udało się na czas wywieźć z Białego Domu. - Te notatki mogą być...

Drzwi łazienki otworzyły się z trzaskiem, Sandy podskoczyła i wrzasnęła z przerażenia, gdy za plecami Carla zabrzmiał męski głos:

- Właśnie, Landry. To ty powinieneś zacząć panikować, zdrajco jeden! Przy drzwiach stał kapitan Rowland, w dżinsach, golfie i z rewolwerem w ręku.

- Ty idioto! - ciągnął, celując prosto w Carla. - Tak dawno przestałeś służyć w wojsku, że wyszedłeś z wprawy. Cały dzień mieliśmy cię na muszce, aż do demonstracji w parku. Nawet się nie rozejrzałeś po domku, kiedy tu przyjechaliście. A ty, kotku, rusz tę swoją angielską dupcię i przysuń się do swojego durnowatego chłopaka.

Sandy z popielatą twarzą podniosła z ziemi torebkę i stanęła obok Carla, który patrzył w małe, świńskie oczka Rowlanda i myślał o tym, jak ten spasiony byczek okładał pięściami Dwutonowca. Żeby po Mahnattanie i Boston Common tak głupio skończyć...

- A pan co, kapitanie? - spytał ostrym tonem. - Zapomniał pan motto oddziałów specjalnych? De oppresso liber, czyli „Wyzwalać ciemężonych”. Tym się

pan właśnie zajmuje? Czy raczej wspiera pan ciemnych?

Rowland wyszczerzył zęby w uśmiechu - i Carl musiał przyznać, że jest to paskudny widok.

- Przykro mi, stary, ale od dawna nie jestem w żadnych oddziałach specjalnych. Nie pasowałem do tych harcerzyków, więc trafiłem do Sekcji Z. Zajmuję się nieprzyjemną robotą, którą ktoś w tym kraju musi wykonywać.

- Taką na przykład jak zabicie Merla Sawsona? - odezwała się Sandy. - A potem próba zlikwidowania nas na Manhattanie?

Uśmiech na twarzy Rowlanda stał się chyba jeszcze szerszy.

- Robię wszystko, co trzeba, kotku. Wszystko. Stary Merl myślał sobie, że po cichutku dogada się z Angolami i nikt go nie capnie, ale się pomylił. W Nowym Jorku spieszyliśmy sprawę, to fakt, ale w Common nie mieliście szans. Ten twój kumpel, co się miga od wojska, sygnalizował cię pięć minut po spotkaniu, i od tej pory cały czas ktoś was pilnował: pod sklepem z whisky, na cmentarzu i w drodze powrotnej. A teraz dawaj to - burknął i wolną ręką skinął na Carla.

Carl poczuł, jak otwiera się przed nim mroczna otchłań rozpacz. Tyle lat przetrwały te dokumenty nietknięte; uniknęły zniszczenia w atomowym piekole Waszyngtonu, przeżyły trudne pierwsze lata po wojnie, a teraz przypadkiem zostały odnalezione. I znów nabrały wagi. Mogły powstrzymać szaleństwo, po dziesięciu latach zmienić kurs nieszczęsnego kraju, wszystko naprawić. Tymczasem właśnie kładł na nich łapę nowy barbarzyńca.

- Nie - odparł Carl. - Nie zrobię tego.

Rowland przestał się uśmiechać i skinął rewolwerem.

- Słuchaj, kolego, nie mam czasu na dyskusję. Albo dasz mi te papiery, albo twoja paniątka dostanie kulę w rękę. Jak ci to nie wystarczy, następna będzie w kolano, a potem może jeszcze gdzieś indziej...

Na zewnątrz rozległ się strzał, któremu odpowiedziały dwa inne. Wszyscy spojrzeli odruchowo ku drzwiom. Kątem oka Carl z niedowierzaniem zarejestrował malujące się na twarzy Rowlanda zaskoczenie. Znowu ktoś strzelił, a po chwili rozległ się narastający warkot helikoptera.

- O co chodzi, kapitanie? - spytała Sandy z cynicznym uśmieszkiem. - Czyżby jacyś nieproszeni goście?

- Stul dziób - uciszył ją Rowland, patrząc niepewnie to na nią, to na Carla, to znów na drzwi wejściowe. - Dawaj papiery albo cię...

Zza okna dobiegł ostry grzechot strzelającej seriami broni automatycznej. Carl padł na ziemię, pociągając za sobą Sandy, która próbowała mu się opierać.

- Jezus, Maria! - wrzasnął Rowland i nie wypuszczając broni z ręki, skoczył do najbliższego okna.

Sandy wyrwała się wreszcie Carlowi i już chciał wrzasnąć, żeby schowała ten swój niemądry łeb, gdy z otwartej torebki wyjęła mały pistolecik. Rzuciła go Carlowi, który chwycił go w jedną rękę, a drugą od razu odciągnął bezpiecznik.

Słyszając metaliczny szczęk, Rowland odwrócił się od okna i z wściekłym wyrazem twarzy wycelował rewolwer. Strzelił, Sandy krzyknęła, a Carl dwukrotnie strzelił kapitanowi prosto w pierś.

Rowland padł na podłogę, Carl zaś pociągnął Sandy na ziemię i wrzasnął:

- Skąd masz broń, do cholery?!

- Jak to skąd? Kiedy ludzie z MI6 przygotowywali mnie do wyjazdu, dali mi nie tylko radio.

Helikopter był coraz bliżej.

- Czy ten potwór nie żyje? - spytała Sandy zaczerwieniona i zdyszana. Carl podczołgał się do miejsca, w którym leżał Rowland. Odwrócił go na plecy, zabrał mu rewolwer i sprawdził, czy kapitan oddycha.

- Jest ranny, ale żyje - stwierdził, wróciwszy do kominka. - Jezu, Sandy, to twoi ludzie?

Wyraz wyższości na jej twarzy zarazem rozwścieczył go i zasmucił.

- Oczywiście. Są najlepsi. Przylecieli, żeby dokończyć robotę.

Carl usiadł z plecami opartymi o bok kominka, trzymając dokumenty na kolanach. Wrócił spojrzeniem do notatki, którą zaczął wcześniej czytać, i przebiegł wzrokiem ostatnie kilka akapitów:

...po godzinie 14.00 na żądanie prezydenta biuro Sztabów Połączonych skontaktowało się z generałem Ramseyem Curtisem, aby upewnić się, że uderzenie odwetowe wymierzone w wyrzutnie raket nie zostanie przeprowadzone bez wyraźnego rozkazu prezydenta.

Odpowiedź generała Curtisa brzmiała (cytuje): „Rosyjski niedźwiedź zawsze chętnie maczał łapę w wodach terytorialnych Ameryki Łacińskiej. Teraz, jak już wpadł w naszą pułapkę, proponuj ą obciąć mu tę łapę przy samych jajach. Na dobrą sprawę jaja też można by mu obciąć”.

Generał Curtis został więc powtórnie ostrzeżony, że za wszelką cenę, powtarzam: za wszelką cenę należy uniknąć uderzenia odwetowego. Generał zareagował na to wulgarnie i dodał: „Chłoptaş z Ivy League spieprzył sprawę w Zatoce Świń. Wystarczy; tym razem nie zamierzamy dać się złapać z rękaw nocniku”. Po tych słowach generał odłożył słuchawkę.

Dalsze próby nawiązania kontaktu z generałem Curtisem zakończyły się niepowodzeniem. Kiedy przez centralę Białego Domu udało się porozumieć z oficerem operacyjnym w bazie Homestead, stwierdzono, że rozkaz wyprowadzenia uderzenia odwetowego został wydany. Oficer operacyjny odmówił odwołania go bez potwierdzenia odpowiednim kodem autoryzacyjnym.

Podjęte przez Sztaby Połączone próby cofnięcia tego rozkazu zakończyły się fiaskiem. Ze wstępnych raportów wynika, że wyrzutnie rakiet SA-2 zostały zbombardowane oraz że trwa nalot na pozostałe stanowiska ogniowe w tym rejonie.

Do notki dołączony był odręczny dopisek na oficjalnej papeterii Białego Domu, datowany na 28 października, dzień po nalocie:

Do diabła, Merl, ten dureń Curtis wpakował nas w prawdziwą wojnę. Podobno lada chwila na Kubę mają wkroczyć komandosi i piechota morska. Niezłego burdelu nam tu narobił.

Notka nie była podpisana.

Okna i drzwi wejściowe pękły z trzaskiem. Carl odruchowo przeturlał się po ziemi, osłaniając Sandy własnym ciałem.

- Czysto! - krzyknął ktoś. Inny głos odpowiedział mu tym samym okrzykiem i podniósłszy głowę, Carl ujrzał czterech ludzi w czarnych skafandrach, hełmach i kamizelkach kuloodpornych. W rękach mieli krótkie pękate pistolety maszynowe. Steny. Angielskie. Wskoczyli do środka przez drzwi i okna i jeden już pochylał się nad kapitanem Rowlandem.

- Lekarz! - krzyknął. - Potrzebny lekarz!

Przybysze zakrzętnęli się wokół leżącego, a po chwili przez wyłamane drzwi wszedł młody mężczyzna w garniturze.

- Cześć, Sandy - rzucił na powitanie. - Przepraszam za te hałasy. Nic ci nie

jest?

- Nie, wszystko w porządku. - Sandy wstała i uśmiechnęła się promiennie. -
W najlepszym porządku.

Douglas Harris, attache prasowy brytyjskiego konsulatu w Bostonie, skinął
Carlowi głową.

- A jak się miewa pan Landry z „Globe”?

Carl wstał, obserwując, jak dwóch żołnierzy zabiera jego plecak i oba
pistolety. Papiery wciąż trzymał w rękach.

- Pan Landry nic z tego wszystkiego nie rozumie - odparł. - I w uszach mu
huczy. I chciałby się dowiedzieć, co się właściwie dzieje.

- Naturalnie - uśmiechnął się Harris. - Ale po kolei, panie Landry. - Wyciągnął
przed siebie rękę. - Poproszę dokumenty.

Plik papierów zdawał się ważyć nie więcej od piórka.

- Mógłby pan powtórzyć? - rzekł Carl.

Harris skinął krótko głową. Sandy z lękiem w oczach obserwowała całą scenę.

- Poproszę o dokumenty, które trzyma pan w ręku, panie Landry - powtórzył
Harris. - Obiecano je nam i przebyliśmy po nie.

Rowlanda wyniesiono już z pokoju. Zapanowała cisza, którą mącił tylko
stłumiony warkot śmigłowca, który chyba wylądował na parkingu.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Cholera jasna, człowieku, nie mamy czasu na takie zabawy. - Harris z
wyraźnym trudem panował nad nerwami. Zrobił krok w przód. - Po tej strzelaninie
miejscowa policja będzie tu lada chwila. Nasz helikopter usiadł na placu przed tym
pieprzonym motelem! Papiery!

- Jak się tak spieszysz, to zabieraj dupę w troki, wskakuj do helikoptera i już
cię nie ma!

- Carl, naprawdę... - próbowała coś powiedzieć Sandy.

- Zamknij się - uciszył ją Harris i skinął na dwójkę stojących obok żołnierzy.

- Wy dwaj: zabierzcie mu te papiery. Nie musicie być przesadnie delikatni.

Carl wrzucił plik dokumentów w ogień na kominku.

Sandy i Harris równocześnie krzyknęli i skoczyli do przodu, ale Carl ryknął,
przypominając sobie najlepsze chwile swojej kariery w roli sierżanta: - Ani kroku
dalej!

Położył dłoń na kurku przepływu gazu.

- Dobrze - rzekł spokojnie, głośno i wyraźnie. Gdzieś w głębi serca sam nie do końca wierzył w to, co robi. - Słuchajcie mnie uważnie. Te dokumenty są własnością mieszkańców Stanów Zjednoczonych, nie waszą. Z każdą mijającą sekundą ubywa ich, gdyż się palą. Na razie nie dzieje się nic złego, bo płomień jest mały, ale spójrzcie, gdzie trzymam rękę. Jasne? Ten zawór reguluje dopływ gazu do palników. Jeśli ktoś z was zbliży się do mnie choć na krok, przekręcę go i z dokumentów zostanie kupka popiołu.

Papiery wylądowały w samym środku kominka; najpierw pierwszy, potem już drugi arkusz zwinął się od gorąca i zaczął dymić.

- Blefujesz - stwierdził Harris.

- Sprawdź mnie, Dougie. Domyślam się, że są w tych papierach bardzo ważne rzeczy, które chcielibyście opublikować. Albo i nie. Świetnie, w każdym razie wam na nich zależy. Ja tylko twierdzę, że nie do was należy decyzja o ich ujawnieniu lub ukryciu. To nasze dokumenty.

- Carl, posłuchaj mnie - wtrąciła się Sandy. - Wiem, co czujesz, ale można je opublikować tylko za granicą, gdzieś, gdzie nie ma cenzury.

- Sam się zajmę cenzurą - uspokoił ją Carl. - Poza tym i tak nie wiemy, czy nasz Dougie byłby skłonny je opublikować, prawda?

Harris był przerażony.

- Mój Boże, człowieku, nie zdajesz sobie sprawy, jaki skarb wpadł ci w ręce?! To dokumenty z Białego Domu, które pozwolą odkryć, jak doszło do wybuchu wojny! Zważą na wyborach! A przez ciebie się palą!

- Nie, w tej chwili palą się przez ciebie... O, proszę, następna kartka. - Carl starał się mówić zarazem szybko, zwięźle i wyraźnie. - Proponuję następujący układ. Zapewnisz mi transport do Bostonu i dasz mi te papiery, a ja się postaram, żeby zostały ujawnione. Jeżeli mi się nie uda, dopilnuję, żeby następnego dnia trafiły do waszego konsulatu. To są moje warunki; albo je szybko przyjmiesz, albo nic nie zostanie. A coś mi mówi, Dougie, że twoi przełożeni nie byliby zachwyceni, gdyby wszystko poszło z dymem. Pospiesz się, by chyba słyszysz syreny. Chcesz się tłumaczyć przed policją, co robią uzbrojeni brytyjscy żołnierze na terytorium amerykańskim?

Harris poczerwieniał.

- Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać?

- Spytaj Sandy. Ona za mnie poręczy. Sandy i Harris wymienili szybkie

spojrzenia.

- No dobrze, a skąd ta pewność, że ty możesz mi zaufać?

- Daj mi słowo honoru, jako Anglik, dżentelmen i członek korpusu dyplomatycznego. To mi wystarczy.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle. Harris westchnął.

- Ty draniu. Masz moje słowo honoru, słowo Anglika, dżentelmena i członka korpusu dyplomatycznego, że nie stanie ci się żadna krzywda i bezpiecznie wrócisz do Bostonu.

- Z dokumentami.

- Tak, tak, z dokumentami! Wyłączył ten gaz!

Carl przekręcił kurek i płomień zgasł. Porwał plik papierów z paleniska i otrzepał go z żarzących się resztek.

- Chyba czas na nas? - zagadnął.

- Najwyższy czas - przytaknął Harris. - Wyjdźmy stąd.

Jadący autostradą ludzie zjechali na pobocze, żeby obejrzeć stojący na parkingu helikopter z wciąż pracującym wirnikiem. Żołnierze nieśli rzeczy Carla i Sandy, która przytknęła usta do jego ucha i krzyknęła:

- Ostro grasz!

- Nie miałem wyjścia! - odparł Carl, ściskając pod pachą beczenny ładunek.

- Nie bałeś się, że się spalą?

- Bałem się, Sandy. Bałem się jak nigdy w życiu - odparł, przekrzykując łoskot silnika śmigłowca.

Douglas Harris wskoczył pierwszy na pokład. Na jego twarzy wykwitł triumfalny uśmiech, który wcale się Carlowi nie podobał. Wcale. Dwaj żołnierze ze śmigłowca obserwowali ich bacznie, a z przodu, z siedzenia obok pilota, wychylił się jakiś człowiek - wysoki, wściekły, z grzywą siwych włosów. .. Cholera jasna, pomyślał Carl. Czyja go skądś znam?

Zrobił jeszcze kilka kroków.

Stewart. Stewart Thompson, szef MI6 w Bostonie, którego nazwisko widniało na wizytówce znalezionej w lodówce u Merla Sawsona.

Następny krok. Ryk silnika i łopat był ogłuszający. Coś tu nie pasowało, i to bardzo. Stewart Thompson wychylił się jeszcze bardziej, a Dougie Harris przyglądał się Carlowi z uśmiechem, uśmiechem triumfu, bo przecież on mu coś obiecał, ale

Thompson już nie.

Carl zebrał się na odwagę, skulił się i zanurkował pod maszyną. Przetoczył się po spękanym chodniku i przez chwilę miał wrażenie, że w całym świecie istnieje tylko hałas śmigłowca i ostry piasek, ścierający mu skórę z twarzy. Przeturlał się dalej, jeszcze kawałek, aż wreszcie mógł się wyprostować. Był wolny. Rzucił się biegiem w stronę lasu.

Helikopter oderwał się od ziemi, gdy na parking z piskiem opon zajęchały policyjne samochody.

Wiedział, że go ścigają i w końcu zostało tylko jedno miejsce, gdzie mógł się ukryć.

Ostrożnie szedł przez puste pokoje, trzymając w ręku świecę. Był wykończony. Przedarłszy się przez okalający Matadora las, zawrócił i dotarł na cmentarz i do porzuconego przy nim volkswagena. Nie chciał wracać nocą do Bostonu -jeden przypadkowy posterunek i byłoby po wszystkim. Pozostawała jeszcze Sekcja Z, wściekła, że zraniono jednego z jej ludzi, no i równie wściekli Brytyjczycy.

Ostatecznie wrócił do domu. Do Newburyport, którego nie odwiedzał od dziesięciu z górą lat. Ukrył samochód w krzakach przy drodze i znajomymi opłótkami dotarł na miejsce. Noc była zimna, ale przesiedział długą chwilę na maleńkim podwóreczku, obserwując chałupkę w stylu Cape Cod, teraz ciemną i z zasłoniętymi oknami, którą dawno temu jego rodzice, on sam i Sarah nazywali domem rodzinnym. Zieleń zdziczała; wysokie zielsko i samosiejki zarosły trawnik, zasłoniły też porzewiałe resztki huštawki na tyłach domu. Okna na parterze zasłonięte płaciami sklejk, która z upływem lat spłowieła na słońcu.

Jakiś czas temu - dość dawno, chyba w 1964 roku - Carl dostał list w sprawie domu w Newburyport. Firma Redl Esteta Salvagers proponowała w nim, że zajmie się wywiezieniem rzeczy osobistych, odłączy media i wystawi dom na sprzedaż. Po tym, jak w latach 1962-63 zginęły i umarły miliony ludzi, tego rodzaju działalność stała się następną dochodową gałęzią gospodarki. Carl zapłacił firmie tyle, ile sobie życzyła, ona zaś zajęła się resztą i od tej pory płacił co roku niewielki podatek od nieruchomości. Posiadłości nikt nie kupił.

Przeszedł na tyły domu i spod obluzowanej cegły na ścieżce wyjął zarzewiały, ale wciąż przydatny klucz, którym otworzył zamek. W kuchni znalazł ogarek świeczki i stare pudełko zapalek - piątą z kolei udało mu się zapalić. W świetle świecy patrzył na zakurzoną podłogę i półki; przypominał sobie, ile przyrządzonych przez matkę śniadań, obiadów i kolacji zjadł w tej kuchni. Przypomnił sobie, jak zimną schodził z sypialni na parter i razem z Sarah zajadali płatki, siedząc na podłodze przy dmuchawie z ciepłym powietrzem i grzejąc sobie przemarznięte stopy.

Przeszedł przez krótką sień, w której najdziwniejsze cienie skakały dziko po ścianach. Salon był pusty, dywany zwinięte; tutaj całą rodziną siadywali przed

telewizorem, biało-czarnym philco. Wspomnienia wróciły upojną falą: Howdy Doody, Król Przestworzy, i Tom Corbett, kadet kosmiczny. Matka prasowała, śledząc w telewizji relacje z przesłuchań przed komisją McCarthy'ego, w 1956 roku, a ojciec zawsze w piątki oglądał wieczorne walki bokserskie. Przy końcu sieni przystanął i zajrzał do następnego pokoju: sypialni rodziców. Kiedy on albo Sarah byli chorzy i nie szli do szkoły, matka pozwalała im leżeć w tym pokoju przekonana, że szybciej wrócą do zdrowia, jeśli będzie na nich miała oko.

Łzy napłynęły mu do oczu. Ciekawe, o czym myślała w tych ostatnich dniach, skulona z ojcem w łóżku, oboje pewnie okutani po uszy, ubrani we wszystko, co mieli - bez prądu, bez ogrzewania i jedzenia, przy szalejących na zewnątrz zamieciach.

Otarł oczy i wszedł na górę. Z lewej strony znajdował się pokój Sarah. Teraz ściany świeciły pustkami, ale pamiętał, jak niegdyś wyglądały: zdjęcia koni, plakaty muzyków, między innymi niejakiego Dylana, który teraz koncertował na emigracji w Kanadzie. Wieczorami Sarah zaczytywała się w opasłych tomiszczach z biblioteki, czasem niepewnie brzdąkała na gitarze, a spod drzwi sączyła się niekiedy słaba woń papierosowego dymu.

Wszedł do swojego pokoju. Łóżko stało na swoim miejscu, podobnie jak regały i komoda pod oknem. Podniósłszy świecę, ujrzał w suficie maleńkie otwory po pinezkach, z których kiedyś zwieszały się na nitkach starannie wykonane modele starych samolotów: sopwith camel, trójpłatowiec fokkera, B-17,P-51,F-86...

Znowu w domu. Nigdy nie przypuszczał, że jeszcze tu wróci, ale tego wieczora czuł, że to najlepsze miejsce i nigdzie indziej nie byłoby mu lepiej. Na strychu znalazł starą kapę na łóżko. Owinął się nią i wyciągnął jak długi na wytartym dywanie u siebie w pokoju. Łzy płynęły mu po policzkach. Odnalezione dokumenty położył sobie obok głowy.

Zostało tak niewiele czasu. Pomyślał o tym, co musi zrobić następnego dnia, żeby spełnić daną tydzień temu obietnicą; próbował w duchu wrócić do Jima Rowleya, jego SP 19 i innych istniejących w ukryciu społeczności, a potem o brytyjskich żołnierzach i rychłym anszlusie, ale nie mógł zebrać myśli. Cały czas stawała mu przed oczyma rodzina z małego miasteczka, która żyła w tym domu na początku nowej, pełnej nadziei i oczekiwania dekady, kiedy to na czele państwa stanął młody obiecujący prezydent. Myślał o swojej rodzinie unicestwionej w wojnie, która w ogóle nie powinna była wybuchnąć, ale też o tym, że wreszcie ma szansę jakoś naprawić tamten błąd. Zerknął na zegarek: właśnie minęła pomoc.

Zostały dwa dni.

W sobotę wstał wcześniej rano. Był już w Bostonie - zamknąwszy za sobą drzwi domu w Newburyport, poszedł na przystanek Greyhounda i złapał autobus. Wiedział, że o tej porze - w godzinach szczytu - policja rzadko rozstawia posterunki. Piechotą w godzinę zaszedł na Morrissey Boulevard, zmęczony, ale czujny jak nigdy. Za kilka minut zamierzał spróbować dokonać czegoś, o co nigdy by się nie podejrzewał: zakraść się do pracy.

Przyłączył się do grupy pracowników drukarni, którzy właśnie wchodzili do gmachu redakcji, i w ten sposób dostał się do środka od podwórza, od strony ramp dla samochodów, które zwoziły ogromne bele papieru. Wjechał na górę windą serwisową i szybkim krokiem, unikając ludzi i ich wścibskich spojrzeń, skierował się prosto do zacisznego, bezpiecznego biura George'a Dooleya.

Pokój był czysty i pusty - do ósmej rano brakowało jeszcze sporo czasu. Carl przeniósł sobie maszynę do pisania na biurko; miał kilka godzin, żeby spokojnie popracować, zanim Dooley zjawi się w redakcji. Ryzykował - i to bardzo - ale zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Udał się w jedyne sensowne miejsce; gdzie miał się podziąć? I co miałby innego robić?

Zaczął przeglądać przywiezione z New Hampshire dokumenty i szybko posortował je na dwa stosy. W pierwszym znalazły się wszelkie raporty i dokumentacja odpraw związanych z kryzysem kubańskim w 1962 roku - tę stertę odsunął na bok. Drugi, znacznie mniejszy stosik zawierał materiały, którymi chciał się posłużyć przy pisaniu dzisiejszego artykułu. Spokojnie wybierał je, przeglądał i uważnie czytał.

Znalazły się tam dwie czy trzy spięte razem stroniczki opatrzone nagłówkiem BIAŁY DOM, WASZYNGTON i gęsto pokryte odręcznym pismem:

Spotkanie ExCommu o 23.00 27 października, sobota. Prezydent wściekły na Curtisa za jego samowolną decyzję o ataku z powietrza.

Marszałek domaga się jego natychmiastowego zwolnienia; McNamara przedstawia sytuację: wojna trwa, strzelamy do kubańskich i rosyjskich techników. Trudno się wycofać. Wyrzucenie Curtisa byłoby oznaką słabości. Sam Curtis znajduje się w jednej z maszyn, na powietrznym stanowisku dowodzenia.

Marszałek jest nieugięty: Curtis musi odejść. Niewykonanie bezpośrednich

rozkazów. Taylor, szef połączonych sztabów, zwraca uwagę na szybki rozwój wypadków. Trzeba trzymać rękę na pulsie. Samoloty bombardują wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych; MRBM-y mogą zostać w kilka godzin postawione w stan gotowości. Należy od razu zbombardować MRBM-y, zanim uzbroją je w głowice nuklearne i przygotowują do startu.

Sekretarz stanu Rusk twierdzi, że zaprzepaszczono ostatnią szansę na dyplomatyczne rozwiązanie kryzysu. ONZ i światowa opinia publiczna zdecydowanie nas potępiają. McNamara mówi, że teraz liczą się fakty, nie dyplomacja. Wojna na Kubie zaczęła się na dobre.

Prezydent zamyka dyskusję. Nie można dopuścić do uzbrojenia rakiet z głowicami jądrowymi. Trzeba je zbombardować. SPS Taylor mówi, że plan operacyjny nie ogranicza się do zbombardowania wyrzutni - należy wprowadzić do walki wojska lądowe, by całkowicie uziemić wroga. Prezydent się zgadza. Piechota morska i komandosi lądują na Kubie najpóźniej w poniedziałek, 29 października.

Pytanie do McNamary: jak Związek Radziecki zareaguje na inwazję? Odpowiedź: musimy być przygotowani na atak w innym miejscu, najprawdopodobniej w Berlinie.

Pytanie do McNamary: co z reakcją Rosjan na Kubie? Odpowiedź: na Kubie mogą znajdować się nieliczne, słabo uzbrojone oddziały radzieckie, które nie będą miały wielkiego wpływu na przebieg inwazji.

Prezydent kończy spotkanie, mówiąc, że jeśli przeżyjemy i uda się osiągnąć zamierzony cel, ten sukinsyn Curtis dostanie medal. Potem każę go zastrzelić.

Carl miał kłopoty ze skupieniem się na dokumentach, które osłaniały przed nim latami skrywane tajemnice. Skrywane nie bez powodu.

NOTATKA SŁUŻBOWA - DO ARCHIWUM

W dniu dzisiejszym skontaktował się ze mną mój informator z Departamentu Stanu; prawie krzyczał ze złości i rozpacz. Udało się nieoficjalnymi kanałami doprowadzić w sobotę do ugody, która miała zażegnać kryzys: Rosjanie zabierają rakiety, J.F.K. zgadza się uznać rząd i granice Kuby, a w kilkumiesięcznej perspektywie także wycofać nadliczbowe pociski typu jupiter z Turcji.

Ten sam człowiek twierdzi, że szansę na porozumienie pogrzebano, gdy nasze lotnictwo zbombardowało wyrzutnie rakiet, które zestrzeliły naszego U-2. Kanaly nieoficjalne zostały natychmiast zablokowane, ambasada radziecka niszczy całą dokumentację, a mój informator wynosi się z ministerstwa i wyjeżdża z rodziną do Wirginii Zachodniej.

Następna pojedyncza kartka, zwykła, bez firmowego nagłówka:

Dzisiejsze spotkanie ExCommu chaotyczne. Jedna trzecia członków komitetu wyjechała z rodzinami poza Waszyngton. Z jednostkami piechoty morskiej i sił specjalnych na Kubie łączność jest sporadyczna i niepewna. Rosjanie ostrzelali ich pociskami typu frog, zaopatrzonymi w taktyczne głowice atomowe. Koszmarne ofiary w ludziach. DSWL rozpaczalo zakrojone na pełną skalę uderzenie odwetowe. Nasze wojska w Berlinie Zachodnim ustąpiły przed przeważającymi siłami wroga. Zaleca się prezydentowi natychmiastowe opuszczenie Waszyngtonu. McNamara nadal uważa, że można doprowadzić do rozejmu. Marszałek prawie rzuca się na niego z pięściami. Otrzymujemy wiadomość, że zastępca dyrektora CIA odpowiedzialny za gromadzenie informacji o działalności Rosjan na Kubie popełnił samobójstwo. Marszałek twierdzi, że inne sukinsyny z CIA powinny pójść w jego ślady. Prezydent twierdzi, że spróbuje negocjować zawieszenie broni. Chce do końca pozostać w Waszyngtonie i próbować zakończyć wojnę.

Niemal na samym dniu stosu Carl znalazł znacznie świeższy dokument spisany na maszynie:

Ten dokument zawiera złożone pod przysięgą zeznanie pana Merla Sawsona z Bostonu w stanie Massachusetts:

1. Nazywam się Merl Sawson. W czasie wojny kubańskiej służyłem w wojsku w stopniu pułkownika i pełniłem w Białym Domu funkcję oficera łącznikowego. Do moich obowiązków należało uczestniczenie w spotkaniach zespołu operacyjnego, w którego skład w czasie kryzysu kubańskiego wchodziłi członkowie gabinetu, wysocy stopniem oficerowie sił zbrojnych oraz inni przedstawiciele rządu. Zespół ten nazywano Komitetem Wykonawczym, a w skrócie ExCommem.

2. W sobotę 27 października 1962 roku samolot szpiegowski U-2 został zestrzelony nad terytorium Kuby. Na polecenie prezydenta skontaktowałem się z szefem sztabu wojsk lotniczych, generałem Ramseyem Curtisem, aby zapobiec uderzeniu odwetowemu na wyrzutnię rakiet przeciwlotniczych, która ostrzelała U-2. Takie uderzenie odwetowe przewidywał plan operacyjny Połączonych Sztabów numer 312.

3. General Ramsey Curtis sprzeciwił się rozkazom prezydenta i zezwolił na przeprowadzenie nalotu odwetowego. General Curtis z własnej inicjatywy, bez rozkazu prezydenta ani innych uprawnionych osób, zatwierdził dalsze bombardowania innych celów na terytorium Kuby.

4. Prezydent i członkowie ExCommu zgodnie wyrazili opinię, iż naloty na wyrzutnie rakiet balistycznych oraz późniejsza inwazja na Kubę były nieuniknioną konsekwencją decyzji generała Curtisa o wszczęciu działań odwetowych.

5. Z moich informacji wynika, iż byłem jedną z ostatnich osób, które opuściły Biały Dom w dniu ataku na Waszyngton. Prezydent John F. Kennedy, mimo iż miał wystarczająco dużo czasu na bezpieczne opuszczenie Białego Domu, do końca pozostał na posterunku, licząc na zawarcie rozejmu z ocalałymi przedstawicielami władz radzieckich.

6. Po zakończeniu wojny kubańskiej poświęciłem kilka lat na znalezienie ocalałych członków ExCommu i ich współpracowników, którzy mogliby wiedzieć coś na temat działań generała Curtisa, bezpośrednio poprzedzających zaognienie sytuacji na Kubie. Moje poszukiwania doprowadziły do ujawnienia, iż członkowie ExCommu, którzy w chwili ataku na Waszyngton znajdowali się poza miastem, obecnie nie żyją, zostali uznani za zaginionych bądź znajdują się w więzieniach.

7. Moim zdaniem co najmniej kilka zgonów byłych członków ExCommu nastąpiło w tajemniczych, trudnych do wyjaśnienia okolicznościach.

8. Od zakończenia wojny kubańskiej w sensie formalnym jestem

dezertorem, gdyż nie zgłosiłem się do moich przełożonych, aby zameldować o gotowości do służby. Kiedyś żałowałem tej decyzji, ale wiedząc, co stało się z innymi członkami ExCommu, cieszę się, że tak postąpiłem.

Prawdziwość tego zeznania została poświadczona osobiście przede mną w dniu 30 maja 1971 roku w Bostonie, w stanie Massachusetts.

Carl zerknął na umieszczone pod dokumentem podpisy: pierwszy z nich złożył Merl Sawson, drugi zaś należał do notariusza nazwiskiem Andrew Townes - sąsiada Merla i właściciela kamienicy, w której mieszkał.

- Przykro mi, panowie - mruknął Carl. - W ten sposób wydaliście na siebie wyrok śmierci.

W głowie mu szumiało, czuł dojmujący głód, a stopy bolały go od przemierzonych tego dnia kilometrów, ale pamiętał, że nie ma czasu do stracenia. Wkręcił w maszynę czystą kartkę, zdążył napisać swoje nazwisko i dużymi

literami tytuł HISTORIA KUBAŃSKA, gdy do gabinetu wparował George Dooley z kubkiem kawy i papierową torbą w rękach. Stał jak wryty.

- A ty co tu robisz, do licha ciężkiego?

- Piszę artykuł do niedzielnego wydania gazety.

- To dobrze. - George pociągnął ryk kawy. - Za to ci płacimy. Ale czemu tutaj?

- Kwestia prywatności - odparł Carl, pisząc wprowadzenie, które praktycznie samo spływało mu z palców na papier. - Zaraz sam się przekonasz.

Zapisawszy pół strony, wyciągnął kartkę z maszyny i podał ją Dooleyowi, a potem usiadł i czekał na reakcję. Serce łomotało mu tak głośno, że jego zdaniem pół redakcji musiało słyszeć to dudnienie.

Stało się. Nadszedł moment, który wykaże, czy warto było zaryzykować; gdyby George powiedział coś niepoehlebnego czy ostrożnego – gdyby w ogóle cokolwiek powiedział - Carl zamierzał zabrać papiery w cholerę i udać się prosto do konsulatu angielskiego.

George skończył czytać, odchrząknął i oddał kartkę Carlowi.

- Rozumiem cię z tą prywatnością - powiedział. - Chcesz kawy?

- Chętnie. I coś do jedzenia.

- Się robi.

Goniec przyniósł Carlowi kawę i kilka pączków, a on pisał bez chwili wytchnienia. Niedługo po nim do pokoju wrócił George i zaczął czytać zapisane kartki; Carl kątem oka dostrzegł, że przy okazji dokonuje drobnych poprawek. Potem poprosił o pokazanie mu materiałów źródłowych, a kiedy Carl mu je podał, przeczytał wszystko, pochrzając i unosząc w zdumieniu brwi. Potem oddał papiery Carlowi - i tyle. George nigdy szczególnie się nie ekscytował artykułami w gazecie.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze? - zagadnął.

- Owszem, starych roczników „Globe” i „Timesa”, od października 1962.

Chciałbym dobrze zrozumieć historię.

- Jak my wszyscy - mruknął George. - Coś jeszcze?

- Chyba lunch. - Carl ziewnął potężnie i przeciągnął się, nie wstając z krzesła.

-I jeszcze trochę prywatności.

- Dostaniesz jedno i drugie - obiecał George, patrząc mu w oczy. - Ale tej prywatności już niewiele ci zostało. Sam nie podejmę tu żadnej decyzji i ty dobrze o tym wiesz, Carl. Muszę ściągnąć resztę redaktorów, a może nawet właścicieli gazety.

Carl poczuł, jak lodowate palce zaciskają mu się na gardle. Zostały tylko dwa dni.

- Majora Devane'a też? George prychnął pogardliwie.

- Ten facet sporo potrafi, ale redaktor z niego żaden. Zdążysz na popołudnie?

- Zdążę. Muszę zdążyć. -No to pracuj.

Ktoś przyniósł archiwalne roczniki gazet i Carl zagłębił się w meandrach historii, dopasowując nazwiska z dokumentów Sawsona do twarzy bohaterów wydarzeń, które rozegrały się dziesięć lat wcześniej. Przedstawiciele administracji; John F. Kennedy z rodziną; Bobby Kennedy z rodziną, Johnson, wiceprezydent; McNamara, sekretarz obrony; Rusk, sekretarz stanu; Pierre Salinger, rzecznik prasowy. Wszyscy byli już martwi, a jednak w magiczny sposób ożywiali wpisanych pospiesznie notatkach i wyblakłych raportach.

Naprzeciw biura George'a znajdowała się nieduża salka konferencyjna; kiedy Carl na chwilę podniósł wzrok znad maszyny, ujrzał zbierających się w niej redaktorów. Dobiegały go podniesione głosy, rozmowy, czasem krzyki, raz nawet ktoś trzasnął drzwiami. Dostrzegł redaktora naczelnego, sekretarza redakcji, specjalistę od wstępniaków, a nawet właściciela we własnej osobie - głowę rodu, który od lat

zarządzał „Globe'em”. George dwoił się i troił: schlebiał, dyskutował, wymachiwał rękami. W porze lunchu Carl zjadł połówkę przyniesionej mu kanapki, zanim zorientował się, że jest z pieczenia wołową i serem. Przypomniał sobie Manhattan i wyrzucił ją do kosza, gdzie wylądowała wraz z pogniecionymi kartkami, z których treści nie był zadowolony.

Wreszcie George wrócił do swojego gabinetu otoczony wianuszkami redaktorów. Carl powiódł wzrokiem po ich twarzach: od lat pracowali w „Globe”, związali z nim całe swoje życie zawodowe, jakoś radząc sobie z cenzurą, i teraz przyglądali mu się podejrzliwie. Wiedział, co myślą: co to za facet, do cholery? I co on takiego pisze, że drukując go, ryzykują zamknięcie gazety i długoletnie wyroki?

- Chciałbym obejrzeć pańskie dokumenty źródłowe - odezwał się naczelny.

Carl bez słowa podał mu plik papierów. Inni redaktorzy skupili się wokół szefa i wraz z nim pograżyli się w lekturze. Wyglądali jak banda młokosów, z których jeden dostał list od ukochanej i wszyscy próbują mu czytać przez ramię.

- Jezu Chryste - wyszeptał któryś.

- Wiedziałem, że tak było. Zawsze to wiedziałem - powiedział inny. Naczelny uciszył ich podniesieniem ręki.

- Panowie, proszę o ciszę. Mamy mało czasu.

Podawali sobie kolejne kartki z ręki do ręki. George puścił w obieg także pierwsze kilka stron artykułu Carla. Któryś z redaktorów podniósł znad nich wzrok.

- Dobra robota, Carl - pochwalił go.

- Dzięki - odparł Carl i po raz pierwszy tego dnia poczuł się naprawdę przyjemnie.

Redaktor naczelny podsunął sobie krzesło, wyciągnął długie nogi i popatrzył z uśmiechem na podwładnych.

- Macie pojęcie, co my tu mamy? - zapytał.

- Gotowego Pulitzera, psiakrew! - odpowiedział mu ktoś. - Jeśli tylko jurorzy mają jaja.

Ktoś wybuchnął śmiechem i dodał:

- Albo pięcioletni wyrok w obozie dekontaminacyjnym.

- Ciepło, ciepło - przyznał naczelny, biorąc do ręki zapisane przez Carla kartki. - Mamy tu „Globe”, który w jednym z artykułów twierdzi, że generał Ramsey Curtis, najbardziej wpływowy i szanowany człowiek w naszym kraju, doprowadził do wybuchu wojny kubańskiej. Że do ostatniej chwili wojna była do uniknięcia. I że to

generał Curtis we własnej osobie jest odpowiedzialny za wojnę, która zniszczyła Związek Radziecki, pochłonęła dziesiątki milionów ofiar w Rosji i miliony w Stanach Zjednoczonych i wywróciła cały świat do góry nogami.

- Przesadzasz, John - odezwał się któryś ze stojących z tyłu redaktorów. - Ktoś mu przecież pomagał.

Redaktor naczelny zdecydowanie pokręcił głową.

- Tu jest coś więcej, panowie. Za jednym zamachem obalamy dwa mity, rozumiecie? Mit szlachetnego generała lotnictwa, który ocalił naród od dalszych klęsk i ofiar i pomógł nam przetrwać najtrudniejszy czas, i mit słabego tchórzliwego prezydenta, który pchnął nas do wojny atomowej po tym, jak jego wrażliwe ego ucierpiało po klęsce w Zatoce Świń. Wierzcie mi, panowie, ludzie nie lubią, kiedy odbiera się im mity. Biorąc pod uwagę bliskie związki Rockefellera z Curtisem... No, wybory zapowiadają się naprawdę interesująco.

- Trochę się boję o wiarygodność tych dokumentów, John - powiedział autor wstępniaków. - To może być prowokacja, nie wiem, albo naszych tajniaków, albo nawet obcego wywiadu. Możemy się sparzyć.

Redaktorzy zaczęli pomrukiwać potakująco, ktoś odezwał się głośniejszym głosem, ktoś inny mu zawtórował. Carl przypomniał sobie, że znów zbyt długo wstrzymuje oddech.

- Zapewniam was, że taka możliwość jest nad wyraz mało prawdopodobna - rzekł George, podnosząc głos. - Ale zastanówmy się. Czy nie jest prawdą, że nikt z nas nie wiedział, co naprawdę wydarzyło się w 1962 roku? I że zawsze chcieliśmy się tego dowiedzieć? Czy generał Curtis, taki dzielny i idealny, nie budził naszych podejrzeń? I że coś za łatwo zrobili z Kenne-dy'ego bandziora?

Odpowiedziało mu kilka chaotycznych głosów, ale wtedy najstarszy w pokoju sekretarz redakcji podniósł rękę.

- Znałem Kennedy'ego osobiście. W pokoju zapadła cisza.

- Znałem Jacka jako kongresmana, później także jako senatora. Nie był ideałem; nikt z nas nie jest. Lubił ładne dziewczyny i umiał urabiać prasę do swoich celów, ale był dobrym człowiekiem. Na Pacyfiku, dowodząc kutrem, może się i nie spał, ale załogę uratował. Wszyscy wiemy, że Zatoka Świń bardzo go zabolala, ale on się na swoich błędach uczył. Snuł wspaniałe plany dla naszego kraju i jego mieszkańców. Powtarzam, znałem Jacka; historie, które zaczęto opowiadać po wojnie - o tym, że nie umiał ogarnąć sytuacji, że stchórzył, że płakał bezsilny w Gabinecie Ovalnym, bo tak się bał, że nie chciał odlecieć śmigłowcem... No, to zupełnie do

niego nie pasowało. - Sekretarz redakcji wskazał ręką papiery trzymane przez naczelnego. - A naprawdę był taki, jaki się nam wyłania z tych notatek; musiał sobie poradzić nie tylko z raketami na Kubie, ale i z obłąkanym generałem; a na koniec postanowił nie ruszać się z Białego Domu, żeby do końca walczyć o rozejm. Takiego Jacka znałem bardzo dobrze. - Odwrócił się, jakby zawstydzony łzami, które pociekły mu po policzkach. - Chcecie znać moje zdanie? Uważam, że nadszedł dzień, na który wszyscy czekaliśmy od dziesięciu lat. Naszym obowiązkiem jest publikowanie informacji - po to tu jesteśmy.

Znów odpowiedział mu chór głosów, z których jeden zabrzmiał nieco wyraźniej:

- Może lepiej chwilę poczekać, nie rzucać tego tak od razu na łamy.
- Paul ma rację! - przytaknął ktoś inny. - To trzeba potwierdzić!
- Akurat! - zaperzył się George Dooley. - Albo puścimy to od razu, albo wcale. I dobrze o tym wiecie. Ludzie zaczną mówić, rozniosą się plotki o tym, co tu mamy, i przed wieczorem wywiad wojskowy zabierze nam papiery, a nas powsadza do obozów. Nie możemy czekać.

- To twój materiał - stwierdził naczelnny, patrząc prosto na Carla. - Jak uważasz, co powinniśmy zrobić?

Carl popatrzył na George'a, na twarze innych redaktorów czekających na jego słowa, na jego radę -jego, absolwenta szkółki średniej w portowej mieścinie, który niewiele w życiu zdziałał, poza tym, że kilka lat ponosił mundur, a potem nauczył się pisać do gazety. Wszystkie oczy spoczęły na nim; wszyscy czekali, żeby powiedział coś o swoim tekście, który miał zmienić świat.

- Prawie cztery lata jestem już w „Globe”. I zawsze zastanawiało mnie, jak wyglądałaby ta gazeta i jak wyglądałby cały nasz kraj, gdybyśmy nie mieli nad sobą cenzorów.

W ciszy, która zapadła, redaktor naczelnny pokiwał wolno głową, wstał i oddał mu dokumenty.

- Od dziesięciu lat nie jesteśmy prawdziwą gazetą, Carl. Chyba czas sobie przypomnieć, jakie to uczucie. - Odwrócił się do reszty zebranych i posłał im zmęczony uśmiech. - Nie zabrał ktoś z domu zapasowej szczoteczki do zębów? Bo mam przeczucie, że jutro może nas już nie być w gazecie.

Sekretarz redakcji otarł twarz chusteczką.

- Pamiętajcie, co powiedział Ben Franklin? „Jeśli mamy wisieć, to najlepiej

wszyscy razem”.

Carl uznał, że śmiech, który mu odpowiedział, był wymuszony i nieszczerzy, ale i tak dodał mu otuchy.

- Mamy jeszcze jeden problem - zauważył redaktor naczelny, spoglądając na George'a. - Majora Devane'a.

- Proszę się o niego nie martwić - odparł z uśmiechem Dooley. - Osobiście się nim zajmę.

Naczelny z zadowoleniem skinął głową.

- Panowie! - powiedział. - Zostawmy Carla i George'a. Mają coś do zrobienia.

Pół godziny przed terminem, po długim redagowaniu, nanoszeniu poprawek i przepisywaniu kolejnych wersji na maszynie artykuł był gotowy. Głowa pękała Carlowi z bólu, w plecach coś go rwało, a palców nie mógł za bardzo rozprostować, ale skończył. Nie był wprawdzie pewien, gdzie będzie spał tej nocy - i czy w ogóle będzie spał - ale przynajmniej zrobił swoje.

Jim, dotrzymałem obietnicy, pomyślał. Zobaczymy, czy to wystarczy.

George wezwał gońca i wręczył mu artykuł, zapakowany w zwykłą szarą kopertę.

- Daj to Philowi ze składu. Powiedz, że to ode mnie i tylko do wglądu; będzie wiedział, co to znaczy.

Następnie zadzwonił do drukarni.

- Mark? Mówi George z redakcji. Pamiętasz, jak ci niedawno mówiłem, że będę potrzebował waszej pomocy? Wiem, wiem; dalej wiszę ci pięć dych za zeszły tydzień. Dostaniesz je, obiecuję. Może nawet całkiem szybko, ze spadku. Ale na razie będziecie mi potrzebni za jakieś piętnaście minut. Da się zrobić? Świetnie.

George odłożył słuchawkę i z szafki na akta wyjął małą buteleczkę. Nalał drinka sobie i Carlowi.

- To nie herbata - uprzedził z uśmiechem. - Prawdziwa whisky. Carl przez grzeczność upił mały łyżek.

- Od początku w tym byłeś, prawda? - zapytał. George również się napił i zmrużył czujnie oczy.

- Chyba nie bardzo rozumiem, Carl...

- Od samego początku - powtórzył Carl. - Zostałem przydzielony do sprawy Merla Sawsona. Potem wysłałeś mnie na bankiet do konsulatu, żebym spotkał tę

angielską dziennikarkę Sandy Price. A dziś rano, kiedy zobaczyłeś, co piszę, to... Wyglądałeś tak, jakbyś się spodziewał, że coś ci podrzucę. Sprawa Merla była cokolwiek zagmatwana, a ty uznałeś, że ja ją rozwikłam. - Wskazał stojące na biurku zdjęcie dziewczynki. - Twoja siostrzenica. Wyjechała do Londynu na leczenie; przysługa za przysługę, tak? Ją wyleczą, a ty w przyszłości będziesz z nimi współpracował. A może się mylę?

George odstawił szklankę na biurko. -Nie.

Mimo obezwładniającego zmęczenia Carl poczuł, jak wzbiera w nim złość.

- Mogłeś mi powiedzieć!

- To by nic nie dało. - George wziął butelkę do ręki, ale zawahał się i jakby przemyślawszy sprawę, odstawił ją powrotem na blat. - Kiedy zacząłeś u nas pracować, Carl, zapoznałem się z przebiegiem twojej służby. Wyrobiłem sobie całkiem niezłe pojęcie na temat twoich możliwości. Widziałem, jak pracujesz, babrzesz się w gównie, ale nie tracisz nerwów i robisz, co do ciebie należy. Nie jesteś przydziałowcem, Carl; jesteś dobrym człowiekiem i jeszcze lepszym reporterem. Zależało mi na tym, żeby ktoś to dobrze zrobił. Byłeś moim pierwszym, ostatnim i jedynym kandydatem do tej roboty.

Carl nie mógł oderwać wzroku od śmiesznego grubaska w staromodnym, czarno-białym stroju.

- Dla kogo ty właściwie pracujesz? Dla angielskiego wywiadu? Dla McGoverna?

George westchnął ciężko niczym stary bokser mobilizujący się do jeszcze jednej walki.

- Odpowiedź na oba te pytania brzmi: nie. Szczerze mówiąc, nie przepadam za McGovernem, uważam, że jest za miękki i nie będzie umiał podejmować niepopularnych decyzji. Wiesz, kim jestem, Carl? Dziennikarzem. Dziennikarzem, który próbuje coś odzyskać; który chce, żeby wróciły prawdziwe gazety, prawdziwe wiadomości, prawdziwe wybory i może nawet własny prawdziwy rząd. To wszystko. Jest więcej ludzi, którzy myślą tak samo jak ja; jedni jakoś się organizują w grupy, inni nie... Wiem tylko, że miałem kilka telefonów od ludzi, którym ufam. Prosilili mnie o pomoc Amerykanie, Anglicy, różnie; pomogłem im. - Dooley poklepał leżący przed Carlem stosik dokumentów. - Z przyjemnością.

Carl łyknął jeszcze trochę whisky.

- Powiem ci coś, George, ale tak szczerze: nie cierpię whisky. Nie znoszę, jak

mi się mówi, co mam robić. I nienawidzę być wykorzystywany przez innych ludzi do ich celów. A w tej chwili wydaje mi się, że mam dość bycia dziennikarzem.

- I bardzo dobrze, bo to niewdzięczny kawałek chleba. Co w takim razie planujesz? Chcesz napisać książkę?

Carl zaczął zbierać z biurka swoje papiery.

- Szczerze mówiąc, właśnie skończyłem pisać książkę. - Pokręcił głową. - Chociaż ostatni rozdział trzeba będzie trochę przerobić; napisałem go, zanim to znalazłem.

George wstał i poklepał go po plecach.

- Zanim się do tego weźmiesz, chodź jeszcze na chwilę do redakcji. Zamierzam zrobić coś, co chyba ci się spodoba.

Otworzył drzwi i znaleźli się w głównej sali, jak zwykle szczególnie hałaśliwej i ożywionej, gdy zbliżał się termin składania gazety. Carl skierował się w stronę biurka, ale George z szerokim uśmiechem zaprosił go do siebie.

- Chodź, siadaj koło mnie. To najlepsze miejsce.

Carl posłusznie usiadł i powiódł wzrokiem po twarzach kolegów, z satysfakcją odnotowując zdziwienie na obliczu Jeremiaha Kinga. Ciekawe, jak jemu udało się wycieczka na Manhattan? Jack Burns mrugnął do niego porozumiewawczo. Co to za miejsce ta redakcja? Wszyscy tu mają jakieś swoje tajemnice? Gazeta, która zajmuje się czymś więcej niż tylko przekazywaniem informacji? Plama błękitu przyciągnęła nagle jego uwagę: to kilkusobowa grupa drukarzy w niebieskich kombinezonach skupiła się przy automacie z kawą i dyskutowała o czymś z ożywieniem.

Hałas narastał, zamieszanie robiło się coraz większe, aż wreszcie Carl ujrzał jego przyczynę: major Devane szybkim krokiem szedł przez salę prosto do ich biurka. Rękawy koszuli miał podwinięte, krawat przekrzywiony; zaciskał kurczowo pięści, trzymając w jednej dłoni roboczą odbitkę gazetowej strony.

- Dooley! - ryknął. - Ty błźnie! Jak, na Boga... - Umilkł, widząc Carla. Grymas wściekłości wykrzywił mu twarz. - Sierzancie Landry! Zapakujcie sobie zaraz ołowiane gatki, bo jutro już będziecie w drodze do Omaha!

- Mogę panu w czymś pomóc? - zagadnął George, uśmiechając się przymilnie.

- Co to jest?! - Devane podetknął mu papier pod nos. - Czy pan wie... To przechodzi ludzkie pojęcie! Oszczerstwa! Naruszenie co najmniej sześciu artykułów Ustawy o bezpieczeństwie narodowym, który wszyscy w redakcji podpisaliście! Ten materiał z pewnością nie pójdzie do druku!

George splótł dłonie na karku.

- Co pan zamierza z nim zrobić?

- Co... A więc to dlatego mój telefon nie działa! - Devane obrócił się, tocząc wokół dzikim wzrokiem. - Zaplanowaliście to. Uknuliście! Wy wszyscy! Uczestniczycie w spisku! Pójdziecie siedzieć za samą próbę drukowania czegoś takiego! Bo na próbie się skończy!

Major wyciągnął rękę do telefonu na biurku i George złapał go za nadgarstek.

- Nie sądzę - rzekł łagodnie.

- Ty durniu! - Devane bezskutecznie się szarpnął. - To jest czynna napaść na oficera!

Nagle przy biurku pojawiła się grupka drukarzy. Największy z nich, o rękach jak bochny chleba, poplamionych farbą, powiedział:

- Mark coś mówił, że będziemy panu potrzebni, panie Dooley. George z szerokim uśmiechem puścił rękę Devane'a.

- Owszem. Zabierzcie pana majora do salki konferencyjnej, tej na tyłach. Bądźcie dla niego grzeczni, ale nie pozwólcie mu wyjść ani nigdzie dzwonić. I nie przejmujcie się jego gadaniną; ja się tym zajmę.

Devane jeszcze raz rozejrzał się po redakcji. Carl wiedział, co teraz myśli -jakkolwiek by patrzeć, jego kariera właśnie waliła się w gruzy. -Ty...ty... Dooley przestał się już uśmiechać.

- Chętnie bym z panem pogawędził, majorze, ale coś panu powiem: musimy przygotować gazetę na jutro. Prawdziwą gazetę, pierwszy raz od wielu lat. I powiem panu coś jeszcze: jest pan zwolniony. Nędzny z pana człowiek i jeszcze gorszy redaktor. No, chłopaki, zabierzcie go stąd.

Devane jeszcze coś wykrzykiwał i się odgrażał, ale drukarze - którzy nie bez entuzjazmu przystąpili do wcielania w życie poleceń Dooleya - wyciągnęli go już na korytarz. Niektórzy dziennikarze wstali w swoich boksach, żeby mieć lepszy widok; część klaskała.

- A, jeszcze jedno! - krzyknął za Devane'em George, wstając od biurka. - Gówno się znasz na pracy redaktora. Pewnie nie umiałbyś nawet poprawnie napisać „kot”, gdybym ci zamazał dwie litery.

- Nie będzie tak łatwo - zauważył Carl. - Na pewno ma tu swoich ludzi. George z powrotem usadowił się na krześle.

- To fakt. Ale prawda jest taka, że dawno już wpadliśmy w koleiny, a teraz

wyłamaliśmy się z rutyny. Bez meldunku Devane'a oficer prasowy w Bostonie nie sam nie zrobi; pchnie sprawę w górę, a zanim ktoś tam podejmie decyzję, gazeta będzie gotowa. Roześliśmy ją telegraficznie do innych redakcji; i kurierem, gdyby okazało się, że ktoś poprzecinał druty.

Carl roześmiał się głośno i George posłał mu zdziwione spojrzenie.

- O co chodzi?

- Taka historyczna dygresja. Pomysł jak najbardziej na miejscu, biorąc pod uwagę, że to stąd wyjechał Paul Revere dwieście lat temu.

- Nie rób sobie ze mnie żartów, Carl. Zwłaszcza że mam uczulenie na końską sierść.

Carlowi przyszedł do głowy Jim Rowley, anszłus i całe mnóstwo innych rzeczy.

- Wiesz chyba, że ten artykuł będzie miał spory wpływ na przebieg wyborów?

- To dobrze.

- Jeszcze jedno, George: za dzień albo dwa na Manhattanie coś się zacznie dziać. Coś dużego.

- Poważnie? Co?

- Coś, co trafi na pierwsze strony gazet w całym kraju. Ale „Globe” może być pierwszy.

George znów uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko mi jeszcze opowiesz. Chcesz się tym zająć?

- Nie, ja już mam dość Manhattanu. Wyślij kogoś innego.

- Jeremiaha Kinga?

Martwa wyspa, pomyślał Carl. Może niektórzy powinni zobaczyć wyspę, która wraca do życia.

- Nie. Daj to Bobby'emu Munsonowi.

Do sali wszedł redaktor naczelny, niosąc makietę następnego numeru gazety.

- Słyszałem jakieś zamieszanie; wszystko w porządku?

- W najlepszym porządku - zapewnił go George. Naczelny rozłożył makietę na biurku Dooleya.

- Właśnie przeglądam ostateczną makietę na jutro... Na drugiej stronie jest kawałek, który trzeba wyrzucić; możecie tam dać ogłoszenie o sprzedaży domu, jakiś skrót agencyjny, coś takiego, ale to trzeba wywalić. Przyjmiesz ten zaszczyt?

George wziął do ręki zadrukowany arkusz i podał go Carlowi. Oczy błyszczały mu z emocji.

- Wydaje mi się, Johnie, że Carl powinien się tym zająć.

Carl spojrział na makietę, wyłapując ogłoszenia i ogarniając rozkład całej drugiej strony. W kątku przycupnęła w całej swojej chwale znajoma ramka:

Uwaga czytelnicy: Wszelkie materiały ukazujące się w dzisiejszym wydaniu „Globe” zostały zatwierdzone do druku przez wojsko amerykańskie w zgodzie z Dekretem o stanie wojennym z 1962 roku i Deklaracją o zagrożeniu narodowym z 1963 roku.

Wziął do ręki ołówek i ze złością, która jego samego zadziwiła, nakreślił na ramce wielkie X, łamiąc przy tym grafit.

Sprawa Imperium: 6

Zaczęło się.

Major Kenneth Hunt siedział w ciasnej hałaśliwej kabinie angielskiego transportowca C-130 hercules. Lecieli na Południe, do wyznaczonego celu misji - misji, która, jak Hunt przeczuwał, musiała w przyszłości doprowadzić do śmierci milionów ludzi. Przypomniawszy sobie nieszczęsnego żołnierza RAF-u, który podjął rozpaczliwą próbę sabotażu. Nienawidził się za to, co w tej chwili myśli, ale żałował, że biedakowi się nie udało.

Siedział z przodu maszyny, nieopodal kokpitu załogi. Obejrzał się za siebie, na umundurowanych spadochroniarzy zaplątanych w uprzęże dla pasażerów transportowca. Każdy z nich miał hełm na głowie i gotową do strzału broń w rękach, główny spadochron na plecach, mniejszy zapasowy na piersi i mały pakunek umocowany do łydki, który należało odczepić tuż przed lądowaniem. Basowe dudnienie czterech silników uniemożliwiało normalną rozmowę, toteż większość jego ludzi po prostu tępo gapiała się w przestrzeń. Za niespełną godzinę mieli ustawić się w dwuszeregu i skakać z otwartych w obu burtach samolotu drzwi. Skakać na terytorium Stanów Zjednoczonych, gotowi zabijać tych, którzy uważali ich za sprzymierzeńców.

Przyszedł mu na myśl jego brat Clive i rozmowa, jaką niedawno odbyli - o imperiach, które upadają, i tych, które mogą się odrodzić. Clive z pewnością doceniłby czarny humor sytuacji: oto żołnierze nowego imperium brytyjskiego lecą realizować swoje paskudne zadanie w Stanach Zjednoczonych - na pokładzie amerykańskich samolotów.

Za kilka godzin będzie po wszystkim. Zerknął na zegarek: cholera, za dwadzieścia minut znajdą się na podejściu do bazy w Plattsburghu. Młodzi amerykańscy lotnicy, którzy w niej stacjonowali - a teraz pewnie smacznie spali - mogli niebawem zginąć, bowiem Hunt i jego chłopcy mieli zadanie do wykonania i wykonają je bezbłędnie, na chwałę królowej i regimentu. Może potem przyjdzie czas zwolnić się ze służby i wyjechać gdzieś daleko. Na przykład do Australii. Może Australia przetrwa następną wojnę atomową. Gdyby udało mu się jeszcze przekonać Clive'a i siostrę, żeby z nim pojechali, byłoby cudownie.

Pozostanie tylko poczucie winy. Czy będzie umiał z nim żyć?

Zamknął oczy, odtwarzając z pamięci obraz Rachel, dźwięk jej śmiechu, jej

dotyk. Biedna Rachel nie żyje; pewnie pochowano ją w jakimś zbiorowym grobie w Indiach. Westchnął, czując narastający ból w piersi. Może nie dożyję Australii, pomyślał. Na pewno dojdzie do strzelaniny, kiedy Amerykanie zorientują się w sytuacji. Wystarczy odrobina niepotrzebnej agresji z jego strony i wszystko skończy się jeszcze dzisiaj. I spotka się z Rachel.

Tak, doszedł do wniosku, to się może udać. Może...

Ktoś pociągnął go za rękaw. Hunt odwrócił się i odebrał pasek papieru od radiooperatora, który wychylił się ze swojego fotela obok pilota.

- Wiadomość dla pana, majorze! - krzyknął radiowiec.

Samolot wleciał w obszar turbulencji, szarpnęło nim i Hunt uderzył głową o ścianę. Podniósł pasek papieru wyżej i w słabym czerwonym blasku jedynej lampki przeczytał sześć słów, które wszystko naprawiły. Po raz pierwszy od miesiąca mógł się uśmiechnąć.

MISJA ODWOŁANA MISJA ODWOŁANA MISJA ODWOŁANA

Samolot skręcił ostro i ruszył z powrotem do Kanady. Kilku żołnierzy podniosło głowy i ujrzalo uśmiech na twarzy dowódcy - najpierw jeden wydał triumfalny okrzyk, potem następny, a za chwilę cały samolot śmiał się i klaskał. Major Hunt pokiwał tylko głową dumny ze swoich chłopców.

W sali odlotów międzynarodowych na lotnisku Logan Airport kłębił się tłum, ale Carl ją znalazł. W czarnym skórzanym płaszczu siedziała na czerwonym plastikowym krzeselku, przeglądając wczorajszy numer „Time-sa”. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się na jego widok. A Carl wbrew sobie, na przekór temu, co o niej wiedział i co zrobiła, odpowiedział jej uśmiechem.

- Niech mnie diabli! Sam słynny Carl Landry z „Boston Globe”, wybawca kobiet zagubionych na Manhattanie.

Złożyła gazetę w pół i wstała.

Uścisnął jej rękę, pocałował ją w policzek i odparł:

- Nie taki znowu słynny. W dodatku nie jestem wcale pewien, czy jeszcze pracuję w „Globe”.

- Naprawdę? Myślałam, że dadzą ci podwyżkę albo nawet awans. Usiedli. Rozglądając się po terminalu, Carl dostrzegł najpierw jednego,

a zaraz potem drugiego eleganckiego mężczyznę, którzy usilnie udawali, że nie patrzą w ich stronę. Sandy roześmiała się, widząc jego zdziwienie.

- Zauważyłeś już moich opiekunów.

- Dla kogo oni pracują?

- Wygląda na to, że razem jest ich czterech - odparła Sandy, wykręcając szyję, żeby zerknąć w tył. - Myślę, że jedna para jest ode mnie i pilnuje, żeby nic mi się nie stało; druga to chyba wasi ludzie, którzy z kolei chcą, żebym zdążyła na samolot. - Ścisnęła dłoń Carla. - Jakoś trudno mi uwierzyć, że niby zachodzą tu takie błyskawiczne zmiany, a zarazem stara maszyna biurokratyczna miele ludzi w swoich trybach. Przed wyborami kompletny chaos, marsze protestacyjne, McGovern może nawet wygrać, ale Bogu ducha winną dziennikarkę trzeba odesłać do Anglii.

- Jesteś przeurocza, Sandy, i dużo można o tobie powiedzieć, ale nie jesteś Bogu ducha winną dziennikarką.

Zarumieniła się.

- Wiem, co masz na myśli; odkąd tu przyjechałam, robiłam różne rzeczy, które nie przystoją reporterowi. Ale mój kraj prosił mnie o pomoc i mu pomogłam.

- Bez wątplenia. W pewnym sensie przypominasz mi ten twój kraj, wiesz? I twoją babkę; grzeczna, rozsądna, ale jak przychodzi co do czego - bezwzględna.

Przez chwilę patrzyła na niego niepewnie, a potem się uśmiechnęła.

- Tata przyznałby ci całkowitą rację. Mówi, że pod pewnymi względami jestem taka jak syn, którego się nie dochował. Potrafię się bez reszty skupić na osiągnięciu celu - to może być napisanie artykułu, ale równie dobrze wyświadczenie przysługi jego przyjacielowi. Ale to się zmieni. Kiedy... Kiedy zobaczyłam, jak uciekasz do lasu, poczułam się z siebie dumna i zrozumiałam, że nie zawsze byłam wobec ciebie w porządku. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Powiedziałaś coś takiego o stosunkach między naszymi krajami... Że powinny się opierać na wzajemnym szacunku, a nie na uległości i jednostronnym uzależnieniu. Obawiam się, że przez jakiś czas nieco bezmyślnie pracowałam na rzecz tych ludzi, którzy chcieliby zachować tę podległość, zależność sługi od pana; to oni chcieli wysłać spadochroniarzy na Manhattan. Cieszę się, że mi się nie powiodło.

- Nie obraż się, ale i ja się cieszę.

- Co teraz planujesz? - zagadnęła Sandy, starając się zmienić głos na pogodny i beztroski.

Carl czuł na sobie spojrzenia jej „opiekunów”.

- Jestem teraz powszechnie zauważany, że tak powiem. Kiedy ukazał się nowy „Globe”, inne gazety szybko podchwyciły tę sprawę; nawet, „New York Times” spłodził własny materiał, zamieszczając wywiad z członkiem starego ExCommu, który zresztą potwierdził moją wersję wydarzeń. Potem zaczęły się pojawiać doniesienia o ludziach z SZ-ów, którzy upomnieli się o swoje prawa. Jednym z nich był działacz na rzecz praw człowieka, znany na początku lat sześćdziesiątych... Pastor, kaznodzieja, niejaki King. Teraz to już przypomina powódź; cenzura i ustawa o bezpieczeństwie państwowym kompletnie nie funkcjonują. To naprawdę niezwykle i... Trudno po czymś takim wrócić do normalnej pracy i pisać o wypadku samochodowym na Storow Drive.

- Masz jeszcze swoją książkę - zauważyła Sandy. - Przeczytałam w konsulacie ten ostatni rozdział i wydaje mi się, że zgrabnie to wszystko zakończyłeś. Bardzo podobał mi się ten kawałek o generale Curtisie. Naprawdę spotkałeś go w Wietnamie?

Carl przypomniał sobie upalne popołudnie w Sajgonie, kiedy to wraz z innymi doradcami wybrał się na koktailparty wieńczące długą naradę.

Uczestniczyli w nim też przybyli ze Stanów generałowie. Odchodziło ostre

picie i zapamiętał pewnego szczególnie zarozumiałego generała, który przechwalał się, że mógłby w jeden dzień rozwiązać problem Wietnamu, zrzucając specjalną bombę na Hanoi. Tak właśnie opisał to spotkanie w książce, w ostatnim rozdziale, który przesłał Sandy. W rozdziale, w którym ujawnił kłamstwo - kiedy widział się z Curtisem w Pensylwanii, generał twierdził, że nie warto było pakować się do Wietnamu. To kłamstwo reprezentowało całe zło, którego byli świadkami. Dość miał już kłamstw.

- Naprawdę, ale ostatni rozdział i tak będę musiał poprawić. Może kiedy skończę, znajdzie się w tym kraju wydawca, który będzie miał dość odwagi, by całość wydać.

- A co z naszym generałem? Carl wzruszył ramionami.

- Na razie figuruje na liście zaginionych. Jego farma stoi pusta, a razem z nim zniknęło dwudziestu czy trzydziestu najbliższych przyjaciół i współpracowników. Według najświeższych plotek wyjechali daleko na Południe, może aż do Brazylii... Kto ich wie. Może i on napisze książkę, w której przedstawi własną wersję wydarzeń.

Zdegustowana Sandy pokręciła głową.

- Co za drań! Żeby tak z zimną krwią...

- Nie - przerwał jej ostro Carl. - Tego bym nie powiedział. Popełniał błędy, za długo trzymał się władzy i wiele zła uczyniono w jego imieniu, ale... Sandy, przecież on naprawdę zakończył tę wojnę. Przyłożył rękę do jej rozpoczęcia, ale powstrzymał ją, zanim rozprzestrzeniła się na Europę i inne kontynenty. Gdyby uczciwie powiedział, co się wtedy wydarzyło, wtedy. .. Naprawdę trudno powiedzieć, co by się stało. Mogliśmy uniknąć dziesięciu lat stanu wojennego; mogliśmy uniknąć przeobrażenia się w naród cyników, którzy nie wierzą władzy, gazetom ani sąsiadom. Nie wiadomo.

- Jedno wiem na pewno - odparła Sandy, poprawiając płaszcz. - Zostaliśmy oszukani w sprawie tych dokumentów. Myślałam, że szukam ściśle tajnych kodów strategicznych, a tobie wydawało się, że znajdziesz Deklarację niepodległości i waszą Konstytucję. Jakiś wariat uważał, że odkryjemy tajemnicę żyjącego Kennedy'ego. Wszyscy się myliliśmy.

Carl przypomniał sobie wystraszonego człowieka, którego spotkał w tunelach nowojorskiego metra. Zdawał sobie sprawę, że gdyby dać mu szansę, starałby się doprowadzić do spotkania i pojednania starych, zgorzkniałych braci.

- Nie, wariat miał rację. Tylko on miał rację.

- Nie rozumiem... - zdziwiła się Sandy.

- Powiedział, że te dokumenty są kluczem do zagadki „On żyje”. Myślałem, że chodzi mu dosłownie o to, że Kennedy żyje i gdzieś się ukrywa.

Carl uśmiechnął się na wspomnienie Caza. - Ale teraz już tak nie sędzę. Chciał mi powiedzieć, że J.F.K. odżyje w naszych wspomnieniach jako człowiek i przywódca, ktoś, kto natchnął nas wiarą w lepsze jutro, choćby nawet na krótko. Ta jego część nie umarła i trwa, w przeciwieństwie do bzdur o jego tchórzostwie i urażonej dumie, które rzekomo pchnęły nas do wojny. To właśnie Caz miał na myśli i wcale się nie mylił. Stare mity umierają i poznajemy prawdę. Na razie w bólach i po kawałku, ale ją poznajemy.

- Dzięki tobie - dodała Sandy i ścisnęła jego rękę. - Dzięki tobie. Zasłużyłeś na nagrodę, więc przypominam ci, że moja oferta jest wciąż aktualna.

- Ta z Manhattanu?

- Ta sama: herbatka u Harrodsa, spacer w parku i pokój w „Savoyu”. Co ty na to? Przeleć ze mną przez wielki staw, to pokażę ci Londyn. Na mój koszt. I mojego taty, jak go znam. - Sandy wyjęła kopertę z kieszeni płaszcza. - Wszystko przygotowałam, na wypadek, gdybyś się pojawił, żeby się pożegnać. To jest bilet do Londynu na twoje nazwisko; masz rezerwację na miejsce obok mnie. Zgódź się, a jutro o tej porze będziemy razem oglądać mój kraj.

Carl nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie mam paszportu...

- Bzdury gadasz. Na pewno któryś z moich aniołów stróżów jest z Foreign Office; coś by wymyślili, gdybym narobiła zamieszania, a wiesz, że jestem w tym niezła. Dalej, Carl, zgódź się.

Spojrzał głęboko w jej śliczne, śmiertelnie niebezpieczne oczy.

- Może... -odparł.

Sandy nie kryła rozczarowania.

- Carl... Dobrze, w takim razie mam tu coś, co chciałabym ci zostawić.

Wyjęła z torebki książkę, którą widział u niej w hotelu. Okładka przedstawiała zmęczonego rycerza na tle Białego Domu. Amerykański Camelot Jacka Hagopiana.

- Skończyłaś ją? - zapytał.

- Tak i bardzo mi się podobała. Tobie też na pewno się spodoba.

- Jak się kończy? Jak wygląda świat, w którym nie było wojny kubańskiej?

- Sam będziesz musiał ją przeczytać, nie uważasz?

- Chyba tak. Posłuchaj, niedużo już ci czasu zostało do odlotu, prawda?

Sandy zerknęła na zegarek.

- Niedużo... A o co chodzi?
- Jedno pytanie: gdzie trzymałaś nadajnik? W torebce czy gdzieś na ubraniu?

Zawahała się przez ułamek sekundy.

- Jaki nadajnik?

- Musiałaś mieć ze sobą nadajnik radiowy. Cały czas: w Bostonie, na Manhattanie, nawet w tym moteliku w New Hampshire. To dlatego byłaś taka pewna, że twoi ludzie znajdą nas na Manhattanie - I dlatego twoi dobrze uzbrojeni przyjaciele z konsulatu bez trudu nas znaleź w każdej chwili wiedzieli, gdzie jesteś. Ostatni sekret, dobrze?

Widział po jej twarzy, że walczy ze sobą. Parskała śmiechem.

- W torebce, w podwójnym dnie. Niezły jesteś. Nikt nie wykiwa Carla Landry'ego, co?

Z głośników popłynęło zawiadomienie dla pasażerów następnego lotu: BOAC, Londyn. Dookoła nich ludzie wstawali z krzesełek, zbierali ubrania i bagaż podręczny. Carl też wstał i podał Sandy rękę.

- Mylisz się - powiedział. - Wygląda na to, że każdy może wykiwać Carla Landry'ego, a ja już mam tego dość. W końcu o wszystkim się dowiaduję, ale zawsze za późno.

Sandy objęła go mocno i wtuliła twarz w jego pierś.

- Powiedz, że się zgadzasz - wyszeptwała. - Leć ze mną. Jestem twoją dłużniczką za to, że pomogłeś mi się wydostać z Manhattanu, i za to, że tyle mi pomogłeś. Chcę ci pokazać Londyn; obejrzymy f> we dwoje, bez cenzorów i panów z MI6. Będziemy mogli lepiej się poznać bez tego paskudnego obciążenia.

- Może kiedyś, Sandy - odparł. - Ale nie dziś. Muszę dotrzymać pewnej obietnicy: sprowadzić do Bostonu samochód, którzy pożyczylimy, i zatankować go do pełna.

Pocałowała go lekko, szybko, ale widział, że w oczach wzbierają jej łzy.

- W porządku. Zaproszenie nie traci ważności; nigdy nie straci. Skontaktujesz się ze mną przez „Timesa”.

- Wiem o tym.

- A teraz idź już, zanim się rozbeczę.

Pocałował ją i odszedł. Kiedy ostami raz obejrzał się w jej stronę, stała w

kolejce do odprawy.

Wyszedł na taras obserwacyjny i z książką pod pachą stanął przy barierce. Ręce schował do kieszeni, żeby osłonić je przed wiejącym od oceanu zimnym wiatrem. Rozpoznał samolot Sandy, kiedy ten kołował na początek pasa startowego; wyobraził sobie nawet, że dostrzegają w jednym z okien, ale nie mógł mieć całkowitej pewności. Odwrócił się i spojrzał na wschodnie dzielnice Bostonu; z nagłym zdumieniem zdał sobie sprawę, że tu się wszystko zaczęło, niedaleko, przy Winthrop Street, gdzie w małym mieszkanku oglądał ciało zabitego mężczyzny, który znał tajemnicę zdolną wszystko zmienić. Merl Sawson, któremu zostało jeszcze jedno, ostatnie zadanie.

Dobra robota, Merl. Zadanie wykonane.

Wziął książkę do ręki i spojrzał na okładkę. Tak mogło być, pomyślał. A teraz wszystko się zmieniło - nadchodziła przyszłość, która dotąd była tylko w książkach. Co mogło się zdarzyć? Wszystko, naturalnie. Wszystko. Wystarczy trochę nadziei.

Samolot zaczął rozpędzać się na pasie. Carl skulił się z zimna, myśląc o Sandy, która wracała do domu. Tam nie brakowało świeżego jedzenia, nie było przerw w dopływie prądu, gangów sierocych, stref zakazanych i stanu wojennego. Prawo było prawem i wszystko funkcjonowało, jak należy. Odrzutowiec oderwał się od ziemi i Carl długo jeszcze odprowadzał go wzrokiem, gdy samolot wzbił się nad szary, zimny Atlantyk, kierując się ku spokojnym krainom. Przez chwilę Carl poczuł nawet ukłucie żalu.

Ale tylko przez chwilę.

Kiedy samolot rozmył się w dali, Carl Landry odwrócił się, rozejrzał i skierował do schodków.

Epilog

W dniu przed wyborami Carl oglądał wiadomości, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Oderwał na chwilę wzrok od ekranu, na którym Walter Cronkite - wychudzony, ale w niezłej formie mimo spędzenia ostatnich miesięcy w więzieniu w Leavenworth - przedstawiał specjalny raport o przemarszu dziesiątków tysięcy ludzi, którzy w ostatnich dniach wyszli z rzekomo wyludnionych obszarów San Diego, Miami, Omaha i Manhattanu -zwłaszcza Manhattanu.

Pukanie się powtórzyło, ale Carl miał ochotę je zignorować. Przez ostatnie dni nie wychylał nosa z mieszkania - rozmyślał i oglądał rozemocjonowanych reporterów przedstawiających zapierające dech w piersi wiadomości. Generała Curtisa widziano w Urugwaju; z sondaży wynikało, że kandydaci na prezydenta idą łeb w łeb; Rockefeller usiłował się zdystansować wobec Curtisa; jakieś brytyjskie samoloty wykonujące ubiegłej nocy loty treningowe na krótko naruszyły przestrzeń powietrzną Stanów Zjednoczonych

Anszlus, pomyślał Carl. Przyłączenie, do którego nie doszło.

Zdawał sobie sprawę, że powinien mieć poczucie spełnienia, satysfakcję z tego, iż wszystko to wydarzyło się dzięki niemu i dzięki jego artykułowi, ale wciąż miał w ustach dziwny niesmak, którego, jak sądził, nigdy się już nie pozbędzie. Historia zmieniła się w sposób, jakiego nawet w snach nie mógł przewidzieć, i wiedział, że powinien się cieszyć, powinien czuć podniecenie. Starał się skoncentrować na bieżących wydarzeniach i ewentualnej przyszłości, lecz wciąż wracał myślami do pustego, martwego domu w Newburyport.

Pukanie zabrzmiało po raz trzeci, głośniejsze niż poprzednio.

Carl wstał z kanapy i podszedł do drzwi. Przyszło mu do głowy, że powinien chyba wziąć do ręki pistolet i dopiero wtedy otworzyć - nie wiadomo przecież, kto stał na korytarzu: rozwścieczony zwolennik Rockefellera, członek Sekcji Z, a nawet agent brytyjskiego wywiadu, który przyszedł wyrównać rachunki.

Do diabła z nimi wszystkim, uznał. Otworzył drzwi.

Na progu stał szczupły mężczyzna w sztruksowej kurtce i czapeczce baseballowej nowojorskich Jankesów. W bladym świetle żarówki na korytarzu na jego twarzy majaczyły niewyraźnie liczne blizny. Wyglądał tak znajomo...

- Matko Boska... Jim Rowley! Co ty tu robisz? - Carl musiał oprzeć się o

klamkę, żeby nie stracić równowagi.

Rowley wyszczerzył zęby w uśmiechu chyba zadowolony z efektu, jaki udało mu się uzyskać.

- Cześć, Carl. Byłem tu w okolicy, więc pomyślałem, że wpadnę się przywitać. I podziękować.

Carl też się uśmiechnął.

- Mówisz poważnie? Jim wzruszył ramionami.

- Tak na wpół poważnie. Naprawdę chciałem ci podziękować w imieniu własnym i wszystkich z SP 19. Udało ci się! Gdybyś kiedyś wrócił na Manhattan, całe miasto jest twoje. Serio. Tyle ci zawdzięczamy...

- Daj spokój - przerwał mu Carl. - Cieszę się, że mogłem pomóc. Wejdiesz?

- Przykro mi, ale nie. - Jim pokręcił przecząco głową. - Jestem umówiony.

Ale jest jeszcze coś...

- Coś?

Jim skinął ręką w stronę schodów.

- Przeprowadziłem ci kogoś z Manhattanu. Trochę mnie to kosztowało, żeby porozumieć się z SZ-ami, znaleźć, kogo trzeba, ale chyba było warto.

Carl spojrział w mrok zalegający schody, gdy wtem ktoś wyszedł na podest pod drzwiami i Carl poczuł, jakby nagle zalała go struga jasnego światła - światła, które było miękkie, ciepłe, oczyszczające i takie cholernie cudowne. Wszystko inne nagle przestało się liczyć, jakby nigdy nie istniało, i przed nim stała ta jedna jedyna, uśmiechnięta osoba. Stała o krok od niego; miała krótko przycięte włosy, ale jakże znajomą twarz. Delikatnie ujęła jego drżące dłonie w swoje.

- Witaj, Carl - powiedziała Sarah, jego siostra.